

~~22~~
22

052
22

HISTORIA LITERATURY
NIEPODLEGŁEJ POLSKI.

IGN. CHRZANOWSKI.

HISTORIA LITERATURY

NIEPODLEGŁEJ POLSKI

(Z WYPISAMI)

A jeśli komu droga otwarta do nieba, —
Tym, co służą ojczyźnie . . .

(J. Kochanowski).

Literatura każdego narodu jest jego
moralnym bytem, bezpieczną w swoich gra-
nicach, żadnemu zniszczeniu niepodległą.

(K. Brodziński).

CZĘŚĆ II i III.



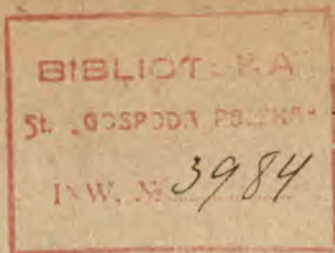
Nakładem Rady Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny
w Moskwie.

Skład gł.: Moskwa, Milutyński 15. Rada Zjazdów Polskich Organizacji P. O. W.

<http://r1916.org.pl>



5.10.960



LITERATURA WIEKU XVII.

ROZDZIAŁ V.

Wiek XVII.

Zanikanie mądrości i piękna

§ 50. Literatura nasza w wieku XVII nie utrzymała się na tym wysokim poziomie, na jaki się wzniosła w stuleciu XVI: posiada wprawdzie utwory, tak piękne, jak „Sielanki“ Szymonowicza, „Lament“ Starowolskiego i „Psalmodya“ Kochowskiego, tak niepospolite, jak „Wojna Chocimska“ Potockiego i „Pamiętniki“ Paska, — a jednak jest od literatury wieku złotego bez porównania niższa, traci bowiem stopniowo to, co w stuleciu XVI było główną jej ozdobą i chwałą: mądrość i szlachetność treści oraz piękno formy. Ten zaś upadek literatury tłumaczy się upadkiem oświaty. W w. XVI oświata była nie tylko wysoka, ale i szeroka: nie tylko szlachta, ale i mieszczenie garnęli się do nauki, uczyli się nawet i chłopci, czego najpiękniejszym dowodem — Janicki (§ 18). Teraz chłopci, corazto silniej uciskani, nie biorą udziału w życiu umysłowym Polski, a miasta, coraz to więcej upadające, — o wiele mniejszy, niż dawniej. Szlachta zaś uczy się wprawdzie, ale już nie tak, jak dawniej, i nietyle zagranicą, jak w XVI stuleciu, ile w domu; w domu zaś mnożyły się szkoły, lecz

nie odpowiadały swemu zadaniu, bo ani nie rozwijały umysłu, ani nie kształciły charakteru.

Najgorliwiej krzżeli się około oświaty jezuiti, których sprowadził był do Polski Hozyusz (jeszcze za Zygmunta Augusta) — dla walki z reformacją. Za najskuteczniejszą broń do tej walki poczytywali oświatę, zakładali więc szkoły w Koronie i na Litwie i szybko umieli sobie zjednać zaufanie ogółu, który też chętniej oddawał dzieci do szkół jezuickich, niż do akademickich. Czegóż uczyli jezuiti? Głównie troszczyli się o to, aby uczniowie byli prawowiernymi katolikami: osiągnęli ten cel w zupełności, ale jednocześnie zatruli serca duchem fanatyzmu, nietolerancyi, nienawiścią względem wszystkiego, co niekatolickie; a i umysłów nie rozwijali, owszem, ogłupiali je raczej, bo, poza religią i dewocją, uczyli wyłącznie prawie łaciny: znajomość gramatyki łacińskiej (według osławionego podręcznika jezuity hiszpańskiego, Alwara) i kilku autorów rzymskich (mocno okrojonych), rozmowy i dysputy łacińskie i wygłaszanie mów po łacinie — oto główny zakres nauki jezuickiej. Zresztą nietylko jezuickiej: wszystkie szkoły zakonne i niezakonne były takie same, we wszystkich chodziło głównie o prawowierność katolicką i łacinę. Nie krzewiły więc szkoły (nie wyłączając zwyrodniałej akademii krakowskiej) rzetelnej oświaty, i wychodziła z nich młodzież z ciasnym poglądem na Boga, świat i ludzi: wierzyła, że Bóg jest tak dobry, iż nie dopuści upadku Polski, bo nie rozumiała, że Bóg wtedy tylko ludziom pomaga, kiedy oni sami sobie pomagają; myślała, że, kto umie paplać po łacinie (a jaka to była łacina, Boże się zmiłuj), ten już rozumy całego świata pojadł; wynosiła ze szkoły nienawiść ku „heretykom“, a nadto miała przewrotny pogląd na t. zw. równość szlachecką, głoszący, że, skoro szlachcic szlachcicowi równy, więc szlachcic nie ma obowiązku słuchać szlachcica, choćby ten był wojewoda: przecie szlachcic na

zagrodzie równy wojewodzie, a i królem, dzięki zasadzie obieralności, każdy szlachcic może zostać! I jakże wobec tego szlachcic miał szanować władzę?

Lecz oplakany stan szkolnictwa to nie jedyna przyczyna upadku oświaty, a zatem i literatury: przecie i w XVI w. szkoły krajowe nie stały wysoko, a jednak społeczeństwo było oświecone. Dlaczego? Dlatego, popierwsze, że oświecać się miało ochotę, a podrugie, że sprzyjało temu samo życie, polityczne i religijne (§ 22). W w. XVII tymczasem ochota do nauki nikła, życie zaś płynęło inaczej, smutniej.

Dawniej rwała się szlachta do oświaty i rozumiała, że bez niej nie wywalczy sobie tego, do czego dążyła: wolności politycznej. Celu dopięła: złota wolność, okupiona niewolą chłopów, upadkiem miast, uszczupleniem władzy i powagi królewskiej, stała się rzeczywistością: więc poco i naco wysilać sobie głowę nad naprawą Rzeczypospolitej, kiedy lepiej już być nie może? pozostaje jedno: dopilnować, aby wszystko zostało postaremu, aby złota wolność nie uciekła! Że ona wprost do niewoli prowadzi, tego nie rozumiała szlachta: że jest nierządem, rozumiała, ale uwierzyła w potworną zasadę: „Nierządem stoi Polska!“ To też dzieje wewnętrzne Polski XVII w. to dzieje nierządu. Rokosz Zebrzydowskiego (1606—7) do reszty osłabił władzę i powagę królewską. Magnaci corazto więcej „kurczyli miłość ojczyzny w swoich domach i pojedynkowych pożytkach“; kurczyli ją i ci, co za Zygmunta III prowadzili na własną rękę wojny z Moskwą i Wołoszą, i Jeremi Wiśniowiecki, który samowolnie zerwał rozejm z Kozakami, i stokroć gorsi od nich jawni zdrajcy: Hieronim Radziejowski, Krzysztof Opaliński i Janusz Radziwiłł, i najgorszy z nich wszystkich, Jerzy Lubomirski. A szlachta dała się za nos wodzić tym i innym „królikom“, którzy bałamucili ją, przekładając, że największym wrogiem złotej wolności

jest król. To też, jak ognia, bała się szlachta wszelkich pomysłów i zamiarów królewskich, a unicestwić je było nie trudno wobec zasady jednomyślności sejmowej; ta zaś w r. 1651 przybrała postać „liberum veto“, które wprawdzie nigdy nie było prawem, ale stało się obowiązującym zwyczajem, a nadto było w mniemaniu szlachty najpewniejszą rękojmą złotej wolności; wobec tego o naprawie Rzeczypospolitej nie mogło być mowy: w drugiej połowie XVII w. zerwano siedemnaście sejmów! Straszne ciosy, godzące w Polskę, — wojny kozackie, moskiewskie, szwedzkie — otrzeźwiły szlachtę, ale tylko na chwilę: zaczęła już myśleć o naprawie skołatanej ojczyzny, ale zamiary te unicestwił rokosz Lubomirskiego, rokosz, w którym brały udział całe tłumy szlacheckie — nie ze złej woli, lecz w przekonaniu, że walczą w obronie wolności. Niemniej dobitnie świadczy o zupełnem ogłupieniu politycznem szlachty wyniesienie na tron takiej nicości, jaką był Michał Wiśniowiecki. Świetne zwycięstwa Sobieskiego-hetmana pod Chocimem i Sobieskiego-króla pod Wiedniem nie ocaliły Polski od upadku: byłyto już ostatnie błyski zachodzącego słońca; Rzeczpospolita leciała w przepaść — nie dla braku męstwa, ale dla nierządu.

Jak życie polityczne, tak i religijne smutny przedstawia widok. Katolicyzm zwyciężył już w ostatniej ćwierci XVI stulecia, a jednym z objawów jego zwycięstwa staje się nietolerancja. Zygmunt III był fanatykiem, nie uszanował konfederacji warszawskiej z r. 1573, zapewniającej dysydyntom swobodę wyznania i równouprawnienie polityczne: na burzenie kościołów ewangelickich przez sfanatyzowane tłumy spoglądał przez szpary i, jak mógł, tak nie dopuszczał protestantów i kalwinów do urzędu. Ze szczególną jednak zawziętością zwrócono się przeciwko arianom: za Jana Kazimierza zapadła na sejmie haniebna uchwała (1658), wydalająca ich z granic Polski. Względem

unitów i dyzunitów (t. j. tych prawosławnych, którzy nie przyjęli unii brzeskiej z r. 1596) także nie było tolerancji, skoro np. ani biskupom unickim, ani archijerejom prawosławnym nie pozwolono zasiadać w senacie; ta zaś nietolerancja w połączeniu z uciskiem ludu na Rusi doprowadziła do straszliwych wojen kozackich. Wreszcie nietolerancja doszła do tego, że szlachcicowi Łyszczyńskiemu wytoczono proces o ateizm, i sejm skazał go na spalenie żywcem (1689). Współcześnie z zanikaniem tolerancji religijnej i z wzrastającym ogłupieniem politycznym szlachty nikła wolność myśli i słowa wogóle: z jednej strony duchowieństwo tępiło pisma, które, jego zdaniem, sprzeciwiały się nauce Kościoła i zasadom moralności, i wydawało tak zwane indeksy (spisy) książek zakazanych, a z drugiej szlachta corazto krzywiej patrzyła na śmiałków, którzy się odważali dowodzić, że złota wolność prowadzi Polskę do zguby. Krzywo patrzeli na takich śmiałków i jezuiti, czego jaskrawym dowodem jest np. to, że kiedy w r. 1610 Skarga wydawał na nowo swoje „Kazania sejmowe“, nie pozwolili mu na przedruk kazania o monarchii, w którym złotą wolność nazywa piekielną.

Tak więc w w. XVII zanikły te dwa czynniki, które w w. XVI były tak potężnymi pobudkami i dźwigniami oświaty. Zadowolona z siebie i złotej wolności, nie przeczuwająca nieszczęścia, przekonana, że „jakoś to będzie“, — straciła szlachta ochotę do nauki: uczyła się wprawdzie, ale głównie dlatego, że taki był już zwyczaj, że tak wypadało...; tego zaś, że postęp umysłowy jest jednym z głównych warunków potęgi narodu i państwa, już nie rozumiała. W w. XVI uniwersytety zagraniczne roily się od polaków; teraz młodzież szlachecka nie myśli o kształceniu się zagranicą; zagranicę wyjeżdżają prawie wyłącznie magnaci, i to nie tyle dla nauki, ile raczej dla przetarcia się po świecie, ogół zaś szlachty, nieczuły na to, co się na

szerokim świecie działa, najczęściej poprzestawał na tem, co dom dawał, a dom dawał tak mało! Nieuniknionem zaś następstwem tego zadomowienia było zerwanie związku pomiędzy umysłowością zachodnio-europejską a polską, które było dla Polski straszliwszą jeszcze klęską, niż wojny kozackie: Europa zachodnia z Anglią i Francją na czele szła naprzód, Polska stała w miejscu, a w drugiej połowie XVII w. i w pierwszej XVIII cofała się nawet; po stu latach dopiero zaczęła Europę gonić, ale już nie dogoniła, podobna do owego lekkomyślnego zająca z bajki, co to spał sobie spokojnie, a kiedy się ocknął, to nie dogonił nawet... żółwia.

§ 51. „Taki wieszcz, jaki słuchacz“, mówi Mickiewicz; taka literatura, jaka oświata. Społeczeństwo było ciemne i traciło upodobanie w książkach mądrych i poważnych, to też ukazywało się ich coraz mniej. I teraz nie brakło wprowadzić ludzi, którzy, zdając sobie sprawę, na co się zanosi, cięli szlachcie gorzką prawdę w oczy (np. Starowolski, Opaliński); ale w drugiej połowie XVII w. takich ludzi było już mało, a nadto, ludzie ci, widząc, że ogół zatyka sobie uszy na słowa prawdy i wogóle nie lubi rzeczy poważnych, nie ogłaszali swoich pism drukiem; takim np. był Wacław Potocki. Otóż jestto niezmiernie ciekawy (a zarazem smutny) objaw umysłowości polskiej XVII wieku, że najpiękniejsze utwory literatury często spoczywały w rękopismach, w druku zaś ukazują się dopiero w XIX i w XX wieku, dzięki gorliwości uczonych badaczy. Tak np. Zbigniew Morsztyn, arianin, napisał po wypędzeniu arian z Polski rzewną „Pieśń w ucisku“:

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!

Ustysz krzyk sierot Twoich, ustysz płacz rzewliwy!

Ciężka krzywda, o Boże! Ty na Twojej ziemi

Wszystkich cierpisz; Tve słońce promieńmi jasnymi

Złych i dobrych oświeca. Twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospołu, a tu ludzkie plemie,
Samo na się zajadłe ciężko, następuje
Na swych bliźnich i z Twojej ziemi ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wielowładny Panie,
Nad sercem i sumieniem ludzkim panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W Twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają...

Jedna to z najdrogocenniejszych perełek liryki staropolskiej, ale drukiem ogłoszono ją dopiero za naszych czasów,—w w. XVII szlachta oburzałaby się z pewnością na „heretyka“, który śmiał się za „heretykami“ ujmować. I takich przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo; a tak szlachetne uczucia i mądre myśli musiały się ukrywać i tym sposobem nie mogły oddziaływać na opinię publiczną.

Coraz częściej zato ukazywały się stare powieści średniowieczne, o Aleksandrze Wielkim, o siedmiu mędracach (§ 21), o pięknej Meluzynie i t. p., oraz powieści nowe, fantastyczne, po większej części przerabiane lub tłumaczone z literatury obcej, wierszem i prozą, plotące troje niewidy, pełne dziwacznych pomysłów i banialuk, np. o królowie Banialuce albo o „Strasznym bohaterze“, który bywał na bankietach u „Neptuna, boga morskiego“ i u „Marsa, boga wojennego“, śniadanie jadał u „pana Słońca“, z którym był „w bardzo dobrej przyjaźni i konfidencyej wielkiej“, a raz nawet na chrzcinach Jowiszowych kumem Saturna został“.

Ukazywało się również co niemiara panegiryków, t. j. wierszydeł i mów pochwalnych, polskich i łacińskich, wygłaszanych przez księży i nieksięży na chrzcinach i pogrzebach, na zaręczynach i weselach, przy uroczystych

wjazdach króla i dostojników do miast, słowem, przy każdej sposobności; wnoszono pod niebiosa nieboszczyków, choćby ci żadnej zasługi nie położyli, wielbiono ich cnoty, choćby nawet byli wierutnywi łotrami; palono kadzidła na cześć żywych, i odurzali się niemi szlachta i magnaci, coraz to więcej z siebie zadowoleni, tem więcej spragnieni pochwał i pochlebstwa, im mniej na nie zasługiwali. Ten wstrętny i ogłupiający zwyczaj wtargnął nawet do wymowy sejmowej: pochlebiano sobie nawzajem, zamiast radzić o ratowaniu ojczyzny. Wprawdzie panegiryki istniały już w w. XVI, ale było ich stosunkowo mało: w XVII tymczasem zachwyciły literaturę tak dalece, że mniej więcej siódma jej część na nie odpada.

Lecz lwią część literatury XVII w. stanowią pisma religijne i ascetyczne, żywoty świętych, modlitewniki, pobożne ćwiczenia i rozmyślenia, wiersze na cześć Matki Boskiej i świętych oraz całe stosy kazania, które często bywały albo tak mądre, że słuchacze ich nie rozumieli, albo tak niemądre, że, zamiast budować słuchaczy, bawiły ich tylko lub gorszyły. Jako przykład, może służyć kazanie dominikanina Jacka Mijakowskiego p. t. „kokosz za kolędę dana“ (1638). Ulatywał z kaznodziejstwa XVII w, mądry i szlachetny duch obywatelski, który ożywiał kazania Skargi: kaznodzieje oburzają się wprawdzie podawnemu na zepsucie obyczajów, na pijaństwo i zbytki, na ucisk ludu wiejskiego, ale jednocześnie schlebiają często szlachcie i uczą ją, że ze wszystkich narodów Pan Bóg najbardziej umiłował sobie Polskę, że Najświętsza Panna opiekuje się szczególnie Polską, jako jej królowa, której się można najlepiej przypodobać, bijąc Turków i „heretyków“, bo i oni „Przenajświętszej Paniencie dyzgusta czynią“. A naród wierzył tym bredniom, wierzył, że jest narodem wybranym, że rząd polski jest najlepszym na całym świecie. I jak nie mógł wierzyć, kiedy w tem przekonaniu utwier-

dzali go i pisarze świeccy, taki Fredro np., który dowodził, że Polska póty będzie potężna, póki istnieje „liberum veto”! Otóż obniżanie się poziomu myśli, zanikanie mądrości i ducha obywatelskiego to pierwsza główna cecha literatury naszej XVII stulecia, cecha treści.

A drugą, cechą formy, jest zanikanie piękna (t. j. zepsucie smaku estetycznego), co się tłumaczy również upadkiem rzetelnej oświaty, mianowicie humanizmu, który w w. XVI był głównym źródłem piękna naszej literatury (§ 23). Wprawdzie w szkołach czytuje się podawnemu autorów rzymskich, językiem wykładowym jest podawnemu łacina, więc jej znajomość jest wśród szlachty równie powszechna, a nawet powszechniejsza, niż dawniej; cóż z tego, kiedy w miarę zanikania ochoty do nauki, mija i ten zapal do starożytności, jakim się odznacжали nasi humaniści XVI w. i znajomość literatury rzymskiej staje się corazto powierzchowniejszą, a greckiej nie zna już prawie nikt. Na początku XVII w. byli jeszcze prawdziwi humaniści, którzy znali wybornie literaturę starożytną i wyrabiali sobie na niej poczucie piękna (takim był nadewszystko Szymonowicz), ale później już ich niema. Na zepsucie smaku estetycznego wpłynął nadto przykład literatury włoskiej, którą zaczęła się psuć już w drugiej połowie XVI stulecia, a którą znali i naśladowali pisarze z możnych rodów, często bawiący zagranicą (np. Andrzej Morsztyn), poczęści zaś i pisarze ze szlachty, przebywający na dworach możnowładców.

Upadek smaku estetycznego uwydatnił się, pomiędzy innymi, w tem, że corazto więcej zanikało poczucie różnicy pomiędzy prozą a poezją: są np. pisarze, którzy, nie rozumiejąc, że nie każdy przedmiot nadaje się do poezyi, piszą rozprawy polityczne albo dzieła historyczne wierszem, w tem miłym złudzeniu, że to poezya. Lecz najważniejszym objawem zanikania <http://rain.org.pl> piękna formy jest zepsucie sly-

lu. Jedni bowiem pisarze, mało wykształceni, ztratili poczucie różnicy między mową potoczną a stylem literackim, a ponieważ mowa potoczna przeciętnego szlachcica nie grzeszyła (i nie grzeszy) elegancyą, więc i w piśmie nie stronili bynajmniej od wyrażeń nadto pospolitych, często rubasznych, jeszcze rubaszniejszych od wyrażeń Reja. Inni zaś pisarze, bardziej wykształceni, wpadli w drugą ostateczność: unikali, jak ognia, wyrażeń zwyczajnych, naturalnych, a uganiali się za sztucznymi, omawiającemi każdą rzecz, innemi słowy, pisali stylem nadto kwiecistym i przez to nienaturalnym, czasami wręcz śmiesznym; jest to tak zwany styl barokowy, cechujący osobliwie wymowę i poezję XVII w. Zamiast np. człowiek cnotliwy, pisano: ekonom męki Jezusowej albo: niebieskiej sławy faktor; zam. oczy — okna ciała, przez które dusza łzami się pokazuje; zam. Lwów—Leonowe mury. Ulubionym środkiem do upiększenia stylu była zwłaszcza mitologia starożytna; było środek, odziedziczony wprawdzie po stuleciu XVI, ale w XVII przebierano w jego używaniu wszelką miarę; nie pisano np. wojny polskie, tylko Sarmackiego Marsa krwawe dzieje albo tumulty Marsowe; zamiast pokój zakrólował, pisano: Otchnął Mars popędliwy i wściekłe Gorgony pod się padalcorode wtuliły ogony, i t. d. Same już tytuły książek, zwłaszcza panegiryków, kazań i zbiorów poezyi, rażą swą nienaturalnością, np. „Trąby żałości“ (t. j. mowa pogrzebowa); „Pallas ochotna na akt małżeński“ (t. j. mowa weselna); „Prowiant duchowy na drogi kalwaryjskie“; „Purpura zbawienna, kaznodziejskim stylem ufryzowana“; „Dyalog albo komedia męki Jezusowej w siedmiu scenach“ (t. j. w siedmiu kazaniach); „Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale, co krok, to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku“ (t. j. wiersze różne); i t. p.

A jak styl, tak i język uległ zepsuciu: już w w. XVI zaczął się zwyczaj przeplatania mowy polskiej wyrazami

i całemi zdaniem i łacińskimi (§ 22); w XVII w. tak zwane makaronizmy utrwaliły się i zagęściły niepomiernie zarówno w mowie potocznej, jak i w niektórych gałęziach prozy (w panegirykach i wogóle w wymowie świeckiej, w broszurach politycznych, w listach, w pamiętnikach); poezya i wymowa kościelna są po większej części od nich wdne. Oprócz makaronizmów, szpecono mowę ojczystą innymi jeszcze wyrazami cudzoziemskimi, zwłaszcza włoskimi. Wogóle język literacki XVII w. pod względem czyistości, piękności i szlachetności równać się nawet nie może z językiem Bazylika (§ 30), Górnickiego, Skargi i Kochanowskiego. Przewyższa go zato dosadnością zwrotów oraz bogactwem słownika: jest mniej literacki, bo często rubaszny, ale zato daje nam doskonale pojęcie o żywej mowie ówczesnej; takim jest zwłaszcza język Paska.

A jak język literatury XVII w. jest zwierciadłem żywej mowy, tak sama literatura jest w tem stuleciu wierniejszym, dokładniejszym zwierciadłem życia społecznego, aniżeli była niem w wieku XVI, kiedyto pisarze kreślili wprawdzie obrazki, wprost z życia wzięte (zwłaszcza Rej), ale daleko częściej, przejęci szlachetnym duchem obywatelskim, uczyli, jakim życie być powinno, t. j. występowali, jako nauczyciele swego społeczeństwa. Wprawdzie i wśród pisarzy w. XVII nie braknie nauczycieli (np. Starowolski), ale o wiele więcej, niż dawniej, jest pisarzy takich, którzy opisują życie narodowe, nie jakim ono być powinno, ale jakim rzeczywiście było: stąd satyra, poezya obyczajowa i wogóle epiczna jest bez porównania bogatsza; w wieku XVI nawet Kochanowski, chociaż tak gorąco pragnął wyśpiewać życie narodu (§ 38), nie zdobył się jednak na większy poemat epiczny: teraz zaś ukazuje się mnóstwo drobnych wierszy i ogromnych poematów o wypadkach dziejowych, zwłaszcza o wojnach z Turkami, Kozakami,

Szwedami i Moskwą: ta epika, której ozdobą jest „Wojna Chocimska“ Potockiego, stanowi chwałę poezji XVII w. Ponieważ ogół społeczeństwa myśli daleko więcej o sobie, niż o ojczyźnie, więc i literatura, tracąc charakter obywatelski, nabiera corazto więcej charakteru osobistego: o sobie, o swych własnych uczuciach i przygodach, pisze się teraz daleko więcej, niż dawniej; stąd, z jednej strony, bardzo bujnie rozwija się liryka, zwłaszcza miłosna i eli-gijna, a z drugiej powstaje całe mnóstwo pamiętników, na których czele stoją znakomite pamiętniki Paska. Tak więc literatura XVII w., mądrością i pięknem od literatury wieku złotego jest bez porównania niższa, jest jednak od niej różnorodniejsza, a nadto posiada niemałe znaczenie oby-czajowe: jak w zwierciadle, odbiło się w niej życie owo-czesnej Polski (prawie wyłącznie szlacheckiej), nie tylko pu-bliczne, ale i domowe, ze wszystkimi swymi wadami i za-letami: nadewszystko odzwierciedlił się w niej duch pobo-żności i religijności, skażony, na nieszczęście, bigoteryą, fanatyzmem i nietolerancyą, oraz wspaniały duch rycerski, który, mimo wszystko, wstępował w naród tylekroć, ile-kroć ojczyzna była w niebezpieczeństwie: są wprawdzie w historii naszej XVII wieku Piławce i Kamieniec, ale są także dwa Chocimy, Częstochowa i Wiedeń.

Kazanie p. t. Kokosz za kolędę dana (w skróceniu). Ubogi kmiotek, kiedy przed panem swym stawa, aby mu powinny i poddany pokłon oddał lubo sobie załogę¹⁾ i ra-tunek wyjednał, parę kur pod pachą, a w garści miskę glinianą jajek przynosi: wie dobrze, choć prostak, że „mu-nera placant hominesque deosque“²⁾, że, mówię, lada upo-mineczek czasem więcej u pana sprawi, niż okazała i słu-szna petycja³⁾, poważnemi racyami podparta; dlatego też

¹⁾ załoga—zapomoga, ²⁾ podarki jedną ludzi i bogów. ³⁾ prośba

pocztę¹⁾, lubo tak drobną, ale nie drobnym afektem²⁾ panu swemu ofiaruje... Stawam i ja dnia dzisiejszego przed tobą naprzód, Mci X. Archipresbiter³⁾, pasterzu kościoła tego, ze wszystkim kapłaństwem twojem. Stawam i przed tobą, M. P. Burmistrzu, ze wszystkimi kolegami twoimi. Stawam przed każdym z was osobna, PP. Krakowianie i Krakowianki i wszyscy inszy zacni audytorowie. Jakoż? Jako ubogi wasz kmiotek i rolnik... abym wam wszystkim zwyczajną a doroczną przy pokłonie oddał daninę, biernią⁴⁾ i kolędę... wzięwszy kokosz pod pachę, wszystkim wam ofiarować ją będę po kolędzie. Nażyczyła mi jej Ewangelia dzisiejsza, w której się sam Chrystus Pan przyrównywa do kokoszy, a synagogę żydowską do kurczątki. „Quoties volui congregare filios tuos, quemadmodum gallina congregat pullos, suos sub alas, et noluiti⁵⁾”. Ptak domowy wprawdzie, ale dziwnie pożyteczny i w gospodarstwie potrzebny; zacem rozumiem, że nią żaden nie wzgardzi, bo przy niej wiele zdrowych, a potrzebnych nauczyć się może obyczajów. Pana Boga zatem prośmy, aby nas przez tę godzinieczkę za kurczątkę pod skrzydła łaski swojej niebieskiej przyjął, bo inaczej ona drapieżna kania z krajów piekielnych i mnie do mówienia i wam do słuchania przeszkadzać będzie...

Naprzód tedy J. M. X. Archipresbiterowi... i wszystkiemu duchowieństwu... daję za kolędę „gallinam ruspantem — kokoszkę, co rada grzebie. A to czemu? Abyście się od niej, kapłani moi, nauczyli „contemptum temporarium“ — gardzić marnością świata tego. Widzieliście, kiedy kokoszka grzebie? Rzecz podziwienia godna: grzebiąc, nie ku sobie, ale wszystko za się odpycha, zarówno bar-

1) pocztą = poczesne, podarek; 2) afekt = uczucie; 3) arcykapłan;
4) biernia = dań, podatek; 5) ilokroć chciałem zgromadzić syny twoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciałaś (słowa z Ewangelii, św. Mateusza).

łóg z pośladem, czyste ziarno z pszenicą za się odmiatywa i, jakoby w niczem smaku nie miała, jakoby się jej nic nie podobało, ku sobie nigdy, a od siebie zawsze odrzuca. Podobno to kapłanom na przykład takiego obyczaju niemych kokoszek natura nauczyła, abowiem między wielą cnót, które kapłana zdobią, i ta niepoślednia... kiedy od siebie odrzuca rozkoszy, stroje, bogactwa, dostatki i in-sze wszystkie „vanitates mundi“...¹⁾ Panowie szlachta! A wy jaką kokoszkę radzibyście mieli po kolędzie?... Daję wam... kokoszkę na grzędzie. Rzeczę kto: „Dać to było białym-głowom, ojczy, bo to pospolita, że, kiedy się pan rozfu-ryuje albo też rozum w kuflu utopi, to pani smyk z ku-rami na grzędę“. O, bywać to! ale jednak co inszegom ja białymgłowom nagotował: wy bierzcie, co dają! Ko-koszka, siedząca na grzędzie, ma wielką cnotę a prawie²⁾ szlachcie przyzwoitą. Na najwyższym miejscu w domu siada ta kokoszka, bo aż pod dachem, pod strzechą kędyś wysoko; a przecie, choć górno siada, nikogo sobie lekce nie waży, nikogo nie kontemnuje³⁾, nie znieważy ani go-spodarza, ani gospodyniej, ani czeladki, ani kucharek, i owszem, zlazłszy z grzędy, każdemu z drogi ustąpi;... co większa, w nocy kiedy na grzędzie siedzi, nikogo nie inko-moduje⁴⁾ ani się ozwie całą noc. Kuraszek przecie ma swój obyczaj: spać nie da, pieje raz, drugi i trzeci, gra hejnał⁵⁾ słońcu na dzień dobry... budzi do roboty parobki, kucharki, ba, i gospodynią: ale kokoszka spokojna, całą noc się nie ozwie, — cnoty, właśnie szlachcie potrzebne. Krew szlachecka w Koronie polskiej najwyższe trzyma miejsce: przyznawam; najwyżej godna siedzieć: prawda; przodkuje zacnością, urodzeniem i zasługą przodków swo-ich: prawda; godna stołków senatorskich, inful biskupich,

¹⁾ marności świata; ²⁾ zupełnie, prawdziwie; ³⁾ kontemnować = pogardzać; ⁴⁾ inkomodować = niepokoić; ⁵⁾ pieszni poranna.

buław hetmańskich, lasek marszałkowskich i inszych honorów koronnych: prawda! Ale, panowie moi, trzeba przy tej grzędzie cnoty kokoszej: bo, kiedy cię natura i urodzenie wysoko posadziło, a ty jeszcze nadto chcesz nos wyżej nosić, niż gębę, każdego sobie lekceważysz, kontemnujesz, bałtą¹⁾ grozisz, znieważasz wszystkich, ni²⁾ twój kogut, w nocy inkomodujesz; kiedy się to przed tobą żaden wysiedzieć nie może, ani kupiec w sklepie, ani mieszczanin w kamienicy, ani ubogi chłopiec w chałupie: ach! niepomatu to szpeci twoją przystojność szlachecką!... Niech nie będzie krzywda panom studentom: i wam, panowie młodzi, daruję po kołędzie kokoszce. Wiecie jaką? „Gallinam singultantem“—kokoszke z pypciem. Kiedy kokoszce pypeć uroście, o, jako jej z tem źle, jako jej z tem plugawo! wszystko parska, pryska, jeść nie może, chudnie tak długo, aż jej pypeć zedra. Boże mój! jeśli kto sposobniejszy do pypcia, jako młodzieniaszek! A jeszcze im dwojakie więc rady pypcie rosną: jedne szkolne, drugie piekielne. Kiedy się owo młodzieniaszek imię wszetecznych słoweczek, jużże źle około niego: pypeć na języku piekielny;... kiedy owo młodzieniaszek piosneczki lada jakie rad śpiewa, jużże na języku pypeć; kiedy też klnie, czarty wspomina, złorzeczy, a to nie kokoszy, ale dyabelski pypeć!... Krom piekielnych, cierpią więc też i szkolne pypcie młodzieniaszkowie. Wiecie które? „Solecismus, barbarismus, polonismus“: ³⁾ złe to pypcie w szkole, plugawa przywara! A, Matko Boża, toć to z takim pypciem sprośnie w mowie!... Miał też Mojżesz jakiś pypcik, defekcik jakiś na języku;... a jakoż uleczono ten język schorzały? „Virga, virga“ ⁴⁾ — to grunt!... Panięta moje, dobreż to i zdrowe ziółko na szkolne pypcie ta „virga“: jeśli Mojżesza w dojrzałym wieku uleczyła, a cóż was w młodości! Trochę-ć bywa ta

¹⁾ bałta=topór; ²⁾ niczem, jak; ³⁾ solecyzm, barbaryzm, polonizm (w rozmowach i wypracowaniach łacińskich); ⁴⁾ różga.

recepta przykra, ale jednak pożyteczna: jak motylka z pierza i z prochu poleruje szatę, tak ta święta „virga“, upewniam w tem, że-ć wypoleruje rozum i dowcip!... Bawić się nie będę z wami, panienki, bo mi tego zakazuje zakon i reguła, ale wam dam za kolędę kokoszkę dla zabawy. Wiecież jaką? Owę, co w kojcu siada:... najlepsza z panienką do kojca, niechaj siedzi w domu!... Ach! Boże, cóż rozumieć o owych panienkach, co w domu, jak na szydłach, co je pięty świerzbią, kiedy nie obieżą ulic, kościołów i rynku, co na matkę lamentują, że ich i tam i sam nie wiedzie, co owo ustawnie szyje wyciągają z okna, jak zięba z klatki... W kojcu, panienki moje, w kojcu wam najlepiej!...

Kończę kazanie moje przystawiem włoskiem: „La vivanda vera è l'affetto e la ciera“¹⁾ — nie to, mówi Włoch, co mi na nim kilka półmisków dadzą, ale to bankiet, kiedy mi bynajmniej darzą z dobrym afektem i twarzą: bo cóż mi to za smak, że mi kto postawi bażanta na półmisku, kiedy widzę kozła na czele! Co za k rzeczy, kiedy mi, jeść dawszy, dmucha, choć już ostygło, marszczy się, choć nie kwaśno! Przy prawdziwym bankiecie nie ma człowiek upatrować, co dają, ale z jaką twarzą i ochotą i sercem. Toż i ja „pro ultimo“²⁾ mówię: małą rzecz darował — jedną kokoszkę, ale dobrym afektem, uprzejmem sercem; przyjmicież za wdzięczne, a za mię, jako i ja za was, Pana Boga proście! Amen

§ 52. Najznakomitszym poetą wieku XVII jest uszlachcony mieszczanin lwowski, autor najpiękniejszych w literaturze polskiej sielanek, **Szymon Szymonowicz** (1558—1629). Nietylko młodość, ale i większa część jego życia przypada jeszcze na wiek XVI, kiedyto literatura i oświata w innych,

¹⁾ prawdziwa ucztą to uprzejmość i mina (wesola); ²⁾ za zakończenie.

pomyślniejszych rozwijała się warunkach. Więc garnął się Szymonowicz do nauki, nie poprzestał na ukończeniu akademii krakowskiej, lecz przez czas dłuższy przebywał zagranicą, oddając się głównie swoim ulubionym studjom nad językiem greckim i łacińskim oraz literaturą starożytną: było znakomity humanista, ostatni już wielki humanista polski. A prócz nabytej wiedzy, posiadał przyrodzony talent poetycki i niepospolity zmysł piękna: podobnie jak Kochanowski, jestto poeta z bożej łaski. I dla niego poezya była nie rzemiosłem, ale zabawą, ale potrzebą serca i źródłem największego szczęścia na tej ziemi: „Muzy, nadobne Muzy!... Naszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi!“ A jak Kochanowski „sobie śpiewał a Muzom“, tak i on, jak mówi, „nie chciał się popisować u gminu podłego“, tem więcej, że wiedział, iż gmin prawdziwej poezyi zrozumieć ani odczuć nie potrafi, zwłaszcza w czasach, kiedy upada rzetelna oświata i psuje się smak estetyczny; bo Szymonowicz zdawał sobie jasno sprawę z tego, że się obniża w Polsce poziom poezyi i skarżył się na to żalostnie: „Jakie dzieje, takie pienie;... wszystko się pomyka na dół! Zginęli dawni dobrzy kantorowie¹⁾, a miasto nich, lada kto muzykiem się zowie; i pieśni marne jakieś, nastrępię słówki²⁾, bez rzeczy³⁾). On tymczasem wymagał od poezyi nietylko piękna, ale i poważnej treści, pragnął, aby poezya była „uczona“, t. j. zarówno kunsztowna, oparta na znajomości zasad sztuki, jak ucząca i umoralniająca ludzi. Taką też jest jego własna poezya: piękność łączy się w niej z poważną myślą i czystością uczuć; on nie podzielał poglądu Kochanowskiego, że „ma być stateczny sam poeta, — rym czasem ujdzie i wszeteczny“; jego zdaniem, nietylko sam poeta powinien być czystym,

¹⁾ kantor=śpiewak, ²⁾ słówkami, ³⁾ bez poważnej treści.

ale czystą, moralną powinna być i jego poezya: we wszystkich swych utworach jest Szymonowicz humanistą a zarazem jest poważnym myślicielem, przejętym głęboko ideą moralności chrześcijańskiej.

Rozkochany w literaturze starożytnej, na niej się, jak Kochanowski, wzorował. Zaczął od poezyi łacińskich: pisał poematy, tragedye, ale nadewszystko uprawiał poezye okolicznościową, mianowicie ody, które zachwycały humanistów europejskich i zjednały mu wśród nich imię Pindara polskiego, a jednocześnie roznosiły po świecie sławę imienia polskiego: bo nie o sobie śpiewał Szymonowicz, ale o wielkich wojownikach polskich i ich świetnych czynach, np. o tryumfach wojennych przyjaciela swego, hetmana Zamojskiego, któremu wychowywał syna (Tomasza) i dopomagał do wyszukania profesorów dla akademii zamojskiej.

Lecz nie poezye łacińskie zapewniają Szymonowiczowi nieśmiertelne stanowisko w literaturze polskiej, tylko polskie „Sielanki“ (1614). Dwaj byli znakomici sielankopisarze w starożytności: grecki — Teokrytes i rzymski — Wirgiliusz; pierwszy kreślił drobne obrazki z życia pasterzy, rybaków, rolników, mieszczan, a są to obrazki po większej części realistyczne, t. j. odtwarzające życie prostych ludzi, jakim ono było w rzeczywistości; sielanki Wirgiliusza tymczasem są po większej części konwencyonalne: występują w nich ludzie nibyto prości (pasterze), ale ci prości ludzie myślą, czują i mówią tak, jak gdyby byli ludźmi wykształconymi i dobrze wychowanymi; bo też pod postacią tych pasterzy kryją się dworzanie cesarza Augusta, a wśród nich sam Wirgiliusz. Szymonowicz znał doskonale obydwu sielankopisarzów starożytnych; pierwszeństwo oddawał Teokrytesowi, lecz tłumaczył, przerabiał albo naśladował obydwu: więc jedne z jego sielanek są konwencyonalne, inne — realistyczne.

W pierwszych występują pasterze, którzy, pasąc owce, kozy i krowy, rozmawiają o swych przygodach, kłopotach, myślach i uczuciach (zwłaszcza o miłości ku pasterkom), a dla rozrywki śpiewają sobie piosenki. Ci pasterze — to Rusini z nad brzegów Puru (w okolicach Zamościa, w których, Szymonowicz dzierżawił wioski od Zamojskiego), ale noszą imiona starożytne (Dafnis, Menalkas, Licydas i t. d.); są to pozornie ludzie prości, w istocie wykształceni, skoro rozmawiają np. o Orfeuszu albo o upadku prawdziwej poezyi w Polsce. Pomimo jednak tej nienaturalności są to sielanki bardzo piękne: odznaczają się i żywym odczuciem piękności natury kraju polskiego i pięknym wierszem i prześlicznym, czarującym swą prostotą językiem; a niemalą ich ozdobę stanowią owe piosenki, które śpiewają pasterze; prawda, że większa ich część to tłumaczenie lub przeróbka pieśni sielankopisarzów starożytnych, ale są i piosenki oryginalne, np.

Skowroneczku! Już śniegi na polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistemi bieżą;
A tyś rad i ku niebu wzgóre polatujesz
I gałeczkiem krzykliwym wdzięcznie przepierujesz¹⁾;
Bo, skoro wiosna role rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatkami pięknymi odzieje,
Wynikną i robaczki z ziemi rozmaite,
A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.
Jaskółeczko! Już się na świat ukazała?
Już się ożyła? Już się z wody wyleciała?
Za tobą i słońeczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała po polach przestronych;
Będziesz łapała i do gniazdeczka nosiła,
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

¹⁾ przepierować — ćwierkać; śpiewać.

Lecz większą wartość posiadają te sielanki, w których Szymonowicz, idąc za przykładem Teokrytesa, odtwarzał szczegóły z rzeczywistego życia; a dwie z pośród nich, „Kołacze“ i „Żeńcy“, obydwie nawskroś oryginalne, to najpiękniejsze sielanki w całej poezji polskiej,

„Kołacze“ — to wdzięczny obrazek z życia dworku szlacheckiego, do którego przybywa panicz urodziwy, by pannę domową zaślubić. Są tu rysy czysto rodzinne, np. sroczka, która krzeczce na płocie, panna młoda, rozpuszczająca warkocze, kołacze na uczcie weselnej. Lecz główną wartość nadaje sielance piękność i prawda, z jaką wyraził poeta uczucia i tych panien, które witają panicza, i panny młodej, której przy ślubie „łza za łzą płynie po obliczu“, a która przy uczcie „nie wzniesie oka“, i pana młodego, który z taką odwagą polował na dziki, a który błędnie na widok stuły.

„Żeńcy“ — to smutny, ale prawdziwy obrazek z życia ludu. Wśród skwaru słonecznego żną zboże dziewczyny, a dwie z nich, wesola Pietrucha i smutna Oluchna, rozmawiają nie o Orfeuszu, ale o rzeczach, o jakich proste dziewczyny wiejskie naprawdę rozmawiać mogły, a więc o staroście (ekonomie) bez serca, o jego gospodyni-jędzy i t. p.; a i sposób rozmowy jest naturalny: nie cofa się nawet poeta przed wyrazami rubasznymi, aby tem dokładniej prawdę odtworzyć; uroku sielance dodaje przesłiczna pieśń o słoneczku, którą śpiewa Pietrucha, aby ulagodzić gniewnego starostę. Ten zaś starosta z batem w rękę, znęcający się nad biedną Maruszką, to także, niestety, postać, wzięta nie z fantazyi, tylko z życia. Otóż w „Żeńcach“ Szymonowicz staje w obronie ludu: sielanka ta jest nie tylko arcydziełem poezji (mianowicie arcydziełem realizmu artystycznego, t. j. pięknego odtwarzania rzeczywistości i prawdy życiowej), — ale i protestem szlachetnego i myślącego człowieka przeciwko niedoli ludu.

Bo jak poezye łacińskie, tak i polskie sielanki Szymonowicza są „uczone“: i tutaj uczy i umoralnia poeta czytelników i w tymto celu nie szczędzi im uwag, pełnych mądrości, np. „Kto Bogu dufa a pracuje, do ostatniej starości nędze nie uczuje“; „Praca — skarb napewniejszy“; „Na Boga, by na osła, — na niego wkładamy, co sami dobrowolnie sobie zadziałyśmy; Bóg za szyję nie ciągnie: że kto drogi zmyli, Bóg nie winien: tam każdy padnie, gdzie się chyli“. Wogóle Szymonowicz to, jak Kochanowski, nietylko znakomity poeta, ale i zacny, chrześcijański myśliciel.

KOŁACZE.

P a n n y. Sroczka krzekce na płocie, — będą
goście nowi:

Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powie.

Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.

Sroczko! umiesz ty mówić? Powiedz, gdzieś latała?
Z którejeś strony goście jadące widziała?

Sroczka krzekce na płocie: pannie się raduje
Serduszeko, bo miłego przyjaciela czuje.

Jedzie z swoją drużyną panic urodziwy,
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy¹⁾,
Koł łysy, białonogi rząd na nim ze złota.

Panno! gotuj się witać: już wjeżdża we wrota,
Już z koni posiadali, wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesolej zorze!

Witamy cię, panicze, dawno pożądanym!
Czeka cię upominek, tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego;
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego:

¹⁾ wytrzymały w biegu. <http://rcin.org.pl>

A ty się gdzieś zabawiasz! Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię; winienesz nie mało
Sam sobie, a pogodzić trudno i godziny! ¹⁾
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto inny?
Bardzoś się ubezpieczył! Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa; nie trzeba spać i w pewnej rzeczy:
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć; niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce, przedsię ona nie traci nadzieje.
Kędyś się nam zabawiał? mój panicze drogi!
Serce przez ²⁾ ciebie mdlało, i te piękne proggi
Pustkami się widziały. Czyliś na jelenie
Z myślistwem jeździł? wami, wami, leśne cienie!
Świadczy my, jakośmy wam częstokroć łajały,
Jako często zabawy często przeklinały.
Lubo sroga Dyana w surowej karności
Drużynę swoją chowa, ale przy gładkości
Trudna przestroga! Były insze obawiania,
Bo i harap ³⁾ ma swoje przykre dojeżdżania,
I od płochego zwierza urośnie nowina.
Jeszcze po dziś dzień płacze swego Adonina ⁴⁾
Wenus żałosna: „Ach, ach! młodzieńcze ubogi!
„Jako cię dzikiej świnię ząb uranił srogil“
I tyś, drugi młodzieńcze ⁵⁾, w uściech naszych bywał;
Nazbyteś, ach, nędzniku, w lesiech przemieszkiwał;
Daleko cię nieszczęsne łowy unosiły,

¹⁾ czasu minionego nawet o godzinę nie cofniesz; ²⁾ bez; ³⁾ polowanie konno; ⁴⁾ Adonin, Adonis—młodzieniec, którego dzik zabił na polowaniu ku rozpaczcy Wenerzy; ⁵⁾ drugi młodzieniec—Akteon, zapalony myśliwiec; Artemida zamieniła go na jelenia, i tak rozszarpały go własne psy.

Aż cię nakoniec łają¹⁾ właściwą²⁾ skarmiły³⁾.
Pełna jest trwogi miłość i w każdy kąt ucha
Przykłada, raz ją bojaźń, raz cieszy otucha.
Czyli cię krotofile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały,
Ani słoneczko jasne. Komuż to wesela
Przyjść może, gdzie miłego nie masz przyjaciela?
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli,
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy,
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła,
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.
Młodość przestrono patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet każdego oddziela⁴⁾
Własną częstką; kto na niej przestawa spokojnie,
Wszystkiego ma dostatek, wszystkiego ma hojnie
I ty myśli uspokój, mój paniczu drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł koń twój białonogi.
Pryśkał⁵⁾ we wrota wchodząc: znać, żeśmy-ć tu radzi
Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.

Już i matka i panna witać cię wychodzi;
Poprzedź ich ręką: tobie poprzedzić się godził
I czołem nisko uderz; jest dłaczego czołem
Uderzyć; a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz, co pragniesz! Wszystko z czasem płynie,—
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie!

I ty, matko, nie zwłaczaj, czyń, coś umyśliła:
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmyśłów siła.

Panno! czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty, takiej sprawie przyzwoite.

¹⁾ łaja, złaja=gromada psów; ²⁾ właściwy=własny; ³⁾ skarmić=pożreć; ⁴⁾ oddzielać (od siebie)—obdzielać (kogo); ⁵⁾ pryskać=parskać.

Stróście pannę do ślubu, sąsiady życzliwe!
Ślub święty jest, i wasze prace świętobliwe;
Wszak też wam tę przysługę przedtem oddawano,
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.

Kapłanie! gotuj stułę!... Zbladłeś nam, paniczel

Bał i pannie łza za łzą płynie przez oblicze.
Przełękłeś się, panicze: — bojaźń ta od Boga:
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
Nie płacz, panno! bo rzeką, że płaczesz z radości,
Pomyśli ktoś i gorzej, bo siła zazdrości.
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki!
Aboś chciała na łonie jej mieszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
I tyś się nie dlatego tak tu wychowała.

Jużeście w stadle świętem! Wszyscy wam dajemy
Na szczęście i miłego życia winszujemy:
Bodajeście długi wiek z sobą pomieszkali,
Bodajeście wszelakich pociech doczekali!

Potrawy postawiono: do stołu siadajcie,
W pośrodku miejsce pannie z panem młodym dajcie!
Im-ci z sobą być; tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadu pospołu sadzone.
Panna nie wzniesie oka: serduszko w niej taje,
A pan młody długiemu obiadowi łąje.
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojno nalewają;
Kołacze grunt wszystkiemu, a może rzec śmieie,
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono: już kołacze dają.
A przed kołaczami panie nadobne śpiewają
I taniec prędkie wiodą i kleszczą rękami:
Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami!...

ŻEŃCY

(w skróceniu).

Oluchna. Już południe przychodzi, a my jeszcze
[źniemy!

Czy tego chce urzędnik, że tu pomdlejemy?

Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi!

On nad nami z maczugą, pokrząkając, chodzi,

A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie

Ciągnąć się; oraczowi insza¹⁾, insza wronie:

Chociaj i oracz chodzi za pługiem i wrona,

Inszy sierp w ręce, insza maczuga toczona.

Pietrucha. Nie gadaj głosem, aby nie usłyszał tego!

Albo nie widzisz bicza za pasem u niego?

Prędko nas nim namaca! Zły frymark²⁾—za słowa.

Bicz na grzbiecie, a jam nań nie bardzo gotowa.

Lepiej złego nie drażnić: ja go albo chwale,

Albo mu pochlebuję—i tak grzbiet mam w cale.

I teraz mu zaśpiewam, acz mi niewesoło:

Niesmaczno idą pieśni, gdy się poci czoło!

 Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!

 Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!

 Ty wstajesz, kiedy twój czas: jemu zda się mało,

 Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało;

 Ty bieżysz od południa zawsze twoim torem:

 A onby chciał ożenić południe z wieczorem...

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!

Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie:

A on wszystko porobić chce w jednej godzinie.

Ty czasem pieczesz, czasem wionąc wietrzykowi

¹⁾ insza rzecz; ²⁾ Dandel i żantieny, zamiana.

Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi:

A on zawsze: „Pożynaj! nie powstawaj!“ woła,
Nie pomnąc, że przy sierpnie trój pot łądzie z czoła...

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!

Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,

Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią:

A naszemu staroście nie patrz w oczy śmieie,—

Zawsze u niego chmura i kozieł na czele;

Ty rosę hojną dajesz po ranu, wstawając,

I drugą także dajesz wieczór, zapadając:

U nas post do wieczora zawsze od zarania,—

Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania!

Starosto! Nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!

Ni panienka, ni wdowa nie pójdzie za ciebie:

Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławimy,

Babę, boś tego godzien, babę-ć naraimy,

Babę o czterech zębach! Miło będzie na cię

Patrzyć, gdy przy niej siedzisz, jako w majestacie,

A ona cię nadobnie będzie całowała,

Jakoby cię też żaba chropawa lizała!

O l u c h n a. Szczęście twoje, że odszedł starosta

[na stronę:

Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone

Albo na grzbiet upstrzony za to winszowanie!

Słyszysz! jakie Maruszcze daje tam śniadanie?

A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała

Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnała

Niebaczna gospodyni. Tak ci służba umie! ¹⁾

Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.

Patrz, jako ją katuje: za głowę się jęła

Nieboga; przez łeb ją ciał, krwią się oblinęła;

¹⁾ t. j. takto postępuje zła służba panów (gospodyni i starosta).

Podobno mu coś rzekła; każdemu też rada
Domowi. Takto bywa, gdy kto siła gadał
Dobrze mieć, jako mówią, język za zębami:
I my mu dajmy pokój, choć żartuje z nami!
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca:
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem ¹⁾ namaca.
Pietrucha. Dobrze radzisz. Mnie się on, widzę,

[nie przeciwi,

Ale lepszy z nim pokój. Co się często krzywi,
Złomić się może,—przyjdzie jedna zła godzina,
A częstokroć przyczyną bywa nieprzyczyna.
Dobry on bardzo człowiek, by go nie psowała
Domowa swacha: ta go właśnie osiodłała
I rządzi nim, jako chce, a on się jej daje
Za nos wodzić; podczas ²⁾ mu ledwie nie nałaje.
Na kogo ona chrap ma, może i od niego
Spodziewać się, że go co spotka niesmacznego.
Więc mu nie wierzy,—to już zawsze fasoł ³⁾ w domu,
I przemówić do niego nie wolno nikomu.

Oluchna. To prawda! Niedawnośmy len w dworze
[czosaty;

On stał nad nami; tam się z nim coś rozmawiały
Dwie komornice; ona kędyś podsłuchiwała
Za ścianą, jako jęcza, do nas przybieżała,
Ni z tego, ni z owego poczęła bić one
Komornice; sam zaś ustąpił na stronę;
Potem wszystkim lajała, drugie rozegnała,
Nam, cośmy pozostały, jeść przedsię nie dała.

Pietrucha. By też co było, coby ludźmi nazwać
[słusza ⁴⁾ —

Ale też siostra nasza—także w ciele duszał

1) korbacz=bicz; 2) czasem; 3) kłótnia, burda, zamieszanie; 4) że-
by to jeszcze ta gospodyni była jakąś ważną osobą.

A już jej brózdki dobrze lice przeorały
I przez włosy gęsto się przebija sron biały;
A przedsię wymuskać się, przedsię z pstrocinami
Czepczyk na głowie, przedsię fartuch z forbotami¹⁾.
Najśmieszniejsza, gdy owo chce się pieścić z mową;
Świni krzakać, a babie przystoi trząść głową!..

O l u c h n a. Co mi za gospodyni! Jako żywo krowy
Ręką swą nie doiła, gadać o tem słowy
Tylko umie, a stroić po domu fasoly,
Kucharkom łajać! Z pustej nie wyjdzie stodoły,
Jedno sowa! Ogórki wczora kwasić chciała:
Tak to robiła, że się wszystka czeladź śmiała!
A w karczmie albo w tańcu ptak jej nie doleci:
Gdy podolek²⁾ rozpuści, wymiecie i śmieci!..

P i e t r u c h a. Ale starosta do nas znowu przystępuje,
Kwaśno patrzy, z nahajką do nas się gotuje.
Zaśpiewam ja mu przedsię,—rad on pieśni słucha:
Patrzy na nas i stanął i nadkłada ucha.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty piękny dzień promieńmi swoimi oświecasz
I wzajem księżycowi noc ciemną polecasz;
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie:
Na niebie wszystkie rzeczy dobrze są zrządzone;
Księżyc u ciebie żoną: niech on też ma żonę!

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Gdy ty na niebo wchodzisz, gwiazdy ustępują,
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni:
Ale czeladka lepiej słucha gospodyni.

¹⁾ forbot=koronka; ²⁾ Ukraj, sukni.

Niechaj ma żonę: będzie się domu trzymała
Czeladka, nie będzie się często odmieniała;
I nam do dwora będą otworzone wrota, —
Wszystkich do siebie wabi przyjemna ochota.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc, z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz:
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnym okiem,
Niech nas z pola wczas puszcza, nie z ostatnim
mrokiem!

Starosta. Pietrucho! Prawieś mi się sianem
wykręciła!

Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jędła siadajcie,
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie!

§ 53. Oprócz Szymonowicza, poezya nasza pierwszej połowy XVII w. posiada jednego jeszcze prawdziwego artystę: jest nim jezuita **Maciej Sarbiewski** (1595—1640) z Mazowsza, najznakomitszy ze wszystkich poetów polsko-łacińskich, Horacy polski, autor kunsztownych ód łacińskich, które się cieszyły ogromnym rozgłosem w całej Europie zachodniej. Nie odrazu jednak stał się Sarbiewski artystą. W młodości, będąc jeszcze nauczycielem szkół jezuickich w Krożach i Wilnie, pisywał niesmaczne panegyryki na cześć dobrodziejów swego zakonu, jak np. panegyryk łaciński na cześć Jana Karola Chodkiewicza (1619), fundatora szkoły jezuickiej w Krożach. Opowiada poeta, że do Apollona przybiegła Gracya, pytając z wyrzutem, dlaczego nie pomyślał jeszcze o unieśmiertelnieniu sławy Chodkiewicza; zawstydzony Apollon pośpieszył do gryfa, „wodza ptaków pierzastych i zwierząt dzikich“ (Chodkiewicz miał gryfa w herbie), z prośbą, aby rozkazał podwładnym sobie ptakom znieść skarby na pomnik dla wielkiego

wojownika i dobrodzieja jezuitów; minął tydzień; Apollon, bawiąc w Krożach (!), patrzy i oczom nie wierzy: pod wodzą gryfa lecą ptaki, niosąc złotó, srebro, spiż, drogie kamienie, marmur; niebawem przybiega Kalliopa i przy pomocy Czi, Sławy i Odwagi buduje pomnik; słońce bieg swój wstrzymało, aby na wieczór robota mogła być skończona; już pod wieczór stanęły nie jeden, ale całe trzy pomniki. Takie to dziwaczne utwory pisywał za młodu Sarbiewski! Lecz, na szczęście, zaszedł zwrot w jego twórczości: jezuita wysłali go na dalszą naukę do Rzymu, i tutajto, pod wpływem gorliwych studyów nad poezją starożytną, talent jego nie tylko się rozwinął, ale i wyszlachetniał do niepoznania. Za mistrza obrał sobie Sarbiewski Horacego: na wzór jego ód pisał swoje ody (wydane po raz pierwszy w r. 1625), które okryły go wszechświatową sławą i dały mu imię Horacego chrześcijańskiego, ich duch bowiem jest nawskroś chrześcijański, chociaż się mitologii pogańskiej nie wyrzekł poeta, nazywając np. morze Neptunem, księżyc — Dyana, słońce — Febem i t. d. (Pięknie, ale niedokładnie przełożył ody Sarbiewskiego Syrokomla).

Ich treść jest różnorodna. Jedne są panegiryczne: wielbi np. Sarbiewski papieża Urbana VIII, wynosząc pod niebiosą jego cnoty, zasługi, wiersze i wróżąc mu szczęście wiekuiste w niebie. Inne są religijne — na cześć Matki Boskiej, Jezusa i świętych; z tych najpiękniejszą jest „Oda do Dziewicy Matki“:

Gdy bez Dzieciny oglądam Cię, Panno,
Dziwię się Twojej urodzie;
Zda mi się, widzę jutrzeńkę zaranną
W różowych falach na wschodzie,
Gdy zasię widzę Matkę i Pacholę,
To — księżyc w północnych cieniach,

Co złotolity blask na swoim czole
Bierze w słonecznych promieniach.
Gdy zaś Twe dziecię, o Matko i Pani,
Tulisz rękami do łona,
Jasnaś, jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd miliona.

Są i ody polityczne. Sarbiewski bolał głęboko nad niewolą narodów chrześcijańskich, jęczących pod jarzmem tureckim, więc wzywał panujących, aby raz przecie wypędzili Turka z Europy: „Słyszycie? jęczenie nad Istrem ¹⁾ zawrzało: to dziki Muzułman zatrąbił na rogu, aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło: to wyzew do walki i ludom i Bogu!“ Lecz księżętom i rycerzom europejskim nie pilno było do walki z Księżycem, i ta ich obojętność względem nieszczęśliwych braci-chrześcijan oburzyła Sarbiewskiego: bolesne, silne, pełne zgryźliwej ironii są jego skargi na zniewieściałość i gnuśność, na zanik ducha rycerskiego i męstwa w narodach europejskich: „Naprawdę, zimą siadłszy przy kominie, cieszyć się będziem uczonymi gwary, że Turczyn padnie, że marnie zaginie, że zniży k ziemi swe harde sztandary. Pójdziemyż walczyć? — ale z jakim mieczem? Broń nasza — cacko, jeno oczy pięści! Zaiste! Karku wrogom nie rozsieczem, gdy miecz złocony, złoto w rękojeści!... Ozdobny oręż znak to jest złowrogi: on nic nie zdziała, nic nie zabezpiecza; nawet, gdy chmurą następują wrogі, rycerz się cofnie, bo... mu szkoda miecza... Na co nam serca? I na co nam miecze? Więc je sprzedajmy: ustroim się pięknie i weźmiem złoto! Gmin „Cześć wam!“ wyrzeczе, bo gmin ma uszy, gdzie złoto zabrząknie!... Szczerze, serdecznie gmin się nam pokłoni, padnie na klęczki, kiedy złoto widzi; lecz zniknie złoto ze spodłonej dłoni,—a gmin nas popchnie, zelży i zawstydzi!“

¹⁾ Ister = Dunaj.

Zniewieściałej Europie przeciwstawia Sarbiewski rycerską Polskę, która piersią własną broni chrześcijaństwa przed dziczą turecką; bohaterska wojna chocimska z r. 1624 natchnęła go do napisania ody patryotycznej p. t. „O znamienitem zwycięstwie Polaków nad Osmanem, cesarzem tureckim: rolnik mołdawski, wyorawszy raz na polu chocimskim szyszaki i pancerze, przypomina sobie, że kiedyś własnymi oczami patrzył tutaj na bitwę straszliwą, i śpiewa o niej pieśń, wielbiąc nieustraszoną odwagę rycerstwa polskiego.

Wszystkie te i inne ody dowodzą, że ich autor był niepospolitym artystą; jest w nich sztuka i świetna wymowa; czego natomiast po większej części nie posiadają, to gorącego uczucia: zazwyczaj wieje z nich chłód. To też większą wartość posiadają te ody, w których poeta wypowiada nie uczucia swoje, ale myśli — o świecie, o człowieku, o jego życiu i obowiązkach, o cnocie — słowem, ody refleksyjne, przypominające pieśni refleksyjne Kochanowskiego (§ 40); ta jednak wielka zachodzi między dwoma poetami różnica, że, kiedy Kochanowski, człowiek świecki, nie żywił bynajmniej pogardy do tego świata, nie stronił od wesołego towarzystwa, nie tęsknił do lepszego życia, Sarbiewski, ksiądz i zakonnik, świat ziemski poczytuje za marność, uciech życiowych unika, szukając samotności, aby się móżdż bez przeszkody oddawać pobożnym rozmyślaniom, i tęskni do lepszego, wiekuistego życia: pod tym względem podobny jest do Szarzyńskiego (§ 44). Najpiękniej wypowiedział tę swoją tęsknotę w „Westchnieniu do ojczyzny niebieskiej“.

Ojczyzna niebios wzrok mój zachwyca,
Tło firmamentu bogate
I młodociany promień księżycy,
I gwiazdek światło iskrzate.

<http://rcin.org.pl>

Światło za światłem miga wesoło,
Kręgiem tanecznym się waży,
Lampa przy lampie stoi wesoło
U świętych niebios na straży
Przykute oczy moje do nieba
Błądzą, jak goście, w tem kole,
Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
Tułać się w ziemskim padole?
Otwórz się, grobie! otwórz się głuchy!
Legnę w tobie bez popłochu:
Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
Strząsnę proch mego prochu,
Zbędę się mego brzemienia w ciele,
Zbędę się bólu, zgnilizny
I ducha mego lotem wystrzele
Do niebios, do swej ojczyzny!

Oprócz tęsknoty do nieba poezję refleksyjną Sarbiewskiego cechuje żywe poczucie piękna natury, np. w „Odzie do Pawła Kozłowskiego“, w której wzywa poeta przyjaciela, aby porzucił „Palladowe prace“ (t. j. książki) i śpieszył za miasto, by się pięknymi widokami nasycić: „Już dawno ciepłym wiosny oddechem wionął na pola wietrzyk majowy, w krasę wiosenną stroją się łąki, łąki kwieciste, dąbrowy. Wilia, zasłana statkami z zbożem, przez bujne łąny cicho się toczy, a tu, w pobliżu, płynie ze wzgórza śpiew ptasząt gwarny, uroczy. Tam znów pastuszek siadł na kurhanie, chwycił fujarkę, dumki wygrywa; a wiatr na Wilii w żagle uderzył, — wioślarz odpoczął i śpiewa... Na szczyt Łukiszek ¹⁾ pójdziem zielony! Dęby wyniosłe dźwiga na skroniach i słucha z góry szumu potoków, co wartko krążą po błoniach. Stamtąd ze szczytu, stamtąd z wysoka ujrzymy całe Wilno przed nami, Wilię ujrzymy, co w koło

¹⁾ Łukiszki—przedmieście Wilna.

Wilna krętymi płynię wodami... I to zamczysko Gedymino-
nowe, co na potężnych piętrzy się stokach, Kapitol Litwy,
te baszty, wieże, co dumnie toną w obłokach¹⁾.

Piękna natura nietylko zachwyca poetę, ale go roz-
marza; otóż ta marzycielskość to zupełnie nowy rys w na-
szej poezyi: najpiękniej zaś przemówiła w ślicznym utwo-
rze p. t. „Silviludia“ (Zabawy leśne). Król Władysław IV
polował raz w lasach pod Birsztanami (w powiecie tro-
ckim); Sarbiewski, jako kaznodzieja nadworny króla, towa-
rzyszył mu w tych „zabawach leśnych“, które pobudziły
go właśnie do napisania utworu. Właściwie mówiąc, jestto
panegiryk na cześć króla: poeta wzywa naturę, by pomagała
do polowania królowi i jego dworzanom, zwraca się do wia-
tru, by orzeźwiał skronie królewskie, do jeziora, by szele-
stem fal swoich sławę królewską po kraju roznosiło, i t. p.; ale
w tym panegiryku ślicznie wypowiedział poeta swój zach-
wyt nad naturą, bo też umiał patrzeć na nią, jak arty-
sta: on wie np., że łąka jest piękna, ale że jeszcze pięk-
niejsza jest wtedy, gdy się rosą srebrzy; żywo odczuwa
urok nocy księżycowej i t. d. Ten zaś zachwyty nad pięk-
nem stworzenia budzi w nim uwielbienie ku Stwórcy i ro-
dzi tęsknotę, by jak najprędzej pójść do Niego: „Prędkoż
Cię, prędkoż ujrzę w Twoim majestacie? Kiedyż się biedny
grzesznik, kiedyż się doczeka oko w oko spojrzeć na Cię?“
Co za szkoda, że Sarbiewski po polsku nie pisał!

DO ROSY¹⁾.

O roso poranna, miluchna, urocza.
Z jasnego opadasz niebiosów przezrocza
I kwiaty drobniuchne, Listeczki miękuchne
Okrywasz, ubierasz oczkami;

¹⁾ Przekład księdza Piatkiewicza.

Rozlana po łące w tysiącnych kropelkach,
W zielonem traw morzu, w kwiecistych muszelkach

Przyświecasz do słońca perłami.

O mleko ty śnieżne złocistej jutrzeńki!

Jutrzeńka swe piersi, złotawe swe pęki

Do drobnych usteczek Kwiatuszków-dziateczek

Troskliwie przytula, jak matka;

A kwiaty dokoła na wargach rumianych

Zawisły przy piersiach jutrzeńki różanych,

I wonna się karmi gromadka.

O roso z ogrodów zorzanych błękitu!

Jak czujny ogrodnik, raniutko co świtu

Srebrnemi dzbanuszek Polewasz kwiatuszki,

Odwilżasz ich usta spragnione.

Jutrzeńki wchodzącej deszczyku ty cichy,

Kropelki wy drobne, na kwiatów kielichy

Ze skroni niebiosów zronione!

O nocy gasnącej uroczę gwiazdeczki,

Kryształki rosiste, niebieskie roseczki,

O gwiazdki świetlane, Po polach rozsiane,

O gwiazdy, o perły, o rosy!

O łezki kwiatuszków, co płaczą nad ranem

Nad nocy-rodziny żalobnym kurhanem,

I ciche ślą skargi w niebiosy!

Hej, roso poranna! Ślad błędnej zwierzyny,

Co rankiem po trawach wracała z gęstwiny,

Zdradź wiernie przed nami: Pewnymi szlakami

W lesiste zaprowadź pomrocza!

Do zwierza kryjówek przez kręte manowce

Po śladach, po tropach wiedz strzelce i łowce!

O roso poranna, uroczą!

§ 54. W tym samym roku, w którym umarł Szymonowicz (1629), zgasł, podczas studyów w Krakowie, w dwudziestej pierwszej wiosnie życia inny utalentowany poeta,

również mieszczanin lwowski, **Szymon Zimorowicz**, autor wdzięcznych pieśni miłosnych p. t. „Roxolanki“, które wyszły dopiero w lat dwadzieścia pięć po jego zgonie (1654). Śmierć przedwczesna nie pozwoliła dojrzeć jego niepospolitemu talentowi, który się szybko rozwijał i uszlachetniał pod wpływem poezji Kochanowskiego i Szymonowicza oraz poetów starożytnych i, być może, włoskich; ale i ta malutka spuścizna, którą po sobie zostawił, jest tak piękna, że zapewnia mu bardzo zaszczytne stanowisko w dziejach naszej dawnej liryki: wdzięczniejszych pieśni miłosnych nie wyśpiewał sam Kochanowski. Jak w „Sobótce“ (§ 41) panny z Czarnolasu, tak w „Roxolankach“ Zimorowicza roksolanki, t. j. panny z Rusi Czerwonej, a nadto i chłopcy, śpiewają pieśni: a jest tych pieśni nie dwanaście, jak w „Sobótce“, ale sześćdziesiąt dziewięć; wszystkie opiewają jedno i to samo uczucie: miłość, a pomimo to ich treść nie jest jednostajna, bo każda dziewczyna i każdy chłopiec inaczej kocha, inaczej tęskni, inaczej się raduje, inaczej smuci; ani jeden poeta staropolski nie umiał wyrazić tylu rozmaitych odcieni uczuć młodziutkiego zakochanego serca, co Zimorowicz. Zwłaszcza piękne i rozmaite są pieśni panien. Oto np. jedna, Licydyna, wyznaje swoim przyjaciółkom niby to bardzo żałośnie, że „serce jej zginęło“, ale w istocie nie posiada się z radości, bo jej ukochany chłopak znalazł i przytulił do siebie jej stratę. Za to inna, Cicerina, jest naprawdę smutna: widziała z okieneczka, jak ukochany przechodził, ale ani zajrzał do niej! Inna znów, Majoranna, nie kocha jeszcze nikogo, ale ma do tego serdeczną ochotę, byleby się tylko znalazł chłopiec, któryby chciał ją wziąć, a tu, jak na złość, nikt nie chce, pomimo że ona jest przecie i dorodna i posażna i zgrabna. Ale najwięcej wdzięku ma pieśń Bohymni, świadcząca, że Zimorowicz żywo odczuwał piękność natury: śniegi zamieniają się w rzeki wronie, las pokrywa się

liśćmi, słowik „gardłeczkiem młodą wiosnę wita“, „zezula w głośnym gaju huka“; słowem, cała natura budzi się ze snu zimowego,—więc i w sercu dziewczyny budzi się nadzieja, że ukochany wróci.

Niektóre pomysły zapożyczył Zimorowicz z poetów starożytnych. ale nie brak pieśni zupełnie oryginalnych; są i takie, które powstały prawdopodobnie pod wpływem pieśni ludowych. Główną zaletę „Roxolanek“, oprócz muzykalności wiersza i wielkiej różnorodności zwrotek, stanowi wdzięk młodzieńczy, a więc prostota, naturalność i swoboda. Ale są i wyjątki: z niektórych pieśni od razu poznać, że Zimorowicz to poeta już nie XVI, ale XVII wieku, są w nich bowiem nie tylko poszczególne wyrażenia (np. gmach serdeczny zam. serce), ale i całe pomysły nadto sztuczne, nienaturalne: jedna np. panna śpiewa, że nie zdoła przybyć do ukochanego przez morze łez swoich, „bo wiatr mego wzdychania tak poburzył wody i żal mój takie wzbudził niepogody, że, niżeli na drugą nadziei mej strony przyjadę, we łzach własnych: nieszczęsna utonę“. Tak więc w poezji Zimorowicza są już objawy psucia się smaku estetycznego.

MAJORANNA.

Jużem z pieluch wyrosła I lat panfeńskich doszła,
Już mam z potrzebę¹⁾ wzrostu I urody poprostu —
A nie wiem przecie, Kto mię na świecie Przyjmie
w małżeńskie stadło.

Umiem potrefić włosy i warkocz zapleść w kosy,
Kłaniam się bardzo snadno I tańczę układno, —
A cóż po tem, Kiedy żadnemu W serce się nie wkradło!
Mam pogotowiu wiano, Posag mi zawiązano,
Obiecali wesele Sprawić mi przyjaciele, —

1) tyle, ile potrzeba.

Ale to fraszka, Gdy młodzieniaszka, Nie mam, dziewczka
stroskana,
Bowiem niczem są szaty, Także posąg bogaty,
Lada co obyczaje, Kiedy mi nic dostaje
Ukochanego, Obiecanego Przyjaciela i pana.

BOHYMNIA.

Patrzaj, jak ogniem niebieskim dotknięte
Przemijają się śniegi w rzeki wrone:
Kędy po lodzie wóz przejechał brzegi,
Naładowane pływają komiegi ¹⁾.
Dąbrowa, nocnej napojona rosy,
Ogołocone z drzew rozwija włosy;
Słowik w selinach ²⁾, gdy zorza zakwita,
Gardłeczkciem ranem ³⁾ młodą wiosnę wita.
Już i zezula w głośnym gaju huka,
Z radości kora na drzewach się puka,
Same fijołki głowy wynarzają ⁴⁾
Z ziemi, a na dni piękne poglądają
A któż, podobny do martwych kamieni,
Kłopotów w piękną radość nie odmieni,
Zwłaszcza w tej chwili, gdy same godziny
Niosą wdzięcznego wesela przyczyny?
A tak przybywaj co prędzej, mój luby!
Bowiem dla ciebie samego me śluby
Chowam gotowe, a prócz ciebie zasię
Nie mam wesela w najweselszym czasie.

DANIŁO.

Czemu narzekają smutno moje strony ⁵⁾;
Czemu żalobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie, nadobna Halino,
Dla ciebie, kochana dziewczyno!

¹⁾ komiega = statek do splawiania zboża, galar; ²⁾ selina, szelina = gaj; ³⁾ rany = poranny, młody; ⁴⁾ wynarzać = wynurzać; ⁵⁾ strona = struna.

Miasto lubych pieśni, miasto słodkiej lutnie,
Muszę ciężko wzdychać, lamentując smutnie:
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Kędy teraz oczy są powabne twoje,
Z których miłość codzienną wypuszczała roje?
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Już że to zagasły ust twych ognie żywe,
Którymiś paliła serce natarczywe?
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Próżno mój ogródek fijołki pachniące,
Próżno mój różaniec rozwija swe pącze:
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dziewczyno,
Gdyby mię Kupido odział swemi pióry,
Żeby mógł polecieć przez lasy, przez góry
Do ciebie, nadobna Halino,
Do ciebie, kochana dziewczyno!
Najmniejbym się nie bał skrzydłami pospieszyć,
Abym mógł raz oczy tobą me pocieszyć;
Kędyś jest, nadobna Halino,
Kędyś jest, kochana dziewczyno?
Lecz próżno cię moje szukają powieki,
Której nie obaczą pod słońcem na wieki!
Dobranoc, nadobna Halino,
Dobranoc, kochana dziewczyno!

§ 55. Jak poezya, tak i wymowa kaznodziejska w początkach XVII w. posiada jeszcze wybitnych przedstawicieli. Najwybitniejszym jest dominikanin **Fabian Birkowski** (1566 — 1636), rodem ze Lwowa, wychowawiec i profesor akademii krakowskiej, kaznodzieja nadworny królewicza Władysława i towarzyszy jego wypraw wojen-

nych. Jeden to z najznakomitszych kaznodziejów dawnej Polski, chociaż ze Skargą (którego znał i ubóstwiał i na którego pogrzebie wygłosił serdeczne kazanie) równać się nawet nie może: nie posiadał ani jego powagi i namaszczenia, ani nadewszystko jego rozumu, a stąd, chociaż ojczyznę kochał całą siłą swego gorącego, namiętnego serca, nie miał tak szerokich, jak Skarga, poglądów na jej sprawy. I pod względem piękności kazania jego są bez porównania niższe: noszą już na sobie wyraźne ślady zepsutego smaku, co widać już choćby z samych tytułów, np. „Kwiaty koron królewskich nieśmiertelne abo pamięć Najjaśniejszego Monarchy Zygmunta III... także pamięć Najjaśniejszej Paniej Konstancyjej; język bywa często zbyt pospolity, czasem nawet rubaszny; są i niestosowne anegdoty (dla urozmaicenia wykładu) oraz różne zabawne koncepty; tak np. porównywa Birkowski św. Szczepana z kogutem, mówiąc, że, jak kogut straszy lwy (!), tak ś. Szczepan straszy złych ludzi; tłumaczy słuchaczom, dlaczego się wściekły pies boi wody i dlaczego kobieta niema rozumu; opowiada, że nosorożec, choć srogi, boi się młodej panny, „która, gdy wybieży, przyjmuje go na ręce, a ten, srogość wszelaką złożywszy, głowę skłania i tak, uspiiony, jako baranek, pojmany bywa“, i t. p.

A pomimo to wszystko posiadają kazania Birkowskiego prawdziwy wdzięk: jest w nich i bujna fantazyja i uczucie gorące i duch obywatelski: ale główną tajemnicą ich wdzięku jest ożywiający je duch religijno-rycerski, ten duch, który mieszkał w piersiach najszlachetniejszych synów owoczesnej Polski, Żółkiewskiego np. albo Chodkiewicza. Skarga był kapłanem-obywatelem: Birkowski—kapłanem-rycerzem; Skarga przemawiał do posłów i senatorów, których obowiązkiem było bronić ojczyzny rozumem: Birkowski—do rycerstwa, które broniło jej własną piersią; a jako Skarga miał się za posła bożego, któremu sam Bóg

rozkazał gromić „bogów ziemskich“, tak Birkowski mówił, że jest „kolegą bożym w robocie około zbawienia“, „aby wołał i opowiadał rycerstwu ich grzechy“. Bo za najpiękniejszą „robotę około zbawienia“, za najświętsze powołanie Polaka poczytywał właśnie służbę rycerską; wierzył, że walczący z Turkami „żołnierze do metryki wybranych Pańskich są wpisani“, że dusza poległego rycerza idzie prosto do nieba, bo nie może być większej zasługi przed Bogiem, jak poledz w obronie wiary i ojczyzny. To też w kazaniach pogrzebowych wielbił Birkowski walecznych rycerzy polskich, jakoto Jana Karola Chodkiewicza, który siwą głowę w obozie chocimskim położył, Bartłomieja Nowodworskiego, który męstwem swoim nietylko w Polsce, ale we Francyi i w Afryce, zajaśniał, Stefana Chmieleckiego, którego imieniem matki tatarskie małe dzieci straszły.

Lecz i do żywych rycerzy przemawiał Birkowski — w kazaniach obozowych, ucząc ich, jakimi być mają, aby i sławę doczesną i koronę niebieską pozyskać, a jednocześnie gromiąc surowo ich grzechy: nieposłuszeństwo, zniewieściałość, pychę, ździerstwo ubogich.

Ale najświetniejsze: ni są kazania tryumfalne, wygłaszane z powodu zwycięstwa albo na wieść o śmierci którego z wrogów Polski, jakoto: „Kantymir basza porażony“, „Dziękowanie za zwycięstwo chocimskie“, „Nagrobek Osmanowi“ (sułtanowi tureckiemu, zamordowanemu przez zbuntowanych janczarów w r. 1622); jest w nich i fantazyja w opisie bitew i zapaf rycerski i gorącą wdzięczność ku Bogu, a nadewszystko jest szalona, niemal dzika, radość z tryumfu ojczyzny a klęski wroga, któremu bez litości, prawie z okrucieństwem urąga Birkowski. Bo, jeśli silna była w sercu tego człowieka miłość Boga i Polski, to również silna i namiętna nienawiść ku wrogom Kościoła i ojczyzny, zwłaszcza ku Turkom, tym „zbójcom niecnotli-

wym“, „psom“, co nie umierają, ale „zdychają, jak świnie“, i wierzą w Mahometa, „syna dyabelskiego“. Nie cierpiał Birkowski i protestantów i, mówiąc o nich, nie przebierał w wyrażeniach, nazywając np. Lutra „plugawcem śmierdzącym“. Ale i swoich, Polaków i katolików, nie oszczędzał; owszem, ciął im gorzką prawdę w oczy, oburzając się np. na „panów odrzychłopskich“, t. j. uciskających lud. Od rycerza bowiem żądał nietylko odwagi i męstwa, ale miłości Boga i bliźniego: rycerz Birkowskiego to waleczny patriota i zarazem dobry chrześcijanin.

Kazanie p. t. „Nagrobek Osmanowi“ (w skróceniu). Kędyż on Osman, który na to był tak rok ¹⁾ przyszedł na granice Polski i rozwiódł się był obozami swoimi od rzeki Prutu aż do Dniestr, od zamku chocimskiego aż do Kamieńca, na to, aby dusze, krwią Chrystusową odkupione, miasto bierni ²⁾ i poboru, wybierał w Koronie polskiej i w wielkim księstwie litewskim? Zwiódł był na to wielkie wojsko z Europy, z Azye, z Afryki; o większem myślił naprzecz rok ³⁾. Ci wszyscy nato byli sprowadzeni, aby wydarli Chrystusowi Panu dziedzictwo Jego;... na syny koronne chciał położyć pobór brzydki bezecny bisurman, aby drogiemi duszami opłacali zdrowie swoje; aby się Chrystusa zapierały, aby cnót chrześcijańskich zaniechały, a jeły się wszetecznictw tureckich, zbrodni mahometańskich. Dziękujemy Tobie, Chryste Jezu, iżeś zniósł z karków naszych tego brzydkiego poborcę!... Gdy Faraona Bóg w morzu utopił, „tańcowały góry, jako barankowie“, mówi Pismo św.; gdy Juliana Apostatę Bóg włóczęnią swą zabił, morze tańcowało, jako niektórzy historycy piszą, wydzie-rało się z brzegów swoich i oświadczało radości swoje, które miało, gdy okrutnego tyrana piekło pożarło: toż ja mówię o weselu wszystkiego chrześcijaństwa, nawet i po-

1) rok temu; 2) biernia= danina, podatek; 3) na następny rok.

gaństwa, jako się weselili wszyscy, gdyś ty jeden zginął!...

„Piekło — mówi.. Ezajasz św. — pod tobą zatrwożyło się, zwłaszcza gdyś do niego przychodził; tobie kwoli wzbudziło olbrzymy swoje: wszystkie księżęta ziemi porwały się z krzesel swoich, wszyscy panowie narodów; wszyscy — odpowiedzą i rzeką tobie: „I ty zraniony jesteś, jako i my, nam podobny stałeś się! zwleczona jest do piekła hardość twoja; upadł trup twój, pod tobą pościel będzie mól, a kołdra twoja będą robacy!“ Spodziewałeś się podobno witania innego, Osmanie, aniż kiedy miał Nabuchodonozor w piekle: nie potkało cię insze od niego, boś nie robił na lepsze! Przystawaj na takim, jakim cię opatrzone teraz i jakiego cnota twoja godna była! Zwiódł cię, jako wszystkich pobratymców twoich, bezecny Mahomet! Spodziewałeś się raj, a w nim rzek czterech: jednej — miodem, drugiej — mlekiem, trzeciej — winem, czwartej wodą płynącą: i jednej z tych teraz nie masz! Masz jedną, która za wszystkie stoi: rzekę ognia i siarki pełną! Tą pragnienie swoje, tyranie, nasyć! nie godzienesz lepszej!... Spodziewałeś się, według obietnic Alkoranu, pałaców i budynków od pereł i od złota: nie dla bisurmanów takie mieszkanie gotuje Bóg, ale dla wiernych chrześcijan swych!... Spodziewałeś się bankietów po śmierci przepysznych fazyanów¹⁾ i ptaków innych smacznych, fruktów wszelakich, któreś miał wolę zbierać, leżąc, pod pięknymi drzewy: masz lichotę i masz ptaki, jakichś godzien; owe sępy i harpie piekielne, które cię ustawicznie, jako Prometeusza bezbożnego, kłują! masz frukty ogniste, których przełknąć trudno, które gardziel twój dawić będą na wieki!...

Pókiś żył na ziemi, trwoگیś puszczał na zlemi, a teraz zatrwożyłeś umarłych w piekle! Ale niedługo tej trwoگی było: olbrzymy swoje ruszyło piekło, aby-ć drogę zasłzi

¹⁾ fazyan=bażant.

i witali nowego gościa swego. Porwali się wszyscy do jednego z krzeseł ognistych oni twoi Machmetowie, Selimomowie, Solimanowie, Amuratowie i witali cię onemi słowy: „I tyś zraniony, jako i my? i tyś przyszedł do piekła, jako i my? A ona дума twoja kędy, gdyś pod Chocimem niedawno z Karakasem twoim stanął? I Karakas twój, od ciebie łzami polany, dawno między nami i drudzy, ale i ty za nimi, jako widzimy, prędkoś się pokwapił na te miejsca mąk wiecznych!“

Twoje słowa nagętsze były: „Zabij! zamorduj!“ Gdy gaurów¹⁾, Kozaków nie stawało, zabijałeś więźniów swoich; sameś nawet w ciągnieniu pod Chocim jednego rotmistrza kozackiego związanego rękoma swojemi ustrzelił, zaprawiając się w katowskie rzemiosło, które związanych bije... Jako wiele poginęło więźniów na rozkazanie twoje! Jako wiele głów zleciało z onej góry przy Chocimie dla uciech katowskich oczu twoich! Ubogie wieśniaki z włości psi tatarscy zaganiali do obozu jego i, żeby od niego pieniądze brali, Kozaki ich przezywali: kazał ich okrutnie mordować, aby krwią niewinną napasł tylko okrutne oczy swoje! Gdy się przez Dunaj przepawił, przywiedziono mu 40 Kozaków, których na Czarnem morzu było zatopiono: kazał łódź, na której most budowano, obrać jedną, miasto klatki, i wszystkie one Kozaki węgknąć i smołą oblać i, zapaliwszy, po rzece puścić, krotofile sobie czyniąc z śmierci haniebnej więźniów swoich. I miałże długo taki żyć na tym świecie, który tak okrutny?...

Za takie okrucieństwa nisko padł ten Lucyfer pod powrozy katowskie, cięciwami, jako siatką przykryty ten ptak; który tak wysoko latał! Latał wysoko ten ptak; na samo niebo chciał wlecieć, Krakowa mu się chciało i kościoła na zamku, Stanisława i Wacława świętych!... Kościoły na-

¹⁾ gaur, گیاور—niewierny (tak mahometanie nazywają chrześcijan).

sze myślił w swoje meczety... obrócić; chciał po kościołach świętych męczenników, wyznawców szkapami swojemi tańcować; chciał nam obrazy i ołtarze z kościołów brzydki ten poganin wyrzucić i kwoli kalwinistom bezennym Ofiarę Przenajświętszą do szczętu znieść! Nie pocieszył go Bóg w tem, co myślił: widzimy wcale kościoły, akademią i szkoły mądrości nietykane, gwiazdy niebieskie, to jest święte Pańskie, w swojej dostojności...

Chciałeś wstąpić na wysokość obłoków i być podobnym Najwyższemu: prostaku Osmanie! nie twoje to dzieło po obłokach skakać! Przyjdzie Ten, który cię już osądził wedle dusze, który karety swoje na obłokach zatoczył, i ukaże się między nimi, gdy sędzić wszystkich będzie i wedle dusze i wedle ciała. Obaczy Go wszelkie oko—i twoje, Osmanie, nieprzyjacielu Boży i ukrzyżowanego Chrystusa! Wtenczas zapłacić ze wszystkimi powiatami ziemie, wtenczas poznasz, jaki to Pan, który takie woźniki ¹⁾ z obłoków ściąga, który kładzie obłoki wstępem swoim, który chodzi po skrzydłach wiatrów! Niżej, Osmanie! wysokie to karoce na cię!...

Już cię niosą do grobu, do grobu, w którym tak rok udawiony od rąk twoich brat rodzony leży. Wszyscy do lewka zdechłego bieżą, wszyscy zacierają i mówią: „A tenże to mąż (młokos!), który zamącił ziemią, który zatrząsł królestwy, który położył w pustynię okrąg ziemie i miasta jego zepsował i więźniom jego nie otworzył więzienia? Tenże to Osman, który po czterokroć sto tysięcy ludzi do boju gotowego wyprowadził był pod Chocim? Tenże to, który chana tatarskiego z osmiądziest tysięcy z sobą przywiódł, aby, jako ogar jaki z lasów, ubogie kmiotki wyganiał i wygnane zabijał?“...

¹⁾ rumaki powozowe.

Zawyj, Porto turecka — mówi do ciebie prorok — zawyj i zawołaj, miasto carogrodzkie: „Obalony Osman przekląty, okrutny! Przyszedł dym od Akwilonu¹⁾, gniewy przyszły janczarskie i spahiów²⁾—dla Akwilonu, dla Polaków, dla obozów koronnych nie wziętych, dla mów jego takich ladajakich („Nie żołnierze, ale babym miał pod Chocimem, którzy nie umieli Lachów wziąć!“): nie uszedł-ci dymów tych, zakwasiły mu oczy łakome, gardło bezecne, głupiomówne i harde i okrutne zatłumiły kwasem swoim!“

Położmy mu... ten wierszyk na grobie: „Dlatego, iż „Pan grunty założył Syonu i w Nim nadzieję będą mieć ubodzy ludu“,—powstał Pan Bóg i skarał okrutnego tyra-na Osmana, aby potem pogaństwo wiedziało, iż Pan Bóg o chrześcijanach ma pieczę swoją i staranie ojcowskie!“ Ojcie wszelakiego miłosierdzia, bądź pochwalon na wielki! Amen.

§ 56. „Sielanki“ Szymonowicza i „Roxolanki“ Zimorowicza dowodzą, że tradycja pięknej poezji XVI wieku nie odrazu zaginęła w XVII. Nie odrazu też ulotniła się z literatury mądrość i szlachetność myśli: widać to z pism kanonika krakowskiego, Szymona Starowolskiego (ur. s. w końcu w. XVI, um. 1656). Nie posiadał on ani nadzwyczajnych zdolności, ani wybitnego talentu; miał zato dużo rozumu i wykształcenia: party żąda wiedzy, nie poprzestał na szkołach krajowych, ale trzykrotnie wyjeżdżał zagranicę, skąd przywoził z sobą coraz nowe zapasy nauki; miał nadto dobrą wolę i zacne serce, które krwawiło się na widok nieszczęść ojczyzny; to też wśród pisarzy XVII stulecia był patryotą najgorętszym i jednym z najrozumniejszych (choć i on, jak tylu innych, wierzył i uczył, że Polska jest narodem wybranym).

1) Akwilon=północ, Polska; 2) spahia=pan turecki.

Pisał prawie o wszystkim—dzieła religijne, moralne, polityczne, historyczne i t. d.: byłto pierwszy u nas encyklopedysta czyli polihistor. Dla obcych pisał po łacinie, dla swoich—popolsku.

Wiedząc, że zagranicą mało co o literaturze polskiej wiedzą, ułożył dla cudzoziemców dwa dziełka: jedno o sławnych pisarzach polskich wogóle, drugie — o sławnych mówcach. Obznajmiał cudzoziemców i z geografją Polski i z jej rządem, napisał dla nich rzecz o słynnych wojownikach polskich; a kiedy jakiś podły Niemiec ogłosił pismo, będące stekiem niegodziwych oszczerstw przeciwko Polsce, Starowolski dał mu ostrą a rzetelną odprawę. Słowem, w pismach łacińskich występuje, jako Polak, dbały o godność narodową i dobrą sławę Polski na świecie.

W pismach polskich jest zacnym nauczycielem własnego narodu, to obznajmiając ją z tem, co się w Turcyi dzieje, to ucząc go moralności chrześcijańskiej, to śmiało mówiąc mu prawdę w oczy i wskazując środki do poprawy moralnej i naprawy państwa — w imię miłości Boga i ojczyzny (przez co przypomina Modrzewskiego i Skargę). Tak np. w piśmie „Prawy rycerz“ (1648) ubolewa nad upadkiem prawdziwego rycerstwa w Polsce; prawdziwy rycerz powinien, jego zdaniem, bezinteresownie służyć ojczyźnie, bronić wiary, pracować na dobrą sławę, słowem być takim, jakimi niegdyś byli uczestnicy wypraw krzyżowych. W innem dziele jaskrawo maluje zdzierstwa, jakich się dopuszczają żołnierze polscy, którzy przepijają żołd, a potem żyją cudzą krzywdą, łupiąc ubogich włościan; jeszcze w innem wzywa Polaków, aby się raz przecie załatwili z dziczją tatarską i t. d. i t. d.

Większość swoich poglądów i rad skupił w obszerniej rozprawie p. t. „Reforma obyczajów polskich“ (1645). Jestto bardzo szczegółowy rachunek sumienia polskiego, coś w rodzaju „Kazań sejmowych“ Skargi, tylko bez ich

piękności i potęgi. Pod pewnym względem nie wznosi się tu autor ponad przesady swego czasu: twierdzi np., że szlachcic, dbały o dobrą sławę, nie powinien się trudnić handlem; albo np., jako fanatyk, ubolewa, że „nie usłyszysz teraz, kogoby o bluźnierstwo i niewiarę na ogień skazano, kogoby o czary, „publice“¹⁾ spalono“. Ale w innych wie-
lu poglądach jest wyższy ponad ogół szlachty. Mniejsza o to, że wyrzuca jej pychę i niezgodę, zbytki i pijaństwo, życie nad stan i t. d.; ważniejszą jest rzeczą, że nie boi się mówić, iż złota wolność jest klęską dla państwa i krzywdą dla ubogich: „U nas iż wszystkim wszystko wolno, dlatego zawsze uboższy jest niewolnikiem możniejszego, który go krzywdzi, despektuje²⁾ najeżdża..., czego pod Turczynem żaden basza najuboższemu kmiotkowi czynić nie może, bo szyja w tem³⁾;... Moskwa, gdy im mówiono,... aby się z naszym narodem złączyli i... z nami wspólnie swobody i wolności miłej zażywali, odpowiedzieli świętobliwej pamięci księdzu Zadzikowi: Nie chcemy, panie biskupie, waszej wolności, derżycie ją sobie, bo u nas jeden tylko car, co naszym horłem i majątnościami dysponuje, a u was co bojar, to tyran!“ Nie waha się również Starowski wyrzucać szlachcie ucisku chłopów i zdzierstw, popełnianych przez starostów, „którzy, co wiedzieć, jakich ciężarów, robocizn i podatków nie wkładają na ubogie poddane królewskie“, oraz przez panów, „którzy, podróżą z gromadnymi orszakami czyniąc, nie płacą w gospodach, a ich gwardye niekarne, przez wsi albo miasteczka jadąc, co jeno po drodze potkają, porwą: gęś, kure, barana, ser, masło, kielbasy, chusty i wszelkie naczynia domowe, chłopu do komory wpadłszy“. Nie zapomina i o upadku rzetelnej oświaty, stwierdzając tę smutną prawdę, że ludzi uczonych przestano szanować w Polsce XVII w.: „My, gru-

1) publicznie; 2) despektować = pogardzać; 3) bo życiem zapłaci.

bi Sarmatowie, nie znając się na... drogich perłach nauk... filozofią błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzie uczone żakami, bikami ¹⁾),... a ludzi dobrych, cnotliwych błaznami nazywamy“. Nie poprzestaje jednak autor na wytykaniu wad i grzechów, ale podaje szereg pomysłów do naprawy państwa: sądownictwa, wojska, finansów i t. d. Lecz, jak niegdyś Modrzewski, tak i Starowolski wątpił, czy go naród posłucha, dlatego też lękał się o przyszłość ojczyzny: „Czego się lepszego nad Rzymiany i pograniczne narody spodziewać mamy? Nic zapewne inszego, jeno takiegoż upadku i takiejże zguby ojczyzny, jako i insze narody, co przed wieki sławą, męstwem, bogactwy, rozumem i szerokością panowania słyneły... Co rok, to gorzej: uciski wielkie, niezmierne zdzierstwa, łupiestwa, rozbójstwa, męzobójstwa, potwarzy, krzywoprzysięstwa, gwałty, najazdy“. Ale pocieszał się Starowolski wiarą w miłosierdzie boże, które jednak wówczas dopiero na Polskę spłynie, kiedy się ona poprawi: My, którzy „confidimus in Domino“ ²⁾),... mamy tę nadzieję, że, gdziebyśmy się jeno poprawić umyślili,... tedyby nie wzgardził pokorą naszą Ojciec miłosierny, ale owszem na wszystkiemy nam hojnie błogosławił i dał dobre lata, pokój, zgodę, miłość i zwycięstwo z nieprzyjaciół Kościoła swojego świętego“.

Ale nadzieja się nie ziściła, i, zamiast „dobrych lat“, przyszły lata okropne: wybuchły wojny kozackie, a potem szwedzkie. I dożył Starowolski tego upokorzenia, że króla szwedzkiego, Karola Gustawa, musiał oprowadzać, jako kanonik krakowski, po podziemiach Wawelu; stanąwszy przy grobowcu Łokietka, odezwał się do Karola: „Ten-ci jest król polski, którego losy przeciwne potrzykroć tron opuszczać zmuszały, wrócił nań jednak i królem naszym umarł“. „Wierzę—odparł Karol—ale zato wasz Jan Kazimierz, któ-

1) bik=dragal, próżniak; 2) Ufamy w Panu.

regom orężem swoim z tronu spędził, już nań z pewnością nie wróci!"; a na to Starowolski: „Fortuna variabilis, Deus mirabilis“³⁾). W rok niespełna powrócił Jan Kazimierz do Krakowa.

Uczucia swoje i myśli z owej strasznej epoki, kiedy to Polska, zdawało się, już już kona, wypowiedział Starowolski w krótkiej, ale bardzo pięknej, napisanej prozą, ale pełnej poezji elegii patryotycznej, p. t. „Lament utrapionej Matki, Korony polskiej, już już konającej, na syny wyrodne, złośliwe, i nie dbające na Rodzicielkę swoją“. Nieszczęsna Matka Polska, czując, że już umiera, gorzko wyrzuca swym synom wyrodnym, że czarną niewdzięcznością odplacili jej te hojne dobrodziejstwa, jakimi ona ich obсыpała; i za to pokarał ich Pan Bóg wojną i niewolą moskiewską, szwedzką, tatarską. Lecz w sercu Matki żal długo trwać nie może: ona kocha swoje dzieci, choć wyrodne, więc składa żal z serca i, jakby zapominając o nieprawości swych synów, pyta żałośnie Boga, za co ich tak pokarał; poczem uderza w modlitwę błagalną—o miłosierdzie. A na modlitwę daje Pan Bóg odpowiedź, że się zmiłuje nad Polską, ale wtedy dopiero, kiedy „wysmaży wszystkie nieprawości tego ludu złośliwego, że nie zostanie, jeno brant²⁾ cnoty samej chrześcijańskiej“. I oto wstępuje otucha w serce Matki: już nie rozpacza, nie jęczy, utna w miłosierdzie Boga i w poprawę niedobrych, ale nieszczęśliwych, dzieci. Z wyjątkiem „Kazań sejmowych“ Skarżi (których „Lament“ jest poczęści naśladowaniem), w całej literaturze staropolskiej niema utworu, w którymby miłość ojczyzny przemówiła z taką rzewnością i z tak rozdzierającym smutkiem; tylko szlachetne i kochające serce może się zdobyć na tak bolesny jęk.

1) Fortuna zmienna, Bóg cudowny; 2) wytopiony z rudy czysty metal.

„Lament utrapionej Matki“ (w skróceniu). Nieszczęsna matka, schodzę z tego świata, nie rozrządziwszy dziełek moich! Umieram w boleściach i frasunku, nie dawszy błogosławieństwa złośliwym synom moim! Kończęznaczony z nieba kres wieku mojego, nie mając, ktoby mi z potomków moich ręką łaskawą zawarł oczy, w słup idące przy skonaniu, ktoby po wyjściu ducha mojego zaniósł mię do grobu, jako matkę, żałobliwie zapłakawszy, i, ludzką pobożnością wzruszony, rzucił bryłkę ziemie do grobu mego, abo ktoby, wspomniawszy na wdzięczność, żem tak wielu niegdy zacnych synów spłodziła, mogiłę nade mną, jako nad Wandą królową, albo rękawkę¹⁾, jako nad Krakusem królem, na wieczną potomnym czasom pamiątkę usypał i napisał, piramidę jaką zacną albo kolumnę marmurową wystawiwszy.

Tu Polska leży, złością wyrodków zgubiona,
Przy niej i złota wolność oraz pogrzebiona;
W tymże dole i święta katolicka wiara
Zakopana i cnota przodków naszych stara,
Obluda i niestworność, swawola zbyteczna,
Pycha, nieposłuszeństwo i chciwość wszeteczna
Wszystkich stanów ludzi i herezyje sprośne,
A przytem opresyje żołnierskie nieznośne—
Utrapioną ojczyznę gwałtem umorzyły,
Jaszczurcze—pry²⁾—potomstwo matkę swą zabiły.
Ty, co przemijaszą tędy, czytelniku miły,
Jeśli cnotę miłujesz, proszę, tej .nogić
Nie mijaj bez wiernych łez, westchnienia gorzkiego,
A użal się serdecznie upadku mego.

Uboga albowiem matka, „filios enutrivit et exaltavit, ipsi autem spreverunt me“³⁾. Wychowałam syny koronne

1) rękawka=kopiec, usypany rękami; 2) prawi, mówi; 3) wychowałam syny i wywyższyłam, a oni mię wzgardzili (słowa Izajasza).

w dostatku i obfitości wszelkiego dobra: a oni lekce sobie poważyli żyzność moją. Porównałam je godnością szlachcica ze wszystkimi tytułatami¹⁾ pogranicznymi: a oni, wzgardziwszy rycerską dostojnością, ksiązące i margrabskie nazwiska kupować sobie u postronnych panów, poczęli. Obdarzyłam je wolnością taką, jakiej, okolicznych narodów najwyższych tytułów panowie nie mają; a oni, ją nizacz sobie mając, niemieckich rządów jarzmo na szyję swoje zaciągnęli. Oświeciłam ich wiarą świętą powszechną katolicką; a oni poszli sobie szukać nowych sekretarzów opinii, nauką apostolską wzgardziwszy. Wystawiłam im szkołę w mieście stołecznem, aby się w niej wszelkich nauk wyzwolononych, wszelkich cnót, doskonałości i wszelkiej pobożności chrześcijańskiej ćwiczyli: a oni, królewską akademią wzgardziwszy, do Wittemberku, do Lipska, do Lejdy i do Genewy się udali, gdzie wszelakiej niebożności, swejwoli, chytróści i obłudy nauczyli się.

Założyłam im ćwiczenie rycerskie na Ukrainie, wojsko kwarciane postanowiwszy: a oni, zaniedbawszy męstwa sławnych przodków swoich, nie pod namiotami w polu, ale po miasteczkach, w izbach i chłodnikach²⁾ lata swoje trawili... Coście się czynili³⁾ bohaterami, to, usłyszawszy tylko o nieprzyjacielu, zostajecie tchórzami, a ujrzawszy go przed sobą, ręce opuściwszy, zaraz z placu uciekać będziecie... Nie będziecie mogli rękę podnieść na nieprzyjaciela i broni nie będziecie mogli dobyć na niego, żeście ubogich chłopków niemi bili niewinnie i siekli w domach ich okna, stoły, skoble i kłódki do komór... Będziecie się zbiegać do gromady, zapomniawszy się od strachu, pytając sąsiad sąsiada, przyjaciel przyjaciela: „Dla Boga! co się dzieje? czemu się nie mogę oprzeć nieprzyjacielowi? czemu-

¹⁾ tytułat = posiadający tytuł (dostojność); ²⁾ chłodnik = miejsce zacienione, altana; ³⁾ czynić = udawać.

śmy pobledły od strachu, lubo jeszcze daleko jest od nas? "...

Obciążaliście poddane wasze gorzej, niżli egipską niewolą: ponoścież ją teraz sami, mając panami cudzoziemców nad sobą; i, co się każdy czynił królem nad poddanymi swoimi, to teraz znajcie króla nad sobą, który będzie umiał ochętnać swawolą waszę, „absolute“¹⁾ rozkazując;... i, coście w purpurach się nosili, abyście knechtom jego trzewiki robili, coście się stroili w tabiny²⁾ ze złotem, abyście smołę palili i pod wagą oddawali z wiosek waszych; a małżonki wasze, co, się w klejnoty ustroiwszy i bławaty różne, ni o czem, jeno o delicyach, o zbytkach wszelakich myśliły, to teraz piechocie pończoszki robić muszą i oddawać je pod liczbą jako czyjej wiosce na kartce naznaczą... Jedni pójdą w niewolę do Moskwy, do Szwecyey, do Tatar, a drudzy na wygnaniu w nędzy i w zniewadze od sromoty pomrą,— tak księża, jako i świeccy, tak szlachta, jako i mieszczenie, jak^o też i chłopkowie... Nikt się przed karaniem Pańskim nie umknie, nikt się bez szkody i utrapienia nie najdzie, tak senator, jako i biskup, tak zakonnik, jako i kupiec, tak Żyd, jako i heretyk, tak arendarz, jako i pan dziedziczny, tak żebrak, jako i rolnik, tak rzemieślnik, jako i przekupień... Rozproszą się, jako mrówki, Lachowie moi—po Śląsku, po Węgrzech, po Wołoszech, po Siedmigrodzkiej ziemi, a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom... „Bo ja — powiada Pan przez Jeremiasza — przywiodę na nich wszystko złe z półnoka i plagę nieznośną, że nie chcą opuścić złych nałogów swoich!“... Jak skoro obaczą nieprzyjaciela następującego, zaraz się polękają wszyscy, straci serce i król i senatorowie jego, stracą śmiałość i żołnierze i pospólstwo, zgłupieją od strachu kapłani, umilkną kaznodzieje,

1) nieograniczenie; 2) tabina i kitarica jedwabna.

nikt do męstwa nie pobudzi obywatelów, nikt do obrony ojczyzny nie zwabi synów koronnych, nikt do pokuty za grzechy nie napomni, — opuszczą ręce wszyscy i tak jeno będą oczekiwać plagi od Boga naznaczonej, nic o sobie nie radząc.

Co się też właśnie stało... i tak nam Ruś odjęto, Litwę opalowano, Mazowsze, Prusy i Polskę wszystkie pod jarzmo niewolej wzięto, a my się przecie poprawić nie chcemy i nieprzyjacielowi odjąć się nie myślimy, lubo nas rabują, pustoszą i zabijają, jako bydło nieme... Długo nam Pan Bóg folgował, a nie chcieliśmy się obaczyć. . „Oczekiwałem — mówi pan przez Izajasza — aby też Polska obaczyła się i czyniła sąd i sprawiedliwość na swoich sejmach, trybunałach, grodach i ziemstwach, alić, miasto poprawy, co dzień, to większą niesprawiedliwość, większe ukrzywdzenie ubogich, których płacz przebijał do mnie niebiosów“...

Cóż wżdy, Panie, synowie moi tak złego uczynili, żeś ich dał na pośmiewisko narodom wszystkim, żeś ich dał pod jarzmo tak odległemu nieprzyjacielowi, o którym ledwie kiedy słyhać było na świecie?... Pobudziłeś na nas wszystkie sąsiady nasze do wojny, wszystkie okoliczne narody naśmiewają się teraz z synów przezacnej niegdyś Korony polskiej, którzy straszni bywali wszystkim pogranicznym sąsiadom, nawet i odległym pogańskim monarchiom!... Widzisz, Panie, jako bluźnierskie narody, heretyckie, odszczepieńskie i bisurmańskie, pogwałcili Kościoły Twoje, pomordowali kapłany Twoje, pozabijali tysiącami sług Twoich, w wierze świętej katolickiej trwających...

Odpuść nieprawości ich, jako Bóg miłosierny!... Wspomni na miłosierdzie Twoje nieskończone, a oddal tę plagę od narodu Twego wybranego!... Wspomni na prostotę starych Polaków onych, którzy w szczerości serca mandatów Twoich świętych przestrzegali, którzy od przyjęcia

wiary katolickiej zawsze się za Kościół Twój Święty i za wszystko chrześcijaństwo pogańskim narodom zastawiali!... Niech oczy nasze widzą zemstę niewinnie rozlanej krwi wybranych sług Twoich od krzywoprzysięgłych sąsiadów naszych! Niechaj ciężki płacz i wzdychanie pobranych w niewolę córek i synów koronnych przeniknie boskłe uszy Twoje, że w tem zagniewaniu Twojem na Polskę wspomnisz na miłosierdzie Twoje, jako Ociec łaskawy i dobrotliwy.—aby ja utrapiona matka, po karaniu dziełek moich wysławiała przed światem wszystkim, „quantas ostendisti mihi tribulationes multas et malas et conversus vivificasti me et de abyssis terrae iterum reduxisti me¹⁾...

Jakoż już miałam zginąć, Polska, dla nieprawości potomków moich, a Tyś mię, Boże wyrwał wszechmocną ręką swoją z przepaści śmierci. Podałeś mię sąsiadom moim nielitościwym: Sudermanowi, Moskwicinowi, Tatarzynowi i rebelizującemu²⁾ Kozakowi, ale na skaranie tylko, nie na zgubę, na wykorzenie zbytków i swejwoli dziełek moich, ale nie zatracenie i wyniszczenie imienia polskiego,

Odpowiada Pańskim imieniem... psalmista święty i mówi: „Sąsiadów twoich krzywoprzysięgłych, którzy powstałi na cię, o Sarmacya niezwyciężona, rozproszy Bóg zastępów wielmożną ręką swoją;... skarze i buntowników kozackich i zdrajców ojczyzny wszystkich wyniszczy:... ale pierwej skarze złości synów twoich swawolnych“... Mówi przez Izajasza Pan: „Nie zlituję się, Korono polska, nad tobą, aż się pierwej zemszczę despektu³⁾ mojego, żeście mandata moje znieważyli, aż wyniszczę tych wszystkich, którzy Kościół mój sprofanowali, aż wysmażę wszystkie nieprawości tego ludu złośliwego, że nie zostanie, jeno brant

¹⁾ jako wielkie uczyniłeś mi uciski mnogie i złe, a nawróciwszy się, ożywiłeś mię i z przepaści ziemskich zasię wywiodłeś mię (Psalm 70); ²⁾ rebelizujący=powstańczy; ³⁾ despekt=zniewaga.

cnoty samej chrześcijańskiej. Dopiero wam przywrócę położonych ludzi sprawiedliwych i pobożnych, jacy bywali za przodków waszych; dopiero dam senatorów mądrych, poważnych, jakicześcicie za starych wieków miewali; dam i pokój pożądany, którymescie gardzili pierwej, i tron pomazańca waszego utwierdzę;... będą się rebelizanci lękać twarzy jego, i zdradliwi poddani, którzy go nienawidzili, nie będą śmieli ukazać się przed majestat jego, poganie będą się strachać imienia jego, i wszyscy oblicznie ¹⁾ nieprzyjaciele jego będą się strachać imienia jego; albowiem wszechmocna ręka moja będzie zawsze przy nim obecna, i zastępy moje niebieskie będą stawały na posiłek w każdym boju, gdy się kto targnie na niego. Ale pierwej omyjcie łzami nieprawości wasze, upokórzcie się przed majestatem moim, żałujcie za grzechy wasze, pokutujcie, żyjcie pocziwie!“...

Ratuj nas sam, Boże, Zbawicielu nasz, w tych utrapieniach, abowiem próżno się mamy spodziewać ratunku z Rakus, próżno i ze Francyej, mało nas wesprą i włoskie obietnice i kumanie się z Perekopem, nic nie pomogą Wołosza, Węgry i Siedmigrodzianie, byśmy ich nabardziej prosili, bo się oni teraz cieszą z nieszczęścia naszego, jako i wszyscy inszy Pogranicznicy! W samym tylko Bogu nadzieja a w pokucie świętej, do której się z szczerego serca udamy,... z nieba otrzymamy posiłki, z nieba dadzą nam męstwo, śmiałość, siły i serce nieustraszone, że, jakęśmy teraz po te lata sromotnie uciekali dla grzechów naszych, tak, za pomocą Najwyższego, gdy się poprawimy w cnotcie, będą przed garstką naszych uciekały niezliczone hufce nieprzyjaciół naszych...

Obrońco nasz niezwyciężony, Chryste Zbawicielu, wejżrzy na pokorę ludu Twojego utrapionego, którzy wszystkę ufność swoją i nadzieję w Tobie pokładają, że, przyjąwszy płaczliwe modlitwy nasze, wyrwiesz nas z paszczę-

¹⁾ obliczny=obecny.

ki nieprzyjaciół naszych! Wejźrzy i na pomazańca Twojego, KAZIMIERZA, króla naszego, który do Ciebie samego ucieka się o ratunek!...

A że jesteś, Panie, z natury Twojej boskiej „*patiens et multum misericors*”¹⁾, proszę, uboga matka Polska, już już konająca, przepuść grzechy dziatkom moim, zewsząd utrapionym, a gniew Twój boski wylej na pogany niewierne, na heretyki złośliwe, na schizmatyki uporczywe! A syny tej zacnej Korony, po rozmaitych krainach rozproszone, zgromadziwszy do ich ojczyzny, pokojem pożądanym racz miłosiernie opatrzeć i błogosławieństwem Twojem niebieskiem!...

§ 57. Smutniejsze jeszcze świadectwo, niż Starowolski w „Reformacyi obyczajów“, wystawił swemu społeczeństwu magnat wielkopolski, wojewoda poznański, smutnej pamięci Krzysztof Opaliński (1610 — 1656), najznakomitszy satyryk XVII w. Byłto człowiek wykształcony (uczył się zagranicą) rozumny, zdolny, nie pozbawiony nawet szlachetnych popędów: cóż z tego, kiedy zaślepiaty go szalona pycha magnacka i duma szatańska, silniejsza od głosu sumienia i miłości ojczyzny, i one to popchnęły go naprzód do wichrzycielstwa, potem zaś do jawnej zdrady: mając osobistą urazę do Władysława IV, haniebnie go szkalował, a urażony na Jana Kazimierza, że go o radę nie pyta, wichrzył w obozie pod Beresteczkiem; wreszcie, kiedy Radziejowski naprowadził Szwedów na ojczyznę, wydał Wielkopolskę w ich ręce i podpisał kapitulację pod Ujściem.

Wybitne stanowisko w literaturze zapewniają mu pisane białym wierszem „Satyry albo przestrogi“ (1650). Poezyi nieme tu ani na lekarstwo, wiersz—lichy, język—nietylko pospolity, ale rubaszny, czasem nawet plugawy, upstrzony makaronizmami (które pan wojewoda innym

¹⁾ cierpliwy a wielce miłosierny (Psalm 144).

wytykał). Miał zato Opaliński dar spostrzegawczy, czasem—się oburzenia oraz dowcip złośliwy (ale rubaszny), a nadewszystko miał wcale niepospolity rozum polityczny, to też jasno zdawał sobie sprawę z anarchii w Polsce; miał wreszcie i odwagę cywilną i nie wahał się piętnować nawet najdroższego skarbu szlachty—złotej wolności. Treść satyr jest bogata. Nie oszczędził autor nikogo: ani króla, ani hetmanów i innych dostojników, ani szlachty, ani duchowieństwa. Złe wychowanie dzieci, opłakany stan szkół, ciemnota duchowieństwa; zepsucie obyczajów, życie nad stan, pijaństwo, oziębłość w prawdziwym nabożeństwie obok dewocyi, brak miłosierdzia dla ubogich; nieposzanowanie władzy króla, „który Polakom nigdy nie wygodzi“: bezsilność praw wskutek słabości władzy wykonawczej; niekarność wojskowa i brak fortec pogranicznych; przedajność urzędników (zwłaszcza sędziów); pustki w skarbie i t. d., słowem — okropna anarchia; nadto upadek miast, przemysłu, handlu oraz straszny ucisk chłopów: oto treść satyr, które składają się na ponury, rozpaczliwy obraz ówczesnej Polski. Czasem wprawdzie przesadza Opaliński, jakby chcąc zohydzić własną ojczyznę, mówiąc np., że wszyscy rycerze w obozie, a wszyscy posłowie i senatorowie w sejmie są pijani, albo np., że na dworze Władysława IV trzeba się mieć na baczności przy obiedzie, aby wraz z potrawą arszeniku nie połknąć: ale, po większej części satyry mówią, niestety, prawdę—bolesną, upokarzającą, ale prawdę.

Z poszczególnych satyr wyróżniają się przedewszystkiem te, które charakteryzują stan wychowania i oświaty. W satyrze „Na złe ćwiczenie i rozpasaną edukacją młodzi“ opisuje autor tryb wychowania bogatego panicza: w dzieciństwie pieszczą go, „papinkami karmią: uchowaj Boże inszej potrawy dzieciątku, tylko co się na „ątko“ zwykło terminować¹⁾, jakoto: gołębiątko, kurczątko, cielątko“; „po

różnych przymówkach i krewnych i przyjaciół“ posyła ojciec swego gagatka do szkoły, „przykazawszy surowie i pedagogowi i tym, którzy są przy nim, aby długo sypiał, aby różga na ciałku jego nigdy nie powstała“. „Rośnie Jaś, jak cielątko, będzie wołek z niego!“ W szkołach nie nauczy się niczego, ale rodzice unoszą się nad jego uczonością i dla dokończenia edukacji wysyłają go zagranicę, gdzie czasu nie traci: nauczy się grać, śpiewać, tańczyć, „à la mode chodźć, stroić i wszystko czynić po francusku“; po powrocie „już mu i Polska śmierdzi i wszystko w niej gani; o Francyi powiada, o damach, baletach, nic nie umie, tylko łągać, a udawać rzeczy; w zwierciadle ustawicznie, ni tam małpa jaka, muszcze się, goli brodę i dwa razy na dzień;... prezumpcyi¹⁾ nazbyt, którą ma o sobie, że grzeczny, że uczony, że wszyscy błaznowie, tylko sam nie“.

Surową, ale słuszną krytyką szkół krajowych jest satyra „Na tych, co się sobie mądrymi i uczonymi zdadzą“: „Chłopca przez siedm lat bawią samą gramatyką, którą, jako papuga, trzepie bezrozumnie“; za najwyższą mądrość uczą go poczytywać „macaronice mówić“; prócz łaciny, liznął jeszcze trochę tego i owego i przechwala się: „Umiem wszystko! Naprzód jestem astrolog: piszę minucye²⁾, znam i wiem bardzo dobrze, co „ephemerides²⁾, jestem przytem orator, jakiego tu niema kraj ten, ba, wszystka Polska! Umiem oracyje pisać, z inszych złożone szumnych oratorów;... jurysta ze mnie szumny: czytałem „ius“³⁾ w szkołach!“ Hala, hala! Dosyć-ci! Ays jedną rzecz dobrze z tych umiał, mógłbyś się tem, miły, koutentować! Ale pono u ciebie—jakoż tak jest właśnie— „ex omnibus aliquid et

¹⁾ prezumpcyja = zarozumialość; ²⁾ minucye, ephemerides = kalendarze astrologiczne; ³⁾ ius = prawo

ex toto nihil¹⁾: taka w tobie nauka, taka twoja mądrość, mój miły astrologu, miły oratorze, filozofie, jurysto, medyku „et nihil²⁾” Pójdź jeno do obcych ziem: nauczysz się, coto człowiek uczony albo nadto człowiek mądry. Tu, u was, gdy kto sobie łaciną pomaże gębę, zaraz uczony, zaraz człowiek godny. Nie dziw, że „inter caecos monocus rex est³⁾...”⁴⁾

Złośliwym dowcipem odznacza się satyra „Na terazniejsze w różnych zakonach obyczaje”. Zarzuca tu autor zakonnikom, że nie zachowują ślubów posłuszeństwa, ubóstwa i czystości obyczajów; gniewa się, że mnichów w Polsce jest za dużo (niechby szli do krajów zamorskich nawracać pogan!), ubolewa nad upadkiem kaznodziejstwa: „Teraz, miasto nauk duchownych, powiadają bajki jakieś albo historyje żartowne i nie wiem, co tylko; błaznują czyli każą, trudno i rozeznać; ot, uszy tylko bawią, a gdy na kazanie przyjedziesz, stanieć za jedną szczyrą krotofilę”. Wejdzie mnich na ambonę, „odmie się, jak półtora nieszczęścia... uformuje postawę i cerę⁴⁾”, jakoby trzeciego dnia gadał z Panem Bogiem”; wreszcie zaczyna się kazanie. We wstępie jest wszystko, czego dusza zapragnie: i zodyak niebieski i astrologia i cytaty z różnych uczonych,—„kleju, dla Boga, kleju do tego kazania!” Następuje część pierwsza, „część niepospolita, słuchaczom niepojęta, kaznodziei 'skryta“: a są w niej bezsensowne koncepty i dykteryjki oraz cytaty z historyka (!!) Pindara, z poety rzymskiego (!!) Demostenesa i t. d. Teraz ma się zacząć część druga, ale autor woła, „Przebóg! Nie zabijaj! Dostyc było drew w pierwszej. Stój tak, stój dla Boga!”

Z satyr, wymierzonych przeciwko anarchii, jedną z najlepszych jest „Na ogołocone ściany w obronę“, t. j. na bezbronność granic Rzeczypospolitej (wskutek braku fortec

1) ze wszystkiego coś, a z całości nic; 2) i nic; 3) pomiędzy ślepyimi i jednooki jest królem (np. bezrybia i rak ryba); 4) cera=mina.

i wojska). Słusznie mówi Opaliński, że chyba tylko jakimś cudem Polska jeszcze istnieje; trywialny, ale trafny jest pomysł, że „zgoła tak sobie z nami Bóg więc zwykł poczynać, jako który pan z błaznem: gdy błazna opadną chłopięta, jeden go w zad uszczypnie, drugi go zakole, gdzie najgorzej; błazen się opędza i wrzeszczy raz, drugi raz; cierpliwie pan słucha, aż też, gdy chłopcy błazna nazbyt obracają i nie dadzą wypocząć, pocznie wrzeszczeć, gębę aż po uszy rozdarłszy, że się też naprzykrzy panu onem wrzeszczeniem: dopieroż zawoła na chłopcy: „Chłopy, ciszej! długoż tego będzie?“ A chłopcy, w kierz ¹⁾, odbiegą błazna i igrania. Tak Pan Bóg czasem czeka, aż nieprzyjaciele dowoli się ucieszą, zewsząd obracając mizerną naszą Polskę; dopiero, gdy nazbyt naprzykrzą się i onej i Jemu samemu, zawoła: „Ciszej, Turcy! ciszej, Tatarowie! A Turcy—w kierz i oraz inszy bisurmańcy. Opatrzność zgoła boża nad nami, Polaki!...“ Ale i Bóg przestanie wreszcie pomagać tym, którzy, spuszcżając się na Opatrzność, sami sobie nie pomagają: „Nierządem Polska stoi i—nierządem zginie!“

Lecz najsilniejszą i najboleśniejszą jest satyra „Na ciężary i opresyą chłopską w Polszcze“ — jaskrawy, ale zgodny z prawdą, obraz ucisku ludu wiejskiego.

NA CIĘŻARY I OPRESYĄ CHŁOPSKĄ W POLSZCZE.

Rozumiem, że Bóg Polski za nico nie karze
Więcej, jak za poddanych srogą opresyją
I gorzej, niż niewolą,—jakoby chłop nie był
Bliźnim nietylko twoim, ale i człowiekiem.
Serce się oraz lęka, skóra drży, wspomniawszy
Na tę niewolą, która cięższa, niż pogańska.
A! dla Boga, Polacy! czyście oszaleli?

¹⁾ krzak.

Wszystko dobro, dostatek, żywność, wszystkie zbiory
Z waszych macie poddanych; ich ręce was karmią:
Przecie się tak okrutnie z nimi obchodzicie?
Wielbłąd—tak powiadają—nad siły nie nosi
I, kiedy go najuczają, że przeładowanym
Być się poczuje, zaraz tamże się położy
I wstać nie chce. Opak tu: bo nad przyrodzone
I boskie prawa chłopak wytrzymać to musi,
Co mu pan na ramiona włoży, by miał zdyszeć!
Łają i kaznodzieje, łają spowiednicy,
Piekiełm grożą; nic na tem! Sami to biskupj
Przez swoich ekonomów czynią i prałatów,
A bodaj i nie więcej! Ma szlachcic ubogi
Zasłonę, kiedy widzi, że przedniejszy grzeszą!

Naprzód, jakie ciężary w samych robocznach!
Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo więcej,
Tam ich ośm albo dziesięć, a przecię to zrobić
Każą dziesięci, co ich dwadzieścia robiło!
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednemu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech,
Gdzie dwa dni albo i trzy robili w tygodniu,—
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.
Gdzie wolny szynk piw bywał, zwłaszcza w księżych dobrach,
Teraz i to odjęto, i pić każą piwo,
Któremby same trzeba dyjabły truć w piekle!

Rzeczysz: „Ale mam dziatki, mam i różne spezy!“¹⁾
Wszystko to zły duch weźmie: i zbiory i ciebie
I dzieci; bo taki zbiór nie zwykł bywać trwały!

Nie wspominam zaś zdzierstwa, które z chłopów czynisz!
Powiedzą słudzy, czeladź: „Chłop tu jest bogaty,
„Ma bydła, owiec, inszych dobytków nie mało“.
— „Znidzie się to na kuchnię!“—Zrodził mu się jęczmień,

¹⁾ speza = wydatek

Pszenica: — „I ta dobra na piwo dla gości!“ —
Zgromadził też nieborak, grosz jeden i drugi: —
— „I ten się na wydatki znidzie!“ — Szyją buty
Chudzinie. O przyczynkę nie trudno. Winują
Stem, drugim grzywien chłopą, ledwie że i dusze
Nie wydrą z niego! Czemu? że jest najbogatszy!
O drugim zaś powiedzą: „Ma roli dostatek
„I dobrej:“ — „Znidzie się to na folwark: wziąć mu ją!
„Ba, i wszystkich pozrzucić z ról, a folwark tamże
„Założyć!“ — Stanie się to w jednymże tygodniu.
Płaczą chudziny: ociec, matka, dzieci, wszyscy,
Do nieba tylko krwawe skargi posyłając
I tam żądają zemsty, która, nie leniwa,
Jeśli nie na tym, tedy onym następuje
Świecie, kędy oddadzą sowicie złem za złe.
A my przecię nie dbamy, bo baczyć nie chcemy,
Co się z nami po śmierci dzieć będzie, ani też
Piekła widzimy, ani o niem pamiętamy!

Ale spyta kto: „Jużeś wszystko wypowiedział?
Stu gąb i stu języków — i to jeszcze mało —
Potrzebaby na słuszne chłopskich opresyi
Wyrażenie. Jeszcze mam kilka ich powiedzieć.

Kiedy wiosna nastąpi, a deszcz ustał w maju,
Czarownice przyczyną! Zdechł wół jeden, drugi,
Albo tam co z przychowków, — czarownice winą!
Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć,
Aż ich z piętnaście wyda! Ciągnie kat i pali,
Aż powie i powoła wszystkie, co ich we wsi;
A baba, dziw, że pana z panią nie powoła,
Którychby raczej spalić za to, że niewinnie
Męczyć i tracić każą swoich bez przyczyny!
I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka,
A piętnaście pogłowia spalą! Co, dla Boga,
Za przyczyna? Pan chory i niema wskórania,

Schnie, i dzieci mu często umierają w domu;
Jakoby i suchoty i śmierć przyrodzone
Nie były i zesłane od Boga samego!
Nie wspomnię, jacy w takim sądzie zasiadają:
Chłoptwo głupie, ławnicy, albo i ci, którzy
Przyczynkę jaką mają na niewinnych chłopków!
Ale ażaż nowina i nie z tej przyczyny
Męczyć ludzi? Urzędnik dla chłopca obiesić¹⁾,
O czym nawet pan nie wie. Ale cóż wżdy zrobił?
Ukradłże co, czy zabił? jestże świadek jaki?
Żadna o głowę ludzką zwłoka nie jest długa:
Wżdy poczekaj i uczynź wprzód inkwizycyją!²⁾
„Na co inkwizycyja? Chłop to i poddany!“
— „To poddany nie człowiek! — „Ej, nie, daj mi pokój!
„Wiem, co czynię!“ Znajdzie się drugi, co piątnuje,
Co bije do umoru, co w tarasie³⁾ zgnoi,
Co różgami siec każe, jako dzieci w szkole,
Sędziwych i poczciwych starców bez przyczynyl

Będzie czasem stąd pretekst, że nie piją w karczmie,
Choć złe, choć kwaśne piwko, choć się wszem złym godzi.
Powiem, bo też zamilczeć trudno. Gdym raz jachał
Przez pewne wsi, kazałem piwa wynieść z karczmy.
Wyniesiono. Spytałem się: „Takież u was piwo
„Zawsze bywa?“ Powiedzą: „I sto razy gorsze,
„A przecię je pić musim, bo pan karczmarzowi
„Oddaje pewną liczbę beczek do tygodnia,
„Za które karczmarz musi oddać mu pieniądze,
„Lub wypijem, lubo nie! Karczmarz zaś dochodzi
„Na nas straty, dobrze to wprzód obrachowawszy,
„Wiele rozmiarów przyjdzie na każdego chłopca.
„Jeśli w karczmie nie będzie, zaniosą do domu
„One piwa rozmiary! Pij, choć złe, a nie chcesz

1) obwiesić; 2) inkwizycyja=śledztwo; 3) taras=więzienie.

„Wylej choć świniom, przecię zapłać karczmarzowi!“
Toż i z owsem i z mąką i z solą, z śledziami,
Czynią, którymi chłopcy coraz zarzucają!

O, sroga opresyja, nigdzie nie widziana!
Chłopka takim przyciskać ciężarem, który to
Księdzu, Rzeczypospolitej, panu, żołnierzowi,
Urzędnikom, pisarzom, klechom, sługom pańskim,
Hajdukom i kozakom, dzieciom swym i żenie
Dawać musi ustawnie z ubogiego szplachcia!¹⁾
Draż go w mieście i w karczmie, we dworze, w kościele
Ledwie, że nie ze skóry, a przecię pociągać!
Włodarze sami, o mój Boże, co więc czynią
I jako z chudzinami często wymyślają!
Czemu? bo pan tak kazał: pana trzeba słuchać!

I te-ć to opresyje onych dawnych wieków,
Po wypędzeniu Ryksy drapieżnej i z synem
Kazimirzem, sprawiły, że się wszystko było
Poddaństwo zbuntowało na swe własne pany;
Stądże musieli pierzchać i kryć się po lasach
I po różnych pustyniach, tak księża, biskupi,
Jako i kasztelani i wojewodowie,
Gdy ich chłopcy szukali, dochodząc krzywd swoich!
Też ciężary Pawluków, Muchów, Nalewajków,
Buntowników i teraz krwawej nabawiły
Wojny i srogiej hańby ojczyznę, ba, mało,
Nie ostatniej już zguby, gdy Bóg to „flagellum“²⁾
Przez chłopcy zesłał na nas, karząc oczywiście
Wprzód klęską i więzieniem hetmanów, a potem
Brzydką i desperacką ucieczką³⁾, nakoniec
Śromotnym i zelżywym pokojem ojczyznę!
„Per quae“ bowiem „quis peccat, per eadem“ także
„Punitur“.⁴⁾ Doznaliśmy, ach! doznali tego!

¹⁾ szplachec = kawałek roli; ²⁾ bicz, ciłosta; ³⁾ pod Piławcami;

⁴⁾ czem kto grzeszy, tem będzie ukarany.

Zamykam, jakom zaczął: że Bóg Polskę karze
Najwięcej za poddanych, ba, i karać będzie,
Jeżeli się, Polaku nie obaczysz kiedy!

§ 58. Satyrykiem był i brat Krzysztofa Opalińskiego, marszałek nadworny, **Łukasz Opaliński** (1612 — 1662) rozumem i nauką bratu nie ustępujący, a przewyższający go znacznie wartością moralną: i on wprawdzie wicherzył przeciwko królowi (na sejmie r. 1638), ale potem opamiętał się i był wiernym sługą Rzeczypospolitej. Z kilku pism jego dwa zwłaszcza zasługują na uwagę: broszura polityczna i satyra.

Broszura, upstrzona makaronizmami, ale bardzo mądra, najmędrza ze wszystkich pism politycznych XVII w., wyszła bezimiennie p. t. „Rozmowa plebana z ziemianinem“ (1641). Do ziemianina przychodzi w odwiedzinach pleban, i obydwaj boleją nad tem, że się w Polsce corazto gorzej dzieje. Pleban, przez którego usta przemawia sam autor, tłumaczy ziemianinowi, że główną przyczyną anarchii jest słabość władzy królewskiej, a więc jej wzmocnienie jest głównym środkiem ratunku Polski. „Jako zepsowania Rzeczypospolitej jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, tylko gdy się do niego powróci, t. j. pod władzą większą i panowanie królów, którego teraz cień i godność władzy próżna“. Tej prawdy nikt od czasów Skargi nie zrozumiał i nie wypowiedział tak jasno, jak Łukasz Opaliński. Ale, naturalnie, ziemianin oburza się na to: „Nie chcę, nie chcę tej poprawy! Wolę zwyczajny nasz nierząd, byle przy wolności... Rzeczpospolita nasza żadną miarą nie da się do tego przywieść, aby w swobodach swych jakie ubliżenie ponosić miała“. Pleban, widząc, że głupiego szlachcica nie przekona, wypowiada pogląd jego

umiarkowańszy, ale także bardzo mądry: jeżeli główną władzę w Polsce ma sejm, to niechże przynajmniej ten sejm odbywa się porządnie, z planem i ładem! Nie dosyć na tem: radzi pleban (choć trochę nieśmiało), aby odebrać sejmikom prawo unieważniania uchwał sejmowych, bo inaczej sejm nie będzie miał powagi ani znaczenia. Rady to najmędrze, najgłębsze w całej literaturze XVII w.!

Ale ich nie usłuchano: w lat jedenaście po ukazaniu się tej broszury nastąpiło pierwsze „liberum veto“. Napiętnował je Łukasz Opaliński w satyrze, pisanej naprzemiennie prozą i wierszem, a wydanej także bezimiennie p. t. „Coś nowego, pisanego Roku tysiąc sześćsetnego Pięćdziesiątego wtórego. Drukowano w Koziej Głowie, Kiedy miesiąc był na nowie, Kosztem zaś pana jednego Z bractwa Pilawieckiego; A drukarnię zaś zakryto, Boby drukarza zabito“. Może nie mylił się autor: możeby naprawdę zabito drukarza, gdyby go znano, a i autorowi, gdyby nazwiska swego nie ukrył, może nie uszłaby na sucho ta satyra, rąbiąca szlachcie w oczy cierpką prawdę. Mniejsza o to, że Opaliński szydzi niemiłosiernie z głupich akademików krakowskich i ciemnych zakonników, że bez litości ośmiesza długie a głupie mowy sejmowe; nawet o to mniejsza, że drwi z tych, co uchodzą za szlachciców, nie mając do tego prawa: ważniejszą jest rzeczą, że ostro napada na wolność szlachecką i jej źrenicę—„liberum veto“: „Na sejmie każdemu wolno zgubić ojczyznę!—Jakoż to?—Bo wolno nie pozwolić obrony, nie dać mówić o niej, nad dobrem pospolitem mścić się swej urazy, pretekstem prawa swojej dochodzić prywaty, sejm zawieszać; nakoniec wolno i rozerwać, zwłaszcza, gdy całość wszystka Rzeczypospolitej w dyskrecyi jednego jest posta z Upity!“ Lecz najciekawszą część satyry stanowi sarkastyczny opis ucieczki z pod Pilawiec w r. 1648, kiedy to przeszło 200,000 wojska polskiego uciekło na wieść, że Chmielnickiemu

przyszedł na pomoc Tuhaj-bej, powitany przez hetmana kozackiego strzałami armatnimi. Bez litości piętnuje autor tę sromotę, krwawo szydząc z jej winowajców i uczestników:

Nowa sromota i nienagrodzona
Hańba Polakom! Ziemia opuszczona
Wszej Ukrainy, w której chłop nasz hardy
Panuje, pełen gniewu i wzgardy...
Zawołano: „Tatarowie!”
Aż moi w nogi panowie!
I, kopije porzuciwszy
I ledwo szabel dobywszy,
Wszyscy prawie tył podali...

Wszystkim hałas daje puchu,¹⁾
Właśnie tak, jako gdy: hul hul
Zwykle na wilki wołają,
Gdy przede psy uciekają!
Za nowym regimentarze
Wodzem, z-nimi komisarze,
Jadą śpieszno i panowie,
Waleczni bohaterowie!
Jedzie rycerstwo, co żywo,
Niemcy, dragoni — nie dziwo? —
Gonią wodzów, pułkowników,
Rotmistrzów i poruczników.
Uchodząc, siła szeptali
Do siebie, bowiem mniemali,
Że za nami Tatarowie:
Jak się to głosem ozowie,
Trwoga, bojaźń i strach srogi
Przyprawia skrzydła do nogi.

¹⁾ t. j. wszyscy, słysząc huk armat, poczuli się tak lekkimi (do ucieczki), jak puch.

Ktoby krzyknął: ha! ha! ha!
Duszaby go odbieżała...

Nie cięży brzuch ani sadło
Choć się cały dzień nie jadło
Ani spało przez dwie nocy!
Dosyć jest sił, dosyć mocy...
I ten zasię panicz chudy...
Pędzi skoczno albo leci,
A za nimi, kłusząc,¹⁾ trzeci
Mówi: „Ręka nas dotknęła
„Pańska i rozum odjęła!“
Tak więc zawsze mówimy,
Kiedy co sami pokpimy!

§ 59. Na nieszczęście nie posłuchała szlachta ani zacnych rad Starowolskiego, ani mądrych przestroóg Opałińskich. Do serca przypadł jej inny pisarz, marszałek owego nieszczęsnego sejmu roku 1652, obrońca złotej wolności i „liberum veto“, kasztelan lwowski i wojewoda podolski, **Andrzej Maksymilian Fredro** (1621—1679). Dziwny to człowiek: miał zdolność i bystrość umysłu i dar spostrzegawczy i niemałe wykształcenie; miał i serce szlachetne, gorąco ojczyznę kochające: podczas wojen kozackich własnym kosztem wystawił dwie chorągwie; cóż z tego, kiedy nie posiadał równowagi umysłowej: w jego pismach łacińskich, obok myśli zacnych i rozumnych, są poglądy tak głupie, jakgdyby ich autor był waryatem, i tak potworne, jakgdyby ich autor był zdrajcą ojczyzny. Dowodzi np. Fredro, że tron obieralny jest lepszy od dziedzicznego: przecie, jeśli król jest dobry, to po jego śmierci naród i tak syna jego obierze; o tem, że bezkrólewie jest klęską dla państwa, Fredro zapomina. Lecz są myśli jeszcze głupsze: „liberum veto“ jest błogosławieństwem dla Pol-

¹⁾ kłusać = kłusować.

ski, ono to bowiem sprawia, że głupia większość nie rozkazuje mądrej mniejszości (!!); nie przyszło jakoś Fredrze na myśl, że dzięki „liberum veto“ głupia albo podła mniejszość rozkazuje mądrej albo szlachetnej większości! Ale szczytem tych absurdów jest pogląd, że Polska póty będzie potężna, póki nie będzie miała fortec, póki będzie istniało „liberum veto“, póki skarb będzie świecił pustkami i t. d. Trudno uwierzyć, żeby takie brednie głosił człowiek o zdrowych zmysłach! Dzieła polityczne Fredry są świetnym wyrazem i dowodem ogłupienia politycznego szlachty XVII w.

Popolsku napisał Fredro jedno tylko dzieło, krótkie, ale niepospolite: „Przysłowia mów potocznych“ (1658). Pisze w przedmowie, że są te przysłowia „na przysługę języka polskiego wypisane, polską własnością brzmiące, w niewielu kartach, jako w małej bryle funt dobrego złota“. Ma słuszność. Jego przysłowia są naprawdę przysługą dla języka polskiego, bo autor, wielki miłośnik mowy ojczystej, władał nią pysznie, cieszył się jej bogactwem i karciał tych, co ją pstryli makaronizmami. Są dalej te przysłowia „uwagą głębokie“, często w małej bryle zawierają funt złota: w krótkich, jędrnych zdaniach nieraz mieszczą myśl głęboką, bo Fredro znał dobrze świat i ludzi. Oto przykłady: „Wielkie rzeczy zamilknieniem najlepiej się mówią“. — „Najlepiej o Bogu mówi, kto nie mówi, lecz podziwieniem dokłada“. — „Cóż po tem wiedzieć, co się w Rzymie działo, a nie wiedzieć, co się dzieje doma?“ — „Nie wskrzesi racya zguby.“ — „Własne rzeczy afektem, nie rozumem się sądzą“. — „Spokojna myśl — najlepsze ludzkie szczęście“. — „Łatwiej o dyskurs, aniżeli o rzecz“. — „Z swoim na czoło, z cudzem go kąta, choć dobre“. — „Odległością opinia roście“. — „Prawdy a żartów, jako soli zażywać, bo prędko przesolisz“. — „O pracy a o nędzy najsmaczniejszy dyskurs, póki jej kto nie pokosztuje“. — „Wielka jest różność umieć samemu co, a umieć tegoż nauczyć kogo“.

Te i inne jeszcze przysłowia stosują się do wszystkich wogóle ludzi i narodów; ale są i „polską własnością brzmiące“, t. j. takie, które stosują się przedewszystkiem do nas, np.: „Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu“: tutaj ma Fredro na myśli naszą złotą wolność. „Na jednego kara, a postrach na wszystkich“: w Polsce nawet zbrodnia uchodziła często bezkarnie, więc nie było postrachu. „Są, którzy Rzeczpospolitą w kieszeni chowają,—rzeczono na tych, u których pospolite dobro tak dalece w cenie, jako ich własna zasięga kieszenia“: jest to doskonała charakterystyka prywaty polskiej. „Kto mówi: „Nierządem Polska stoi“, sam ma nierząd w głowie“: święta prawda, ale sam Fredro, dowodząc użyteczności „liberum veto“, uczył, że nierządem Polska stoi, a zatem...

Ale nie wszystkie przysłowia, „polską własnością brzmiące“, są mądre; mówi np. Fredro: „Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zagubią: kto co gani, tego nie kocha; czego nie kocha, o to nie dba“. Nieprawda: Skarga kochał Polskę, jak nikt za jego czasów, a ganił ją tak surowo, jak nikt! W tem przysłowiu (a i w wielu innych) Fredro jest nauczycielem fałszywego głupiego patriotyzmu!

§ 60. Wielu pisarzy pierwszej połowy XVII w. wzoruje się jeszcze na literaturze wieku złotego: Szymonowicz np. piękność swego języka zawdzięcza poczęści Kochanowskiemu; „Roxolanki“ Zimorowicza są w pomysle swoim naśladowaniem „Sobótki“ Kochanowskiego; Starowolski bardzo często powtarza myśli Modrzewskiego i Skargi. Lecz jednocześnie, także już w pierwszej połowie XVII są pisarze, którzy szukają nowych dróg dla swej twórczości i wzorują się na literaturze narodów romańskich, zwłaszcza na włoskiej. Te zaś literatury już w XVI stuleciu posiadały całe mnóstwo poematów i powieści ry-

cersko - fantastycznych. Z poematów najznakomitszych są dwa, obydwaj włoskie: „Orland szalony Ariosta i „Jerozolima Wyzwolona“ Tassa; treścią pierwszego są różne przygody fantastyczne rycerza, który oszalał z miłości; treścią drugiego — pierwsza wyprawa krzyżowa pod wodzą Gotfryda de Bouillon. Obadwa te poematy przełożył na język polski bratanek Jana z Czarnolasu, **Piotr Kochanowski** (1566 — 1620); „Orland szalony“ pozostał w rękopiśmie (w całości ogłoszono go dopiero r. 1905), natomiast „Goffed albo Jeruzalem wyzwolona“ doczekał się już w XVII w. trzech wydań (pierwsze 1618). Przekłady te, dokonane na wzór oryginału oktawami, chociaż tu i owdzie niekoniecznie wierne, są śliczne, zwłaszcza przekład „Jerozolimy“. A jej treść — walki chrześcijan z Saracenami, życie obozowe, niebezpieczeństwa i trudy wojenne, a nadto miłość rycerzy, np. miłość bohaterskiego chrześcijanina Tankreda ku pogance, cudownie pięknej i walecznej Kloryndzie, — ta treść była nowością dla czytelnika polskiego, rozbudzała w nim fantazyę, otwierając przed nim świat nieznaną a uroczą. To też Piotr Kochanowski, choć tylko tłumacz, położył niemałe zasługi w historii poezji polskiej: pod wpływem przełożonej przez niego „Jerozolimy“ powstawały w wieku XVII samodzielne poematy epiczne, opiewające życie rycerskie; ślady jej wpływu są widoczne jeszcze w „Grażynie“ Mickiewicza.

Zawitały do nas z zagranicy i powieści fantastyczne — o królewnach zaczarowanych, o królewiczach błędnych, o awanturach nadzwyczajnych. Do najpoczytniejszych należała przełożona z francuskiego powieść wierszowana **Hieronima Morsztyna** p. t. „Historye ucieszne o zacnej królewnie Banialuce“ (na początku w. XVII), pełna przygód tak dziwacznych, że aż imię bohaterki poszło w przysłowie: „pleść banialuki“ znaczy to samo, co „pleść koszałki-opałki“.

Jakiś królewicz zabłądził w lesie na polowaniu, aż ujrzał pałac wspaniały; chociaż strzegły go lew i niedźwiedź, dostał się jakoś królewicz wraz z giermkim do wnętrza, ale nie zastał nikogo. Niebawem powraca z wycieczki właścicielka pałacu, uroczą Banialuka: zrazu nie posiada się ze złości na widok nieproszonego gościa, ale wkrótce potem „gniew swój opuściła i na twarz jego ochotniej patrzyła“, poczem opowiada królewiczowi swoje dzieje: przed rokiem, po śmierci obojga rodziców, uczyniła ślub, że przez całe trzy lata nie będzie patrzyła „na insze ludzie, tylko na swój fraucymer“; więc opuściła strony rodzinne i zamieszkała w tym oto pałacu. Tymczasem zastawiono ucztę: „tu dzika zwierzyna, owdzie się z misy kurzy tłusta cielęcina, sam jarząbek w rosole, indyk do podlewcy“; podczas uczyty „żądło gładkości“ królewicza tak „nielitościwie zraniło“ Banialukę, „że jakoby siedziała we mdłości“, i nawzajem „żądło gładkości“ Banialuki zraniło królewicza. Ale czas wracać do domu: na pożegnanie królowna daje królewiczowi połowę pierścienia na znak, że za kogo innego za mąż nie wyjdzie. Królewicz wraca do domu, ale codzień Banialukę odwiedza. Aż dowiedziała się o wszystkim jakaś królowna, która już dawno królewicza kochała, i ślubuje zemstę: jej ochmistrzyni-czarownica wręcza giermkowi królewicza zaczarowane jabłko z rozkazem, aby, gdy znów do pałacu Banialuki z królewiczem pojedzie, dal mu je zjeść. Królewicz zjadł i zemdlął: nadbiegła Banialuka, naciera „pachniącemi ziółkami“ puls, wodą „zakrapia uschły język jego“, — wszystko na nic; nie pomogły ani „całowania“, ani „milusieńkie przytulania“: królewicz leży, jak nieżywy, zrozpaczona Banialuka odjeżdża. Dopiero po jej odjeździe ocknął się królewicz i powrócił do domu. Nazajutrz było jeszcze gorzej: królewicz znowu przyjechał, znowu zjadł jabłko, i „większe go dziś, niż wczora boleści objęły... jęczał, leżąc, i mruczał i zgrzytał

zębami, pianą parskął i brzydtko wywracał oczami“. Zbo-
lala Banialuka, że to Bóg ją karze za złamanie ślubu,
opuszcza pałac i powraca w swe strony rodzinne; nagle
„piorun rozpalony uderzył na on pałac,... gromy straszne
trzaskały, wichry popędliwe czynią znągła ruiny w pałacu
straszliwe“. Huk piorunu obudził królewicza; teraz dopie-
ro domyślił się on zdrady giermka, zabił go, poczem po-
wędrował w świat szukać Banialuki. Idzie do świętego pu-
stelnika i pyta, czy nie wie, gdzie królowna; pustelnik nie
wie, zwołuje wszystkie zwierzęta, którym panuje,—nie wie-
dzą. Królewicz idzie do drugiego pustelnika jeszcze święt-
szego, który rozkazuje ptakom. Zlatują się ptaki. „Struś
krzyczał, żóraw strukał, a pawy wrzeszczały, fenik się śmiał
bociany nosem klekotały, bażant piał, a bąk bączał, kra-
czą ślepowrony... Plegotały kaweczki, sroki szczegotały...
Sowy huczały, puszczyki z puszczykiem wołały, drop ksy-
kał, głuszc puchał, dudkowie dudają, grały cietrzewie,
a ich ciecioriki kokały... Ciurkał dzięcioł, wróbel świerkał,
strzykały chróściele, słowiczek lamentował, a pardwa kok-
ciele... Psykali czyżykowie, kwiczoły piskały, drozdy skrzy-
pią, a żolny niemiło skrzeczały, zięba cin-cin, sikora ta-
ra-ra przydaje, strzyżyk ci-ci, a więcej głosu mu nie sta-
je“. Ale i ptaki nic nie wiedzą. Królewicz idzie do trze-
ciego pustelnika, już najświętszego, który rozkazuje wia-
trom: wiatry wiedziały, i jeden z nich zanosí królewicza
do królestwa Banialuki. Tu w tajemnicy godzi się króle-
wicz za ogrodnika w pobliżu zamku Banialuki. Kiedy
czas żałoby po rodzicach Banialuki minął, zjeżdżają się ry-
cerze na turnieje: kto zwycięży, ten rękę królowny otrzyma.
Zwycięża, naturalnie, królewicz, ale nie wyjawia jeszcze,
kto jest: tylko zawija ową połowę pierścienia w papier
i każe wręczyć obecnej na turniejach królownie. Kończy
się na weselu: królewicz obejmuje państwo Banialuki, obie-

cując swym poddanym, że uszanuje wszystkie ich wolności,—niby król polski, zaprzysięgający „pacta conventa“.

§ 61. Z poetów, którzy się wzorowali na poezji włoskiej i francuskiej, największy talent posiadał poeta miłości, **Andrzej Morsztyn** z sandomierskiego (ur. około r. 1613, zm. 1693), wielki bywalec, który zjeździł całą niemal Europę zachodnią, dworzanin Władysława IV i Jana Kazimierza, gładki dworak i ulubieniec królowej Maryi Ludwiki (żonaty z jej damą dworską, Katarzyną Gordon, Angielką), podskarbi wielki koronny, zręczny, giętki i czynny dyplomata, człowiek wykształcony i doświadczony, posiadający niemal rozum polityczny, bystro przewidujący skutki anarchii, słabości władzy królewskiej i obieralności tronu, pragnący też przekształcić państwo polskie na wzór potężnej i rządnej Francji, w której dziedziczny król posiadał władzę nieograniczoną; ale człowiek bardzo lichy, intrygant i niemal zdrajca ojczyzny, skoro wicherzył przeciw królowi Michałowi, zamiast którego byłby wolał widzieć na tronie Kondeusza, a potem, za Sobieskiego, przekupiony przez Ludwika XIV, starał się unicestwić zamiar zawarcia przymierza Polski z Francją: nie dziw, że się go ojczyzna wyparła, że na stare lata musiał Morsztyn uchodzić z Polski, aby kości na obcej ziemi złożyć.

Pochłonięty sprawami publicznymi, Morsztyn dorywczo tylko mógł się poezji poświęcać; w jednym wierszyku mówi, że „sobie w domu gędził, aby zły humor odpędził“, t. j. przyznaje się, że poezję poczytywał jedynie za rozrywkę. A szkoda, bo talent miał niemały, chociaż niesamodzielnny, — nie twórczy, tylko przetwórczy: znając i lubiąc poezję rzymską, nadewszystko jednak włoską i francuską, bądź tłumaczył jej utwory, bądź przerabiał, bądź naśladował; drukiem swych poezji nie ogłaszał, wiedząc, że nie pozna się na nich ogół, nie znający literatury obcej i nie lubiący cudzoziemszczyzny, że podobać się mo-

gą jedynie garstce panów i dworzan królewskich; ci bowiem zasmakowali w cudzoziemszczyźnie — za przewodem Władysława IV, który, dzięki odbytym w młodości podróżom po Europie, polubił obyczaje obce (przepadał np. za operą włoską), a więcej jeszcze za przewodem królowej Maryi Ludwiki, księżniczki francuskiej, od której przyjazdu zaczął się szerzyć u nas wpływ cywilizacji francuskiej (obejmując jednak zrazu tylko najwyższe warstwy społeczeństwa). Otóż poezya Morsztyna ma charakter dworski, cudzoziemski, jest owocem wpływów obcych, poczęści francuskich, a głównie włoskich.

Jako dworzanin i wierny sługa królowej Maryi Ludwiki, kobiety rozumnej, dążącej do wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce, Morsztyn popierał jej zamiary nie tylko czynem, ale i piórem: przetłumaczył wierszem znakomitą tragedję Kornela „Cid“, która obfituje w sentencye moralne i przestrogi, zalecające pomiędzy innemi, wierność i nieograniczone posłuszeństwo królowi; pierwsza to tragedia francuska, przełożona na język polski — wcale udatnie; odegrano ją na dworze królewskim podczas sejmku (1661).

O królowej i jej mądrych planach nie zapomniał Morsztyn i w powieści poetycznej, p. t. „Psyche“ (ogłoszonej drukiem dopiero w końcu XVII w.). Pewien król miał trzy córki, z których najmłodsza, Psyche, była tak cudownie piękna, że ludzie przestali czcić nieśmiertelną Wenerę, wołając składać hołdy śmiertelnej Psysze. Zawrzała gniewem bogini i uknuła zemstę, której wykonanie pragnie powierzyć synowi swemu, Amorowi; szuka go więc po różnych krajach, ale znaleźć nie może, ani nawet przypuszczając, że Amor bawi sobie najspokojniej... w Warszawie, na dworze Maryi Ludwiki. Znalazła go wreszcie Wenera i rozkazuje mu wynosić się z Polski, lecieć do Psychy i zranić jej serce strzałą miłości ku „brzydkiemu chłopcu“. Ale sta-

ło się inaczej: ujrawszy Psyche, rozkochał się w niej Amor i wziął ją za żonę — pod warunkiem, że nigdy nie będzie starała się dowiedzieć, kogo ma za męża. Lecz, podmówiona przez siostry zazdrosne, dowiedziała się, i Amor zagniewany porzucił ją. Zrozpaczona Psyche szuka Amora po świecie, ścigana przez Wenerę, aż nakoniec, opadając z sił, „myszka trafiła do łapki“: sama oddaje się w ręce Wenerze. Ta znęca się nad nią okrutnie: „w złotych warkoczy gęstwinę niemiłosierne zapuściwszy palce, ciągnie z pośmiechem zbieganą dziewczynę przez dworzec, przez drzwi, przez progowe walce“; „potem, zmieszawszy zboża i nasienia różnego, kupę niebodze odmierzy i rozkazuje, żeby bez mruczenia w osobne kupki, a w kilka pacierzy, wszystkich zrobiła różne podzielenia, pierwiej niżli się wróci od wieczerzy“; spełnia Psyche tę robotę — przy pomocy drobnych mrówek (które, naturalnie, Amor posłał jej na pomoc). Poczem przynosi wełny złocistej z dzikich, straszliwych baranów, przy pomocy trzciny, „natchnionej własnym duchem Kupidyna“, która radzi jej, by czekała, póki barany nie zasną: „wtenczas po krzakach zbiera, wełnę, którą tam zostawiają, trąc się o nie skórą“. Wreszcie w nurtach rzeki, której „źródła w piekle się schowały“, przynosi wody — przy pomocy orła, który, „wydarłszy jej flaszkę w swe pazury, wzbija się od niej aż na sam wierzch góry, i tam, śmiertelną napełniwszy wodą, oddaje nazad zupełne naczynie“. Ale Wenerze jeszcze mało: Psyche musi iść do piekła, aby przynieść od Prozerpiny „bielidła, którem się piękną Plutonowi czyni“. Idąc za radą gadającej wieży piekielnej, i to zadanie spełnia Psyche: wraca z puszką, ale zdjęta „białogłowskim ciekawym humorem“, nie wytrzymała, otworzyła puszkę i — padła bez zmysłów. Ocucił ją Amor, który już dawno złożył gniew z serca i, zmiękczywszy prośbami serce Wenery, wyznał swą miłość Jowiszowi; a ten, „pogłaskawszy synaczka pod

brodę“, do reszty ugłaskał Wenere, która „chętnie przyjmuje Psychę za synową“.

Powieść ta, osnuta na jednym z najpiękniejszych podań greckich, nie jest oryginalna: jej główne źródło stanowi utwór poety włoskiego, Mariniego, którego Morsztyn to przerabiał, to tłumaczył. Oryginalnym jest tylko ustęp o dworze Maryi Ludwiki, której nie szczędzi poeta pochwał: „Przewyższa wielką fortunę umysłem, umysł rozumem, rozum wszelką cnotą; jako nad bajką i pięknym wymysłem, zdziwi się przyszły wiek nad jej robotą, nad zdrową radą, nad mieszkaniem nieściszłym, gdy między stany stwierdza zgodę złotą albo zachęca na nieprzyjacioły, albo funduje szpitale, kościoły... Chce za żywota, łaską dzięków godną, wcześniej opatrzyć królem te dziedziny, lecz i w tem Polskę znajduje niezgodną. Nie wal na prawo, o Polaku, winy: chciwość, niesłowność, praktyki i płone nadzieje w zguby pędzą cię nieschronne“.

Najchętniej pisywał Morsztyn wierszyki drobne, jako to zagadki, epigramaty, komplementy dla dam dworskich, oraz dowcipne, ale często swawolne, fraszki; głównie jednak opiewał miłość, jak to widać z dwu zbiorów jego poezyi, które w rękopiśmie podarował na pamiątkę dwu swoim znajomym. Zbiór pierwszy, ofiarowany koniuszemu koronnemu, Aleksandrowi Lubomirskiemu, ma dziwaczny tytuł: „Kanikuła albo psia gwiazda“ (1647); zawarte tu poezye pisał Morsztyn z nudów, kiedy bawił raz w stepach nadnieprzańskich podczas „kanikuły“, t. j. podczas strasznych upałów letnich, kiedy to w nocy świeci na niebie kanikuła, t. j. psia gwiazda. Zbiór zaś drugi, podarowany Łukaszowi Opalińskiemu (§ 58), ma napis „Lutnia“ (1661), ponieważ tak właśnie zatytułował swoje poezye ulubiony poeta Morsztyna, Marini. Otóż na obydwie te zbiory składają się przeważnie wiersze miłosne. A są one zupełnie inne od pieśni miłosnych Kochanowskiego (§ 40) i od

„Roxolanki“ Zimorowicza (§ 54): te są zazwyczaj naturalne, proste, szczerze i przez to tak miłe; wprowadzie i Morsztyn, kiedy chciał, umiał wypowiadać swoje uczucia w sposób naturalny i wdzięczny, ale najczęściej silił się na dziwaczne, wyszukane pomysły i na styl nadto kwiecisty; chodziło mu bowiem nie tyle o szczery, ile o wymowny wyraz uczucia, o popisanie się swoim mistrzostwem w pisaniu wierszy. Tej zaś sztuki nauczył się głównie od Mariniego. Wiersze jego roją się od takich metafor, jak np.: „Oczy twe nie są oczy, ale słońca“, „Usta twe nie są usta, lecz koral rumiany“, „Oczy — serca mego zwierciadła, gwiazdy nieba miłosnego“; od takich porównań, jak np. porównanie zakochanego z jedwabnicą, z drzewem wilgotnym, syczącem w ogniu, z trupem i t. p.; zapewnia poeta, że z miłości mdleje, kona albo że się rozsypuje w popiół; dziwi się, że „w płaczu żyje, wśród ognia pałając“, a więcej jeszcze dziwi się, jakim cudem żyje, kiedy jnż nie ma serca, bo ono nie do niego należy, i t. d. Wszystko to wyszukane, nienaturalne, nie polskie, tylko obce; ale sztuka jest, i to niemała. I, jak Marini w poezyi włoskiej, tak Morsztyn w polskiej jest najwybitniejszym i najzdolniejszym przedstawicielem stylu kwiecistego, barokowego (§ 51), jest mistrzem (wirtouzem) wyszukanej formy, autorem najzręczniejszych sonetów w całej poezyi staropolskiej, a do tego mistrzem języka polskiego.

JEDWABNICA.

Patrz, Kasiu, jako, gdy ciepła panują
Jedwabną przędzę robaczkowie snują,
Jak żyją liściem, jak, gęste osnowy
Puszczając, domek gotują grobowy:
To ja tak właśnie robię bez przestania
I kręcę głową z mroku do zarania;
Liściem się karmię, niepewny nadzieje,

Które twej wietrzyk niełaski rozwieje;
Z myśli i z żądze nawinąwszy przedzę;
Różne z niej nici dowcipem swym pędzę;
I w tem dumaniu tak się bardzo topię,
Że trunę sobie kuję i grób kopię;
Potem, jak i on, co z pracą zbuduję,
Tamże to zgryzę, samże to popsuję.

Ł Z Y.

Jako drzewo surowe, na ogień włożone,
Sapi naprzód i dmucha; potem, otoczone
Nieprzyjacielem wkoło, przez kryjome oczy
Wszystkę wilgotność z siebie i wszystek sok toczy;
Nakoniec, kiedy mu już obrony nie staje,
W wągiel gore, a potem w szczyry popiół taje.
Tak ja, opanowany będąc twą miłością,
Wzdychałem naprzód, srogą ściśniony tęsknością:
Potem sobie i łzami serce ulżywało;
Teraz, gdy mi obojga tego już nie stało,
Tleję w wągiel, a jeśli nie spojrzysz wesołem
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem!...

D C T R U P A.

(sonet).

Leżysz zabity: i ja też zabity;
Ty—strzałą śmierci: ja—strzałą miłości;
Ty—krwie: ja w sobie nie mam rumianości;
Ty—jawne świece: ja mam płowień skryty;
Tyś na twarz suknem żałobnem nakryty:
Jam zawarł zmysły okropnej ciemności;
Ty masz związane ręce: ja, wolności
Zbywszy, mam rozum łańcuchem powity.

Ty jednak milczysz: a mój język kwili;
Ty nic nie czujesz: ja cierpię ból srodze;
Ty, jak lud: a ja sam w piekielnej śrzedze;
 Ty się rozsypiesz prochem w małej chwili:
 Ja się nie mogę, stawszy się żywiołem
 Wiecznych mych ogniów, rozsypać popiołem.

CUDA MIŁOŚCI.

(sonet).

Przebóg! Jak żyję, serca już nie mając?
Nie żyjąc, jako ogień w sobie czuję?
Jeśli tym ogniem sam się w sobie psuję,
Czemuż go pieścisz, tak się w nim kochając?
 Tak w płaczu żyję wśród ognia pałając!
 Czemu wysuszyć ogniem nie próbuję
 Płaczu? czemu, jak z ogniem, postępuję,
 Że go nie gaszę, w płaczu opływając?
Ponieważ wszystkie w oczach u dziewczyny
Pociechy, czemuż muszę od nich stronić?
Czemuż zaś na te narażam się oczy??
 Cuda te czyni miłość: jej to czyny,
 Którym ktoby chciał rozumem się bronić,
 Ten prędzej w sidło z rozumem swym wskoczy!

O SWEJ PANNIE.

Biały i polerowany jest marmur z Karary,
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,
Biały łabędź i białem okrywa się piórem,
Biała perła, nie częstym zażywana sznurem,
Biały śnieg, świeżo padły, nogą nie deptany,
Biały kwiat lilijowy, na świeżo zerwany:
Ale bielsza mej panny pleć twarzy i szyje,
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

NIESTATEK.

Oczy są ogień, czoło jest zwierciadłem,
Włos—złotem, perłą—zęb, płeć—mlekiem
zsiadłem.

Usta—koralem, purpurą—jagody,
Póki mi, panno, dotrzymujesz zgody.
Jak się zwadzimy, jagody są trądem,
Usta czeluścią, płeć—blejwasem bladym,
Zęb—słupią¹⁾ kością, włosy—pajęczyną,
Czoło—magłownią, a oczy—perzyną!

NIESTATEK.

Prędzaj kto wiatr w wór zamknie, prędzaj i promieni
Słonecznych drobne kęski wżenie²⁾ do kieszeni;
Prędzaj morze burzliwe prośbą uspokoi;
Prędzaj zamknie w garść świat ten, tak wielki, jak stoi;. .
Prędzaj, płacząc nad Etną; łzami ją zaleje;
Prędzaj niemy zaśpiewa, a ten, co szaleje,
Co mądrego przemówi; prędzaj stała będzie
Fortuna, i śmierć z śmiechem w jednym domu siedzie;
Prędzaj poeta prawdę powie, niż sen płonny;
Prędzaj i aniołowi płacz nie będzie płonny;
Prędzaj słońce na nocleg skryje się w jaskini;
W więzieniu będzie pokój, ludzie na—pustyni;
Prędzaj nam zginie rozum i ustaną słowa, —
Niżli będzie stateczną która białogłowa!

§ 62. Chwałę poezji XVII wieku stanowi bogata epika historyczna. Już w początkach tego stulecia ukazują się opowiadania i pamiętniki wierszowane o różnych wypadkach, później zaś, pod wyraźnym wpływem Jerozolimy Wyzwolonej Tassa w przekładzie Piotra Kochanow-

1) słupi=trupci; 2) 3) osoba i pojed. od węgnać.

skiego (§ 60), powstają obszerne (czasem ogromne) poematy, czyli, właściwiej mówiąc, wierszowane kroniki, opiewające to poszczególne zdarzenia dziejowe, to całe współczesne dzieje Polski. Wyróżnił się na tem polu Wielkopolanin **Samuel Twardowski** (ur. około r. 1600, um. 1660), ziemianin, rycerz i poeta. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: poprzestał na ukończeniu szkoły jezuickiej; ale, mając umysł z natury ciekawy, lubił czytać książki: znał literaturę ojczyzną XVI wieku i współczesną, znał poetów i historyków rzymskich, rozumiał prawdopodobnie i powłosku. Ale głównem źródłem jego wiadomości była nie tyle nauka, ile samo życie: przechodził on bowiem najrozmaitsze koleje, bywał na wozie i pod wozem, gospodarował to na zachodnich, to na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej; przebywał na dworach magnatów, którym się wysługiwał i pochlebiał; z Krzysztofem Zbaraskim, koniuszym koronnym, jeździł do Konstantynopola, towarzyszył również, jak stę zdaje, królewiczowi Władysławowi w jego podróżach zagranicznych; brał udział w wojnach z Moskwą, Turkami, Kozakami i Tatarami, ale, kiedy Szwedzi przyszedli do Polski, dał się obalamucić magnatom i stanął po stronie najeźdźców — w jak najlepszej zresztą myśli — będąc przekonany, że król szwedzki porządek w Polsce przywróci. Pokazuje się więc, że Twardowski, chociaż szczerze kochał ojczyznę, nie miał jasnego pojęcia, jak ją kochać trzeba: i przez to jest typem przeciętnego szlachcica XVII w., chociaż skądinąd był wyższy od ogółu szlachty, skoro zdawał sobie sprawę z anarchii i w pismach swoich śmiało jej objawy piętnował.

Jako poeta, był wielce ceniony przez współczesnych, którzy nazywali go Wirgiliuszem polskim. W istocie nie umywał się do Wirgiliusza; posiadał niezaprzeczony talent, i to zarówno epiczny, jak liryczny; czasem (zwłaszcza w młodych latach) umiał to, co na własne oczy widział,

opisać żywo, to zaś, co własnem sercem odczuł, wypowiedzieć wcale wdzięcznie, niekiedy z siłą. Ale te chwile szczęśliwe były, niestety, rzadkie: już w szkołach zabito Twardowskiemu klina w głowę, że poezya tylko wtedy jest poezją, kiedy obfituje w szumne wyrażenia i porównania, kiedy, jak on sam mawiał, jest „zwierzchu ocukrowana attyckimi kanary“ (słodyczami), t. j. upiększona mitologią i ozdobami, wziętymi z poezyi starożytnej. Otóż tego klina nie wybił sobie Twardowski do śmierci: „cukrował“ swoją poezję wtedy zwłaszcza, kiedy chciał być uroczyстым, a że uroczyстым chciał być zwykle, więc jest on typowym wyobrazicielem napuszonego stylu w poezyi, co nie przeszkadza, że przez treść swoją jest to poezya bardzo ciekawa i wielce różnorodna.

Niektóre utwory Twardowskiego świadczą, że nie zerwał on z tradycją poezyi wieku złotego: rozumiał, że największym poetą polskim jest Kochanowski, i naśladował go w „Trenach“, napisanych po śmierci „wdzięcznej dziewczyny, jedynaczki swojej“, Maryanny, w których ból rodzicielski przemówił rzewnie i serdecznie. A na wzór „Satyra“ Kochanowskiego (§ 38) napisał Twardowski swojego Satyrę: „Satyr na twarz Rzeczypospolitej“ (1640). W Beskidach, w budzie drewnianej, mieszka już od lat przeszło tysiąca Satyr, to też pamięta jeszcze owe czasy, kiedy się Wanda uganiała za jeleniami i turami, a i to pamięta, że się dawniej dobrze działo w Polsce. A teraz? Strach mówić, bo, kto mówi Polakom prawdę w oczy, ten, „jak po ogniu i po brzytwach chodzi“. Ale trudno,—mówić trzeba! Więc narzeka Satyr na pijaństwo, stroje wykwintne i wogóle na zbytki szlachty; oburza się na szlachcianki, że strojami rujnują mężów, że córki źle chowają, nie strzegąc ich od złego przykładu; gniewa się zwłaszcza na żony-rzędziochy, trzęsące domem i trzymające mężów pod pantoflem; księżom zarzuca chciwość i skąpstwo. Lecz suro-

wiej jeszcze sądzi Satyr życie publiczne. Zarzuca szlachcie brak miłości ojczyzny, skarży się na długie i czeze gadaniny podczas obrad sejmowych, na zrywanie sejmów (a zrywano je i przed Sicińskim), na zdzierstwa, jakich się żołnierze po wsiach dopuszczają, na łapownictwo urzędników. Opisując życie dworskie i ubolewając nad zczudziemieniem dworu królewskiego, doskonale charakteryzuje dworaków, pochlebiających panu: „Nabożny, — więc i trzech mszy słuchać z nim w kościele; myśliwy, — to ni o czem przed nim dyskutować, tylko o psiech; gniewa się,—więc go nie hamować, owszem, zaraz zabijać; a hu-czy i pije,—to pić także“! Lecz najsilniej chłószcze Satyr przedajność sądów, zwłaszcza trybunału lubelskiego: kto chce sprawę wygrać; to musi posłać sędziom „to wódek, to piotrzkowskich krupek na złocistych miednicach“; „drugim podrzucają konwie srebrne i czary, a choć się gniewają i chcą w rzeczy¹⁾ wyrzucać, przecię pod oknami rzadko kiedy ich znajdują“; nie dosyć na tem: trzeba sędziom ucztę wyprawić, trzeba się płaszczyć przed nimi, zapominając o własnej godności. Z godną uznania bezstronnością mówi Twardowski, że „gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami, snadźby wszystek trybunał wzgóre stał nogami“, t. j.; gdyby nie było wśród sędziów kilku uczciwych protestantów, trybunał byłby licha wart. Równie śmiało karcii Twardowski szlachtę, że, bojąc się o swoją złotą wolność, nie pozwala królowi na reformy: „Król począł co najlepiej, — zda się, że ku szkodzie i urazie wolności, którą sobie mamy za żrenicę;... jeszcze w Augustie Zygmuncie królów polskich powaga i słowo ustało święte i nieodmienne“. Wógóle „Satyr“ Twardowskiego to jedna z najlepszych i najśmielszych satyr XVII w.

A jednak dziwna rzecz: ten sam człowiek, który tak

¹⁾ nibyto

ostro ciął społeczeństwu prawdę w oczy, był jednocześnie niesmacznym panegirystą, wynosząc w napuszonych wierszydłach pod niebiosa Władysława IV i tych magnatów, którym się wysługiwał, aby sobie i nadal ich łaski zaskarbić! Te panegiryki, tak znamienne dla literatury XVII w. (§ 51), to drugi prąd twórczości Twardowskiego.

A trzecim są utwory powieściowe, pisane pod wpływem poezji romańskiej. Był niegdyś Twardowski obecny na przedstawieniu opery włoskiej w Warszawie, na dworze królewskim; opera tak mu się podobała, że przerobił jej libretto, i w ten sposób powstała jego udramatyzowana sielanka miłosna p. t. „Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się“, pisana — na wzór „Jerozolimy Wyzwolonej“ Piotra Kochanowskiego — dźwięczną oktawą. Osnowa sielanki (wzięta z Owidyusza) jest następująca. Apollon, uwielbiany przez pasterzy za to, że zabił straszliwego smoka, który szerzył spustoszenie w całej okolicy, wzbija się w pychę i szydzi z Kupidyna, że kiedy ten strzał swoich „na pleć miękka i ludzi lekkie używa“, on, Apollon, zabił swą strzałą okrutnego potwora. Wenera, mszcząc się zniewagi syna, każe mu zranić Apollona strzałą miłości: jakoż Appolon, rozkochany w towarzyszcze Dyany, uroczej Dafnie, goni ją przez las gęsty i już ma dogonić, kiedy Dyana, na prośbę błagalną Dafny, zamienia ją w drzewo bobkowe (laurowe). Zrozpaczony Apollon ślubuje, że odład z liści laurowych wić będzie wieńce dla zwycięzców. Są w tym utworze prawdziwie poetyczne ustępy: pięknie zwłaszcza umiał Twardowski wyrazić uczucia rozkochanego Apollona i trwożliwej Dafny. Oto np. żale i zapłaty Apollona, kiedy mu się Dafne ukazała i znikła:

Dotąd przyjsć jeszcze nie mogę do siebie,
Jakom tak wdzięczne utracił widzenie:
Ledwie tak wznidzie Jutrzenka na niebie,

Że pochmurzony Oryjon¹⁾ ją zżenie.
Ja, który widzę w najgłębszym Erebie²⁾,
Który wszelakie oświecam stworzenie,
Lasem okryte i pustynią ciemną, —
Dafnis się jedna utai przedemną?

Pójdę jej szukać, by³⁾ mi w Kaledony⁴⁾
Przepadła same i hercyńskie gaje⁵⁾,
Skalistą Atho⁶⁾ i ostre Edony,⁷⁾
Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje, —
Pójdę, nie swymi wiatrami niesiony,
Póki mi ducha, póki głosu staje.
A ty, świadoma mego niepokoja,
Nie opuszczaj mię, cytro wdzięczna moja!..

O! pójdę za nią przez ognie, przez miecze,
Sam⁸⁾, gdzie Kaukazus dziki nie mieszkany!
Niech ją pod ziemię skryje Prozerpina:
Nie zniknie Dafnis nigdy Apollina!..

Uroku sielance dodaje jeszcze tło, na jakim umieścił ją poeta,—piękna natura, mianowicie bujny las, porośły w modrzewie, jodły i dęby, „w ciemnym gdzie liściu gżegżołki kukają“. Mieszkają w tych lasach pasterze i pasterki; ich miłość wcale wdzięcznie wyraził Twardowski, zwłaszcza Korydona i Filidy, która tak wymawia ukochanemu jego czarną niewdzięczność: „Nie był mój nigdy z twoim porównany w kochaniu afekt, o zmienniku srogi? Pomniesz, wiem, pomniesz: ledwie dzień wstał rany, aż ja małdrzyki tobie i pierogi i, co najśłodszej zebrawszy śmiotany, w spore pod wieczór naląła trzynogi; o co gdy się więc matka kłopotąła, tom ja na czeladź, to kotki składała“.

1) Oryon=myśliwy z Beocyi, ukochany przez Jutrzenkę (Eos); gwiazda na niebie północnem; 2) Ereb—świat podziemny; 3) choćby; 4) Kaledony=okolice miasta Kalidon w Etolii; 5) las hercyński—pasma górskie na północ od Dunaju; 6) góra w Macedonii; 7) okolice góry Edon w Tracyi; 8) tam.

Dafnis to najpiękniejsza sielanka miłosna w poezji staropolskiej, napisana w jednej ze szczęśliwych chwil Twardowskiego.

Ani się nawet równać z nią nie może powieść wierszem, którą Twardowski napisał, jak się zdaje, pod koniec życia, p. t. „Nadobna Paskwilina, z hiszpańskiego w polski przemieniona ubiór“. Utwór to rozwlekły, dziwaczny, ale bardzo znamieny przez tę naukę moralną, jaką autor pragnął wpoić w serca czytelników, zwłaszcza kobiet. Rzecz dzieje się w Portugalii za czasów Filipa II. Wenera, wygnana przez Turków z Cypru, przeniosła się do Lizbony i zamieszkała we wspaniałym pałacu; w temże mieście mieszka cudnie piękna, ale płocha, zarozumiała, rozkochana w strojach i zabawach panna Paskwalina, w której się młodzi na zabój kochają; dumna ze składanych sobie hołdów i pochlebstw, uwierzyła, że jest piękniejsza nie tylko od Heleny i Meluzyny, ale i od samej Wenery. Tego Wenera ścierpieć nie może: rozkazuje Kupidynowi zranić serce dziewczyny strzałą miłości ku Oliwerowi. Zakochała się Paskwalina w Oliwerze i wyznaje mu w liście swą miłość. Lecz Oliwer, kochający swoją narzeczoną, Kornelię, gardzi afektem Paskwaliny i pokazuje jej list Kornelii, ta zaś „roztrzęsie po mieście wszystkim zaraz, co każdej wrodzona niewieście, że nic taić nie może i jedna przez drugą, coś mając z świągotliwą wspólnego papugą: choćby nawet sygnetem usta swej Junonie Jowisz zapieczętował, ona to wyzionie“. Upokorzona Paskwalina, za radą swej piastunki, składa pychę z serca i puszcza się w pobożną pielgrzymkę: odbywa pokutę naprzód w klasztorze Minerwy (!), potem w klasztorze Junony (!). Po drodze doświadcza różnych przygód. Raz zabłądziła do Apollona, który prosił ją „trochę posiedzieć“ i częstował „połędwicą jelenią“ (pociechy na swój smutek po stracie Dafny Apollon szuka w grze na lutni i w czytaniu „ksiąg niebieskich

w kosztownej oprawie⁴). Innym razem, przechodząc przez łąkę, ujrzała na niej Kupidyna, śpiącego, „jakoby zarżniony“ (bo zmęczył się świeżo odbytą podróżą do Ameryki): przyskoczyła, porwała jego łuk i „złamie go we troje“, porwała strzały i „w drobne wióry zdruzgoce“. Po odbyciu pokuty Paskwalina wraca do Lizbony, gdzie z okna swego pałacu pokazuje „wszystkiemu zgarnionemu miastu“ potrzaskaną „armatę“¹⁾ Kupidyna. Wenera ze wstydu ucieka, Kupidyn wiesza się z rozpacz, a Paskwalina swój pałac, brzmiały niegdyś wesołą muzyką, „na klasztor reformuje i kosztowny wzbudzi przy nim kościół; tamże z wielkim tryumfem te porozpinała łupy Kupidynowe na pamiątkę wieczną, a sama, w swem zawzięciu będąc już stateczną, grono Westy, bogini dziewic, zgromadziła i, zamknawszy, spół się im ksienią poświęciła, czem więcej już daleko, niż słynąc z gładkości, w wielkiej sławie dożyła i świątobliwości“. Sens moralny jest ten, że „panienki“ powinny kochać się nie w „powierzchownej ozdobie“, ale w cichej i świątobliwej pracy, innemi słowy, że uroda i wogóle rozkosze tego świata są marnością, że prawdziwą wartość ma tylko służba boża, a najlepiej służyć Bogu w klasztorze: oto środek do moralnego odrodzenia społeczeństwa. Zachęca więc Twardowski czytelników do życia ascetycznego, i z tego właśnie względu jego Paskwalina jest utworem wysoce znamienym, jako objaw wzrostu pobożności i ascezy klasztornej XVII w. Jest również „Paskwalina“ wymownym objawem zepsutego smaku: Twardowski był przekonany, że prawdziwa poezja nie może się obyć bez pierwiastków starożytnych (bogów pogańskich i t. d.), wprowadził je więc nawet do utworu, którego myśl przewodnia jest chrześcijańska: przecie świat starożytny nie znał ascetyzmu; tymczasem w powieści

¹⁾ armata = łuk.

Twardowskiego Apollon czytuje książki pobożne, Junona Minerwa i Westa mają swoje klasztory i t. d.; przez tę właśnie mieszaninę pierwiastków pogańskich i chrześcijańskich „Paskwalina jest typowym utworem literatury XVII w.

§ 63. Miano Wirgiliusza polskiego zjednały Twardowskiemu trzy ogromne poematy historyczne; „Przeważna legacya Krzysztofa Zbaraskiego“ (1633), „Władysław IV“ (1649) i „Wojna domowa z Kozaki i Tatary, Moskwą, potem Szwedami i z Węgry“ (1681); pierwszy obejmuje przeszło 7,000 wierszy, drugi—przeszło 11,000, trzeci—przeszło 17,000.

Poematy te mają dwie wspólne cechy. Popierwsze, sąto, właściwie mówiąc, nie tyle poematy, ile kroniki rytmowane: autor, mając przed sobą notatki prozaiczne (własne albo cudze), przerabiał je wierszem, nie zmieniając ich układu, t. j. opisując zdarzenia historyczne w porządku ściśle chronologicznym, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień, czasem nawet dzieląc jeszcze dzień na ranek, południe i wieczór. Wymysłu poetyckiego, własnej fantazyi autora poematy te, jak przystało na kroniki, nie posiadają prawie zupełnie: „prawdę pisać jest moja intencya“, mówi Twardowski, ale dodaje: „jednak nie bez gracyi i zwyczajnych poetyckich przysad“. Otóż te „przysady“¹⁾, które, zdaniem autora, nadają „gracyę“ poezyi, to druga główna cecha trzech poematów. A jest tych „przysad“ całe mnóstwo, np. tak zwane inwokacye; wzorem poetów starożytnych zwraca się Twardowski do Muz („panien z Helikonu“, „Jowiszowych cór“), by go „duchem napuszyły swoim“ albo żeby „jego piersiami poruszyły“; to znów prosi Apollona, żeby mu „boki napuszył“. Jakoż poczuł się poeta napuszonym: więc Boga np. nazywa „hetmanem empirejskich zastępów“; zamiast powiedzieć: „przy

¹⁾ przysada = dodatek.

blasku księżycyca“, mówi „pod świecącą Lucyną“, zamiast „słońce pogodne wzeszło“: „już wdzięcznemi Lucyfer przeglądał oczyma i konie faetoińskie puhały nozdrzoma płomień hiperyjoński w karze¹⁾ złotokolej, pogodę i dzień niosąc nadzwyczaj wesoły“; szum wód dniewprowych opisuje tak: „Słyszeć tam niezmierny tumult wód spadających i chrapliwe Lernity i Charybdy i Scylle, strasznie bełkocące i na dnie Palemony, okropnie wyjące“ i t. p. Księcia Zbaraskiego nazywa autor Scypionem, Wiśniowieckiego — Achillesem i t. d. Słowem, owe „przysady“ polegają głównie na posługiwaniu się mitologią i historią starożytną. Na szczęście, są całe ustępy, wolne od „przysad“, i te mają bez porównania więcej „gracy“ i świadczą, że Twardowski, mimo wszystko, posiadał prawdziwy talent epiczny.

Dowodzi tego zwłaszcza najlepszy z trzech poematów: „Przeważna Legacya“. Zaczyna się od panegiryku na cześć rodu książąt Zbaraskich, który pod niebiosa wznosi Twardowski, sługa księcia Krzysztofa, mówiąc, że na ocean cnót jego świątobliwych w miaręk się puszcza łodzi; poczem opowiada o wojnach z Turkami, mianowicie o bitwie pod Cecorą i o wojnie chocimskiej, po której stanął pokój; ale warunki pokoju muszą być zatwierdzone przez sułtana,—i w tymto właśnie celu własnym kosztem jedzie do Konstantynopola Krzysztof Zbaraski, namówiony przez „wesołego Merkuryusza“. Otóż w orszaku książęcym był i nasz poeta, który notował sobie pilnie wszystko, co widział, a po powrocie do domu „wierszem ojczystym ilustrował“. Opisuje więc naprzód podróż do Turcyi przez Mołdawię i kraje słowiańskie, których bujna natura bardzo mu się podobała, brzegi Dunaju np., „gdzie po wdzięcznej trawie gęsi i białopióre pasą się żórawie, krzyk i lament łabędzi echo w cieniu sporzy,... brzegi bluszcz bujne snuje, z tej

¹⁾ kara = wóz

i owej strony smakiem nadoskonalsze zółcą się melony“; nie zapomniał wspomnieć i o obyczajach Bułgarów, o tem np., jak „pośród wsi wesolej, ujawszy się spolem, rej corocznych prazników pięknem toczą kołem; ci płaszą, ci w fujary i dzingi brząkają, a młodzi i dziewoje w takt im napiewują“. Nareszcie przybywa poselstwo do Konstantynopola: ze wszelkimi szczegółami opisuje poeta pobyt posłów w stolicy tureckiej; posłuchania u wezyra i sułtana, niegodziwe intrygi, wszczęto przez nikczemnego wezyra Dziurdziego, który nie chciał pokoju i godził nawet na życie księcia, ale Bóg, który „z turmy Daniela i, co było trudniej, z odbieżanej Józefa wywindował studni“, wybawił z niebezpieczeństwa i nabożnego posła polskiego: pokój stanął, za co Zbaraski „tu sławę wieczną, w niebie ma koronę“. Równie szczegółowo opisuje Twardowski Konstantynopol, jego okolice i obyczaje tureckie; wspaniałe budowle i place; sobór św. Zofii („sama jakby stała nie na ziemi machina, filaru nie mając, a tylko na odległych ścianach się wspierając“); ogród zoologiczny sułtana, „w cieniu, gdzie chowani lwi lamparci, tygryse... widziem mrówki indyjskie i przy jednym słupie żółwia afrykańskiego w niezbitej skorupie i, czem się Nil chlubi, ichneumona, który płód krokodylów gubi“; nabożeństwa, obrządki, zabobony, podania (a nawet przysłowia) tureckie; psy i koty, włóczące się po ulicach; wspaniałe brzegi Bosforu: „jeśli ludziom natura w czem dogodzić chciała, wszystko to, jako na sznur jeden, tu zebrała“; pomimo to, „milsze nam w domu szoldry¹⁾ i ciepłe kominy, aniż w raju tutejszym grana²⁾ i cytryny“, — i t. d. Wreszcie — powrót do domu: Zbaraski, okryty chwałą, przybywa do Warszawy, gdzie „panu swemu uczyni relacją“, poczem, „ważniejszy nad Etnę ciężar z plec złożywszy, pełen sławy, do swej się

1) szynki; 2) granaty.

wróci Końskiej Woli“; niebawem „srogie siostry¹⁾ ostatniej przedze mu dowiły“, ale „póki Arktur pożenie²⁾ złote gwiazdy swoje, z ust ludzkich nie wynidzie sławne imię twoje“. Wogóle poemat odznacza się niesmacznym panegiryzmem, ale poza tem posiada niemałą wartość, jako jeden z najciekawszych i najżywszych opisów podróży w literaturze staropolskiej (szkoda tylko, że napisany wierszem).

ROZUMIENIE TURKÓW O WINIE.

MAHOMET NA WESELU.

Tak wierzą, że, by najmniej wina ukusili,
Toż karanie w otchłani na to zasłużyli,
Jakoby o nawiecej: przetoż, gdy skosztują,
Do samego upadu piją i hoczują³⁾;
Czem już grzech popełniwszy, tak im snadź o mało,
Jako i wiele, cierpieć: to, co się przebrało
Nad miarę i baczenie, za zysk sobie mają.
Że w pijaństwie do woli swem się nąkochają.

Jakiby jednak skrupuł, a zwłaszcza przystarszy,
O to mieli, dwu widzim: oni, głowy wsparłszy,
Ręce sobie załomią i oczy wywrócą,
A swoim obyczajem żałośliwie nuca:

„O duszo! duszo moja! tyś, jak kryształ, czysta!

„Oto cię czeka ogień i kaźń wiekuista.

„Wynidź abo gdzie ustąp w ostatni kąt ciała,

„Żebyś się tak napojem brzydkim nie zmazała“.

Podobnych tym lamentów jeszcze nie skończeli,

Gdy, na dół się chynąwszy, z drugimi posnęli.

Czemuby jednak swoim tak zakazał wina
Bisurmanom Mahomet, mienia, — ta przyczyna:

1) t. j. Parki; 2) 3-cia osoba l. pojed. od pognać; 3) hoczować = hulać, dokazywać.

Gdy zmierzał po Arabach ziem i krajów wiele,
Trafił w drodze na jedno przypadkiem wesele;
Gdzie młodzi nowożenie zaproszą go z sobą,
Żeby on ich ozdobił swoją akt osobą.
Idzie rad. Przy obiedzie nie bawi się niczem,
Tylko się przypatruje gestom godowniczym...
Potrzeźwiu milczą wszyscy; jako jednak w głowie
Wino mózgu zagrzeje, i w tem się ozowie
Muzyka: wnet do lepszej pobudzą się woli,
Wyprawiwszy co młodszych w tańcu i kaproli¹⁾,
Nu, w chęci i ofiary: ten przytem umiera,
On wzajem (gdzieby można) serce mu otwiera;
Już z sobą się kumają, już spólnie darują,
A rube²⁾ do dna czary za zdrowie gruntują.
Zdadzą się³⁾ prorokowi one ich zaloty,
A coby za przyczyna takiej w nich ochoty;
Pyta się. Powiedzą mu, że wino sprawuje,
Kogo wdzięczną jagodą swoją zafarbuje.
Muszczowi⁴⁾ tedy temu hojnie błogosławi,
Że tak ludzi jednoczy i z uciechą bawi.
Wszakże, jako pod wieczór lepiej się nachyła,
Ucieszą go dopiero nową krotofilą:
Gdy jeden, zawadziwszy drugiego, tam trąci,
Wnet wszystkim po zastolu⁵⁾ we łbie się zamąci.
Nu, wija⁶⁾ do szarszunów⁷⁾! Pełno krwi i trwogi,
Że, nierząd zobaczywszy, i Mahomet w nogi!
Kiedy zaś po wczorajszym trecie⁸⁾ i igrzysku
Przypatrzy się onemu rano poboisku,—
Ci nosy odbieżane zbierają i zęby,
Owi gardła haftują i przecięte gęby,—

1) kaprol, kapryol = skok; 2) rube = gruby; wielki; 3) zdać się =
udać się, podobać się; 4) muszcz = sok wyciśnięty z jagód winnych; 5) za-
stole = miejsce za stołem; 6) dalejże! 7) szarszun = szabla; 8) tret = treta-
tertes, hałas, zamieszanie.

Tedy, tej komedyjej widzi gdy nie inną
Anse¹⁾ i okazyją, macieć klnie winną,
Pierwej ją poświęciwszy,—że za jej powodem
Taka złość między ludzkim dzieje się narodem.

I odtąd wino w Turczach (gdzie inšy warunek
Byłby na ich swawołą!)—za przekłety trunek.

Najbardziej napuszonym jest poemat „Władysław IV“. „Króla powiem wielkiego w wojnie i pokoju, pióra do sarmackiego pociągnąwszy stroju i Minerwy ojczystej. Precz baśni i owe nadludzkie w Meończyku²⁾ chwały Achillowe: nie stare tu Miceny, nie przyśnione Troje, ale słońce dzisiejsze tchną wnętrzości mojej... O, zaprawdę, otwiera wielkie mi się morze do chwał jego niezmiernych! Lecz, niż się zapuszczę w tęto przepaść głęboką, żagiel na dół spuszczę i lekuczko od pierwszej popłynę młodości aż do portu dzisiejszej jego dojrzałości“. Wychowanie królewicza (które się odbywało przy pomocy Marsa, Bellony, Minerwy i Muz); stosunki i wojny z Moskwą (Maryna Mniszchówna, dwaj samozwańcy, oblężenie Smoleńska, bitwa pod Kluszynem, obiór Władysława IV na cara i t. d.) aż do zawarcia rozejmu w Dywilinie (1618); wyprawy mołdawske (przy sposobności — historia Mołdawii od XIV wieku!) i wojny tureckie (Cecora i Chocim); podróż królewicza po Niemczech, Belgii i Włoszech; wojna z Gustawem Adolfem, zakończona rozejmem w Altmark (1629); śmierć i pogrzeb Zygmunta III; elekcyja; koronacya Władysława; świetne poselstwo Ossolińskiego do papieża z wiadomością o wstąpieniu na tron nowego króla; wreszcie trzy wojny w pierwszych trzech latach panowania Władysława IV: z Moskwą, Turkami i Szwedami—oto treść poematu, który, krótko mówiąc, jest wierszowaną historją Polski od młodości Władysława aż do pokoju polanow-

1) ansa = powód; 2) Meończyk = Homer.

skiego (1634) i rozejmu sztundorfskiego (1635). A wszystko to opowiedziane bardzo szczegółowo, zwłaszcza bitwy i oblężenie miast oraz rozmaite uroczystości i pompy dworskie, jak np. przedstawienie teatralne, dane we Florencyi na cześć królewicza, audyencya i uczta u papieża, który przypuścił królewicza do ucałowania swych „nóg błogosławionych“; pogrzeb Zygmunta III, koronacya Władysława IV i t. d. Panegiryzm względem obu królów przechodzi wszelką miarę: na pogrzebie Zygmunta III „konie same, żałośnie poryżając, nieraz w tych ciężarach grube łzy z oczu upuszczaly“; Władysław IV jest „większy nad Aleksandra“, „szczęśliwszy nad Augusta“, „łaskawszy nad Trajana“, „dobrotliwszy nad Tyta“; „owo, jako na jedną kiedyś się tam beli nieśmiertelni bogowie Pandorę złożyli, także jemu co w sobie kosztownego miała natura, przed inszymi razem wszystko dała“. Ale jednocześnie bije z poematu miłość ojczyzny, duma narodowa i radość z odniesionych zwycięstw, zwłaszcza nad Moskwą, której autor serdecznie nie lubi, to też nie pomija żadnej sposobności, aby ją w jak najgorszem świetle przedstawić, zarzucając jej „przyrodzone obłądy“, opisując szczegółowo jej okrutne znęcanie się nad więźniami polskimi i t. d. Nie cierpi i Szwedów, „morskich tych szewluchów, śmierdzących śledziami“. Wogóle, zdaniem Twardowskiego, wszystkie państwa i narody są „nierównie podlejsze“ od Polski: przekonanie to było u nas, niestety, powszechne w XVII w.

ŚMIERĆ ŻÓŁKIEWSKIEGO POD CECORĄ.

Sam Żółkiewski, zginioną widząc rzecz na oko,
 Jako zwierz, osaczony w puszczy gdzie głęboko,
 Gdy z ostępów, zrozumie, że już nie uciecze,
 Na wszystkie się naraża żelaza i miecze,

Żeby nie żyć co prędze: tak i ów przyśpiesza
Sobie fatum, gdy między pułki się zamiesza
I, gdzie gniew, gdzie potrzebę samę widzi walną,
Oną czyni aż dotąd ręką tryjumphalną,
Póki z bronią pospołu i ta nie ucięta.
A na wiek swój nie pomnąc, tylko to pamięta,
Czem dobrego hetmana kiedyś zalecono,
Że, stojąc, ma umierać. Aż i postrzelono
Konia pod nim, na stronę kinąwszy którego,
Czeka śmierci. Dodawa żołnierz mu drugiego:
„Hej! Dzień już ostateczny! I w ręku poganie
„Mają obóz! Ubiegaj, ubiegaj, hetmanie!
„I nie dopuść, żeby ten odnieść miała w tobie
„Żal ojczyzna!“ Na co ów: „Już ty radź o sobie
„I uchodź, gdzie rozumiesz: mnie, że tak zrządzieło
„Szczęście moje, umrzeć mi na tem placu mieło
„Z żołnierzami moimi! Ciebie, jeśli cało
„BÓG stąd kiedy wyniesie, co ze mną się stało,
„Opowiedz senatowi, żem nad jego rady
„Nic nie uczynił, chroniąc się z tem pogaństwem zwady
„Do ducha ostatniego. A niech Lwów co prędzej
„I Kamieniec opatrzą, niż serca tem więcej
„Dostanie nieprzyjacieli, zwycięstwem srogi,
„Przez mię dziś zawalone te przestąpi progil
„Ja niech już tu zostawam, a wolę, niż w domu
„Swej się potem sprawować niewinności komul
Wtem, nieznanym—z drugimi, końmi porażony
I gradem strzał pogańskich poległ zarzucony...

I ten-ci to zabój nasz, ta Cecorska beta,
Jaka nigdy, rozprawa! Której dotąd fali
Dałem żagle, bo którzyżby ją opisali
Tak krótko Orfeowie? który styl ścieńczony
I jednym wymówię słowem ją Lakony?

KORONACYA WŁADYSŁAWA.

. Prymas z przednieszymi
 Biskupy i opaty, w uroczyste swoje
 Ozdób pontyfikalnych zubierani stroje,
 Pizychodzą do pałacu z niezwykłą ochotą,
 Gdzie w płaszcz i dalmatykę ubranego złotą,
 Albę i rękawice i uhaftowaną
 Drogo obów z obiema marszałki zastaną,
 Skąd go, błogosławioną pokropiwszy wodą,
 Do wielkiego zarazem kościoła powiodą.
 Czterej zwłaszcza co wyższy wprzód wojewodowie
 Którzy tych tu klejnotów wieczni są stróżowie,
 Niosą sceptrum ¹⁾, jabłko, miecz i szczerokołonę
 Dyjamenty błyszczącą

Toż pizyszedłszy przed ołtarz, gdzie owe to złożyą
 Sprzęty drogie, osobę arcybiskup bożą
 Na się wziąwszy, gdy i tu oddanej przysięgi
 Wspomni mu kondycyje, z kosztownej się księgi
 Modląc nad nim, żeby to skutkiem ziścił samym,
 Co usty ofiarował, pomaże balsamem
 Głowę mu uniżoną i ostry do boku
 Miecz przypasze. Dopiero, jakoby w obłoku
 Niebieskim ochyniony, i postać na sobie
 Miał nie ludzką. Skronie wtem obłapiwszy obie
 Drogą włożył koronę, w prawą rękę przytem
 Poda sceptrum, a w lewą z jabłkiem złotolitem
 Wszytkiej świat. Sarmacyi. W którym tak ubierze
 Przy Najświętszej nie wznosząc z ziemi się Ofierze,
 Chleb i wino podawał ofiarującemu

Aż nakoniec, który był po prawej w tym stronie
 Kosztownie podniesiony, usiedzie na tronie,
 Gdzie już jurysdykcyją wielką swą funduje
 I mieczem poświęconym kilku ich pasuje

¹⁾ berło.

Zasłużonych rycerzów, przy rozliczno-brzmiacej
Na trzy chóry muzyce i Bellonie, grzmiacej
Ówże tryjumfalny hymn, że ¹⁾ doprowadzony
Do pałacu, gdzie obiad, wielkim sporządzony
Dostatkiem dla senatu i posłów znaczniejszych,
Drogie kurzeł potrawy, a swych dorodniejszych
Dobył Bachus tokajów z lestrygońskich ²⁾ dzbanów,
W aplauzy ³⁾ wesołymi pospolitych stanów,
Póki dzień, spracowany czyny tak wielkimi,
Nie zapadł w Hesperyi z woźnikami swymi.

Aż jako z oceanu ochyął się znowu,
Żeby się tej pociechy wszytkiemu Krakowu
Pożądanę dostało, król zjeżdża na rynek
Słuchać mieszczan przysięgi. Tu co za uczynek
Miasta był tak zacnego i wylany wszytek
Na niezmierne ochoty aż rozrzutny zbytek,
Muzo! porusz piersi swych, gdy, jako szeroki
Ambit ⁴⁾ jego, usłane bruki i rynsztoki
Czerwieniały szkarłatem; tryjumfalne brony,
Nardy ⁵⁾ i pachnącymi szczerzo szkordyjony ⁶⁾
Natknione, zakwitwały, a po ich podwojach
Ogromne Wiktoryje ⁶⁾ w tureckich zawojach,
Wieszając się, trąbiły, z temi zaś zuchwale
Pacholeta marsowe w suremki swe małe
Certowały, dumając ⁷⁾, z jakim Osman żalem
Zjeżdżał z pola i co tu z okutym Moskałem
Za igraszkę fortuna pod Warszawą miała,
Kiedy czołgającego z bracią swą widziała
Przed naszym Majestatem, a tam obranemu,
Kłęcząc twardo na ziemi, elektowi swemu
Czołem bił Septemtryjon ⁸⁾.

¹⁾ aż, dopóki nie; ²⁾ lestrygoński=sycylijski; ³⁾ aplauz=poklask;
⁴⁾ obejście; ⁵⁾ nard (spikanard), szkordyon=wonne rośliny; ⁶⁾ przebrani
za boginie zwycięstwa; ⁷⁾ certować z kim, dumając=śpiewać z kim na-
przemiany dumy; ⁸⁾ naród północny.

W „Wojnie“, pisanej stylem znacznie mniej napuszonym, opowiedział Twardowski dwanaście lat dziejów polskich (1648—1660), od niefortunnej bitwy korsuńskiej aż do pokoju w Oliwie, t. j. owe okropne czasy, kiedy ustawiczne wojny z Kozakami, z Moskwą, ze Szwedami, z Rakoczym ledwie o śmierć nie przyprawiły Rzeczypospolitej, — te same czasy, na których tle bujna fantazyja Sienkiewicza wysnuła „Ogniem i Mieczem“ i „Potop“. Nigdy jeszcze przedtem literatura polska nie zdobyła się na utwór, w którymby współczesne życie polskie (zwłaszcza obozowe), odbiło się tak dokładnie, jak w tym najdłuższym poemacie Twardowskiego. Zresztą opowiadanie nie jest równomierne: tak np. obronie Częstochowy poświęca autor zaledwie kilka wierszy, kiedy „różne świątobliwe facygi“ rycerzy, oblężonych w Zbarażu, opisuje bardzo szczegółowo; wogóle najszczegółowiej i najlepiej opowiedział wojny kozackie (ponieważ sam w nich walczył). Panegiryzmu nie wyzbył się i tutaj, obsypując pochwałami Jana Kazimierza, który „więcej uczynił“, niż Herkules, i księcia Jeremiego, który „jakoby się był drugim Anibalem urodził“. Na szczęście panegiryzmu w „Wojnie“ jest o wiele mniej, niż we „Władysławie IV“, i nie panegiryzm stanowi jej cechą wybitną, ale zupełnie co innego. Oto autor raz w raz przerywa swą opowieść o wypadkach historycznych i wypowiada swe własne uczucia, uwagi i rozmyślenia, najczęściej bardzo smutne. Płacze więc nad ojczyzną, że ją wróg pustoszy, że Chmielnicki - krokodyl, „spólną Matkę nie inaczej, jako pies podpadłszy“, „szarpie jej nietykane po Wisłę wnętrzności“; ale silniej jeszcze boleje, że jej rodzone dzieci nie kochają, skoro żalują pieniędzy na jej obronę: oto np. na sejmie r. 1648 „pieniądze jedni, drudzy srebra i stoły swe ofiarowali, przecież, kiedy do czego, wszyscy nic nie dali“; hańby pilawieckiej nie może Twardowski przeboleć, „bowiem tam

zginęło męstwo polskie wrodzone, które więc służyło przed innymi narody za Herkulesowe gdzieś Kolumny“. Najczęściej jednak wyrzeka na pospolite ruszenie, na kłótnie i zbytki w obozie, na niedołęstwo zarządu wojskowego, na niewypłacanie żołdu żołnierzom i wogóle na brak ładu i karności w wojsku: „doma Aleksandry za stołem bijemy, a na wojnę bez prochu i lontów idziemy“; „luboby Święty zstąpił z nieba i z gruntu ojczyzna wstała i tuż, przed i za nimi, gorzeć zewsząd miała, z obozu się nie ruszą, aż im wprzód zapłacą“. A jest takich narzekań tyle, że, razem wzięte, tworzą zupełną, drobiazgową satyrę na całe życie obozowe. Nie dosyć na tem. Przy zdarzonej sposobności piętnuje Twardowski złotą wolność, mówiąc np., żeśmy „wolność tę nieszczęśliwą subtelniej strugali, przestrugali nakoniec“; nie zapomina także o napiętnowaniu „liberum veto“ (choć nazwiska Sicińskiego nie wymienia). A wobec świadomości grzechów własnej ojczyzny niejednokrotnie przestrzega rodaków, że to nie fatum jakieś, ale własne winy ściągają na Polskę nieszczęścia: „Na karanie z nieba próżno już narzekamy, które w swej skrytości lubo psuje, jako mól, nasze w nas wnętrzności, przecież jednak nie wszystko na fata składajmy, ale sami cokolwiek sobie też przyznajmy, żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy!“ „Nie skarżmy na fata, bo sami w nie wpadamy, gdy jedna prywata wszystko w nas przemożel“ Tak więc „Wojna“ jest nie tylko obrazem dwunastoletnich wojen, ale i odzwierciedleniem dobrego serca i zdrowego rozsądku autora.

SZTURM DO ZBARAŻA 1649.

. Dzień był Lipca tedy
Dziewiętnasty, Saturnów ¹⁾, pokażą się kiedy

¹⁾ t. j. poniedziałek.

Nad późnym już wieczorem do szturmów zwołane
Nowe jakieś maszyny, które, wyrobione
Z tramów¹⁾ grubych, na wałkach niskich się toczyły,
A ludźmi i armatą opatrzone były;
Przy nich społem wysokie do wałów drabiny
I cepy i osęki i wszelaki inny
Aparament szturmowy. Więc gdy się dziwią
Nasi tym manijerom, owi je windują,
Czołgiem się podmykając pod same okopy
Niesłychanym uporem. A zaraz w te tropy,
Skąd kozacki komonik²⁾, stąd uderzy w czoło
Horda srogim nawalem, że wszystek około
Świat zasłonią. Nawet już w pochylonym zmierzchu
Fala deszcz gwałtowny, rzuciwszy się zwierzchu,
Twarz się sprawi, jakoby samo się zmówiło
Nie na nich. I znowu źle haniebnie było!

Znowu, radzić nie mogąc takiemu gwałtowi,
Wodzowie ryterować chcą się ku zamkowi,
Aż w tem z bronią dobytą Wiśniowiecki stanie:
„Hej! Kto z miejsca się ruszy, albo tu zostanie,
„Albo mię wprzód podepce! Przebóg! nie dawajmy
„Pociechy tym hultajom, a tu umierajmy!“
Zaczem, gdzie gniew i śmiałe serce w nim rozbada,
Przebrawszy się, z Dymitrem z okopów wypada
Na kształt gromu jakiego albo błyskawice,
Której dostać nie mogą śmiertelne żrzenice.

Tamże zaraz, niż³⁾ owe przytoczone szturmowy
(A niezmierne koło nich nacisną się hurmy
Chłopsztwa wyuzdanego) pod wałem rozpostrą, —
On, przypadłszy w obłoku, zawinie się z ostrą
Pod nim szablą i—jako grad niebieski, który,
Łodami się szczyrymi urywając z góry,

¹⁾ tram=belka; ²⁾ komonik, komunik=hufiec konny; ³⁾ zanim,

Zboże ze pnia wyścina i potopem spławi
Pole wszystko—takową ruinę w nich sprawi.
A co większa, że, który zrazu deszcz przeszkoda,
Tenże wnet pożądaną i wielką wygodą
Stał się naszym: bo, kiedy nie mogąc w tym kale
Chłopi szturmów ratować, porzuca je cale,
Które zaraz ciurowie, porywając głównie
I kagańce smolane zapalą cudownie
Ze wszystkich podziwieniem. Stąd dopiero wstanie
Srozsza wrzawa, kiedy im w posielku poganie
Nietylko już z okrzykiem zwykłym przypadają,
Ale samiż Kozaki spót się narażają.
Czerń przed sobą parując¹⁾; i, choć ich tak biją,
Że trup równo z wałami, przecię, zda się, żyją,
I że tego howadu²⁾ nigdy nie ubywa.
Zaczem też i Podczaszy³⁾ z Sieniawskim przybywa,
Pałaszami błyskając, i drudzy, swych rzeczy
Poprawiwszy, dopiero bieżą ku odsieczy.
Ale, gdy już tę burzą lekko ustawając⁴⁾
I ksiąźęcia potkają nazad powracając⁵⁾
Z wielką sławą i duchem (jeszcze mu gniew z broni
I krew żywa pluszczała),—wróca się i oni,
A co jego stanęło męstwo bez wątpienia,
Dank przyznają i tedy swego mu zbawienia.

SEJM ROZERWANY (1652).

. Jako kto budynek
Stawi wielki, wydając prospekty na rynek
Świetne jego, podniesie altany i banie,
Szczyty, ganki, kopuły, aż, kiedy nie stanie
Albo mu materyjej, albo w fundamencie

1) parować = odbijać, wypychać; 2) howad = owad; 3) Mikołaj Ostroróg; 4) ustającą; 5) powracającego.

Swoim źle posadzony, w krótkim się momencie
Na sztuki i popioły drobne zruinuje:
Także i tu mało co więcej się zbuduje;
Bo, wszytek czas na próżnych wymowach straciwszy
I swarach i prywatach, a nic nie sprawiwszy,
Kiedy było gotowe w senacie przed panem
Czytać konstytucyje i, kto wżdy hetmanem,
Konkludować nakoniec, niżli dzień się schyli,
Przez sektarskie fakcyjne na tajemnej Scyli
Rozbita ta machina—tylko-ż dla jednego
Posła głosu! O! tak-li —bez względu żadnego
Na to wszystko, cokolwiek zawierasz w swem łonie,
Zdrowia, fanty, ozdoby i zronione skronie
Wdzięcznym szronem i żywych i umarłych oraz
Pociechy nieskończone—przepadać masz coraz,
Ojczyzno nieszczęśliwa, że, chcąc mieć inaczej
Rzeczę kto: „Nie pozwalam?“ Życzyłbym ci raczej
(Z żalu-li to mówię?) wielkich tych wolności
Niecóż skrócić! Zaczembyś w swojej dojrzałości
Rady prędsze i głowę spokojniejszą miała,
Gdybyś ani niewoli zupełnej nie znała,
Ani całej swobody.

§ 64. Talent epiczny posiadał i **Bartłomiej Zimorowicz** (1597—1673), mieszczanin lwowski, autor „Sielanek ruskich“ (starszy brat Szymona Zimorowicza, § 54). Był człowiekiem bardzo zacny i ogromnie energiczny: własną pracą dorobił się dość znacznego majątku, a własną zasługą osiągnął w swoim ukochanym mieście rodzinnem i szacunek powszechny i godność burmistrza, na któremto stanowisku przyczynił się do uratowania miasta, obleganego przez Turków w r. 1672. Różnorodne przeciwności i nieszczęścia (śmierć czworga dzieci, trzykrotne wdowieństwo, napady Kozaków na Lwów i in.) nie osłabiły hartu jego

duszy: pracował w pocie czoła i kształcił się do śmierci, bo chociaż ukończył tylko szkołę średnią, ale wiedzy i nauki był wielce chciwy. Od młodości miał żylkę do pisania wierszy: układał więc fraszki, wiersze miłosne, drobne poemaciki epiczne, napisał wierszowany paszkwil na Lutra, którego, jako fanatyczny katolik, serdecznie nienawidził, tworzył piękne hymny religijne, a na starość zabrał się do pisania historii Lwowa (po łacinie).

Lecz najcelniejszym jego utworem są „Sielanki ruskie“, pisane w różnych czasach, a wydane dopiero w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza (1663). Oprócz poetów starożytnych, naśladował w nich poeta Szymonowicza, do czego się sam przyznaje, mówiąc, że szedł Symonidowym niedostępnym śladem, bywszy jego i ziomkiem i blizkim sąsiadem“, i dodając z całą skromnością, że mistrzowi nie dorównał. Powiedział prawdę. Sam już styl „Sielanek ruskich“ nosi na sobie wyraźne ślady zepsucia: są w nim takie barokowe wyrażenia, jak np. przybytek miłego dowcipu zam. głowa, tabor anielski zam. niebo; nie brak i wyrazów rubasznych, np. paskudzić, blazgonić (t. j. pleść głupstwa); jest i takie np. omówienie: „Jeszcze czujna jutrzeńka po nocnej kąpieli wczasowała spotniałe członki na pościeli, zaledwie co na ziemię upragnioną rosy, wycisnęła rękoma z utrefionej kosy“ (t. j. słońce jeszcze nie weszło). Nadto sielanki są rozwlekłe, nie mają ani wdzięku, ani prostoty Szymonowicza, a choć nie brak ustępów żywych, pięknej całości niema ani jednej. Ruskimi nazwał swe sielanki Zimorowicz dla tego, że występują w nich pasterze z Rusi Czerwonej, mianowicie z okolic Lwowa, którzy rozmawiają z sobą (posługując się czasem wyrazami ruskimi) o swoich uczuciach i upodobaniach, zajęciach i przygodach, śpiewają pieśni i t. d. Po większej części są to sielanki konwencjonalne: pasterze rozmawiają np. o Kupidynie i Hymeneuszu, o Wenerze i Adonisie,

słowem, o tem, o czem pasterze pojęcia nie mają; ale bo też pod tymi pasterzami kryją się dobrzy znajomi Zimorowicza, mieszczanie lwowscy, a niejednokrotnie pasterzem jest on sam. Taką np. jest jedna z lepszych sielanek „Trużenicy“. Schodzą się trzej pasterze: Miłosz, Leszko i Samujło; Miłosz (sam poeta) wyrzeka gorzko, że stracił czworo ukochanych dzieci; poddaje się jednak z pokorą niezbadanym wyrokom Opatrzności, pocieszając się myślą, że jego dzieci mieszkają w niebie, „kędy dzień ani wiosna wieczna nie ustaje, gdzie z barankiem niewinnym nasze niewinnięta odprawują wesoło nieskończone święta; że tedy dzieci nasze tę otchłań przebrnęły, że u portu fortannej krainy stanęły,... nie lepsze za nimi do wieczności śpieszyć, niżeli tu na krótki z nimi się czas cieszyć?“ W dalszym ciągu rozmowa schodzi na Lwów i jego okolice, które Miłosz opisuje z niekłamanem uczuciem przywiązania do swego gniazda; na górze pod miastem zamierza on, za radą i przy pomocy przyjaciół, zbudować kościółek na pamiątkę dzieci. Poczem rozmowa się zmienia: Leszko i Samujło proszą Miłosza, by im co zaśpiewał; ten obiecuje, ale odkłada na jutro, a tymczasem opowiada im o początkach swojej twórczości poetyckiej.

Ale najciekawsze są dwie sielanki, osnute na tle historycznym: „Kozaczyzna“ i „Burda ruska“. Stanowią one jakby jedną całość, obydwie bowiem są odzwierciedleniem tych okropnych wspomnień, jakie w pamięci mieszczan lwowskich pozostawił po sobie napad Kozaków w r. 1648, w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV. Dorosz, Ostafi i Wojdyłło opowiadają sobie o szturmie dziczy kozackiej do cerkwi św. Jura, o bohaterskiej obronie Lwowa, o spustoszeniu miasta i okolic; opowiadanie to wcale żywe, proste, bez owych „poetyckich przysad“ Twardowskiego, a przez swoją prawdę (realizm) przejmujące, wręcz straszne; rozumie się, że pasterze nie szczedzą Kozakom

gniewu i obelg, co jednak nie przeszkadza, że jeden z nich (przez którego usta przemawia sam poeta) z chwalebną bezstronnością przyznaje, że wojny kozackie wywołali sami Polacy swą niesprawiedliwością względem chłopów ukraińskich. Obydwie sielanki są najlepszym dowodem talentu epicznego Bartłomieja Zimorowicza.

Z SIELANKI „KOZACZYŻNA“

Jako przyszlą nawałność żeglarzom na morzu
Gwiazdy opowiadają, tak na Zaporozu
Burdę kozacką, gdy się zaczęła właśnie,
Wiele praktyk ¹⁾ domowych wróżyło nam jaśnie:
Nie było żadnej nocy (śmie to rzec mogę),
Którejby nie trąbiły kundysi na trwożę;
Nie było dnia, żeby w niej stare wrony wieszczce
Nie miały krakać rano; a co powiem jeszcze,
Żadnego roku wilcy większemi kupami
Nie wili się naszymi między koszarami ²⁾,
Nawet się z domowemi spąchawszy ³⁾ sobaki,
Szkody w trzodach czynili. Azaż to nie znaki
Unii niezwyčajnej, która biesa z Krzyżem
Pobratała, Krym dziki zjednoczywszy z Niżem?
Nuż, gdy najwięcej chmielu w zapustne ostatki
Zażywaliśmy, azaż w tenże czas na klatki
Wiejskie i na pałace pańskie z wschodniej strony
Szturmowny wiatr i wicher, wypadłszy, szalony,
Odzierając poszycia, łupiąc domy z dachów,
Prędko następujących nie był wieszczkiem strachów?
Lecz, kogo Bóg pokarać chce, zdrową mu radę
Odbiera! Tęż ja miałem na rozumie wadę:
Nie pokładałem sobie w pamięci tych wrózek

¹⁾ praktyka=wieszczba; ²⁾ koszary=zagrody (na owce); ³⁾ spąchać się=zwąchać się.

Ani obawiałem się niebieskich przegrózek.
Aż kiedy jednym razem z za Dniepru wypadła
Z trzaskiem i błyskawicą straszna chmura nagła;
Kiedy przed jej potopem ikamiennym gradem
Kędy kto mógł, uciekał: dopiero ich śladem,
Nie dowierzając bagnetom ani trzęsawicy,
Umknąłem z domem wszystkim do ruskiej stolicy.

Tam proskurnica ¹⁾ cerkwie krotoszyńskiej ²⁾
w bramie

Pocobym się tak cisnął usilnie, spyta mię. *
Gdym powiedział: „Kącika poszukać niewieście“, —
„Nie osiedzisz się — rzece — nieboraku, w mieście
„Jako zdzierzą potęgę mury ladajakie,
„Której nie mogły wojska wydołać trojakie?
„Płacz mi nie daje mówić, ale miasto zginie
„I ktokolwiek się wtenczas żyjący nawinie!
„Raczej, iż są Kozacy z jednej z nami wiary,
„Jednegoż zażywamy chrzestu i Ofiary,
„Do katedry władyczej ³⁾ Świętojurskiej radzę
„Uchodzić wam; i sama tam się wyprowadzę
„Przecież i na krew swoją i mirrę władyczą
„I na świątnicę będą mieć wzgląd męczenniczą“.

Co ja słysząc i widząc ludzie rodu mego
Z miasta, jako z okrętu, już już tonącego,
Wynoszące sprzęty swe i różne tłumoki,
Ustałem na górę z żoną bez odwołki.
Alem trafił pod samą rynnę z deszczu; bowiem
Nazajutrz po wtargnieniu (że, co prawda powiem)
Tatarowie z Kozaki, jako gęsta chmura,
Naprzód na cmentarz wpadłszy do świętego Jura,
Kilka tysięcy ludzi, którzy tam uciekli,

¹⁾ kobieta, wypiekająca chleb, potrzebny do Sakramentu Ołtarza;

²⁾ Krotoszyn — wieś pod Lwowem; ³⁾ władcyka = biskup.

W ocemgnienu pobili i na śmierć posiekli;
Niekórych powięzali Tatarzy w surowce.
Tak, kiedy kupa wilków wpadnie między owce,
Żadnej całej nie puszcza; albo, gdy jastrzębie
Ze wszystkich stron uderzą na stado gołębie,
Choć się ze strachu tęgiego przyczają do ziemi,
Przecie wszystkich poszarpią pazurami swymi:
Tak tu najmniejsza dusza śmierci abo łyków
Nie uszła suchą nogą jawnych rozbójników.
Bałuch ¹⁾ ogromny z wrzasku, lamentu i pisku
Umierających, jako na pobojuwisku!
Tu dzieci, tu niewiasty, tu leżą tułowy,
Tu pomieszane w kupę walają się głowy;
Wozów liczba niezmierna już pozakowanych,
Tamże niemało widać skrzyń porabowanych.

Bacząc my to (a było nas nad tysiąc więcej),
W cerkwi drzwi zamknęliśmy drągami co prędzej,
Rozumiejąc, że nas dom boży z onej toni
Swojem poszanowaniem od szwanku obroni.
Lecz prędko nas otucha oszukała błaħa,
Bowiem do cerkwi wszystka przypadłszy wataħa ²⁾
Ze czterech stron poczęła łamać oraz mury;
Jedni z nich lud gromadny strzelali przez dziury,
Drudzy tłukli ciężkimi furtę taranami ³⁾
Niekórtzy dziurawili ściany kilofami ⁴⁾;
Insi, przebiwszy wierzchnie młotami sklepienie,
Spuszczali na gęsty lud orklowe ⁵⁾ kamienie,
Aż niekórtzy ze strachu na poły pomarli!
Aż kiedy się oprawcy drzwiami do nich wdarli,
Przesieczy ⁶⁾ siekierami, przez nacisk on srogi
I przez ciała czynili martwe sobie drogi.

¹⁾ wrzawa; ²⁾ wataħa=czereda, kupa; gromada; ³⁾ taran=okuta belka dębowa do rozbijania murów; ⁴⁾ kilof=młot do rozbijania murów; ⁵⁾ orkiel, orcel=kamień nie ciosany, łom; ⁶⁾ przesiecz=drogę przesieczną.

Tamże jeden drugiego dusił w tym hałasie,
 Jeden drugiego krwią swą napawał w tej prasie,
 Że niezadługo cerkiew pospołu z przytworem ¹⁾
 Krwawą sadzawką, ciepłem stała się jeziorem.
 Dopiero, jako snopie ²⁾ biorąc z wiejskiej kupy,
 Przerzucali na stronę obnażone trupy.
 I tak gołe za nogi na podwórze wlekli;
 Jeśli duszę zataił który, znowu siekli.

Jako w tym żona z dziećmi zginęła nierządnie,
 Nie będę wiedział pewnie, aż na bożym sądzie!
 Ja przez ten czas w macłochu ³⁾ nieznacznie zakryty,
 Siedziałem za obrazem świętego Mikity.
 Zrazu, widząc te mordy, serce we mnie drżało,
 A potem, jako kamień, od żalu zdrętwiało,
 Żem dalej nie mógł patrzeć. Dopiero pojrzałem,
 Kiedy ihumen ⁴⁾ głosem zawołał niemałym:
 „Hej! proboh, Chrystyjanel“ Temu horylicą ⁵⁾
 Polawszy plesz ⁶⁾ na głowie, przypalali świecą,
 Żeby wyśpiewał, kędy stare ryze ⁷⁾ schował
 Albo srebro. On z nimi o wierze rokował;
 Lecz mu jeden powiedział: „Bateńku horoszy!
 „Nie chcem twój wiry łysze dicitzych hroszy ⁸⁾!“
 Insi ustawnie hałaj, bre gaur wołali,
 Żeby się Tatarami nie Rusią, być zdali,
 Takowe wyprawiwszy do południa sztuki,
 Ci odjechali, graty powiązawszy w juki.
 Po nich zaraz nadeszli z rydlami kopacze
 I nad pierwszych trzy razy ciekawsi badacze.
 *Ci, już kruszcu szukając, otworzyli groby,

1) przytwór=kruchta, przedsionek; 2) snopie – rzeczownik zbiorowy=snopy; 3) macloch=nisza; 4) ihumen. igumen=przełożony klasztoru; 5) horylica=gorzałka; 6) plesz=tonsura, łysina; 7) ryza=szata kapłańska; 8) ojezulku dobry! nie chcemy twojej wiary, gorszej od dyabelskich pieniędzy

Ruszyli wszystkie truny ¹⁾ i zgniłe osoby
Z których zdzierali ropą obewrzałe szmaty
I zaraz się dzielili zbutwiałymi płaty.
Naostatek wołając: „Proszczaj, świątyj Juru ²⁾!“
Oberwali na ziemię obraz jego z muru,
Większe tablice, rąbiąc, jako drwa, łupali,
Aż mię też w skałubinie ³⁾ onej wymacali.
Natychniast, żegnając się, krzykną: „Buh ne mara ⁴⁾!“
Ja na to: „Ej, czołownik, ta i wasza wiara!
„Ale masz denhy ⁵⁾ lackie!“ Skoro to wyrzekli,
Jako mysz, z onej jamy za łeb mię wywlekli
I obrali do naga; jedni za kaletę,
Drudzy za trzos, aże w nim znaleźli monetę.
„Ho, ho, ho!—krzyknęli—ty, muzyku ⁶⁾, kozackie
„Nieprzyjaciele nosisz z sobą, zdrajce lackie!
„Gardłowa to jest sprawa i nieladajaka,
„Ale, żeś chrześcijanin, a nie Lach-sobaka ⁷⁾,
„Czynią ci atamani łaskę (dziękuj Bogu!),
„Aby-ć trochę czupryny przycięto na progę“.
Już mię jeden z siekierą do progę przywodził,
Aż się we drzwiach Tatarzyn z trafunku nagodził;
Ten, opończę kilijską ⁸⁾ z kostrubatych ⁹⁾ sierci ¹⁰⁾
Dawszy im, wybawił mię od zabitej śmierci ¹¹⁾.
Sam na smyczy, jako psa, prowadził do koszu,
Kędym com przez pół roku ucierpiał, Doroszu,
Nie spisałbyś wszystkiego na wołowej skórzel!...

§ 65. Najznakomitszym epikiem XVII w. i wogóle jednym z najznakomitszych poetów niepodległej Polski jest autor „Wojny Chocimskiej“, Małopolanin **Wacław Potocki**

1) truna=trumna; 2) do widzenia, święty Jurze! 3) skałubina=nl-sza; 4) Bóg, nie mara; 5) pieniądze; 6) chłopie; 7) pies; 8) kilijski = cylicyjski, z Cylicyi (w Azji Mniejszej); 9) kostrubaty, kostropaty=szorstki; 10) sierć=sierść; 11) zabita śmierć (zamordowany).

(1625—1696) z Woli Łużeńskiej (w powiecie bieckim), arianin. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: za granicą nigdy noga jego nie postąpiła, do akademii zaś krakowskiej, jako arianin, wstąpić nie mógł; może nawet szkół średnich nigdy nie oglądał; a jednak, dzięki wrodzonym zdolnościom, starannemu wychowaniu w domu rodzicielskim oraz własnej pracy i ochocie do kształcenia się, która go do samej śmierci nie opuszczała, należał Potocki do najświetlejszych i najrozumniejszych ludzi swojego czasu. W siedemnastym roku życia służył wojskowo, lecz później ani razu miecza do boku nie przypasał i pędził ciche i spokojne życie na roli, rozkochany w swoim gospodarstwie, w poezji i w życiu rodzinnem. Ale szczęście niedługo trwało: w roku 1658 zapadła uchwała, wydalająca arian z granic Polski; wówczas to Potocki przeszedł na katolicyzm, ale żona aryanką pozostała, co było dla Potockiego źródłem ustawicznej troski i trwogi: musiał żonę ukrywać, dopóki i ona wreszcie katolicyzmu nie przyjęła. Lecz nie sądzono mu już było zaznać szczęścia na tej ziemi: starszy syn poszedł na wojnę turecką i nie wrócił; niebawem umarła córka, za córką poszedł młodszy syn (także na wojnie tureckiej), a wreszcie umarła ukochana żona. Pozostała mu tylko synowa, która miłością swą i przywiązaniem sładziła nieszczęśliwemu starcowi ostatnie lata życia i zamknęła mu oczy.

Literatura staropolska nie wiele posiada postaci, tak wyjątkowo miłych, jak Potocki. Byłto człowiek łagodny i dobroduszny, otwarty i szczery, gościnnie, uprzejmy i chętny do usług, pod powłoką szorstkości rubasznego humoru kryjący dobre, złote serce polskie, tkliwą miłością kochające żonę i dzieci; religijnym był do szpiku kości i w nieszczęściach swoich poddawał się pokornie niezbadanym wyrokom bożym. Ojczyznę kochał całym sercem: nie szczędził dla niej kosztów (raz np., jak sam o sobie

świadczy, „kilkadziesiąt człeka na Szwedy, herbu swego okrywszy ich płatkami, stawił własnym kosztem“), synów wychował na rycerzy; z dumą i radością rozpamiętywał świetną, rycerską przeszłość swojej ukochanej Polski, jako przedmurza chrześcijaństwa, płakał łzami bólu nad jej późniejszym nieszczęściem i łzami wstydu nad jej późniejszą hańbą (Pilawce i traktat w Buczaczu, 1672), trwożył się, drżał, a nawet rozpaczał na myśl o jej przyszłości; tradycję narodową i obyczaje staropolskie szanował i kochał aż do niechęci, a nawet do nienawiści cudzoziemczyzny; do swego kawałka ziemi, odziedziczonego po ojcach, a nie mniej do swego szlacheckiego gniazda i herbu, gorąco był przywiązany. Jednym słowem, Potocki, to przepyszny typ Polonusa (t. j. Polaka-szlachcica starej daty), wyborne wcielenie sarmatyzmu (t. j. dawnej polskości) — ale w dobrem, dodatniem znaczeniu tego wyrazu.

Bo od ogółu szlacheckiego był Potocki znacznie wyższy, zarówno sercem, jak rozumem. Kiedy ogół szlachty miał fałszywe i przewrotne pojęcia o służbie bożej, mniemając, że prawdziwy katolik powinien nienawidzić innowierców, Potocki, wychowany w zasadach właściwej aryonom tolerancji religijnej, był szlachetnym tolerantem; przeszedł później na katolicyzm, nie tyle z przekonania, ile dlatego, że się nie mógł pogodzić z myślą opuszczenia swojej ukochanej ziemi rodzinnej, że nie chciał, jak mówi, „stradać doczesnej ojczyzny“; z czasem stał się katolikiem gorliwym i z głębi serca wołał do Boga: „Pasterzu święty, i jam z Twej owczarni za inszym wodzem obłądził się marnie“: ale duchem fanatyzmu nie przejął się już nigdy, bo rozumiał, że albo głupotą, albo zbrodnią jest gwałtem narzucać komukolwiek przekonania religijne, że „ani sam Bóg potrzebuje, żeby z musu mu człowiek służył“, że „w tej chwili umierać o głowie wierze, w której rodził się na świat, jakby wiara szła z natury“.

A jak religijnością, tak i patryotyzmem był Potocki wyższy od braci-szlachty: gorąca miłość Polski nie zamykała mu oczu na jej grzechy i wady; on nigdy nie wierzył, że „Polska nierządem stoi“, przeciwnie, rozumiał, że Polska nierządem ginie; głównie zaś źródło nierządu upatrywał nietylko w „liberum veto“, ale i w słabości władzy królewskiej oraz w obieralności króla, dlatego też przemawiał niejednokrotnie — jeden z bardzo niewielu — za dziedzicznością tronu. I w poglądach społecznych nie był Potocki tak ciasny, jak inni; podzielał wprawdzie niedorzeczny pogląd, że „rzemiosło nieładnie z szlachectwem się zgodzi“; podrwiwał sobie ze świeżo upieczonego szlachcica, który niedawno jeszcze „pieprz ważył funtem“, a teraz się herbem przechwala; wierzył również, że chłopci „z natury“ są „sprawieni do ziemi i pługa“, że nawet wykształcony chłop zawsze pozostanie chłopem, bo „niepodobna przerobić psa na rysia“; słowem, i on, jak wszyscy za jego czasów, poczytywał szlachcica za jakieś osobliwe stworzenie: ale, ceniąc szlachectwo i herb, domagał się od szlachcica szlachectwa duszy, którego najwspanialszym wyrazem jest służba rycerska w obronie matki - ojczyzny: „Niechaj syn koronny mocno temu wierzy, że, chociaż nie szynkuje i łokciem nie mierzy, jeśli nie będzie wojny w młodem lecie służył,... szlachcicem być nie może i szczyścić się herbem, nie synem bywszy matce, lecz podłym pasierbem;... niechaj się żaden nie waży honoru napierać, aż się pierwej za matkę nauczy umierać“.

Poezya była mu (jak Kochanowskiemu i Szymonowiczowi) potrzebą duszy; to też nie wojenka i nie gospodarstwo, ale poezya stanowiła główny jego zawód. A talent posiadał ogromny. Wyobraźnia jego nie była wprawdzie bujna, ale zato niezwykle żywa, to znaczy, że sam pomysłów do swoich dzieł poetyckich nie tworzył, tylko brał je gotowe — bądź z tego, co przeczytał (mianowicie

z książek łacińskich), bądź z tego, co sam widział i przeżył (podobnie jak Twardowski); ale te pomysły już sam uzupełniał i bardzo żywo wyrażał. Uczucia miał szczere, silne, głębokie i wypowiadał je często z niepospolitą siłą. Posiadał nadto nadzwyczajną łatwość rymowania, a w posługiwaniu się mową ojczystą był prawdziwym mocarzem: pod względem bogactwa wyrazów, dobitności języka, zamaszystości i żywości rodzimego, szczeropolskiego stylu nie dorównał mu ani jeden z dawnych poetów. Miał wreszcie przymiot, bardzo w Polsce rzadki, — niezmierną pracowitość: utwory swoje poprawiał i przerabiał raz i drugi i trzeci.

Przy całym jednak swoim talencie, miłości poezyi i pracowitości, nie był Potocki artystą; gdyby nim był, kto wie, możebyśmy dzisiaj czcili w nim największego poetę staropolskiego! Na nieszczęście, żyjąc w wieku stopniowego zanikania w Polsce dobrego smaku, nie znając nadto współczesnej poezyi włoskiej i francuskiej, nie posiadał znajomości zasad prawdziwej sztuki (której brak chyba tylko geniusz zastąpić może), nie miał należyte wyrobionego poczucia piękna: rozumiał wprawdzie, że makaronizmy są, „jakby w słomianej strzesze blachą łątał dziury“; rozumiał również, że „sentencya.. im jest zwięźlejsza i piórem i usty, im krótsza, tem większe ma w uszu ludzkich gusty“: ale nie unikał wyrazów zbyt pospolitych, rubasznych i nie ustrzegł się pomysłów dziwacznych i tematów, już nie tylko nie pięknych, ale często wstrętnych i plugawych. A dotego nie miał pojęcia o budowie utworów poezyi, mianowicie większych, t. j. nie umiał stworzyć pięknej całości. Wogóle poezya Potockiego to dziwna mieszanina piękności (czasem nawet wzniosłości) z brzydotą, zdrowych ziarn z pośladem i plewami, których od ziarna nie odróżniał. Te ziarna jednak są tak liczne i czę-

sto tak piękne, że byłoby krzyczącą niesprawiedliwością odmówić Potockiemu miana znakomitego poety.

A jestto poeta tak nawskroś, tak typowo polski, jak ani jeden z dawnych naszych autorów; w poezji jego odbiło się, jak w zwierciadle, całe życie Polski XVII w., jej klęski i tryumfy, jej duch religijny i rycerski, jej wady i przymioty, jej charakter i obyczaje domowe, słowem, całe życie polityczne, wojskowe, religijne i obyczajowe; a zwierciadło to tak dokładne, że gdybyśmy nawet nie posiadali innych źródeł do poznania Polski XVII w., poznalibyśmy ją z poezji Potockiego aż do najdrobniejszych szczegółów. Wogóle, jako malarzowi życia polskiego, nie dorównał Potockiemu ani jeden z poetów niepodległej Polski, nie wyjmując Reja; i na tem to polega jego wyjątkowe stanowisko w dziejach naszej dawnej literatury. Nie dosyć na tem. Ponieważ Potocki był wyższy nad ogół swego społeczeństwa, stąd jest on nietylko malarzem życia polskiego, ale jednocześnie (podobnie, jak Rej) jego sędzią, jest znakomitym satyrykiem, którego uwagi nie uszedł ani jeden grzech przeciwko Bogu, ojczyźnie i bliźniemu: ani fanatyzm i nietolerancja religijna, ani prywata i anarchia polityczna, ani ucisk chłopów. A satyra to inna zupełnie, szlachetniejsza od satyry Krzysztofa Opalińskiego (§ 57); przemawia w niej nie gniew, nie niechęć ku społeczeństwu, ale głęboki smutek zacnego człowieka, który, widząc, co się w jego ojczyźnie dzieje, łamał ręce i rwał włosy — z rozpazy patryotycznej.

Spuścizna poetycka Potockiego jest olbrzymia: obejmuje co najmniej 300,000 wierszy, to znaczy, że ani jeden poeta polski nawet się mierzyć z nim nie może pod względem płodności. Ale po większej części nie ogłaszał Potocki drukiem swych utworów, wiedząc, że słowo nie ma już w Polsce ani posłuchu, ani wolności: „Zawarto wszelki sposób do mówienia: jakoż i pismo wyniść ma na ludz-

kie oczy? abo go spala, abo mól w kącie roztoczy! choćby i wyszło, tyle głosu uczyni, co drumka ¹⁾ abo mucha w hirkaskiej pustyni“. Dopiero w czasach nowszych poznano i oceniono należycie poezję Potockiego. A poezya to wielce różnorodna.

Najznacznieszją jej część stanowią wiersze i poematy religijne (np. poemat o męce krzyżowej Zbawiciela), znamienne, jako wyraz gorącej wiary i serdecznej skruchy poety, ale zresztą nie posiadające większej wartości.

Ciekawsze są powieści wierszowane, napoły fantastyczne, napoły historyczne, jakoto o nadzwyczajnych przygodach mężnego Syloreta, o Judycie, o cnotliwej Rzymiance Wirginii, o bohaterskiej walce Hollandyi z Hiszpanią. Powieści to nie oryginalne: ich źródłem są pisarze starożytni i nowocześni, których prozę łacińską Potocki przerabiał na wiersz polski: Najciekawszą ze wszystkich jest „Argenida“ (drukowana 1697), obejmująca przeszło 22,000 wierszy; główną treść tej powieści, pełnej najrozmaitszych awantur na ziemi i na morzu, stanowi walka rycerskich królewiczów z całego świata o rękę królowny sycylijskiej, Argenidy, i, co za tem idzie, o królestwo sycylijskie. I ta powieść nie jest wprawdzie oryginalna (przerobił ją Potocki z łacińskiego romansu politycznego Szkota Barclaya), ale, nie mówiąc już o pięknym języku i płynnym wierszu, pełno w niej własnych dodatków i poglądów poety, który, dopatrując się podobieństwa pomiędzy szarpaną przez wrogów Sycylią a nierządną Polską, szarpaną przez nikczemnych magnatów i przez głupi motłoch szlachecki, wymownie piętnuje anarchię polską: rządy sejmikowe, słabość władzy królewskiej i zasadę wolnej elekcji.

¹⁾ bąk.

RZĄD ZŁY, GDY POSPÓLSTWO WSZYSTKO OPIĘKA
SIĘ RZECZĄPOSPOLITĄ.

W tłumulciez¹⁾ się kto zdrowej ma spodziewać rady?
Gdzie tysięcy głów, a każda z swoim zdaniem jedzie,
Tysiąc razem języków, właśnie po obiedzie,
Każdy wrzeszczy, co gardła, choć go nikt nie słucha,
A każdy co inszego; drudzy—do obucha!
Wszyscy swoje osobne interesa mają;
Ci—prywatnym faworem²⁾, drudzy narabiają
Nienawiścią, i, kogo gdzie afekt pociąga,
Zapomniawszy publiki, tam się sam zaprzęga.
Krewności, obowiązki, bankiety i wina,
Największa na sejmikach zawsze mieszanina!
A ty chwalisz taki rząd? i wolnością zowiesz
Oczywistą niewolą? a na to co powiesz,
Gdy na takich sejmikach, jak bydło przy żłobie,
Do rządu całej ziemi obierają sobie
Moźniejszych senatorów?
. . . Godnych zarzuciwszy, takich w krzesła tkają,
Którzy rozumu mało, cnoty nic nie mają!
I chwalisz mi taki rząd Pospolitej Rzeczy,
Gdzie wszystko na moźniejszych zawisnęło pieczy?
Wstyd mię za cię, że się tak w swym dyskursie mieszasz,
Jednego króla ganiąc, na dziesięć rozgrzeszasz!
Pytam: kędy większy plac i miejsce swobodzie,
Gdzie jeden, czy gdzie dziesięć panuje w narodzie?

WOLNA ELEKCJA.

. . . Póki dawnych państwo ojcowiców plemię,
Choć obrane, rządziło, syn wstępował w strzemię
Rodzicielskie; i przyznam, że ptak białopióry

1) tumult=zamieszanie; 2) fawor=laska, poparcie.

Całego prawie świata przenosił Arkturny¹⁾.
 Zbytki wprzód; ambicyja dotego obrzydła
 Wypierzywać oboje poczęła mu skrzydła...
 Bo tam, jako skoro się król z światem pożegna,
 Otwierają swej woli wrota „interregna“:
 Gdzie kto duży, ten lepszy! Nuż kaptury owe!
 I dotąd stoją one kaptury bezgłowe!
 Aż przyjdzie elekcyja, kędy hurmem bieżą
 Konkurenci i w sztuki Koronę porzeżą!
 Jednych obietnicami, drugich gotowizną
 Korumpują²⁾, a trzeci, ledwo kość oblizną,
 Ledwie ją na bankiecie winem splucze mocnym,
 Aż swym głosem każdemu gotów być pomocnym,
 Aż się każdy o kreskę, byle z obcym zgodzi,
 Bowiem mu się swojego i wspomnieć nie godzi...

Co się stąd krwie rozlało! co po dziś dzień leje!
 Jakowa szarpanina! Niech czyta kto dzieje
 Tych ziem utrapionych, przyzna, że sto razy
 Więcej na Pospolitą Rzecz przypada skazy,
 Prędsza zguba daleko tedy państwa goni,
 Niż kiedy u dziecięcia korona na skroni.

§ 66. Najpiękniejszy dział poezyi Potockiego stanowi poezya historyczna, a na jej czele stoi obszerny poemat (rapsod) rycerski, obejmujący blisko 12,000 wierszy, p. t. „Wojna chocimska (wykończony r. 1670, ogłoszony drukiem dopiero 1850), najpiękniejszy utwór poezyi epicznej w literaturze niepodległej Polski. Przyświecała Potockiemu przy pisaniu tego poematu ta sama gwiazda przewodnia, co Mickiewiczowi przy pisaniu „Konrada Wallenroda“: i on, jak Mickiewicz, chciał „własne ognie przelać w piersi słuchaczów i wskrzesić postaci zmarłej przeszło-

¹⁾ Arkturny=gwiazdy północne, kraje północne; ²⁾ korumpować=przekupywać.

ści“, i on pragnął „strzelać brzmiącemi słowy do serca współbraci“, żeby ci, „kiedy ich piosnka ojczysta poruszy, uczuli w sobie dawne serca bicie, uczuli w sobie dawną wielkość duszy i chwilę jedną tak górnie przeżyli, jak ich przodkowie niegdyś całe życie“. Innemi słowy, Potocki z całego serca bolejąc nad tem, że spółbracia zatracają ducha rycerskiego, że nie kochają wiary i ojczyzny tak gorąco, jak ich przodkowie, że wogóle są gorsi od swych ojców, postanowił przypomnieć im dla nauki cnotę i męstwo dawnych rycerzów, chciał wpoić w ich serca tę wiarę, że, póki się nie odrodzą moralnie, póki się nie staną na nowo rycerzami-obywatelami, których świętym obowiązkiem jest walka z pogaństwem w obronie własnej ojczyzny i całego chrześcijaństwa, — dópóty Bóg nie będzie Polsce błogosławił. Oto przewodnia myśl „Wojny chocimskiej“, która więc jest pobudką patryotyczną do męstwa i innych cnót rycersko-obywatelskich oraz do wiary, że sam Bóg z pośród narodów europejskich wybrał i przeznaczył Polskę na przedmurze chrześcijaństwa.

Za treść swej „piosnki ojczystej“ wziął Potocki jeden z najwspanialszych czynów dawnej Polski—wojnę chocimską r. 1621, kiedy to 65,000 wojska, składającego się z Polaków pod dowództwem Jana Karola Chodkiewicza i Kozaków zaporoskich pod wodzą Sahajdacznego, przez ciąg czterech tygodni z nadludzkim męstwem i nadludzką wytrzymałością zwycięsko odparowało wściekle szturmy 400,000 Turków pod wodzą pysznego Osmana; w chwili zawierania pokoju w obozie polskim pozostała jedna jedyna beczka prochu!

Twórczej fantazyi niewiele się znajdzie w „Wojnie Chocimskiej“: jestto (podobnie, jak poematy Twardowskiego) upoetyzowana historia (kronika) wojny, napisana głównie na podstawie łacińskich pamiętników Jakuba Sobieskiego (ojca króla Jana): od siebie dodał poeta wstęp,

kilka szczegółów, przekazanych przez tradycję, kilka pięknych opisów natury. A pomimo to jest „Wojna Chocimska“ dziełem niepospolitej wartości.

W żadnym innym utworze poezji staropolskiej nie odbił się tak wyraziście charakter rycerzy polskich, w żadnym innym nie przemówiły tak pięknie ich męstwo i religijność,—owe dwa nierozłączne z sobą znamiona dawnych Polaków, walczących z bisurmanem. Przed bitwą „wspierają“ ci bohaterowie chocimscy „świętym obrokiem swoje dusze“, „chwałą Boga ze wszech sił i z pięci zmysłów“, a potem lecą w ogień, „jak na wesele albo na taniec“, z wiarą, że służą nietylko matce-ojczyźnie, ale Bogu i Najświętszej Pannie, że sam Bóg im za to nagrodę obmyśli, dając im na tym świecie nieśmiertelną sławę, a na tamtym „indygenat niebieski“ (t. j. szlachectwo w niebie). Tacyto są ludzie w poemacie Potockiego,—i sędziwy Chodkiewicz i Stanisław Lubomirski (który po śmierci Chodkiewicza naczelne dowództwo objął) i Jan Lipski, „stary rotmistrz usarskiej drużyny, czterema dorodnymi otoczony syny“, i Zienowicz, kasztelan połocki, i Sahajdaczny, ataman kozacki, i wszyscy.

Chodkiewiczowi „Mars z oczu bije“, a „choć starość go przygniata, serca wielkością sił ciała nadpłata“; on ma jedną tylko „prywatę“: „życzyłby, nim ostatnie przyjdzie oczy zmrużyć, Bogu się i kochanej ojczyźnie przysłużyć“; kiedy mu donoszą, że pyszny Osman zapowiedział, iż obiad w polskim obozie jeść będzie, on na to: „Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,—będzie bigos gorący z ołowiu i prochu“. Lubomirski jest młody, pełen fantazyi rycerskiej, a jednocześnie „godzien pochwały i roztropności“; kiedy wezyr turecki żąda, „aby Polacy ich cesarza wiecznym haraczem ubłagali“, odpowiada: „Rychlej mu włosy spadną z opleśniałej brody, niż go takie na tem miejscu potkają gody;.. jeśli nie tchórz, tu, na blizkiem

błoniu, jeśli chce, pieszo, jeśli—czekam go—na koniu, na ostrą-li kopiją, na pałasz-li goly“. Jan Lipski, który „pięćdziesiąt lat bez mała... chustem lał krew za miłą ojczyznę“, któremu „już żadnej rany—chybaby przez bliznę—ani szabla turecka, ani szwedzka kula, łuk tatarski i oszczep grubego Moskula... z przodu zadać nie mogła“, poległ na polu chwały, „jak Leonidas drugi“. Umarł i Zienowicz—od „dwudziestu kilku ran, ciętych i sztychowych“; ale przed śmiercią, w ostatniej bitwie, „siekł, kogo mógł, z potem krew pijący na poły, i uciekli poganie, a on między trupem tak gęstym stał, spartszy się na pałasz-u słupem, w tureckiej krwi po kostki“. Sahajdaczny, który już zdawna wstawił się męstwem, pokazał się i pod Chocimem jako dobry syn ojczyzny, której dotrzymał wiary, „rzadkiej w kozackim narodzie“, z trupów tureckich „groble robił“ i w „jusze tureckiej się kąpał“.

Lecz w „Wojnie Chocimskiej“ są nietylko wskrzeszone „postaci zmarłej przeszłości“, ale i „własne ognie“, własne uczucia poety, który nie umiał i nie chciał się z nimi tać przed czytelnikiem. Więc wypowiada swoją własną mocną wiarę, że rycerzami chocimskimi opiekował się sam Bóg, który „przez mdłe ręce nasze krwią pogańską żelazne napawa pałasze“, który „każe Michałowi, co dyabła wysadził, żeby o rzeczach polskich pod Chocimem radził“; „wodzowie i boży hetmani święte mają anioły, którzy niewidziani w takowych raziech zdrowe dyktują im rady“. Nie kryje się Potocki i ze swoją miłością ojczyzny, która przemawia, to jako дума patryotyczna, to jako smutek patryotyczny.

Dumny jest poeta i nie posiada się z radości na myśl, że „takie przedtem rodziła Sarmacya syny“; rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesławem z trumny, co żelazne po końcach ojczystym kolumny stawiali“. To też nietylko kocha, ale i czci tych rycerzów poeta i, kiedy się oni w ogień

rzucają, woła: „O, chwalebna ochoto! o, kochana młodzi!“ Kiedy opowiada, jak się Osman znęca nad jeńcami polskimi, dodaje od siebie, że ci biedacy „kończą śmiertelność, ale onyniżę zawodem w niebie żyć poczynają, gdzie ich ani głodem, ani żelazem więcej śmierć już nie namaca, a na ziemi żaden wiek sławy ich nie skraca“. Jak Malczewski w „Maryi“ uwielbia rycerzów polskich, rannych w boju z Tatarami, i woła: „Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany przyciśnij z wdzięcznem sercem i całuj ich rany!“,—tak i Potocki rany swoich bohaterów chocimskich czci, jako świętość, i pociesza rannego wojownika, że rana jego to najwspanialszy podarek, jaki ojciec może dzieciom do domu przywieźć: „Żadne-ć-by jarmarki takiego specyału, choćbyś wszystkie fraszki zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki, nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę podjętą na swem ciele synom przyniósł bliznę“. Kiedy umiera sędziwy Chodkiewicz, serce się poecie krwawi i wybucha jękiem; „Hetmanie mój złoty! przeczże, przecz zostawujesz zaczęte roboty?“ A kiedy umiera Zienowicz, woła poeta: „Nie umiera, nie w wiecznym śmierć go mroku kryje: nie da mu cnota umrzeć, która wiecznie żyje!“.

Ze zgrzyliwością natomiast i ironią odzywa się Potocki o tych wyrodkach; co się prochu boją, co radziby porzucić obóz i powrócić do domu, o perfumowanych „galantomach“, którym „wojna mierznie“: tacy, mówi poeta, są „Bogu obrzydli i światu szkaradzi“. Z ironią również odzywa się o królewiczu Władysławie, który rozchorował się w obozie i nie wielką miał ochotę „przesiąść się z żółwia na konia“, oraz o Zygmuncie III, o którym chodziły plotki po obozie chocimskim, że, kiedy rycerstwo polskie krew za ojczyznę przelewa, on sobie najspokojniej w świecie poluje na zające pod Lwowem; to też szydzi z króla Potocki, mówiąc, że mu „psie gony milsze, niż sława dobra, niż <http://www.koronny.pl> wogóle nie lubił poeta

Wazów, jako cudzoziemców, bo król-cudzoziemiec to „kaczka, wodząca kurczęta“. Ale najsilniej piętnuje w „Wojnie Chocimskiej“ współczesne sobie pokolenie, które, jego zdaniem, nie warto rzemyka u obuwia rozwiązać bohaterom chocimskim, bo zniewieściało, bo zatraciło ducha rycerskiego, bo oddaje się tylko wygodom i zbytkom, nie myśląc o matce ojczyźnie; otóż ta świadomość przepełnia szlachetnym bólem patryotycznym serce poety, który też raz po raz przeciwstawia dzisiejszych „pigmejczyków“ (karłów) dawnym olbrzymom; tym sposobem „Wojna chocimska“ jest nie tylko obrazem dawnego bohaterstwa, ale i bolesną satyrą patryotyczną na współczesnych, płynącą wprost z serca kochającego syna ojczyzny, który, jak prześlicznie mówi, pióro swe „omoczył we łzie orła białopiórego“.

O Turkach nie może Potocki mówić z zimną krwią, nie cierpi ich bowiem z całej duszy, nazywa ich okrutnikami, łotrami, głupcami. Pohulał sobie zwłaszcza nad Osmanem, o którym się zawsze wyrazi pogardliwie, nienawistnie lub szyderczo: „Osman, skacze, jak głupi“; na tronie „siedzi, jak bałwan, jakby sztukę balku złotanego postawił kto na katafalku“; „trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlipał, a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał“. Zwłaszcza szydzi Potocki z pychy głupiego sułtana, który, idąc na wojnę, obiecywał swemu dworzanie, że zrobi go „dożywotnim baszą na Krakowie“, a który ostatecznie musiał zmykać, jak pies z podtulonym ogonem.

Jednym słowem, poemat jest nawskroś przesiąknięty własnym uczuciem autora—jego wiarą w Opatrzność, jego duchem rycerskim, jego miłością ojczyzny, jego nienawiścią względem zaklętych wrogów Polski i chrześcijaństwa. I ta właśnie uczuciowość, ten duch poety stanowi główną piękność „Wojny chocimskiej“. Wprawdzie i w Woj-

nie^a Twardowskiego są własne uczucia i poglądy autora: ale Potocki umiał je wypowiedzieć bez porównania silniej i piękniej; „Wojna“ Twardowskiego jest przede wszystkim rymowaną opowieścią o wypadkach dziejowych: „Wojna chocimska“ to przede wszystkim pobudka rycerska; Twardowski upatruje odrodzenie moralne narodu w życiu ascetycznym (§ 62): Potocki—w życiu rycerskiem. A jak duchem i nastrojem, tak językiem i stylem jest „Wojna chocimska“ utworem bez porównania lepszym od napuszonych poematów Twardowskiego: wprowadźcie i Potocki użyje czasem takiego wyrażenia, jak np. „Już Tytan na pół nieba wygnał kwadrygi“ (zam. o południu), lecz wogóle język jest może szorstki, czasem rubaszny, ale jędrny, dobitny, malowniczy, dostrojony do przedmiotu, pachnący siarką i prochem.

INWOKACYA.

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,
Niż durnego Turczyzna propożyt¹⁾ szkarady²⁾
Pisać pocznę w pamiętne Polakom przykłady,
Który, z nimi zuchwale mir zrzuciwszy stary,
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bułgary,
Boże, którego nieba, ziemie, morza chwałą,
Co tak mdłem piórem, jako władniesz groźną stałą,
Co się mścisz nad ostatnim domu tego węglem,
Gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgiem³⁾, —
Ciebie proszę, abyś to, co ku Twojej wdzięce⁴⁾
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył! Boć to jest dzieło Twej prawice—
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,

1) zamiar; 2) szkaradny; 3) t. j. kto krzywoprzysięga; 4) wdzięka=
dzięka.

Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
Przez tych, którzy swą siłą od Ciebie zawiśli!

POTEGA TURECKA.

Zabielaly się góry i dniestrowe brzegi,—
Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,—
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty...

Skoro Osman zobaczył nasze szańce z góry,
Jako lew, krwie pragnący, wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem:
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
Wsieść obozy, hetmany zwoławszy i basze,
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą¹⁾
Dla pola cieńszego, iść na nas obławą.
Kto mu wspomni nie w polskim wieszczą obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie;
Tedy, o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze...
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk, lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Strasznie się bisurmańskie z góry garną roje,
A białe, jako gęsi, migocą zawoje.

Janczar-aga²⁾ we środku, ustrzmiwszy³⁾ w puch
Ogniste swoje pułki na czele postawi; [pawi,
Sam, dosiadłszy białego Arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowie pod żórawią wiechą,
Buńczuk nad nim z miesiącem, otomańską cechą...

1) nie w porządku należyty (z powodu ciasnoty); 2) dowódca janczarów; 3) ustrzmić (się)=ustrzepić się.

W prawo i w lewo janczar ¹⁾ na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specyjały:
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców;
Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak, gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniósłszy swe dzidy,
Patrzy, rychło się do nich sunie giaur gidy ²⁾...
Wszyscy siedzą, od złota, od rzędów, od pukli
(I nie jako na wojnę daleką) wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy:
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi ³⁾, kity, czuby
Trzęsą im się nade łby. A ono nie tu-by
Te prezentować cienie i nikłe ozdoby,
Kiedy wróble takimi straszą z prosa bobo ⁴⁾!
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili...

W tymże obłoku stali Murzyni cudowni;
Jako się błyszczy iskra w opalanej główi,
Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej nad
Paszczeki bielsze, niż śnieg, wyglądały kielce. [szmelce ⁵⁾

Tu się w szerokobiałej na wierzchu koszuli
Po polach Mamalucy przestronych rozsuli,
Jakoby przy łabęciach kto postawił kruki!
A gęste się nad nimi wieszają buńczuki.
Tamże wszystkie narody, które, jako sznuru,
Długiego się z obu stron trzymają Tauru,...
Toż Wołosza z Multany, co przedtem sąsiedzi,
Dziś nam nieprzyjaciele. Tam się wszystka scedzi
Zgraja owa niezmierna, niezliczona gęstwa,
Z której Polska ma świadka, póki świata, męstwa.

¹⁾ drugi przyp. l. mn.; ²⁾ obmierzły; ³⁾ pióropusze; ⁴⁾ bobo = strasznydło; ⁵⁾ szmelc=emalia.

Cóż pisać o armacie? gdy samemi działą
Obóz swój osnowali za szańce, za wały,
Z takim grzmiotem, że ledwie podobny do wiary:
Sam to przyznał Chodkiewicz, wódz i żołnierz stary,
Który, jak się Marsowym począł bawić cechem,
Nigdy tak wielkich, nigdy z tak ogromnem echem,
Sztuk ognistych nie widział, które ziemię z gruntów
Trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów...

Drań się trąby i surmy i w tyle i w przedzie,
Ale po lepszych w Wilnie tańczują niedźwiedzie!
Takie wilcy w gromniczny czas, mrozem przejęty,
Takie wydają świnię zawarte koncentry¹⁾.
Łagodną symfonią tak ślusarz pilnikiem,
Tak osieł swoim cieszy ludzkie ucho rykiem!...

Przyznały mi to pewnie Febus złotowłose,
Że, jako rozpostarto nad ziemią niebiosy,
Jako on dawno snuje swojej sfery wydział,
Takiej liczby stad i trzód w gromadzie nie widział!
Mułów naprzód i osłów z różnymi ciężary,
Potem cielców ćma sroga, zaprzężonych w kary²⁾,
Nuż tak straszna armata, gdzie i po stu wołów
Jedną sztukę ciągnęło! Cóż kule? cóż ołów?
Wszystko to swym taborem, jako się już rzekło,
Kilka mil za wojskami powoli się wlekło...
Porożyste bawoły, barany i kozły,
Krowy, których cielęta na wozach się wiozły...
Nuż maży³⁾, które rzeczy, potrzebne do żydła⁴⁾,
Wiozły, co miały w jarzmach roboczego bydła,...
Gdzie faryna⁵⁾ i sorbet i kawa, co spumy⁶⁾
Trawi w człeku, i we pstrych farfurach perfumy.
Tak się Osman opatrzył prowijantem sporym,

1) koncent—harmonia, zespół; 2) kara—wóz; 3) maża—wóz łubiany;
4) żydło—sposób do życia, żywność; 5) mąka; 6) spuma—piana, szumowiny.

Bojąc się, żeby Polska pospołu go z dworem
Głodem nie umorzyła! Czyli słyszał, że tu
Ryż się nie rodzi, niemasz kawy i sorbetu?

NIEGDYŚ A DZISIAJ.

Chleb a piwo—to żywioł; tłuste mięso z chrzanem,
Gdy zdrowie jest, bez pieprzu, bez cymentu ¹⁾,—panem!
Jakoż, byśmy się chcieli rozgarnąć w tej mierze,
A na wieki z tem wszystkim uczynić przymierze ²⁾,
Czego nam niebo i ta ziemia, co nas rodzi,
Nie dała, dłużejbyśmy—i starzy i młodzi —
Żyli, i każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział!..

Nie znanoż dawniej pieprzu, kanaru ³⁾, cymentu,
Apetyt był każdemu miasto kondymentu ⁴⁾;
Patrzmyż też, co za ludzi miały tamte wieki;
Którzy nam tę ojczyznę dali do opieki!

Ale, że ich mały ślad i tylko w żelazie,
Ledwie że nie z nogami drugi dzisiaj wlezie
W szyszak przodka swojego, puklerza nie dźwignie,
Pod mieczem, jako wyżeł, do ziemi się przygnie,
Ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu,
A jako w czesnem ⁵⁾ krzesle usiądzie w strzemieniu...
Przebóg! Cóż nas w tak drobne przerobiło mrówki?
Zbyt kami nieszczęsnymi, łakomemi gardły
Samiśmy się w Pigmejów postrzygli i karły!
Co żywo, na nas jeździ; i wszyscy nas lubią,
Wszyscy nas, jako własne gąski swoje, skubią!..

Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
Drogimi poobija ściany aksamity,
Ubrawszy ono łożę naksztalt katafalku
Śród pokoju postawi od samego balku ⁶⁾;

¹⁾ cyment=cynamon; ²⁾ zawrzeć rozejm; zawieszenie broni (wzięc rozbrat); ³⁾ kanar=słodycz; ⁴⁾ kondyment=przyprawa; ⁵⁾ czesny=wygodny; ⁶⁾ balk=belka, pułap

Wkoło fraszki rozliczne od szkła i kamieni:
Tem pompa większa, im się która drożej ceni.
Choraǳiewby zaciągnął za każde z tych cacek
I, z większą stokroć sławą, choć przynajmniej znaczek
Wyprawił w Ukrainę, gdzie, jako doroczy
Haracz, lud chrześcijański pies pogański troczy...
. . . Żaden z królów polskich, aże do trzeciego
Zygmunta, nie miał pompy, nie miał fastu ¹⁾ tego,
Jaki dziś ma starosta! Cóż o senatorze
Rozumieć? w jakiej bucie żyje i splendorze!

Nie łożko, nie łabędzie mchy, nie miękkie szaty
Przodki nasze a stare zdobiło Sarmaty:
Ziemia—łożko, barłóg—mech, falandysz ²⁾ od festu ³⁾,
Zwyczajnie karazyi albo też breklestu ⁴⁾
Na kurty zażywano! Co więcej, obok cie
Posadził, choć-eś oszył safijanem łokcie,
Największy pan: gdzie cnota rycerska nas braci,
Ani złotogłów, ani tam aksamit płaci...

Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy,
Które, dokąd świat stoi, nie uznają skazy!
Patrzcie, a kinąwszy cień marnych ozdób płony,
Ich się imcie przykładem sarmackiej Bellony:
Bo ci, nie mając chleba królewskiego bułki,
Nierzkąc ⁵⁾ roty usarskie, lecz stawiali pułki
Nie szarków, nie Rusnaczków, owych Skotopasów, —
Żołnierza ćwiczonego: Węgrów, Szwedów, Sasów,
Co się rodził w obozie, we krwi go kąpała,
A trzaskiem muszkietowym matka usypiała,
Co mu nie zadrzy czoło, choć w ogniu, choć w kurzu,
Za którego piersiami staniesz, jak w zamurzu!

¹⁾ fast=pycha; ²⁾ cienkie sukno zagraniczne; ³⁾ fest=święto; ⁴⁾ karazyja, breklest=proste sukno grube; ⁵⁾ nie mówiąc już, nietylko.

MOWA CHODKIEWICZA DO RYCERSTWA,

Ani mnie ust natura formowała z miodu,
Ani też tam oracyj trzeba i wyvodu,
Gdzie Bóg, ojczyzna i pan ¹⁾ swoje składy święte
W archiwie piersi waszych chowają zamknięte;
Dziś wam się Bóg swej chwały, dziś ołtarzów zwierza,
Nowego, które stwierdził krwią własną przymierza,...
Wam ojczyzna, rodzice, krewne, dzieci małe,
Płeć niewojenną, dziewczki oddaje dojżrąte;...
Wam ubogich poddanych chrześcijańskie gminy,
Ojczyste naostatek ściany i kominy
Pokazuje zdaleka Matka utrapiona,
Pod wasze się z tem wszystkiem dziś dziś kryje ramiona!
Do was obie ręce wyciąga wolność złota!
Niech się tam w swych poganin obierzach ²⁾ umota!
W te ręce król ozdoby swej dostojnej skroni,
Kiedy mu hardy Osman śmie posiągnąć do niej,
Porucza, z których je ma; nadzieje nie traci,
Że tyran posiężnego ³⁾ sowicie przyplaci.
Ja uniżone Bogu czynię dzięki, że mi
Dał żyć na nizkiej do dnia dzisiejszego ziemi,
Dał na tem stanąć miejscu, skąd jeżeli żywo
Wróćę, czeka mnie żyzne wiecznej sławy żniwo;
Jeśli też tu Bóg schyłki wieku mego scedzi,
I to zysk liczę, gdy mnie nie doma sąsiedzi,
Lecz tak wiele chrześcijan pod tureckiem niebem
I moje martwe kości ozdobi pogrzebem!
Więc, o kawalerowie, w których serce żywe
I krew igra, przyczyny mając sprawiedliwe —
Tak koniecznej potrzeby, Litwa i Polanie,
Osiądźcie Turkom karkki i nastąpcie na nie!

1) t. j. król; 2) obierz = sęd. sęd. 3) posiężne = oplata od tego, po co kto sięga.

Niechaj was to nie stracha, niech oczu nie mydli,
Że się poganin upstrzy; uzłoci, uskrzydli:
Namioty, słońce, muły, wielbłądy i osły —
To nie bije; stąd serca przodkom waszym rosły
Do szczęśliwych tryjumfów: i mięso i pierze
Lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze.
Mało co tam wojennych: dziady, kupce, Żydy,
Martauze¹⁾ postroili i dali im dzidy;
Co człek, to rzemieślnik: cień ich tylko ma tu
Osman,—każdy zostawił serce u warstatu!...
Tedy do tak nikczemnej, marnej szewskiej smoły
Sarmatów będą równał?—naród, który z szkoły
Marsowej pierwsze przodki, stare dziady liczy?
Który wprzód szabli, niżli w zagonach, dziedziczy?
Którym Chrobry Bolesław, gdy Rusina zeprze,
Żelazne za granicę postawił na Dnieprze,
Gdy Niemca, co w fortcach i w swej ufał strzelbie,
Takież kazał kolumny kopać i na Elbie?...
Dobądźmy na dzisiejszy dzień chowanej broni,
A skoro hasło JEZUS po wojsku zadzwoni,
Nie szczczędząc bisurmańskiej nikczemnej posoki,
Odbierzmy należyte szablom swym obroki!
Jeżeli się kto boi, jeśli ufa w nogi,
Niech patrzy na bystry Dniestr, tatarskie załogi,
(O czem wątpię) a mężnym bohaterska cnota
Niechaj do wiecznej sławy pootwiera wrota!
A Ty, o wielki Boże, który jednym słowem
Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowym
Panem się słusznie zowiesz, Ty sadzasz na trony,
Ty królom z głów niewdzięcznych odbierasz korony,—
Pokaż swoją moc w naszej niedołądze²⁾ lichej,
Zepchni nieprzyjacioły swoje dzisiaj z pychy!

¹⁾ martauz=kradnacy i zaprzędający tudzi w niewole; ²⁾ niedo-
łąda=niedołążność, bieda.

Oni-ć liczbie tak wielkiej, wozom, koniom; a my
W Tobie tylko, jedyny Boże nasz, ufamy.
Racz podrzeć wielkich grzechów naszych katalogi,
Weź im serca, a nam daj! pokrusz im ostrogi,
Niech się im łuki łomią, niech ich szabla stępie!
Daj cześć swemu imieniu w tym ludzi zastępie!

SZTURM TURKÓW DO OBOZU KOZACKIEGO.

Ledwo się słońce jęło nad ziemią podnosić,
Każe (Osman) wychodzić wojsku, szturm ogłosić
Do kozackich taborów lub zysk, lubo strata:
Tak mu pomsta, tak mu gniew serce w piersiach płata,
Choćby wszystkim Turkom być dzisiaj na przedpieklu,
Byle dobyć Kozaków.

„Idźcież—rzecz—wielkiego świata krócciele,
„Wytnijcie i z korzeniem to szkodliwe ziele,
„Idźcie śmiecie! Ja na was będę patrzył zblizka,
„A kto pierwszy wpadnie do tych psów łożyska
„Dziś, weźmie Sylistryją; a kto drugi po nim,
„Juki złota z ubranym daruję mu koniem;
„Tak aż do dziesiątego, każdy swej odwagi
„I męstwa należyte odniesie posagi“.

Kiedy się do wygranej hardy Turczyn bierze,
Sześćdziesiąt dział burzących przeciwko kwaterze
Kozackiej wyrychtuje

Widzi dobrze Chodkiewicz, na co Turczyn godzi,
Więc w pole sześć usarskich chorągwi wywodzi,
Kędy i sam w tysiącu swojego wyboru
Czołem do kozackiego obróci taboru,
A oraz i lisowskie z szanću ruszy rotę;
Tak stał w miejscu, czekając Marsowej roboty...

Wtem Osman niecierpliwy każe palić działa:
Zaćmi słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmiała,
Rozlegają się góry i sąsiednie lasy

Niewytrzymanym trzaskiem, strasznymi hałasami.
Tak twierdzą (jam tam nie był), że z onego grzmotu
Kilku ptaków na ziemię spadło; zbywszy lotu;
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie
Obaczyć mokry piasek i kamyki na dnie...

Grom słuch odjął, a oddech—siarczyste otręby,
Wzrok—dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.
Twierdził to i Chodkiewicz, że, jak począł z młodu
Wojnę służyć, takiego huk, dymu, smrodu
Nie uznał, jakim nas dziś głuży, ślepi, dusi,
Kiedy się żwawy Osman o Kozaków kusi.
Tylko też ¹⁾ było szkody z owej srogiej burze!
Bowiem ci, w swoich szańcach siedząc, jako w murze,
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwali,
Jednego tylko z swoich junaków stradali.

A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku
Grzmi Osman, każe się swym zmykać ²⁾ pomalutku:

„Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,
„Dorżnąć go, a te działa wszystkie z aparatem
„Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,
„A tak podciąć giaurom twaroustym łydki!“

Już umilkły działa, już nie ryczą smocy ³⁾,
Kiedy tyran zajadły wszystkie wywrze inocy,
Żeby, obóz kozacki ze czterech stron prawie
Obegnawszy, w tak strasznej wziąć go mógł kurzawie.
Dopieroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,
Tuszając, że się Kozacy, tak gęstym piorunam
Oprzeć nie mogąc, albo zginęli do nogi,
Albo swoich taborów opuścili progi...

Długo leżą Kozacy. Jako więc zwykł łowiec
Na lisa i wilk, kiedy widzi stado owiec,
Nie pierwszej ten wypada, tamten zmyka z smyczy ⁴⁾,

¹⁾ tyle też tylko; ²⁾ zmykać się=zewrzeć się, skupić się; ³⁾ wielkie armaty; ⁴⁾ t. j. spuszcza psa ze smyczy.

Aż się zbliżą, aż będą pewni swej zdobyczy:
Tak Kozacy, swego się trzymając fortelu,
Nie pierwaj się objawia, dokąd im na celu
Nie stanie nieprzyjaciel; toż mu ogień w oczy
I z dział i z ręcznej strzelby sypą, a z uboczy
Zawadzi w nich Chodkiewicz i, o gołe brzuchy
Skruszywszy drzewa ¹⁾, sroższej doda zawieruchy,
Gdy, dobywszy pałaszów, jako lew z przemoru ²⁾,
Pierwszego bisurmanom przygasza humoru.

Zapomni się pogaństwo i strasznie się zdziwi,
Że Kozacy strzelają i są jeszcze żywi,
Że ich wszystkich burzące nie pogniosły działa;
Smutno przeto zawywszy swoje hała, hała,
Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,
Naprzód im czoła strachem podchodziły bladym,
Potem, kiedy Chodkiewicz wsiędzie na ich roje,
Ze łby im ostrą szablą zdejmuję zawoje,—
Zwątpiwszy o posiłkach, zwyczajnego toru
Dierząc się, uciekali do swego taboru!
Nie pomoże Mahomet i carska powaga,
Gde śmierć chwyta za gardło, gdy się serce trwaga...

Targa włosy na głowie, gryzie sobie palce
Zjadły Osman, żurzy się ³⁾ na swoje ospalce,
Już nie wierzy, żeby był Mahomet na niebie,
I swych i nieprzyjaciół i znowu klnie siebie!
Potem, się zapomniawszy, kiwa tylko głową,
Biedy Turcy, osobą gardząc cesarzową,
O jego się tak blisko ocierając strzemię,
Uciekają; nakoniec, pięścią tłukąc w ciemię
Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzeszyć,
Przyjdzie i nieprzyjaciół, niestetyż, rozśmieszyć,

1) włócznie; 2) przemór = straszny głód: 3) żurzyć się = gniewać się.

A uchyliwszy onej prześwietnej grandece¹⁾,
Uciec z pola!
Ale, póki w polu stał, jeszcze się wstydzali,
Jeszcze się jakkolwiek²⁾ Turcy opierali;
Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,
Wszystkich w drogę rozgrzeszył i licencyjował³⁾.

ZAKOŃCZENIE.

Tobie, Tobie, Monarcho szerokiego świata,
Acz ci Cię żadna potkać nie może odplata...
Niesiemy hołd powinny i wieczne trybuty!
Pełne usta Twej chwały i serce—pokuty!
Tobie w piersiach, podniósłszy tryjumfalne palmy,
Święty pean przez hymny głosimy i psalmy!
Twoja to wiktorya, Twój fest, Twoje dziwy,
Że Turczyn, który, samym strachem końskiej grzywy
Wielkie kruszył fortece i narody gładził,
Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził
O szczyptę Twoich ludzi, których wzgardził przodem
I zamierzać nad nimi śmiał zwycięstwo głodem!...

Twojej To, Twojej dzieło wszechmogącej ręki,
Za co-ć wszyscy pokorne oddajemy dzięki,
Ofiarę-ć na czystych serc kładziemy ognisko,
Żeśmy na łup poganom, na urągowisko
Pokrytym⁴⁾ przyjaciołom i naszym sąsiadom
Nie przyszli: wszakeś serca człowieczego świadom⁵⁾.
Chciejże, wszechmocny Swórcu wszystkich rzeczy,
zdarzyć,
Aby pokój, któryś nam dziś raczył skojarzyć,
W tej Koronie wiekował ku Twej chwale świętej,

1) grandeca=wielkość, powaga, majestat; 2) jako tako; 3) licencyjować=pozwolić (na ucieczkę—własnym przykładem); 4) pokryty=obludny; 5) t. j. Ty, Boże, wiesz, jakie to zamysły mieli nasi wrogowie.

A z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty!
Pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki
Rozmnoż Świętego Ducha! A przemierzłe zbytki—
Wstręt¹⁾ na niebie i ziemi (byle zaś nie w gniewie!)
Do żywota—niech z nas Twa prawica wyplewie!
Daj w ojczystej swobodzie, w rządzie, w dobrej sile
Wyżyć w tej śmiertelności zamierzone chwile!

§ 67. Prócz utworów większych, pozostawił po sobie Potocki nieprzebrane mnóstwo drobnych, które pisywał od młodu aż do późnej starości. Większą ich część zgromadził w dwu olbrzymich zbiorach, obejmujących przeszło 100.000 wierszy. Pierwszy zatytułował: „Moralia²⁾” albo rzeczy do obyczajów, nauk i przestroóg w każdym stanie żywota ludzkiego“; a drugi: „Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale, co krok, to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku“. Ten dziwny tytuł drugiego zbioru jest bardzo odpowiedni dla obydwu wiązanek: obydwie są rzeczywiście kramami rozlicznego gatunku — dobrego i złego; obydwie są ogrodami niewyplewionymi, autor bowiem nie przeznaczał ich do druku; (zbiór pierwszy dotychczas zalega w rękopiśmie, drugi wydano dopiero w r. 1907); obydwie wreszcie są sнопami różnego zboża, bo ich treść jest bardzo rozmaita.

A więc naprzód są tu krótkie anegdotki (dykteryjki) w rodzaju tych, jakie pisywał Rej (§ 25). Anegdotki to zwykle niewybredne, a często bardzo swawolne, tak dalece, że się autor (jak sam żartobliwie mówi) spowiadał z nich, jak z grzechu, i postanowił je spalić, jeden bowiem ksiądz groził mu za nie „czyścem długim“, a drugi nawet piekłem! Ale nie spalił i tym sposobem pozostawił po sobie ciekawe świadectwo obyczajowe (choć nie bar-

¹⁾ wstręt—przeszkoda; ²⁾ przypowieści

dzo obyczajne), mianowicie świadectwo rubasznego humoru ówczesnej szlachty. Lecz nie brak dykteryjek zupełnie niewinnych, a naprawdę zabawnych.

Oprócz anegdotek pełno w „Ogrodzie“ i „Moraliach“ opowiadań dłuższych, mianowicie obrazków rodzajowych z życia szlachty, zwłaszcza towarzyskiego. Za przykład może służyć opowiadanie „Prośba przyjaciela stanie za rozbój“—doskonała charakterystyka jednego z głównych rysów obyczajowości staropolskiej, mianowicie gościnnosci, która często bywała prawdziwym utrapieniem dla gościa, kiedy gospodarz w żaden sposób nie chciał go wypuścić z domu. Ale czasem i gospodarz miał za swoje,—gdy nawiedził go nudny gość i ani się myślał wynosić, nie widząc, czy też udając, że nie widzi, jak się gospodarz niecierpliwi. Raz np., opowiada Potocki, dano mu znać, że przyjechał jakiś gość nieznany; poeta przyjmuje go gościnnie, dając mu jeść i pić, myśląc, że pojedzie sobie nibawem; ale gość się nie śpieszy, popija wódkę i skarży się na złą drogę; podano obiad, gość najadł się i wciąż gada; gospodarz skarży się na nawał roboty, a gość zaczyna mu opowiadać o bitwie pod Wiedniem; słońce zaszło — gość siedzi i gada; gospodarz zaczyna odmawiać pacierze,—nie pomaga nic; wreszcie gospodarz, zrozpaczony, wybiera się w drogę „przy dobrej nocy“ i pozbywa się nakoniec natręta. I takich obrazków jest całe mnóstwo, a odzwierciadlają się w nich obyczaje szlacheckie tak wiernie i dokładnie, jak w ani jednym zresztą utworze poezyi staropolskiej.

W KOŚCIELE GWIZDAĆ.

„Łżesz!“, chłopu w karczmie rzekł chłop. A na teje ławie Siedząc, ksiądz: „Aż to mówią tak plugawie?
„Jakoż, kiedy nieprawda, tylko — rzece gwiznił
„Tak wszetecznych słów słuchać nie powinien bliźni“.

Wrychle potem ksiądz kazał: „Kiedy Pan Bóg z błota
„Stworzył człowieka zdrowego, postawił u płota,
„Żeby usecht; jako się chytry szatan skradzie,
„Ospy, odry i różnych wrzodów weń nakładzie“.
A tu chłop, znający się na tej robociźnie,
W ławce siedząc z drugimi, co ma pary, gwizdnie.
Tu ksiądz: „Cóż, czy nieprawda?“— „Tylko, ojczy, rzekę,
„Kiedy człowieka nie było, któż grodził pasiekę?“
Stąd-ci miejsce przypowieść staroświecka ściele:
Dajcie pokój, nauczę gwizdać cię w kościele!

WET ZA WET.

Ktoś, przyniósłszy w zanadrzu cytrynę umyślnie,
Dając królowi, prosi o starostwo Wiśni¹⁾,
A król, że żył starosta, odpowie, jak z proce:
„Bardzo słuszną owocem nagradzać owoce:
„Jednak, że Wiśni nie masz, natenczas się figą
„Kontentujcie!“ Zrozumiał i poszedł za dygą²⁾.

NIENADANA CEREMONIA.

Spragnawszy, król Kazimierz, goniąc zwierza w boru,
Wstąpił do szlacheckiego, chcąc się napić, dworu.
Rad był szlachcic ubogi, że go Pan nawiedził:
Skoro z bębna³⁾ ostatek piwa w szkleńcę scedził,
Przyniesie mu do konia. A król: „Pijcież! — mówi—
„Wszak zawsze kredencować⁴⁾ należy królowi“.
Skosztowawszy, ów znowu z ukłonem mu poda.
„Wypijcież do dna—ręcze—tak niesie ta moda“.
Wypił ów do kropelki. „Kaźcież nalać teraz!“
Szlachcic; złożywszy ręce: „Przysiągłbym i nie raz,

1) Wiśnia, Wisznia = Sądowa Wisznia (w powiecie mościskim);
2) dygnawszy, ukłoniwszy się; 3) bęben=dżban, butel; 4) kredencować,
służyć (nalewać puhar).

„Choćby pod sercem było, choćby szczerozłote,
„Dałbym, gdybym miał; widzisz wszak moją ochotę“.
Śmieją się wszyscy, a król, zostawszy na koszu:
„Nie trzebaż ceremoniej zażywać w Mazoszul“

BIAŁO? BIAŁO.

„Młynarzu, są tu ryby?“ — „Są, panie łaskawy!“
„Ejże, podobno nie masz? — „Próżne stoją stawy!“

POŚLUSZNY CHŁOPIEC.

Często pan mawiał, chcąc to chłopcu w głowę wlepić:
„Jak tylko w gębę wezmę, zaraz mi się chce pić...
Trafiło się, że mu ktoś, nim uchylił gęby,
Straszny wyciął policzek, aż się zwinął w kłęby.
A chłopiec leci z piwem. — „Cóż mi po niem, człeczce?
„Wżdy waćpan zawżdy pijesz, wziąwszy w gębę“, — rzecze.
„Przepadnij choć do piekła z twojem piwem, dyablel
„Raczej mi daj na pomstę co najrychlej szablę!“

GOLONO, STRYŻONO.

Idący gdzieś mąż z żoną po ławie ¹⁾ przez wodę,
Ujrzą chłopca bez brody, co ongi miał brodę.
„Ba, wej ²⁾, jak się nasz sąsiad wygolił“, — mąż powie.
A żona: „Wżdyć to ostrzygl, oto znać po głowie!“
Znowu ten: „Ba, ogolił“. Owa: „Ostrzygl“, — rzecze.
Tak długo między nimi było owej sprzeczce,
Aż z słowa przyszło do rąk, aż ją zepchnął z ławy.
Już tonie, już się baba napiła Rudawy,
Już i z głową pod wodą baba łowi śliże ³⁾,
Przecie palcami, rękę ukazawszy, strzyże.

Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,
Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie

¹⁾ ława=kładka; ²⁾ patrz! ³⁾ śliż=mała rybka (płatka).

Mąż jej szuka, a ci w śmiech. On też rzecze: „Szkoda
„Dziwić się: wszystko, prawda, na dół niesie woda,
„Lecz niewiasta, tak sprzeczna we wszystkim z natury,
„I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry“.

Z KMIOTKI PANNA SŁUŻEBNA.

Szlachcionka jedna, panny nie miawszy służebnej,
Kmiotkę, w lnianą koszulę ubrawszy ze zgrzebny¹⁾,
Bierze z sobą w gościnę. Ale wprzód napomni,
Żeby jak najprzystojniej, wszystko jak najskromniej
Czyniła, co jej każą; waszmościała wszystkim
I odwykała wiejskim obyczajom brzydkim:
Mianowicie u stołu patrzyła, jeśli ją
Posadzą, jako panny jedzą, jako piją;
Milczeć; spyta kto,—cicho odpowiedzieć, słuchać!
Na łyżkę całą gębą po wiejsku nie dmuchać,
Nie rządzić, nie przestawiać, żeby nie znać na niej!
Ręce założyć, skoro na nią pojrzy pani!
Pokrajawszy, na nożu w gębę kłaść z talerza!
Uczy tańca wielbłąda i wilka pacierza²⁾).

Siedzą panie. W niezwykłej stoi czuba³⁾ szacie
Przed niemi, aż się hałas jakiś stał w komnacie.
Prosi jej gospodyni, nie żałując prace,
Żeby zajrzała, kto tam tak barzo kołace;
A ta z niskim ukłonem: „Jegomość pan kurek
„Stłukł pannę magłownicę, wleciawszy na murek“.
Śmiejąc się, gospodyni: „Daj zdrowie Ichmościom!
„Wielcem rada w domu swym niebywałym gościom“.
Stąd przypowieść: „Pan Kurek z panną Magłownicą“,
Kiedy się waszmościją pacholek z woźnicą.

1) zgrzebna=plótno grube; 2) t. j. cała ta nauka miała taki skutek, jak gdyby kto uczył wielbłąda tańczyć, a wilka modlić się; 3) czubatka (t. j. owa. dziewczka).

A że już skończę bajkę z przypowieścią społu,
Posadzono też czubę z inszymi do stołu.
Był na półmisku kapłon pieczony; wziąwszy ta
Kolano, z apetytu zębami go chwyta,
Ciągnie garścią, jako pies, przystąpiwszy nogą:
W tym razie pojrzy pani twarzą na nią srogą;
A moja czuba ręce, jako jej kazano,
Wskok złoży, zostawiwszy w paszczęce kolano,
Wszyscy w śmiech, pani tylko od wstydu nie zgorę:
„Nie wezmęz ja cię, drażgu, w gościnę powtóre!“
Dano kaszę na koniec; jeść się jej chce srodze,
Aż owa: „Dmą-ć haw ¹⁾—głosem zawoła—gospodze!
„Będę ja też!“—„Dmi! bodaj rozpukła! Do bydła
„Nie do ludzi, do świni, maskaro obrzydła!
„Prawiem-ci się uczciła ²⁾, od wideł od gnoju
„W panieńskim koczkodona, czopa wożąc stroju!
„Niechaj wszystkie ziemianki mną się karzą dzisiaj,
„Że pstre cynki ³⁾ kondysa nie przerobię w rysiał!“

PROŚBA PRZYJACIELSKA STANIE ZA ROZBÓJ.

Do omycia w kościele pierworodnej winy
Przyjaciel i krewny mój prosił mnie na krzciny.
Że prośba przyjaciela gorsza od rozboju,
Choć i starość i zdrowie swego chce pokoju,
Nie mogąc się wymówić, obojgu uchylę ⁴⁾,
Jadę w niepogodny dzień, złą drogą, o milę;
Z kościoła, choć już słońce z południa się kłoni,
Po długiej na krótkim dniu, do wsi, ceremonii...
Mrok pada. Nie chcą naprzód puścić mię z zastola;
Jeszcze były poważne białogłowy ze mną:
W domu dziś być koniecznie, choćby przez noc ciemną!

¹⁾ tu; ²⁾ a tom się urządziła! ³⁾ cynek=czętka; ⁴⁾ t. j. nie zwracam już uwagi ani na starość, ani na zdrowie.

Kłękam, przysięgam, że już wina nie mam gdzie lać;
Stać na nogach nie mogę, pijana i czeladź;
Oknem trudno wyskoczyć, a izba zamknięta,
I tego tylko czekam, że każe kłaść pęta!

Przecież, jakbym co ukradł, gospodarską zrzedę
Przełomiwszy, ucieknę i w karetę wsiędę:
I tu pić! Końmi ruszyć nie widzę sposobu,
Kiedy ją z kielichami zalegą z stron obu.
Wylazłszy, idę pieszko o kiju za wrota:
Toż wino, taż muzyka, taż i tam ochota!
Nie gorzej na praszczętach ¹⁾, odbierając plagi,
Przez różgi przepuszczony dragon biega nagi;
I nie pierwej się wydrę z tak gorącej łaźni,
Aż i palca nie widać. Gdzie w srogiej bojaźni
Wlecemy się omacką, w srogim strachu, żeby
Szyi, rąk, nóg nie połamać przez dzikie wertebę ²⁾.
Stangret—ślepy, forytarz ³⁾—drogi niewiadomy:
Chybiwszy jej, od samej zaraz zbłądził bromy ⁴⁾.
Wysiadamy, gdzie konni namacają dołek,
Aż naprzód spadł pod koła pijany pacholek,
W którym wszytka nadzieja, aż—woźnica z kozła!
Nikt nie spostrzegł, i długo za końmi się wiozła
Kareta sama, póki tego sługa któryś,
Czy trzeźwiejszy, niż owi, nie obaczy foryś.
Stoimy. Konni w różne strony się rozbiegą,
Nim po światle zdaleka chałupy postrzegą
Toż sprowadziwszy chłopów nie bez munsztułuku ⁵⁾,
Dochrapiemy się domu prawie na bałuku ⁶⁾,
Nabrawszy—za zgubionych siłę rzeczy—błota,
Taki-ć pożytek zbytnia przynosi ochota!

1) praszczęta=różgi do bicia, pręty, męka; 2) werteba=manowiec;
3) foryś, 4) broma=brama; 5) munsztułuk=podarek; 6) na czworakach.

Lecz nietylko do poznania obyczajowości szlachty polskiej są drobne wiersze Potockiego nieocenionym skarbem: poznajemy z nich w najdrobniejszych szczegółach własne życie poety, który opowiada drobiazgowo o swoim trybie życia, o swoim gospodarstwie, o swoich kłopotach i t. p.; ani jeden z poetów staropolskich nie pozostawił po sobie tylu osobistych zwierzeń, co Potocki. Przedmiotem zaś tych zwierzeń są nietylko jego własne sprawy, ale i sprawy całej Polski, które go zawsze żywo obchodziły; stąd wypłynął cały szereg satyr i elegii patriotycznych; i w tychto właśnie utworach najpiękniej przemówił rozum Potockiego i jego szlachetne, kochające ojczyznę serce. Wszystkie współczesne nieszczęścia Polski, czyto hańba pilawiecka, czy traktat buczacki, odbiły się tutaj bolesnem echem. Żali się Potocki, że wróg na wszystkie strony szarpie potężną niegdyś Rzeczpospolitą, że „ten płaszcz, przez Bolesławów z różnych płatów tkany, rozporą i rozbiorą każdy do swej ściany“; Wyrzeka gorzko na anarchię i złotą wolność, która do zguby popycha Polskę: „Apetytem wolności zbytnej oślepieni, lecą w ubóstwo, lecą w niewolę, szaleni“. Sejmiki i sejmy nie zbawią, nie mogą zbawić Polski: „Dla pijatyki większa nas połowica jeździ na sejmiki; kto trąbi, karmi, poi,... królem może zostać“; „jakoż zabiegać, kiedy rwą sejm po sejmie? kogo chce skarać, wprzód mu Bóg rozum odejmie!“ Jedynym ratunkiem dla Polski byłaby silna władza dziedziczna króla; ale cóż, kiedy tego nie rozumie szlachta, która „na majestat się, jako pies na kamień, miece“, — „szczyre głowy kapustne w ludzkiej maszkaradzie“; „wspomnisz im dziedzicznego, żeby nie obierać coraz nowego króla, raczej chcą umierać!“

Oprócz anarchii, pięnuje Potocki ucisk chłopów—tak silnie, jak nikt za jego czasów: „Nie jeden się też wiesi;

woli na powrozie, niż umrzeć od bicia albo w gąsiorze ¹⁾ na mrozie“. Jak śmiesz—woła poeta do okrutnego pana—chodzić do kościoła, „pełne oczy krwi, pełne krzyku mając uszy? hycel psa do jednego razu bije w mieście, jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście — na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle, że mu go wolno zabić“; przecie chłopci są bliźnimi, bo są ludzie, wedle apostoła, bracią jednego z nami członkami Kościoła! czemuż się katolicy dziś na to odważą—swoją handlować bracią podaną sprzedażą, z bydłem wraz inwentując ²⁾ katolików kmieci, gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci, duszę nawet wolno wziąć z gardła“.

Nie ukrywa Potocki i tej gorzkiej prawdy, że nietylko ludzie świeccy, ale i księża uciskali i obdzierali chłopów: „Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorym pisarzem testamentu sam egzekutorem; choć więcej nie zostało, tylko jedna krowa, niech dzieci głodem pomrą — na kościół połowa! Trzeba naprzód zapłacić temu, kto zadzwoni, ziemię kupić na grób, choć ksiądz nic nie ma do niej: drożej, jeśli w kościele albo przy ołtarzu, taniej, jeśli pod niebem będzie na cmentarzu!“ Wogóle Potocki — w myśl swej zasady: „Podobność na się księży Ichmości obrażę, ale więcej ojczyzny, niż ich, łaskę ważę“ — nie oszczędza duchowieństwa, wyrzucając mu niemoralne życie, ciemnotę, a nadewszystko chciwość grosza („Wszyscy księża łakomi, jąwszy od biskupa“), — bo rozumiał, że co innego religia i wiara, a co innego słudzy Kościoła, którzy, jako ludzie, muszą być ułomni. Jako człowiek głęboko religijny, brak wiary poczytywał za nieszczęście i źródło niemoralności: „wszystkie grzechy z pokrytym dziś do Polskiej weszły ateizmem“; a odróżniał prawdziwą religij-

¹⁾ gąsior=dyby; ²⁾ inwentować=zapisywać do inwentarza.

ność od fałszywej, istotę wiary — od jej pozorów, pobożność—od nabożnisiostwa:

Miłość boska złotym jest do nieba powrozem,
Wiara i cnota—końmi, grzech—błotem, człek—wozem. .
Wszystkie wymysły ludzkie, powierzchowne fochy—
Łykiem, mizernym łykiem są z lipowej sochy:
Niech się dyscyplinuje, niech trzodzi, niech suszy,
Niechaj od stopy złoci obrazy po uszy.
Niech dźwiga relikwije worem, niech je liże,
Świec stęm tysięcy stawia, czci drewniane krzyże,—
Jeśli w grzechowem błocie wóz uwiążł i konie,
Łyka to,—serdecznejby liny trzeba po nie!

Ale co najwięcej bolało Potockiego, to nietolerancja religijna, którą słusznie poczytywał za jedno z największych nieszczęść Polski.

KTO MOCNIEJSZY, TEN LEPSZY.

„Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki¹⁾“.
Czemuż to?—„Bo źle wierzył“.—Takowej nauki
W żadnem piśmie nie czytał; onby sam dla siebie
Co najlepiej chciał wierzyć, żeby mógł być w niebie.
„Z Kościołem trzeba wierzyć bez wszelkiego swaru!“
Wzdyc wiara jest dar boży: anuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? To mu
Wioskę wziąć? to go wygnąć na tułactwo z domu?
Nie jedenże katolik nie wierzy z Kościołem,—
Czemuż mu wsi nie biorą z aryjany spolem?
„Każdy wierzy, w co Kościół, chyba, że nie czyni“.
To taki gorzej, niżeli aryjan, przewini!

¹⁾ t. j. temu nieborakowi skonfiskowano wieś (prawem kaduka, t. j. jakby właściciel umarł, nie pozostawiwszy po sobie spadkobiercy; kaduk=prawo dziedziczenia takich dóbr).

„Przecże ten nabożeństwa dla wsi nie odmienił?“
Bo drożej, niżeli wieś, swoją wiarę cenil!
Na cóż mu ją wydzierać gwałtem chcą ci sędzie,
Kiedy on mocno ufa, że w niej zbawion będzie?
Toć już Bóg nie dla sądu, lecz przyjdzie dla kary,
Kiedy Go uprzedzają, sądząc ludzie z wiary.
Jeśli, jako o rozbój albo insze brzydą
O wiarę karzą, czemuż opuścili Żydy?
„Bo się nam okupują!“ Pewnie-ć tymi, co są
W Polsce pieniądźmi,—inszych do Polskiej nie niosą.
A kędyż sprawiedliwość za pieniądźmi chodzi?
Godne prawo nagany, ani się to godzi!
A o naszej co mówią aryjani wierze?
„To, co my o nich: że w niej nie ważne pacierze“.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Wždy szlachta! o równą się z nami wolność kuszą!
„Bo nas więcej, niżli ich!“ Już terar pomału
Przychodzę do rozumu: lis ze lwem do działu!
Nie, żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko, że słabszy, przeto z nimi za drabinę!
Bać się, żebyśmy, karząc złą wiarę w ich zborze,
Bardziej się utwierdzili tym sądem w errorze¹⁾:
Rzako kiedy gwałtowna rada dobra bywa;
Nie wadziło poczekać z tem plewidłem żniwa.
I kalwinić nie wierzą kościelnej nauki:
Czemuż na nich takież nie zażyjem sztuki?
„I ci w Polsce nie wieczni: skoro się przeredzą,
„Upewniam, że Angliją z Holendry nawiedzą!“

Jeden to z najlepszych drobnych utworów Potockiego, jedna z najboleńszych satyr w całej poezji staropolskiej, a zarazem najpiękniejsze w całej literaturze XVII w.

1) error=błąd.

słowo, wypowiedziane w obronie wolności wiary i sumienia.

Wszystkie swoje smutki patryotyczne zebrał Potocki w satyrze p. t. „Czuj! Stary pies szczeka“. „Stary pies — gospodarzu, czuj o sobie! — szczeka; dosypiasz-li, — szkoda cię, ba, zginienie czeka! Podkopują złodzieje zbójcy na przemiany, do komór domu twego rozbierają ściany. Porwi się, biały orle! radź o sobie, Lachul!“ Tymi zaś złodziejami i zbójcami, którzy kradną komorę (t. j. Polskę), są nie tylko źli sąsiedzi, szarpiący granice Rzeczypospolitej, ale i domowi: panowie i urzędnicy, ciemiężący chłopą; chciwi i niemoralni księża; mieszczenie, wstydzący się swego pochodzenia i gwałtem wdzierający się w szeregi szlacheckie; kupcy, wywożący z biednej Polski srebro za granicę; żołnierze, obdzierający biednego kmiotka; sędziowie niesprawiedliwi i krzywoprzysiężni: na nich to wszystkich szczeka stary pies, t. j. poeta; ale cóż z tego, kiedy „darmo szczeka stary pies: to będzie miał zyskiem, że mu się wręcz abo też dostanie pociskiem. Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie, nikt nie wyjdzie, nie wyjrzy: pies szczeka, wiatr niesiel...“

Jeszcze silniej przemówił ból patryotyczny Potockiego, spotęgowany świadomością, że Polska leci w przepaść bezdenną, bo zatyka sobie uszy na głos ostrzeżenia, w rozdzierającej skardze p. t. „Niechaj śpi pijany“.

Śpi świat pijany... Dyabeł na warcie, żeby nikt nie
budził, stoi,

Grozi palcem zdaleka, psów nawet popoi,
Żeby spali. Nie szczeka żaden na katedrze
Abo niezrozumiałym głosem! Chce-li pyska
Uchylić który, chleba po kawałku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze, —
„Heretyk! Zamurować na śmierć go w klasztorze

„Abo ścierać, abo spalić! Jak smaczny sen światu
„Przerywać? niech paszczęki swej sprawi się katu!“

Niema w tej skardze żadnej przesady: życie swoje narażał ten, kto ośmielał się budzić szlachtę, śpiącą snem złotej wolności; mianem heretyka albo zdrajcy piętnowano tego, kto śmiał przemawiać za tolerancją religijną albo za reformą polityczną. Prawdziwie, jakiś dyabeł stał w Polsce przy końcu XVII w. na warcie, nie pozwalając szczełkać „starym psom“—mądrym i wiernym stróżom Rzeczypospolitej, których było corazto mniej, a do których należał Waclaw Potocki! To już nie smutek, to rozpacz odezwała się w tej skardze, — rozpacz patryotyczna stojącego nad grobem starca, który, widząc, że „gore Polska, gore dom,... już dach spadł, ściany lecą“, nie potrzebował być prorokiem, aby wróżyć, że Polska „nierządem zginie, rozlezie się abo między sąsiadów rozplynie“, i tę już tylko jedną miał pociechę: „I ci szczęśliwi, których pcha starość do dołów, że nie obaczą miłej ojczyzny popiołów“...

§ 68. Mniej talentu od Potockiego, ale więcej wdzięku i poczucia piękna posiadał najznakomitszy liryk drugiej połowy XVII w., autor „Psalmodyi polskiej“, Sandomierzanin, **Wespazyan Kochowski** (1633 — 1700). Poprzestał na ukończeniu szkół średnich, skąd wyniósł znajomość łaciny oraz poezyi, mitologii i historii starożytnej; (zresztą zbyt biegłym starożytnikiem nie był, skoro nie odróżniał np. Peryklesa od Temistoklesa, a Herkulesa od Hanibala). Ale więcej, niż szkołom, zawdzięczał (podobnie jak Twardowski) samemu życiu: przez cały „lat dziesiątek władał kopią“, walczył z Kozakami (pod Beresteczkiem) i Szwedami; później zamienił szablę na lemiesz i gospodarował naprzód w sandomierskiem, później w krakowskiem, otoczony powszechną przyjaźnią; ale, kiedy Jan III szedł pod Wiedeń, znowu miecz do boku przypasał, aby walczyć w obronie

Europy i chrześcijaństwa. Bo grała w nim mocno krew rycerska, która się jednak dziwnie godziła z przyrodzoną dobrocią i pogodą ducha.

Ojczyznę kochał gorąco: chętnie krew dla niej przelewał, radował się z jej tryumfów, opłakiwał klęski; biał nad rozrywaniem sejmów, co nie przeszkadzało, że i on, jak tylu innych, poczytywał „liberum veto“ za „balsam“, za „dyament kosztowny wolności“, byleby się tylko nie postugiwać nim dla prywaty; tego, że „liberum veto“ jest bezwzględnie szkodliwe, nie rozumiał. Wogóle nie różniał jasno sprawy publicznej od prywaty, skoro, idąc za owczym pędem, uwierzył w Lubomirskiego, jako zbawiciela Polski, i nietylko stanął po stronie magnata, ale cały poemat w obronie jego napisał, chociaż sumienie ostrzegało go, że Lubomirski walczy przeciwko „Zwierchności najwyższej i pomazańcowi bożemu“. Dumny był także Kochowski — z obieralnego tronu w Polsce. Słowem, byłto patriota gorący, ale nie głęboki i pod tym względem od Potockiego bez porównania niższy. Religijnym był nawskroś, po staropolsku, nabożnym aż do dewocyi. Całem sercem kochał Boga, wierzył ślepo w Opatrzność, miał szczególne nabożeństwo do Najświętszej Panny, jako do królowej Polski; wierzył w cudowne uzdrowienia, wielbił cudowne obrazy; wierzył, że wizerunek Chrystusa może płakać krwawemi łzami, że Matka Boska uratowała mu życie, kiedy raz, kąpiąc się w Pilicy, już już miał utonąć. Silna wiara w Opatrzność bożą nie ustrzegła go jednak od różnych zabobonów (wierzył np, że się co lat siedem musi zdarzyć w życiu narodu jakiś ważny wypadek); a dotego (inaczej, jak Potocki) był fanatykiem i nietolerantem; poczytując różnowierstwo za główną przyczynę nieszczęść Polski, nie cierpiał protestantów, nadewszystko zaś aryan, z których wypędzenia serdecznie się cieszył, nie szczczędając im zelżywych przezwisk, nazywając ich „ojczyzny wieczną

hańbą“, „ciemnemi z przedpiekła sowami“, „wnukami Belzebuba“, „lucyferowymi siostrzeńcami“ i t. p. Tę niechęć względem różnowierców podzielał Kochowski z całym niemal społeczeństwem ówczesnym. I wogóle przez rodzaj swego patriotyzmu i religijności, przez swą pogodę ducha, przez to dalej, że w jednej osobie był rycerzem i ziemianinem, przywiązany do kawałka roli i rozkochany w powabach życia wiejskiego, jest Kochowski postacią typową, w której się odzwierciedlają poglądy i uczucia przeciętne-go szlachcica, z tem jednak zastrzeżeniem, że dobre strony natury polskiej miały w nim przewagę nad złemi: nie był on np. tak kłótniwy, nie procesował się tak zawzięcie o byle co, jak większość ówczesnej szlachty. Wogóle jest Kochowski postacią bardzo miłą, o głowie nieszerokiej, ale o dobrem, czułym, miękkim, jak wosk, sercu.

Jako poeta, cieszył się niemałym uznaniem współczesnych, którzy nazywali go Kochanowskim swego czasu. Współcześni przesadzili: miał Kochowski niewątpliwie talent, mianowicie liryczny, uprawiał te same mniej więcej rodzaje poezji, co Kochanowski (którego bardzo wysoko cenił i „hetmanem poetów polskich“ nazywał): pieśni patriotyczne, religijne, refleksyjne, fraszki wesole i poważne, psalmy, treny; jak Kochanowski, tak i on opiewał rozkosze życia wiejskiego; i on miał poczucie piękna i miłą szczerłość uczucia: i on umiał przyoblekać swe pomysły w odpowiednią formę: wszystko to prawda, ale i to prawda, że te zalety posiadał w bez porównania mniejszym stopniu, niż Kochanowski, że talent miał prawdziwy, ale, w porównaniu z talentem Kochanowskiego, małeńki; a zmysłu piękna posiadał nie dosyć, aby się uchronić od nienaturalnego często szyku wyrazów, od słów zbyt pospolitych lub też od wyrażań wyszukanych (św. Józefa np. nazywa słowa wcielonego komisarzem!); szpeci również jego poezję zbyt częste posługiwanie się mitologią. Z tem wszystkim

posiada jego poezya niezaprzeczony wdzięk, tak rzadki w XVII stuleziu, i wśród współczesnych sobie liryków zajmuje Kochowski miejsce naczelne; jego pieśni nie są tak kunsztowne, jak wiersze Andrzeja Morsztyna (§ 61), ale zato szersze, naturalniejsze i przez to właśnie piękniejsze.

Pieśni te, pisane po części na wzór Horacego, odznaczające się wielką różnorodnością strofy i wiersza, wyszły pod tytułem „Niepróżnujące próżnowanie“ (1674), co znaczy: wczasy poetyckie, t. j. wiersze, pisane w chwilach, wolnych od zajęć obowiązkowych. Są tu naprzód pieśni religijne—owoc szczerej i głębokiej wiary poety. Najudatniejszą jest „Uciezka Korony polskiej do N. P. Maryi“, znamienita, jako wyraz tej czci, jaką otaczał Matkę Boską nie tylko poeta, ale wogóle naród polski, który Ją sobie za Królowę Niebieską obrał.

Dużo jest pieśni patryotycznych; ich przedmiotem są niemal wszystkie ważniejsze współczesne wypadki dziejowe, począwszy od śmierci Władysława IV aż do elekcji Sobieskiego, które napełniały serce poety to radością, to (daleko częściej) smutkiem; a więc hańba pilawiecka, klęska korsuńska, zwycięstwo pod Beresteczkiem, wojny szwedzkie, tryumfy hetmana Sobieskiego i t. d. Jedną z najlepszych jest pieśń p. t. „Dawna kanneńska odnowiona“, pełna smutku patryotycznego i oburzenia na uciezkę z pod Pilawiec, którą poczytywał poeta za równie dotkliwą klęskę dla Polski, jaką dla Rzymu była straszna bitwa pod Kanami, zapominając jednak o tem, że bitwa kanneńska była klęską, lecz nie hańbą, jak Pilawce; ale pieśń jest piękna, miejscami nawet silna, a zawiera w sobie bolesną skargę na zniewieściałość, na ucisk ubogich, na zbytki obozowe, na samochwalstwo.

I inne grzechy swego społeczeństwa śmiało piętnował Kochowski, miotając np. „Przekleństwo na synów koronnych, sejmy zrywających“: „Bodaj źle zginął, bodaj za-

bit marnie, kto dla prywaty swej sejmy zrywa! Niech głowa jego przepada niekarnie, niech wymazany z ksiąg żywota bywa! Żyw-li też, niech go nieszczęście ogarnie, a sztuki chleba niechaj mu ubywa! Niż MATKA zginie, niechaj zły syn pierwu, zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu!“

Miłe sę pieśni sielskie, w których poeta to się unosi nad pięknnością swoich stron rodzinnych, nad „miłemi gór świętokrzyskich kniejami, na których wiecznie liść się zielenieje“; to opiewa powaby wiosny, która „wszystkiemu czołem, ona śniegi zbiera i na przemarzłej ziemi ona rozpościera różne kwiatowe szpalery... sam się róża czerwieni rumieńcem purpury, w drugim krzaku zaś biała na słoneczne przyście, przyjemną czyniąc wonią, swe rozwija liście“: to wyraża swoją radość i zadowolenie z gospodarstwa na kawalku ziemi, niewielkim wprawdzie, ale własnym i urodzajnym; to opisuje zajęcia i rozrywki wiejskie, zwłaszcza ulubione dawnym Polakom „Myślistwo“ i t. p.

Najwięcej jednak talentu widać w pieśniach wesołych, żartobliwych, będących wyrazem pogody ducha poety, który przepadał za życiem towarzyskiem i wesołością i, jak się sam przyznaje, wołał taniec od wojny: „Weselsza chwila widzieć Achilla w tańcu z Bryzeidą, niż gdy z Parysem kryci kirysem za łeb mściwo idą“; przy wesołej uczcie, w gronie przyjaciół, nie lubił myśleć o rzeczach poważnych: „Traszka mądre Muzy; to grunt, co frasunek przerwie: puhar jaki duży! Niechaj kto chce tam z fizyki mądry dyskurs wiedzie: my zaś wolim ssać kufliki przy długim obiedzie... Kto zwyciężył nieprzyjaciół, stawiaj obeliski: ja się wolę wcisnąć za stół, gdzie gęste kieliszki!.. A chociażem człek ubogi, gdy między puhary, sam mi krymski chan nie srogi z swoimi Tatary! Chociaż leży tam pod Wilnem Moskal o tej dobie, wnetże mu ja będę silnym, jak podpisę sobie! Iże Szwedzi, twierdzą naszy, wy-

siedli pod Rygę: ja, przy pełnej siadłszy flaszy, pokażę im figę!“ Takto opiewa Kochowski ucztę i tańce, żartuje sobie z towarzyszków, prawi komplementy kobietom, ale tylko młodym i pięknym: starych i brzydkich nie lubi, tych zwłaszcza, które, pragnąc się odmłodzić i upiększyć, malują sobie twarz i czernią brwi; z takich szydzi niemiłosiernie: „Twoja-li to twarz, czyli kobyła? Niech mię uroda ta nie omyla! Tważ to postawa? twojeż to lice, czy w dziesięci lat młodej żrebice?... Brwiczki przyprawne—przyjemna sztuka!—ale tak wdzięczna, jak u borsuka! Nos, jako siekacz, a płeć tej barwy, jako malarze malują larwy! Ząbki z hebanu—wiedz, który kędy!—nadpustoszały obadwa rzędy; ten defekt tając, wargi zatyka i już nie mówi, leć całe krzyka!“ Żartobliwie również mówi poeta o swojej miłości; w pieśni np. „Melancholia“ nie bardzo się smuci, że dostał odkosza; nie będzie ta, będzie inna; a w pełnej wdzięku pieśni „Zielone“ zaręcza, że swoją ukochaną Marysię (żonę, Maryannę z Misiowskich) wygrał w zielone; jedna to z perełek liryki staropolskiej.

UCIECZKA KORONY POLSKIEJ DO N. P. MARYI.

Jak się owo dziecko bierze
 Rozkwilone do macierze
 Kiedy, swawolne, bojąc się chabiny¹⁾,
 Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny;
 Więc do matki ręce, wznosi
 I ratunku od niej prosi,
 Pod nią się tuli, jej zakrywa szatą,
 Aż je pojedna z rozgniewanym tatą:
 Polsko moja, w tak złej toni
 Któż cię dźwignie, kto obroni?
 Skąd ci tak wczesne supecy²⁾ przydą;
 Któraż cię Pallas zasłoni egidą?

¹⁾ chabina=różga; ²⁾ posiłki, pomoc.

Apollo swej bronił Troi,
Mars przy Rzymie mocno stoi,
Jupiter swymi opiekął się Greki,
Jako wierzyły dawno błędne wieki:
A my dokąd, bliżsi zguby,
Udamy się z swymi śluby,
Kiedy niebieski Ociec rozgniewany
Przepuścił gorsze Szwedy, niż pogany?
Póđźmy Boskiej prosić Matki:
Aza¹⁾ Polski te ostatki
Pożarte wydrze z łakomej paszczeki
I nie da zginąć Sarmatom na wieki?!
Pokaż się nam Matką, Pani!
Prosim, upadli poddani:
Broń nas zaszczytem²⁾, o Królowa, czułym,—
Tym Cię na wieki Polska czi tytułem!
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam, ubogim,
Aby pamiątka w polskiem była państwie:
Nie zginie, kto jest w Maryjej poddaństwie.

DAWNA KANNENSKA ODNOWIONA R. 1648.

(w skróceniu).

Nie łaj, nie fukaj, który chcesz ojczyzny
By w pamięć szły mniej uczciwe bliźny!
Nie klniej, nie złorzecz! Jako chwalne dzieła,
Tak trzeba, hańba by pamiętna była!...

Jako od wieku Polska tu osiadła,
Na nią takowa obelga nie padła:
Umierać raczej poczciwie woleli
Polacy, niżby z placu zbiegać mieli!

¹⁾ może, a nuż; ²⁾ zaszczyt=broń, obrona.

Wspomnieć Chojnicką, wspomnieć Bukowinę,
Rzadką niesławy w kronikach nowinę:

Choć nieprzyjaciół otrzymał zwycięstwo,
Krwia je swą płacił przez Polaków męstwo..

Na nim ¹⁾ nie droga ode złota gaza,
Leć od rzemienia tylko a żelaza,
Na panu serdak z prostej tkany wełny,
Suchar a woda — bańkiet mu zupełny,

W ciągnienu się nań nie poskarży chłopiek,
Na podwodę mu nie wzięto świerzopek ²⁾,
W stacyj ³⁾ sierot nędznych nie ciemieży,
Na sumieniu mu ludzki płacz nie cięży.

Za wami zasię skwierk ⁴⁾ ubogich bieży,
Pełniście zdzierstwa, pełniście grabieży!...

Bo pociście wy do obozu przyszli?
Snadź dla bańkietów, biesiad, dobrej myśli!
Poranek gnuśny, a wieczór pijany:
Takżeto Kozak będzie zwojowany?

Szańców nie sypią, nie ćwiczą piechoty,
W polu na monstrę nie wynidą roty.
To kunszt—harcować pod wieczór wesoły
I Chmielnickiego wojować za stoły! ⁵⁾

Ospale straże, rzadko kiedy rady,
Leć i te raptem, bo długie obiady
Wszytek czas wezmą: gorące pasztety
I genueńskie od kanarów ⁶⁾ wety!

Potem, w okropne jak naleją czary
Mocnych cekubów ⁷⁾, pstryknem na Tatary,
Lub tej od wina śmiałości nawykniem,
Iże Kozaków kańczugami wytniem!...

¹⁾ t. j. na starożytnym Polaku; ²⁾ świerzopa = klacz; ³⁾ stacya = postój; ⁴⁾ pisk, jęk; ⁵⁾ za stołami; ⁶⁾ kanar = słodycz; ⁷⁾ cekuby = wino włoskie.

MYŚLISTWO.

Wstawajcie, bracia, bo już słońce wstaje,
Nam pogodę piękną daje;
Konie dawno posiadłane,
Łowczy otrąbił na szczwaczów wsiadane...
To byt na świecie, byt nieporównany—
Być jednym z cechu Dyjany;
I, jeżeli nie myśliwy,
To nie jest żywot na świecie szczęśliwy!
Jako niezwyklej uciechy przybywał
Łowczy: Pojedź! wytrębywa:
Pódź za nim! myśliwcyk krzyczy;
Ogary w sforach, a charty na smyczy.
Tam, gdzie objezna knieja ¹⁾, z nimi staje,
Wywiera ogarów zgraje,
A szczwacze; pełni nadzieje,
Z postrzemiennymi ²⁾ jadą w koło knieje.
Nie tak łabędzie głośno na Strymonie ³⁾
Nuca przy ostatnim zgonie,
Erytrejskie ⁴⁾ nie tak dzwony
Wdzięczne, jako krzyk psi nieutulony!
Fraszka w Narbonie ⁵⁾ organy misterne,
Głosy wydając niezmierne:
Gdy ogary skulą ⁶⁾ w lesie,
Daleko huczniej echo odgłos niesie!
Już się na lizkę otrąbił i wilka
W trąbę łowczy razy kilka;
Idą psi; „pąda“! ⁷⁾ on krzyczy,
Żeby pilnował pewnej już zdobyczy.

1) knieja, którą objechać trzeba; 2) pies, przywiązany do strzemi-
nia; 3) Strymon—rzeka w Tracji; 4) Erythrae—miasto w Azji Mniejszej
ze świątyniami Herkulesa i Ateny; 5) Narbona—miasto w Galii; 6) sku-
leć=skomleć; 7) okrzyk na pśa.

„Ha, ha“ po lesie, wszedłszy, się rozlega:
Już sam ¹⁾ bury wilk wybiega.

A ten zraził zwierza marnie,

Leć nań przesmykiem dwie wypadły sarnie.

Na tego wypadł dzik impetem wściekłem

I rozciął mu charcicę kłem,

Aleć przecie za tę szkodę

Położon kulą: zwierzyna w nagrodę!

Skończywszy dzieło, w kupę obłów znoszą,

Zaraz jedni zwierz patroszą,

Ci zaciekle psy strębują,

Wszyscy wesoły tryjumi odprawują.

Ni tak Herkules, kiedy nemejskiego

Zabił mężnie lwa srogięgo,

Ani Meleager, dzika

Mężnym obłowem ucieszon, wykrzyka,

Jak oni chwałą, jako skromny zając;

Drugi, chartom swym dank dając,

Anatomizuje ²⁾ sobie

Wilka, o jego rokując wątrobie.

Temu wwiązana chytra liszka w troki

Konia szczypie mu za boki,

Ów sarny na wozie kładzie,

Ten skok ³⁾ podziela ogarów gromadzie.

Dopieroż, kiędy myśliwa drużyna

W domu siedzie u komina,

Tryjumpfują wszyscy bardziej,

Niżli kiedy Rzym wzięli Langobardzi!

W tem z roznów niosą dziczyzny okroje

I z piwnice wtaż ⁴⁾ napoje;

Jak zamroczą łeb kieliszki,

Samiż pojedzą i wilki i liszki.

1) tu; 2) anatomizować=rozbierać, ćwiertować; 3) skok=noga zającza; 4) znów.

ZIELONE.

Maj wesoły nam nastaje,
Zielenią się sady, gaje,
Wiosna zimie gnuśnej łaje,
A zielone w rękę daje.

Zakwitły piękne dziardyny ¹⁾,
Zgoła wszytek świat, jak iny;
Ogrodów Flora bogini
W oczach ludzkich cuda czyni.

Patrz, jako jawór wyniosły
Już gęstym liściem porosły;
Kochaneczek wawrzyn Feba
Ma odzieży, co potrzeba.

Jabłoń, w porośle gałęzi
Sama siebie kryjąc, więzi;
Na cytryny, gruszki, wiśnie
Gęsty przez gwałt list się ciśnie.

I wszytek rodzaj skołoźrzy ²⁾.
Wierzchołka z pniaku nie doźrzy.
Wraz wzgardzone swym niepłodem,
Zielenią się wierzby przodem.

Więc z nich zrywam latorośle,
Te Marynie pięknej poślę:
Zielonem się niech zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.

Ta gra tem się prawem chlubi:
Komu zwiędnie, kto je zgubi
Lub go zbędzie inszym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem ³⁾.

Więc ja stawiam łańcuch złoty
W grochowe ziarnka roboty,

¹⁾ dziardyn=ogród; ²⁾ wczesny; ³⁾ ogółem, hurtem, t. j. przegrywa cały zakład.

Choć nie kanak, nie halzbanty¹⁾,
Na jakim się zdobył fanty.

A zaś moja stawi dama
Już nie kruszec—siebie sama!
Droższy zakład jej osoby,
Niż złoto węgierskiej próby.

Przyjmie prawo—i gałązki
Pięknemi związuje wstążki;
Pokrowczyk z skóry wierzbowej
Kładzie, by nie wiął list płowy.

Gdy już długo na nią schodzę
I podejść ją we grze chodzę,...
„Dobry dzień, panno! Zielone?“
Ta trze snem oczy zmorzone.

Ja znowu: „Maryś! Zielone?“
„Darmo się przysz²⁾, bo stracone!“
Potem się sama przyznała,
I w zakładzie fawor³⁾ dała.

Wesołość poety odbiła się i we „Fraszkach“ (1674). Są tam wprawdzie, jak wśród fraszek Kochanowskiego, wierszyki poważne, ale śmiech, żart, lekka złośliwość przeważają. Żartuje sobie np. poeta z Mazurów: oto raz ukąsił Mazura wąż jadowity, i cóż? Mazur był zdrów, a wąż zdechł, i t. p. Jak fraszki Kochanowskiego są odbiciem wesołych zabaw poety w Krakowie (§ 37), tak we fraszkach Kochowskiego odbiło się wesołe życie towarzyskie w sandomierskiem, tem weselsze, że Kochowski umiał sąsiadów swoich zabawić—właśnie swojemi fraszkami; udatniejszych, z wyjątkiem fraszek Kochanowskiego, poezya staropolska nie zna.

1) kanak, halzbant=naszyjnik; 2) przeć się=zapierać się, przeczyć;
3) fawor=życzliwość, miłość.

O TYCH WIERSZACH.

Jako na dworach pańskich, choć się różnie rodzą
Słudzy, przecie w jednakiej wszyscy barwie chodzą:
Będą Słowacy, Włoszy, Węgrowie i Niemcy,
Wszyscy pana jednego, chociaż cudzoziemcy:
Tak i ja, jak z autora którego wiersz zarwę,
Za swój go już mam, jeno mu dam barwę.

DAREMNA.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ścianę miotać
Próżna: tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

PAMIĘĆ WALECZNEMU WOJEWODZIE.

Umarłych próżno płakać, próżno i żałować,
Których sława pod niebo zwykła wylatować;
Lecz, stratę uważwszy, słuszna przy twym grobie,
Cny Czarniecki, wypłakać Polsce oczy obie.

STAROŚWIECKA MODA.

W kościele bądź nabożny, a pokorny w szkole,
W polu bitny, w grze wesół, żartowny przy stole.

KOMUŚ.

Mówisz, żeś błazna widział, czegoś zdawna żądał:
Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał!...

TAK MA BYĆ.

Czemu łuskę z ryb skrobiją? Mniemam, temu pono,
Że, gdyby pierze miały, toby je skubionol...

KOLEDA PANNOM.

Wenus na zółwiu stoi. Naco? Łatwo wiedzieć:
Że panna nie ma biegać, ale w domu siedzieć!

O PANACH MAZURACH.

Komar, niż żądłem utnie, brzęczy koło uszu;
Tegoż i Mazurowie, widzę, animuszu:
Pierwej się swarzą, niż się biją, z tej przyczyny:
Lepsza, niż się kwadrans bić, swarzyć trzy godziny

DO NOWEGO SZLACHCICA.

Mówisz: „Król mi szlachectwo konserwował“,—to ty
Szlachectwo twe od króla masz, a nie od cnoty?

NA OBRAZ SCEWOLI

Pali rękę Scewola dla ojczyzny: a my
I w zimną wodę onej włożyć się wzdrygamy?
Nie cierpieć nic, czynić nic—własne polskie dziło;
Bodajże się o takim Polaku nie śniło!

O SAMUELU TWARDOWSKIM.

Tyle powinna Polska Wielka Twardowskiemu,
Ile mnie moja Mała, poecie małemu.
Trudno winić fortuny los niesfałszowany:
Wielkiej—wielki poeta, Małej mały dany.

§ 69. Z biegiem czasu Kochowski, chociaż nie tracił przyrodzonej pogody ducha, stawał się jednak człowiekiem corazto poważniejszym; poniechał żartobliwych pieśni i fraszek i uprawiał jedynie poezję poważną, głównie religijną: napisał całe mnóstwo pobożnych wierszy na cześć Chrystusa i Najświętszej Panny, lecz one nie posiadają wartości, chociaż są bardzo znamienne, jako świadectwo wzrastającej w Polsce XVII w. pobożności. Pracował nadto nad historią ojczystą: jego „kronika“ (łacińska), w której opowiedział dzieje od śmierci Władysława IV aż do zgonu króla Michała, jest przez swoją szczegółowość i dokła-

dność bardzo cennem źródłem do poznania tych czasów, a przez naiwne sądy autora i brak wyrobionego zdania o wypadkach współczesnych (np. o rokoszu Lubomirskiego) jest dokładnym wyrazem przeciętnej opinii szlacheckiej.

Lecz nietylko na polu prozy łacińskiej chlubnie się zaznaczył Kochowski w latach starości. Miłość Boga i miłość ojczyzny zawsze należały, należą i należeć będą nie tylko do najpiękniejszych, ale i do najsilniejszych pierwiastków natchnienia poetyckiego: otóż dwa te uczucia, które mieszkały w sercu Kochowskiego już w młodości, na starość corazto wzrastały, zlewając się w jedną nierozdzielalną całość, i one to natchnęły go do wyśpiewania trzydziestu sześciu podniosłych, pisanych — na wzór psalterza Dawidowego—majestatyczną prozą biblijną, psalmów, które ogłosił drukiem p. t. „Psalmodya polska, za dobrodziejstwa boskie dziękująca“ (1695). Jeden to z najpiękniejszych utworów całej poezji staropolskiej, wspaniała ozdoba poezji religijno-patryotycznej XVII stulecia, a zarazem śliczny pomnik serca człowieka, który, choć zawsze był dobry i szlachetny, ale na starość jeszcze bardziej szlachetniał, do tego stopnia, że nawet dla innowierców miał tylko słowa gorzkiego wyrzutu, ale już nie nienawiści i nie przekleństwa, jak dawniej.

„Psalmodya“ to serdeczna spowiedź starca, który, stojąc nad grobem, zapatrzył się w niebo, tam posyłał swoje myśli i pragnienia serdeczne, stamtąd tylko oczekiwał zbawienia dla siebie i szczęścia dla swej ukochanej Polski. Są w „Psalmodyi“ dwie grupy psalmów, z których jedną można nazwać osobisto-religijną, a drugą patryotyczno-religijną. W psalmach pierwszej grupy rozmyśla poeta nad mądrością, wielkością i wszechmocą Boga, który, sam odwieczny, stworzył świat z niczego: korzy się całym sercem przed Jego majestatem, ze skruchą wyznaje przed Nim wszystkie swoje grzechy; prosi Go o śmierć pobożną; dziękuje Mu za hojne dobro-

dziejstwa, któremi go nad zasługę obdarzyć raczył, a więc za to, że się nigdy zbrodni nie dopuścił, że ubóstwa w życiu nie zaznał, że się po długiem oczekiwaniu doczekał upragnionego syna, że się po śmierci żony pocieszył.

Przedmiotem psalmów patryotyczno-religijnych są rozmyślenia poety już nie nad sobą samym i nie nad własnem życiem, ale nad Polską i jej dziejami. Kochowski mocno wierzy, że Polska jest „winnicą Chrystusową“, że Polska to naród, wybrany przez Boga, naród, którym się Bóg szczególnie opiekował i opiekuje, nagradzając go za to, że przez całe wieki dotrzymywał wiary Jego nauce, że nawet, łącząc się z Litwą i wzywając na tron Jagiełłę, wolał „się poddać w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi“. Czasem wprawdzie Bóg ciężko doświadczał Polskę, ale w gniewie swoim nie był zapalczywy. Oto za Jana Kazimierza straszliwe nieszczęścia spadły na Polskę: „z królewskiej dyademy wypadł kosztowny kamień, i potem sama korona z głowy naszej zrzucona; zaraz się nagle zaćmiło słońce estymy¹⁾ Polski, i ona, uwielmożona dopiero tak wielu narodów pani, grubą się odziała żalobą“; „gdyśmy zaś do Boga w tych paroksyzmach się obrócili, nietylko miłościwie nas wysłuchał, ale też nieodwłocznie stał się pomocnikiem naszym; przez wojnę ukarał, przez wojnę pocieszył, kiedyśmy wszystkich nieprzyjaciół starych przed sobą widzieli“. Ale większą jeszcze wdzięcznością względem Boga natchnęło poetę świetne zwycięstwo wiedeńskie, przez które Polska, jak mówi, jest Dawidem narodów; kiedy król Jan wyrusza na wyprawę, poeta mu błogosławi i modli się do Boga, by pomagał rycerstwu polskiemu; a kiedy Turcy poszli w rozsypkę, nie posiada się z radości i uderza w ton tryumfalny— we wspaniałym psalmie dwudziestym szóstym.

¹⁾ estyma = szacunek, <http://sfdwa.org.pl>

Myśl, że Polska to naród wybrany, nie jest pomysłem Kochowskiego (ogłoszono ją już przed nim, np. Starowolski w „Lamencie“, (§ 56); ale Kochowski wypowiada ją silniej i dobitniej, przez co jest poprzednikiem Brodzińskiego, Mickiewicza i Krasińskiego, których zdaniem, Bóg powołał Polskę do umoralnienia, a zatem do uszczęśliwienia, całej ludzkości. Ale jest pomiędzy poglądami Kochowskiego a poetów XIX w. ogromna różnica: popierwsze Kochowski nie mówi wyraźnie, do czego Bóg Polskę powołał; a po drugie (co ważniejsza), kiedy poeci XIX w. poczytywali Polskę za niewinną ofiarę za grzechy świata, Kochowskiego nie zaślepiła miłość ojczyzny. Wprawdzie raz pyta żałośnie (podobnie, jak Starowolski): „Cóż, prze Bóg, zawiniła (Polska), że tak sromotną odnosi plagę?“ i odpowiada: „Sekret samemu niebu wiadomy“. Ale sekret był wiadomy i poecie: on miał oczy otwarte na winy, na ciężkie winy swej ojczyzny i nie wahał się ich szczerze i surowo napiętnować. Niegodziwe wicherzycielstwa podczas elekcji; rozrywanie sejmów dla prywaty; brak sprawiedliwości: „sędziowie odstępili ścieżek prawdy, a udawszy się za mizernym wziętkiem, wspak wywrócili sprawiedliwość“ (takiego sędziego „ze skóry obłupić, a krzesło nią obiwszy, syn na niem niech usiedzie“); „rada i senat— cymbał głośny i śpiża bręcząca, ... mówią, żeby swoje¹⁾ przewieźć“; rycerstwo znikczemiało, męża walecznego nie pytaj“; „kto sfalszował monetę? kto podatki nienależycie zbiera i tą krwią, z ubogich wyciśnioną, siebie i dom swój bogaci?“: oto są grzechy Polski, oto zaco Pan Bóg ją karze. Polska więc cierpi za swoje własne winy; Bóg wprawdzie jest miłosierny, przebaczy jej zatem wszystko, ale wtedy dopiero, kiedy się Polska poprawi. Oto myśl przewodnia „Psalmodyi“, zupełnie ta sama, co „Lamentu“ Starowolskiego.

¹⁾ t. j. prywatę.

Psalm 11. Na mieszania i rozrywania sejmów. Rzekł niesprawiedliwy sam w sobie, aby grzeszył, a zmrużywszy oczy, nie chciał się oglądać na bojaźń bożą. — Nie chciał zrozumieć przewrotności umysłu swego ani uważał, że w zgubie ojczyzny i samemu zginąć przyjdzie. — I tak zdradliwie mówił przeciwko Matce własnej, a gorszy pasierba, piersi te lżył, które go karmiły. — Głowa jego nie myślała o dobru pospolitem, ale, żeby się dobrze mieć, by i złe czyniąc; a nienasycona podwyższenia chciwość nie chciała się obejrzeć na prawo przystojności. — Ojczyzna w uściech i obrona jej, a w sercu kończyście żądło, jak węda u hipokryty.—Stąd uczynił się rzecznikiem wrzkomo na obronę dobra pospolitego, a pod przykrywką publiki tai zawziętość sejmu zerwania, mówiąc skrycie sam w sobie: „Cóż mi za to pieczołowanie o Ojczyźnie, kiedy inną drogą pomogę sobie do dobrego mienia? Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omyła; a gdy występków nie karzą, grzeszyłby, kto by dobrze czynił!“ — I tak udaje się przeciwną do gościńca ścieżką, a między sobie podobnymi rozsiewa ducha przeciwieństwa.—Ród jaszczurczy i właściwe Judasza pokolenie! Bo i ten, Pana w rękę całując, dla błahego kwestu ¹⁾ ojczyznę własną sprzedaje. — Psia natura, która węchem pożywienia śledzi, a znalazłszy, na plugawem ścierwie opada!—Widzisz to, BOŻE, czuły wolności naszej stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez „Nie pozwalam“ w truciznę obracać nie kazał. — ...Upadną, upadną ci, którzy Ojczyźnie źle służą, a plemię cnotliwego na to miejsce dziedziczyć będzie! — ...Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. etc.

Psalm 14. Korona polska uwziętość ²⁾ na się nieprzyjaciół wylicza. Panie! Czemuż się namnożyło tych, co mię

¹⁾ kwest=zysk; ²⁾ zawziętość.

trapią, a bez dania okazyjej codzien mi nieprzyjaciół przybywa?—Blizcy moi i nieprzyjaciele przeciwko mnie zbliżający się stoją. — Cytra moja obróciła się w smutek, napój mój w truciznę, kiedy z przyjaźni sąsiedzkiej widzę na zgubę odpowiedź¹⁾ i nieubłagane zajątrzenie. — Jeżeli przymierza nie strzymała, umowę złamała albo na zdradzie komu była, sama się sędzę, że sama tę zawziętość ponoszę.—Ale, jeżeli cudzego nie pragnęła, pokoju nie wzruszyła, do wojny nie dała okazyjej, czemużby mnie te stopy²⁾ potykać miały?—Ty wiesz, mój Panie, żem spokojny żywot i zgodne obejście z każdym zawsze kochała, a za to mię teraz te kłótnie zewsząd ogarnęły, gdy oto swywołny Zaporozec, potargawszy obowiązki poddaństwa, z krymskiem pogaństwem nastąpili na mnie uciążliwie, oraz upatrzył w nieszczęściu mojem czas przedtem ode mnie gromiony Moskal i nie chciał zaspać pogody³⁾ w odbieraniu zawojowanych derewni. — Poszła za wiatrem i borealna⁴⁾ Szwecya, a w temże zamieszaniu łatwiejszego próbowała połowu. — Aż ten honorowany ode mnie Transylwańczyk, przeważywszy się przez Krępak, bez opowiedzenia wojny kraje pustoszył.—Wszyscy ci mówili i urągali wszetecznie: „Nie ma Polska zbawienia w Bogu swoim“. — A ono Ty, Panie, jesteś obrońca mój i puklerz nieprzebity, siła moja, która, chociaż poniży, znowu podniesie głowę moję. — Bo cóż wskórali i co za korzyść odnieśli, którzy się na zgubę moję sforcowali⁵⁾? Mało co mię umartwiwszy, sami w oczach moich marnie przepadli. — Rozmarzył chmielny trunek ukraińskiego Spartaka⁶⁾, że i Rzymowi groził. Kędyż jest? Wycięto drzewo, usechl pniak, pokruszyły się gałęzie!—Kędyż jest Ukraina, która po trzykroć stotysięcu

1) zapowiedź zemsty; 2) stós = cios; 3) pogoda = sposobność;

4) borealny = północny; 5) sforcować się = wysilać się, sprzysięgać się;

6) t. j. Chmielnickiego. <http://rcin.org.pl>

ludu schyzmatyckiego wyprawila na wojnę, a teraz i na zupełną sotnię zdobyć się nie może?—. . . Boś Ty, Panie mój, wygubił wszystkie, przeciwiające mi się bez przyczyny, i pokruszyłeś zęby grzeszników.—Ufam i dalej, że mię z paszczęki żarłoka wybawisz, a nad ludem swoim pokazesz miłosierdzie swoje.—Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. etc.

Psalm 26. Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie. BOŻE! Cośmy uszyma naszymi słyszeli, co nam Ojcowie nasi powiadali, tego się teraz oczy ludu Twego z pociechą napatrzyły.—Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich uczynił z Faraonem — toż i teraz nieskrócona w cudach ani osłabiała w potędze wykonała ręka Twoja.—Ręka Twoja, Panie, nie ludzka, pogany starła; przed nią pyszny Asur sromotnie uciekał, który z hardości serca na zgubę naszą przyszedł.—Z nim gruby Edomczyk w lot bieżał, a oba strachem zdjęci, z bystrego Dunaju wodami na wyścigi lecieli.—Nie obejrzał się Part, który w odwodzie potyczkę daje, ani Bisurmanin wspomniał, że się wnukiem bożym nazywa.—Wydarł miecze z rąk ich Zwycięzca, w Imieniu Twojem silniejszy; prysnęły łuki, i strzały z kołczana posypały się po ziemi.—Patrzało na hardość ich wschodzące słońce, a toż na odwieczerzu widziało sromotnie rozgromionych. Wstydził się miesiąc piętna swego, a żeby sromotę zakrył, nie chciał świecić w nocy uciekającym.—Nie pomógł w trwodze fałszywy prorok, ani częste umywanie nie oczyściło wszetecznych z grzechu.—Leżeli w polu, jako bycy tłuści po rzezi, a plugawe ścierwy kazał Zwycięzca ziemią nakryć z politowania.—Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali, a miecz po zwycięstwie ochłodnął, w pochwy włożony.—Tyś tak kazał, BOŻE nasz, cuda czyniący, aby, którzy po cudze zdrowie przyszli, swoim nałożyli; aby chleb od gęby niewinnym wydzierający nie spożyli go, a słabszy z mocniejszego zagarnął łupy.—Ma-

ło trzy dni było do zbierania korzyści; brali nietylko żołnierze odbieżane dostatki, ale i dzieci małe z pospolitym gminem. One pyszne w Sydonie czy w Dziarbecie złotem tkane namioty, odbieżane, stały, jako buda w sadzie, w której jabłek pilnowano. — Konie ich posiadał mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszył i kulami do grzbietu uciekających strzelał.—Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: „Posiądźmy ziemię chrześcijańską!”—Zginał wezyr niemieško, powrozem uduszony, a onemu kościołów pańskich burzycielowi niedługo w skronie młotem Jachel gwóźdź wbiła.—I stało się im tak, jako Madyanitom i jako Jabinowi u rzeki Cisson. — Położyłeś ich, Panie, jako koło na odwrocie; i, jako źdźbło przed wiatrem, tak pyszni zniknęli.—Jako ogień, który pali lasy, nikomu nie przepuszczając, tak napelniona jest twarz ich sromotą. — Stąd niech poznają, że Pan imię Twoje, o JEHOWĄ, boś się wielmożnie wsławił, konia i jeźdźca wrzuciwszy w morze. — Ten ci jest Pan, którego wielbić trzeba: BÓG Ojców naszych, którego wywyższać będziem! — Pan, jako mąż waleczny, tryumfujący, Imię Jego, przed którym wojska i wozy faraonowe w Czerwonym morzu na dnie zostały.—Prawica Twoja, Panie, za nas wojowała, ręka Twoja, Najwyższy, nieprzyjaciół zbiła, a w mocy Twojej, o Wszchemocny, poraziłeś przeciwniki naszeli — Któż podobny Tobie między mocarzami, Panie? tak wielmożny w potędze, jako straszny i chwalebny i czyniący dziwy! — Nie nam tedy, Panie, podłemu gminowi, ale Imieniowi Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki! Amen!

§ 70. Jak chwałę poezji XVII w. stanowi epika, tak chwałę prozy—pamiętniki. Najlepsze pozostawił po sobie szlachcic z rawskiego Jan Pasek (ur. s. około r. 1630, um. 1701), wychowaniec szkół jezuickich. W młodym wieku zaciągnął się do wojska, jako towarzysz pancerny chorąg-

wi Stefana Czarnieckiego, bił się z wojskami Rakoczego, brał udział w wyprawie do Danii oraz w wojnie z Moskwą (1661); do rokoszu Lubomirskiego nie należał i w bitwie pod Mątwami walczył w szeregach brólewskich. Po kilku latach służby wojskowej osiadł na roli, w krakowskim, gospodarował, jeździł ze zbożem do Gdańska, polował, procesował się z sąsiadami, tłukł się po sejmach i sejmikach, po weselach i pogrzebach, awanturował się, hulal i pił na zabój.

Bo też byłto człowiek żywy i ruchliwy, porywczy i gwałtowny, w gorącej kąpany wodzie; wesoly, jowialny, gadatliwy, pełny animuszu rycerskiego i fantazyi, ale o głowie ciasnej i sercu małym; pieniacz, chciwy grosza i procesujący się o byle co po całych latach, choćby o jedną głupią krowę; do tego pijak, awanturnik, zawadyaka, kłótnik. Wogóle jest Pasek postacią lichą, a (niestety!) typową, bo skupiający w sobie prawie wszystkie ujemne cechy ówczesnej szlachty; jest doskonałym przedstawicielem sarmatyzmu w ujemnym znaczeniu tego wyrazu, jak Potocki—w dodatkiem (§ 65).

Religijnym był bardzo, ale religijność to taka, o jakiej mówi przysłowie: „Modli się pod figurą, a nosi dyabła za skórą“. Wierzył Pasek, że bez woli bożej włos mu z głowy nie spadnie, że Bóg jest tak dobry, iż szlachcicowi polskiemu nawet w pojedynkach sekunduje; wierzył, że, kiedy raz, upiwszy się, jak bela, zapadł w ciężką gorączkę, umarłby z pewnością, gdyby nie pomoc św. Antoniego; ale i w to wierzył, że, kiedy się koń potknie, będzie nieszczęście, a cóż dopiero, kiedy się kometa ognista na niebie ukaże! Modlitwy odmawiał pilnie, śpiewał godzinki, w niebezpieczeństwie „oddawał się boskiej i Jego Najświętszej Matki protekcyi“; w zmartwieniach, kiedy tylko „ściskał nóżki Panu Jezusowi, którego nosił na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz, jako plastr, przyłożył“;

uczęszczał przykładnie do kościoła, spowiadał się, odbywał pielgrzymki do Częstochowy; postu, zwłaszcza w wigilię święta Matki Boskiej, nie złamałby za nic w świecie; cóż z tego, kiedy ta pobożność i religijność dziwnie się jakoś godziła z czynami wręcz haniebnymi! Mniejsza o to, że się Pasek często upijał (mówił sobie, że takato już moda w Polsce); i o to mniejsza, że się pojedynkował przy każdej sposobności i urządzał zajazdy na cudze domy (i to było modą w Polsce): to wszystko jeszcze fraszka w porównaniu z innymi sprawkami. Raz dano mu znać, że jacyś ludzie polują na jego gruntach: zaczął się, dopadł, powalił myśliwych na ziemię, związał, skopał, zbił, wreszcie zmusił jednego ze schwytanych do zjedzenia na surowo upolowanego zająca! Wogóle względem tych, co mu wchodzili w drogę, był nieludzki i okrutny, zwłaszcza dla swoich poddanych. Raz np. skatował chłopą, zarzucił mu powróż na szyję, przytroczył go do konia, zaciągnął do miasta i wrzucił do lochu, przez cały tydzień morząc go głodem; innym razem kazał siec różgami kowala, zakuł go w kajdany i wraz z nieletnim synem wtrącił do więzienia; albo jeszcze, podejrzewając o coś karbowego, wziął go na tortury i t. p.

Jużto w ogóle miłością bliźniego ani drażliwością sumienia nie odznaczał się Pasek. Nie grzeszył i tkliwością uczuć. W Danii zakochała się w nim na śmierć (jeśli tylko Pasek nie kłamie, bo to mu się zdarza bardzo często) jakaś piękna Dunka, która i jemu „jakoby kajdany włożyła na serce“; chciał pozostać w Danii, chciał się żenić, ale nie pozostał, nie ożenił się, wrócił do domu i... po drodze zapomniał. Po powrocie z Danii znajomi swatali go odrazu z dwiema pannami, Radoszowską i Śladkowską; on „tych rzeczy słuchał właśnie, jako kiedy owo na dwa chóry muzyka gra: i ta pięknie i ta pięknie, bardziej mu się jednak serce chwyciło Śladkowskiej“, bo, chociaż złe języki mó-

wiły, że panna jest „zła, jako jaszczurka, i bez mała nie podpija“, ale wiedział, że ma siedemdziesiąt tysięcy posagu oraz wioskę, na której „nietylko pszenica, ale cebula w polu na każdym zagonie, gdzie ją wsiejesz urodzi się“. Ostatecznie jednak pojął w małżeństwo nie pannę Śladkowską, tylko starą babę, panią Annę Łacką, wdowę, szczęśliwą matkę pięciorga aniołków, liczącą sobie czterdzieści sześć wiosen, ale gospodarną i majątną. Dzieci nie miał, co przypisywał czarom.

Ojczyznę kochał Pasek—poswojemu. Polskę poczytywał za naród wybrany, którym się szczególnie opiekują Bóg i Jego aniołowie. Na narody obce patrzył z góry: Szwedzi to, jego zdaniem, „naród świński“, Moskwa—„naród jaszczurczy“, Niemcy—lutry, a zatem „psy“. Ale osobliwie nienawidził Francuzów, bawiących na dworze Maryi Ludwiki, jak nie cierpiał ich cały wogóle motłoch szlachecki, drżący na samą myśl, że król pod ich wpływem gotów pomyśleć o ukróceniu złotej wolności i o tronie dziedzicznym. Jakoż myśleli o tem nietylko oboje królestwo, ale i całe stronnictwo „francuskie“, do którego, między innymi, należał prymas Prażmowski. Otóż Pasek nienawidził, jak całego stronnictwa, tak szczególniej prymasa, z którego kalectwa szydził, którego nazywał ślepcem jednookim, któremu po śmierci nawet nie darował: „Prażmowski snem śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał, tylko jedno, które siła widziało i siła złego robiło“. Bo poco i naco, myślał sobie Pasek, reformować Polskę, kiedy w niej pocziwej szlachcie tak dobrze, jak u Pana Boga za piecem? To też cieszył się serdecznie, kiedy po abdykacyi Jana Kazimierza obrano, wbrew stronnictwu francuskiemu, „Piasta“—Wiśniowieckiego, i szczegółowo opisał w swych pamiętnikach ten tryumf szlachty, tę bezmyślną elekcję, podczas której szlachta znieważyla senatorów, co mądrego Paska w pyszny humor wprawiło, chociaż raczej

płakać, aniżeli śmiać się należało! Wogóle patryotyzm Paska był, co się nazywa, zaściankowy, jego poglądy polityczne rozpaczliwie ciasne. W prostocie ducha wierzył, że, byleby się tylko Polska broniła od sąsiadów, wszystko iść będzie, jak po maśle. Jakoż sam mężnie bronił ojczyzny, nie szczędząc dla niej własnej krwi: w bitwach walczył, jak lew, zwłaszcza, gdy unosiły go zapał i fantazyja rycerska oraz... nadzieja łupu, bo o tem nie zapomniał nigdy (podobnie, jak Rzędzian w „Ogniem i mieczem”), w myśl swej zasady: „Nie żał skóry szczerze nadstawić, kiedy wiem, że, zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić i czem ranę zawiązać“. Poczucie honoru rycerskiego miał niewątpliwe, i ono to dwukrotnie ocaliło go od zdrady: miał duszną ochotę przyłączyć się do „Związku Święconego“ (który zawiązano z powodu niewypłacania żołdu na wojnie z Moskwą r. 1661) i do rokoszu Lubomirskiego, bo się i tu i tam dopatrywał dla siebie korzyści; ale ostatecznie poczucie honoru przemogło, i dochował wierności królowi. Służyć jednak królowi i ojczyźnie bezinteresownie nie chciał za nic w świecie i upominał się ustawicznie, by mu za służbę publiczną płacono. Czasem też sam zapłatę sobie obmyślał. Raz np. polecono mu wyruszyć na granicę państwa moskiewskiego, aby przeprowadzić jadących do Warszawy dla zawarcia pokoju posłów moskiewskich; Pasek chętnie podjął się tej misyi, bo wiedział, że to rzecz zyskowna; jakoż po drodze wymuszał pieniądze od mieszczan, którzy mu się okupywać musieli, by w miastach z posłami gospodą nie stał, — i zebrał sobie sporo grosików, do czego się sam otwarcie przyznaje: „Posłów prowadząc, wziąłem 17.000“.

Głosił Pasek piękną zasadę: „Nie wiem, jakoby się ten miał nazwać synem ojczyzny, ktoby dla swojej prywaty publicznych jej miał zapomnieć interesów“; ale czynem zasady tej bynajmniej nie stwierdzał. Raz posłał go

Jan Kazimierz z pilnym listem do Czarnieckiego, ale Pasek nie śpieszył się: utknął po drodze u znajomych i całe dwa tygodnie hulał i pił. Innym razem, gdy go pomówiono o udział w Związku Święconym, oburzony do żywego niesłusznem posądzeniem, zawołał: „Przed niebem i ziemią „protestor“¹⁾ w krzywdzie mojej i tego, com dla ojczyzny uczynił, szczerem żałuję sercem!“. Mówić tak może ten tylko, kto kocha więcej siebie, niż ojczyznę.

Takimto człowiekiem był Pasek. Ujmuje on nas swoją fantazją rycerską, walecznością, poczuciem honoru; swoją żywością i wesołością: w towarzystwie, przy kieliszku, było z pewnością jeden z najsympatyczniejszych ludzi na świecie, umiejący każdego rozweselić „gębą i konceptem“: ale pod względem moralnym był figurą marną, a jako Polak, jako obywatel, nie mający należytego pojęcia o obowiązkach względem ojczyzny i nie chcący służyć jej bezinteresownie, był jednostką raczej szkodliwą, niż pożyteczną,—jak ogół ciemnej szlachty współczesnej.

Otóż ten lichy człowiek jest autorem najlepszych w całej literaturze staropolskiej „Pamiętników“ (wydanych dopiero w r. 1836), obejmujących lata 1656—1688. Ze spraw publicznych opowiedział Pasek prawie wyłącznie te tylko, w których sam brał udział lub na które patrzył własnymi oczami, a więc wyprawę duńską, wojnę na Litwie z wojskami Chowańskiego (bitwy pod Lachowiczami i nad rzeką Basią), Związek Święcony i rokosz Lubomirskiego, elekcję Wiśniowieckiego, konfederację gołębską; z wypadków, w których udziału nie brał, najszczegółowiej opisał odsiecz Wiednia. Pozatem opowiada głównie o swojej własnej doli i niedoli, na obczyźnie i w kraju, czasu wojny i pokoju; bitwy i sejmiki, burdy i pojedynki, przyjaźni i kłótnie, konkury i wesele, stosunki sąsiedzkie i rodzinne, ucztę

¹⁾ protestuję się.

i zjazdy, kłopoty gospodarskie i tarapaty sądowe, myśliwstwo (ukochana wydra, którą z bólem serca podarował Janowi III!), słowem, całe życie szlachcica-rycerza, szlachcica-obywatela i szlachcica-ziemianina—oto co stanowi treść i zarazem ogromną wartość pamiętników Paska, jako przepysznego źródła do poznania obyczajowości i charakteru szlachcica polskiego; pod tym względem ani jeden utwór prozy polskiej XVII w. równać się z niemi nie może. Miał słuszność Mickiewicz, mówiąc, że to nie pamiętniki, tylko romans historyczny. Niedosyć na tem, „Pamiętniki Paska“ to przepyszny okaz żywej mowy polskiej XVII w. i niezrównane arcydzieło stylu gawędziarskiego. Mistrz z Paska nad mistrzami nietylko w rąbaniu ręką, ale i w obracaniu językiem: rękę wyćwiczył sobie w bitwach i pojedynkach, a język—przy butelkach i gąsiorach, w wesołym gronie znajomych i przyjaciół, którym chętnie opowiadał o swoich „okazyjach“, „koloryzując“ je często, t. j. kłamiąc, jak najęty, i tak, jak opowiadał, przekazał piórem potomności. Tak żywo i barwnie, tak naturalnie i zamasyście, z takim humorem, błaznowatym, ale szczerym i naprawdę ogromnie zabawnym,—nie umiał opowiadać nikt, chyba... jeden tylko Zagłoba. Literatura staropolska nie zna lepszego gawędziarza i większego humorysty.

Bitwa pod Lachowiazami. (1660). Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk¹⁾ kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wzięwszy na pomoc, wcześniej tę zaczęli igraszkę. Idąc tedy, każdy swoje odprawował nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszędłszy tedy o pół mile od Połonki, stanęło wojsko do szyku.

¹⁾ munsztuk = otwór narzędzia dętego, który się do ust przykłada.

Szykował swoje Czarniecki, Sapięha też swoje... Szliśmy tedy szykiem, i, dopiero „in prospektu“¹⁾ nieprzyjaciela stanawszy, chcieli tego wodzowie, żeby był nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę; aleć, jak poszło do nich nasze trzy regimenty, zaraz ich wystrzelali z tej strony i wyparowali za rzekę. Poczęto tedy bić z armat z tamtej strony i rażono naszych; towarzysza jednego, podle mnie stojącego, jak uderzyła kula w łeb konia, aże ogonem wyleciała, towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżej, niżli na trzy łokcie, a nic mu. Gdzie tedy szło lewe skrzydło i korpus, to tam mieli ciężką przeprawę, gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota, jak przez siedmioro stajañ i lepiej, że miejscem koń zapadał po tebinki²⁾, miejscem uszedł po wierzchu, tylko się tak owe chwasty zrosłe zaginały, jako pierzyna... My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewem skrzydle. Był tedy „directe“³⁾ przeciwko naszej przeprawie folwark oparkaniony; spodziewając się Moskwa, że to tam nasi będą szczęścia próbowali, zasadzili tam kilkaset piechoty i cztery działka. Nie pokazowali się nam wtenczas, aż kiedy my się wybijali z tego błota do twardego ładu, wysunęła się piechota. Kiedy poczną ognia dawać, kiedy poczną parzyć z dział, jak grad, kule lecą; padło naszych dużo, drudzy postrzelani. Ale przecie wszyskim impetem poszliśmy na nich, bośmy widzieli, że trzeba było ledwie nie wszysłkim ginać, gdybyśmy mieli tył podać, ale jużeśmy tak oślep w ogień leźli, żeśmy się tak z nimi zmieszali, jako ziarno z siewką, bo już trudno było inaczej. Okrutna tedy stała się rzeźba⁴⁾ w owej gęstwinie, a najgorsze były berdysze. Kwadrans jednak nie wyszedł od owego zmieszania, wyciąiliśmy ich, że i jeden nie uszedł, bo w szczerem polu;

¹⁾ w obliczu; ²⁾ tobiniki = sznury skórzane przy siodle (dla ozdoby); ³⁾ wprost; ⁴⁾ rzeź.

powiadano, że ich było stu. Z naszych też kto legł, kto co otrzymał, musiał cierpieć; pode mną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolan... Przesiadłem się tedy natenczas na mego myszkę¹⁾, kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę, aleć mnie niezadługo dogonił na lepszym koniu, niżeli ja siedział, zdobycznym. Docinamy tedy owę piechotę, a Trubecki leci, ordynowany, owym na sukurs z dziesięcią chorągwi bojarów dumnych i z trzema tysięcy rajtaryi. Staaliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby zjeść; wytrzymaliśmy, bośmy musieli. Kiedy widzimy, że nas gnietą w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie. Rajtarya wydalili ogień do nas gęsto, nasi zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzalali na owę piechotę, a nabić znowu było niepodobna, bo czas nie pozwolił... Tak tylko tedy szablami ten tego, ten też tego w bożą godzinę, bo i owym jużesmy też przygrzewali mocno, żeby nie nabijali strzelby. A postaremu rzeczy już nam nie tak twardo szły, choć to na nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie, kiedy owo dwaj w zapasy chodzą, ten tego, ten też tego nachylając. Trubecki, jako cygan, uwija się na szpakowatym kałmuku. Leci trupów gęsto, aż kiedy ich chorągwi na ziemi leżało ze sześć, Trubeckiego towarzysza starosty dobrzyńskiego jak ciął w łeb, aż mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hosudarowie w nogi do szyków, my też po nich! Wparowaliśmy ich, siekąc, aż między samo wojsko. Padło ich tedy na placu z połowa. A tu, jako w garcu, już się samo „corpus“²⁾ potyka. Litwa na lewem skrzydle także nie próżnują, ale przecie nie tak na nich, jako na nas, najlepsze siły obracają, bo ich już lekceważyli. Obróciły

1) myszka=koń myszaty; 2) korpus (środek wojska).

się tedy niektóre pułki świeże i to na odwrót znowu poszły. A wtem wojewoda, zobaczywszy nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy: dla Boga, żeby wszystkimi siłami natrzeć i rozrywać Moskwę, bo pułk królewski zgubiemy! A tu też już Moskwa mieszają się, kręcą się, właśnie kiedy owo źle komu za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. Ci też, co ich na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas; a wtem natrze na nich „corpus“ potężnie. Husarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzemy na nich. Jużemy trochę mieli czasu i do nabicia strzelby, a w tem Moskwa w nogi! Wszystko wojsko wtedy na nas uciekało; bijże teraz, który się podoba! wybieraj: to piękny, to jeszcze piękniejszy!

Napadł na mnie jakiś patryarcha z żółtą brodą, srogi chłop. Zajadę go; złoży do mnie pistolet, szabla złocista na tymblaku. Jam rozumiał, że wystrzelony miał, a straszy nim; przytnę śmieie, strzelił. A ja też tymże impetem ciąłem go w ramię; czuję się, że mi nic od owego strzelania. Po nim! Domogłem się¹⁾ go, znowu w oko zajadę, bo jakoś ciężko uciekał, choć na dobrym koniu, czy też miał jaki szwank, czy też był ociążały jakiś. Tnę go przez czoło. Dopieroż zawoła: „Pożałuj“! Szablę mi podaje, a z konia leci. Jeno co szablę odbiorę, aż ucieka na płowym bachuacie w rządziku złocistym jakiś młokos w atlasowym papużym żupanie; prochowiczka na nim na srebrnym łańcuszku. Sunę do niego, przejadę mu. Młodziusieńki chłopiec, gładki, a „chrest“²⁾ oprawny trzyma w rękę, a płacze: „Pożałuj dla Chrysta Spasa, dla Preczystoj Bohorodicy, dla Mikoły Cudotworca“. Żal mi się go uczyniło, a widziałem, że wielkie kupy Moskwy i z tej strony i z tej bieżały prosto na mnie, obawiałem się, żeby

1) domódz (się) = dogonić; 2) krzyż.

mnie nie ogarnęły: nie chciałem się bawić koło niego, zabijać mi też żal go było, na owę jego gorącą rozpamiętywając modlitwę. Wziąłem mu tylko ów „chrest“ z ręku, a wyciąłem go płazą przez plecy: „Utikaj, dicit synu!“ Kiedy to chłopię skoczy, podniósłszy ręce do góry, z oczu zginął w lot!... „Chrest“ wziąłem mu piękny bardzo; było na oprawie ze dwadzieścia czerwonych złotych. Nie zaba-wiłem się koło owego smarkacza i pacierza jednego. Sko-czę do owego brodofiasza ¹⁾ aż on już nago leży, a konia prowadzi towarzysz; mówię do niego: „Jam nieprzyjaciela z konia zwa-lił, a ty go bierzesz? dawaj go sam, bo tego nabicia na ciebie odżałuję, com go na nieprzyjaciela na-gotował“. Nie bardzo się też i sprzeczał Wołoszyn, bo widział, że do mnie ten Moskał strzelił i jam go zwa-lił z konia. Oddał mi tedy owego konia ślicznego, który był nie moskiewski, ale z tych ruskich koni, czerwono-gniady, rosły; żał mi go było rzucać. Czeladnika żadnego nie masz, nie było go komu oddać; aż napadłem na znajomego pachółka: „Weźmij odemnie tego konia, a dam ci dzie-sięć talarów, jak mi go wyprowadzisz; albo, jak się zje-dziesz z którym z mojej czeladzi, oddaj go!“ Wziął tedy, a jam skoczył, gdzie się okrutnie zwarli Moskwa z na-szymi...

Przerzedziło się już znacznie lewe moskiewskie skrzy-dło i samo „corpus“, a tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszym potykało lewem, dopiero poczyna ucie-kać. Znowuż taka gęstwa uczyniła się; dosyć na tem: tu jednego gonisz, a drugi tudzież nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi, jak zając, pod smycz leci; trzeba było mieć głowę, jako na śrubach, i przed się i za się oglądać się, bo, kiedy się nieostrożnie zabawił koło jedne-go, to zaś owi „fugientes“ ²⁾ ztyłu siekli naszym...

1) brodofiasz=brodac; 2) uciekający.

Ucieka jeden na ślicznym koniu, rząd bogaty, złocisty, husarską modą, suknie jedwabne, kołpak haftowany, bogaty; przebiegą go co żywo, z tej i z tej strony, ja go najbliżej. Rozumiejąc, że sam Chowański, wołam: „Stój, nie bój się! Będziesz miał „pożałowanie“! Już trochę począł wstrzymywać koniowi, spojrzy na mnie z boku: nie zdałem mu się do tej konfidencyi, że był w szarym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że to jaki pacholek-hołota, których się oni najbardziej boją, mówiąc, że u takich żadnej nie znajdzie dyskrecyi. Ale obaczył daleko towarzysza naszego, tylko że w czerwonej sukni, w karmazynowym wytartym kontuszu i na takiej szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale „supponebat¹⁾, że ktoś znaczny prosto do niego bieżał. Z tych, co mu przebiegali, strzelił do niego towarzysz; chybił. Postaremu on, jako oczy wybrał, leci do niego; skonfundował się, kręci się na szkapie, aż, kiedy obaczył, że mi oddaje szablę i pistolety, hebanem i srebrem oprawne, woła: „Pożałuj!“ Wziąłem go żywcem. Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w łeb cięty, uszedł; piechota zaś wszystka, mało co naruszona, oprócz owych kilkuset, na razie wyciętych, została żywcem, a było ich 18,000. Poszli tedy do blizkiej brzeziny i zasiecz uczynili. Otoczono ich tedy dokoła armatą i piechotą, bo obrzednia²⁾ była owa brzezina. Dawano do nich ogień z dział, że na wylot kule przechodziły i na tę i na tę stronę, a potem, jak ich to zdebilitowano³⁾ z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzano na nich, w pień wycięto. Trudno też krwie ludzkiej w kupie widzieć, jako tam było, bo lud gęsto bardzo stał i tak ginął, że trup na trupie padł, a dotego owa brzezina na pagórku była, to tak krew lała się strumieniem, właśnie jak owo po walnym deszczu woda.

1) przypuszał; 2) obrzedni=rzadkawy; 3) zdebilitować=osłabić.

Elekcyja Wiśniowieckiego (1669). Gromadzą się województwa dobrym porządkiem, każde u siebie w domu, a potem ruszyły się ku Warszawie. Ja, żem się w krakowskim ożenił, jużem też tam z nimi był pod chorągwią krakowskiego powiatu.: Poszliśmy tedy pod Wyśmierzyce i tam staliśmy więcej, niżeli tydzień; potem pod Warszawą „*primis diebus Iunii*“¹⁾ stanęliśmy. Potem, jak zza rękawa wysypały się województwa, wojska wielkie, poczty pańskie, piechoty, zgoła ludzi bardzo pięknych i wiele. Sam Rądziwił Bogusław miał z sobą ludzi z 8,000, bardzo pięknych... Opuścił tedy uszy arcybiskup, powątpiewając w swej intencyi, ale postaremu nie ustaje w dopominaniu i ma nadzieję. Aleć, jak się kołowanie zaczęło, różni różnie sądzą: ten będzie królem, ten będzie, a o tem nikt nie wspomni, którego sam Bóg przejrzał... Francuskie subiecta, jako zhukane, laborant skrycie²⁾, ale nejburskie i lotaryńskie jawnie³⁾; o polskim zaś konkurencie i wzmianki żadnej nie masz. Tam dają, darują, sypią, leją, częstują, obiecują; ten nikomu nic nie daje ani obiecuje, ani o to prosi, a przecie odnosi. Kiedy już było po kilku sesyach i po odebranej od posłów cudzoziemskich legacyi i po deklarowanej każdego posła za swego pana dla Rzeczypospolitej czynności, najbardziej nam przypadł do serca Lotaryńczyk „*ex ratione*“⁴⁾, że to pan wojenny i młody...

Nazajutrz⁵⁾ pojeżdżali się do szopy; okryły wojska pole. Dopiero różni różne dają sentencye, ten tego, ten zaś inszego chwaląc. Ozwie się jeden szlachcic z województwa łączyckiego, którzy zaraz nad kołem stali na koniach: „Nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo tu będą kule koło łba latały!“ Senator jeden odpowiedział mu coś „*cru-*

1) w pierwszych dniach czerwca; 2) t. j. stronnictwo francuskie, jako zahukane (znieawidzone), pracuje skrycie; 3) kandydatami byli książęta; francuski lotaryński i neuburski; 4) ze względu; 5) d. 17 czerwca.

de¹⁾). Kiedy to poczną ognia dawać, senatorowie z miejsc w nogi, między karety, to pod krzesła! Rozruch, tumult! Zaraz insze chorągwie skoczyły w drugą stronę piechotę potrać, deptać, piechota w rozsypkę. Obstąpiono „circumcirca“²⁾ koło. Kiedy to poczęto egzorty³⁾ prawić: „Zdraycy, wytniemy was, nie wypuścimy was stąd! Darmo mieszacie Rzeczpospolitą, inszych senatorów „constituemus“⁴⁾; „ex gremio“⁵⁾ sobie króla obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serca! — Tak ci skończyła się owa sesya tragicznem widowiskiem. Starszyzna przecie powyjmowali każdy swoich, obróciły się chorągwie w pole, a panowie biskupowie, senatorowie powyłazili z pod krzesł, zpod karet, wpół ledwie żywi i pojechali do gospód, drudzy też, co w polu stali, do namiotów.

Nazajutrz sesya nie była, bo się panowie po utrażeniu smarowali olejki i hyacynty pili po przestraczu. Województwa też w pole nie wychodziły, ale stały w obozie. Posyłają województwa 19 „Junii“⁶⁾ do arcybiskupa, żeby wyjechał na sesyą i zagaił według prawa „continuationem operis“⁷⁾. Odpowiedział, że „nie wyjadę, bo nie jestem „securus“⁸⁾ zdrowia, i insi panowie senatorowie nie wyjadą“. Posłano znowu, że już wojska domykają się ku szopie: „Kto cnotliwy i senator i kto chce, niech z nami wyjedzie: obierzemy sobie pana; kto nie wyjedzie, będziemy go mieli za zdraycę ojczyzny, i, jaka stąd będzie konsekwencya, niech się domyśli!“ Stanęły tedy województwa nie dalej, jak o pół ćwierci mile od szopy. Już tedy senatorowie nie do szopy zjeżdżali się, ale do nas. Nasz kasztelan krakowski, Warszycycki, i insi senatorowie przyjechali do nas. Dopieroż w radę „de praeteritis“⁹⁾, co się komu podoba ten postępek. Pan¹⁰⁾ krakowski rzecze: „Imię Jego święte“ (bo to jego przysłowie) „chwałę ja ten postępek; w tem się ma

1) surowo; 2) ze wszystkich stron; 3) egzorta=przemowa; 4) ustanowimy; 5) z własnego łona; 6) i czerwca; 7) dalszy ciąg czynności; 8) pewny; 9) o tem, co zaszło; 10) kasztelan.

pokazać polską „generositas“¹⁾, że to króla powinna obierać wszystka „nobilitas, non certus numerus personarum“²⁾. Nie mam ja o to urazy, lubo mi kule świstały nad głową, bo wiem, że to u każdego szlachcica „haeret in pectore“³⁾ ta „malevolentia“⁴⁾, ludzi, która się już wszystkiemu światu ogłosiła; i owszem, jeżeli pożyję, na tem będę stał, aby sejmy odprawowały się na koniach, bo inaczej nie upilnują nam posłowie tycń naszych wolności, których antecesorowie⁵⁾ nasi krwawo nabyli“... Przysyłają wtem do nas Wielkopolacy: „Cóż z tem mamy czynić, ponieważ o nas nie dbają panowie senatorowie?“ Odpowiedzieliśmy i zaraz swoich posłaliśmy posłów, że „my mamy swoich senatorów, ruszamy się do szopy i będziemy o sobie radzić“. „Ad locum electionis“⁶⁾ ruszyły się i stanęły województwa. O! kiedy to się z Warszawy karety wysypią! jedni ryścią, drudzy nacwał, do koła co żywo!... A potem arcybiskup przyjechał, obaczywszy, że się nie kłaniają i przepraszać nie myślą za wczorajsze napsztykanie⁷⁾. Zasiadli tedy, ale już „non tam numero“⁸⁾, jako przedtem, bo, kto bardzo tchórz, to ten się uczynił chorym, obawiając się takiego drugiego albo gorszego huczku, a drudzy też i prawdziwie w chorobę powpadali z przelęknienia, albo też brzuch tłusty utrząsł się. O jednym powiedali, że padł przez dyszel, uciekając, ledwie szyje nie złamał, i jego własni hajducy ledwie go z ziemi podnieśli i na nogach postawili. Zasiadłszy w kole, siedzą, jakoby z choroby powstałi, nic nie mówiąc żaden do żadnego. Ozwie się ktoś tam z kupy: „Mości panowie! Nie na próżnowanieśmy tu przyjechali: milcząc a patrząc na siebie, nic tu nie sprawimy. Ponieważ ksiądz Jegomość z Prażmowa funkcji, urzędowi swemu należytej, nie czyni dosyć, więc prosimy JMości

1) wielkoduszność; 2) szlachta, nie zaś pewna ilość osób; 3) tkwi w sercu; 4) nieżyczliwość; 5) przodkowie; 6) na miejsce elekcyi; 7) nawymyślanie; 8) nie tak licznie.

pana kasztelana krakowskiego, jako pierwszego „in regno“¹⁾ senatora, aby nam był dyrektorem; wszakże też to nie papieża obierają: możemy się obejść i bez księdza!“ Dopiero się arcybiskup porwie: „A, moi mości panowie, pókom ja żyw, w tych wszystkich okazyach, „que sunt mei muneris“²⁾, ojczyźnie i każdemu z WWM. Panów „specialiter“³⁾ służyć „non desinam“...⁴⁾ WWM. Panowie mianujcie, który się z tak wielu zacnych podoba konkurentów, a ja starszy brat i sługa WWM. Panów, do gotowego“. Brali insi głosy „pro et contra“⁵⁾; my też już zacinamy się „rationibus“⁶⁾: „Ja tego“, „Ja też tego życzę“, „Mnie się podoba ten“, „Mnie też ten“, „Racya tego taka, tu też taka“. To się agituje, a Wielkopolacy już krzyczą: „Vivat Rex“⁷⁾! Skoczy od nas kilku, na kogo wołają; przynieśli nowinę, że na Lotaryńczyka. W łęczyckiem województwie znowu i w brzesko-kujawskiem „intulerunt“⁸⁾ to, że „nam nie trzeba bogatego pana, bo on będzie bogatym, zostawszy królem polskim; nie trzeba nam z inszymi koligowanego⁹⁾ monarchami, bo to jest „periculum libertatis“¹⁰⁾, ale nam trzeba „virum fortem, virum bellicosum“¹¹⁾: gdybyśmy mieli Czarneckiego, pewnieby był usiadł na tronie; że go nam Bóg wziął, obierzmy jego ucznia, obierzmy Polanowskiego!“ To się agituje, ja „per curiositatem“¹²⁾ skoczyłem do Sandomierzanów, którzy najbliżej nas stali, aż tam trafiłem na materya, że życzą sobie „de sanguine gentis“¹³⁾ i mówią: „Niewieleby nam trzeba szukać króla: mamy go między sobą! Wspomniawszy na cnotę i poczciwość, przeciwko ojczyźnie wielkie „merita“¹⁴⁾ księcia ś. p. Jeremiego Wiśniowieckiego, słusznaby rzecz zawdzięczyć to jego „po-

1) w królestwie; 2) które należą do mego urzędu; 3) w szczególności; 4) nie przestanę; 5) za i przeciw; 6) kłócimy się, podając przyczyny; 7) niech żyje król! 8) wnieśli, odezwali się; 9) koligowany=spokrewniony, 10) niebezpieczeństwo dla wolności; 11) męża dzielnego, męża walecznego; 12) przez ciekawość; 13) z krwi narodu; 14) zasługi.

steritati“¹⁾. Owo jest książę Jegomość Michał; czemuż go nie mamy mianować? alboż nie z dawnych wielkich książąt familii, alboż nie godzień korony?“ A on siedzi między szlachtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi. Skoczę ja znowu do swoich i powiedam: „Mości Panowie, już w kilku województwach zanosi się na Piasta“. Spyta mię pan krakowski: „A na któregoż?“ Powiedam, że „na Polanowskiego, a tu na Wiśniowieckiego“. A tymczasem hukną w sandomierskiem: „Vivat Piast!“ Dębicki podkomorzy ciska czapkę do góry, wrzeszczy na wszystkich głos: „Vivat Piast! vivat rex Michael!“ a tu też nasi Krakowianie; „Vivat Piast!“ Rozbieży się od nas kilku między województwa inne z munsztułukiem²⁾, wołając: „Vivat Piast!“ Łęczycanie i Kujawianie, rozumiejąc, że na ich Polanowskiego poczęli zaraz też wołać: insze województwa też. Wrócę się nazad do swoich, a tu go już biorą pod rękę i biorą go do koła. Starszyzna nasza krakowska „negat, contradicit“³⁾, bo od inszych dużo pieniędzy nabrali i obietnice mieli wielkie, osobliwie Pisarski i Lipski, mówiąc: „Dla Boga! co czynimy? czy nas szaleństwo ogarnęło? Stójmy! tak nie może to być!“ Pan krakowski już od nas odstąpił, bo to jego był krewny, tam jest przy nominacyi. Inszych senatorów idzie „obviam“⁴⁾ wiele; jedni powtarzają, drudzy też milczą. Rzecz do mnie Pisarski (bo też on mię przecie miał w powadze): „Mości panie bracie, co w tym terminie rozumiesz?“ Odpowiem: „To rozumiem, co mi Bóg do serca podał: „Vivat rex Michael!“ Potem zaraz wyjadę z szeregu⁵⁾ skoczę za Sandomierzanami) co żywo za mną, że i chorążowie z chorągwiami musieli, a Pisarski, czapką tylko o łeb uderzywszy, pojechał na stronę. Wprowadzi-
liśmy go tedy do koła szczęśliwie. Tam dopiero „gratulationes“⁵⁾, tam dopiero pociecha dobrych, a smutek złych.

1) potomstwu; 2) munsztułuk = dobra nowina; 3) przeczy, sprzeciwia się; 4) naprzeciwko; 5) powinszowania.

Czynił ci arcybiskup te ceremonie, co do do jego urzędu należały, .. ale z jakim sercem, z jaką ochotą? Właśnie, kiedy owo wilka zaprzęgą do pługa i każą mu gwałtem orać.. Nazajutrz zaraz był król kilka milionów droższy: tak wiele mu nadano podarunków, karet, cugów, obiciów, srebro i różnych splendorów.

Konkury, oświadczyzny i ślub (1667). Pan Jędrzej Remiszowski, mając za sobą Paskównę, siostrę moją stryjeczną, jako zwyczajnie swój swemu, począł mi rać rodzoną swoją, Remiszowską z domu, Stanisława Remiszowskiego córkę, i namawiał mię, żeby jechać w Krakowskie poznać się „tamtummodo“¹⁾, a potem dopiero, jeżeli się będzie zdała ta okazyja, o dalszych terminach „consulere“²⁾... Przyjechaliśmy tedy do Olszówki „ipso die festi Beatissimae Mariae Virginis“³⁾, zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego N. Panny. Przyjechaliśmy tedy bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w komendy⁴⁾; aleć, uznawszy szczerą inklinacją⁵⁾, i strona gospodarza poczęła się przymawiać o muzykę; posłałem dopiero do Wodziszławia, wnet ich przyprowadzono. Dopieroż w taniec. Pyta mię wuj: „Cóż ci się podobała ta wdowa?“ Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jej serce chwyciło; gdyby można mówić z nią dziś i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem!“ Odpowie wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda, bo to pierwszy dzień; ale, co o przyjaźń, już ja zrozumiał, że-ć jest przyjacielem, bo ja białogłową zaraz rozumiem, kogo upodoba, choćby do niego i słowa nie mówiła; możesz tu nie powątpiewać w tej okazyi; jeżeli-ć się samemu podoba, pewnie cię widzę, nie minie. Jakoż i gardzić nie masz czem: białogłowa pocziwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, coto trzyma,

1) tylko; 2) pomyśleć; 3) w sam dzień święta N. M. P.; 4) w konkury; 5) inklinacja=skłonność.

brawda jest, że to jest arenda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzowie dożywocie... Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, Jego to jest święta w tem wola, a ja jutro, da Pan Bóg, traktować o tem będę⁴. Po tych rozmowach poszedłem do tańca z nią, a przetańczywszy, usiadłem też z nią zaraz obok. Już mi się przecie podobała była i, że to z młodu bywała gładka, mnie się też i natenczas widziała młoda, i nigdybym nie rzekł, żeby miała te lata, czegom potem doszedł: w czterdziestu sześć za mnie szła, a ja „supponebam¹), że nie ma nad trzydzieści lat... Mówię do niej te słowa: „Moja Mościa Pani! Damie w domu WMM. Pani prezentuje się komplementem, ale tylko za rekwizycją²) JMości Pana rodzonego WMM. Pani wstąpiłem na czas krótki kłaniać się WMM. Pani; aleć tak mi się tu upodobała pasza, żebym za jedną strawę przyjął służbę od gód³) a za dobrem ukontentowaniem i na dal-sze nie wymówiłbym się czasy. Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja WMM. Pani, sam się dobro-wolnie z tą odzywam ochotą. Bo, krwawemi Marsa nasy-ciwszy się zabawami, już też potrzebniejszą ku starości radbym odmienił szarżą⁴), to jest uczyć się ekonomiki⁵) przy dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka albo, jako tu zowią, poganiacza WMM. Pani! Jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w kompucie⁶) ży-czliwych zmieścić się mogę, jeżeli moją do swojej usługi gardzić nie będziesz ochotą czyli akceptować⁷), racz się rekologować⁸); o zasługach zaś w żadną nie wchodzę kontrowersją⁹), aż wprzód od WMM. Pani usłyszę, jaką ta moja do przysługi WMM. Pani opowiedziana ochota przyjęta będzie wdzięcznością“.

Odpowiada mi tedy tak: „Mój Mości Panie! Prawda

1) przypuszczałem; 2) na żądanie; 3) do ś. Jana; 4) szarża = god-ność, urząd; 5) ekonomika = nauka gospodarstwa; 6) komput = poczet; 7) przyjmować; 8) namyślić się; 9) spór

to, że tu u nas, w tym kraju, sług od gód tylko przyjmują, a kto zaś po ś. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co każe dyskrecya. Ale to ma się rozumieć o podlejszych tylko sługach; poważniejszy zaś sługa kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego czasu, o którym przystaje. Jednak ja z WMM. Panem w ten kontrakt nie chcę się wdawać, wiedząc, że WMM. Pan, jako człowiek rycerski, wielkim nauczył się żyć żołdem. Ja zaś uboga szlachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę: Ale tak radabym ja wiedziała WMM. wołą, czembyś się kontentował, a ja zaś, obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mogła, deklarują WMM. Panu, i jutra nie czekając“.

Ja znowu mówię: „Moja Mościa Pani! Wielka mię tu od WMM. Pani potkała przymówka, ale nietylko mnie, ale i cały stan rycerski, kiedy WMM. Pani mizerny żołd nasz, za który trzeba krwi i życia każdej godziny nie żałować, to jest czterdzieści, a najwięcej sześćdziesiąt złotych, wielkim mianować raczysz żołdem. To WMM. Pani racz wiedzieć, że, gdyby żołnierze z tego kontenci byli żołdu, każdy i sam do zgrzybiałej starości pewniebym go nie odstępował; ale, ponieważ tamtę rzucam dla terażniejszej szarżą, WMM. Pani życzliwie ofiarując usługi, to snadź, że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z WMM. Panią w targ wchodzić nie chcę, ale puszczam się na respekt i tę, w której nie powątpiewam, dyskrecyą, czekając łaskawej od WMM. Pani deklaracy“.

Odpowie ona: „Mój Mości Panie! Dosyć to każdy, a i sam WMM. Pan podobno tak czynisz, że, kiedy sługę przyjmiesz, sam z nim wręcz mówisz i opowiadasz mu przyszej jego usługi powinności i kondycye, żeby wiedział, jako panu służyć i jakiej się też za swoje usługi spodziewać wdzięczności. Więc tedy i mnie podobno to ujdzie, choć sama przez się rozmówię się w tem z WMM.

Panem oraz i deklaruje, jeżeli WMM. Pan tego afektu jest, to i dziś jeszcze, jeżeli też dla wielkiej powagi, to już do jutra“.

Na co znowu mówię tak: „Nie damską, ale kawalerską WMM. Pani przyznać w tem muszę uwagę i rozsądek, kiedy WMM. Pani tę obserwujesz rzetelność, którą i moja zawsze rada widzi fantazyja, żeby w każdym terminie dobrze umyśloną prędkiem słowem deklarować intencyą, a to druga, że wdzięczniejsza jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów, awizacya¹⁾, której ja, jakakolwiek mię potka, jako pożądanego od Boga wyglądam munsztułuku²⁾: jeżeli pocieszna, podziękuję, jeżeli przeciwna, za złe mieć nie będę, bo snadź, że niebieska nie inaczej każe ordynacya“.

Mówi ona na to: „Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym w tem mieć sumnienia skrupuł, gdybym, widząc WMM Pana afekt szczerzy, nie miała go podobnym oddawać afektem. I, jeżeli w tem jest dobrego sługi stateczna wola i umysł, znajdzie tu pana i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecyi dane, dlategoż osobliwszego mogą spodziewać się respektu“.

Dopiero ja podziękowałem. Wypisować, co się przy afektach mówiło, siłaby. A potem—miałem wyrostka Dziegielowskiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie—kazałem mu zaśpiewać: „Niech komu nadzieja ściele różnych fortun na myśl wiele; ja już będę tryumfował, kiedy szczęśliwie stargował“. Domyślili się, co się dzieje, po tej pieśni. Przyszedł do nas brat jej rodzony: „Wierę³⁾, siostrzyczko, a godziłoż się to, nie radząc się nas? Ale dobrze i tak, chwała Bogu!“ Ona się omawia⁴⁾, że tu nic nie masz, tylko że pieśń śpiewają taką, jaki ma w sobie tekst, a oni już wmawiają

1) oznajmienie, 2) munsztułuk=nagroda; 3) zaprawdę; 4) omawiać się=wymawiać się.

gwałtem, że „jużes deklarowała“, piją za zdrowie: „vivat!“ Pierścień jej obaczywszy u mnie na palcu, temże bardziej potem tańcować, podpijać, jak to bywa! Już tedy bez wszelkiej ceremonii poczęliśmy z sobą mówić „de tempore“¹⁾. Ona powiedziała: „Choćby i jutro, gdyby nie piątek“. Ja jednak, podziękowawszy za deklaracją skutku prędkiego, mówię: „Moja Mościa Pani! Ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie mam od nich przykazanie. Z łaski WMM. Pani dosyć mi się stało, kiedy mam słowo, którego rozumiem, że mi WMM. Pani dotrzymać raczysz; ja też pewnie takim nie myślę być niestatkim, a w ostatku niech będzie to słowo na papierze; ja za dwie niedzieli tę drogę objadę, wołam rodziców uczyniwszy, krewnych też tu cokolwiek z sobą sprowadziwszy, będę kłaniał WMM. Pani i o efekt danego słowa prosił“. — „Żadnym sposobem toby być nie mogło, ale zaraz żeby było, jeśli ma co być“.

Już tedy i pan brat Jerzy „accessit“²⁾ do tej rady, namawia, prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecuje wielkie czynności, zapisy. Jak mi tedy poczęli głowę mozolić brat z siostrą: „Jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było, dalej nie odwłóczyć; pobłogosławiają tobie rodzice i potem, a jeszcze to ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą“, — już mi też i żal było owej kobiety, widząc jej wielki afekt, i mówię: „Życzysz WMM. Pani, żeby tak było?“ Odpowie: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce“. Dopiero deklarowałem: „Niechże tak będzie, jak jest wola boska i wola wasza!“

W niedzielę... poszliśmy tedy do ołtarza, zagrano „Veni Creator“, wzięliśmy potem ślub.

1) o czasie (ślubu); 2) przyłączył się.

LITERATURA WIEKU XVIII.

ROZDZIAŁ VI.

Czasy saskie.

Zdziczenie literatury — początki odrodzenia.

§ 71. W całej historii Polski niema okropniejszej, bardziej upokarzającej epoki, jak czasy panowania dwu Sasów, Augusta II i jego syna, Augusta III. Już w w. XVII było źle, już tryumfowały anarchia i złota wolność, ale przynajmniej gospodarzami Polski byli Polacy, a jeśli chcieli gospodarować cudzoziemcy, to zrywał się naród i wyganiał ich z domu. W wieku XVIII—inaczej. Mniejsza o to, że na tronie polskim zasiadali dwaj cudzoziemcy: i Batory był cudzoziemcem, ale Batory pokochał Polskę i dbał o nią, jak o rodzoną ojczyznę; tymczasem August II Polski nie kochał, August III zaś nawet nie mógł jej kochać, jako istota bez serca i bez mózgu. Bądźcobądź byli to królowie polscy, nie obcy: stokróć gorszą jest rzeczą, że nie oni gospodarowali, tylko obcy królowie, którzy rządili się w Polsce, jak głodne gęsi w stodole, zwalczając wszelki opór podstępem, groźbą lub orężem. Karol XII, król szwedzki, złożył z tronu Augusta II i wprowadził nań Sta-

niśława Leszczyńskiego, a Piotr Wielki, car rosyjski, złożył z tronu Leszczyńskiego i przywocił go Augustowi; po śmierci Augusta II obrano Augusta III — pod naciskiem wojsk rosyjskich. Podobnej hańby nigdy jeszcze nie zaznała Polska, i ona, o której względy ni gdyś ubiegała się Europa, teraz stała się jej pośmiewiskiem. O naprawie zaś Rzeczypospolitej nawet mowy być nie mogło: przecie naprawić ją mogły tylko sejmy, a sejmy zrywano za pieniądze cudzoziemskie: Za Augusta II zerwano sejmów siedemnaście, a za jego następcy nie doszedł do skutku ani jeden sejm zwyczajny! Zresztą o naprawie nie myślano: społeczeństwo miało wprawdzie oczy, ale nie widziało i po dawnemu twierdziło, że „Polska nierządem stoi“, z tym jeszcze dodatkiem, że nietylko nierząd, ale i słabość Polski jest jej siłą, bo słabej Polski potrzebują sąsiedzi, a tego, kogo się potrzebuje, oszczędza się przecie!... Oglupienie polityczne szlachty doszło do szczytu! Jednostki tylko nie podzielały tych potwornych poglądów, widziały, na co się zanosi, i chciały ratować Rzeczpospolitą, ale, wobec oglupienia ogółu i bezsilności sejmów, na razie nic sprawić nie mogły; a kiedy wreszcie za panowania Stanisława Augusta, mogły, kiedy ogół przejrzał, a sejmy odzyskiwały siłę, — było już za późno; nie pozwolili na ratunek sąsiedzi.

Oglupieniu politycznemu towarzyszył straszliwy upadek moralny społeczeństwa, nieodłączny od ciemnoty. Rozpusta i zbytki doszły do zastraszających rozmiarów, — „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa“; miłość ojczyzny skurczyła się zupełnie w „domach i pojedynkowych pożytkach“ (przed czem ostrzegał niegdyś Skarga, § 49); łapownictwo senatorów, posłów, sędziów, urzędników stało się chlebem powszednim; religijność, krzewiona po kościołach, szkołach i domach przez ciemne i niemoralne duchowieństwo, wyradzała się, schodziła corazto wyłącziej na bez-

duszną dewocję, na posty i dyscyplinowanie się, na pielgrzymki, na koronowanie cudownych obrazów Matki Boskiej, na uczęszczanie do kościołów nie dla prawdziwego nabożeństwa, tylko dla zwyczaju lub ciekawości. Resztki tolerancyi religijnej zanikły; sprawdziły się obawy Potockiego (§ 67): z arianami załatwiono się już w wieku XVII, teraz wzięto się do wszystkich wogóle innowierców, których prześladowano, usuwano z izby poselskiej, nie dopuszczano do urzędów: nie poszła w las nauka jezuicka, nie darmo uczyli księża, że Bóg za to tylko Polskę karze, iż cierpi u siebie protestantów!

Co i jak działo się w Polsce, o tem najlepsze dają pojęcie pamiętniki kasztelana brzeskiego, Marcina Matuszewicza, spisane za Augusta III (wydane dopiero w roku 1876); odsłaniają nam one w całej nagości okropną zgniliznę polityczną, umysłową, moralną i religijną społeczeństwa w pierwszej połowie XVIII w. Autor, sam człowiek nikczemny, bez Boga w sercu, do tego stopnia zatracił (czy zapił) sumienie i wszelki zmysł moralny, że o prywatnie szlachty, o zrywaniu sejmów, o przedajności sędziów, o rozpuście, o pijaństwie i t. d. opowiada z takim spokojem (czasem nawet z uśmiechem), jakby o rzeczach nietylko najzwyczajniejszych, ale zupełnie godziwych, które nikogo razić nie powinny. Ze zdziwieniem np. opowiada Matuszewicz, że mieszka w Polsce jeden szczególniejszy magnat (Jan Klemens Branicki), chyba niespełna rozumu, skoro... nie chce tykać pieniędzy zagranicznych.

Literatura czasów saskich jest wiernym obrazem społeczeństwa: społeczeństwo zdziczało, więc zdziczała i literatura, tracąc doszczętnie mądrą myśl i piękno formy. Książki poważniejsze ukazują się niezmiernie rzadko. Do tych wyjątków należy olbrzymie dzieło jezuitę Kaspra Niesieckiego p. t. „Korona polska“ (1728—43), najobszerniejszy w literaturze staropolskiej herbarz, zawierający w so-

bie starannie zebrane wiadomości historyczne o rodach szlacheckich, a przez to będący ważnem źródłem do biografii wybitnych postaci. Nie to jednak dzieło jest miarą umysłowości czasów saskich; najlepiej charakteryzuje ich ciemnotę księga ks. Benedykta Chmielowskiego pod szumnym tytułem: „Nowe Ateny albo Akademia, wszelkiej scyencyi¹⁾ pełna, na różne tytuły, jak na classes²⁾ podzielona, nądrym dla memoryału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana³⁾ (1745—56). Co zawiera w sobie ta księga, o tem pouczają ciąg dalszy tytułu: „O Bogu, bożków mnóstwie, słów pięknych wyborze, kwestyj cudnych wiele, o Sybillów zbiorze, o zwierzu, rybach, ptakach, o matematyce, o cudach świata, ludzi rządach, polityce, o językach i drzewach, o żywiołach, wierze, hieroglifikach, gadkach, narodów maniere; co kraj który ma w sobie dziwnych ciekawości, cały świat opisany z gruntu słów krótkości“. Jestto więc encyklopedia—zbiór wiadomości z zakresu teologii, historii, geografii, polityki, matematyki, zoologii, botaniki, mineralogii i t. d. Pomiędzy innemi, autor odślania czytelnikowi różne „osobliwe sekrety“, np. skuteczne lekarstwo na ból zębów: „Kość wyjąć z uda żaby, tą kością zębów się dotykać, przestaną boleć“. „Oko jaskółcze włożywszy do pościeli czyjej, sen mu odbierzesz:... dobry sposób na śpiochów“. Jak grad odwrócić? „Chmurze gradowej pokazać wielkie zwierciadło i przeciwko niej wystawić,—kiedy inędę obróci się“. Ciekawe są również wskazówki dla szlachcica, wybierającego się zagranicę: powinien on, jeśli nie chce „z ojczyzny swojej wyjechać ciołkiem, a powrócić wołem“, przypatrywać się bacznie temu wszystkiemu, co się w obcych krajach dzieje, a więc, pomiędzy innemi, zwiedzać rozmaite osobliwości, zwłaszcza kościoły i kapli-

1) scyencya=wiedza; 2) klasy; 3) wzniesiona.

ce, aby wiedzieć, „których tam Świętych deponowane relikwie, jakie obrazy, cuda“; a jest tego za granicą co nie miara: w jednym np. mieście włoskiem „jest wielkiego walu¹⁾ skarbu, t. j. pierścień Królowej nieba i ziemi, którym św. Józefowi zaślubiona była“; gdzie indziej znów „jest za szkłem sukienka Matki Najświętszej, kominek, na którym Chrystusowi Panu, sobie i Józefowi św. jeść gotowała, jest i miseczka gliniana, z której karmiła“. Zanim się z domu wyruszy, trzeba przystąpić do spowiedzi i „wziąć sobie za przewodniczkę Matkę Najświętszą, idącą do Egiptu, ś. Rafała, ś. Trzech Królów, ś. Expedita za patronów“. Wogóle dzieło Chmielowskiego jest przesiąknięte duchem religijności — i fanatyzmu: autor radzi np. Polakom, aby „tak z innymi uczynić heretykami, jak z arianami uczynili, a jeśli nie można, tedy pod jarzmem praw duchownych i świeckich ich utrzymać należy“. Bardzo znamienne są poglądy polityczne Chmielowskiego: „brylant nieoszacowany Korony polskiej—wolność złota“; drugi dyamentowy fundament wolności polskiej — „libera regum electio²⁾“; „trzeci fundament—„liberum veto“, gdyż to wolne mówienie na sejmikach i sejmach jest matką i duchem wolności, jest nie konającej ojczyzny znak, gdy jeszcze gada“. I o języku ojczystym nie zapomniał uczony autor: jego zdaniem, szanujący się pisarz, a zwłaszcza mówca, powinien gęsto przetykać mowę rodzinną makaronizmami i wogóle wyrazami cudzoziemskimi, bo te są od polskich „polityczniejsze“; niepolityczne np. będą takie wyrazy, jak przeciwnik, donosiciel, uczeń, prostak, widok; polityczne natomiast: adwersarz, delator, dyscypuł, symplak, theatrum. „Czyliż to jest gładko: Zalecam się WPana baczności? Ładniej podobno: Rekomenduję mię WPana respektowi“. A tak pod każdym względem „Nowe Ateny“ Chmielowskiego są książką wysoce znamiennej, dają bowiem wyborne po-

¹⁾ walor=wartość; ²⁾ wolny obiór królów.

jęcie o upadku zarówno zdrowej myśli, jak poczucia piękna.

Takimi to bredniami karmił się umysł społeczeństwa za Sasów. Ale najulubieńszym pokarmem były bezmyślne i nadęte panegiryki, których ukazywała się moc nieprzebrana, pisma religijne i ascetyczne oraz kazania, w których często bezmyślność walczy o lepsze z dzikością smaku estetycznego. Jako przykład, mogą służyć kazania jezuity Franciszka Kowalickiego, który (jak to było powszechnym u nas zwyczajem) raz po raz przeplata nauki moralne dykteryjkami i historyjkami, ubliżającymi powadze kazalnicy; prawi np., że „w Monachium na weselu księcia bawarskiego pasztet dano, w pasztecie karła, który po odkrytym pasztecie z szpadą wyskoczył, między półmiskami tańczył z uśmiechem gości zgromadzonych“. Dla zbudowania słuchaczy opowiadał im Kowalicki, że np. na błoniach poznańskich pokazały się dwie Przenajświętsze Hostye w jasności na powietrzu (od Żydów pokłute tam wyrzucone były); gromadne bydła trzody na kolana padły, głowami o ziemię biły i swoje „Te Deum“ mrukliwym rykiem śpiewały“ i t. p.

Ulubionemi książkami do czytania były także kalendarze, bez których się szlachcic obejść nie mógł i którym zawdzięczał często niemal swoją wiedzę, dowiadując się z nich nietylko o tem, co się dzieje na świecie i w Polsce, kto jaki urząd piastuje, gdzie i kiedy będzie jarmark i t. d., ale i o tem jeszcze, jaki wpływ wywierają planety na życie ludzkie, które dni będą feralne, które pogodne, a które pochmurne i dżdżyste, „jak daleko jest do piekła“, „z której strony świat jest okrągły“, czemu podziemne ludzkie, do nas nogami chodzący, nie patrzą na niebo“, i t. p.

Jak proza, tak i poezya czasów saskich jest obrazem nędzy i rozpacz. Rozwlekłe wiersze historyczne (polskie i łacińskie) oraz powieści fantastyczne są po większej

części również niezdarne, jak poezya religijna: wierszowane legendy, żywoty świętych i t. p. Jak bardzo zdziżała poezya, o tem dać mogą pojęcie „Uwagi o śmierci niechybnej“ (1760), dziwoląg wierszowany na temat, że każdy umrzeć musi; autorem jest podobno jezuita Józef Baka. Oto próbka.

MŁODYM UWAGA.

Cny młodziku, Migdaliku,
Czerstwy rydzu, Ślepowiedzu!
Kwiat mdleje, Więdnieje...
Śliczny Jasiu, Mowny szpasiu,
Mój słowiku, Będzie zyku!
Szpaczkujesz, Nie czujesz:
Śmierć, jak kot, Wpadnie w lot!
Aza nie wiesz, Że śmierć, jak jeź,
Ma swe głogi, w szpilkach rogi?
Ukoli Dowoli,
Aż jękniesz i pękiesz...
Czy ty gluszec, czy ty wrona,
Dusznych sępów chwyci szpona.
Twa główka Makówka
W swawoli Nie boli;
Tobie w głowie skoki, tany,
Charty, żarty na przemiany:
Śmierć kroczy, Utroczy,
Jak ptaszka, —
Nie fraszka!
W ślepią babkę gdy śmierć skacze,
O, czy jeden młodzik skacze?

§ 72. Na szczęście, wśród tych straszliwych ciemności zaczynają, już za Sasów, migotać światelka. Magnaci zwłaszcza, górujący oświatą i ogłada ponad ciemnym

motłochem szlacheckim, posiadający mniejszą lub większą znajomość tego, co się działo zagranicą, zdawali sobie sprawę z upadku oświaty i ze zdziczenia literatury w Polsce. Takim był przede wszystkim biskup kijowski, Józef Andrzej Załuski, nieudolny wprawdzie, a nawet śmieszny, jako wierszopis, ale, jako krzewiciel światła, mąż ogromnej zasługi: rozkochany do namiętności w dziejach literatury ojczystej i w książkach, zgromadził olbrzymią, składającą się przeszło z 200.000 tomów, bibliotekę (której katalog ułożył—wierszem!) i w r. 1748 oddał ją na użytek publiczny (w Warszawie), a później (1763) podarował ją na własność Rzeczypospolitej. Obecnie cały ten księgozbiór znajduje się w Piotrogradzie, wywieziony tam z rozkazu Katarzyny II.

Inny magnat, hetman polny koronny, Wacław Rzewuski, człowiek prawy i zacny, znał literaturę francuską i naśladował jej utwory: napisał dwie tragedye historyczne (1758—60) na wzór Kornela i Rasyna i dwie komedye (1759—60) na wzór Moliera; jeden to z pierwszych pisarzy polskich XVIII w., którzy wzorowali się na literaturze francuskiej, przyczyniając się przez to do uszlachetnienia smaku estetycznego. Wywieziony wraz z Sołtykiem i Załuskim do Kaługi z rozkazu Repnina (1767), pisał Rzewuski na wygnaniu „Psalmy pokutne“, poprzedzone przedmową—„Do kochanej Ojczyzny“.

W okropnych czasach, w pośrodku dni smutnych,
Bierz się, Ojczyzno, do psalmów pokutnych,
A gdy Cię gniewny Bóg chłosta swym biczem,
Płacz, jęcz, upadaj przed Jego obliczem!

Wszak Bóg, jak ociec, gdy dziecię swe otnie,
Ciesz się je potem i głaszcze stokrotnie:
Po srogich klęskach, po morze, po bitwie
Da Bóg szczęśliwy los w Polsce i Litwie!

Mnie w pięcioletniej przeciągu niewoli

Nie ma niedola, ale Twoja boli;

Niech mój surowszy los będzie,—Twój miększy!

Niech me nieszczęście,—Twe szczęście się zwiększył!

Wychowanie na dworach magnackich było bez porównania staranniejsze, niż we dworach szlacheckich; nauki pobierali nietylko chłopcy, ale i dziewczęta: prócz gospodarstwa, uczono je historyi, geografii, muzyki, rysunków, tańca, a nadto języków obcych, zwłaszcza francuskiego (czasem nawet łaciny). Otóż pod wpływem tej oświaty rozszerzał się nieco widnokrąg umysłowy kobiet z domów wielkopańskich, a jednocześnie budziła się w nich ochota do pióra: stąd literatura czasów saskich posiada cały szereg autorek, a z tych najznakomitszą jest **Elżbieta Drużbacka** z Wielkopolski (ur. około r. 1695, zm. 1765), uboga szlachcianka, która jednak przez czas dłuższy przebywała na różnych dworach wielkopańskich i dzięki temu poduczyła się trochę i przetarła między ludźmi. Jako poetka, cieszyła się niemałym uznaniem współczesnych; cenił ją wysoko sam Ignacy Krasicki, który chwalił jej „moc i dzielność umysłu“, „żywość imaginacyi i wdzięk wyrazów“; inni posuwali się jeszcze dalej, nazywając ją *Minerwą* i „dziesiątą Muzą“. *Minerwą* Drużbacka nie była; posiadała wprawdzie, jak na owe opłakane czasy, dość znaczne wykształcenie: znała Pismo święte, umiała trochę historyi i mitologii, posiadała język francuski, z którego przetłumaczyła nawet kilka poezyi; rozsądku miała tyle, że nie wierzyła już ani w upiory, ani w opętanych przez diabła, że rozumiała, iż ciemnota jest dla narodu klęską, a oświata dobrodziejstwem, to też wielbiła biskupa Zaluskiego, jako założyciela bib'ioteki publicznej; ale gruntownie nie umiała nic, a wyjątkowym rozumem ani bystrością umysłu nie grzeszyła wcale, owszem jaśniała naiwnością.

Nie była też ani dziesiątą, ani wogóle żadną Muzą; pewien przyrodzony talent miała niewątpliwie, ale, wskutek braku gruntowniejszego wykształcenia, nie zdołała, nie mogła go należycie rozwinąć i uszlachetnić; jej uczucie nie było ani gorące, ani głębokie, a fantazyja, chociaż ciągle coś roiła, nie była wcale bujna; poczucie piękna wreszcie, urobione nie na poetach wieku złotego, ale na poezyi w. XVII, także nie było zbyt wielkie, czego dowodzą, prócz wyrażen rubasznych i trywialnych, same już tytuły jej poematów, np. „Forteca, od Boga wystawiona, pięcią bram zamknięta, to jest dusza ludzka z pięcią zmysłami“. Pochwały więc współczesnych są przesadne, ale stwierdzają prawdę znanego przysłowia: „Na bezrybiu i rak ryba“. Rzeczywiście: w porównaniu z dziwolągami wierszowanymi czasów saskich, poezye, a raczej wiersze, Drużbackiej posiadają pewien wdzięk, a to głównie dzięki szczerości autorki, która, ulegając powszechnemu zepsuciu smaku, pisała często nienaturalnie, ale się umyślnie na nienaturalność nie sadziła: stąd jej styl nie jest wprawdzie wykwintny, ale też nie napuszony, a często nawet posiada miłą prostotę: słusznie powiedział jeden z pisarzy XVIII wieku, że Drużbacka „przyczyniła się do ożywienia gustu w poezyi“, i na tem właśnie polega jej stanowisko w historyi literatury: jej wiersze są już zapowiedzią lepszych czasów. Ujmuje także w Drużbackiej skromność, poczciwość, dobra wola i miłość ojczyzny; jeżeli pisała wiersze, to głównie dlatego, że pragnęła, aby one, jak sama mówi, „zawstydziły mylné mniemanie o tych, co w Polsce mieszkają, że damy tylko kądziel, mężę woły znają“. O rozgłos nie chodziło jej zupełnie: to też sama nie ogłaszała swych utworów drukiem; wyręczył ją biskup Załuski, który wybrał z jej poezyi, co lepsze, i wydał p. t. „Zbiór rytmów“ (1752).

Owoce pobożności Drużbackiej (pod koniec życia zamieszkała w klasztorze!) są wiersze i poematy religijne, np. o królu Dawidzie, o Maryi Magdalenie, o dyabłach, szturmujących do owej „fortecy, pięcią bram zamkniętej“ i t. d. Utwory te nie posiadają wartości.

O wiele lepsze są wierszowane powieści fantastyczne, zwłaszcza „Fabuła o ksiąźęciu Adolfie“. Adolf jest dzie dziecem „Roksolanii“ (tak nazywa Drużbacka Białą Ruś); kraj to dziki i barbarzyński, co nie przeszkadza, że młody ksią że jest tak wykształcony, iż „akademia w nim miała mieszkanie“; pragnie więc wyszukać sobie równie cywilizowaną małżonkę. Los mu sprzyja: raz, na polowaniu, zabłąkał się w puszczy i podczas burzy natrafił na jakąś jaskinię, która, jak się okazało, była „stolicą Eola“, boga wiatrów. Jeden z wiatrów, Zefir, opowiada Adolfowi, że istnieje gdzieś na świecie jakaś wyspa szczęśliwości, gdzie panuje cudownej piękności bogini. Na prośbę Adolfa zanosi go Zefir na ową wyspę; roślinność tu wspaniała: cytryny, pomarańcze, kasztany, cyprysy, rozmaryny, róże, fijołki“. Paw wskazuje Adolfowi drogę do pałacu „przepysznej struktury“: „gdzie ma być kamień, tam dyament siedzi, szmarag z rubinem, w tafle układane, nie widać nigdzie żelaza i miedzi, wszystko na szczerem złocie osadzone; okna z kryształów, co je w skałach kopią, drzwi hebanowe, jak zwierciadła czyste,... nakoniec, ktoby chciał opisać piórem tę doskonałość, co zamyka w sobie, z zdumienia staćby się musiał marmurem“. Z okna pałacu wychyla się przez okno jakaś „młodziuchna panna“ i spuszcza na ziemię koszyk, w który „ładna ogrodniczka“ nakłada kwiatów; Adolf, otulony w „płaszcz niewidomy“, „wskoczył na koszyk, kwiatami usłany“, „ciągnie kosz dama, sznurowany wstęgą, ciężar niezwykły z fatygą winduje“. Dostał się więc Adolf do pałacu i pojął za małżonkę jego właścicielkę, cu downej piękności boginię. Po trzystu latach szczęśliwego

pożycia (które mu się wydały trzema tygodniami), za-
tęskniwszy do ojczyzny, zanosí prośbę do bogini, by mu
pozwoliła odwiedzić kraj rodzinny: bogini, wydasawszy się,
zezwała. Wyjechał Adolf, ale po drodze spotkał jakiegoś
starca (imieniem Czas), który go udusił. Stąd płynie sens
moralny, że „nikt, póki żywy, nie bywa niezmiennie szczęśli-
wy“, takąto już bowiem naturę ma człowiek, że nie chce
na swem szczęściu poprzestać i, chociaż mu dobrze, „po-
lepszenia szuka“.

Wogóle prawie wszystkie utwory Drużbackiej mają
na celu zbudowanie czytelnika, i ze wszystkich sama au-
torka wyprowadza naukę moralną. Ten cel pouczający
widoczny jest np. w poemacie opisowym, p. t. „Opisanie
czterech części roku“, który należy do najudatniejszych
utworów Drużbackiej, a którego myśl przewodnią wypo-
wiada zaraz na wstępie:

Bogdajeś przepadł w piekło z ateistą,
Ty, który mówisz, że Bóg nie jest Panem
Ni Stwórcą rzeczy! A któż oczywistą
Machinę świata oblał oceanem?
Kto słońce, miesiąc, planety w swym biegu
Komenderował, kto gwiazdy w szeregu?
Powiedz: kto słońcu wschód ranny naznaczył?
Kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył?
Kto księżyc pełny w części przeinaczył?
Kto osiom mile gwiazdecznym wymierzył?
Kto mleczną drogę, kto czystą jutrzeńkę,
Kto w świetną przybrał firmament sukienkę?

Tak więc prawidłowość „machiny świata“ oraz piękność
stworzenia przekonywa człowieka, że jest Bóg, który to
wszystko stworzył: i tę właśnie wiarę pragnie wpoić autorka
w serca swoich czytelników, oburzając się na tych, co
w istnienie Stwórcy nie wierzą. W tym celu opisuje ko-

lejno piękności natury na wiosnę, w lecie i na jesieni, w zimie, a przy sposobności—i zajęcia ludzkie w każdej porze roku. Utwór ten jest nowością w poezji naszej, jako pierwszy poemat opisowy, miejscami nie pozbawiony wdzięku, np. w opisie wiosny.

Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów liberyje mają:
Insze na brzożach, insze w gajach krytych,
Insze na drzewkach niskich gust wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębje, który sto lat rośnie...
Ptasząt rozlicznych głosy słyhać w gajach,
Te gniazdo ścielą, te miejsca szukają,
Te już spokojne, co siedzą na jajach,
Te zaś choć ślepe, z domków wyglądają:
Temu miód niesie, muszkę, temu mrówkę.
To pyszczkiem prosi, to nachyla główkę...

Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie:
Słyhać go w łożach, słyhać w ciemnym lesie,
A gdzie strumyczek, szemrząc, płynie wązki,
Pleszcze skrzydełka, skoczywszy z gałązki.

Lecz najlepszymi utworami Drużbackiej są satyry, bądź rozproszone po powieściach fantastycznych, w których Drużbacka, na wzór romansów Potockiego (§ 65), przeplata opowiadanie różnemi uwagami, bądź stanowiące utwory samoistne. W satyrach gniewa się autorka na zbyt światowe życie zamożnego duchowieństwa, na młodzież, polującą na posagi, lecz nadewszystko napada na różne wady i zdrożności dworów wielkopańskich, którym się własnemi oczyma przyglądała, jakoto na nieszczerłość i przesadną grzeczność, na plotkarstwo i obmowy, a zwłasz-

cza na rozluźnienie obyczajów. Najudatniejszą jest satyra p. t. „Skargi kilku dam, w wspólnej kompanii będących, dla jakich racyi z mężami swoimi żyć nie chcą“, będącą ciekawem świadectwem obyczajowem. a wymierzona przeciwko rozwodom, w dawnej Polsce rzadkim, lecz w XVIII wieku corazto częstszym.

W pewnym ogrodzie, pomiędzy szpalery
W czas ranny chodząc, szeptałam pacierze;
Słucham ciekawie, że jakieś afery
Sekretne mają damy przy kwaterze;
Siedząc na darniu w figurę kanapy,
Coraz z tabakier zażywają rapy¹⁾.

Nadstawiam ucha przez grabiny gęste,
Liście mnie swoim zasłoniło cieniem;
Widzę łzy z oczu, a wzdychania częste
Uważam i mam litość nad stworzeniem
Płci mojej: ledwie wraz z niemi nie kwilę,
Nie wiedząc, że to płaczą krokodyle.

Pierwsza zaczyna żal do męża prawić,
Że „jak smok siedzi na łańcuchu w domu;
„Nic nie dba, bym się czem miała zabawić,
„Sługi nie pytaj, zagrać niemasz komu,
„Ani takiego, żeby mnie zrozumiał,
„W mądrych dyskursach rezonować umiał.
„Jakże tu mieszkać z takim domatorem,
„Co tylko wołam karmnym krzyżów maca,
„Zboże na targi wyprawuje worem?
„Prostych to osób z taką zrzędą praca!
„Kafy²⁾ w mym domu nie znajdźcie trzech ziarenek:
„Piwa mi z sercem zagrać każe garnek!“
Druga głos bierze: „Ach! miła sąsiadko!
„Więcej ja cierpię z moim skąpcem męki:

1) rapa=gatunek tabaki; 2) kafa=kawa,

„Kaszki na wieczór nagotuje rzadko,
„Kluczy z za pasa nie da mi do ręki.
„Muszek, wstąg, szpilek z marszem ¹⁾ kiedy kupi,—
„Jak z nim żyć, kiedy i skąpy i głupi?“
Od trzeciej skarga zaehodzi osoby,
Mówiąc: „Fraszka to, godna śmiechu sprawa!
„Mnieby zapłakać, gdy nie znam, co roby ²⁾,
„Sejmów nie widzę, nie wiem, gdzie Warszawa:
„Choćby mi boków nastursano ³⁾ w ciżbie,
„Byłem z raz była w Senatorskiej Izbie!
„Nie wiem, co jest bal, assamble, reduty:
„Mój mnie jegomość osadził przy kurach;
„Paż do ogona ma łatané buty,
„O blondynowych ⁴⁾ nie chce garniturach
„Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę.
„Otóż z tych racyi z gapiem się rozwiodeł!“

.....
Ostatnia mówi: „Jam się w wachlarzyku
„Pięknym kochała, gdzie minijatura
„Postać Kupido, niby w ołtarzyku,
„Wstawiła, co mu dać mogła natura,
„Wszystko wyraźne w tak subtelnej sztuce
„Było... A resztę dla żalu ukróćę!
„Mój Satyr, wzięwszy wachlarz w grube ręce,
„Jak jął wachlować, niby kował miechem,
„Nie uważając na członki chłopięce, —
„Rozumiał, żeto z pachotkiem Wojciechem
„Za pasy chodzi,—złamał kość słoniową.
„Rura!... Za rurę osądził wołową!
„Ja, pełna będąc cholery i żalu,
„Odjeżdżam z domu, porzuciwszy dzieci;

¹⁾ mars=mina groźna, niechętna, ponura; ²⁾ roba=suknia; ³⁾ stur-sać=sztrkać, szturgać; ⁴⁾ blondyna=cienka koronka z jedwabiu surowego.

„Na pożegnaniu powiem mu: „Brutalu!
„Już z tobą żyję rok dziesiąty trzeci,—
„Dłużej nie myślę, intencyi nie kryję:
„Wiedz, w jakiej cenie są galanteryje!“

.

Milczałam dotąd, chcąc sekret zachować
Dla wstydu, zem też i ja białogłową;
Odtąd zaczynam mężatki rachować,
Zamiast pięć panien głupich, co je zową
W ewangelii, że w lampach nie miały
Oleju, od drzwi precz odejść musiały.

.

Jeśli dla racyi, wyżej wyrażonych,
Kochane panie! szukacie rozwodu,
Nie miejcie za złe, że was, rozpuszczonych
W swywoli, sędzę: polskiemu narodowi
Krzywdę czynicie, z siebie—śmiechy, żarty;
Honor wasz płacze, że goły, wytarty!
Czy słuszna, żeby Rzym, nuncyaturę,
Konsystorz klócić niegodziwą sprawą?
Bóg dobry, iż piorunową chmurę
Nie ześle, w piekło nie wyprawi nawą¹⁾;
Przyjdzie kres, kiedy z życiem was rozwiedzie:
Będzie wiedziała każda, dokąd jedzie!

§ 73. Jak poezye Rzewuskiego i Drużbackiej są niejako zapowiedzią odradzania się piękna, tak ukazują się, już pod koniec panowania Augusta II, pisma prozą, będące już nietylko zapowiedzią, ale objawem i dowodem odradzania się mądrości i myśli. Tak np. jakiś pisarz, którego nazwiska nie znamy, bo je zataił, wydał broszurę

¹⁾ nawa = łódź (którą Charon przewozi dusze umarłych przez Styks).

p. t. „Rozmowa Polaka z Francuzem“ (1730); Francuz usiłuje przekonać Polaka, że „liberum veto“ jest szkodliwe i że tron dziedziczny jest lepszy, niż obieralny. Inny autor, wojewoda ruski, Jan Stanisław Jabłonowski, ogłosił pisemko p. t. „Skrupuł bez skrupułu“ (1730), w którym bez żadnego skrupułu odstąpił różne grzechy, jakich się Polacy bez skrupułu dopuszczają, jakoto: kłamstwo i plotkarstwo, kradzież grosza publicznego, przekupstwa, nadużywanie „liberum veto“, próżniactwo, brak miłości ojczyzny i godności w wojsku i t. d. Słowem, jest ta książeczka bolesnym ale zasłużonym rachunkiem sumienia narodowego. Tak więc nie brakło już ludzi, którzy zdawali sobie jasno sprawę z tego, co się w Polsce dzieje.

A niebawem znaleźli się i tacy, którzy nietylko widzieli zło, ale myśleli już o środkach zapobiegawczych, o lekarstwach. Takim lekarzem był, pomiędzy innymi, człowiek małej energii, ale dużego rozumu i rozległej wiedzy, znacznego doświadczenia i złotego serca, szlachetny i mądry patriota, król Stanisław Leszczyński (1677—1766), który, pozbawiony tronu polskiego, długo się tułał po świecie, mieszkał to w Lunewilu, jako księżę Lotoryngii, to we Francyi, jako teść króla Ludwika XV, a nigdy i nigdzie o kraju rodzinnym nie zapomniał. Za granicą poznał urządzenia państwowe różnych krajów, przestawał też wiele z uczonymi ludźmi, znającymi się na sprawach państwa i piszącymi o nich i corazto jaśniej rozumiał, że, w porównaniu z innymi państwami, w Polsce dzieje się zło, więc pragnął ratować ojczyznę, pragnął wskazać jej drogę do naprawy, i w tymto celu napisał najznakomitsze swe dzieło, p. t. „Głos wolny, wolność ubezpieczający“, które naprzód obiegało Polskę w odpisach, a potem ukażało się w druku (1749).

Tego, że Polskę trzeba gruntownie przekształcić, zaprowadzić w niej tron dziedziczny, znieść „liberum veto“

i t. d., nie rozumiał Leszczyński; a zresztą może i rozumiał, tylko nie chciał umyślnie swoich poglądów otwarcie wypowiadać, bo, znając swój naród, bojący się, jak ognia, wszelkich nowości, wiedział, że projekty gruntownych zmian żadnego nie odniosą skutku: przecie szlachcicowi polskiemu nie tak łatwo było ćwieka z głowy wybić, że „liberum veto“ jest nieodzownym warunkiem istnienia Polski. Oto dlaczego Leszczyński jest w swych projektach nieśmiały, a raczej ostrożny. Tak np. nie mówi, że trzeba znieść ze szczętem „liberum veto“, tylko radzi je, o ile możliwości ograniczyć: jeżeli np. na sejmie zapadła jaka uchwała, to, choćby potem sejm zerwano, ta uchwała powinna już obowiązywać. O zniesieniu wolnej elekcyi nie myśli nawet Leszczyński: owszem kocha ją i podziwia, jako największy przywilej na świecie; ale, popierwsze, doradza, by króla obierał nie cały naród szlachecki, lecz sejm — z pośród kandydatów, obranych na sejmikach, a podrugie, domaga się, aby cudzoziemców na tron nie powoływać.

Najwięcej jednak światła na rozum i szlachetność Leszczyńskiego rzuca to, co mówi o chłopach. Chociaż chłopci są wzgardą powszechną okryci, nie godzi się i nie wolno ich lekceważyć: przecie oni są karmicielami i podporą całego państwa, „oni ciężar podatków znoszą, oni wojska rekrutują, oni nas naostatek we wszystkich pracach zastępują, tak dalece, że, gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się sami stać rolnikami, i, jeżeli kogo wynosząc, mówimy: pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów!“ A za to wszystko jakąż mają chłopci nagrodę? taką, że jęczą w niewoli u panów, co jest bezprawiem i pogwałceniem prawa bożego: „Nie wiem, jakim sumieniem w państwie chrześcijańskim lud pospolity traktujemy jako niewolników, nie kontentując się tem, że są poddani;... Pan Bóg człowiekowi „sine distinctione“ (bez różnicy) kondycyi (stanu) dał wolność; jakim prawem mu ją może

kto odbierać?“ Nie dosyć na tem; „niewola chłopów jest niepowetowaną szkodą dla państwa, bo niewola tłumi chęć do pracy i zmniejsza jej wydajność: „Jako wolność „excitabat generositate animi (pobudza siłę ducha), tak niewola „generat“ (rodzi) gnuśną nikczemność, która się wyjawia w prostocie naszego pospółstwa, nie myśli bowiem przy swojej biedzie sposobić się do żadnej przemysłowości w ekonomii (przemysłowości w gospodarstwie) ani do żadnych sztuk w rzemiosłach; pracując ustawicznie pod kijem, nie robi nic z ochotą, będąc zwłaszcza pewien, że i to, coby zarobił, nie jego; i, choćby który miał z natury jakie talenty, nie ma ani serca, ani czasu zażywać ich;... w każdej akcji przy wolności znajduje się ochota, przy ochocie emulacja (współzawodnictwo), przy emulacji doskonałość, dlatego też nie mamy ani manufaktur, bogacących państwo, ani rzemiosł rozmaitych do powszechnego zażywania i wygody życia: trzeba to wszystko z cudzych krajów sprowadzić, siebie ubożać“. Z tego zaś wyprowadza Leszczyński wniosek, że, nie znosząc poddaństwa chłopów, trzeba przynajmniej znieść ich niewolę, t. j. znieść prawo o przykuciu chłopca do ziemi, dać mu na własność kawałek gruntu, z którego panu będzie czynsz płacił, oraz pozwolić mu się odwoływać od sądu pańskiego do sądów wyższych. Jeden to z najmędrszych i najszlacheńszych pomysłów literatury europejskiej w pierwszej połowie XVIII w. Prawda, że już dawno domagał się tego samego Modrzewski (§ 30), ale wielka myśl jego poszła w zapomnienie, to też niemalą jest zasługą Leszczyńskiego, że ją przypomniał.

§ 74. Aby jednak odradzająca się, dzięki rozumnym jednostkom, mądrość literatury mogła wywrzeć wpływ na życie społeczeństwa, należało przede wszystkim wyrwać je z ciemnoty, której głównym źródłem był oplakany stan oświaty; innemi słowy, że wszystkich potrzeb ówczesnej Polski najbardziej palącą/ była reforma oświaty; bez niej

nawet mowy być nie mogło o ratunku Polski, już nie tylko jako państwa, ale jako społeczeństwa i narodu. Otóż, na szczęście, znalazł się człowiek, który to zrozumiał, który o reformie oświaty nie tylko pomyślał, ale i sam jej częściowo dokonał; to też złotymi głoskami zapisało się w dziejach naszych imię tego człowieka, jako jednego z największych ludzi, jakich miała Polska, jako jednego z jej duchów opiekuńczych. Był nim ksiądz **Stanisław Konarski**, pijar, urodzony w Żarczycach Większych w województwie sandomierskiem (1700—1773), reformator oświaty, reformator smaku estetycznego, autor znakomitego dzieła p. t. „O skutecznym rad sposobie“, wymierzonego przeciwko „liberum veto“. Jego olbrzymie zasługi uczcili już współcześni: król Stanisław August kazał bić na jego cześć medale z krótkim, ale wymownym napisem: „Sapere auso“, t. j. „Temu, co się ośmielił być mądrym“; bo Konarski nie tylko sam był mądry, ale się ośmielił innych mądrości uczyć, i ta jego śmiałość wydała błogosławione owoce.

Mądrość zaś swoją zawdzięczał Konarski nie tylko przyrodzonym zdolnościom i wrodzonej trzeźwości umysłu, lecz i własnej usilnej pracy: nie poprzestał na ukończeniu szkół pijarskich w kraju (które były równie liche, jak jezuickie), ale wyjechał za granicę i uczył się całe cztery lata w Rzymie, a dwa w Paryżu; za granicą dopiero rozjaśniło mu się w głowie, a jednocześnie serce ścisnęło mu się na myśl, jak bardzo nieszczęśliwa jest jego ojczyzna, nie mająca ani oświaty rzetelnej, ani rządu dobrego. A ponieważ kochał ojczyznę całą siłą swej wspaniałej duszy, więc już zagranicą przysięgł sobie, że ją będzie ratował. I przysięgi dotrzymał, miał bowiem nie tylko wielki rozum i serce gorące, ale nadto tak rzadką, tak wyjątkową w Polsce żelazną wolę. Konarski to nie tylko człowiek mądry i zacnego serca, ale i człowiek czynu, dążący do celu kro-

kiem wolnym, ale śmiałym i pewnym, nie zrażający się żadnemi trudnościami, zbrojny w mądrą, świętą zasadę, którą wypowiedział w słowach: „Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować“. A w czynach swoich nie myślał o sobie: on, pochodzący ze starożytnego i znakomitego rodu: stłumił w sobie odziedziczoną po przodkach ambycję, nie piał się do szczytów, trzykrotnie nie przyjął ofiarowanego sobie biskupstwa i wogóle nietylko o nagrodę, ale nawet o wdzięczność ludzką się nie dobiżał, w przekonaniu, że ten, kto wiernie służy ojczyźnie, nie pokłada żadnych zasług, tylko spłaca jej zaciągnięty dług. Oto jego własne słowa: „Sprawiedliwości nie chcę! Nikt mi nic nie winien: uczyniłem, co byłem uczynić powinien; czyż słusznie o nagrodę taki się odzywa, który tylko powinność swoją wykonywa? Niemasz zasług, to, co my zowiemy zasługi, są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi. Ojczyzna nic nam nie jest winna: Ona—Pani, my—Jej więźnie, Jej sługi, Jej obowiązani!.. Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych zażyć, my powinniśmy dla Niej wszystko z życiem ważyć, nie żebyśmy się od Niej dopominać nowych wdzięczności lub dzięk mieli, lub nagród jakowych“. Takimto człowiekiem był Konarski, — jeden z najszlachetniejszych ludzi i największych patriotów, jakich kiedykolwiek słońce na ziemi polskiej oglądało.

Pierwszym „długiem“, spłaconym przez Konarskiego ojczyźnie, jest reforma szkół pijarskich, a pośrednio oświaty polskiej wogóle. W Rzymie uczył się Konarski we wzorowej szkole (w t. zw. Kolegium Nazarańskim), a w Paryżu pilnie badał zarówno szkolnictwo, jak naukę o wychowaniu, która miała wówczas we Francyi wybitnych przedstawicieli. Otóż na wzór szkół włoskich i francuskich zreformował szkoły pijarskie w Polsce, a miał możność po temu, piastując godność prowincyała (zwierzchnika) pijarów polskich. Zaczął od Warszawy. W pamięt-

nym dla oświaty polskiej roku 1740 otworzył Konarski w Warszawie swoje „Collegium nobilium“ (kolegium szlacheckie)—szkołę i konwikt (pensjonat) dla szlachty, tylko dla szlachty, i to przeważnie z możnych rodów; miała więc szkoła charakter arystokratyczny, ale Konarski wiedział, co robi: reformę oświaty poczytywał za wstęp i środek do reformy państwa, a państwo, przy ówczesnym ustroju politycznym Polski, mogła reformować tylko szlachta, nade wszystko z możnych rodów. I nie zawiódł się Konarski: wychowawcą jego szkoły był pomiędzy innymi Ignacy Potocki, jeden z twórców Konstytucji 3 maja!

Wielka reforma Konarskiego polega zarówno na rozszerzeniu zakresu nauki szkolnej, jak na ulepszeniu sposobu (metody) nauczania. Dawna szkoła uczyła prawie wyłącznie religii, teologii wraz ze scholastyką (§ 7), a nade wszystko łaciny. Konarski pozostawił, naturalnie, naukę religii, pozostawił i teologię, ale nie pozwolił na zamięszanie umysłów młodzieńczych zbyt zawiłymi zagadnieniami; scholastykę natomiast usunął i wprowadził do szkoły nową naukę o świecie, stworzoną przez najznakomitszych, nie średniowiecznych, tylko nowoczesnych myślicieli angielskich, francuskich i niemieckich; a ponieważ ta nowa nauka o świecie opierała się już nietylko na samem rozumowaniu, ale i na naukach przyrodniczych (a zatem na doświadczeniu), więc i nauk przyrodniczych (zwłaszcza fizyki) uczono w szkole Konarskiego. Łacina pozostała podawnemu i głównym przedmiotem i językiem wykładowym; ale uczono jej lepiej, według nowych podręczników, a nadto ograniczono jej rolę, jako języka wykładowego: początkowo uczyła się młodzież popolsku, a po łacinie wówczas dopiero, kiedy tym językiem należycie opanowały; przy takiej metodzie rozwój umysłowy ucznia był zupełnie możliwy, kiedy tymczasem dawniej uczeń bezmyślnie kuł lekcye na pamięć, nie rozumiejąc języka. Nie dosyć na tem. Wraz

z nauką łaciny odbywała się nauka języka ojczystego; nie stanowiła ona wprawdzie samoistnego przedmiotu, ale bądź-cobądź uczyła się młodzież gramatyki polskiej równoległe z łacińską, pisała, obok łacińskich wypracowań, polskie, czytała, prócz pisarzy rzymskich, autorów polskich: Górnickiego (§ 32), Kochanowskiego, Skargę, Twardowskiego (§ 62), Potockiego (§ 65) i innych. Baczną uwagę zwrócił również Konarski na naukę geografii i historii (powszechnej i ojczystej), naukę prawa i matematykę. Ale to jeszcze nie wszystko. Rozumiał Konarski, że jednym z największych nieszczęść Polski jest zerwanie związku z umysłowością zachodnio-europejską (§ 50): aby go napowrót nawiązać, wprowadził do szkoły naukę języków obcych, zwłaszcza francuskiego, i tym sposobem umożliwił młodzieży poznanie literatury i wogóle cywilizacji francuskiej, która wówczas (wraz z angielską) stała na czele cywilizacji całej Europy.

Lecz nietylko umysły, ale i serca młodzieży kształcono w szkole: wpajano w uczniów uczucia miłości Boga, człowieka i ojczyzny, zasady moralności wogóle, a patryotycznej w szczególności, wykorzeniając te zwłaszcza wady, któremi grzeszyło ówczesne społeczeństwo polskie, jakoto: prywatę, lekceważenie władzy i praw, butę szlachecką, dumę względem niższych, próżniactwo, życie nad stan. Bo Konarski wyznawał rozumną zasadę: „Szkoła nie dla szkoły, lecz dla życia“, wychowywał więc młodzież na dobrych ludzi i dobrych Polaków.

W tym samym zupełnie duchu reformował Konarski inne szkoły pijarskie, za przykładem zaś pijarów poszli jezuita i inni zakonnicy; tym sposobem po całej Polsce zaczęła się powoli rozpowszechniać rzetelna oświata. I to jego pierwsza, wielka, nieśmiertelna zasługa.

A drugą, pozostającą w ścisłym związku z pierwszą, jest reforma smaku estetycznego. Teoretycznie zwalczał zły

smak, mianowicie zepsucie stylu, w piśmie łacińskim p. t. „O poprawie wad wymowy („De emendandis eloquentiae vitiis“, 1741), w której poddał surowej krytyce różne rodzaje zepsutej wymowy, jakie się w literaturze polskiej utrwały, zwłaszcza panegiryki, nie oszczędzając swoich własnych młodzieńczych utworów, uderzając na ich styl barokowy (§ 54) i wogóle na wszystko, co sztuczne i nie-naturalne; tej zepsutej wymowie przeciwstawia wymowę wieku złotego i wykazuje, że najpiękniejszą zaletą stylu jest prostota i naturalność oraz czystość języka; wypowiedział więc Konarski walkę napuszonemu stylowi i makaronizmom. Praktycznie zaś przyczynił się do odrodzenia smaku estetycznego już przez to jedno, że wprowadził do szkół czytanie i objaśnianie znakomitych autorów wieku złotego. Nie dosyć na tem. Istniał w szkołach zwyczaj (wprowadzony jeszcze przez jezuitów w w. XVI), że uczniowie podczas mięsopustu grywali pod kierunkiem nauczycieli teatr amatorski zarówno dla rozrywki, jak dla zbudowania, sztuki bowiem szkolne miały dążność bądź religijną, bądź wogóle moralną (a często panegiryczną — dla uczczenia jakiej znakomitej osobistości, np. dobrodzieja szkoły); otóż przez ciąg wieku XVII i te sztuki, jak cała literatura, uległy skażeniu smaku, a czasem nie posiadały sensu. Konarski pierwszy temu zaradził: uczniowie „Collegium nobilium“ grywali sztuki francuskie (Kornela, Rasyne, Woltera) w przekładzie polskim samego Konarskiego, i tym sposobem szerzyła się znajomość pięknej literatury francuskiej, a jednocześnie uszlachetniał się w młodzieży zmysł piękna. A nie poprzestając na przekładach, napisał Konarski dla teatru szkolnego sztukę własną wierszem p. t. „Tragedya Epaminondy“ (1756), która jest pierwszą w literaturze naszej oryginalną tragedią, napisaną na wzór tragedyi francuskich, Cid bowiem Andrzeja Morsztyna jest tylko przekładem z Kornela (§ 61), a tragedye Wacława

Rzewuskiego (§ 72) powstały nieco później. Zresztą „Tragedya Epimanondy“ jest utworem słabym, ale odznacza się prostotą języka i mądrą myślą przewodnią. Bohaterem tragedyi jest znakomity, nad życie kochający ojczyznę, wódz tebański Epaminondas, który w wojnie z Lacedemończykami samowolnie, wbrew prawu, przedłużył sobie termin sprawowania naczelnego dowództwa nad wojskami o całe cztery miesiące: on wie wprawdzie, że za to grozi mu kara śmierci, ale i to wie, że, gdyby dowództwo przeszło w ręce nowych, niedoświadczonych wodzów, wojna byłaby przegrana; po świetnem zwycięstwie nad Lacedemończykami (w bitwie pod Leuktrą r. 371) wraca do ojczyzny i oddaje się w ręce sprawiedliwości; oskarżyciele, ludzie zawistni, ciemni i przewrotni, trzymając się ściśle litery prawa, żądają, by go śmiercią ukarano, ale nie pozwala na to lud tebański, wdzięczny mu za ocalenie ojczyzny. Jakaż więc jest myśl przewodnia sztuki? Taka, że, chociaż prawa należy szanować, ale „prawo, choćby najświętsze, prawem być przestaje, kiedy szczęściu ojczyzny przeciwnem się staje“. Innemi słowy, pragnął Konarski wpoić za pomocą swej tragedyi w umysły młodego pokolenia to przekonanie, że wszelkie prawo, choćby uchodziło nawet za świętość narodową, jeżeli jest dla państwa szkodliwe lub zgubne, powinno być zniesione.

A cóż ogół szlachty polskiej poczytywał za największą świętość narodową? Złotą wolność i jej „żrenicę“ — „liberum veto“. Otóż Konarski postanowił przekonać szlachtę, że „liberum veto“ jest „szczęściu ojczyzny przeciwne“. I ta walka z „liberum veto“ stanowi trzeci jego czyn wiekopomny. Pomyślał o niej po raz pierwszy w roku 1732, kiedy to na sejmie August II miał rozdawać buławy hetmańskie; ale sejm nie doszedł do skutku: zerwano go, jeszcze przed obiorem marszałka, za powodem Potockich, których przy rozdawnictwie buław miano pominąć.

Przerażony i oburzony tem bezprawiem, już wtedy powiedział sobie Konarski, że spisze swoje uwagi „nad nędznymi naszymi sejmami“ i ogłosi je drukiem „za Pana Boga, łaską i pomocą“. Ale nie śpieszył się, wiedząc, że głos jego długo jeszcze, wobec ciemnoty społeczeństwa, będzie głosem wołającego na puszczy; dopiero po latach blisko trzydziestu, kiedy widział, że jego reforma oświaty zaczyna już wydawać owoce, poważił się ogłosić drukiem swoje dzieło „O skutecznym rad sposobie“, wydając naprzód część pierwszą (1760), a po niej, w rocznych odstępach, części dalsze: drugą (1761), trzecią (1762) i czwartą (1763) Główne myśli tego dzieła są następujące:

W Polsce panuje straszliwa anarchia i okropny upadek moralny: „Trybunały i sądy niesprawiedliwe i często bez wstydu sprzedajne, krzywoprzysięstwo,... obrócone już prawie w nałóg i w naturę...; wojska zbyt mało...; bojaźń jakaś, lichosć umysłów i podłość generalna opanowała wszystko...; interesów prywatnych, ambycyi, emulacyi, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, iż w nas pamięć o Rzeczypospolitej i ojczyźnie wygasta, jakby każdy obywatel kraju o niczem więcej myśleć nie powinien, tylko, żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli...; skarb koronny od wielu miastek cudzoziemskich publicznej kasy uboższy i gorzej rządzony...; handle w kraju cale upadłe...; poddaństwa niezmierne ubóstwo...; miast i miasteczek ruina...; opresye od sądów nieznośne, zewsząd granic uszczerbki i gwałty...; w domach własnych bezpieczeństwo fortun, żon i życia od domowych i od obcych najazdów i kup swawolnych stracone; nieugaszone między panami niesnaski; elekcyje urzędów, posłów, sędziów tak zakłócone i niepodobne, że chyba ukradkiem z wielką wszystkich praw wiolencyą (pogwałceniem) udać się gdzie mogą; sejmy, sejmiki niegodziwe bez ustanku rwane, że od 70 lat jeden tylko ordynaryjny sejm rachować się może...; niestawa,

hańba, słabość, sromota, upadek na wszystkim całego narodu... Rozpacze wielkie po całym kraju, że już nigdy lepiej nie będzie i być nie może". Jednym słowem, „Rzeczpospolita jest, jak dom stary i wielki okręt, ale dawno lub nieopatrzone, lub zwierzchu tylko gdzieniegdzie łatany, do ruiny zaś i zniszczenia dążący, jeżeli gruntownie zreparowany nie będzie". Są wprawdzie tacy, których zdaniem, naprawa okrętu byłaby jego zgubą, bo przecie „Polska nierządem i nieporządkiem stoi". „Trzeba być—mówi na to Konarski—nad wyrażenie wszelkie niczemnego rozumu, trzeba naprzód postradać całe naturalnego rozsądku, trzeba być srogiego nad takimi ojczyzny nieszczęściami serca, nad które być większe nie mogą, trzeba być tej Matki wyrodkiem, ktoby takim wierzył Maksymom". Nie, nie stoi Polska, ale ginie nierządem! A jeżeli tak, to trzeba ją na gwałt naprawiać. Ale od czego zacząć naprawę? Od tego oczywiście, bez czego o naprawie mowy być nie może. A bez czego naprawa jest niemożliwa? Bez sejmu, bo tylko sejm może ją podjąć: „gdy sejmy niszczeją, wszystko niszczyć musi i niszczeje; co w ciele dusza, to są w Rzeczypospolitej sejmy, co ciało bez duszy, to Rzeczpospolita bez sejmów".—Tymczasem sejmy nie dochodzą do skutku, bo je zrywają. A więc, żeby naprawić Polskę, trzeba nasamprzód pomyśleć o tem, aby sejmy dochodziły do skutku, t. j. o „skutecznym rad sposobie". Myślą o tem, mówi Konarski, różni i różne podają sposoby; jedni np. radzą, aby niewolno było zrywać sejmów „z prywatnej przyczyny", tylko „z publicznej racyi", a na to Konarski; Głupstwo! Żaden jeszcze sejm nie był zerwany z interesu ojczyzny, ale zawsze z prywatnych interesów i partyi, powleczonej dobra ojczystego kolorem". Wogóle wszystkie sposoby, jakie różni wymyślają na to, by sejmy dochodziły do skutku, albo są wręcz głupie, albo połowiczne, „nie w cel, lecz koło celu biją"—sąto jak śmiertelnie cho-

remu liczne a nieskuteczne lekarstwa, póki się na własne przeciw tej chorobie i na prawdziwe nie trafi“; jeden jest tylko skuteczny sposób—nie pozwolić na sejmów zrywanie, które „większy i cięższy grzech jest, niż największe kryminały w świecie: rabowania, palenia, świętokradztwa, zabójstwa, bo ten, kto sejmy rwie, wszystkim szkodzi, kraj cały przyprowadza do klęski, miliony ludzi bez rządu nieszczęśliwymi czyni; jest grzech, który zemsty woła na osobę i pokolenie takiego od sprawiedliwego Boga!“ Aby zaś nie pozwolić na ten grzech, trzeba usunąć możliwość jego popełniania, to jest znieść raz na zawsze, na sejmach zarówno, jak na sejmikach, „liberum veto“, tem więcej, że ono nie jest i nigdy a nigdy nie było prawem, tylko „wprowadzonym zwyczajem“. A skąd powstał ten zwyczaj? Stąd, że już w w. XVI obowiązywała obrady sejmowe zasada jednomyślności, t. j. zasada, że te tylko uchwały są ważne, na które się wszyscy posłowie zgodzą: „liberum veto“ nie jest niczem innym, tylko parodią tej zasady. A zasada to fałszywa i zgubna, ludzie bowiem są ludźmi i nie mogą się zawsze na jedno zgodzić; a jeżeli tak, to wraz z „liberum veto“ należy znieść zasadę jednomyślności i wprowadzić, zamiast niej, zasadę rozstrzygania wszystkich spraw większością głosów—na wzór innych krajów zachodnio-europejskich.

Całe więc dowodzenie Konarskiego możnaby streścić tak: Polska ginie nierządem, a zatem, żeby nie zginęła, potrzebuje rządu; rządu bez sejmów być nie może, bo tylko one rządzą Polską, a zatem sejmy muszą dochodzić do skutku; póki istnieje „liberum veto“, sejmy do skutku dochodzić nie mogą, a zatem trzeba znieść „liberum veto“. Wszystko to tak proste, że, zdawałoby się, nie potrzebuje dowodzenia, bo chyba tylko człowiek, obrany z rozumu, może wątpić, że się państwo bez rządu ostać nie może. Otóż to właśnie, że ogół społeczeństwa ówczesnego był

obraną z rozumu, skoro wierzył w potworną zasadę: „Polska nierządem stoi“, a „liberum veto“ poczytywał za najwyższą mądrość. Wiedział o tem doskonale Konarski i dlatego uzasadnieniu prawdy, jasnej, jak słońce, poświęcił aż całą książkę w czterech dużych częściach, umyślnie, powtarzając każdą niemal myśl raz, drugi i trzeci (bo, jak mówi, „milion razy toż samo nie zawadzi i trzeba powtórzyć“) i każdą myśl szczegółowo uzasadniając zapomocą rozumowania; a rozumowanie jego jest nie tylko logiczne, ale i niezwykle jasne i przystępne, jak przystało na książkę, przeznaczoną dla dorosłych... dzieci, a dotego poparte całym szeregiem faktów historycznych; tak np. wyklada Konarski historię wszystkich zerwanych sejmów polskich, aby przekonać czytelnika, że wszystkie zerwano dla prywaty i ze szkodą dla kraju; opisuje też szczegółowo ustrój państwowy krajów zachodnio-europejskich, w których wszystkie sprawy w parlamencie rozstrzyga się większością głosów. Wogóle pismo Konarskiego jest arcydziełem logiczności rozumowania, gruntowności, jasności i przystępności wykładu. To też zrobiło swoje: przekonało, jeżeli nie wszystkich, to bardzo wielu, że „liberum veto“ jest zgubą dla Polski i zdrodnią, i wogóle przyczyniło się nie mało do uleczenia społeczeństwa ze ślepoty. A tak nie tylko na polu szkoły i literatury, ale i na polu mądrości politycznej jest Konarski poprzednikiem, a po części sprawcą tego odrodzenia duchowego, które przypada na czasy Stanisława Augusta.

Relacya ¹⁾ prawdziwa, jakim sposobem i z jakiej przyczyny sejm warszawski r. 1732 był zerwany. Był to sejm trzeci, na konkurencyi do buław rwany przed marszałka elekcyą; bo, ponieważ, według prawa, po obranym marszałku dystrybucy²⁾ powinna nastąpić wakansów, tym

¹⁾ sprawozdanie; ²⁾ rozdawanie.

trzeba było nie dopuszczać marszałka elekcyi, którzy z rozdania buław być nie mogli kontenci. Przyjaciel tedy mój, człek godny (bo go nie wymieniam), ...bijąc się w piersi, taką czynił mi relacyę, którą słowami jego i ja, choć nadto potocznemi, uczynię.

„Już się cale po kilku niedzielach sejmu zaniosta na marszałka elekcyą i już stanąć miała zapewne nazajutrz, ci więc, którzy rozdania buław, komu król chciał, nie chcieli, zjachali się na radę, po której, włożywszy mi w kieszenie po pięćset czerwonych złotych, obligowali¹⁾ mnie, abym szukał między posłami i znalazł koniecznie, któryby sejm ten podjął się zerwać i nie dopuścić obrania marszałka. Noc całą po Nowym Świecie, po Solcu, po Wielopolu, po Nalewkach, po Pradze jeździłem; nikt lepiej, jak ja wtenczas, esencyi warszawskiej nie skosztował błota; po najbłotniejszych ulicach, kącikach i chatkach „capax subiectum“²⁾ szukałem, któryby się tak wielkiego mógł podjąć dzieła. Mówiłem przeszło ze trzydziestą, którzy mi się zdawali potrzebniejszymi, posłami, dawałem czerwonych złotych tysiacy, którem z kieszeni chciałem liczyć; asekurowałem³⁾ aż do trzech tysiacy czerwonych złotych, bom miał plenipotencyą na to, że je za dwie godziny doliczę. Cnota nie potrzebna tych lichmościów i nadto poczciwości (jak mi się natenczas zdawało) do desperacyi mnie przyprowadzała; kłąłem ich, łajałem, bształem. Piąta godzina zrana bije, biegnę do cudownej „Crucifixi“⁴⁾ kaplicy, daję taler na mszę świętą, aby mi nie biosa pobłogosławiły znaleźć aby jednego poczciwego, któryby wziął pieniądze i ten sejm kaduczny⁵⁾ zerwał. Bardzo modliłem się gorąco: szło mi o punkt honoru i mój kre-

1) obligować = zobowiązywać; 2) odpowiedniej osobistości; 3) asekurować = ubezpieczać, obiecywać; 4) Ukrzyżowanego; 5) dyabelski, przeklęty.

„dyt: wiedzieli, że mam przyjaciół, — pokazałoby się było,
„żem nic nie wart. Jeszcze trzy godziny nabłakałem się
„po błotach, pot się leje ze mnie, jeszcze z kilkunastą po-
„łami mówię, ofiaruję, perswaduję, płaczę, aby mieli nade
„mną kompasyą¹⁾, a sejm ten który z nich podjął się zer-
„wać. Darmo! Począłem skarżyć się na moje nieszczęsne
„wyroki. Pół do dziesiątej bije. O, ja nieszczęśliwy! jużże
„ten sejm przeklęty dojdzie! jużże stanie marszałek! Gdym
„był znowu przed Farą, w takowych rozpaczach postrze-
„gam wysmukłego panicza; para za nim czeladzi; zda mi
„się, żem go widział w Izbie. A dotego wszyscy mi się
„natenczas zdawali posłami. Pytam się z komplementem,
„czy poseł. Odpowiada: „Do usług WMć Pana, poseł“. —
„Przepraszam najuniżeniej, bom dosyć widział „summam
„activitatem²⁾ w Izbie WMMć Pana, ale teraz tak zakio-
„cony, ta zmęczony, że sam pojąć się i, co gadam, nie
„mogę. „Proszę tu, do Kamzeta, posłę po gdańską wó-
„deczkę“. — Weszliśmyy... Niosą gdańską cynamonkę ze złotem.
„Zapijamy po kieliszku kieliszek, zaczynam perorę³⁾:
„Idzie o zgubę ojczyzny, idzie o salwowanie⁴⁾ nas wszyst-
„kich etc., trzeba ten sejm niegodziwy i niebezpieczny ko-
„niecznie zerwać; niemasz człeka, któryby tej nie widział
„potrzeby, ale bojaźń jakaś wszystkich obleciała posłów.
„Ja w WMMci Pana fizyognomii, za pierwszym razem,
„jakem tylko miał honor widzieć go w Izbie, w oczach
„i na jego czole coś heroicznego postrzegłem i przysię-
„gam, że mi ta myśl o WMMci Panu przypadła: ten będzie
„Achillesem, ten jeden może swego czasu w największej
„potrzebie salwować ojczyznę“. Widziałem, że mój jego-
„mość to moje prorocstwo z dobrą gracyą przyjął. „To
„pewna — odpowiedział — że mi na sercu nie zbywa!“

¹⁾ kompasya=wswołczucie; ²⁾ ogromną ruchliwość; ³⁾ perora =
przemowa; ⁴⁾ salwować=zbawiać.

„I rwał się do fordymentu¹⁾. — „Niemasz czasu—mówię—
„oto moment zbawienia ojczyzny, już się sesya podobno
„zaczyna: zmiłuj się nad tą Matką strapioną i pocziwymi
„wszystkimi! Za fatygę WMMci Panu, ile musisz się po-
„podobno od tumultu²⁾ schronić, „in omnem casum“³⁾,
„jaką chcesz sumę, mam przy sobie; a jeżeli mało, mam
„plenipotencyą, na ile zechcesz“. Niepyszny pacholek i do-
„syć tani, lubo skóra na mnie drżała, jak on tu sumą kil-
„ku tysięcy czerwieńców zabrząkniał! Ale galantom poczi-
„wy tak mi mówi krótko: „To prawda, że czasu nie masz,
„lecz panowie obiecują wiele, aby chudego pacholka na-
„razić, a potem, jak mówimy, każą wyszczuć albo wy-
„pchnąć z pokoju. Ja sam widzę rzetelnie nieuchybną⁴⁾
„potrzebę i sto tysięcy racyi tego sejmu zejwania, ale po-
„tem, wiesz WMć Pan, co za sekwele⁵⁾ idą za takim azar-
„dem⁶⁾“. Przerzywam: „Pięćdziesiąt nas, a ja zaraz na czo-
„le z nimi w tyle WMci Panu z gotowemi szablami bę-
„dziemy: nie masz całę czego się obawiać, piekłu same-
„mu z gardła WMci Pana wydrzemy!“.—„To dobrze—mó-
„wi — ale, jeżeli mi WMć Pan tu zaraz trzechset czerw-
„nych złotych nie wyliczysz, nic z niczego nie będzie“.
„Tu jakby mnie niebieska ogarnęła jasność: „A, dobro-
„dzieju! — wykrzyknę—a, salwatorze ojczyzny! a, podporo-
„i filarze wolności! a, panie mój!“... Nagle do kieszeni
„sięgnawszy, cztery mi się razem wymknęły ładunki, co
„zaraz mój kochanek bystrooki postrzegł; trudno cofnąć
„się było: „Nę, nę—mówię—ojcze ojczyzny i dobrodzieju
„mój! nę i więcej, wartęś milionów kroćstatysięcy za tak
„piękną odwagę!“ I dałem mu czerwonych złotych cztery-
„sta. Tylko ładunki rozerwał, żeby widział, że nie miedź,

1) fordyment=kord za pasem; 2) tumult=zamieszanie; 3) na wszelki wypadek; 4) nieuchybny = nieodzowny; 5) sekweła = następstwo; 6) azard (hazard)=odważny czyn.

„i w kieszenie wsypał; a przysięgłszy mi na etc. i na
„wszystkę swoją poczciwość i na cnotę, że sejm ten bez-
„bożny zerwie i nie dopuści marszałka, on do Izby po-
„biegł, a ja mojej ekspedycyi raport sunąłem się uczynić.
„Aż on mnie znowu pod Zygmuntem zasiajały napada.
„Włosy na mnie stanęły, i zmartwiałem cały. O, nieszczę-
„cie moje, jużże po wszystkim! Aż on mnie do ucha mó-
„wi: „A jakąż dam racyą protestacyi mojej?“—„A, Mci pa-
„nie bracie; sto tysięcy racyi! wszak sam mówiłeś, że wi-
„dzisz wielką tego sejmu zerwania potrzebę!“ A mnie sa-
„memu tymczasem nic na pamięć przyjść nie mogło na-
„prędce. Uderzyłem się w ciemię, i przyszła mi, jak mo-
„że być, najcelniejsza i najsprawiedliwsza racya. Więc, nie
„bawiąc, mówię: „Mów WMć Pan tak: ponieważ prawo
„każe na pierwszym dniu marszałka obrać, a my już, prze-
„ciw oczywistemu prawu, kilka niedziel na tej trawimy
„elekcyi, zatem, „solenissime“¹⁾, o gwałcenie prawa tego
„protestując się, wychodzę. Repetował²⁾ mój mołojec kil-
„ka razy me słowa, ale nigdy nie mógł trafić do końca
„i powiedział, że „to jest przydłuższa oracya, trzebaby ją
„skrócić“. Takem musiał swego dyscypuła³⁾ blisko do pana
„Rojkiewicza prowadzić i tam tę tak straszliwą cycerońską
„mowę musiałem mu napisać etc.“

Dalszą opuszczam relacyę: wszak pomniemy, że ten sejm na tej racyi i protestacyi był w czasach naszych zerwany.

O jednym nietykalnym i strasznym bałwanie tudzież o drugim bożyszczu, i czy szlachcicowi i wolność być może bez niego? Było takie za bałwochwalczych jeszcze czasów (jak piszą) stare, bardzo wielkie i rozłożyste, bogom, osobliwie bożyszczu, nazwanemu Perkun, poświęcone pod

¹ najsolenniej, najuroczyściej; ²) repetować=powtarzać; ³) dyscy-
puł=uczeń.

Wilnem drzewo, i taka była przeciw temu „idolum“¹⁾ religia i o niem opinia, iż ktoby ważył się rękę lub siekierę na to drzewo podnieść, i on sam i z całą familią i ze swoim miał zniszczyć potomstwem. Jak się zaś chrześcijańska w Litwie wiara szerzyć poczęła, długi czas, jeszcze i za chrześcijan, na ów dąb starożytny nikt się nie śmiał odważyć. Naostatek, wiarą dobrą wsparty, kapłan jeden bałwanu tego, tak od wszystkich czczonego, między chrześcijanami więcej cierpieć nie mogąc, porwawszy siekierę, jeden, drugi, dziesiąty i setne ciosy dał staremu dębowi. Lud, to widząc, do siekier się rzucił i pracy dopomógł, bałwan się obalił i, z wielką ludu chrześcijańskiego radością i śmiechem zrąbany i zapalony, w popiół się obrócił, a zato nikomu żadnego nie stało się nieszczęścia, wszyscy zdrowi i w całości zostali...

W oczach i u nas jest teraz każdemu drogie, nie tak starożytne, bożyszczce, o którem też sama opinia, że, kto pierwszy na niego się miotnie, i sam ze swoim zginie zapewne plemieniem. Aleć przykładem heroicznym tej chrześcijańskiej Litwy odważyć się raz na to straszne „idolum“ i z dobrą wiarą spróbować nie wadzi, czy można bez swej zguby dać mu dobry cios, gdyby można, i całę śmiertelny... Al emówmy wyraźniej.

Za skaranie boskie... poczytać potrzeba, że powszechnie nacya... dała się powoli przez zwyczaj wciągnąć w tę opinią, że to jakiś osobliwszy jest szlachectwa przywilej i najdroższy ze wszystkich klejnotów — moc rwać sejmy i publiczne obrady. Jest wprawdzie tysiącami... godnych panów i szlachty, którzy nikczemność tego przywileju, a ruinę przezeń ojczyzny doskonale widzą, ale publicznie przeciw niemu odezwać się nie wążą, bo jest wiele takowych, co mniemają, iż jużby było po szlachectwie pol-

¹⁾ balwan.

skiem, gdyby szlachcic nie miał mocy zerwania sejmiku i sejmu. Jeżeli to prawda, toć jakim sposobem od początku Polski aż do Jana Kazimierza, to jest do roku 1652, musielibyśmy w narodzie naszym nie mieć żadnego prawdziwego szlachcica, bo do tego tam czasu nikt jeszcze o tym szlachectwa przywileju nie wiedział, żeby szlachcic jeden i każdy miał moc zupełną zerwania sejmów; dopiero Siciński odkrył ten nieszczęśliwy szlachectwa zaszczyt!..

Czy nie widzimy, że to chimera jest tylko, którą nam obcy ludzie i nienawistni sąsiedzi i niektórzy podobno nasi możniejsi panowie wbijają, prywatę swoją nad publiczny przekładając interes, perswadując nam, że coś tak wielkiego sobie na tym przywileju, od przodków naszych nieznanym, zakładamy? Petencye obce i niektórzy z nas samych mają swe interesa własne, które chcą czyli na Rzeczypospolitej, czyli na królu wymusić, aby dobremu naszej przeszkodzić ojczyzny. Ci to są, którzy nam ten klejnot rwania sejmów tak wysoko szacują; ci są, którzy—przez nasze usta szlacheckie—publiczne u nas różnymi pretekstami tamują i w niwecz obracają rady;.. im to jest dla każdego szlachcica polskiego przywilej rwania sejmów potrzebny, aby swoje łatwiej przez tyłu posłów wyrabiać, czy nasze psować interesa mogli, ale szlachcicowi żadnemu, ale szlacheckiemu naszemucale nie jest potrzebny stanowi, ani niezliczonym dobrym panom polskim...

Wątpić nie trzeba, iż szlachecki stan cały, dopieroż mądry senat, łatwo sobie wyperswaduje, że, kiedy ten, przed lat blisko stem u przodków naszych niesłychany, przywilej ojczyznę tak gubi, a im cale jest niepotrzebny, toć dla ojczyzny sakryfikować¹⁾ go trzeba. Ale tu cała jest trudność — niektórych z panów, mających w tem nie żaden publiczny, ale swój własny interes, od utrzymania

¹⁾ poświęcić.

tego przywileju odwrócić tudzież obcych, potajemnych nieprzyjaciół naszych. Lecz to nie są niewzyciężone trudności, kiedy senat, szlachecki stan żadne swoje, a wielkie ojczyzny w tem dobro postrzeże, kiedy i uzna, że z tego nieszczęśliwego źródła wszystkie na naród spływają nieszczęścia.

A jakże nie z tego jednego źródła? O czem tu zdrowym wątpić rozumem? naco palcem noc pokazywać w północy albo dzień w samo południe? Stać bez rady niepodobna królestwu; rady na sejmach zawisły; sejmy się ustawicznie rwą... Cóż zaś rwie sejmy? Moc w każdego dobrego i złego rękę, zwyczajowem bezprawiem wprowadzona, rwania sejmów i obrad. Nie idę dalej, słów darmo nie psuję. To nas jedno rujnuje, to gubi, to jedno nie da nam nigdy przyjść do rządu i ładu.

Aby poprawić złą rad formę, zważyć wprzód trzeba, że rzecz nigdy niepodobna jest, aby zawsze i aby wszyscy zgodzić się mogli na jedno w interesach Rzeczypospolitej. Gdyby ludzie... zawsze rozumieli jedno, zawsze zgodzili się na jedno wszyscy... toby ludzie być ludźmi przestali. Taka bowiem jednomysłność i zgoda jest całe nad ludzką naturę. Z jednej strony albowiem... ludzie na świecie o wszystkim między sobą dysputują i według pozoru, jak im się rzeczy zdają, nie jak w sobie są, różnemi o nich zdaniem między sobą walczą. Z drugiej zaś strony, ludzie—z przyrodzenia swego i z różności czy temperamentów, czy rozumów, czy własnych ich inklinacyi ¹⁾, jednych drugim przeciwnych, czy z edukacyi i premencyi ²⁾, osobliwie zaś z własnego interesu i prywatnego dobra, — tak są różnych między sobą zdań, woli i opinii, żeby to był niepojęty cud, gdyby zawsze a zawsze w wielkiej liczbie

1) inklinacya=skłonność; 2) prewencya uprzedzenie.

na jedno się zgodzili. Nie o wielkiego ludzi zgromadzenia, ale dwóch tylko osób zgodę jak jest trudno, mamy to od Chrystusa Pana upewnienie, gdy tak powiedział, że „jeżeli dwóch na świecie się zgodzą, cuda czynić i góry przenosić będą, wszystko im się na ich prośbę stanie...“ A my chcemy, żeby na sejmie kilkuset albo kilka tysięcy ludzi różnych rozumów, różnych charakterów, a osobliwie różnych i przeciwnych interesów, na jedno się zawsze koniecznie zgodzili! Nie jest to imaginacya, niepodobna do praktyki? Podobnaż to jest, aby całe królestwo, stan cały szlachecki jednostajnie zawsze myślał we wszystkim? Bo, niż w Warszawie jak się prawem ustanowi rzecz, niż na sejmie interes rezolwowany¹⁾ będzie, trzeba teraz wprzód, aby się wszystkie sejmiki, wszystkie województwa, wszystka szlachta na to, co na sejmie skonkludowane²⁾ ma być, jednostajnie zgodzili. A cóżto za cudotworne państwo? cóż za błogosławieni ludzie? cóżto za anieli! cóż to za niebo!... Gdyby na sejmikach i sejmach wszyscy jedno zawsze myśleli, na jedno się zgadzali, żaden nie miał swego uporu przy przeciwnej racyi, cóżby nam braknęło, abyśmy ojczyznę naszą niebem nazwać nie mogli, w którymby tak anielskie, nadnaturalne to znajdowało się między wszystkimi pożyacie?

A jeżeli to być nie może — jak być całe naturalnie nie może, i podobniej słońce głosem ludzkim drugi raz cofnąć, niż żeby kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy zawsze we wszystkich interesach i okolicznościach tę niebian błogosławionych zgodę i jednakowe zawsze o wszystkich interesach ojczystych mieli zdanie — jeżeli to, mówię, jest niepodobieństwo nad niepodobieństwa wszystkie, cóż to za kara boska, cóż to za przepuszczenie z nieba na cały

¹⁾ rezolwować = rozwiązać, załatwić; ²⁾ skonkludować = postanowić, uchwalić.

naród, że nasz rząd cały, stałość i całe szczęście Rzeczypospolitej, nasze życia i fortuny na tej jednej jednomyślenia wszystkich chimerze... zakładamy?

Dystyngujemy ¹⁾ tu więc w Bogu naszym wszechmogącym moc boską, jak ją dystyngują mędracy, na moc ordynaryjną ²⁾, którą światem według natury, jemu danej, rządzi, i na moc ekstraordynaryjną ³⁾, którą nietylko wszystko nad rzeczy przyrodzenie może, ale i świat sam i naturę jednym zniszczyć może skinieniem. Bóg sam tedy (śmięle mówić mogę) mocą swoją ordynaryjną, którą światem rządzi, tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo, ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną ich własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cudu, przyprowadził chcenia. Może to, ale cudem wszechmocności swojej, nie, jakom rzekł, ordynaryjną mocą. Co więc Bóg sam nie może zrobić ordynaryjną mocą, to my na każdym sejmie ordynaryjnym i sejmiku dokazać, Polacy, chcemy? Czyż chcemy, żeby Bóg nadnaturalnie z nami czynił zawsze cuda, ile razy na nasze zjeżdżamy się narady?... Czy trzeba, żeby Bóg nas, Polaków, inaczej, a inaczej wszystkie inne państwa i Rzeczypospolite rządził,... żeby coś więcej z nami, jak z aniołami, uczynił, którzy po kreacyi swojej w oczach boskich na jedno zgodzić się nie mogli?...

Jeżeli zaś rzecze mi kto: „A wszakże tyle sejmów i sejmików przecież doszło, toć się wszyscy na jedno zgodzili“, — odpowiadam, że naprzód nie mówiłem ja dotąd, aby nigdy trafić się nie mogło, że się wielu na co zgodzą, bo się i to trafia: lecz moja ta prawda jest, że to

¹⁾ dystyngować = rozróżniać; rozkładać; ²⁾ ordynaryjny = zwyczajny; ³⁾ ekstraordynaryjny = nadzwyczajny.

rzecz niepodobna jest, aby zawsze wszyscy na każdą, by najlepszą, rzecz na każdym zgodzili się sejmie. Ale to samo dochodzenie tak mało sejmów i sejmików pokazuje jawnie, że ludzi wielu, lub insze zdania, lub przeciwne interesa mających, zawsze na każdą rzecz zgodzić się i mieć jednego zdania, jednej woli nie mogą; inaczej gdyby było, toby wszystkie dochodziły sejmiiki i sejmy...

Panowie Polscy! Raccie to zauważyć, czyli godzi się, aby dla prywat waszych utrzymywać nacyą w tym tak szkodliwym i niebezpiecznym błędzie, żeby perswadować szlachcie..., aby się tak upierali i tak w ludzkiej naturze niepodobnej rzeczy na swoich domagali się radach, t. j., aby tej zawsze precudownej jednomyślności we wszystkim wyciągali¹⁾ po sobie, która być zawsze naturalnie nie może?... Trzeba wielkiego zapamiętania na ojczyznę, zaćmienia interesem prywatnym, ktoby... nie życzył nacyi skonwinkować²⁾ ją o niepodobieństwie w radach tej cale nadnaturalnej i nadludzkiej zawsze wszystkich harmonii, dla której sejmów rwania daje się pretekst i rady żadne dochodzić u nas żadną miarą nie mogą. Tę zaś sobie wyperswadowawszy prawdę, że ta niebieska zgoda między ludźmi niepodobna jest, gdy po ludzku radzić na sejmach zaczniemy, po ludzku będą stawać sejmy.

¹⁾ wyciągać=wymagać; ²⁾ przekonać.

ROZDZIAŁ VI.

Czasy Stanisława Augusta.

Wiek oświecony. Odrodzenie mądrości i piękna.

§ 75. Święte hasło Konarskiego: „Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitą“ nie przebrzmiało bez echa, a jego błogosławiona działalność na polu myśli politycznej i oświaty nie poszła na marne: co tylko było w Polsce dzielnego i mądrego, nie desperowało, ale rzuciło się do ratowania ojczyzny. Ratupek podupadłego państwa i ratunek zdziczałego moralnie i umysłowo społeczeństwa—oto dwa główne hasła, przyświecające za panowania ostatniego króla polskiego działalności rozumnych i szlachetnych jednostek.

Lecz uratować Polski, jako państwa, pomimo największych wysiłków, które się wzmogły zwłaszcza po pierwszym rozbiorze, już nie zdołano: przeszkody, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne kraju, były nie do pokonania. Na tronie polskim zasiadł człowiek zdolny i światły, rozumiejący doskonale potrzebę reformy i pragnący jej szczerze, ale tak słaby i chwiejny, tak pozbawiony godności królewskiej i osobistej, zmysłu moralnego, silnej woli i wogóle hartu duszy, że, nie będąc z natury bynajmniej po-

dłym, owszem, raczej szlachetnym, dopuszczał się czynów haniebnych. Taki król nie mógł się cieszyć ani miłością, ani szacunkiem, ani zaufaniem społeczeństwa, tem więcej, że ogół nie mógł mu zapomnieć, że jest nie królewskim synem, ale jakimś tam stolnikiem litewskim, zawdzięczającym tron Piastów i Jagiellonów nie świetności przodków i nie własnym zasługom i nie woli narodu, tylko zbiegowi okoliczności, własnym wdziękom i obcej przemocy. Potężną przeszkodą do uratowania państwa była i ciemnota ogółu, któremu się dopiero po pierwszym rozbiorze zaczynały powoli otwierać oczy, który z trudem i żalem wyrzekał się wiekowych przesądów politycznych i przywilejów szlacheckich, owych klejnotów złotej wolności: „liberum veto“ i wolnej elekcji. Obok ciemnoty była i podłość — podłość magnatów, którzy kochali nie ojczyznę, tylko siebie, którzy też za pieniądze zaprzędawali ją wrogowi. A wróg nie spał: dopuszczał się gwałtów, sypał pieniędzmi, groził wojną, poduszczał braci przeciwko braciom, poddanych przeciwko królowi, byleby tylko nie pozwolić nam ratować tonącej ojczyzny, a wszystko to — pod pozorem jej dobra i wolności. I ta właśnie przemoc, ta nie mająca sobie równej w dziejach całego świata polityka (zdrada Prus!) — to główna, najsilniejsza przeszkoda, której pokonać nie było można. Bo z przeszkodami wewnętrznymi uporano się koniec końcem — na sejmie czteroletnim: Konstytucya 3 maja — to zwycięstwo mądrości nad ciemnotą, szlachetności i patriotyzmu nad podłością i prywatą, to zarazem świadectwo, jakie Polska wystawiła sobie przed Bogiem i ludźmi, że mogłaby istnieć nadal, jako niepodległe państwo, że więc jej upadek nie był samobójstwem!... Konstytucya 3 maja oraz powstanie Kościuszki ocaliły honor państwa, narodu i imienia polskiego.

Jeżeli się tedy reforma polityczna powiodła, ale tylko teoretycznie, jeżeli nie ocalała państwa, to reforma ducho-

wa nietylko się powiodła, ale wydała trwałe owoce: ocaliła naród! Dokonano zaś tej reformy, wstępując w ślady Konarskiego, t. j. krzewiąc i ulepszając oświatę. Niemalą zasługę pod tym względem położył król, który, urzeczywistniając myśl Adama Czartoryskiego, generała ziem polskich, założył w Warszawie Szkołę rycerską; jestto pierwsza świecka, pierwsza państwowa szkoła w Polsce; uczono w niej nietylko wojskowości, ale i miłości ojczyzny, to też jej wychowañcy wykształcili się nietylko na dobrych oficerów, ale i na gorących patryotów; tutajto pobierali nauki Kościuszko, Niemcewicz, Fiszer, Mokronowski i inni bojujownicy wolności.

Lecz epoką w historii oświaty polskiej jest rok 1773, kiedyto papież Klemens XIV skasował zakon jezuitów: wraz z zakonem przestały istnieć i szkoły jezuickie: trzeba je było zastąpić nowemi. I oto szkolnictwem, które się dawniej znajdowało w rękach duchowieństwa, teraz zajęło się państwo, na tym samym przekłetej pamięci sejmie (1773), który, pod łaską zdrajcy Ponińskiego, podpisał pierwszy rozbiór Polski, stworzono instytucję, która odegrała błogosławioną rolę w historii narodu polskiego: podkanclerzy litewski, Joachim Chreptowicz, wystąpił z wnioskiem, aby wszystkie wogóle szkoły sekularyzować, t. j. odebrać zarząd nad nimi duchowieństwu, o oddać go państwu, poświęcając na ich utrzymanie część funduszów pojezuickich: wniosek przyjęto, i tym sposobem powstało pierwsze na całym świecie ministerjum oświaty: Komisya Edukacyjna—instytucya, która miała najwyższą władzę nad wszystkiemi szkołami i wogóle nad całym wychowaniem publicznem we wszystkich ziemiach polskich, ocalałych od pierwszego rozbioru. A sprawowała tę władzę znakomicie, bo też jej członkami byli (pomiedzy innymi) tacy ludzie, jak Andrzej Zamojski, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Hugo Kollataj, <http://niemcewicz.pl> ks. Grzegorz Piramo-

wicz (były jezuita) najznakomitszy pedagog polski XVIII w. Przyświecała Komisji mądra zasada Konarskiego: „Przez reformę wychowania do odrodzenia ojczyzny“; reformowała więc Komisja szkoły w tym samym wogóle duchu mądrości, moralności i patryotyzmu, co Konarski, tylko że było to reforma i śmielsza i bez porównania szersza: śmielsza, bo, kierując się słuszną zasadą, że „umiejętność języka polskiego jest sama przez się dla Polaka celem nauki jego“, a łacina—tylko „środkiem i drogą“, wprowadziła Komisja do wszystkich szkół język ojczysty, jako wykładowy; szersza zaś — nietylko dlatego, że objęła wszystkie szkoły, niższe i wyższe, ale i dlatego, że ogarnęła wszystkie warstwy społeczeństwa w myśl zasady: „Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższym“. Zajęła się więc Komisja wychowaniem zarówno mężczyzn, jak kobiet (po raz pierwszy w Polsce!); wprawdzie własnych szkół żeńskich nie zdołała założyć, ale organizowała pensjonaty prywatne, w których uczono religii i moralności, języka polskiego, arytmetyki, geografii i historii (zwłaszcza ojczystej). Zajęła się również (znów po raz pierwszy w Polsce!) oświatą ludu, bo rozumiała, że (jak opiewa jej ustawa) „niemasz innego sposobu wyrowadzenia ludu z ciemności i błędu, z pochodzących najwięcej z tego źródła wad i występków, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać, a czynną edukacją serca do zamiłowania powinności ukształcać i do wykonywania obowiązków samym skutkiem i zwyczajem wprawiać“. Uczono więc w szkołach ludowych (parafialnych) religii, obyczajności, czytania i pisania, rachunków, a nadto udzielano różnych wiadomości praktycznych, np. o miarach i wagach, o gospodarstwie. Wogóle bowiem zadaniem szkół Komisji było, obok ukształcenia umysłów i uszlachetnienia serc, wychowanie praktyczne. Dlatego to i w szkołach średnich

(t. zw. wydziałowych i podwydziałowych) uczono nietylko religii i nauki moralnej (z której nie wyłączano „obowiązków politycznych, ... będąc bowiem wszyscy synami ojczyzny i związku pospolitego społecznikami, wszystkim też wiedzieć należy, czego po nich wyciąga powinność takiego stanu“), języków, historii i geografii, matematyki i nauk przyrodniczych, ale nadto: prawa, rolnictwa, ogrodnictwa, miernictwa; nie zaniedbywano też higieny, ze względu, że „zdrowie jest rzeczą najdroższą i najpotrzebniejszą na świecie“. Przystąpiła wreszcie Komisya do reformy akademii wileńskiej i krakowskiej. Warto pamiętać, że reformatorem akademii krakowskiej był ks. Hugo Kollątaj, który wypędził z niej scholastykę, a wprowadził prawdziwą naukę; i było to uroczysta chwila, kiedy (r. 1781) znakomity uczony, Jan Śniadecki, wygłosił w akademii publiczną pochwałę Kopernika (który dawniej za „heretyka“ uchodził), i to już popolsku, nie polaciniel!

Pomimo przeszkód, jakie napotykała w swej działalności Komisya (zwłaszcza ze strony byłych jezuitów i ciemnej szlachty, która lamentowała np., że łacina przestaje być językiem wykładowym), dokonała wielkiego dzieła: zreformowane przez nią szkoły, szerząc rzetelną oświatę, były potężną dźwignią duchowego odradzania się narodu, które też, zapoczęte jeszcze przez Konarskiego, szybko postępowało za St. Augusta, a po upadku Polski nietylko, że nie utknęło, ale szło dalej i wspaniałe zaczęło wydawać owoce (zwłaszcza w literaturze). Pięknie i słusznie powiedział Kazimierz Brodziński, że „Komisya Edukacyjna była kotwicą, która okręt ojczyzny nad przepaścią utrzy mała“.

§ 76. Lecz była jeszcze inna potężna dźwignia oświaty, a zatem i odrodzenia duchowego narodu: zreformowana, mądra i szlachetna literatura. Dokonano zaś tej

reformy przy pomocy literatury i (wogóle umysłowości) francuskiej.

Francya owoczesna stała na czele umysłowości europejskiej, chociaż nie ona, tylko Anglia, stworzyła nowe prądy życia umysłowego, które były dalszym ciągiem prądów, wytworzonych przez humanizm. Już humanizm (a później reformacya) wypowiedział walkę różnym powagom (§ 9); w wieku XVII walka ta przybiera corazto ostrzejszy charakter: uczeni angielscy przestają np. wierzyć w prawdy religii objawionej, głoszone przez Kościół, i usiłują własnym rozumem wyjaśnić zagadki świata. Wogóle, zamiast ślepej wiary, zaczynają się samodzielne badania, oparte na rozumowaniu i doświadczeniu, oraz krytyka tego wszystkiego, co dawniej poczytywano za bezwzględną prawdę. Ten prąd umysłowości nazywa się racyonalizmem—od wyrazu łacińskiego „ratio“: rozum; to tylko bowiem poczytywano za prawdę, do czego może dojść rozum o własnych siłach. A więc np. racyonalizm nie odrzucał wiary w Boga, ale odrzucał naukę kościelną o Bogu, jako o Istocie jednej we trzech osobach, rządzącej bezpośrednio światem i ludźmi; głosił naukę, że Bóg raz na zawsze stworzył prawa, rządzące światem, a więc sam nie potrzebuje rządzić nim ciągle i bezpośrednio; nauka ta nazywa się „deizmem“. Nie odrzucał zasad moralności chrześcijańskiej, ale dowodził, że rozum ludzki o własnych siłach bez Objawienia, może dojść do tych samych prawd moralnych. Tak więc jedną z cech racyonalizmu angielskiego jest krytyka religii objawionej. Drugą cechą jest krytyka pojęć politycznych i społecznych. Dawniej wierzono, że władza królewska pochodzi od Boga: racyonalizm uczył, że to nieprawda, że panujący zawdzięcza swą władzę jedynie dobrowolnej umowie z narodem, a jeżeli tak, to naród ma prawo wymagać odpowiedzialności za rządy; uczono nadto, że jedna warstwa społeczna nie powinna posia-

dać większych praw od innej, domagano się równouprawnienia powszechnego, upominano się o prawa człowieka. Inną cechą racjonalizmu angielskiego jest walka z ciemnotą wogóle, lenistwem umysłowem i wstecznictwem, np. z poglądem, że wszystko jest dobre, co stare i dawne, z różnego rodzaju przesadami i zabobonami.

Racjonalizm angielski już na początku XVIII wieku zaczął się krzewić we Francyi, i na gruncie francuskim dochodził często do krańcowości. Deizm np. zamieniał się na ateizm, na zupełną niewiarę w Boga, w nieśmiertelność, a nawet w samo istnienie duszy. Wolter, jeden z najznakomitszych i najrozgłośniejszych w całej Europie pisarzy francuskich XVIII stulecia, wierzył wprawdzie w Boga, ale odmawiał Mu wszechmocy, a objawioną religię poczytywał za zabobon, za głupstwo i oszustwo, popełnione przez Kościół; ulubioną i prawie jedyną jego bronią w burzeniu tradycyi i powag były drwiny, śmiech, sarkazm, często niegodziwe szyderstwo. Inni posuwali się jeszcze dalej, zaprzeczając istnieniu Boga i pierwiastku duchowego w człowieku, dowodząc nawet, że wiara w jednego Boga jest zła i szkodliwa i t. p. I krytyka pojęć politycznych doszła we Francyi do ostateczności; powstał pogląd, że jeśli panujący zawdzięcza swą władzę dobrowolnej umowie z narodem, to naród ma prawo nie tylko żądać od niego odpowiedzialności, ale wymówić mu miejsce, t. j. złożyć go z tronu, a nawet pozbawić go życia, co też zrobiono podczas rewolucyi. Tak więc racjonalizm francuski (jak niegdyś humanizm włoski, § 9), podkopywał zasady religii i moralności chrześcijańskiej. Wogóle (jak wszystko na świecie) miał racjonalizm swoje złe strony; ale miał i dobre: upominając się o prawa dla człowieka, bez względu na jego ród, majątek i zajęcie, uzasadniając i rozpowszechniając ideję wolności, sprawiedliwości i równości społecznej, stał się racjonalizm potężną dźwignią postępu spo-

łecznego w duchu demokratycznym; a wielbiąc rozum, jako najwyższą potęgę człowieka, głosząc hasła oświaty, nauki i krytycyzmu, domagając się wolności snmienią, słowa i druku, burząc odwieczne przesady i zabobony, był połącznym czynnikiem postępu umysłowego ludzkości. To też słusznie wiek XVIII nazwano wiekiem oświeconym.

Do Polski cywilizacja francuska zaczyna napływać już w wieku XVII, od czasów Władysława IV, ogarniając jednak zrazu tylko dwory wielkopańskie (§ 61); za Sasów jej napływ staje się corazto silniejszym i szerszym (§ 72 i 74); dopiero jednak czasy St. Augusta są dla Polski wiekiem oświeconym. Dzięki corazto częstszym wyjazdom młodzieży polskiej do Francji (oraz napływowi do Polski nauczycieli-Francuzów), szerzy się znajomość języka francuskiego, a wraz z nią—znajomość literatury francuskiej; ukazują się przekłady dzieł francuskich, corazto głośniej rozbrzmiewają hasła racjonalizmu, corazto częściej słyhać, że rozum to potęga, że największą klęską Polski jest ciemnota, że więc „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!“ Otóż krzewicielką hasel oświaty i postępu staje się literatura.

Na jej rozkwit wpłynął w znacznej mierze sam St. August, który, rozumiejąc, że literatura jest potęgą, bo urabia opinię publiczną, wystąpił nietylko jako mecenas (opiekun) literatów i uczonych, zachęcając ich do pisania słowem, podarunkami i pieniędzmi, ale nadto jako ich kierownik. Co czwartek odbywały się u króla uczty (obiady czwartkowe), na których rozmawiano o różnych ważnych sprawach, literackich, naukowych, społecznych, politycznych, a wśród rozmowy zwracał król uwagę swych gości na ten lub ów przedmiot, który w literaturze poruszyć należało, np. na potrzebę równouprawnienia mieszczan ze szlachtą; za inicjatywą to króla powstało jedno z najznakomitszych dzieł literatury polskiej XVIII w.: „Historia na-

rodu polskiego“ Naruszewicza. Nie dosyć na tem. W r. 1765 otworzył król w Warszawie (na placu Krasieńskich) pierwszy teatr publiczny, który się niemaló przyczyniał do krzewienia oświaty, a to przez ósmieszające wsteczniéctwo i ciemnotę komedye satyryczne. Miała więc literatura stanisławowska pewien ścisly, określony kierunek: pisarze już nie błąkają się samopas, jak to było w wieku XVII, ale, jak żołnierze, zwartą ławą kroczą ku wyraźnie wytkniętemu celowi: ku oświecaniu społeczeństwa.

Czegoż uczyli pisarze stanisławowscy? Jak pisarze francuscy, tak i oni wypowiedzieli, w imię rozumu i postępu, wojnę przeszłości: ciemnocie i wsteczniéctwu; ale u nas walka ta nie doszła do takich ostateczności, jak we Francyi: ateizm np. był u nas rzadkiem zjawiskiem. Racyonalizm polski był umiarkowany; jak Komisya Edukacyjna, reformując szkoły, „szła środkiem pomiędzy ślepem do starych obyczajów przywiązaniem a niebezpiecznem nowości chwytaniem“, tak literatura umiała zachować rozumną miarę w walce z przeszłością: głosiła hasła postępowe, ale okazywała należny szacunek tradycyi, o ile jej pierwiastki nie były złe albo głupie, a przynajmniej nie szkodliwe, pierwiastki zaś szkodliwe starała się wykorzeńnić, wydając walkę t. zw. sarmatyzmowi (w ujemnem tego słowa znaczeniu, § 70). A więc, pod względem religijnym, walczyli pisarze stanisławowscy z dewocją, obłudą religijną, z zabobonami, fanatyzmem i nietolerancją; pod względem społecznym—z przekonaniem o nierówności ludzi, z przywilejami szlacheckimi, z pychą rodową, z uciskiem ludu wiejskiego i upośledzeniem mieszczan; pod względem politycznym—z prywatą i nierządem (np. z „liberum veto“, tronem obieralnym i t. d.); pod względem naukowym — z nieuctwem, łatwowiernością, brakiem krytycyzmu (np. z wiarą w istnienie Wandy, Lecha, Popiela, z zamiłowaniem do bezsensownych powieści fantastycznych i t. p.);

w zakresie obyczajów — z niechlujstwem, pijaństwem, zawiadyactwem (junactwem), manią pochlebstwa (panegiryzmem). Z drugiej zaś strony walczono z „wiekiem zepsutym“, a więc z mędrkowaniem w rzeczach religijnych, błagą i zarozumiałością, rozpustą i karciaństwem i wogóle z rozluźnieniem obyczajów, z niemoralnością, słowem z ujemnymi stronami płynącej do Polski cywilizacji francuskiej. Krótko mówiąc, usiłowano odrodzić i przekształcić naród zarówno pod względem umysłowym, jak moralnym, zarówno politycznym, jak społecznym. I ta właśnie dążność do uczenia i reformowania, do skierowania narodu na drogę prawdziwego, bo nietylko umysłowego, ale i moralnego, postępu stanowi główną cechę i główną zasługę naszej literatury stanisławowskiej. Była ona mądrą i szlachetną mistrzynią życia, odzyskała tego ducha obywatelskości i patryotyzmu, jakim jaśniała literatura wieku złotego; i, jak w wieku złotym Modrzewski, Kochanowski, Skarga, tak w wieku oświeconym Naruszewicz, Krasicki, Kołłątaj, Staszyc są nietylko znakomitymi pisarzami, ale szlachetnymi nauczycielami swego narodu.

§ 77. A jak odzyskała literatura mądrość treści, tak odzyskała i piękno formy, co zawdzięcza znów wpływowi literatury francuskiej. Ta bowiem nie utraciła, jak polska, w wieku XVII piękności formy; przeciwnie, wiek XVII był dla niej wiekiem złotym, o czym wymownie świadczą tacy prozaicy, jak dwaj myśliciele: Descartes (Kartezyusz) i Paskal, dwaj kaznodzieje i moralści: Bossuet i Fénelon, tacy poeci, jak dwaj tragicy: Kornel i Raszyn, wielki komedyopisarz Molier, znakomity bajkopisarz Lafontaine. Piękność zaś swoją zawdzięcza literatura francuska XVII w. głównie pilnym studjom nad autorami starożytnymi, a stąd Francuzi nazwali ją klasyczną, cudzoziemcy zaś — pseudo-klasyczną (t. j. nieprawdziwie, fałszywie klasyczną), ze względu, że wielu pisarzy francuskich (zwłaszcza dru-

gorzędnych) nie umiało dobrze naśladować wzorów starożytnych, naśladowując je zbyt niewolniczo, w mniemaniu, że, aby pisać pięknie, wystarczy ściśle przestrzegać tych przepisów pisania, jakie przekazała potomności literatura starożytna (np. Horacy). W drugiej połowie XVII wieku jeden z poetów francuskich, satyryk Boalo (Boileau), napisał wierszem dziełko p. t. „L'art poétique“ (sztuka poetycka), poświęcone właśnie wykładowi przepisów, których, jego zdaniem, powinien słuchać poeta. Niektóre z nich są bardzo słuszne i do sądnego dnia powinny obowiązywać piszących, jak ten zwłaszcza, że język winien się odznaczać czystością, a styl—szlachetną prostotą, naturalnością i jasnością. („Gdy nad pojęciem sensu potrzeba się trudzić, czytelnik takim wierszem zaczyna się nudzić“); ale niesłuszny jest np. pogląd, że poeta winien, jak ognia, unikać wyrazów pospolitych, często bowiem wyraz pospolity (byleby nie nadto pospolity, plugawy) maluje rzecz tak obrazowo, że go innym zastąpić nie można; przesadne unikanie wyrażenń pospolitych jest prostą drogą do nienaturalności stylu, przed którą przecie Boalo przestrzegał! Poezya powinna, jego zdaniem, naśladować „naturę“, t. j. rzeczywistość, lecz nie każdą, ale tylko cywilizowaną; a więc np. przedmiotem, najgodniejszym poezji, będzie życie królów, dworzan, bohaterów i wogóle ludzi niepospolitych, nie żyjących na łonie natury, ale ucywilizowanych; natomiast życie ludzi pospolitych (np. ludu wiejskiego) nie nadaje się do poezji (bo taki przedmiot będzie „nudny“!) Nałożył więc Boalo pęta na treść poezji francuskiej, która, rozwijając się w myśl jego przepisów, przez długi czas była zwierciadłem życia jednej tylko warstwy społecznej (zwłaszcza dworu króla Ludwika XIV), a nie życia całego narodu. Ten właśnie rozbrat z życiem ogółu stanowi wybitną cechę klasycyzmu francuskiego. Nie dosyć na tem: i na ducha poezji nałożył Boalo pęta;

wymaga wprawdzie od poety natchnienia i ciepłego uczucia, któreby czytelnika „ogrzewało i wzruszało“, ale za główne zalety poezyi poczytuje rozum i zdrowy rozsądek („la raison et le bon sens“), bo zadaniem poezyi jest nie tylko bawić, ale jednocześnie uczyć, więc do rozumu przemawiać powinna; ideałem poezyi jest, aby była piękną prozą: znaczy to tyle, co wyrzucić z poezyi uczucie i fantazję, bez których przecie niema poezyi! Nakoniec i formę poezyi pragnął Boalo zakuć w kajdany: poeta, jego zdaniem, powinien pod względem formy naśladować arcydzieła starożytne, bo nic piękniejszego nikt nigdy nie wymyślił; dla każdego rodzaju poezyi są osobne prawidła, od których nie wolno ani na krok odstępować; w tragedyi i komedyi np. powinno się przestrzegać t. zw. trzech jedności: miejsca (nie wolno zmieniać dekoracyi!), czasu (wypadek, stanowiący treść sztuki, nie może trwać dłużej nad 24 godziny!) i akcji (sztuka powinna stanowić jednolitą całość); wymaganie jedności akcji jest zupełnie słuszne, ale dwa pierwsze wymagania nie mają sensu.

Cała ta teoria poezyi (rozwinęta i uzupełniona w XVIII w. przez innego pisarza francuskiego, Batteux) popełniła jeden wielki grzech: prawdą jest, że poetę obowiązują pewne ogólne i niezmiennie zasady sztuki (t. zw. zasady estetyczne), ale nie wolno narzucać mu drobnostkowych prawideł, choćby one były ukute na podstawie poezyi tak pięknej, jak grecka i rzymska: przecie nie wszystko, co było dobre dla poezyi starożytnej, jest dobre dla nowoczesnej (np. mitologia, którą także zalecał Boalo!); przecie nie wolno wymagać od poety, żeby był tylko naśladowcą, żeby dobrowolnie krępował swobodę własnego uczucia i własnej fantazyi i wogóle twórczości. Ale to wszystko zrozumiano dopiero później,—w drugiej połowie XVIII wieku i w XIX; tymczasem zaś klasyczna poezya francuska i jej teoria cieszyły się w całej Europie powagą

i wziętością: wszystkie literatury europejskie naśladowały francuską i tym sposobem wszystkie mają swój okres pseudoklasyczny.

U nas już za Sasów naśladowano poetów francuskich (n. Rzewuski, § 72), ale dopiero za St. Augusta naśladownictwo to staje się powszechnem. Więc i u nas Boalo uchodził za powagę, chociaż nie wierzono mu tak ślepo, jak we Francyi: jego poemat o poezyi przetłumaczył, a raczej przerobił, Franciszek Dmochowski, p. t. „Sztuka rymotwórcza (1788), ale nie we wszystkim się z nim zgadzał; tak np. słusznie twierdził, że wymaganie jedności czasu i miejsca w dramacie jest nieuzasadnione, a co większa, rozumiał, że nie wszystko jest „doskonałe z każdej miary, co pisze starożytność“, że wogóle poeta nie powinien się trzymać dawnej sztuki, „jak pijany płota“, bo „sztuka, wzięta z przykładów, ścieśnia ludzkie dzieła; .. górny geniusz, lotne rozpuściwszy skrzydła, za nieprzestępne sztuki wyleci prawidła; pójdzie, gdzie zapęd myśli niesie go wysoki, nowe stworzy rodzaje, nowe da widoki;.. godni naśladowania dawni autorowie, oni są nasze wzory, oni sztuk twórcowie, z ich dzieł się urodziła dla nas trudna sztuka: lecz maź-li to być grzechem, że nowych dróg szuka geniusz twórczy, nie chcąc gościńcem iść bitym?“ Większość jednak pisarzy stanisławowskich poszła bitym gościńcem: satyrycy naśladowali Horacego, Boala, Woltera, komedyopisarze — Moliere, bajkopisarze — Lafontaine'a i t. d. Lecz naśladownictwo to nie było niewolnicze i wydało piękne owoce: za przykładem Francuzów nasi pisarze troszczą się pilnie o piękność stylu, nadewszystko zaś o czystość języka. Wogóle literatura francuska odegrała u nas w XVIII w. rolę równie doniosłą i pożyteczną, jak w XVI—starożytna: ona to przyczyniła się do odrodzenia nietylko mądrości myśli, ale i piękna formy. Najlepszem świadectwem odrodzenia pięknej formy są poezyc. Krasickiego i Trem-

beckiego, „Historya narodu polskiego“ Naruszewicza i pisma Kołłątaja. Wprawdzie nie wzniosła się literatura w wieku oświeconym na tak wysoki poziom, na jakim stała w wieku złotym; wprawdzie najznakomitszy poeta tych czasów, Krasicki nie wart Kochanowskiemu rzemyska u obuwia rozwiązać: ale w każdym razie jestto literatura, godna narodu cywilizowanego, europejskiego, wymownie świadcząca, że Polska nawiązała na nowo zerwany w wieku XVII związek z umysłowością i sztuką Europy zachodniej.

Czego jednak brakuje, na ogół biorąc, naszej literaturze wieku oświeconego, to gorącego uczucia, serdecznego ciepła; poezye Krasickiego np. są piękne, rozumne, ale uczucia w nich niewiele. Ale i pod tym względem zachodzi już zmiana na lepsze: w literaturze budzi się serce— pod wpływem samego życia: konfederacja barska, ten ostatni, może nieszczęsny, ale wspaniały w swojej odruchowości, poryw szlacheckiej Polski; a potem pierwszy rozbiór kraju, haniebnny czyn Ponińskiego i bohaterstwo Rejtana; jeszcze później sejm czteroletni z Konstytucją 3 Maja, konfederacja targowicka, drugi i trzeci rozbiór i powstanie Kościuszki: to wszystko musiało przyśpieszać bicie serca polskiego, napelniając je z jednej strony niepokojem, smutkiem, upokorzeniem, rozpaczą, a z drugiej... nadzieją i wiarą w miłosierdzie boże. Obydwa te uczucia patryotyczne i religijne, odzywają się w pieśniach konfederatów barskich. Pieśni to (nie wiedzieć przez kogo ułożone) nie wykwintne, czasem nawet rubaszne, proste, czasem naiwne, ale dlatego właśnie tak miłe, piękne miłością nieszczęśliwej ojczyzny, rozrzewniające wiarą w Boga, w pomoc Najświętszej Panny, jako Królowej Korony polskiej, i Świętych polskich, pełne wiary w zwycięstwo dobrej sprawy i w świetną przyszłość Polski. Wiara ta dźwięczy najsilniej w „Proroctwie księdza Marka“:

Z tak strasznych wojen będzie tortur wiele,
Miecz krwi niewinnej obficie wyleje,
Wiele niewinnych marnie zginie braci,
Wstyd, poświęcony Bogu, panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu łąże,
W toż licho z mnichem zakonnika sprzęże,
Cna góra, złotem otoczona kolem,
Nie ufa w Bogu, nizko bije czołem,
Bowiem najbliższą będzie strasznej burzy;
Dym ją z innymi zarówno okurzy.
Kościoły z ozdób obdarte zostaną,
Dni zgoła wszystkie płaczliwe się staną.

Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali:
Na nich się samych to nieszczęście zwałil
Więc czyń twojemu wieczne dzięki Bogu,
Bo On im przytrze wyniosłego rogu,
A ty, jak feniks z popiołów, powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz!...

Im dalej w czas, tem częściej i silniej odzywa się w literaturze już nie sam rozum, ale i serce, np. w niektórych satyrach Krasickiego i Naruszewicza, w pismach religijno-patryotycznych Karpińskiego i Książnina, w paszkwilach Zabłockiego, w poezjach Niemcewicza, w mowach, wygłaszanych na sejmie czteroletnim, w „Bardzie polskim“ Czartoryskiego, a nadewszystko w przepojonych miłością ojczyzny, krwią i łzami pisanych pismach Staszycy.

Obok tej uczuciowości prawdziwej, szczerzej, gorącej, płynącej z miłości Boga i ojczyzny, ukazuje się w literaturze polskiej wieku oświeconego nieznaną dawnym Polakom uczuciowość fałszywa, nieszczerą, mdłą, jednym słowem, czułościowość czyli sentymentalizm, t. j. pieszczanie się z własnym uczuciem, np. podziwianie własnych łez, własnego nieszczęścia i t. p. Twórcą tego nowego prądu

w literaturze europejskiej jest znakomity pisarz francuski, Russo (Rousseau), który, na równi z Wolterem, wywarł znaczny wpływ na literaturę i wogóle na umysłowość polską. Inaczej, jak Wolter, przemawiał Russo w pismach swoich (pisanych prozą, ale będących poezją) nadewszystko do serca, bo też sam miał serce miękkie i wrażliwe, chociaż, prawdę mówiąc, kochał tylko samego siebie i podziwiał się zawsze i wszędzie; inaczej, jak Wolter, wiedział i rozumiał, że serce jest od rozumu nie mniejszą potęgą i że ono także ma swoje prawa i swoje prawdy,—że wierzy, t. j. uznaje za prawdę to nawet, czego rozum nie dowiedzie; kochał naturę, zachwycił się nią i upajał, miotał natomiast gromy na cywilizację, twierdząc, że ona to, jako wytwór rozumu, nie serca, jest główną przyczyną nieszczęść ludzkich, że póki ludzie żyli na łonie natury i nie znali cywilizacji, byli nietylko szczęśliwsi, ale i lepsi (co jest, nazywając rzecz po imieniu, wierutną brednią). Otóż sentymentalizm w poezji polskiej powstał właśnie pod wpływem Russa (oraz jego naśladowców i wielbicieli); jego najznamienniejszym objawem są pieśni miłosne, a zwłaszcza tkliwe sielanki pasterskie (Karpińskiego i Książnina): występują w nich pasterze i pasterki o sercach tak czułych, że ciągle wzdychają, tęsknią, kwilą, płaczą, jęczą, a wszystko to z miłości nietylko ku sobie i ku pięknej naturze, ale i ku owcom i baranom. Takie sielanki sentymentalne były modne w całej Europie; miały one być obrazem rzeczywistości, miały odtwarzać tak wielbione przez Russa szczęście prostego ludu na łonie natury, a w istocie są parodią rzeczywistości, bo ci pasterze sielankowi do pasterzy prawdziwych są tak podobni, jak pięść do nosa.

Lecz, oprócz tej fałszywej (manierowanej) ludowości, ukazuje się w literaturze europejskiej XVIII w., mianowicie w angielskiej i niemieckiej, ludowość prawdziwa: uczeni ogłaszają zbiory pieśni ludowych, a poeci je naśladują.

Otóż i u nas, już w XVIII w., są utwory, odtwarzające życie ludu bez przymieszki czułościowości i nienaturalności, mniej więcej zgodnie z prawdą, trafiają się i pieśni, wzorowane na pieśniach ludowych. Lecz ten pierwiastek ludowy w literaturze naszej XVIII w. jest jeszcze bardzo słaby, zaledwie daje znaki życia; bądźco bądź już jest; z czasem, w w. XIX, ten zwrot ku ludowości oraz wciąż wzrastające pod wpływem wypadków uczucie patriotyczne przyczynią się do wspianalego rozkwitu poezyi.

Tak więc literatura naszego wieku oświeconego, z jednej strony, odzyskując mądrość i piękno, odkupiła niejako winy, popełnione przez zdziczałą literaturę czasów saskich, i stała się dźwignią odrodzenia duchowego narodu, a z drugiej, przez wzmagające się w niej uczucie patriotyczne i kiełkujący pierwiastek ludowości, zawiera w sobie zarodki przyszelego rozkwitu.

§ 78. Ważną rolę w historii oświaty i literatury stanisławowskiej odegrały czasopisma. Pierwsze polskie pismo peryodyczne powstało jeszcze za Jana Kazimierza: w r. 1661 zaczął się ukazywać w Krakowie „Merkuryusz¹⁾ polski ordynaryjny, dzieje wszystkiego świata w sobie zawierający dla informacyi pospolitej“. Ale rozkwit czasopism przypada dopiero na panowanie St. Augusta, kiedy to było ich ogółem w Polsce blisko 90 (blisko 60—w samej Warszawie). Oprócz politycznych, naukowych i in., wychodziły, za przykładem Anglii i Francyi, t. zw. czasopisma moralne, których głównym celem było szerzenie w społeczeństwie cywilizacyi wogóle i walka z ciemnotą. Na ich czele kroczył „Monitor“²⁾, którego redaktorem był jezuita Franciszek Bohomolec z Białej Rusi (1720 — 1784), człowiek światły (kształcił się w Rzymie) i zacny, a jednocze-

1) t. j. goniec; 2) dosłownie: upominacz.

śnie bardzo wesoly,—onto jest autorem „Kurdesza“¹⁾, znanej powszechnie piosnki przy kielichu („Każ przynieść wi-na, mój Grzegorz miły, bodaj się troski nigdy nam nie śniły, niech i Anulka tu zasiądzie z nami! Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!“ i t. d.). Postać to wielce zasłużona. Jako nauczyciel szkoły jezuickiej w Warszawie, przekształcał w niej pilnie sposób nauczania — za przykładem Konarskiego; i on więc, dbały o czystość mowy rodzinnej, wypowiedział walkę makaronizmom, wydawał dla młodzieży dawnych historyków i poetów polskich. Troszczył się także, podobnie jak Konarski, o odpowiedni dobór utworów dramatycznych dla teatru szkolnego i w tym celu sam napisał, przerabiając i skracając sztuki włoskie i francuskie (zwłaszcza Moliera), szereg komedyjek szkolnych, w których ośmieszał ciemnotę i karciał niemoralność.

A kiedy król otworzył w Warszawie teatr publiczny (§ 76), Bohomolec przez długi czas zasiliał jego repertuar, pisząc „komedye na teatrum“, w których naśladował głównie Moliera. Sztuki to słabe, często naiwne, ale bądźco-bądź sąto pierwsze komedye polskie, na to imię zasługujące, a szanowne przez rozumną dążność obywatelską, autor bowiem zawsze pragnął w nich czegoś nauczyć i coś ośmieszyć, mniemając, że „ten jest jedyny cel komedyi, aby, żartując z tego, co jest naganne, odrażało drugich od tego umysły; która komedya do tego nie zmierza, nie może się nazwać komedya“.

Żartują więc np. Bohomolec z nagannych przesądów szlacheckich—w „Małżeństwie z kalendarza“ (1766). Główną postacią tej komedyi jest przesądny szlachcic Staruszkiewicz, który swój rozum zawdzięcza głównie jakiemuś staremu kalendarzowi i odwiecznemu sennikowi; który za ludzi poczytuje tylko szlachtę, i to polską szlachtę, bo cu-

¹⁾ Kurdesz=piosnka przy kieliszku (także braterstwo, przyjaźń).

dzoziemiec, jego zdaniem, nie może być prawdziwym szlachcicem; wogóle nie cierpi Staruszkiewicz cudzoziemców i piorunuje na nich, że Polskę gubią i ogłupiają: dosyć powiedzieć, że „snom już wierzyć nie chcą!“ Wobec tego nie chce zezwolić na małżeństwo córki swej, Elizy, z Ernestem, cudzoziemcem, chociaż wiernym sługą Rzeczypospolitej, pragnąc ją wydać za Marnotrawskiego, który jest wprawdzie głupi, jak but, ale Polak i szlachcic, — i to natychmiast: „Patrz—mówi do córki—co o dniu dzisiejszym kalendarz pisze: dziś dobrze jest brać ślub, kto chce mieć małżeństwo pomyślne i dzieci piękne; widzisz, drugiego dnia w całym kalendarzu nie znajdziesz!“ W tem postanowieniu umacnia go jeszcze sen: „śniło mi się niedawno, jakby do mojej owieczki dwóch wilków się skradło“, dobry i zły; to jasne, jak słońce: owieczką jest Eliza, wilkiem dobrym Marnotrawski, złym Ernest! Dopiero, gdy się okazuje, że Marnotrawski to hultaj, wyrozumiał Staruszkiewicz, że dobrym wilkiem jest Ernest, i oddaje mu uszczęśliwioną córkę. Ośmieszając przesady szlacheckie, jednocześnie występuje Bohomolec w tej komedyi w obronie mieszczan.

 Za chłopami zaś ujmuje się w komedyi „Pan Dobry“ (1767), w której poucza, że „nie może chłop panu sprzyjać, jeśli go pan krzywdzi“, że „niesprawiedliwość panów jest matką tej nienawiści, którą poddani ku nim miewają“. Oto pan Hałaśnicki, „człowiek na utrapienie drugich urodzony“, jest tyranem dla służby i chłopów: „ustawiczne hałasy, łajania, przekleństwa, bicie, mordowanie“; tymczasem pan Dobrotliwski jest dla chłopów „więcej, niż ojcem“, „w smutku cieszy, w potrzebie ratuje, w chorobie nawiedza i wszędzie każe czynić wygody“; to też Hałaśnickiego chłopci nienawidzą, Dobrotliwskiego ubóstwiają i, kiedy się syn jego żeni, składają się dla państwa młodych na podarunek; przynoszą go w imieniu całej gromady Wawrek

i Maciek, który tak do pana przemawia: „Stach, sąsiad mój, powróciwszy z Warszawy, powiedział nam że pan starosta, syn W Pana, ma się zenić; skoro to gruchnęło po wsi nasej, taka radość... powstała, żeśmy i o robocie i o sobie samych zapomnieli; Bartos nas stary, to widząc, zawołał: „Ej, dziatki! uczynimy składankę na wesele nasego panica!“ A Wawrek, ujrzawszy pannę młodą, woła: „Przysiągsy, ładna, kiedy owo lilija!“ A tak wyprowadza Bohomolec na scenę lud wiejski—Mazurów i każe im przemawiać ich własnym, ludowym lęzykiem.

Lecz największą zasługą Bohomolca jest wydawnictwo „Monitora“. Pismo to, którego współpracownikami byli najznakomitsi pisarze XVIII w. (np. Konarski i Krasicki), przez całe dwadzieścia lat (1765 — 1784) krzewiło oświatę w duchu umiarkowanego postępu; przyświecało mu w tej pracy obywatelskiej piękne hasło: „Jeżeli umrzeć za ojczyznę rzecz słodka, cóż pożądaniejszego być może, jak żyć dla niej?“ Z jednej strony, stał „Monitor“ na straży religii, moralności, rozumnego poszanowania przeszłości; ale, z drugiej, ganił lub ośmieszał wszystko, cokolwiek w przeszłości było złego, a więc prywatę, wyłączność szlachecką, ucisk chłopów, przesady i zabobony, wstręt do poważnych ksiązek i wogóle—ciemnotę. Równie rozumne stanowisko zajął „Monitor“ względem nowych prądów; z jednej strony namawiał do podjęcia reform politycznych i społecznych, upominał się o prawa dla mieszczan i ludu i wogóle walczył o prawa człowieka, zachęcał do nauki, streszczał francuskie książki pedagogiczne, aby nauczyć, jak dzieci wychowywać należy, wykladał zasady sztuki, słowem—krzewił oświatę; ale, z drugiej strony, karciał zepsucie obyczajów i bezmyślne małpowanie francuszczyzny, ośmieszał złotą młodzież, fircyków i karciarzy, blagierów, mędrków i niedowiarków, próżniaków i darmozjadów; nie darował i kobietom, zwłaszcza „żonom modnym“, wyszy-

dzając ich wstręt do pracy, zamiłowanie do zabaw, strojów i plotek, przewracanie oczami i t. d. Nie przeoczył „Monitor“ ani jednej potrzeby społeczeństwa polskiego, nie pominął ani jednej wady, słowem, odegrał niezmiernie doniosłą rolę w cywilizowaniu narodu. O wszystkim zaś pisał to poważnie, to żartobliwie, a zawsze przystępnie i powabnie, posługując się to rozprawką popularną, to satyrą, to powiastką, to listem, nibyto nadesłanym do redakcyi, i t. d.; tej lekkości tonu nie znała nasza dawniejsza literatura: artykuły „Monitora“ to pierwsze felietony polskie. Oto próbka (której autorem jest sam Bohomolec).

Z Monitora na R. P. 1768. Nro XVIII d. 3 Maja. Wiedząc, iż niniejszych czasów najchętniej nowiny czytają, postanowiłem dla przysługi moich czytelników donosić im niektóre ciekawości. Zaczynam.

Z Warszawy. Niedawnymi czasy hajduk jakiegoś pana, stargowawszy u chłopca furę siana za zł. 10 i złożywszy je w wozowni, nie zapłacił więcej, jak tylko zł. 8. Chłop dopomina się reszty z pokorą, upewnia go, iż to siano było pańskie, a zatem musiałby mu (t. j. panu) swoimi pieniędzmi tę resztę dolożyć; hajduk nie uważa na to: wypycha chłopca z wózkiem próżnym na ulicę. Chłop biedny nie przestaje dopraszać się swego; hajduk każe mu milczeć i kijem grozi. Zbiegło się pospólstwo na ten hałas i słucha owego chłopka, ze łzami krzywdę swoją przedkładającego. Nie podobało się to imci panu hajdukowi, ile gdy widział, że lud chłopca stronę utrzymywał; przetoż, sądząc przez to swój honor obrażony, zbił mocno kijem swego nieprzyjaciela i z tryumfem zszedł z placu. Wszyscy ludzie są tego rozumienia, iż się to stało bez woli pańskiej, jeśli ów pan miał cokolwiek więcej sprawiedliwości nad swego hajduka. Jakoż to pewna rzecz, że pan nie musi o tem wiedzieć, ponieważ się to stało o godzinie dziewiątej, o której on jeszcze łóżkiem zwykł się bawić.

Jejmość pani Pieścicka ciężko na zdrowiu zapadła. Przyczyną jej choroby była śmierć niespodziana Szarmantki, która pomienionej pani największą w całym jej dworze była faworytką: z nią jadła, z nią kawę piła, z nią sypiała, z nią wizyty oddawała, z nią i na nabożeństwo do kościoła jeździła. Już drugi raz tej pani krew puszczono, a poprawy zdrowia nie widać. Pomieniona Szarmantka była rodem z Bononii, żyła lat 9, wzrostu była małego, maści białej, ale na jednym uszku czarność się przebijająca: umiała służyć, tańcować, warować i czekać. Powiadają, iż przyczyną jej śmierci była służąca, która ją śpiącą nagle obudziła; za tę nieostrożność pomieniona służąca dobrze jest skarana i odprawiona.

Podaje się do wiadomości, iż za bardzo mierną cenę, to jest za czerw. zł. 200, znajduje się do sprzedania papuga bardzo piękna, która umie kilkanaście słów pofrancusku; ktoby ją chciał nabyć, niech się uda do kamienicy niedaleko szpitala, w którym jest 12 ubogich, nie mających więcej na dzień na wyżywienie całego zgromadzenia, jak złotych dwa.

§ 79. Jednym z najgłówniejszych warunków postępu i odrodzenia narodu jest znajomość dziejów ojczystych; tymczasem nie posiadał jej ogół społeczeństwa, co nie przeszkadzało, że się lubił na przeszłość powoływać, wtedy zwłaszcza, kiedy była mowa o reformach: „Niech dyabli porwą reformy! póki wszystko było postaremu, Polska była potężna, a zatem i teraz wszystko postaremu niech pozostanie!”—oto jak rozumował przeciętny szlachcic. Ale, jak było postaremu, o tem pojęcia nie miał i dziwił się albo oburzał, gdy mu kto mówił, że np. w starożytnej Polsce nie szlachta, tylko król rządził państwem i że wtedy właśnie Polska była potężna. Nie rozróżniał także prawdy od fałszu i ślepo wierzył we wszystko, co nabajali o dzie-

jach bajecznych dawni kronikarze, zwłaszcza Kadłubek (§ 2). Ogromną też zasługę, nietylko naukową, ale i społeczną, położył człowiek, który przeszłość narodową wystawił we właściwym świetle. Człowiekiem tym był biskup smoleński, Adam Naruszewicz, (1733 — 1796), jezuita, rodem z Pińska. Pochodził ze znakomitego, lecz zubożałego rodu; otóż, party ambicyą, mając (jak mówi) „wrodzoną miłość sławy“, pragnął ród swój podźwignąć i uświetnić. Okoliczności mu sprzyjały: po ukończeniu studyów za granicą, po zwiedzeniu Francyi, Włoch i Niemiec, osiadł w Warszawie i tutaj pozyskał sobie nietylko względy i uznanie, ale przyjaźń króla, któremu się wystugiwał i pochlebiał, z którego też ręki niejedno dobrodziejstwo i niejedno zaszczyt na „ukochanego Narucha“ spłynął. Ale, oprócz ambicyi „podobania się kochającemu i krzewiącemu nauki panu“ (do którego się naprawdę szczerze przywiązał), miał inną, jeszcze, prawdziwie piękną: oto, będąc gorącym patryotą, patrząc ze smutkiem i z wrodzoną sobie zgryźliwością na nieszczęścia ojczyzny, której jedyne zbawienie widział w zerwaniu z anarchią, złotą wolnością i ciemnotą, pragnął służyć krajowi, nie lękając się pracy; nie było bowiem, jak słusznie sam sobie świadczy, „tego gatunku człowiek, ażeby, ujawszy się raz oburącz pługa, folgować sobie umiał“. Jakoż nie folgował sobie i w pocie czoła służył ojczyźnie „czytaniem, rozmyślaniem i piórem“.

Z początku poświęcił pióro swe poezyi, ale na tem polu nie bardzo mu się wiodło i wieść się nie mogło, bo nie posiadał ani fantazyi, ani natchnienia, ani wogóle talentu poetyckiego, lecz o tem nie wiedział zapewne; a zresztą podzielał powszechne wówczas mniemanie, że się każdy może stać poetą, byleby tylko miał wykształcenie, znajomość pięknych wzorów i „prawideł“ poezyi. To zaś wszystko posiadał Naruszewicz: kształcił się bez ustanku, znał

poezję starożytną i francuską, a co do prawideł poezyi, sam wykladał poetykę w szkołach jezuickich. I jakże tu nie marzyć o laurach poetyckich? Więc tłumaczył wierszem Horacego i Anakreonta, poprawiał i gładził wiersze króla (któremu się także zachciało być poetą); a i własnym dowcipem płodził bajki, sielanki, nadewszystko zaś szumne i górnolotne ody. Takie też to i ody: miały być gorące, a są zimne, miały być uroczyste, a są napuszone i nie-naturalne: roją się od ciężkookutych przymiotników (np. bystropromienny, ciężkopłodny, dzikośmieszny, smutnowrogi), od zwrotów zawitych, od bóstw starożytnych; słowem, jest tam wszystko, z wyjątkiem poezyi. Ich treścią są głównie kadzidla na cześć St. Augusta; raz np. porównywa króla, zwiedzającego szkołę, z Tytanem (słońcem), udzielającym swych promieni Arktom (krajom północnym), innym razem zaręcza, że w dniu urodzin króla „Styczeń wodokowy nad bieg przyrodni zelżył gniew surowy“. O stylu tych ód może dać pojęcie początek „Dytyrambu z powodu zupełnego ozdrowienia Jego Królewskiej Mości“: „O, ty, co, wiecznie krążąc koło płodnej ziemi, otaczasz ląd i wody lejcy ognistymi, a nieupracowany tocząc wieki ruchem, rzeźwisz gnuśne żywioły wszystkożywnym duchem, migni, o złote słońce, dzielniejszym promykiem!! Niech twe bystre dzianety, rączym sprzęgłe szykiem, promienne zjeżą grzywy, a trakt gwiazdolity lotniejszemi, dzień niosąc, przemierzają kopyty“. Z pewnością Naruszewicz nie wątpił, że to bardzo śliczne! Nie wątpili o tem i współcześnie, i uchodził Naruszewicz za słowika, za natchnionego poetę, a jedną z pieśni jego („Królu, któryś naród oświecił, męstwo, cnotę, honor w nim wzniecił“) śpiewała na wycieczkach młodzież szkolna.

Nierównie większą wartość mają „Satyry“ (1778). Chłozcze tu Naruszewicz, z jednej strony, sarmatyzm, jako nierząd, pychę rodową i mniemanie, że herb stanowi

o wartości człowieka, panegiryzm i pieczeniarnstwo (zwłaszcza na dworach magnackich), dewocyę i obłudę religijną, nadewszystko zaś ciemnotę; a z drugiej strony—niemoralność, wolnomyślność religijną, marnotrawstwo, karciarstwo, zepsucie kobiet. Dowcipu w satyrach niewiele, wdzięku ani na lekarstwo, jest zato wcale silna, złośliwa ironia, a niekiedy i szczere, głębokie oburzenie zacnego obywatela i zgryźliwego człowieka na „wiek zepsuty“; jest nadto wyrazista, dosadna charakterystyka postaci (typów satyrycznych), np. nabożnisia: „A ówże gryzipacierz, wilk w baraniej skórce, co kościanemi gałki pobija na sznurzel! Już na wszystkich obrazach polizał pokosty, podziurawił łysiną cerkiewne pomosty, co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy, a on sam łgarz i pieczeniarn i zdzierca łakomy;... czyliż się za świętego nie udaje człeka, że każdego oczerni, każdego oszczeka“? Jeszcze dosadniej opisuje Naruszewicz „fircyka“, t. j. młodego kawalera; posiada on całe mnóstwo zalet: jest „najpierwszym woźnym bogini Świegotki“, t. j. plotkarzem; jest pyszałkiem, który „corazto w oczy swoją mitrą chluśnie“ i przechwala się starożytnością swego rodu, „pawim się zalecając, jak kawka, ogonem“; jest obrzydliwym pochlebcą, wkradającym się w łaski kobiet; wreszcie jest próżniakiem i głupcem skończonym: „Fircyk, utrefiony cudnie—legać mu tylko w betach ¹⁾, nim minie południe, albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy, jeśli który nie mignie kornet ²⁾ z kanienicy, aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał, a słuchającym gęby tęskliwie rozdzierał; a przecie tak bezwstydną dumą upojony, że, choć mu się w mózgowni łęgną ślepowrony, choć ledwie trafi, biedny, sens z głowy wyłatać, choć mu kozom ogony, nie rymom, zaplatać, choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki,—bierze pracownych piórek dzieła

¹⁾ bety=pierzyuy; ²⁾ czepek kobiecy.

na przetaki i tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi, ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie robi“. Jużto wogóle wybrednością stylu nie grzeszy Naruszewicz, ale zato zdobywa się czasem na niepospolitą jędrność — np. w tej krótkiej, ale przepysznej charakterystyce nierówności społecznej: „W Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże: chłopa na pał, panu nic, szlachcica na wieże“, albo w tym bolesnym, rozpacziwym okrzyku: „Wszystkich chwylim, iż dobrzy, i świeccy i księża, jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!“

Z ośmiu satyr Naruszewicza najlepszą (i jedną z najlepszych w całej literaturze staropolskiej) jest „Chudy literat“, doskonała charakterystyka ciemnoty ogółu, bojącego się, jak dyabeł święconej wody, książek poważnych, ciemnoty, której skutkiem musiała być „chudość“ (ubóstwo) li literatów, zarabiających piórem na życie.

CHUDY LITERAT.

— A cóżto, mój uczony, chudy mości panie?
Jużto temu dwa roki, jak w jednym żupanie
I w jednej kurcie widzę literackie bokil
Sława twoja okryła ziemię i obłoki,
Że cię miały w kolebce Muzy mlekiem poić:
A z niej, widzę, że trudno i sukni wykroić.
Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się:
Podobno przy gnojowym blisko gdzieś Parnasie
Apollo ci swym duchem czczy żołądek puszy;
Szeląga nie masz w wacku¹⁾, a długów po uszy.
Z tem wszystkim pod pismami twemi prasy jęczą;
Ledwo cię pochwałami ludzie nie zamęczą,
Żeś ozdoba narodu, pszczołka, pełna plonu
Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu,

¹⁾ wacek=sakiewka.

Kwiatek, perła, kanarek, słońce polskiej ziemi. —
— Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swymil
Mam dosyć ukarania: wszystkom stracił marnie,
Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią,
Tamci dość nagrodzili, kiedy się pokłonią.
Niepokupny dziś rozum: trzeba wszystko strawić,
Kto go chce na papierze przed światem objawić.
Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
A niemasz, ktoby ściągnął rękę do kieszeni,
Niemasz owych skutecznych ze złota pobudek!
Więcej szalbierz zyskuje albo lada dudek,
Co pankom nadskakiwa lub co śmiesznie powie:
Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi,
A ty, biedny, swe pisma, opłaciwszy druki,
Albo spał, albo rozdaj gdzie między nieuki,
Żeby z nich mogła lmość, gdy przyjedzie Jacek
Ze szkoły, czem podłożyć z rodzynekami placek.
Wolałbym się był lepiej bawić maryjaszem:
Chodziłbym, jak pan Pamfil ¹⁾, — z oprawnym pałaszem;
Kołpakby mi tysinę soboli nakrywał,
A ryś zpod brandebury ²⁾ bujny połyskiwał.
To mi to kunszt zyskowny! Często w jednej chwili
Człowiek się pod pieniędzmi ledwie nie uchyli,
A czego nie wypisze przez rok ni wyczyta,
Jedna mu da fortunę w kartach faworyta!
Mój zaś bożek, Apollo, za usługi krwawe
Dał mi w nagrodę szkapsko, Pegaza, włogawe ³⁾,
Który nie z jednym pono, jak się często zdarza,
Na popas do świętego zabłądził Łazarza.
Ostatnie to rzemiosło, co, prócz sławy kęsa,

¹⁾ wyżnik żołędny (walet treflowy); ²⁾ brandebura=suknia zwierzchnia; ³⁾ włogawy=kulawy (na tylne nogi).

Nic nie daje autorom—ni chleba, ni mięsa,
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonym:
Wodę łykać, a wiatrem żyć z chamaleonem ¹⁾.
Gdybyć to kupowano książki, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie!..
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.
Jeden drugiego gani, że czas darmo trawi;
Mówi szlachcic: „Czemu ksiądz księgą się nie bawi?
„Jemu każe powinność na to się wysilać,
„By nauką i pismem zdrowem lud zasilać..
„Alboż mu to o żonce z dziećmi myśleć trzeba?“
A ksiądz: „Toć szlachcic sobie sam nie robi chleba:
„Sto pługów na jednego pasibrzucha ryje;
„Pewnie on się za dobro pospolite bije?
„Nie uziębnie na mrozie, na deszczu nie zmoknie:
„Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
„Gadając z panem Żydem, kto w karczmie nocował,
„Wiele śledzi wyprzedał, wódki wyszynkował..
„Mógłby też co przeczytać, a z odętym pyskiem
„Nie być tylko szlachcicem herbem i nazwiskiem,
„Osobliwie, że mu się nie chce panem bratem
„Być prostym, ale posłem albo deputatem;
„Nie pięknie to, że sędzia nie zna prawa wcale,
„Chociaż jaśnie wielmożnym bywa w trybunale;
„Ani ów poseł z wielką przyjeżdża zaletą,
„Co tylko na podatki głośne ryknie „vetol!“
Tak się oni spierają; postaremu przecie
I ten i ów nie wiedzą nic o bożym świecie;
Każdy mówi, iż nie ma czasu do czytania,
Każdy się swą zabawą od książki zasłania:

¹⁾ chamaleon = kameleon (który według podań średniowiecznych, żyje tylko powietrzem).

Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście;
Mnich zabawny ¹⁾ swym chórem lub chodzi po kweście;
Ksiądz... lecz ja nie chcę z takim państwem mieć
poswarki;

Kupiec łokcia pilnuje lub zwiedza jarmarki;
Palestrant gmerze w kartach, co je strzygą mole;
Szlachcic pali tabakę lub łyka przy stole;
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik ²⁾ z wieprzem, ser w koszu, a z kurami grzędy;
Pan suszy mózg nad tuzem ³⁾ i wymyśla mody;
Kobieta u zwierciadła, póki służy młody
Wiek, siedzi, a gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata;
Stary duma, jak mu grosz jeden sto urodzi;
Młokos wiatry ugania i białą pleć zwodzi.
A z tej liczby zabawnych, można mówić śmieie,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.

Słyszałem ja, gdy pewny szlachcic do Warszawy
Przybył dla pewnej ze swym proboszczem sprawy,
Który go za wytyczne ⁴⁾ wyklął z kazalnicy,
Ujrzał sklepik z księgami na Farskiej ulicy;
Dziad je jakiś przedawał. Spytał na przechodzie:
„A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie,
„Bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem
„I samemu przy piwku co poczytać czasem;
„Teraz jest świat uczony; daj, Boże, poczcuiwy
„Żeby był, a poprzestał już wyrabiać dziwy!“
— „Mam—odpowie staruszek—i różnych i wiele:
„Są „Kazania“ na święta i wszystkie niedziele“.—
„Zachowajcie dla księży, mój bracie, boć lepiej
„Z karty dobrze powiedzieć, niż co drugi klepi,
„Dyabeł wie co, z pamięci na święconem drzewie,

1) zajęty; 2) chlewek; 3) tuz=as; 4) wytyczne=dziesięcina.

„A tego, co powiada, sam i słuchacz nie wie“.

— „Mam wydanego teraz niedawno „Tacyta“.—

„Niech go sobie sam miły pan autor przeczyta:

„Niemasz tam nic śmiesznego! To pisarz pogański!“

— „Więc waćpan racz dla śmiechu kupiś „Sejm szatański¹⁾“ —

„To pewnie po radomskiej co nastąpił radzie?“²⁾

— „Ej nie! Tu, w czarnej siedząc Lucyper gromadzie,

„Słucha biesów, aby mu rachunek oddali:

„Wiele ludzi po świecie pooszukiwali,

„Wiele niewierny patron³⁾ spraw wygra niesłusznych,

„Wiele ktoś nawyludza złotych zadusznych,

„Wiele łez pan wyciśnie z poddanych okrutny,

„Wiele biesów naliczy szuler bałamutny,

„Wiele plotek po mniszkach, próżności po damach,

„Obietnicy u panów, a łgarstwa po kramach“.—

„To coś bardzo strasznego...— „Owóż arcyśliczna

„Książka, co tytuł „Przyjaźń ma patryotyczna“⁴⁾. —

„Musi to być szalbierstwo: teraz patryjotą

„Ten tylko, co do siebie zewsząd garnie złoto;

„Miłość dobra ojczyzny w księgach tylko stoi,

„Każdy się w sobie kocha i o siebie boi,

„Żeby mu kordon⁵⁾ jakiej nie zagarnął wioski,

„Waląc wreszcie na króla i winy i troski“.

— „Są wiersze“.— „To błazeństwo! — „Są też „Polski dzieje“.

„Bodajbyście wisieli na haku, złodzieje,

„Żeście, w wieczne swój naród podając pośmiechy,

1) „Sejm szatański“—satyra 17 w., której treść podaje autor niżej;

2) radomska rada=konfederacja radomska; mowa tu o sejmie z r. 1767 —8, upamiętnionym porwaniem senatorów przez Repnina; 3) adwokat;

4) „Przyjaźń patryotyczna“ — książka A. Kamińskiego o miłości ojczyzny; 5) kordon — linia wojska na granicy; mowa tu o kordonach pruskich, austriackich i rosyjskich (po pierwszym rozbiore).

„Powyrzucali z kronik i Wandy i Lechy!“
— „A o gospodarstwie też będzie wziąć co wola?“ —
„I bez ksiązek pszenicę rodzi moja rola!“
— „To o rządzie Europy?“ — „A mnie bies co potem,
„Jakim się cudze sprawy wiją kołowrotem!
„Ja wiem, że u nas sejmik będzie na Gromnicę,
„A jarmark na Łucyą, świętą męczennicę!
„Nie baj, miły staruszk; trzeba dla mej pani
„Dryjakwi ¹⁾, co od Złotej noszą Węgrzy Bani ²⁾:
„Dwa razy tylko była mi w Warszawie, alic
„Nie może, biedna, spazmów od siebie oddalić“.
— „Takie rzeczy w aptekach“.— „Więc przecie, mój
bracie,
„Drukowane jej w sklepie opisanie macie“.
— „Cóż więcej?“ — „Kalendarza!“ — „A jakiego?“ — „Coby
„Uczył, czy będą u nas i jakie choroby
„W tym roku, jeśli pokój, czy będziem mieć wojnę,
„Czy głód, czy urodzaje obaczymy hojne?“
— „Jest mały kalendarzyk .— „Ten?... to zdrajca, który
„Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry,
„Co nigdy nie napisał (aż mię serce boli!)
„Lubom za przywilejem wendeński podstoli ³⁾.
„Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie,
„Publicznie protestował za wzgardę na sejmie,
„By mi go zerwać przyszło!... „Tak po targu sprzecznym,
Dawszy tynfa ⁴⁾ rudego z mieczem obosiecznym,
Podniósł bibliotekę na ładunek głowy:
Receptę do dryjakwi i kalendarz nowy!...

¹⁾ dryjakiew—lekarstwo; ²⁾ Złota Bania—miejscowość na Węgrzech;

³⁾ od pokoju w Oliwie miasto Wenden (w Inflantach) przestało należeć do Polski; a stąd godność „podstołego wendeńskiego“ była już tylko tytułarną, i dlategogo pominął ją w spisie urzędników ów kalendarz;

⁴⁾ tynf—moneta.

Owóż masz literata! Nie jeden to taki,
Co woli w domu czytać szpargał ladajaki
Lub zbijać tylko grosze, by je pan syn stracił,
Niż gdyby rozum pięknem czytaniem zbogacił.
Więc, jako też kto czyta, tak potem i prawi:
Pali Euksyn¹⁾, na piaskach papierowe stawi
Okrety; bohaterów na powietrzne sadzi
Wozy i przez obłoki gryfami prowadzi;
Zamienia ludzi, w wilcze przyodziawszy skóry;
Nosi baby na Łyse przez kominy góry;
Widzi Abła z Kainen na miesięcznej zorze
I solone Syreny prowadzi przez morze...

§ 80. Swoje nieśmiertelne stanowisko w dziejach literatury i wogóle umysłowości polskiej zawdzięcza Naruszewicz „Historyi narodu polskiego“.

Rozmiałowany w nauce historycznej, opracował krótki podręcznik historyi starożytnej, a co ważniejsza, przełożył na język ojczysty pisma najznakomitszego historyka rzymskiego, Tacyta. Otóż król, znając zamiłowanie Naruszewicza do historyi, a nadto jego uczoność i nadzwyczajną pracowitość, umyślił sobie nakłonić go do napisania historyi ojczystej. Raz, na obiedzie czwartkowym, wyraził St. August życzenie, aby uczeni polscy opracowali życiorysy znakomitych, godnych naśladowania dawnych Polaków; życzenie to spełniło się poczęści: niebawem opracowano życiorysy Jana Zamojskiego, Stefana Czarnieckiego, Jerzego Ossolińskiego i in., lecz najlepszy, znakomity, życiorys wyszedł z pod pióra Naruszewicza: jego „Historja Jana Karola Chodkiewicza“ (ogłoszona drukiem dopiero w r. 1781) jest najlepszą monografią historyczną w literaturze staropolskiej. Lecz królowi to nie wystarczało; w r.

¹⁾ Euksyn = morze Czarne; mowa tu o bezsensownych powieściach fantastycznych.

1774 wezwał Naruszewicza do opracowania całości historii ojczystej. Naruszewicz, zawsze do pracy skory, nie odmówił; uciekł z Warszawy w swoje strony rodzinne, zamknął się na cztery spusty i przystąpił do dzieła „w krwawym pocie czoła, z ofiarą zdrowia i wolności“, „dla nauki i pożytku spółziomków“. Z drukiem się nie śpieszył, bo rozumiał, że na pośpiechu straci wartość dzieła; pragnąc zaś przekonać króla, który się niecierpliwił i naglił, by drukować, że nie próżnuje, posłał mu wiersz p. t. „Głos umarłych“ (1778). Wymowniejszego dowodu pracy złożyć nie mógł: jestto bowiem owoc sumiennych badań i głębokich rozmyślań nad przeszłością Polski, rozmyślań zacnego patrioty, który, rozumiejąc, że przyczyni nieszczęść ojczyzny szukać trzeba nie w „obcych uciskach“, tylko we własnych winach, nie wahał się tej bolesnej prawdy wypowiedzieć, słusznie upatrując źródło nieszczęścia Polski w osłabieniu silnej niegdyś władzy monarchicznej oraz w płynących stąd anarchii, złotej wolności, rządach sejmikowych i egoizmie stanowym szlachty (z krzywdą chłopów i mieszczan); nie wahał się również napiętnować jednej z wad naszego charakteru narodowego: niewdzięczności,—czarnej niewdzięczności wobec własnych królów-dobroczyńców. Szkoda tylko, że i tutaj nie wyzbył się Naruszewicz panegiryzmu względem St. Augusta, któremu wróży, że przyjdzie chwila, kiedy go naród nazwie ojcem ojczyzny!! Ale pozatem jest „Głos umarłych“ utworem prawdziwie pięknym, jest jedynym wierszem Naruszewicza, wznoszącym się do godności poezji, a to przez podniosłość tonu i powagę formy, przez wspaniałą jędrność stylu (w strofie „Ociec król“), a nadewszystko przez szczerść uczucia patriotycznego, jakie biją z tej bolesnej skargi, włożonej w usta królów polskich, którzy i po śmierci „patrzą na ziemne z wysoka mieszkańce“, — na swoje nieszczęśliwe dzieci.

GŁOS UMARŁYCH.

Z kwiecistych posad helikońskiej góry
Miedzy zamierzchłe wtrącony cyprysy,
Gdy mchem porośłe przeglądam marmury,
Nad zatartymi jękając napisy,
Lat waszych niemem świadectwem, królowie!—
Taki się z mogił głos do mnie ozowie:

- „Ty, co narodu mego piszesz dzieła
- „I z umarłymi mieć rozumiesz sprawę!
- „Nie tak nas twardym snem Kloto¹⁾ ujęła,
- „Zwłókłszy widzialną słabych ciał postawę,
- „Byśmy część lepszą życia utracili:
- „Żyliśmy, żyjem i będziemy żyli.
- „W wiecznego kręgu osadzeni świata,
- „Patrzym na ciemne z wysoka mieszkania:
- „Głos żalów waszych i tu nas dolata,
- „Gdzie, nieprzebyte usypawszy szafce
- „Twórca na oddział błędu i istoty,
- „Nam dał doznawać, wam—dociekać cnoty.
- „Czegoż się błędny uskarżasz narodzie,
- „Zwalając los twój na obce uciski?
- „Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
- „I bolej na jej oplotane zyski!
- „Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
- „Który sam siebie pierwej nie osłabił.
- „Stargawszy węzeł pokoju i zgody,
- „Niegdyś w najwyższej władzy osadzony,
- „Rozbiegliście się, jako liche trzody,
- „Bez wodza, rządu, rady i obrony.
- „Ostygło dobra publicznego serce,
- „Albo pochlebce, alboście oszczerce!

¹⁾ Kloto, Lachesis, Atropos—trzy Parki.

- „Cóż kiedy niesfor¹⁾ głów tysiąca zrobił?
„Wiążąc bezczynne manarchów ramiona,
„Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobił,
„Szerzył ze starostw dziedziczne imiona,
„A pod pozorem wolności mniemanej
„Określał²⁾ króle, rozmnażał tyrany.
„W niczem ojczyzna dotąd nie urosła,
„Jako się członki rozprzęgły od głowy:
„Stracił kmieć przemysł, upadły rzemiosła,
„Włożyła w pochwy Temis,³⁾ miecz surowy;
„Kapłan dla zbioru, pan został dla zwady,
„Król dla pozoru, żołnierz dla parady.
„Święte Jagiełłów i Piastowe zbiory,
„Na pastwę dumy nikczemnie zmienione,
„Gnuśne próżniaków uzłociły dwory
„Albo w stołowych zbytkach ponurzone;
„Zginęły z królów odarte łupieżę,
„Wiatr ich roznosi i zamki i wieże!
„Zbrojnych zastępów ogromne szeregi
„Pod jednym berłem ledwo kto policzy;
„Drżały przed nimi oba morza brzegi,
„Gdzie im Dniepr z Wisłą pławi swe zdobyczy,
„Dziś ni rycerstwa, ni wojennej sławy,
„Chociaż się liczne podni sły buławy.
„Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
„Sierocych piskląt garnie się drużyna,
„Gdy na nie orlik, pazury otwarte
„Z góry podnosząc, uderzać zaczyna;
„Wyście ją z piórek obnażyli marnie:
„Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?
„Niemasz pod słońcem, jak świat stoi światem,
„Gdziebie się w rządzie większe działa cuda.

1) niesforność, niezgoda; 2) określać=ograniczać; 3) bogini sprawiedliwości.

- „Pocóż królewskim błyskać majestatem.
„Jeśli bezczynna w nim tylko obłuda?
„Po co ich szukać, łożąc kosztów wiele,
„Jeśli królowie są nieprzyjaciele?
 „Ociec król—czemuż dziecię mu nie wierzy?
 „Pan—cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
 „Wódz jest najwyższy—czemuż bez żołnierzy?
 „Sędzia—gdzież w jego ręku miecz i prawa?
 „Nędznaż to ziemia, dzika i szalona,
 „Gdzie same tylko w rządzących imiona!
„O! błędna trzodo herbowej gołoty ¹⁾,
„Co, na twe chytre patrząc przewodniki ²⁾,
„Nie znasz, jak z twojej żartują prostoty,
„Klejąc, zrywając przedajne sejmiki!
„Dla swych cię oni prywat używają:
„Ty chcesz wolności — a oni ją mają!
 „Dziedzicznych swobód twierdzą i obronę
 „Za kielich trunku, ukłon bałamutny,
 „Wybierasz posły jaśnie oświecone,
 „Wrzeszcząc do chrypki na rząd absolutny.
 „Nie tobie oni swoją łowią wędą:
 „Ty pługiem orać — oni tobą będą!
„Kto tylko wielkim żył na waszym tronie,
„Musiał za pasy chodzić z niewdzięczniki;
„Zwano go ojcem, ale już po zgonie,
„W martwych popiołach między nieboszczyki!
„Wasz to obyczaj cierń w życia przeciągu
„Kłaść im na głowy, kwiat—aż na posągu.
 „Dzielny Łokietek, co Polskę zjednoczył,
 „Trzykroć ojczystą musiał rzucać ziemię;
 „I, choć sto grodów murami otoczył,
 „Choć dzikie w kluby ³⁾ praw osadził plemię.

¹⁾ herbowna gołota (hołota) = szlachta; ²⁾ t. j. na magnatów; ³⁾ kluba, kluby = karby, porządek.

- „Złość i Wielkiego Kazimierza przecie
„Czarnemi farby oćmiła na świecie.
„Tęsknił Jagiełło nieraz w tej koronie;
„Syn ¹⁾ jej nie pragnął, zwlekając czas długi;
„Zygmunt choć mówił, że śmiało na łonie
„Poddanych spocznie na liczne usługi,
„Targnęliście się po dwakroć nań, dzicy:
„Buntem we Lwowie ²⁾, a kulą w stolicy ³⁾!
„Któż twe policzy przykrości, Stefanie,
„O ty, północnej siły mężny gromie?
„Kto trudy twoje, Kazimierzu Janie?
„Los cię przymusił umrzeć w obcym domie;
„Uratowałeś ojczyznę w złej toni:
„Twoi się na Cię porwali do broni ⁴⁾!
„I Ty, choć pędzisz wiek w troskach i pracy,
„Znosząc win cudzych ciężar, Stanisławie!
„Pewnie Ci wdzięczni zostają Polacy,
„Że im królujesz mądrze i łaskawie?
„Oto ci codzień, w samej wieku wiośnie,
„Z smutku na głowie śnieżny włos urosnie.
„Tyś ciąglej rady duchem rząd ocucił,
„Co, śpiąc dwa roki, ocknął się i zasnął:
„Za Twym powodem lustr nauk powrócił,—
„Już on był prawie w barbarzyństwie zgasnął;
„Łagodysz wrzawy, wprowadzasz porządki,
„Targasz zawisne na kraj losów wątki.
„Za miłość wierną króla-patryjoty,
„Wie świat, coś cierpiął od wzięcia korony;
„Więcej w Twem sercu utaiły cnoty
„I do dobroci umysł urodzony.

1) Kazimierz Jagiellończyk; 2) wojna kokosza; 3) r. 1523 w Krakowie strzelił ktoś do Zygmunta Starego; 4) rokosz Lubomirskiego.

„Nie wzdychasz na twe i szwanki i szkody:
„Bardziej cię bolą ojczyste przygody.
„Czekaj tej słodkiej, lecz późnej zapłaty,
„Kiedy Twe zwłoki zimny gład przywali;
„Zapłacze naród Twej w czasie utraty —
„Cnota dopiero po zgonie się chwali—
„I, żeś był Ojcem swej Ojczyzny, powie!“
Na tem się ziemny głos zakończył słowie.

Nareszcie, w lat sześć po rozpoczęciu pracy, wydał Naruszewicz tom pierwszy swej „Historji narodu polskiego od przyjęcia chrześcijaństwa“ (1780), a w sześć lat później (1786) ukazał się tom szósty i, niestety, ostatni, doprowadzony tylko do ślubu Jagiełły z Jadwigą. (Tom wstępny, obejmujący dzieje Słowiańszczyzny i Polski przedchrześcijańskiej, wydano dopiero po śmierci autora, w r. 1824).

Jeszcze przed rozpoczęciem pracy złożył Naruszewicz królowi memoriał, w którym wypowiedział swoje poglądy na zadania historyka i historyi; jego zdaniem, dzieło historyczne posiadać winno cztery główne przymioty: „zebranie rzeczy pilne“, „rozłożenie łatwe i porządne“, „krytykę mądrą“ oraz „ozdobienie, gładkością pióra powabne“, t. j. styl „gładki, wspaniały, płynny i poważny“.

Warunek pierwszy wypełnił Naruszewicz świetnie: „zebranie rzeczy“ jest tak pilne, jakiego nie było w Polsce od czasów Długosza (§ 8). Jak Długosz, tak i on zgromadził wszystkie możliwe źródła dziejowe: nietylko dawne kroniki i opracowania, drukowane i rękopiśmienne, polskie i niepolskie, ale i dokumenty — „zapełniałe po archiwach i bibliotekach papierów stopy“; nie pominął nawet źródeł, na pozór mniej ważnych, np. opowieści o cudownych obrazach, słusznie mówiąc, że „i w tych pobożnych ramotach wielkie i ważne do oświaty ciemnych w historyi zakątków znaleźć można dowody“. Bo rozumiał Naruszewicz, on

pierwszy w Polsce (nauczył się tego od Woltera), że historyk winien badać nietylko sprawy państwa, ale i cywilizację, obyczaje i charakter narodu, i że na historię składają się nietylko dzieje zewnętrzne, ale i wewnętrzne „Jako ciała ludzkie, istotą duchowną ożywione, przez wewnętrzne i zewnętrzne niemocy, które je słabiają, mają osobliwsze jakieś przymioty, jedne od drugich, w głosie i ustach, spojrzeniu, chodzie, rozróżniające: tak wszystkie narody... mają właściwe krajom swoim przydatki; mówię tu o krajowych obyczajach, o charakterach wieków i ludzi, które nie są tak pospolitą materią, aby historyk... nie miał dotknąć tej powierzchownej cechy, częstokroć grunt i skłonności wewnętrzne narodów wyrażającej; do objaśnienia tego punktu służyć mu powinno to wszystko, cokolwiek do obrządków i ceremonii, tak świeckich, jako duchownych, przynależy; takie są opisanie ustanowienia trybunału, wjazdów publicznych na magistratury, koronacyi królów,... ślubów, pogrzebów, igrzysk,... mody w sukniach, pojazdach, dworach i budowaniu, do czego starożytne nawet obrazy, rzeźby i malowidła pomocą być mogą... Nie dosyć na tem historykowi wypisać, co Polacy i jakim sposobem zdobyli, jeśli w ciągu powieści swojej nie ukaże, jak swój nabytek w kwitnym stanie utrzymywali lub go niedbalstwem i nierządem słabili i utracili: moc oręża, spadki dziedziczne, unie... rozszerzają granice królestwa; mądre prawodawstwo, rząd wewnętrzny, handel, rolnictwo, rękodzieła i nauki krzewią one, zdołają, bogacą i zasilają. Do doskonałego tej tak głównej historii części ułożenia należy pracującemu około niej mieć zebrane wszystkie prawa narodowe...; a że, po osłabieniu w narodzie naszym władzy monarchicznej, zupełnej za Piastów, a tchnącej jeszcze jakkolwiek za Jagiellonów, źródłem legislacyi¹⁾

¹⁾ legislacya==prawodawstwo.

krajowej zostały sejmy, należy mieć wszystkie onych dyaryusze¹⁾... A co się tycze nauk, wiedzieć ma pisarz szczególne opisy, przywileje, powinności akademii, szkół, far, życia, dzieła i nagrody ludzi uczonych, wprowadzenie i nadawanie duchowieństwa, z powołania swojego dla nauki i oświecania ziomków, dobroczynnością królów, miast i prywatnych obywatelów utrzymywanego; skądby mógł poznać, jako u nas nauki, rękodzieła, przemysł, porządek, bogactwa wzrost brały lub słabły i upadały“. Tak szerokiego poglądu na zakres historii nie miał u nas nikt przed Naruszewiczem, bo też pogląd ten stworzyła dopiero nauka wieku oświeconego.

Z warunkiem drugim, z „rozłożeniem łatwym i porządnym“, nie umiał dać sobie rady Naruszewicz: jak Długosz, tak i on opowiada o wypadkach historycznych z roku na rok, a więc układ jest przestarzały, kronikarski i przez to wcale nie „łatwy“ owszem, utrudniający czytelnikowi wyrozumienie ciągłości przyczynowej wypadków; a nie jest i „porządny“, skoro wiadomości o dziejach wewnętrznych umieścił autor nie w samym toku wykładu, ale w osobnych przypiskach (np. o organizacy Kościoła w Polsce, o żupach solnych, o wojskowości, o rządzie i t. d.).

Z trzeciego zaś zadania wywiązał się Naruszewicz, jak należy: w jego „Historyi“ jest „krytyka mądra“ i ona to właśnie stanowi najznamienniejszą cechę i zarazem najwyższą zaletę dzieła. Na czymże ma polegać ta „krytyka mądra“? Na tem przedewszystkiem, że historyk winien „wyśledzić przyczyny, oceniać skutki“: „mało na tem. że kto wygrał bitwę, jeżeli nie wiem, z jakich powodów wojnę zaczął, jakimi drogami prowadził, co za zysk wzięła wygrana“. Otóż tej zasady pilnie przestrzegał Naruszewicz, zapatrując się na dzieje, jako na jeden ciągły łańcuch

¹⁾ dyaryusz = dziennik.

przyczyn i skutków; innemi słowy, jego „Historya“ jest pragmatyczna. Ale to nie wystarcza: głównem zadaniem krytyki jest rozróżnianie „pozeru od prawdy“. Wiedział o tem wprawdzie już Długosz, ale cóż z tego, kiedy, jako człowiek średniowieczny, był nadto łatwowierny, wierząc np. ślepo baśniom o Popielu, Krakusie, Wandzie t t. p. Naruszewicz, jako syn wieku oświeconego, już nie wierzył; wiedział, że „nie wszystko to prawda, co starszy napisali“, rozumiał, że „jak czysta woda, odchodząc coraz dalej od swego źródła, przylewem obcych ścieków traci swą barwę, smak i istotę, traciła prawda w zamęczeniu swoim z baśniami pewność pierwiastkową; wprowadzone z czasem pisma ugruntowały tembardziej powagą pisarzy gminne podania; trudno już więc było co mówić przeciwko Lechowi, Wandzie i Popielom: niejedni się dąsał, zasłaniając się, jak tarczą, tradycją antenatów a powagą Kadłubka; potrzeba było atoli odważyć się na tę pracę“. Otóż on się pierwszy na to odważył, on pierwszy poczytywał Kadłubka za bazarza, to też drwił sobie z niego i z jego „przypiewków nadprzyrodzonych“, nazywając je „głośniami trąbami, donoszącemi o fałszu całej powieści“; historia Wandy np. byłaby jego zdaniem „piękną nader do bajecznego jakiego romansu albo do tragedyi materyą“, ale nie do nauki; więc wyrzucił dzieje bajeczne, w przekonaniu, że dopiero „Ziemowita panowanie na pewności historycznej ugruntować można“.

W tym swoim krytycyzmie posunął się Naruszewicz jeszcze dalej. Wierzył w Opatrzność i sprawiedliwość boską, która „występki ściga i karze“, ale i w to wierzył, że Bóg, stwarzając świat, stworzył i niewzruszone prawa, które rządzą zarówno naturą, jak ludźmi, a jeżeli tak, to różne wypadki, które się wydają ludziom cudami, nie są nadprzyrodzone, bo się dadzą wyjaśnić właśnie owemi prawami, których znajomość zwiększa się z postępem wie-

dzy ludzkiej. Opowiada Długosz, że w r. 1241, gdy Tatarzy oblegali Wrocław, pewien zakonnik „modlitwą swoją uwolnił miasto od oblężenia: kiedy bowiem oddawał się modlitwom, słup ognisty z nieba spuścił się na jego głowę i miasto z całą jego okolicą cudownym blaskiem oświecił; to zjawisko takim strachem zdjęło Tatarów, że uciekli“. I Naruszewicz mówi o tym słupie, ale dodaje: „Badacze natury i jej tajemnic, Twórczą ręką na użytki ludzkie sporządzanych, przypisują to zorzy północnej, której się dzicz lekkowierna ulękała, jako wpływów na ziemny okrąg nadpowietrznych nieświadoma, a Opatrzność też na prośby sługi swojego zrządzić mogła, że ten przyrodzenia skutek stał się okrutnych umysłów kaźnią i rozgromem“. Wogóle o wszelkich cudach mówi Naruszewicz nietylko ostrożnie, ale czasem z wyraźnym odcieniem niewiary albo niechęci, pisząc np.: „Wspomina Długosz o cudownem przez św. Stanisława wskrzeszeniu Piotrowina: dawniejsi od Długosza kronikarze o tem zamilczeli“; „cuda, zdarzone po śmierci męczennika, uwieńczyły cnoty jego i pamięć w potomności“: ale, ponieważ cuda te są „od pisarzy narodowych i obcych po stokroć w druk podane“, więc poco i naco o nich mówić? Po zabójstwie biskupa, opowiada Naruszewicz, papież odsądził Bolesława od korony; czyn ten nazywa bez ogródki bezprawnym, dodając, że wogóle mieszanie się papieży do spraw politycznych było „nieszczęśliwością, równie dla narodów, jak dla samej stolicy apostolskiej, szkodliwą“. Za ten właściwy wiekowi oświeconemu krytycyzm względem tradycji i Kościoła uchodził Naruszewicz w oczach wielu za bezbożnika i bluźniercę, chociaż ani jednym, ani drugim nie był.

Lecz historyk powinien, zdaniem Naruszewicza, różnić nietylko prawdę od pozoru, ale i dobre od złego, „aby, powiadając, co się działo, oświecał rozum czytającego, jeśli się to dobrze, lub przeciwnie dobru popołitemu

działo“. Z tego prawa historyka do wydawania własnego sądu o wypadkach korzysta Naruszewicz skwapliwie, pragnął bowiem oświecać swych czytelników, nauczyć ich mianowicie mądrości politycznej. Poucza więc ich przy sposobności, że „duma możniejszych i uciemiężenie gminu przez nich“, które były „od wieków fatalną narodu naszego przywarą“, są dla państwa źródłem okropnych nieszczęść; że nie mniejszem nieszczęściem jest „swoboda albo raczej swywola anarchiczna“, „wierzganie na rząd i wszelką zwierzchność“; że „źródłem istoty i szczęśliwości narodów“ jest posłuszeństwo prawom. Ale za główny warunek potęgi państwa poczytuje silną władzę królewską i tron dziedziczny, tron obieralny bowiem pociąga za sobą bezkrólewia, te zaś są zawsze „hasłem do rozruchów i szkód krajowych“. Z takiego stanowiska wydaje sąd o dziejach Polski: wielbi więc Bolesława Chrobrego, którego dzielność, jak mówi, zamieniła nierząd w monarchię; przypomina, że po śmierci Bolesława Krzywoustego „z osłabieniem rządu monarchicznego, dały się czuć natychmiast nieszczęśliwe podziału skutki“; chwali Przemysława, który „ojczyznę podźwignął, wlewając w jej rozszarpane ciało ducha rządu, jedności i subordynacji pod jednym berłem“; za to samo nazywa Łokietka „jednym z największych królów na świecie“; przywileje koszyckie poczytuje za nieszczęście; od nich bowiem poczęły się rady możnowładcze z uszczerbkiem władzy królewskiej. Otóż ten monarchizm Naruszewicza i krytyka anarchii stanowią główną dążność (tendencję) i jakby myśl przewodnią całej jego „Historyi“: pragnął on wpoić w społeczeństwo przekonanie, że nieodzownym środkiem do ratowania tonącej ojczyzny jest wzmocnienie władzy królewskiej i zaprowadzenie dziedziczności tronu.

Nakoniec, co do warunku czwartego, wypełnił go Naruszewicz doskonale: jego dzieło posiada naprawdę „ozdo-

bienie gładkością pióra powabne“, styl bowiem choć nie jest „wspaniały“, ale jest gładki a jasny, płynny a prosty, a nadto odznacza się powagą, godną dzieła naukowego.

Wogóle „Historya narodu polskiego“ jest dziełem ogromnej na swój czas wartości, jest najznakomitszym pomnikiem polskiej literatury naukowej wieku oświeconego, jest u nas pierwszą od czasu Długosza historią Polski, stojącą na wysokości współczesnej nauki europejskiej; a przez myśl przewodnią, przez dążność do podźwignięcia ojczyzny z nierządu, jest nadto mądrym czynem patryotycznym.

O Leszku III. Leszka III dziejopisowie nasi umieszczają na tronie polskim, synem Leszka II czynią. Najpierwszy z nich o nim Kałtubek, zwyczajem swoim niedokładnie plotący baśnie, pisał. Mówi on, „... iż Juliusza Cezara we trzech stoczonych bitwach zwalczył, Krassa u Partów o klęskę i całego wojska zniszczenie przyprawił, samemu zaś złoto roztopione w gardło lał, mówiąc: „Żądałeś złota, pijże je!“ Takie nakoniec sny i baśnie, czyniąc go królem Getów, Partów i za Partami leżących krajów, plecie, iż choć w części nieznaną krajów i narodów, przezeń okazaną, dowieść należy: za Getów albowiem poczytuje Prusaków, za Partów—Ruś!... Pisz o wojnach Leszka III z Juliuszem, o małżeństwie jego z Julią, rzymskiego dyktatora córką, założeniu od niej Julina czyli Lublina: co tak oczywistym jest fałszem, że go i zbijać nie należy. Juliusz Cezar nigdy Elby rzeki, owszem i następni po nim cesarze rzymscy, lubo z germanami wojowali, nie przeszli; dalekoż bardziej, aby z Słowianami kiedy wojowali! Nie było też za Juliusza ani Polaków, ale Słowianów, a córka jego Julia komu była poślubioną, rzymskie dzieje świadczą.

Bezkrólewie po śmierci Mieszka II. Rok 1035 i 1036. Zostawiony bez rządu i głowy naród, nie mając ani za-

chętu do cnoty, ani powściągu do swywoli, otworzył smutne dla ludzkiej społeczności w okropnej anarchii widowisko. Póki była w domu Ryksa, lękali się nieco możniejsi jej surowości. Prywatne zajścia i dumne możniejszych zamiary ukrywały się tylko popularnem naówczas na bezprawia dworskie sarkaniem, a uciążliwość poddanych,... nadgradzając się przynajmniej wewnętrznym pokojem, mniej znaczną krajowi szkodę przyniosła. Odjazd królowej z dziedzicem tronu, uchyliwszy zupełnie pastwę zapalonemu na przemoc dworską pożarowi, obrócił go na własnych ziomków. Były już zdawna wrzucone pod gnuśnym Mieczysława rządem przyszłej domowej wojny nasiona. Przewidział one Bolesław Chrobry: następca ich nie zatłumił. Utworzyły się dwie przeciwne strony: jedna, królowej i Niemcom przychylna dla zysku i faworów, mianowicie młodzi; druga, ze starszych, nienawistna im dla zdradzie. Obfici w dobra i majątki hrabiowie, osobliwie, którzy albo wojskami przywodzili, albo straż zamków królewskich trzymali, chcieli być udziałnymi na wzór Niemców. Pogranicznych wspierała nadzieja pomocy dla sąsiadów: Rusinów, Prusów, Jazdźwingów i innego barbarzyństwa. Uciemężone chłopstwo czekało tylko pory i wodza na zemszczenie się srogiego od dziedziców jarzma. Zwolniałe w przykładowym życiu duchowieństwo, a bogatymi od królów i prywatnych pomnożone w dobrach i dziedzinach dochodami, znajdowało wzgardę i niechęć z obelgi. A tak w powszechnym owym stanów i ludzi bez rządu zamieszaniu poczęła się okropna scena od wzajemnych między możniejszymi najazdów i bitew. Im kto w potęgę, przyjaciół i zuchwałość większy, tem liczniejsze zgromadziwszy ludzi swywolnych kupy, napadał na cudze osiadłości, wyganiał z domu dziedziców, a gdy ci, broniąc swego, albo wet za wet oddając, w podobne opatrują się łotrów drużyny, stawały w polu przeciwko sobie wojska

gromadne i na wzajemną zagładę krwawe wydały polityczki.

Pomnożyła domową nieszczęśliwość chłopska na panów rebelia. Pamiętni na przeszłe od niektórych uciemżenia, kmiecie, jedni przez zemstę, drudzy, zuchwalszych przykładem i niejakaś powszechną zarazą ozionieni, porzucając pługi, udali się na rzeźbę uciążliwych dziedziców. Opanowali pańskie domy, zabijali dzieci i żony, w nich pozostałe, a gdy im to bez kary uchodziło, urósłszy przez łączenie się z sobą okolicznej czerni w liczne wojsko i hersztów sobie porobiwszy, zbrojnym panom stawić pole odważyli się. Jeśli się im udało zwyciężyć, natychmiast, wyrznawszy pojmanyh lub w stan poddański i niewolniczy obróciwszy, dobra ich i majątki między siebie rozrywali, a których pokonać orężem nie mogli, podpałami dworów lub innem jakim złoczyństwem nad nimi zemsty szukali. Wielu było, którzy, pamiętając na dawne bałwochwalstwo, powracali do pogaństwa, że, w niem żyjąc, większą sobie wolność do wszelkiego rodzaju zbrodni, mianowicie zaś do łupienia kościołów, bogom swoim przeciwnych, być rozumieli. Zagęściły się wszędy rozboje, kradzieże i mężobójstwa. Nie były bezpieczne same świątynie od łupiestwa, a biskupi i kapłani od mordów, z których wielu żelazem gardła dali; drugich żywcem kamieniami przywalano, inni w lasach kryć się musieli. Wiele miast, wiosek i dworów rozhukana swywola w perzynę obróciła, że w krótkim czasie ledwo nie cała Polska ogromną stała pustynią... Bunt chłopski po śmierci Mieczysława powstał z uciemżenia i niewoli: prywatnych przewinienia i złe używanie mocy przyniosły klęskę publiczną.

Z okoliczności tego buntu zdaje mi się namienić krótko, skąd ta między ludźmi nierówność, a zatem i w Polsce naszej stan poddaństwa niewolniczy wziął początek. Natura ludzka uczyniła wszystkich równymi co do

istoty; atoli w pierwiastkach samych, podzieliwszy nierównie między tychże ludzi dary przyrodzone, rzuciła w nich zaraz przyszłej podległości bujne nasiona, kiedy, jednak jednak zdobiąc znakomitszymi rozumu lub ciała przymiotami, drugich upośledzając, tamtym przodkować i rządzić, tym słuchać i podlegać rozkazała. Stąd pierwszy początek nierówności naturalnej za tych nawet złotymi nazwanych wieków, kiedy ludzki naród, w śliściejszych jeszcze płodności granicach zamknięty, pod ojcowskim najstarszych głów rodziny zostawał rządem. Za wzmożeniem się społeczności ludzkiej, gdy nastąpiła chciwość własności osobistej, jednych większa silność ciała, przemysł, trefunek, szczęśliwość, nabyta pracą i dowcipem, drugich niepomyślne powodzenia, własnem niedołęstwem sprawione, naczyniły między ludźmi wiele bogactw i ubogich, dziedziców i poddanych. A tak ci, co w ojcowskim rządzie podlegali sobie pobratersku, nierówni tylko w przyrodzonych ciała i duszy przymiotach, tak potem, dla przemocy, bogactw lub innych przypadkowych darów, w rządzie cywilnym stali się służebnie podległymi. Nastąpiły z pomnożeniem się ludu podziały ziem między uformowanymi narodami; stanęli na czele narodów królowie i książęta; chciwość większego nabytku, dawniej prywatnym tylko znajoma, przeniosła się do narodów i monarchów. Powstały między nimi srogie bitwy, zjawilo się prawo drapieżne wojny, a zabrani w bojach lub najechani w dziedzinach własnych mieszkańcy już nietylko, dla nierówności przymiotów i trefunkowych darów, podległymi, ale, dla niezdolnej oprzeć się gwałtowi mocy, stali się okrutnych zwycięzców podły mi niewolnikami. I te to są najgłówniejsze z źródeł, z których naprzód nierówność naturalna, potem cywilna, nakoniec wojenna (a ta najgorsza) wypłynąwszy, wprawiła ludzi w poddaństwo i niewolę. Słowianie, ojcowie nasi, naród, obyczajem drugich, błędny, a rozprzestrzeniania się

i wojny chciwy, mając na oku dwa tylko założone cele: zdobycz ustawiczną z cudzego, a uprawę roli na własnym, byli sami żołnierzami; a większą nierównie część obywatelów najechanych od siebie krajów od pługa poświęciwszy, tymże postrachem oręza, którym sąsiadów gromili, utrzymywali w uciążliwej około uprawy gruntów pracy i poddaństwie. Powszechnie w narodach wojowniczych mniemanie, że zaszczyt szlachectwa i swobody zawisł na szabli, a zapocone znojem rolniczym dłonie podłości i niewolnictwa nosiły znamię, sprawiło w Słowianach pogardę wieśniaczego gminu. A tak, napadając na obce państwa, zabierając pojmańców i włościanów bezbronnych, nowem jeszcze zwycięstwa prawem pomnożyli liczbę niewolników, którymi wsie swoje i grunta osadzili. Powoli gmin ten nieorężny, bez mocy, obyczajów i oświecenia, zapomniał na prerogatywy ludzkiej równości, a przechodząc w dziedzictwie od jednego do drugiego pana, już i przekonany został, że się do niewoli urodził. Za przykładem przodków Słowian idąc, potomkowie ich, Polacy, zwyczajem długotetnią praktyką w prawo obrócone, ze krwią i dziedzictwem wzięte, dotąd utrzymujemy.

Śmierć i charakterystyka Władysława Łokietka. Wróciwszy się do Krakowa w jesieni (1332), słabiej na zdrowiu i upadać na siłach począł, nie wstając już z łóżka aż do zgonu, w chorobie dopełniając obowiązków chrześcijanina i króla, gdy się już blizkim śmierci był widział, zawoławszy do siebie Heliasza dominikanina, męża cnotliwego, spowiedź przed nim uczynił i należyte sakramenta z błogosławieństwem papieskiem pobożnie przyjął. Potem, w obecności Spicimira, kasztelana krakowskiego, i Jarosława archidyakona, dawszy nauki synowi, stosowne do jego stanu przyszłego i potrzeb królestwa, oraz poleciwszy go zgromadzonym licznie obywatelom koronnym, spokojnie życia dokonał w zamku krakowskim w Niedzielę trzecią

w post, a d. 2 Marca, wieku swojego 73 roku (1333). Pogrzebiony w kościele katedralnym, gdzie dotąd nagrobek jego widzieć. Wieść niesie, iż ciało zmarłego, wystawione na widok, przez wiele dni, nim pogrzeb nastąpił, nieskazane leżało. Panował po swojej koronacyi lat trzynaście. Wiek młodszy i swobodniejsza, mianowicie w wyższych stanach, ułomność naraziła go na wiele nagannych postępów. Grunt duszy szlachetnej ugładził z czasem te przywary; liczne przeciwności nauczyły go być dobrym i zahartowały cnoty cierpliwością. Żaden monarcha tyle nie zniósł, żaden go statkiem nie przewyższył. Wychowany i zrosły na wojnach, w obozach osiwił, z obozu prawie do grobu poszedł. Hojny, rostopny, przystępny, nie mściwy, wyrównał przymiotami ludzkości walecznemu sercu, które, acz w drobnym nader ciała obrębie zamknięte, jednym go z największych w świecie królów uczyniło.

§ 81. „Z historią narodu polskiego“. Naruszewicza ani jedno polskie dzieło historyczne XVIII w. nawet się równać nie może; zresztą mało kto z jego współczesnych łamał sobie głowę nad przeszłością Polski: później dopiero, już w wieku XIX, ukaże się cały szereg badaczy przeszłości ojczyznej, tworzących t. zw. szkołę Naruszewicza, którzy będą uzupełniali i prowadzili dalej jego wielkie, a nieukończone dzieło. Tymczasem zaś daleko więcej, niż dzieje dawne, pociągają piszących czasy nowe, więcej teraźniejszość, aniżeli przeszłość: dlatego posiadamy z tych czasów mnóstwo pamiętników, z francuskimi pamiętnikami St. Augusta na czele (których jednak w całości do dzisiaj jeszcze nie ogłoszono drukiem). Pomiedzy innemi pisał pamiętniki ksiądz Jędrzej Kitowicz (1728—1804), Wielkopolanin, który, jak sam pisze, prosto ze szkół „udał się w dworską służbę, później był konfederatem barskim, póki się nakoniec nie wyświęcił na księdza. Miejsca nigdzie długo zagrzewać nie lubił, „połowę życia swego rozmaite

z miejsca na miejsce odprawując przenosiny“: zjeździł całą Polskę i poznał doskonale jej obyczaje, bywał na wozie i pod wozem, na sejmikach i zjazdach, na polowaniach i uctach, był doświadczonym gospodarzem, zwołanym myśliwcem, wielkim znawcą i amatorem koni i wina. Pomimo jednak, że się pomiędzy ludźmi przecierał i często kąpał w życiu publicznem, nie bardzo mu się jakoś w głowie rozjaśniło, — został, czem był, człowiekiem niczego sobie, ale o ciasnej głowie, szlachcicem starej dady, zwolennikiem „liberum veto“ i tronu obieralnego, podejrzliwie i niechętnie patrzącym na Komisję Edukacyjną, na uprawnienie mieszczan, na Konstytucję 3 maja i wogóle na wszelkie reformy; szkoły polskie „upadły“, według niego, ze zniesieniem zakonu jezuitów; „Polska nie miała szczęśliwszych czasów i podobno mieć nie będzie, jak były pod słodkiem panowaniem Augusta III“, — „z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski“!!

O pisaniu Pamiętników myślał Kitowicz już zamłodu i w tym celu na luźnych świstkach papieru notował sobie różne zdarzenia, ale dopiero w roku otwarcia sejmu czteroletniego zaczął notatki „w jedną książkę zbierać“, i tak powstały jego „Pamiętniki“ (wydane dopiero w r. 1840), w które „pokładł nietylko znaczne dzieje, ale i małe zdarzenia“ od roku 1743 aż do upadku Polski. Z panowania Augusta III opisał kika luźnych wypadków, szczegółowo zato opowiedział historję pierwszych lat St. Augusta, mianowicie dzieje konfederacyi barskiej, przyczem tak się rozpędził, że jednym susem przeskoczył całe pięć lat po konfederacyi, a i potem jeszcze skakał sobie z roku na rok, aż dopiero, kiedy doskoczył do roku otwarcia wielkiego sejmu, zatrzymał się, nabrał tchu i odtąd już do końca zaczął opowiadać szczegółowo — o czasach sejmu czteroletniego, o wojnie z Rosyą, o powstaniu Kościuszki, o trzecim rozbiorze. O tem dziele swoim wydaje sam

autor sąd taki: „Kto szuka wdzięku stylu i powabnego rzeczy układu, przepraszam, tego u siebie nie mam“; „rzeczy tylko same opisuję, jak się stały, nie podając im... ani przyczyn, z których, ani konsekwencji, dla których zasły“; ale „tę nagość i skromność zachowuję tylko w opisowaniu samych dziejów, gdzie piszę, jako świadek; bo, gdzie piszę o jakich osobach,... tam piszę, sądząc, nietylko świadcząc“; wszystko, com w tych pamiętnikach napisał, albom oczami na to patrzył, albom z ust wiarygodnych słyszał,... przeto pismu memu wiara bez bojaźni zawodu może być dana“. Ten własny sąd autora jest po części słuszny. Prawdą jest, że „Pamiętniki“ niewiele posiadają „wdzięku stylu“ (choć miłej prostoty opowiadania odmówić im nie można), a układ jest nietylko niepowabny, ale często bardzo nieporządkny, a czasem groch z kapustą; prawdą jest dalej, że Kitowicz opisuje tylko „rzeczy same“, nie pytając ani o ich przyczyny, ani skutki; o pragmatyzmie nie ma najmniejszego pojęcia; i to prawda, że o różnych osobach wydaje autor swój sąd, ale taki też to i sąd: był Kitowicz człowiekiem podejrzliwym (jak przystało na szlachetkę, który w ludziach, u steru rządu stojących, zawsze wietrzył zamachy na wolność szlachecką), a dotego łatwowiernym i rozmiłowanym w powtarzaniu plotek. Opowiada więc np., że St. August, ten „obdartus“ obrzydliwy, otruł brata swego, prymasa, że książę Józef brał pieniądze od Prusaków, że Kościuszko stanął na czele powstania, aby się przypodobać księciu Czartoryskiemu, o którego córkę się starał i t. p. Wszystko to słyszał, oczywiście, Kotowicz od ludzi bardzo niewiarygodnych, od plotkarzów takich samych, jak on, a przeto nie zawsze jego „Pamiętnikom“ „wiara bez bojaźni zawodu może być dana“. Z tem wszystkiem nie są one bez wartości: oto poznajemy z nich doskonale, jak na wypadki współczesne patrzył i jak sądził ludzi publicznych prze-

ciętny szlachcic, podobny jeszcze trochę, pomimo że liźnął trochę nauki, do owego osła z bajki, co to wdział na siebie lwia skórę, ale mu z pod niej osłe uszy wyłaziły.

Nierównie większą wartość posiada inne obszerne pismo Kitowicza (wydane także dopiero w r. 1840): „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III“. Dzieło to naprawdę niezrównane, jedyne w swoim rodzaju, jako prawdziwe i dokładne zwierciadło obyczajowości staropolskiej „pod słodkiem panowaniem Augusta III“, t. j. w epoce, kiedy obyczaj polski był prawie jeszcze nie tknięty przez napływającą już, ale powoli, cywilizację francuską. Zaczyna autor od „obyczajności duchownej“ (t. j. od obrządków i zwyczajów religijnych), a potem w najdrobniejszych szczegółach opisuje „obyczajność (i nieobyczajność) „światową“. Wychowanie dzieci od samej kolebki; życie szkolne, życie duchowieństwa, zakonnego zarówno, jak świeckiego; sądownictwo (szczegółowy opis tortur), stan żołnierski; życie dworskie; obyczaje i służba na dworach wielkopańskich, potrawy i trunki; uczyty i pijatyki sejmikowe, zjazdy publiczne; stroje męskie i białogłowskie; dworki szlacheckie; łóżka i pościele, sprzęty domowe, pojazdy i konie; rozrywki i zabawy: zapusty, kuligi, reduty (karnawał w Warszawie), gry szulerskie; obrządki obyczajowe: dyngus wielkanocny, sobótka świętojańska, i t. d., i t. d.—oto co stanowi treść „Opisu“, a wszystko opisane z najdrobniejszymi szczegółami. W całej literaturze staropolskiej (nie wyłączając „Polski“ Kromera, § 29) nie ma drugiego równie dokładnego i szczegółowego obrazu zwyczajów staropolskich.

Z życia szkolnego. Lubo niektóre dzieci pojętniejszych zmysłów od pięciu lat zaczynano uczyć czytać w domu, nie oddawano ich atoli powszechnie do szkół, aż w roku siódmym zaczętem lub skończonem... W szkole parafialnej uczono **samiych chłopców**. Kara szkolna na

tych, którzy się uczyć nie chcieli albo swawolą jaką popełnili, była: niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie albo plagi. Instrumenta kary: placenta, t. j. skóra okrągła gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym obdłużnym¹⁾ osadzona, którą za omyłki w czytaniu lub napamięć tego, czego się nauczyć naznaczono, odmawianiu, bito w rękę; za zupełne nienauczenie się wydziału swego lub za swawolą albo inne przestępstwo praw szkolnych instrument kary -- różga brzoźowa albo dyscyplina pospolicie rzemienna, u surowych zaś nauczycieli z sznurków nicianych tęgo spleciona, siedm lub dziewięć odnóg mająca; którą różgą lub dyscypliną bito na ciało, uderzając najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, według cierpliwości ciała i według surowości nauczyciela. Na sporszych chłopczaków, więcej nad lat siedm starszych, używano kańczuga²⁾, a tym nie bito na ciało, któreby kaleczył, ale przez suknie, a przynajmniej przez spodnie, a i tak, silno przyłożony, dosyć bólu zadawał. Znajdowały się atoli tak twardego ciała dzieci, że kańczugowe plagi na samo ciało wytrzymały bez zbyt wielkiego bólu; lecz te, które miały twarde ciało, były też pospolicie równie tępych zmysłów i małe w naukach czyniły postępy. Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parochialnej³⁾, a ten mało gdzie używany. Kiedy który chłopiec nieprzyzwoicie się w izbie sprawił, tedy oskarżony musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku, na środku szkoły wystawionym; tam każdy wpółstudent, zdjąwszy but z nogi, uderzył go raz cholewą, i to była kara wstydząca, niebołąca, występкови równa.

Przekrzesanych w szkole parochialnej w pierwszych rudymentach⁴⁾ łaciny oddawano do szkół publicznych, je-

1) obdłużny = przydłuższy; 2) kańczug = bicz z rzemienia, naha bizun; 3) parochialny = parafialny; 4) rudymenta = początki.

zuickich lub pijarskich... Wszyscy panowie i szlachta i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja i karność dla wszystkich była równa bez względu na panicza i chudego pachółka, na szlachcica i mieszczańka albo chłopka. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszyimi zrównani, mieli jednak dla siebie preferencyą¹⁾, że zasiadali w szkole pierwsze ławy, chyba że się który źle uczył, to poszedł „ad scamnum asinorum“²⁾. Była ława przy piecu tak nazywana dla tych, którzy się uczyć nie chcieli; a jeżeli i taka degradacja nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich szkołach³⁾, wołając za nim: „asinus asinorum in saecula saeculorum“⁴⁾, do której ostatniej, a nieznośnej hańby ledwo kiedy przychodziło; bo, jeżeli który doszedł korony słomianej, już się tak pocił i maził nad książką, że oprowadzenia uniknął i wkrótce się z ławicy osłej wydobył, abdykowawszy⁵⁾ słomianą koronę kołkowi, na którym zawsze wisiała, wiele razy głowy do niej niej było; zapatrywali się na nią leniwi do nauki, jak na straszdyło, chętni zaś, jak na figiel, dla śmiechu wymyślony...

Nie dosyć było przez kary przymusić gnuśnych aby się koniecznie uczyli. Starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznymi, a najskuteczniejszymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, popolsku zazdrośników⁶⁾, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu, wyrzuciwszy ostatniego, jeżeli nie miał pa-

1) preferencya = przywilej; 2) na osłą ławkę; 3) t. j. klasach;

4) największy osiel ze wszystkich osłów na wieki wieków; 5) abdykować co = ustępować czego; 6) „aemulus“ znaczy dosłownie; współzawodnik.

ry, który uniknął emulacji, ale miał zato pilniejsze nad innych na siebie oko profesora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni na drugich, a który nad swoim przeciwnikiem bądź w lekcyi, bądź w jakim zapytaniu znienna zadaniem, bądź w pisaniu okupacyi¹⁾ otrzymał górę, za sądem profesora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika, co bardziej gniewało i wstydziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Druga emulacja była powszechna: jednej połowy szkoły przeciw drugiej połowie. Jedna strona szkoły nazywała się „pars romana“²⁾ i ta była starsza; druga strona zwała się „pars graeca“³⁾ i ta była młodsza... Nad każdą stroną na ścianie w tyle ławek wisiała tablica z napisem strony, której służyła, t. j. „pars graeca“, „pars romana“. Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w lekcyi szkolnej, niż druga, albo przeciwnej stronie zadała taką trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, a zadająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą profesora, — tedy w takowym i tym podobnym razie profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: „decem laudes“, „centum laudes“, „quingenta laudes“, „mille laudes“⁴⁾. Otóż takie „laudes“ strona od profesora biorąca zapisowała na swojej tablicy, zbierając je przez cały tydzień lub miesiąc według obfitości lub niedostatku. Gdy przyszła sobota lub ostatni dzień miesiąca, rachowały się z sobą strony: mająca więcej rugowała z ławek mającą mniej, przesiadując się na jej miejsce, a swego stronie zwyciężonej ustępując... Która strona wygrała, zawsze się pisała „pars romana“, a która przegrała, musiała przyjmować imię „pars graecae“, chociażby przed przegraniem była „pars romana“... I to

1) okupacya=ćwiczenie; 2) część rzymska; 3) część grecka; 4) dziesięć pochwał, sto pochwał, pięćdziesiąt pochwał, tysiąc pochwał.

był cały zysk wygranej,... a przecież ambicyą w studentach do pierwszeństwa podzegało.

Kulig. Zapusty. Dwóch albo trzech sąsiadów zmówili się z sobą, zabrali z sobą żony, córki, synów, czeladź służącą i co tylko mieli w domu dorosłego, nie zostawując w nim, tylko małe dzieci pod dozorem jakich dwojga osób, mężczyzny i niewiasty. Sami zaś, wpakowawszy się na sanki albo, gdy sannej nie było, na kolaski, karety, wózki, na konie wierzchowe, jak kto mógł, jechali do sąsiada poblizszego, ani proszeni od niego, ani przestrzegłszy go, żeby się nie skrył albo nie ujechał z domu. Tam go zaskoczywszy, rozkazywali sobie dawać jeść, pić, koniom i ludziom, bez wszelkiej ceremonii, właśnie jak żołnierze na egzekucyi, póty u niego bawiąc, póki do szczętu nie wypróżnili mu piwnicy, śpizarni i śpichlerza. Gdy już wyżarli i wypili wszystko, co było, brali owego nieboraka z sobą, z całą jego familią, i ciągnęli dalej, aż póki w kolej do tych, którzy zaczęli kulig, nie doszli... Poczynają się te kuligi zwyczajnie w przedostatni tydzień zapustny i trwały do wstępnej środy. Że takowe kuligi najwięcej bawiły się pijatyką i obżarstwem, przeto, mniej dbając o tańce, przestawali na jakim takim skrzypku, czasem z karczmy porwanym albo między czeladzią służącą wynalezionym; chyba, że gospodarz miał swoją domową kapelę, albo też, rozochocony, posłał po nią gdzie do miasta...

Tak na kuligu, jako też i bez niego, w kuse dni zapustne (tak albowiem nazywano ostatnie trzy dni zapustne) przestrajali się i przekształcali w różne figury: mężczyźni za Żydów, za Cyganów, za olejkarzów, za chłopów, za dziadów; niewiasty zaś podobnie — za Żydówki, za Cyganki, za wiejskie kobiety i dziewczki, udając mową i gestami takie osoby, jakich postać na siebie brali. W ostatni zaś wtorek jeden z między kompanii ubrał się za księdza, włożywszy na suknię, zamiast komży, koszulę, a zamiast

stuły, pas na szyi zawiesiwszy, stanął w kącie pokoju na stolku, kobiercem, do ściany przyszytym, wpół pasa zasłoniony, wydając się, jak w ambonie, miał kazanie z jakiejś śmiesznej materyi. I to było już po skończonych tańcach naksztalt pożegnania zapustnego.

Po wieczerzy mięsnej w ostatni wtorek dawali około godziny dwunastej północnej mleko, jajca i śledzie, przygrywając niejako temi potrawami następującemu postowi i niby po stopniach od mięsa przez nabiał do niego przystępując. Ta maślana kolacya zwała się podkurek; była wszędzie w używaniu, tak w wielkich domach, jako też w małych.

Po wielkich miastach w wstępną środę czeladź jakiego cechu, poubierawszy się za dziadów i Cyganów, a jednego zmiędzy siebie ustroiwszy za niedźwiedzia czarnym kożuchem, futrem, na wierzch wywróconem, okrytego i około nóg czysto, jak niedźwiedź, poobwiązywanego, wodzili od domu do domu, różnych figłów z nim dokazując, którymi grosze i trunki z pospólstwa, chciwego na takie widoki, wyłudzali...

Zaś przy kościołach w wstępną środę po miastach chłopcy, studencikowie czatowali na wchodzącą do kościoła białą pleć, której przypinali na plecach kurze nogi, skorypy od jajec, indycze szyje, rury wołowe i inne tym podobne materklasy¹⁾; tak zaś to sprawnie robili, że tego osoba dostająca nie czuła, bo to plugastwo było uwiązane na sznurku lub nici, do końca której była przyprawiona szpilka zakrzywiona, jak wędka, więc chłopiec, do takich figłów wyćwiczony, byle się dotknął ową szpilką sukni, wraz i figła na osobie zawiesił. A ta, nic o tem nie wiedząc, pięknie przybrana i częstokroć będąca dystyngowaną, postępowała w kościół z dobrą miną, gdy tymczasem wi-

¹⁾ graty.

szącym na plecach kawalcem pustym głowom śmiech z siebie czyniła, którym się i sama, nakoniec od kogo roztropnego uwolniona od wisielca, zarumienić musiała.

§ 82. Skarży się „chudy literat“ Naruszewicza, że „w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał, żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał“. Niebawem skarga ta przestała być prawdą: ukazał się pisarz, który o pożytecznych rzeczach pisał tak jasno, a zarazem tak powabnie, jak nie pisano w Polsce od czasów Kochanowskiego i Górnickiego (§ 32); pisarz, który wdziękiem swego pióra oczarował i zmusił do czytania wszystkich; wierszy jego uczono się na pamięć, a niektóre jego wyrażenia przetrwały do dziś dnia, jako przysłowia lub zwroty potoczne, np.: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“; „Dla was jestto igraszką, nam idzie o życie“; „Winszuję, ale nie zazdroszczę“; „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“. Autorem tym jest najznakomitszy bajkopisarz i satyryk polski, krzewiciel światła i odrodziciel piękna w literaturze naszej, ksiązę biskup warmiński (a później, od r. 1795, arcybiskup gnieźnieński), Ignacy Krasicki (1735 — 1801), urodzony w Dubiecku nad Sanem. Od dziecka odznaczał się zdolnościami i ochotą do nauki: to też rodzice, pochodzący oboje ze znakomitych, ale majątkowo podupadłych rodów, przeznaczyli go na księdza, nie tyle ku chwale bożej, ile w nadziei, że z czasem, osiągnąwszy wysokie i zyskowe godności kościelne, nietylko podźwignie majątkowo liczną rodzinę, ale i cały ród świetnością okryje. I tak się stało. Zaledwie ukończył Krasicki nauki (na dworze wielkopańskim i w szkołach jezuickich, a wnet posypały się nań różne godności—dzięki poparciu możnych przyjaciół, na których temu dziecku szczęścia nigdy nie zbywało. Ale bo też było mistrz nad mistrzami w jednaniu sobie ludzi—swą przyrodzoną łagodnością i dobrocią, swą uprzejmością i galanterią, swym złotym humorem i dowcipem,

swą piękną powierzchownością wreszcie: czarnemi, błyszczącemi oczami i ustami, z których rzadko kiedy schodził uśmiech, na poły złośliwy, na poły łagodny. Nie dziw, że nie tylko rodzina, dla której był najlepszym synem i najczulszym bratem, ale i ludzie obcy kochali się w nim na zabój; nosił go na rękach sam król, tem więcej, że wiele go węzłów z nim łączyło: i ogłada towarzyska i wykształcenie i miłość nauki i subtelny zmysł estetyczny i... słaby charakter. Otóż ze wszystkich przyjaciół Krasickiego najgorliwiej zajął się jego karyerą St. August: mianował go swoim kapelanem, kazał mu wygłosić kazanie podczas koronacji, potem zrobił go prezydentem trybunału lubelskiego, a wkrótce, pragnąc go mieć przy swoim boku, w senacie,—biskupem warmińskim (w trzydziestym drugim roku życia!). Marzenie rodziców się ziściło! Bóg niewielką miał z biskupa chwałę, bo Krasicki, nie mając powołania do stanu duchownego, lichym był pasterzem, ale rodzina miała chwałę ogromną: księżę biskup warmiński uświetnił ród swój tak bardzo, jak ani jeden z jego przodków, — lecz nie tyle swoją mitrą biskupią, ile nieśmiertelną zasługą, jaką dla ojczyzny położył.

A zasłużył się Krasicki ojczyźnie, nie jako mąż czynu i nie żeby jej całe swoje serce oddał. Gdzie tam! Mężem czynu nie był nigdy; w sprawach politycznych, chociaż go król gwałtem do nich ciągnął, żadnej roli nie odegrał i odegrać nie chciał, bo polityki nie cierpiał, raz, że nie czuł się do niej powołanym, a drugi raz, że wiedział, iż działalność polityczna mąci człowiekowi pogodę ducha, nie pozwala mu zażywać wygody i swobody, a te kochał i cenił ponad wszystko. Bo, mimo wszystkie swe przymioty, było, nazywając rzecz po imieniu, samolub i wygodnicki, bał się, jak ognia, wszelkich kłopotów, lubił zato pasyami, jak sam powiada, „jeść dobrze, pić smaczno i bawić się w dobranem towarzystwie“; pioruny były w oj-

czyznę, świat się do góry nogami przewracał,—on nie tracił wrodzonej pogody ducha, która stanowi najznamienniejszą cechę jego usposobienia; zawsze wesół, usmiechnięty, powtarzał swoją ulubioną maksymę Kochanowskiego: „Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję“. Kiedy wskutek pierwszego rozbioru Polski Warmia przeszła pod panowanie pruskie, kiedy więc i on przestał być obywatelem Rzeczypospolitej, i wtedy mu się nawet nie zakrwawiło serce: pogodził się z losem, nie zaprotestował moralną powagą biskupa przeciwko bezprawiu, owszem wraz ze swą kapitułą złożył hołd Fryderykowi Wielkiemu; w swej rezydencji biskupiej, w Heilsbergu, podawnemu bawił się i hulał, oddawał się z tym samym, co dawniej, zapałem ogrodnictwu, za którym przepadał, podawnemu zaciągał dług na stare wina i smakołyki, którymi częstował swoich gości—oficerów i dostojników pruskich. W Warszawie bywać przestał, bywał zato w Berlinie i Poczdamie, na dworze swego nowego monarchy, z którym był w jaknajlepszej komitywie, bo i jego swym wdziękiem oczarował; nazywał go „staruszką wesołą, miłą, grzeczną“; raz, pisze do brata, „siedzieliśmy cztery godziny u stołu; tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmiali, jak dzieci, i naopowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy“. Aż smutno pomyśleć! Podczas sejmu czteroletniego wpadł do Warszawy, ale nie zapalił się do jego pracy patriotycznej, owszem, nie wierząc w jej skuteczność, ledwie sobie z niej nie żartował; dla uczczenia pierwszej rocznicy ustawy majowej napisał hymn ale zimny, jak lód: podczas powstania Kościuszki nawoływał naród do ratowania honoru i ojczyzny: „Nuże, cnotliwa czeladko! albo gińmy wszyscy, albo bądźmy wolnymi“, ale było zapał nieszczery: nie wierzył Krasicki w powodzenie powstania, co go jednak o smutek, a cóż dopiero

o rozpacz, nie przyprawilo: „My jednakże będziemy weseli na złość temu wszystkiemu, co się dzieć będzie!“...

Takimto człowiekiem był książę biskup warmiński. Przy niepospolitych zaletach umysłu, miał serce dobre, ale nie gorące, nie zdolne ani do radości nadmiernej, ani do smutku głębokiego, ani tem więcej do poświęcenia; pod tym względem jest Krasicki nieodrodnem dzieckiem wieku oświeconego, wieku rozsądku, ale nie serca, rozumu, ale nie cnoty. A jednak byłoby wielką niesprawiedliwością mówić, że Krasicki nie kochał ojczyzny; kochał ją w miarę sił swoich: nie mógł jej dać gorącego serca, bo go nie miał, dał jej to, co miał: rozum i talent; a te pozwoliły mu spełnić wielki czyn patryotyczny: są nim jego pisma, w których ukazuje się autor, popierwsze, jako mądry i zacny nauczyciel narodu, a podrugie, jako utalentowany pisarz, jako artysta, który przywrócił literaturze ojczyściej piękno formy.

Jego spuścizna literacka jest bogata i niezmiernie rozmaita: artykuły dziennikarskie, felietony i rozprawki moralne, społeczne, estetyczne i t. p.; małe powiastki i duże powieści; encyklopedia powszechna, pierwsza poważna w Polsce (p. t. „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“), i, także pierwsza w Polsce, historia poezyi powszechnej („O rymotwórstwie i rymotwórcach“); opisy podróży i pisma historyczne; komedia i bajki; satyry i listy poetyckie; drobne wiersze; poematy żartobliwe i poemat bohaterski („Wojna Chocimska“), — słowem nie było niemal rodzaju, któregooby on nie uprawiał, jak nie było rzeczy, którąby się nie zajął jego ciekawy i zdolny, żywy i lotny umysł. A zawsze i wszędzie przyświecała mu jedna myśl przewodnia: oświecać swój naród; nie miał ambicyi odgrywania roli politycznej, miał ogromną i szlachetną ambicyę krzewienia oświaty. I słusznie dziękował mu St. August: „Lubo przemocą losu oderwany jesteś od ojczyzny, wko-

rzeniona miłość ku niej i chęć być jej użytecznym dyktuje ci książki“. Pod tym względem był Krasicki patriotą, był jednym z najzasłużeńszych obywateli ziemi polskiej. A czegoż on uczył? Tego przedewszystkiem, że oświata jest błogosławieństwem, a ciemnota, „dzikość“, — klęską dla narodu: onato, „jak pożar, gdziekolwiek swą moc rozpościera, wszędzie niszczy, pustoszy, trawi i pożera: fanatyzm jej towarzysz, czujny na wzburzenie; punkt honoru nieprawy, płochę uprzedzenie, zazdrość, zemsta, ślepotą nadchodzą w przydatek“; „stąd liczne błędów mnóstwo, co państwo zgubiło, stąd ono sławne hasło: „Niech będzie, jak było!“ Więc zachęcał do oświaty, a ośmieszał wiekowe przesady i uprzedzenia i wogóle wszelkie objawy sarmatyzmu. Lecz przez dzikość pojmował nietylko ciemnotę, ale i niemoralność, więc uczył nietylko rozumu, ale i cnoty, bo „gdzie cnota w pogardzie, tam naród upadnie“. A ponieważ był przekonany, że niema cnoty i moralności bez wiary i religii, która „gruntem jest wszystkiego“, więc głosił zasadę: „Źle jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć“, gromił niedowiarstwo i mędrkowanie w rzeczach wiary: „Wierz, nie szperaj!“ Bo, nie będąc sam zbyt żarliwym w wierze, ani zbyt gorliwym sługą Kościoła, był jednak wierzącym chrześcijaninem i rozumiał, że niedowiarstwo zwykle podkopuje moralność, zwłaszcza w ludziach ciemnych, a i to rozumiał, że Kościół, któremu, jak pisał, „straż nieskazitelna wyroków bożych do skończenia wieków jest poruczona, jest nietylko, jako źródło wiary chrześcijańskiej, podstawą moralności, ale i ostoją narodowości; stąd drugie hasło: „Nie oddzielajmy Kościoła od ojczyzny“. Ale od fanatyzmu był daleki, owszem głosił tolerancję, a istotę Kościoła odróżniał od jego sług, wśród których, jak to wśród ludzi, są dobrzy, ale są i źli; dobrych chwalił, złych ganił.

Do tradycyi narodowej był Krasicki przywiązany bar-

dzo, ale jej miłość umiał połączyć z przekonaniem o konieczności postępu moralnego i umysłowego. Więc oburzał się na nieludzką panów względem czeladzi i chłopów; gromił szlachtę, coto mówiła o chłopie: „Urodzony do jarzma, trzeba, żeby jarzmo znał, inaczej się rozbryka, i, jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaze“; przypominał, że „jeśli jest jaka między ludźmi różnica, sama ją tylko cnota sprawuje“; chlostał anarchię i swawolę, prywatę i zdradę, nieposzanowanie władzy i osoby królewskiej; nawoływał do stworzenia silnego rządu, do zgody i jedności narodu z królem, słowem — do miłości ojczyzny i jej ratowania. A kiedy upadła Polska, on był jednym z pierwszych, którzy, rozumiejąc, że jeszcze nie wszystko zginęło, przestrzegali ludzi przed rozpaczą („Podła rzecz rozpaczać“) i wskazywali im, jako niezawodny środek ocalenia narodowości, pracę kulturalną. Oto czego uczył Krasicki. A ta jego nauka nie szła w las, bo go ludzie czytali tak chciwie, jak nikogo, i to zarówno w oświeconej Warszawie, jak na ciemnym partykularzu: Krasicki to nietylko najznakomitszy, ale i najpopularniejszy pisarz XVIII w.; miał słuszność król, pisząc do niego: „Jeśli gust do czytania po wsiach rozszerzył się, przyznać trzeba sprawiedliwie, że Waszej Książęcej Mości dziełom ledwie nie najbardziej dziękować za to potrzeba“. I to jego pierwsza zasługa: szerzenie światła w narodzie.

Lecz jest i druga, nie mniejsza, na której się także poznał St. August, posyłając swemu ulubieńcowi biust gipsowy Kochanowskiego, „jako wskrzesicielowi jego dzieł“. Wprawdzie, jako poeta, Krasicki równać się z Kochanowskim nie może, nie miał bowiem tego, co on, talentu, nie mówiąc już o powadze, namaszczeniu i wzniosłości autora „Psalterza“ i „Trenów“: ale, nie będąc poetą z bożej łaski, był z bożej łaski artystą, miał wrodzone poczucie piękna, które się rozwinęło i ukształciło na literaturze francuskiej

(jak zmysł estetyczny Kochanowskiego—na literaturze starożytnej). Nie znaleźć w poezji Krasickiego gorącego uczucia ani wyjątkowo głębokiej myśli: ale piękna, często wykwiwna forma, ale prawdziwy wdzięk jest; zamiast gorącego uczucia—niepospolity dowcip i subtelna ironia, zamiast głębokich myśli—rozum i zdrowy rozsądek; styl niezbyt obrazowy, ale gładki i szlachetny, a nadewszystko jasny; a do tego ujmująca prostota i naturalność, miła lekkość i swoboda,—„tok leciuchny“ (jak mówi Mickiewicz), „styl podobny do śpiewu, do szczebiotania ptasiego, przytem pełen wykończenia i precyzyi prozy francuskiej“: oto główne zalety zarówno poezyi, jak prozy Krasickiego, podnoszące go do godności wzorowego pisarza, jednego z najznakomitszych stylistów polskich. Oto dlatego, o całe niebo od Jana z Czarnolasu niższy, jest jednak Krasicki naprawdę wskrzesicielem jego dzieł: onto dopiero przywrócił poezyi polskiej piękno formy, które niegdyś dał jej Kochanowski, a które, niknąc stopniowo, ulotniło się z niej doszczętnie w czasach saskich; a przez to nie tylko podniósł ją na nowo do godności poezyi europejskiej, ale nadto utorował jej drogę do tych wyżyn, na które się wzbijała w wieku XIX.

§ 83. Swą działalność literacką rozpoczął Krasicki od artykułów, felietonów, powiastek i satyr prozą, drukowanych w „Monitorze“ (§ 72). W innem czasopiśmie warszawskiem ogłosił krótki wierszyk, który mu zjednał ogromny rozgłos; jestto ośmiowiersz p. t. „Hymn do miłości ojczyzny“ (1774):

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe;

Kształćisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

Przez długie lata hymn ten był na ustach wszystkich; śpiewali go codziennie uczniowie Szkoły rycerskiej (§ 75), i jeszcze w XIX w. drukowano go w podręcznikach szkolnych do nauki mowy ojczystej. Słowacki, który się na bajkach Krasickiego uczył czytać, nazwał go najpiękniejszą ze wszystkich jego bajek.

Po utworach drobnych przysłała kolej na większe.

Pierwszym jest „Myszejda“ (1775), poemat fantastyczno-żartobliwy, pisany na wzór Ariosta (§ 60). W Kruszwicy panuje król Popiel, zniewieściały pijak, „w dziwactwie swoim niestateczny“: naprzód kochał myszy, którym się też dobrze działo w jego państwie, ale później „Mruczysław kotek został faworytem“, i biedne myszy muszą uciekać. Chronią się do Gniezna, gdzie w klasztorze, „wpośród serów, szynek i ozorów“, zastępujących mnichom książki, „król mysz, Gryzomir, przebywał spokojnie. Na wieść o prześladowaniu myszy kruszwickich, Gryzomir zwołuje radę, ale na radzie myszy pokłóciły się ze szczurami, i nic nie uchwalono. Wówczas Gryzomir posyła za granicę o pomoc i zwołuje ruszenie pospolite; posiłki nadciągają, wybucha wojna: w walnej bitwie koty pod wodzą Mruczysława zadają myszom i szczurom klęskę straszliwą; Gryzomir, „sam do ucieczki najpierwszym przykładem; skoro król uciekł, wszyscy za nim w nogi“. Lecz to dopiero początek wojny: nieszczęście chciało, że w bitwie poległ Filuś, ukochany kotek córki Popiela, Duchny; bólu jej nic, nawet wspomniały pogrzeb kociaka, utulić nie może, „lecz żal o zemście myśleć nie przeszkadza“; błaga ojca, żeby „cały rodzaj myszy wykorzenił“. Popiel zwołuje radę

senatorów, na której po wielu kłótniach staje na tem, że „niech pan to robi, co mu się podoba“. Pan „śmieje się w duchu z kota straty“, ale, ponieważ my rządźmy światem, a nami kobiety“, więc Duchna wygrała sprawę: „wojnę formalną myszom ogłoszono“. Tymczasem Gryzomir w ucieczce swojej dostał się wśród nocy do jakiejś lepianki i wpadł w łapkę; nagle „wchodzi dziwotwór, baba przestarzała, zsiniałe usta, twarz zmarszczona cała, oczy zapadłe we łbie jej się świecą, półtora tylko zęba w gębie miała“. Szczur zdrętwiał, lecz baba udobruchała się, darowała mu życie, a nadto obiecała swą pomoc i łaskę; poczem oboje siadają na łopatę i myk przez komin. Po drodze „król myszów, aby nie zaginął marnie, przedarł się jakoś do babiej latarni“ i z głodu zaczął obrabiać świeczkę łojową; świeczka zgasła, baba puściła latarnię, a ta wraz z „wpół umarłym“ szczurem spadła nad ranem... na grób Filusia; i oto szczur dostał się w ręce dyszącej zemstą Duchny. Ale czarownica wybawiła go z niewoli, poczem Gryzomir, zgromadziwszy przy pomocy baby liczne wojska zagraniczne, powrócił do ojczyzny i pobił koty na głowę; Mruczysław poległ, a Popiel uciekł na wyspę, ale go myszy dopadły i zjadły.

Jak we wszystkich swych utworach, tak i w „Myszejdzie“ miał Krasicki na myśli cel podwójny: chciał zabawić, ale zarazem nauczyć, jego bowiem zdaniem, poezya powinna zawsze mieścić w sobie jakiś sens moralny, a stąd ten tylko poeta odpowiada swemu zadaniu, „który wdzięk wraz z pożytkiem złączył“. Otóż w „Myszejdzie“ jest i wdzięk i pożytek. Wdzięk głównie polega na tem, że poemat jest zabawny, mianowicie „heroi-komiczny“, co znaczy dosłownie: bohatersko-śmieszny: o myszach, szczurach i kotach, o ich wojnach, radach i przygodach mówi autor tonem poważnym, jak gdyby to byli bohaterowie z epepei. Zresztą, jako poezya, „Myszejda“ nie posiada

wielkiej wartości: jest rozwlekła, a dotego, jak dla nas przynajmniej, za mało śmieszna, chociaż współcześni mieli z niej wielką uciechę. Lecz mieli i „pożytek“, naukę, poemat bowiem obfituje nietylko w sentencye moralne i spostrzeżenia życiowe, ale i w ustępy satyryczne. Tak np. opis rady szczurów i myszy jest satyrycznym przytykiem do kłótliwych sejmów polskich, mianowicie do kłótni senatu z izbą poselską: „Zgiełk powstał wielki, gdy przyszło wotować¹⁾, która ma strona głos pierwszy podnosić; orator szczurów przedsięwziął próbować, że oni mają pierwsze zdania głosić: „Do nas należy wszystko rezolwować²⁾, prawa stanowić dobre, a złe znosić; i, jeśli cierpiem mysz stowarzyszenie, w większej być od nich powinniśmy cenie“. Nie w moc szczególną, lecz w wielość znaczniejsze, myszy brać prymu nie chcą sobie dawać: „Lubo się zdajem być w postaci mniejsze, nie stąd o zdaniu trzeba rozeznawać,— rzekły—a kiedy o rzeczy ważniejsze zachodzi sprawa, natenczas poznawać każdemu można będzie, która strona lepiej w rozsądek, w dzielność obdarzona“. Wzmaga się hałas, zamiast rady—wrzawa; Gryzomir ledwo usiedzi na tronie, powagę swoją nadaremnie wdawa: każdy, jak żeby przysiągł swojej stronie; nakoniec z miejsca pierwszego powstawa: „Ratujcie—woła—ojczyznę przy zgonie!“ Krzyknęli: „Niechaj ginie wolność przeszła!“ I tak się rada senatu rozeszła“. Napis na grobie Filusia jest satyrą na wierszydła panegiryczne i t. d. I takich przytyków — co niemiara, a ośmiesza w nich Krasicki różne wady społeczeństwa, wyrzuca mu gnuśność, kłótlivość, brak miłości ojczyzny, składanie odpowiedzialności za wszystkie swe nieszczęścia na króla i t. d. W samym nawet wyborze przedmiotu tkwi satyra: przecie społeczeństwo tak bardzo poważało Kadłubka (§ 79), a tutaj przyszedł Krasicki

¹⁾ głosować; ²⁾ o wszystkim stanowić.

i osmielał się ośmieszać i te „dziwy“ o Popielu i myszach, które wielki Kadłubek pierwszy objawił w pocie swego czoła“, i jego samego, ale nadewszystko ciemne społeczeństwo, które mu wierzyło! Wogóle „Myszejda“ jest satyrą na ciemnotę i wsteczność.

POGRZEB FILUSIA:

Idą porządkiem szykowane roty;
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci.
Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty,
Nieboszczkowscy za tym koligaci,
W żałobne flory ¹⁾ ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte . . .
Niesie Minetka obróż centkowaną,
Hektorek—grzebień ze słoniowej kości,
Irys—kołderkę, złotem haftowaną,
Bebe—manelki ²⁾ dziwnej wspaniałości,
Miledy—czarkę, wewnątrz wyłacaną,
Z której zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje!
Już was kochany Filuś nie użyje!
Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki;
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidła wznosi pod obłoki;
Niosą trunienkę ³⁾ na kształt kolebeczki
Najukochańsze księżniczki małpeczki.

1) flor=kir; 2) manelka=bransoletka; 3) trunienka=trumienka.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze,
Cyfry z posepnych cyprysów uwite.
Mruczysław długie odmawia pacierze,
Dalej obrządki czyni należyte,
A w drzące łapki gdy pochodnią bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu,
Garstka się tylko została popiołu.

Smutne ostatki wybornego kota
Skrętnie przytomni do kupy zbierają;
A że największych wielbień godna cnota,
Wszyscy Filusia pochwały śpiewają.
Już sporządzona puszka szczerozłota,
W niej resztę drogich popiołów składają.
Gmach zaraz stanął wyborny w strukturze,
A taki napis stanął na marmurze:

- „Tu leży Filuś, swej pani kochanie,
 - „Ten, co w przymiotach przeszedł wszystkie koty.
 - „Ucieszne jego i miłe igranie,
 - „Skoki przyjemne, uprzejme pieśczoły
 - „Nic nie pomogły: smutne narzekanie
 - „Zostawił tylko i wieść swojej cnoty.
 - „Chwalebna, prawda, lecz śmiertelną bliźnę
 - „Poniósł za naród i miłą ojczyznę.
 - „Płaczcie tak wielki zaszczyt utracony
 - „I wspólną waszą ozdobę, zwierzątko!
 - „Dziatki młodziuchne, owdowiałe żony,
 - „Płaczcie, sieroty teraz, niebożątka!
 - „Niewczesnie Filuś ze świata sprzątniony,
 - „Przecięła nagle pasmo życia Prządka.
 - „Koło mogiłki kto tylko przebieży,
 - „Westchnij: tu Filuś najmilejszy leży!“
- Nieutulona Duchna rzewnie szłocha,
Lecz żał o zemście myśleć nie przeszkadza:

Płeć ta, z pozoru choć zdaje się płocha,
Przecież, kiedy jej cokolwiek zawadza,
Tak nienawidzi zbytecznie, jak kocha;
Nie zna, co wiara, we wszystkim przesadza,
Staje się zdradna, okrutna lub podła,
Byle, co zechce do skutku przywiodła.

Przebacz płci piękna zbyt śmiałym wyrazom!
Nasz obowiązek wam zawsze dogadzać;
Macie nas swoim podległych rozkazom,
Lecz respekt prawdzie nie może przeszkadzać!
Powolność każe przepuszczać urazom;
Chwalić defekta jest więcej, niż zdradzać.
Jeśli was prawda niemiła obchodzi,
Mówcie, że zmyślać poetom się godzi!

Nie dosyć na tem, że gardłem skarani
Myszego wojska wszystkie niewolniki;
Nie dość, że będąc z ojczyzny wygnani,
Świat żalonymi napełniają krzyki:
Nieutulona w żalach swoich pani
Ustawne ojcu podaje supliki ¹⁾,
Żeby się w zemście powziętej nie lenił
I cały rodzaj myszy wykorzenił.

Obstaje ²⁾ takim prośbom państwa rada,
Twierdząc, iż płochosć sławę królów maże.
Insza myśl jednak w Popielu osiada:
Ci myszy bronią, on je gubić każe.
Gdzie miętkie serce, tam rozum nie nada:
Czegóż płeć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszej zalety,
My rządym światem, a nami kobiety!

§ 84. Satyrą na ciemnotę, lecz nie całego społeczeństwa, ale mnichów jedynie, jest również napisany na podobieństwo poetów francuskich i włoskich poemat żartow-

¹⁾ suplika=prośba; ²⁾ obstawać=sprzeciwiać się.

bliwy: „Monachomachia czyli Wojna mnichów“ (1778). Ani Kościoła, ani religii nie zaczął tutaj Krasicki, wystąpił tylko przeciwko klasztorom, a raczej nie klasztorom, tylko przeciwko zakonnikom, i to jeszcze nie wszystkim: widział doskonale, że niektóre zakony, zwłaszcza pijarów, dobrze się Bogu i ojczyźnie zasługują, ale że są i takie, które wiodą żywot gnuśny i próżniaczy, które nadto się dają po same uszy w ciemnocie średniowiecznej; otóż „Monachomachia“ jest właśnie satyrą na takich „świętych próżniaków“: na ich próżniactwo, pijaństwo, plotkarstwo, zanik prawdziwego ducha religijnego, pychę, zabobonność, a nade wszystko na bezmyślność i straszliwe nieucięwo. Tak śmiałej i jawnej (bo ogłoszonej drukiem) satyry na duchowieństwo nie znała poezja polska od czasów reformacji i humanizmu.

Od „Myszejdy“ jest „Monachomachia“ utworem znacznie lepszym; i ona wprawdzie jest nieco rozwlekła, ale nierównie zabawniejsza, nie pozbawiona prawdziwego dowcipu i humoru. W mieście, którego nazwiska nie powiem... były trzy karczmy, bram cztery ułamki, klasztorów dziewięć i—gdzieniegdzie domki; w tej zawałonej ziemiańskiej stolicy wielebne głupstwo od wieków siedziało“. Przez długie lata nic nie mąciło spokoju „świętym próżniakom“, ale nakoniec pozazdrościła go im jędza niezgody, która też, przelatując kiedyś w nocy nad miastem, wzniciła jakiś rozruch w klasztorze dominikańskim. „Wtenczas, nie mogąc znieść tego rozruchu, ojciec Hilary obudzić się raczył; wtenczas ksiądz przeor, porwawszy się z puchu, pierwszy raz w życiu jutrzeńkę zobaczył; kłął ociec doktor czułość swego słuchu, wstał i widokiem swym ojców uraczył; i, co się rzadko w zgromadzeniu zdarza, pędem niezwykłym wpadł do refektarza. Na taki widok zbiegłe braci trzody pod rzędem kufli garncowych ukłękły; biegli ojcowie za mistrzem w zawody; ten, strachem zdjęty i srodze prze-

lękły, wprzód otarł z potu mięsiste jagody, siadł, — ławy pod nim dublowane jękły, — siadł, strząnął mycką, kaptura poprawił i tak wspaniałe wyroki objawił: „Bracia najmilsil! Ach! cóż się to dzieje? cóżto za rozruch u nas niesłychany? czy do piwnicy wdarli się złodzieje? czy wyschły kufle, gęsiory i dzbany? Mówciel... cóżkolwiekbaź, srodze boleję; trzeba wam wrócić pokój pożądanil“ Wtem się zarztusił, jęknął, łzami zalał; przeor tymczasem pełny kubek nalał“. Napił się ojciec doktor „raz drugi i trzeci, . . . , odkrząknął żwawo, niby się uśmiechnął, przymrużył oczy, nadał się i kichnął“. Za przykładem ojca doktora pokrzepili się i inni, i odrazu rozjasniło im się w głowach: odgadli, że przyczyną rozruchu jest zazdrość karmelitów, których też postanawiają wyzwać na dysputę, poczem wrócili do łóżek. Tymczasem i w klasztorze karmelitów coś niedobrze słyhać: oto jeden z ojców „wychodził słyhać świątobliwe plotki, gdy (myśląc, kto wie, czy o Panu Bogu?) zgubił pantofel i upadł na progul“; jako człek uczony, „fatalną wróżbę w tej przygodzie znaczy“: jakoż niebawem przychodzą do klasztoru posłowie dominikańscy i wyzywają karmelitów na dysputę. Ci kłóćą się i wrzeszczą, ale nakoniec przystają na dysputę; wtem brat Kleofas na obiad zadzwonił: wypadli wszyscy, jakby ich kto gonil“. Po obiedzie znowu w radę: jeden radzi, by zmierzyć się z dominikanami na kufle, lecz inny odradza, bo „pijemy dobrze, ale lepiej oni“; staje na tem, że się odbędzie uczona dysputa, „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“; odnaleziono gdzieś w starym lamusie starą bibliotekę, i ojcowie na gwałt zaczynają się uczyć. Kiedy się nauczyli, „schodzą się mędrce, i biali i szarzy, czarni, kafowi, w trzewikach i bosil; rumiana dzielność błyszczy się na twarzy, tuman mądrości nad łbami się wznosi“; po napuszonej i bezsensownej mowie, wygłoszonej przez jednego z ojców, zaczyna się dysputa naprzód na słowa, ale niebawem na inną broń:

B I T W A.

Wpada Hyjacynt,—nowa postać rzeczy:
Miejsce dysputy zastał placem wojny;
Jeden drugiego rani i kaleczył
Dostał po uchu nasz rycerz spokojny:
Widzi, że skromność już nie ubezpieczy;
Więc, dzielny w męstwo, w oddawaniu hojny,
Jak się zawinał i z boku i z góry,
Za jednym razem zerwał dwa kaptury.

Lecą sandały i treпки i pasy,
Wrzawa powszechna przeraża i głuszy.
Zdrętwiał Hyjacynt na takie hałasy,
Chciałby uniknąć bitwy z całej duszy,
A przeklinając nieszczęśliwe czasy,
Resztę kaptura nasadził na uszy,
Już się wymykał, wtem kuflem od wina
Leży z sławnej ręki ojca Zefiryńna.

Ryknął Gaudenty, jak lew rozjuszony,
Gdy Hyjacynta na ziemi zobaczył;
Nową więc złością znagła zapalony,
Żadnemu z ojców, z braci nie przebaczył:
Padł i mecenas, z krzesłem przewrócony,
Definitora za kaptur zahaczył;
Łukasz, raniony, zwinął się w trzy kłęby,
Stracił Kleofas ostatnie dwa ręby.

Coraz się mnożą i krzyki i wrzaski,
Hałas powstaje i wrzawa, aż zgroza!
Ojciec Remigi, sążnisty a płaski,
Używa żwawo zgrzebnego ¹⁾ powroza!
Wziął w łeb Kapistran obręczem od faski,
Dydak półgarcem ranił Synifroza.
Skacze Regulat do oczów, jak żmija,
Longin się z różnem walecznie uwija.

1) zgrzebny=konopny.

Już był wyciskał talerze i szklanki,
Pękły i kufle na łbach hartowanych, —
Porwał natychmiast książkę z za firanki:
„Wojsko afektów zarekrutowanych“¹⁾,
Nią się zakłada, pędzi poza szranki
Rycerzów, długą bitwą zmordowanych.
Tak niegdyś sławny mocarz z Palestyny²⁾
Oślą paszczką gromił Filistyny,

Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu,
Widzi w tryumfie syna Dominika,
Wyjeżdża na harc i wpada wśród wielu,
Godnego sobie szuka przeciwnika.
Rafał z nim obok: „Ratuj, przyjacielu!“
Rzekł. Seraficzna w tym punkcie kronika
Padła nań z góry: legł i ręką kiwnął,
Dwa razy jęknął, cztery razy ziewnął.

Zapłakał Rafał a mądry po szkodzie,
Wtenczas błąd poznał, że wróżkom nie wierzył,
Dotrzymał jednak kroku na odwodzie,
A gdy Gaudenty na niego się mierzył
Z mokrem kropidłem w poświęconej wodzie,
Oczy mu zalał, trzonkiem w łeb uderzył;
Nie spodziewając się takowej wanny,
Stanął Gaudenty i mokry i ranny.

Otrząsł się wkrótce, a nabrawszy ducha,
Wdwójnasób czyny heroiczne mnożył.
Ojczy Barnabo! Lepiej było w puchu!
Pocoś szedł w wojnę? pocoś się tak srożył?
I ty, Pafmucy, ległeś w tym rozruchu!
I ty, Gerwazy, słusznieś się zatworzył!
Nikt go nie wstrzyma w zemście przedsięwziętej,
Na waszą zgubę odetchnął Gaudenty.

Nie wiedzieć, na czemby się ta bitwa skończyła, gdy-
by nie mądry prałat, który, „biorąc w głąb rzeczy przez

1) tytuł książki nabożnej; 2) Samson.

swój wielki rozum, kazał przynieść „vitrum gloriosum“, t. j. sławny puhar; „zadziwił oczy widokiem ozdobnym; śklni się w nim kruszec srebrno pozłacany; wiele pomieścić trunku był sposobnym, miara oznacza: był to dzban nad dzbany! rzeźba wyborna na górze, a z boku wryte były cztery części roku“. Pasą się oczy wspaniałym widokiem, już zapomnieli o bitwie i radzie, . . . krzyknęli zgoda! . . . „Za czyje zdrowie pili w takiej porze? Nie wiem, lecz gdybym się znajdował z nimi, piłbym za twoje szanowny przeorze, za twoje, który czyny chwalebny jesteś i mistrzem i ojcem* w klasztorze i dajesz poznać przykłady twoimi, jak umysł prawy zdrożności unika: cnota, nie odzież czyni zakonnika. Czytaj i pozwól, niech czytają twoi, niech się z nich każdy niewinnie rozśmiej; żaden nagany sobie nie przyswoi; nikt się nie zgorszy; mam pewną nadzieję: prawdziwa cnota krytyk się nie boi, niechaj występki jęczy i boleje. Winien odwołać, kto zmyśla zuchwale: przeczytaj, osądź! nie pochwalisz, —spalę!“

Omylił się Krasicki, jeżeli myślał, że się nikt nie zgorszy. „Monachomachia“ wywarła nieopisane wrażenie: jedni boki zrywali ze śmiechu i zacierali ręce z radości, że się „klechom dostało, ale inni nie posiadali się z oburzenia: jakto? biskup i takie rzeczy pisze? ależ to heretyk, bezbożnik, bluźnierca, „ateusz, piekła zarażony jadem, niechaj go hańba ogarnie wieczysta!“; niektórzy nawet byli pewni, że go już ogarnęła: jakaś pobożna „panna Anna na rozstajnej drodze widziała w piekle jęczącego srodze“. I oto biskup musiał się usprawiedliwiać (w poemacie („Antimonachomachia“), że mu się nawet nie śniło ani bluźnić, ani „kłaść zakonności w równej szali z wiarą“; ale „Monachomachii“ nie spalił, zarzutów swych przeciwko „świętym próżniakom“ nie cofnął, owszem jeszcze im dosolił, wierny swej zasadzie: „Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych, śmiejmy się z głupich, choć i przelebnych!“

§ 85. Za najskuteczniejszy środek przeciwko ciemnocie poczytywał Krasicki dobre wychowanie, które też, jak mówi, „najistotniejszym jest rodziców obowiązkiem i być powinno jedną z pierwszych usilności całego kraju“, którego celem jest przysposobić wychowanka na „człowieka prawego, obywatela zdatnego, chrześcijanina przykładnego“. W tymto duchu właśnie wychowywała młodzież szkolną Komisya Edukacyjna; natomiast wychowanie domowe, które ciemna szlachta, nie ufając Komisji (§ 75), przekładała nad szkolne, odbywało się w duchu zacofanego sarmatyzmu: biadała też na nie literatura, a jeden z satyryków, ks. Gracyan Piotrowski, wyraził się nawet, że „domowa edukacja“ i jej skutki „gubią Polskę gorzej, niżli miecze, niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy“. Otóż i Krasicki, zawsze czujny na potrzeby kulturalne społeczeństwa, przemówił w tej niestęchanie doniosłej sprawie — w powieści: „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki“ (1776). Powieść ma postać pamiętnika: Doświadczyński sam o swoich przypadkach opowiada.

„Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim... Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się nadmienić cokolwiek o tych, od których życie powziąłem, to jest poprostu, o moim ojcu i o mojej matce. Ociec mój, po stopniach skarbnik, wojski, miecznik, łowczy, cześnik, podstoli, sześćdziesięcioletnie ziemi swojej i województwa usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacje, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacji¹⁾ już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do podsędkostwa; ale przeciwna cnotcie fortuna nie pozwoliła dojść do tego stopnia: prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym re-

¹⁾ konsyderacja = poważanie.

fleksyą nad marnościami świata tego. Dopomogła takowej rezolucyi ¹⁾ nader szczęśliwa natura: był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają: dobra dusza. Nic on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i, jeżeli co słyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ociec (a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on), to też samo on nam ustawicznie powiadał, tak dalece, iż u nas nietylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie było człowiek rzetelny, szczerzy, przyjacielski i, choć nie umiał cnót definiować ²⁾, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości ³⁾ nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć jest toż samo, co się z nim upić. Stąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył i zdrowie nadwerężyło; znosił jednak pedogę sercem heroicznem i, kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny⁴⁾.

„Matka moja, z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała poblizsze miasta: stąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jej na wielu terażniejszych talentach brakło. Nie obchodziło ją to bynajmniej, i, gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maksymy i dzikość niejaka, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczeroci ducha, że woli prostacką cnotę, niż grzeczne występki“.

„Pierwsze lata niemowlęctwa mojego przepędzone były w orszaku niewiast; niedobrze jeszcze artykułowane ⁴⁾ słowa tłumaczyły piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi: te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu za-

¹⁾ rezolucya=postanowienie, pogodzenie się z losem; ²⁾ określać;

³⁾ ludzkość=gościnność; ⁴⁾ artykułować=wymawiać.

czyniała dyskursa w każdym posiedzeniu. Potakiwali, ziewając, sąsiedzi, a niejeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby nie budził ich ojciec częstymi kielichy. Orzeźwieni naówczas wynurzali kolejną obfite życzenia, aprekacye¹⁾ i prorocstwa, a mój ociec płakał“.

„W dalszym czasów przeciągu nieraz mi na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowej edukacyi, i zastanawiałem się nad tem, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom, nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się aż nadto nasłuchał; i częstokroć, mimo rozumną konwikcyą²⁾, muszę się z sobą pasować, żebym gustom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaję bez światła, albo na osobności. Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jako każdego z dworskich obyczaję niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały, — wzięłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmi-strzyni cokolwiek też przed niemi na drugich mówić; a gdy brakło okazji, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że, jak wieczorem rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach; jedna drugiej z kobiet opowiada, co jej się śniło: a z ich tłómaczeń i wróżek nauczyłem się, iż, gdy się komu ogień marzy, gościa się w dom spodziewać trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze“.

„Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek, urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrowałem się pilnie wujowi memu tembardziej, iż wiedziałem, że go rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż, dwa dni

1) aprekacya=prośba do Boga; 2) konwikcyą=przekonanie.

u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał. To mi wstręt od niego zaczęło czynić, iż się ze mną nie tak, jak drudzy, bawił; a co najgorsza, zapędzoną w pochwały moją matkę niepomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się spytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości“.

„Pierwszy raz obity się o moje uszy natenczas takowe słowa. Matka z początku chciała o czem inszem dyskurs¹⁾ zacząć, ale, gdy coraz bardziej nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jej dyskurs pamiętam: „Podobno się zdziwisz, braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Naprzód dziecię jest delikatne, słabe; mogłaby mu zaszkodzić zbytnia sedentarya²⁾, którą i nad alamentarzem mieć trzeba; potem, jak sam waćpan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora³⁾ dali, straciłoby fantazyą, ta zaś, raz stracona, powetować się nie może; trudno też znaleźć doskonałego takiego człowieka, jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, już to ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrzebie łamać“. „Dobrze mówisz, moja panno — odezwał się jegomość — świętej pamięci nieboszczyk mój ociec (Panie, świeć nad jego duszą!) toż samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka po szkół; opatrz z łaski swojej i miejsce i człowieka, a tymczasem wypijemy za zdrowie jegomości mojego mościwego pana i kochanego dobrodzieja“.

„Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno;

1) dyskurs=rozmowa; 2) ciągle siedzenie; 3) dyrektor=młody guwerner (pośród uczniów klas wyższych).

jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresją¹⁾: coraz mowę zaczynał o szkołach, nawet kupiono alamentarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak, jako była bogobojna, gdy jej w tem uczyniono skrupuł, że mnie na zgubę moją pieści, uczyniła zapewne najheroicznieszczą w życiu swoim ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych... Po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem... Oddalałem się pierwszy raz od obecności rodziców, od pieśczoł matki, od pochlebstw domowników; najbardziej jednak, jak zapamiętam, przerażał mnie cel, dla którego wysłany byłem: nauka! Nie mogłem ją mianować dobrem, bo mi nią grożono i obiecowano za karę; wnosiłem więc sobie, iż nie może być, tylko przykra i dolegliwa“...

„W wigilią wyjazdu, zawołany do ojca z panem dyrektorem, byłem świadkiem instrukcyi, onemu danej: naprzód, zlawszy na niego władzę swoją rodzicielską, zaklinał na wszystkie obowiązki, aby nie folgował; wchodził w wielkie pochwały plag, zdobył się podobno natenczas pierwszy raz na cytacye, powtarzając owe wiersze z alamentarza: „Rószczką Duch Ś. dziateczki bić radzi“ etc.; nakoniec dał mu w ręce kańczuczek²⁾, prawda, że mały i cienki, ale, jakem sam potem sprobował, bardzo bolesny. Gdyśmy już z izby wychodzili, właśnie jakgdyby najpotrzebniejszej rzeczy zapomniął, uchylivszy drzwi, zawołał na pana dyrektora: „Bijże, bo ja ci za to płacę!“ Co się ze mną działo, jakem truchlał, drżał, płakał, dorozumieć się każdy może. Pobiegłem natychmiast do matki i wszystko, co się działo, nie bez rzewnego płaczu opowiedziałem. Kazała więc zawołać dyrektora i w krótkości słów dała mu

¹⁾ impresya=wrażenie; ²⁾ kańczuczek=mały bicz rzemienny.

do wyrozumienia, iż, jeżeli się tknie dziecięcia, i służbę straci i skórą odpowie. Pocieszyło mnie to trochę, i zaraz nazajutrz puściliśmy się w drogę, którą ja prawie całą przejechał, pan dyrektor przemyślał—podobno nad tem, kogo miał słuchać, czy pana, czy pani“.

„Przyjechaliśmy bez żadnego przypadku, przyjęci z wielką radością. Pierwiastki szkolne szły trybem zwyczajnym. Pojętność miałem wielką, ale wstręt od nauk jeszcze większy. Pan dyrektor, pamiętniejszy na groźby pani, niż na rozkaz pana, obchodził się zrazu ze mną dyskretnie, ale, wzięwszy sam w swojej szkole plagi od profesora, pełen zapalczywości, lubom był niewinien, oddał mi tylo dwoje. Od tego czasu czynił kolejno zadosyć obowiązkom rodziców moich: pieścił, gdzie nie było potrzeba, bił, kiedy nie należało. Wzięwszy nakoniec w dzień swoich imienin parę sukien od matki w podarunku, napisał przez pierwszą pocztę rodzicom, że imć pan Mikołaj czasu swego w nauce samego nawet Herkulesa przejdzie“.

Lecz szkół Doświadczyński nie skończył: „Jużem dochodził lat szesnastu, gdym odebrał wiadomość o śmierci ojca i zaraz rozkaz wracania do domu“. I oto znów zaczęła się edukacya domowa — pod kierunkiem Francuza, przybłądy i oszusta, „pana markiza“, Damona, który, chociaż był w sąsiedztwie kamerdynerem, „przecież, jak powiadał, uczynił to był umyślnie, chcąc ukryć wielkość imienia swojego: inaczej, poznany, byłby w odpowiedzi ¹⁾ za zabicie w pojedynku pod samym bokiem królewskim w Wersalu pierwszego prezydenta parlamentu francuskiego“. „Gdy go matka moja usilnie prosiła, aby nam awantury swoje opowiedział, z początku wielki od tego wstręt pokazywał, ale, uproszony nakoniec (nie bez wielu poprzedzających darowizn) odkrył nam ledwo nie najjaśniej-

¹⁾ pod sądem.

sze urodzenie swoje, przypadki ledwo słychane na morzu i na lądzie, awantury miłosne, niektóre pomyślne, niektóre z złym sukcesem; ta zaś najfatalniejsza, która go nakoniec przywiodła do owego pojedynku z pierwszym prezydentem parlamentu; kończył powieść, zaklinając na wszystkie obowiązki, aby go nie wydawać: gdy się albowiem odkrył, życie jego zostawało w ręku naszych, a już się nawet dowiedział o tem od pewnego poufalego przyjaciela księcia, iż król francuski pisał do naszego z prośbą, aby go wszędzie po Polsce szukano^a. Swój program pedagogiczny streścił pan Damon w tych słowach: „Szkolna nauka żakom tylko przystoi, zacnego zaś panięcia dowcip, regułami zacieśniony, natoby się tylko przydał, żeby go palcem po Paryżu wskazowano... Edukacya dobra zaczyna się od nabierania prezencyi i fantazyi, ciągnie się i kontynuuje probowaniem wspaniałości umysłu, kończy się zaś doświadczeniem sentymentów serca... Nauka kawalerska zawisała na konwersacyi z równymi sobie; nie będziesz więc waszmość pan miewał inszych lekcyi nad ustawiczną ze mną konwersacyą: z niej i wiadomości rzeczy będziesz nabierał i w sentymentach kawalerskich będziesz się ćwiczył“. Nauczył się więc Doświadczyński paplać pofrancusku, pochłaniał romanse francuskie i pod ich wpływem rzeczywiście postąpił w „sentymentach kawalerskich“: zakochał się w wychowanicy matki, pannie Juliannie, chciał ją poślubić, ale matka ani słyszeć o tem nie chciała, bo Julianna nie miała majątku. Więc pannę zapakowano do klasztoru, a synalka^a wyprawiono „do jednego z najcelniejszych królestwa miast“, oczywiście w towarzystwie „pana markiza“ Damona.

I oto zaczyna pan Mikołaj żyć: hula i gra w karty, póki się nie zgrywa do nitki; „markiz“, okradłszy swego pupila, czmycha, a pupil powraca do matki i „przez cały miesiąc wie dzie życie przykładne“. Lecz jad, wsączony

w duszę przez Damona, robi swoje: Doświadczyński tęskni do życia, więc jedzie do Warszawy i upada coraz niżej — w otoczeniu pijaków, hulaków i mędrków, którzy uczą go np., że filozofem zostać bardzo łatwo: „Chwal tylko, co drudzy ganią! myśl, jako chcesz, byleby osobliwie! kiedy-niekiedy z religii zażartuj! decyduj śmieie, a gadaj głośno!” Wtem umiera matka: Doświadczyński jest już panem swojej osoby i majątku, więc hula, co się zmieści, wreszcie wybiera się zagranicę.

Lecz na razie musi jechać do Lublina, do trybunału, aby prowadzić proces z sąsiadem, którego za namową swego plenipotenty wygnał był z folwarku. Aby wygrać sprawę, trzeba było naprzód ująć sobie sędziów; zaczęły się więc „pracowite wizyty do każdego w szczególności z jaśnie wielmożnych“. A właśnie przypadły imieniny jednego z nich: „Ten jaśnie wielmożny Jan, w Piotrkowie Ewangelista, był teraz w Lublinie Chrzcicielem“¹⁾. „In gratiam“²⁾ tak wielkiej gali dawał bal mój adwersarz³⁾: żeby się nie dać nietylko w sprawie, ale i w szczodrobliwości przewyciężyć, karetą moja francuska z szorem mosiężnym wyłaczanym przeniosła się zaraz do wozowni jaśnie wielmożnego solenizanta, i nie bez skutku, uczułem bowiem nazajutrz dowód łaski jego: idąc na wschody ratuszowe, wsparł się na mnie, i miałem honor dźwigać go do samej izby sądowej“.

Z kolei trzeba było zjednać sobie adwokatów: „Zeszło się do mnie dziesięciu poważnych i okazałych mecenasów... Postawiono kilka flasz na stole... Szły rześiste kielichy, gdy jeden z ichmościów pracowitszych odezwał się do mnie: „Mości dobrodzieju! sprawa sprawy nie tamuje: przystąpmy do czytania sprawy! przy czytaniu dokumentów, gdy nam którego braknie, kielich to miejsce

¹⁾ t. j. w Piotrkowie obchodził imieniny na ś. Jana Ewangelistę, a w Lublinie na ś. Jana Chrzyciela; ²⁾ z powodu; ³⁾ przeciwnik.

zastąpi“... „Zgoda, zgoda!“ zawołali wszyscy... Zaczął plenipotent mój informować ich o sprawie. Każdy z mecenasów notował sobie potrzebniejsze okoliczności“. Wtem „młodzieniec jeden, wykwintnie ubrany, wchodzi z trzaskiem do pokoju; za nim kozaczek z zaplecionym czerwona wstążką seledcem¹⁾ i pokojowiec w zielonych sukniach z kordelasem, strzelca nadwornego podobno reprezentujący; tych jeszcze poprzedził wyżeł młody, rozhukany, który, rozumiejąc podobno, że jedzą u stolika, wspiął się nań łapami we wszystkim pędzie i kielich duży wywrócił pełen wina, wszystkie papiery moje zlał i notata ichmościów patronów, a co gorsza, kilka pięknych kontuszów i żupanów winem tem splamił. Prędko mi poszepnął plenipotent do ucha, abym tego młodzieńca jaknajgrzeczniej przyjął, „bo to siostrzeniec rodzony JW. Prezydenta, ma już deklarowaną²⁾ chorągiew; ten ma zwyczaj, a bardziej zlecenie, pod tytułem ćwiczenia się w prawie, przysłuchiwać się konferencyom“. Przywitawszy więc z należytem uszanowaniem pożądanego gościa, który żądał także przysłuchać się sprawie, zasiadliśmy do kontynuowania informacji. Wprawdzie ten młodzieniec więcej się psem swoim bawił, jak słuchaniem sprawy: świstał, kazał warować, czapkę rzucaną podać, i, lubo to czyniło dystrakcją słuchaczom, chwaliliśmy psa i pana, a tymczasem skończyła się informacja“.

Wreszcie wygrał Doświadczyński sprawę — przy pomocy sfałszowanych dokumentów; poczem, zaciągnąwszy dług, wyjechał do Paryża, zatrzymując się tu i owdzie po drodze, np. w Kolonii, gdzie „był w katedrze na odpuszcie i całował głowy śś. Kasptra, Majchra i Baltazara“. W Paryżu poznał się z „hrabią“ Fickiewiczem, oszustem, i wspólnie „ułożyli dla honoru narodu polskiego (!) wszelkimi

1) seledec=warkoczyk; 2) deklarować=obietcać.

sposobami o to się starać, żeby i w guście i w magnificencji ¹⁾ przepisać ²⁾ kawalerów tamecznych“. Jakoż okrył Doświadczyński chwałą imię polskie: „Wspaniała moja rozrzutność uczyniła mnie sławnym po całym Paryżu; nająłem mały domek na przedmieściu, z pięknym ogrodem, a że wpodłe miał takiż domek marszałek jeden francuski, tak mój umeblowałem kształtnie, iż przewyciężyłem dotąd niezwyciężonego sąsiada“. Nakoniec, przepuściwszy przy pomocy Fickiewicza, którego długi musiał płacić, prawie wszystko, co miał, z ostatkiem grosza i z duszą, już do cna zepsuta, uciekł Doświadczyński przed wierzycielami do Amsterdamu, a stąd pożegłował do Batawii. Lecz nie dopłynął: wybuchła burza, i „wpędzony na skały okręt rozbił się z nieznośnym trzaskiem“. „Co się naówczas ze mną stało, opowiedzieć tego nie umiem; to wiem, iż, ocuciwszy się niejako, znalazłem się wśród morza; zalany falami, opojony morską wodą, zacząłem dobywać ostatnich sił; szczęściem zachwyciłem dość sporą deszczkę, porwałem ją i takem mocno trzymał, iż, mimo ustawiczne fluktami ³⁾ rzucania, na pół żywy wyniesiony byłem na piasek lądowy“. I na tem kończy się część pierwsza powieści, najlepsza i najciekawsza.

W drugiej opowiada Doświadczyński o swoim pobycie na wyspie Nipu, na którą go fale wyrzuciły. Ustrój społeczeństwa nipuańskiego jest patryarchalny: „niemasz żadnej innej zwierzchności politycznej, prócz naturalnej rodziców nad dziećmi“; zresztą wszyscy są równi: są wprawdzie „panowie“ i „czeladź“, ale „nie znać było najmniejszej podłości w czeladzi: panowie nie patrzyli się na nich surowem okiem, dopieroż kar bolesnych albo obelżywych podobieństwa nawet nie postrzegłem“. Miast ani żadnych

¹⁾ magnificencya=wspaniałość, przepych; ²⁾ przewyższyć; ³⁾ flukty=bałwany.

instytucji państwowych, jakoto: wojska, sądów, skarbu i t. d., niema, bo wogóle niema państwa, — jest tylko społeczeństwo. Co do religii, wierzą Nipuańczycy w jednego Boga, który „jest źródłem wszystkiej istności, początkiem wszystkiego dobra“: ale Kościoła nie mają. Trudnią się rolnictwem: każdy gospodarz ma dom, pole i ogród, „wszystko pod równym wymiarem“; nie znając żadnych kruszców, „zażywają do narzędzi rolniczych ości od ryb wielkich, które morze częstokroć na brzeg wyrzuca“; te tak zaostrzają tarciami jednych o drugie, iż i drzewa niemi obrabiać i zboże żąć mogą“. Czytać ani pisać nie umieją, bo liter i książek nie znają, mają zato składne i wdzięczne pieśni oraz powieści o wielkich przodkach. Są bardzo moralni: pielęgnują wstrzeźliwość (mięsa nie jadają), szanują rodziców, kochają tradycję, nie kłamią, nie kradną, nie zdradzają, nie pochlebiają. Takimto ludziom przypatrywał się Doświadczyński, czasami „odchodząc prawie od siebie z radości i zadziwienia“. Lecz musiał i pracować (po raz pierwszy w życiu), jako parobek u gospodarza imieniem Xaoo, i „ta praca, która z początku zdawała mi się nieznośna, stała się z czasem zabawą przyjemną; spazmy, wapory¹⁾, reumatyzmy, z których mnie nie mogły wyprowadzić wody selcerskie i karlsbadzkie, ustąpiły dobrowolnie z rześystym potem; apetyt, który soczystymi bulionami musiał wzbudzać i krzepić z początku mój kucharz Chrystyan, Niemiec, dalej imć pan Sosancourt, Francuz, sam się powrócił; a rzepa po pracy lepiej smakowała, niż przedtem podlaskie kuropatwy; w niedostatku zwierciadła, gdym się w wodzie przezieierał, postrzegłem płeć moją, prawda, przyczernioną, ale twarz pełną i rumieniec żywy; sen smaczny, a nieprzerwany orzeźwiał strudzone dzienną robotą członki, a czerstwość sama się pracą pomnażała“. Słowem odro-

¹⁾ wyziewy. <http://rcin.org.pl>

dził się Doświadczyński fizycznie. A poczęści i umysłowo, słuchał bowiem „z gustem niewypowiedzianym“ długich kazań mądrego Xaoo na temat cnoty i moralności, miłości ojczyzny i języka ojczystego, szkodliwości podróży zagranicznych i t. p.

Trzy lata z górą mieszkał Doświadczyński wśród Nipuańczyków; choć mu czas szybko płynął, tęsknił do kraju, bo „prawdę powiedzieli starzy, iż słodki dym ojczyzny“. Więc, znalazłszy raz na brzegu łódkę z jakiegoś rozbitego okrętu, wskoczył i puścił się na morze, nie przeczuwając, że, zanim ujrzy dym ojczyzny, czekają go jeszcze różne przygody.

O tych „awanturach“ opowiada księga trzecia i ostatnia. Czegoż nie doświadczył Doświadczyński! Jęczał w niewoli u hiszpańskiego handlarza niewolników, męczył się w kopalniach w Potosi (w Ameryce południowej), w Hiszpanii dostał się do więzienia, a nawet do szpitala waryatów! Lecz w tej twardej szkole życia odrodził się moralnie i później, w Paryżu, szukał towarzystwa już nie Fickiewiczów, ale „mędrców niedumnych, bogaczy niewyniosłych, panów przystępnych, bogobojnych, bez żółci, rycerzów bez samochwalstwa“. Zaprzyjaźnił się z pewnym margrabią, który go namówił, by wracał do ojczyzny i pracował dla niej. Jakoż powrócił do swej wioski rodzinnej, do Szumina, i oto „w przeciągu lat dziesięciu dworak w Warszawie, w Paryżu galant, oracz w Nipu, niewolnik w Potosi, szalony w Sewilli, został w Szuminie filozofem“. „Za punkt największy gospodarstwa wziął sobie szczęśliwość swoich poddanych“, a pragnąc pozyskać szersze pole do pracy obywatelskiej, zaczął się ubiegać o godność poselską. „Przyjechawszy do miasta stołecznego, chciałem iść jaknajprzyzwoitszemi drogami do dostąpienia poselstwa; wyśmiali dzikość moją sąsiedzi, gdy się dowiedzieli, że tylko jednego kucharza z sobą przywiózł; a gdy ich wieść

doszła, że nie więcej miał z sobą nad dwa antały wina, sam imć pan podkomorzy wręcz zdecydował, iż o mojem poselstwie nie tuszy; kupilem więc czempredziej w poblizszym klasztorze wina wybornego beczek kilka; kucharczów użyczyli sąsiedzi; że zaś było pieniędzy dostatkiem, poszło wszystko i prędko i dobrze“ mimo niechętnych, którzy patrzyli krzywo na Doświadczyńskiego, który „jeździł po rozum za granicę“, że więc wszystko będzie teraz „pomodnemu, pofrancusku, poniemiecku, dyabli wiedzą pojakiemu“, obrano go na posła, pod warunkiem, że się na sejmie dopominać będzie o reperacyę ratusza lubelskiego i piotrkowskiego, o sumy neapolitańskie, o otwarcie kopalni w Olkuszu i o starania około kanonizacyi dwu błogostawionych. Pojechał więc pan Mikołaj do Warszawy, ale cóż, kiedy na trzeci dzień sejm zerwano! Więc wrócił na wieś i ponownie wziął się do cichej pracy na roli, a „pierwszy podobno z całej okolicy przeświadczony będąc, że poddani byli ludźmi, przyłożył do tego starania, aby ile możności, uczynić ich stan znośniejszym“. Niebawem, podczas podróży na Litwę, spotkał Julianę (która zdążyła tymczasem już nie tylko opuścić klasztor i wyjść zamaż, ale i owdowieć), ożenił się z nią, żył szczęśliwie i doczekał się synów i wnuków.

Taka jest treść powieści. A jej dążność i myśl przewodnia? Chciał Krasicki, popierwsze, dać obraz satyryczny wychowania domowego; powtóre, chciał uwydatnić oplakane jego skutki, pokazać, jaką drogą dochodzi się do utraty czasu, majątku i honoru: gdyby Doświadczyńskiego inaczej wychowano, byłby odrazu pracował na pożytek i chwałę ojczyzny; słowem, Doświadczyński to ofiara złego wychowania, a stąd myśl przewodnia powieści: trzeba dobrze wychowywać młodzież!

Lecz, jak zawsze, tak i tutaj chciał Krasicki nie tylko uczyć, ale i bawić, więc napisał nie rozprawę, tylko po-

wieść. A trzeba wiedzieć, że za jego czasów powieść w Europie zachodniej była już bogata i różnorodna: były powieści wychowawcze, t. j. uczące, jak trzeba albo jak nie trzeba wychowywać (np. „Przygody Telemaka“ przez Fenelona, § 77) i wogóle powieści dydaktyczne (np. słynny „Robinson Kruzo“ Anglika Defoe); były obyczajowe, odzwierciedlające obyczaje i wogóle rzeczywiste życie narodu; były i takie, których treść wypełniały nadzwyczajne przygody na lądzie i na morzu; były wreszcie tak zwane utopie, t. j. opisy krain, nigdzie nie istniejących, wymarzonych, które wyobrażnia, niezadowolona z rzeczywistości, zaludniała ludźmi, lepszymi i szczęśliwsiymi od ludzi prawdziwych, szczęśliwsiymi głównie dlatego, że się obchodzą bez cywilizacji, że żyją na łonie natury. (O takimto społeczeństwie bredził w XVIII w. Russo, § 77, a za nim inni, zapominając, że bez cywilizacji byłoby jeszcze gorzej na świecie, że bezwzględne szczęście człowieka pierwotnego jest wierutną bajką, że modne podówczas hasło powrotu ludzkości na łono natury jest szkodliwym dla postępu absurdem). Wobec tej różnorodności literatury powieściowej zagranicą, literatura polska miała jedynie liche powieści fantastyczne, miana powieści niegodne. Otóż „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki“ to pierwsza powieść polska, godna tego imienia. Jestto mianowicie, ze względu na dążność i myśl przewodnią, powieść wychowawcza. Nie dosyć na tem: Krasicki chciał odrazu kilka srok za ogon złapać, chciał za jednym zamachem dać literaturze ojczystej wszystkie znane podówczas rodzaje powieści: opowiadanie o wychowaniu Doświadczyńskiego, o trybunale lubelskim, o sejmiku—to powieść obyczajowa; jego pobyt na wyspie Nipu — to utopia, a jego przygody w Paryżu, w Ameryce i Hiszpanii—to powieść awanturnicza („le roman des aventures“, jak nazywano takie powieści we Francji). Lecz nie wszystkie mają jednakową

wartość: opowiadanie o awanturach pana Mikołaja jest słabe, bo Krasicki nie miał bujnej fantazy; dla tej samej przyczyny słaba jest i utopia, a dotego klóćca się okropnie z dążnością wychowawczą powieści: przecie autor chciał zachęcać czytelników do oświaty i cywilizacyi, a nie do „dzikości“!! Ale zato powieść obyczajowa jest od początku do końca utworem znakomitym, jako obraz satyryczny współczesnych obyczajów, tryskających życiem i prawdą.

§ 86. Wiek oświecony, krzewiąc oświatę, niósł jednak z sobą niewiarę i zgorzenie moralne (§ 76), a te poczytywał Krasicki za niemniejszą, owszem za większą klęskę od ciemnoty: „Bądź raczej cnotliwym nieukiem, niż mądrym, a bezbożnym!... Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały, odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy, niech będą dobrzy, a będą szczęśliwi Polacy!“ Przerażony zaś smutną terażniejszością, ulatywał myślą w daleką przeszłość, w której nie widział wprawdzie „wieku oświeconego z jego nauką i ogładą, ale w której upatrywał zato wiarę i cnotliwy obyczaj staropolski. W tymto duchu pisał swoje „Satyry“ (1779), wymierzone nie przeciwko sarmatyzmowi, ale głównie przeciwko „światowi zepsutemu“, t. j. ujemnym stronom wieku oświeconego.

Satyr jest dwadzieścia dwie. Na czele znajduje się satyra „Do króla“: nie „na“ króla, tylko „do“ króla; nie króla bowiem gromi Krasicki (przeciwnie, chwali go tak zęcznie, jak nikt w XVIII w.), ale społeczeństwo, które nie chciało darować stolnikowi litewskiemu jego wyniesienia, które też obrzucało go szeregiem zarzutów, często błahych i głupich. Otóż Krasicki powtarza je dosłownie i ośmieszają: „Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?... Jesteś królem, a byłeś przedtem mościpanem! To grzech nieodpuszczony!... Tyś królem, czemu nie ja?... Oto młodyś jeszcze!“... Od siebie zaś dodaje dwa jeszcze nibyto zarzuty,

w istocie dwie pochwały: 1) zanadto jesteś człowiekiem, boś zbyt łagodny, pamiętaj, że „król nie człowiek“; „poco tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy! chcesz, aby cię kochali, niech się raczej boją! cóżes zyskał dobrocią, łagodnością swoją? zdzieraj, o będziesz moźnym! gnęb, a będziesz wielkim!“; 2) „Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych? i to źle! porzuć mędrków zabałamuconych! żaden się naród księgą w moc nie przysposobił: mądry przedysputował, ale głupi pobit“. Wogóle cała satyra jest arcydziełem subtelnej ironii i niezrównanej, dworskiej zręczności: ironii względem społeczeństwa, które suchej nitki na St. Augustie nie zostawiło, nie umiejąc i nie chcąc ocenić jego rzetelnych zasług około oświaty, a zręczności— w pochwałach dla króla, którego cenił Krasicki właśnie za te zasługi. Roi się literatura stanisławowska od niesmacznych wierszydeł dworackich, ale ze smakiem pochwalił króla jeden jedyny Krasicki.

Poza satyrą „Do króla“, na poły polityczną, wszystkie inne są obyczajowe, a pisane pod pięknem hasłem: „Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka“, to znaczy, że nigdy nie są paszkwilami, ale karcą lub ośmieszają ułomności ludzkie wogóle, a społeczeństwa polskiego w szczególności. Cała Warszawa w swoim zepsuciu obyczajowem przesuwa się przed oczami czytelnika: dworacy i pieczeniarze, filuci i obłudnicy, pijacy i rozpustnicy, karcjarze i utracyusze, marnotrawcy i sknery, dusigrosze i lichwiarze, głupcy i mędrki, łapownicy i złodzieje, karyerowicze i zdrajcy, złota młodzież i żony modne: oto galerya typów satyrycznych Krasickiego. A wszystkie skreślone może nie tak dosadnie, jak w satyrach Naruszewicza (§ 79), ale zato bez rubaszości, ze smakiem i sztuką. Oto obłudnik np. „Paweł trzech mszów słuchoł, zmówił cztery różańce, na gromnicę dmuchał, wpisał się w wszystkie bractwa, dwie

godziny klęczał, krzywił się, szeptał, mrugał i wzdychał i jęczał, a pieniądze dał w lichwę... Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szep taj i dmuchaj, zmów różańców bez liku, bez liku mszów słuchaj: jeśliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz: możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz!

Lecz nietylko charakteryzować, ale i opowiadać umie Krasicki: do najlepszych satyr należą mające postać rozmowy, a jednocześnie będące powiastkami, opowiadaniem o zmyślonem zdarzeniu. Taką postać ma wprawdzie i „Chudy literat“ Naruszewicza, ale w satyrach Krasickiego i rozmowa i opowiadanie są nieskończenie żywsze, np. w „Pijaństwie“: pijak, opowiedziawszy przyjacielowi, jak się onegdaj upił „dla imienin żony“, a wczoraj, klin klinem wybijając, upił się także i „wziął w łeb butelką“, — z pokorą słu cha perory poto, aby na pytanie: „Gdzie idziesz?“ odpowiedzieć: „Napiję się wódki!“ Lecz arcydziełem powiastki satyrycznej jest „Żona modna“, — przepyszny obrazek obyczajowy, przedziwnie uwydatniający kilka rysów przeciwieństwa dwu światów, które się z sobą długo zrozumieć nie mogły: dawnego, staropolskiego, i nowego, wytworzonego przez napływającą do Polski obyczajowość francuską; świat pierwszy uosabia poczciwy hreczkosiej, „wpisany w bractwo braci żałujących“, t. j. osiodłany wnet po ślubie przez swoją magnifikę, a drugi — „żona modna“, sentymentalna, sfrancuziała gąska warszawska z przewróconym łbem, przewracająca też mężowi do góry nogami i dom staroświecki i ogród staropolski.

Ulubioną bronią satyryczną Krasickiego jest śmiech: humor, dowcip i ironia, nie zgryźliwa, jak ironia Naruszewicza, tylko wesoła i pogodna. Ale nie zawsze: czasem ironia jest smutna i bolesna, czasem nawet wybucha Krasicki oburzeniem, nie mogąc, przy całej swej pogodzie ducha, patrzeć zimnem okiem na bezkarność zbrodni, na

zdrajców i złodziejów ojczyzny, który (jak np. Poniński), zamiast ziemię gryźć w lochach albo wisieć, siedzieli sobie spokojnie w domu. Tych napiętnował Krasicki w satyrze „Wziętość“: „Mały złodziej wart chłosty; lecz ten, co kraj zdradza, lubo tyle za sobą hańb, sromot wprowadza, iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy jeszcze małe do składu jego szubienicy, przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza, wstęgi nosi na szyi, co warta powroza“. I dodaje z bolesną ironią: „Chciałbym i ja też urość: cóż, kiedy nie kradnę!“... Oburzeniem wybucha Krasicki i przeciwko panom-tyranom — w satyrze „Pan nie wart sługi“: „I wziął tylko pięćdziesiąt!—Wieleż miał wziąć? — Trzysta! Takto z dobrego pana zły sługa korzysta. — A za co te pięćdziesiąt?—Psa trącił.—Cóż z tego?—Ale psa, faworyta jegomościnego! — Prawda, wielki kryminal: ale i plag wiele.—To łaska, że pięćdziesiąt!—I nieprzyjaciele taką łaskę wyświadczą.—On najlepszy z panów, on sto plag nigdy nie dał! — Mów raczej: z tyranów, co dom czynią katownią, a na płacz nieczuli, z wnętrzości się człowieczych ku sługom wyzuli“. Ale najpiękniej przemówiło oburzenie Krasickiego w satyrze „Świat zepsuty“, będącej ogólną charakterystyką niemoralności wieku oświeconego, przepelnionej serdecznem uczuciem bólu patryotycznego; satyra ta, godna miana satyry lirycznej, to śliczne świadectwo uczciwego serca autora.

I wogóle „Satyry“ są arcydziełem Krasickiego: tutaj to jego talent zajaśniał w pełnym swoim plasku, i, jeżeli gdzie, to tutaj jest autor artystą z bożej łaski, jest mistrzem wykwintnej, a lekkiej formy. „Satyry“ Krasickiego to korona naszej poezyi stanisławowskiej, to zarazem najpiękniejsze satyry polskie i jedne z najpiękniejszych na świecie.

ŚWIAT ZEPSUTY.

(w skróceniu).

Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić,
Godzi się kraść Ojczyznę łatwą i powolną:

A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
Niech się miota złość na cię i chytrność bezczelna:
Ty mów prawdę, mów śmiało; satyro rzetelna!

Gdzieżeś, cnoto? gdzieżeś, prawdo? gdzieście się
podziały?

Tuście niegdyś najmiłsze przytulenie miały:
Czciliy was dobre nasze ojce i pradziady,
A synowie, co w bite stąpać mieli ślady,
Szydząc z świętej pocziwych swych przodków pro-
stoty,

Za blask czczego poloru zamienili cnoty!
Słów aż nadto, a same matactwa i łgarstwa;
Wstręt ustał, a jawnego sprośność niedowiarstwa
Śmie się targać na święte wiary tajemnice:
Jad się szerzy, a źródło biorąc od stolicy,
Grozi dalszą zarazą. Pełno ksiąg bezbożnych,
Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych;
A jeśli się gdzie cnota i pobożność mieści,
Wyśmiewa ją zuchwałość, nawet w płci niewieściej;
Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne!

Gdzieżeście, o matrony święte i przykładne?
Gdzieżeście, ludzie prawi? przystojna młodzieży?
Oslep tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże:
Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i mężę,
Zapamiętałe dzieci rodziców się wstydzą,
Wadzą się przyjaciele, bracia nienawidzą...

Duchy przodków, nagrody cnot co używacie!
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,

Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy, ale z gruntu skażeni, wyrodni,
Jesteśmy, ależ tego nazwiska niegodni,

To, co oni honorem, pocziwością zwali,
My prostotą ochrzčili; więc, co szacowali,
My tem gardziem, a grzeczną przynosząc nad cnotę,
Dzieci złe, psujem ojców pocziwych robotę...

Płodzie, szacownych ojców noszący nazwiska!
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą twych losów: zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki gubią kraje.
Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
Który na gruncie cnoty rządów nie założył;
Próżno sobie pochlebia: ten, co niegdyś sływał,
Rzym cnotliwy—zwycięzał, Rzym występny—zginął;
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły:
Zbrodnie, klęsk poprzedniczki i upadków pośly,—
Te go w jarzmo wprawiły! Skoro w cności stygnał,
Upadł—i już się więcej odtąd nie podźwignął.

Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił:
Ten nas nierząd, o bracia, pokonał i zgubił,
Ten nas cudzym w łup oddał: z nas się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby i lęże—wzmoże się wspaniały:
Rozpacz—podział nikczemnych!... Wzmagają się waly,
Grozi burza, grzmi niebo; okręt nie zatonie,
Majtki, zgodnie z żeglarzem, gdy staną w obronie;
A choć bezpieczniejsz okręt opuścić i płynąć,
Pocziwiej być w okręcie, ocalić lub zginąć!

PIJAŃSTWO.

— Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabysz? — I jak
jeszcze!

Wszak wiesz, że ja się nigdy zbyt nie pieszczę:
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.

—Pewnieś wczoraj był wesół?—Dlategoś dziś smutny.

—Przejdzie ból. Powiedzże mi proszę, jak to było?

Po smacznym, mówią, kąsku i wodę pić miło.

—Oj, niemiło, mój bracie! bodaj z tem przysłowiem

Przepadł, co go wymyślił! Jak było, opowiem.

Upiłem się onegdaj dla imienin żony;

Nie żal mi tego było: dzień ten obchodzony

Musiał być uroczyście; dobrego sąsiada

Nieźle czasem podpoić; jejmość była rada,

Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,

Cieszyliśmy się pięknie i nieźle się piło:

Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,

Cięży głowa, jak ołów, krztuszę się i nudzę.

Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący;

Jakos koło apteczki przeszedłem niechcący;

Hanyżek mnie zaleciał: trochę nie zawadzi;

Napiłem się więc trochę, aczej ¹⁾ to poradzi.

Nudno przecie: ja znowu; już mi raźniej było.

Wtem dwóch z uczty wczorajszej kompanów przybyło.

Jakże nie częstować, gdy kto w dom przychodzi?

Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi!

Więc ja znowu do wódki: wypięm niechcący

„Omne trinum perfectum“ ²⁾: boć trunek gorący

Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy:

Ustały i nudności, ustał i ból głowy.

Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompany,

Wtem obiad zastaliśmy już przygotowany.

Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej, my za nim:

Bodajto wstręmięźliwość! pijatykę ganim,

¹⁾ a nuż; ²⁾ wszystko, co potrójne, doskonałe (do trzech razy sztuka).

A tymczasem butelka nietykana stoi.

Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,

Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi:

„Kieliszek jeden, drugi zdrowiu nie zawadzi,

„A zwłaszcza, kiedy wino wytrawione, czyste!“

Przystajem na takowe prawdy oczywiste.

Idą zatem dyskursa tonem statystycznym

O miłości ojczyzny, o dobru publicznem,

O wspaniałych projektach, mężnym animuszu,

Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu,

Odbieramy Inflanty i państwa multańskie,

Liczemy owe sumy neapolitańskie,

Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzimy,

Tych bijem wstrętnym bojem, z tamtymi się godzimy;

A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.

Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,

Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,

Trzeciej, czwartej i piątej aniśmy spostrzegli,

Poszła szósta i siódma, za niemi dzięsiąta.

Naówczas gdy nas miłość ojczyzny zaprzęta,

Pan Jędrzej, przypomniawszy żórawińskie klęski,

Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwy-

cięski —

Krzyczy Wojciech.—Nieprawda!—A pan Jędrzej płacze.

Ja gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłumaczę,

Pan Wojciech mi przymówił.—Słyszysz waść—mi rzece.

—Jakto: waść! nauczę cię rozumu, człowiecze!

On do mnie, ja do niego; rwiemy się zajadli;

Trzyma Jędrzej; na wrzaski służący przypadli:

Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszą wielką,

Ale to wiem i czuję, żem wziął w łeb butelką.

Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!

Cóż w niem? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,

Oto profit ¹⁾: nudności i guzy i plastry.

— Dobrze mówisz, podłej to zabawa hałastry;
Brzydzi się niem człek prawy, jako rzeczą sproszą:
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadweręża i utracą życie.
Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku:
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić; kiedy rozsądek zaleje
I wkontr ²⁾ naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało
Na to, aby użyciem swoim orzeźwiało,
Użycie darów Bożych powinno być w mierze.
Zawstydzą pijanicę nierozumne zwierzę,
Potępiają bydłęta niewstrzymałość naszą:
Trunkiem według potrzeby gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
Gorszy od nich, gdy działa, podlejszy tem bardziej!
Mniejsza guzy i plastry: to zapłata zbrodni;
Większej kary, obelgi takowi są godni,
Co, w dzikim zaślepieniu występni i zdroźni,
Rozum, który człowieka od bydłęcia różni,
Śmiaż za lada przyczyną przytępiać lub tracić.
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść tak wielką utratę nadgrodzi?
Zła to radość, mój bracie, po której żal chodził
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki:
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna,
Majątność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebnie rozsądne.

¹⁾ korzyść; ²⁾ naprzekór. <http://rcin.org.pl>

Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są...—Bądź zdrów!—Gdzież idziesz?—Napiję się
wódki!...

ŻONA MODNA.

— A ponieważ dostałeś, coś tak drogo ceniał,
Winszuję, panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać!—Cóż to znaczy? Oziębłe dziękujesz;
Albożto szczęścia swego jeszcze nie pojmujesz?
Czyliż się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkim, luboć to zazwyczaj tak bywa:
Pierwsze czasy cukrowe...—Toś pewnie w goryczy?
— Jeszcze!...—Bracie trzymaj więc, coś dostał w zdo-
byczy,
Trzymaj skromnie, cierpliwie, a milcz tak, jak drudzy,
Coto swoich małżonek uniżeni słudzy;
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jejmość tylko w domu rządczyną i pani.
Pewnie może i twoja?—Ma talenta śliczne:
Wzięłam po niej w posagu trzy wioski dziedziczne;
Piękna, greczna, rozumna.—Tem lepiej!—Tem gorzej!
Wszystko to na złe wyszło i zgubi mnie wspaniej;
Piękność, talent, wielkie są zaszczyty niewieście:
Cóż potem, kiedy była wychowana w mieście!..
— Alboż to miasto psuje?—A! któż wątpić może?
Bogdaj to żonka ze wsi!—A z miasta?—Broń Boże!
— Żłem tuszył, skorom moją pierwszy raz obaczył!
Ale, żem to, co spostrzegł, na dobre tłumaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy,
Wiejski Tyrsys, wdychałem do mojej Filidy ¹⁾.
Dziwne były jej gusta i misterne wdzięki,

¹⁾ Tyrsys, Filida — postaci, występujące w sielankach sentymentalnych (§ 77). <http://rcin.org.pl>

A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów: a czym się uśmiechał,
Czym się skarżył, czy milczał, czy mówił, czy wdychał,
Widziałem, że niedobrze udawał aktora:
Modna Filis gardziła sercem domatora.
I ja byłbym nią wzgardził; ale punkt honoru,
A czego mi najbardziej żał, pojęta zbioru:
Owe wioski, co z memi graniczą dziedziczne, —
Te mnie zwiodły, wprawiły w te okowy śliczne.

Przyszło do intercyzy¹⁾. Punkt pierwszy, że w mieście
Jejmość, przy doskonałej francuskiej niewieście,
Co lepiej (bo Francuzka) potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny,
To jest: apartamenta paradne dla gości,
Jeden ztyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punk piąty... A, broń Boże! Złakłem się!—A czego?
— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania wspólnego
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
— Jaki węzeł?—Małżeński.—Rzekłem: ten śmierć kończy!
Rozśmieli się z wieśniackiej przytomni prostoty.
I tak, płacąc wolnością niewczesne zaloty,
Po zwyczajnych obrządkach, rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żałujących!...
Wyjeżdżamy do domu; jejmość w złych humorach:
„Czem pojedziem?“—Karetą.—„A nie na resorach?“
Dalej ja po resory! Szczęściem kasztelanic,
Co karetę angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga: kupilem. Czas siadać.
Jejmość słaba: więc podróż musimy odkładać.

¹⁾ intercyza = umowa przedślubna.

„Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany
„Masz waćpan i figurki piękne z porcelany?“
— Nie mam.—„Jak to być może? Ale już rozumiem
„I, lubo jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
„Domyślam się: na wety zastawiają półki,
„Tam w pięknych piramidach krajanki, gomółki,
„Tatarskie ziele w cukrze, imbir chiński w miodzie;
„Zaś ku większej pociesze razem i wygodzie,
„W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany¹⁾,
„A na wierzchu toruński piernik pozłacany.
„Szkoda mówić: to pięknie, wybornie i grzecznie!
„Ale wybacz mi waćpan, że się stawię sprzecznie:
„Jam niegodna tych parad, takiej wspaniałości!“—
Zmilczałem, wolno było żartować jejmości.
Wjeżdżamy już we wrota; spojrzęła z karety:
— „A pfe, mospanie! Parkan! Czemu nie sztakiety?“—
Wysiadła, a z nią suczka i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka:
Łzy mu w oczach stanęły, jam westchnął. W drzwi
wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban.—„Kłaniam!“—Zmarszczył
się dobrodziej.
— „Gdzie sala?“—Tu jadamy.—„Kto widział tak
jadać?
„Mała izba: czterdziestu nie może tu siadać!“—
Aż się wezdrgnął Franciszek, skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam zostałem. Idziem dalej.—Tu pokój sypialny.—
— „A pokój do bawienia?“—Tam, gdzie i jadalny.
— „To być nigdy nie może! A gabinet?“—Dalej;
Ten będzie dla waćpani, a tu będziemy spali.

¹⁾ kandyzować=przysmażać w cukrze, lukrować.

— „Spali? proszę, mospanie, do swoich pokojów!
„Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
„Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
„Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych.
„A ogród?“—Są kwatery z bukszpanu, ligustru!
— „Wyrzucić! Niepotrzeba przydatnego lustru¹⁾!
„To niemczyzna! Niech będą z cyprysów gaiki,
„Mruczące po kamyczkach gdzieniegdzie strumyki,
„Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
„Tu domek pustelnika, tam kościół Dyjanny!
„Wszystko jak od niechcienia, jakby od igraszki!
„Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki,
„A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
„Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha;
„A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
„Nad nieszczęściem Pameli²⁾ albo Heloisy³⁾! —
Uciekłem, jak się jejmość rozpoczęła zżymać:
Już też więcej nie mogłem tych bajek wytrzymać.
Uciekłem. Jejmość w rządy. Pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można!
Jejmość, w planty⁴⁾ obfiata, a w dziełach przemożna,
Z stołowej izby balki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.
Już alkowa złożona w sypialnym pokoju,
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju,
Poszły słoiki z apteczki, poszły konfitury;
A nowem dziełem kunsztu i architektury
Z półek szafy mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystko po francusku; globus na stoliku,
Buduar śklił się złotem, pełno porcelany,

1) lustr=blask, połysk, ozdoba; 2) Pamela - bohaterka powieści sentymentalnej pisarza angielskiego, Riczardsona; 3) Heloiza—bohaterka powieści Russa; 4) planta=zamiar, pomysł

Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany...

Zgoła przeszedł mój domek warszawskie pałace,

A ja w kącie, nieborak, jak płaczę, tak płaczę.

To mniejsza. Lecz gdy hurmein zjechali się goście,

Wykwintne kawalery i modne imoście,

Bal, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:

Pan szambelan za zdrowie jejmości wykrzyka,

Pan adjutant wypija moje stare wino,

A jejmość, w kącie siedząc z panią starościna,

Kiedy się ja uwijam, jako jaki sługa,

Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga,

Po wieczery fejerwerk; goście patrzą z sali:

Wpadł szmermel między gumna, stodoła się pali!

Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płaczę,

A tu brzmią coraz głośniej na wiwat trębacze.

Powracam zmordowany od pogorzeliśka,

Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.

Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa.

Przekładam zbyt ni ekspens: jejmość zapalczywa

Z swojemi czterma wsiami odzywa się dwornie¹⁾.

— I osiem nie wystarczy!—przekładam pokornie.

— „To się wróćmy do miastal!“—Zezwoliłem: jedziem;

Już tu od kilku niedziel zbyt kujem i siedziem;

Już... ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:

Cóż mam czynić? próżny żal, jak mówią, po szkodziel!

§ 87. Posiadając umysł trzeźwy, daleki od marzy-
cielstwa i niezdolny do zapału, niebardzo wierzył Krasicki,
zwłaszcza po pierwszym rozbiornie, żeby można było ura-
tować Polskę, jako państwo; lecz o możliwości uratowania
narodu nie wątpił, bo wierzył w jego nieprzebrane siły
żywotne; a pragnąc pouczyć naród, jak ma pracować dla

1) wyniośle.

ojczyzny, choćby ona nawet niepodległość utracić miała, napisał powieść p. t. „Pan Podstoli“, której tylko dwie pierwsze części ukazały się w druku za jego życia (1778 i 1784), a trzecia dopiero po śmierci (1803). Zaczyna się powieść tak:

„Gdym był raz w drodze około czasów żniwowych, trafiło mi się przejeżdżać przez wieś osiadłą i budowną. Widząc w niej karczmę porządną, lubo jeszcze było daleko do zachodu słońca, zajechałem tam na nocleg, a gdym się gospodarza pytał, kto tej wsi dziedzicem, odpowiedział mi: „Pan Podstoli“. — „Kto tę karczmę zbudował?“ — „Pan Podstoli“. — „Kto tak dobrą groblę usypał?“ — „Pan Podstoli“. — „Kto most na rzece zmurował?“ — „Pan Podstoli“. Zgoła kościół, dwór, folwark, śpichlerz, browar, chałupy nawet—wszystko to było dziełem jednego człowieka, a ten był pan Podstoli. Zdjęła mnie niezmierna ciekawość poznać go; bałem się być natrętem, ale mnie karczmarz upewnił, iż pan Podstoli rad był każdemu w swoim domu. Już było po zachodzie słońca, a wieczór piękny, gdy, przechadzając się po grobli, postrzegłem idącego ku sobie człowieka w żupanie białym; miał pas rzeźmienny, na głowie obszerny kapelusz z słomy, w ręku kij prosty. Gdy się zbliżał, a postrzegłem twarz poważną, rumieniec czerstwy, wąs siwy, domyśliłem się, iż to musiał być pan Podstoli. Przystąpiliśmy ku sobie, i po pierwszym przywitaniu rzekłem, iż przypadkowe, jako mniemam, pana tutejszej wsi spotkanie nader jest pożądaną dla mnie okolicznością; „nie mogę albowiem przed waćpanem zataić—rzekłem dalej—podziwienia z tego wszystkiego, co tu widzę; tem zaś bardziej to podziwienie zwiększyłem, gdym się dowiedział, iż wszystko jest skutkiem waćpana industryi¹⁾ i pracy“. Podziękował za dobrą opinię, przyjął po-

¹⁾ industrya=przemysłność.

chwałę bez fałszywego wstrętu, a żeśmy byli niedaleko wrót, zaprosił do dworu“.

„Obszerny dziedziniec płot, z kołów wielkich sporządzony, otaczał; ten zewsząd obsadzony był wybujałemi do góry wierzbami, na środku cztery lipy rozłożyste stały, pod każdą z darnia siedzenie, w środku stół kamienny. Po prawej ręce była porządna oficyna kuchenna z izbami, jakem miarkował, dla czeladzi; po lewej szły stajnie, wozownie, na boku murowany lamus¹⁾ z żelaznemi u okien kratami i okiennicami, naprzeciwko niego śpichlerz. Dwór sam był z drzewa na dobrym i znacznie od ziemi wzniesionem podmurowaniu. Weszliśmy do izby; na środku stał stół, dywanem tureckim okryty, kredens był przy drzwiach, tacami, pułkami, dzbanami srebrnymi i złocistymi ozdobny, naprzeciwko drzwi wisiał portret króla Jana. W drugiej izbie, niemniej przystojnej, zastaliśmy jejmość nad krosienkami; haftowała, jakem się potem dowiedział, tuwalnią²⁾ do kościoła. Wstała natychmiast z krzesła i przywitała mnie; obróciła się potem do męża i, wzięwszy go za rękę z tym wdzięcznym uśmiechem, którego moda nauczyć nie może, rzekła, iż dzieci ze szkół dziś na noc przyjadą. Dano znać wkrótce o ich przybyciu; weszły do izby razem z dyrektorem; starszy nie mógł mieć więcej nad lat szesnaście, młodszy rokiem różnił się w wieku od starszego. Nastąpiła niebawem wieczerza; siedli gospodarstwo, dzieci, dyrektor i ja, panna służebna, matrona jakaś podeszła i dwóch ojców reformatów. Podczas stołu były dyskursa, jak zwyczajnie przy pierwszym poznaniu, obojętne. Gdyśmy wstali, rzekł do mnie gospodarz, iż zachowywał dawny zwyczaj modlić się po wieczerzy z czeladką; poszliśmy więc do kaplicy i, po skończonych litaniach, gdyśmy się wrócili nazad, bawiliśmy się

1) skład; 2) tuwalnia — obrus.

dyskursami do godziny dziesiątej, o której odprowadził mnie gospodarz do mojej stancyi. Zastałem pokoiki dwa, małe, ale przystojne i czyste; na żadnej wygodzie nie brakowało. Przed odejściem prosił mnie pan Podstoli, abym, jeżeli interesu pilnego nie miał, chciał nieco wypocząć i odetchnąć w jego domu, zostawując zupełnie woli mojej czas bawienia. Interes, dla którego wybrałem się w drogę, nie był gwałtowny; dom — taki, jakiegom dawno pragnął: dałem się więc użyć¹⁾ łatwo i obiecałem, iż kilka dni zabawę“.

Ale nie kilka dni, tylko kilka tygodni zabawił autor u pana Podstolego — poto, aby, powróciwszy do siebie, znów go odwiedzić; pan Podstoli, nie chcąc być dłużnym, przyjeżdża do autora, poczem ten odwiedza go raz jeszcze. To i cała treść powieści, a raczej nie treść, tylko dopiero ramy, w które oprawił autor treść niezmiernie bogatą, opowiadając wszystko, cokolwiek widział i słyszał w podróży i w domu pana Podstolego. A widział i słyszał mnóstwo: zwiedził cały dom i całe gospodarstwo pana Podstolego oraz chałupy jego włościan; poznał jego domowników, dzieci i żonę, która pracuje od świtu do nocy, ucząc córki, lecząc włościan, „odwiedzając krowy, gęsi, kaczki, kury, zwierzęta nawet, niegodne wspomnienia pięknej damy“; poznał zacnego księdza plebana oraz sąsiadów i sąsiadki pana Podstolego: jeździł po okolicznych wsiach i miasteczkach, gdzie spotykały go różne przygody; był na imieninach pani podstoliny i na weselu panny podstolanki i t. d. Ale nadewszystko nagadał się za wszystkie czasy z panem Podstolim i nasłuchał się od niego wielu mądrych i ciekawych rzeczy: o Kościele i religii, o cnocie i moralności, o obowiązkach Polaka względem ojczyzny, pana względem służby i chłopów, rodziców względem dzieci,

¹⁾ namówić.

proboszcza względem parafian; o wychowaniu szkolnem i domowem; o gospodarstwie, ogrodnictwie, budownictwie, handlu i przemyśle; o naukach i literaturze; o kawie, tabace i tytuniu i t. d.,—i wszystko to w powieści swej powtórzył, pragnąc „wystawieniem dobrego przykładu użyć innym tego zbudowania, które sam uczył“: pan Podstoli bowiem to ideał ziemianina-obywatela, to „człowiek poczciwy“ XVIII wieku, z tą jednak wielką różnicą, że o obowiązkach względem ojczyzny ma pojęcie nierównie szersze, aniżeli szlachcic Reja (§ 27). Wprawdzie i on unika służby publicznej tak samo, jak „człowiek poczciwy“, ale nie dlatego, żeby nie chciał poświęcić ojczyźnie swego „wolnego żywota“, ale przeto, że, nie wierząc (podobnie jak Krasicki) w możliwość uratowania państwa polskiego, poczytuje za główny swój obowiązek patryotyczny nie działalność polityczną, ale pracę społeczną; bo „nie samą tylko radą lub orężem służyć krajowi można: czuły obywatel stara się, jak może i w czym może, być użytecznym ojczyźnie swojej“.

W czemże jest pan Podstoli użyteczny ojczyźnie? W tem przedewszystkiem, że jako zabiegły i zdolny gospodarz, dbały o dobrobyt nietylko własny, ale i swoich włościan, pomnaża bogactwo materialne ojczyzny; w tem dalej, że, jako dobry chrześcijanin, jako rozumny i świątły człowiek, jako idealny mąż i ojciec, wzorowo chowający dzieci, jako łagodny i sprawiedliwy pan dla służby i chłopów,—świeci przykładem całej okolicy i tym sposobem pomnaża moralne i umysłowe zasoby swego kraju. A zawsze i wszędzie, we wszystkich swych czynach i słowach, w poglądach i upodobaniach, umie zachować rozumny, złoty środek pomiędzy wymaganiami nowych czasów a miłością i poszanowaniem przeszłości. Na karcie tytułowej powieści wypisał Krasicki słowa: „Moribus antiquis“, t. j. dawnym obyczajem, pragnąc wpoić w czytelników poszanowanie

tradycyi i zarazem przekonać ich, że miłość przeszłości narodowej, o ile nie jest zaślepiona, wcale do postępu nie przeszkadza, owszem jest jego niezbędnym warunkiem i połączną dźwignią. I miał zupełną słuszność Krasicki, bez miłości bowiem tradycyi niema patryotyzmu, a bez patryotyzmu niema i być nie może prawdziwego postępu.

Z jednej więc strony jest pan Podstoli gorącym zwolennikiem i wymownym obrońcą tradycyi narodowej. Nasamprzód—pod względem religijnym: wierząc głęboko we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, pełni gorliwie wszystkie praktyki religijne, uczęszcza z całą rodziną do kościoła, słucha kazania, „zachowuje dawny ojców zwyczaj modlić się po wieczery z czeladką“; w podróży, „nie wstydząc się chwalebnych zwyczajów ojców naszych“, którzy „wszystko od Pana Boga zaczynali“, śpiewa psalm „Kto się w opiekę poda Panu swemu“; „zwyczaj był ściśle zachowany w domu pana Podstolego, iż i przed stołem i po stole modlitwę każdy pocichu czynił, gdy zaś był duchowny, dawał błogosławieństwo“. „Między wielu nieszczęściami — mówi pan Podstoli— które nam terazniejsze czasy przyniosły, to za największe sędzę, iżśmy się uchylili od śladów pocziwych przodków naszych; cześć Pana Boga jawnie nietylko w kościele, ale w domu, w drodze i na każdym miejscu była rzeczą powszechną: teraz, gdy się kto starodawnych pobożnych zwyczajów trzyma, uznany jest za świętoszka“. Lecz nietylko zanik religijności, ale wogóle odstępstwo od obyczaju staropolskiego poczytuje pan Podstoli za nieszczęście, z pogardy bowiem dawnych obyczajów „pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju“. Więc broni np. stroju staropolskiego, a nie cierpi peruk i fraków; broni i tańców staropolskich, a nie lubi francuskich, „nadto wymyślnych, wykwintnych“ i „tak trudnych do wykonania, iż trzeba się ich pracowicie uczyć, a czasu szkoda“, i t. p. Wogóle jest pan Pod-

stoli zdania, że „im się bardziej państwo ku zgubie nachyla, tem częściej obywatelom powtarzać należy: „Mori-bus antiquis“.

Przy całym jednak poszanowaniu dla tradycyi nie jest pan Podstoli „ślepy uwieliściciel starożytności“, bo rozumie, że nie wszystko, co stare, to dobre. Więc, chociaż mówi raz, że mu „bolesno, iż się i w małych rzeczach od toru ojców naszych oddaliśmy“, ale sam oddala się od niego często. „Ojcowie nasi nie kochali się w ogrodach, nie idzie zatem, żeby ogrodów mieć nie trzeba; ślepe naśladownictwo bydłym jest przymiotem“: więc jest pan Podstoli zawołanym ogrodnikiem; ojcowie nasi upijali się: on nie stroni od kieliszka; ale się nie upija; ojcowie przebierali często miarę w gościnności, więząc gwałtem gości u siebie: on jest bardzo gościnny, ale nikogo nie gwałci; ojcowie kochali się w szumnych tytułach, adresując np. listy: „Wielmożnemu Jegomości Panu Cześnikiewiczowi MWMościwemu Panu i Kochanemu Bratu“: on śmieje się z manii tytułów (choć woli już daleko takie adresy, niż: „à Monsieur Monsieur“, słusznie mówiąc, że „Mości Pan“ znaczy tyle samiutko, co „Monsieur“) i t. d. Lecz nietylko w małych, ale i w dużych rzeczach często oddala się pan Podstoli od toru swoich ojców. Przedewszystkiem jestto człowiek wykształcony, nie tak, jak jego przodkowie, którzy poprzestawali na czytaniu senników i kalendarzy: on tymczasem ma w domu bogatą bibliotekę, w której znajdują się najznakomitsi autorowie polscy, a wśród nich „nieśmiertelny Kopernik“. Nie żywi też tego wstrętu, co jego przodkowie, do cudzoziemczyzny, bo wie, że pod wielu względami cudzoziemcy przewyższają Polaków: więc np., choć sam pofrancusku nie umie, ale dzieci tego języka uczyć każe, a do majątku swego sprowadza uzdolnionego młynarza-Niemca, nie bacząc na zgorszenie i drwiny sąsiadów, którzy mówili: „Poczekajcie tylko jesieni, zoba-

czyście jak ten dziwaczny młyn i z młynarzem Niemcem popłynie do Frankfortu: nie poprawi polskiego gospodarstwa niemiecki koncept: lepsze nasze Maćki, Bartosze za kilka złotych i szczupłą ordynaryą, niż te Frydrychy, których złocić potrzeba!“ Najlepiej jednak postępowość pana Podstolego uwydatnia się w jego stosunku do służby i włościan. Ze służbą obchodzi się poludzku, „nieuczciwemi słowy, miną pogardzającą, tyrańskimi męczarniami jarzma ich nie powiększa“. Nie dosyć na tem: „Gdy u mnie kilkanaście lat wiernie który z czeladzi służył, wyzwalam go od jarzma służebniczego, nadaję grunt, wystawiam dom; naznaczam dożywotnią, a proporcjonalną do stanu jego, pensyą“. I z włościanami postępuje zupełnie inaczej, jak jego przodkowie: nie obdziera ich, ale, przeciwnie, troszczy się o ich dobrobyt, materyalny zarówno, jak moralny, budując im nowe chałupy, wykorzeniając wśród nich nałóg pijaństwa, zakładając własnym kosztem szkółkę dla dzieci włościańskich i t. d. Co więcej, poddaństwo chłopów nazywa pan Podstoli „zastarzałą nieprawością“; ale jest przeciwnikiem natychmiastowego zniesienia poddaństwa i gniewa się na „modnych mędrków“, którzy się tego domagają. „Chcą im nadawać wolność, a nie przysposabiają ich wprzód do tego, iżby z nadanej wolności korzystać mogli; swoboda u dzikich jest miecz w ręku szalonego“. Do wielkiego dzieła wyzwolenia włościan trzeba stopniowo przygotować grunt: ulżyć mianowicie włościanom „ciążaru jarzma, który dźwigają“, oraz oświecać ich, inaczej bowiem nigdy nie wyjdą z „dzikości“. Jak zawsze, tak i tutaj jest pan Podstoli umiarkowany, poczytując nagłe przewroty za niebezpieczne i szkodliwe. Ale i tak niejednen z przodków pana Podstolego z pewnością, ażby się w grobie przewrócił, gdyby słyszał, jakie to herezye ich wyrodny potomek wygaduje.

Takiegoto człowieka stawiał Krasicki współobywate-

lom za wzór do naśladowania: bądźcie takimi, jak on, kochajcie tradycję narodową, ale jednocześnie krocście drogą umiarkowanego postępu, poprawiając i przekształcając to, co w tradycyi jest niemądrego albo złego, a naród polski nigdy nie zginie.

Lecz, jak w „Żywocie“ Reja, tak i w „Panu Podstolim“ jest nietylko ideał, ale i rzeczywistość: oprócz idealnej i papierowej (jak zwykle ideały w powieściach) postaci pana Podstolego, są w powieści ludzie prawdziwi, z krwią i kośćmi: gospodarze i myśliwi; pieniącze i krzykacze trybunalscy; zawadyaki i hulaki; urzędnicy i dostojnicy okoliczni; zwolennicy obyczajów staroświeckich i wielbiciele nowych, francuskich; nie brak i kobiet: staroświeckich matron i modnych, sfrancuziałych elegantek; słowem, przed oczami czytelnika przewija się cały rój postaci i typów obojga płci, różnego wieku i różnego gatunku, żywcem z rzeczywistości wziętych, scharakteryzowanych czasem krótko, ale zawsze wyraziście. Oto np. jakiś szlachcic, przez którego wieś autor przejeżdżał, mówi tylko kilka słów, ale tych dosyć, aby poznać, coto za jeden: „Ś. p. ojciec, dziad, a może i pradziad mój, bom go nie znał, tu się porodzili, tu całe życie swoje przepędzili, tu pomarli, a każdy z nich, tak jak ja, ledwo umiał sylabizować i tyle tylko piórem robić, żeby jako tako podpisać się, kiedy się Żydowi daje kontrakt na arenę; zdrowi byli i długo żyli, i ja jestem zdrów z łaski Pana Boga; będą i moje dzieci zdrowe bez szkoły; nie dam ja ich tam, bo im głowy pozawracają, i możeby mnie potem wypędzili; a choćby i nie wypędzili, to niedobrze, kiedy dzieci mają więcej rozumu, niż rodzice. Dajże mi waćpan pokój (mówi do księdza): wszak ja dziesięcinę punktualnie daję, a kto wie, czy nie więcej, niżby się waćpanu należało; każecie się uczyć, a powiadacie na ambonie: błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo nie-

bieskie“. Paradna jest i ciotka pana Podstolego, coto dowiedziawszy się, że siostrzeniec buduje nowy dom, w tej chwili do niego przyfruwa (choć mieszka o trzydzieści mil) i prosi „ze łzami, żeby nie rozwałił domu, w którym nasi rodzice, dziadowie i pradziadowie mieszkali, w którym się i ona urodziła i jam wychował. Któż wie — rzekła — jakie będzie założenie nowego? W sąsiedzkich dworach zawsze coś przeszkadza: w tym, z łaski bożej, raz tylko nieboszczka matka, i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka pana Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem; dano zaraz na trycezymę¹⁾, pobenedyktowali²⁾ ojcowie reformaci, i odtąd się już nic więcej nie pokazywało. O starym folwarku ja nic nie mówię: sam waćpan może pamiętasz, że go nieboszczyk mój brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W lamusie, chwała Bogu, że nikt nie mieszka: zawsze się tam odzywało; nieraz stróże widzieli Niemca na dachu, i, kiedy ja była z mojami siostrami jeszcze u rodziców, żeby nam złote góry dawano, żadnaby tam nie poszła, zwłaszcza pod wieczór“. A jak doskonale są charakterystyki różnorodnych ludzi, tak świetne są całe obrazki rodzajowe, w których ci ludzie występują; do najlepszych należy przyjazd pana sędziego do domu pana Podstolego, ale zwłaszcza przyjazd sfrancuziałego kasztelanica z „żokiejsem“. Lecz to jeszcze nie wszystko: gospodarstwo i dom pana Podstolego to opisy idealne, ale, oprócz nich, pełno w powieści opisów realistycznych, jakoto opisy złych dróg, zepsutych grobli, dziurawych mostów, zapuszczonych pól, brudnych karczem, podupadłych miasteczek, dworów i dworków szlacheckich, „gdzie się ustawicznie z kuchni kurzy“, i t. d. Krótko mówiąc: „Pan Podstoli“ to powieść nietylko dydaktyczna, ale i obyczajowa, to zwierciadło ziemiańskiej Polski XVIII w. Krasicki uka-

1) trycezyma=msza, 2) benedyktować=błogosławić.

zuje się tutaj, nie tylko jako nauczyciel swego narodu, ale i jako znakomity malarz życia polskiego oraz wyborny znawca charakteru i obyczaju polskiego.

Goście u pana Podstolego. Jużem przeszło tydzień w domu pana Podstolego przebywał, gdy nam dano znać, że goście jadą. Był to pan sędzia ziemski z żoną, córką i zięciem, panem skarbnikiem. Wkrótce nadjechali synowie pana sędziego. Najstarszy był regentem ziemskim¹⁾, średni—porucznikiem w regimencie, najmłodszy, towarzysz pancerny, bawił się przy dworze tamecznego pana wojewody. Pan sędzia był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, łysy. Czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie²⁾ u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał; jejmość, w długich kornetach³⁾, w czółku⁴⁾ i mantoleciku⁵⁾, felpą⁶⁾ podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan skarbnik, człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie; strój imcipani skarbnikowej wpół był modny, wpół ziemiański: jeszcze muszki z jej czoła nie zeszyły były, na skroniu prawem reprezentowały podobno Plejady⁷⁾, a jedna z lewego boku pilnowała ust. Pan regent, bojąc się podobno ślinogorza⁸⁾, bocianowatą nieco szyję swoją muszlinowym halsztukiem obwinął. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie w opiętym kontuszu papużym⁹⁾, różową kitajką¹⁰⁾ podszytym, i żupanie tegoż koloru; zastępowały miejsca mankietów szeroko podwijane na żupan od koszuli batystowe rękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowej i fraku an-

1) regent ziemski—naczelnik kancelaryi sądu ziemskiego; 2) wyłogi; 3) długie kornety—czeppek z długimi wstągami; 4) czółko—kokarda aksamitna na czepku; 5) mantolecik—płaszczek jedwabny; 6) felpa—tkanina jedwabno-wełniana; 7) grupa gwiazd w konstelacji Byka; 8) ślinogorz = zapalenie gardła (angina); 9) papuży = zielony; 10) kitajka—materya jedwabna.

gielskim; włosy z przodu miał nisko ostrzyżone, ztyłu zebrane na grzebień. Najmłodszy, towarzysz pancerny, w czerwonych safianowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony zwysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolana, ustawicznie ręce zacierał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.

Po pierwszym przywitaniu prezentował pan sędzia naszemu gospodarzowi dwóch młodszych synów: porucznika i towarzysza. Tych lubo od lat kilku, gdy byli w szkołach, widział nieraz pan Podstoli, przy takich jednak odmianach, przyznał się, iżby mu poznać było trudno. Wzięli to za grzeczny komplement i ukłonili się obydwa po swojemu; pancerny zaś tak dobrze nogą wzd machnął, iż stolik wywrócił i szklanę stłukł. Postawiono na swoim miejscu stolik, zebrano szkła kawałki. Wtem nadeszli panowie podstolicowie, pokłonili się kompanii i udali się do panów sędziców, chcąc ich zabawić; ale, jakem uważał, byli przyjęci oziębłe: domyśliłem się, iż owi rycerze gardzili studentami; zniknęli wkrótce z izby, a gdy przyszło do obiadu, znaleziono pana porucznika u panien, towarzysza—w stajni.

Konwersacya pana sędziego nie była wytworna: najwięcej mówił o interesach ziemiańskich, o sprawach obywatelów; doniósł panu Podstolem, że pani podczaszyna zezwoliła na kompromis z panem podwojewodzym; pan wiceregent zrzucił się z arendy wsi pana cześnika; prowincyał franciszkański umarł; reszta dyskursów o urodzaju, targach na zboże, defluitacyi¹⁾ do Gdańska, a co, widzę, najbardziej pana sędziego obchodziło, była wieść z Warszawy, że na przyszłym sejmie mają prowizye²⁾ spaść do szczęścia od sta.

¹⁾ defluitacya=splawianie; ²⁾ procenty.

Po obiedzie zniknęła młodzież; panie piły kawę, z niemi ja; ksiądz pleban, pan regent i pan sędzia, nasz pan Podstoli i ojcowie reformaci zabawiali się butelką; tak jednak kielichami zarządzał gospodarz, że można było miarkować, iż się ochota bez pijaństwa obejdzie. Już się butelka druga kończyła, gdy trzecią, którą niesiono z piwnicy, postrzegł ze stajni najmłodszy pan sędzic; przybył więc do kompanii, dogonił wkrótce drugich i, przerywając dyskurs, na który trafił, zaczął chwalić człapaka ¹⁾, cisawego ²⁾ białonóżkę, którego w stajni widział. Kazał go wyprowadzić pan Podstoli; wyszli wszyscy na podwórze, a gdy go kilka razy przeprowadzono, prosił pan sędzic, aby go poswojemu sprobował i zażył. Pozwolił gospodarz: natychmiast pan sędzic zawiązał poły, dosiadł konia rażno, wypuszczał, zwracał, a że kilka kłód na podwórzu leżało, począł przez nie skakać. Udało się dwa razy, za trzecią koń się związał ³⁾, padł z nim pan sędzic. Skoczyliśmy ku niemu; szczęściem, ani nogi, ani ręki nie złamał; głowę jednak rozciął. Zataimowano krew; rana nie była szkodliwa, a gdy mu konia pan Podstoli ofiarował, choć z zawiązaną głową, duszkiem wielki kielich wina wypił na podziękowanie. Gdy więc na ganku jeszcze podziękowania trwały, jam się wrócił do dam i zastałem panią sędzinę już kończącą kronikę całej ziemi. Właśnie mówiła o pewnym domu pewnej szlachcianki, do której pewny jegośność w pewnym interesie bardzo skwapliwie i wielokrotnie uczęszczał, a nawet ostatnią razą był tam w wigilią Najświętszej Panny Zielnej. Broniła, jak mogła, rodzaju ludzkiego nasza pani Podstolina: szczęściem zaczął pan regent dyskurs o bluzgierach ⁴⁾, które już z mody zaczęły wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani skarb-

¹⁾ człapak=stępak (koń); ²⁾ cisawy=jasno-gniady; ³⁾ związać się=nogi splątać, potykać się; ⁴⁾ bluzgier=przyszywka na żupanie

nikowa, i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta¹⁾ nastaly, palatynki²⁾ zeszyły, jakie byly rewolucye salop z kapturkami, i bez kapturków, jakie byly odmiany rogówek, sposoby układania fontaziów³⁾. Nie dała dokończyć pani sędzina stara, i zaraz zaczęła się historia o bawetach⁴⁾, żużmantach, kabatach⁵⁾, pondelarach⁶⁾, szarpach⁷⁾, czubach⁸⁾; pamięć zaś dawnego, a daleko lepszego, niż teraz, wieku, tak ją rozrzewniła, iż byłyby się na obfitym płaczu skończyło, gdyby, szczęściem, reszta kompanii nie nadeszła. Pan sędzia żegnać się począł, ruszyliśmy się z miejsc, i po wielu ceremoniach, ukłonach i oświadczeniach goście odjechali.

Zabobonne wróżby przy zaręczynach: uwagi nad zabobonami w ogólności. „Muszę też waćpanu powiedzieć — mówił pan Podstoli — co mi się samemu przytrafiło podczas zaręczyn moich. Przyjęto mnie dobrze, dano deklaracyą⁹⁾, czas zaręczyn za dni kilka był wyznaczony. Przyszła dzień wyznaczony. Poszliśmy do stołu, i uważałem, iż przy drugim zastawieniu potraw matka żony mojej niezmiernie była pomieszana, kazała kucharza zawołać, coś mu szeptała do ucha, i znać było, że go łajała. Nie obešlo mnie to bynajmniej, nie wchodziłem przeto w zgadnienie przyczyn tych trosków. Wstaliśmy od stołu, a gdy przyszło do samych zaręczyn, ojciec, oddając mi pierścień, upuścił go na ziemię. Matka mojej żony w płacz, sąsiadki dopomogły. Przyszło nakoniec do tego, iż z zbytniego rozrzewnienia omdlała, i ledwo się jej dotrzeźwiono. Nie wiedziałem zrazu, jakiej przyczynie tę mdłość przypisać, ale mnie wywiódł z błędu przyszły mój teść; przybliżywszy się albowiem do mnie, rzekł: „ Niech to waszmoścpana

1) ażust=długa suknia zwierzchnia; 2) palatynka=futerko na szyję; 3) fontaż=krawat; 4) bawet=ozdoba na staniku damskim od szyi do pasa; 5) żużmant, kabat=rodzaj sukni kobiecych; 6) ?; 7) szarpa=szarfa; 8) czub=ozdoba; 9) deklaracya=przyrzeczenie, słowo.

nie obchodzi, co widzisz; pomieszanie i słabość mojej żony skutkiem są gustów; lubo ona sama wie, jaka jest płochliwość tych zabobonów, powziętej jednak zmlodu prewencji¹⁾ zwyciężyć żadnym sposobem nie może; ja z mojej strony, widząc w tej mierze wszystkie usiłowania moje nadaremne, przestałem na tem, że jej żałuję, kiedy poprawić nie mogłem. Przyczyna pierwszego pomieszania u stołu ta była, iż przed waszmoścpanem postawiono gęś z czarnym sosem; u niej to fatalny prognostyk; powiększył się nieskończenie, gdym ja przy zaręczynach pierścionek upuścił; niechże jeszcze pod wieczór świeca zgaśnie, wpadnie w rozpacz i gotowa się rozchorować“. Szczęściem świeca nie zgasła, jam żony dostał, i mimo złe wróżki pobłogosławił nam Pan Bóg“.

„Słabość ta wierzenia gustom tak jest przeciwna zdrowemu rozumowi, iż ledwoby można sądzić o jej istności, gdyby inaczej codzienne widoki nie przyświadczały... Są, którzy drżą na sól rozsypaną albo łyżkę, wywróconą do góry, albo nóż, położony na krzyż z widelcami; co się boją, gdy im zając drogę przebieży, gdy świeca zgaśnie albo sowa zakrzyczy. Cóż dopiero mówić o spotkaniu ciał umarłych, gdy je do grobu niosą? albo o krzywdzie, która się czyni świętym niewiniątkom, gdy dzień ich uroczystości uczynili fatalnym i, każdy poniedziałek zowiąc dniem Młodziankowym, ani weń z domu wyjeżdżać, ani weń żadnej roboty czynić nie chcą? Należą do nich i ci, którzy się w trzynastej liczbie Judasza boją“.

Podróż. **Obraz wsi,** do której zajechał autor na nocleg, jej stan nędzny, karczma nieporządna; zwyczajny stan dóbr sierot, postępowanie opiekunów. Każdy siedzący sam jeden w powozie myślami się bawi; dodają większej sposobności ku myśleniu coraz inne widoki: najcelniejsze

1) prewencya=uprzedzenie.

w tej mierze trzyma miejsce to, co nas wprzód najżywiej ująć mogło. Wszystko więc natężenie myśli moich zmierzzało ku temu, com widział i com słyszał w domu, z którego wyjechałem (t. j. od pana Podstolego). W tych słodkich przypominaniach strawiłem godzin kilka i, gdy już zmierzchać poczynało, stanąłem na nocleg o mil ośm od domu pana Podstolego. Wjeżdżając w wieś, ściśnione miałem boleścią serce, patrząc na domy, a raczej na szalase mizernych mieszkańców: słomą pokryte były, a to pokrycie takowe, iż ani od śniegu w zimie, ani od deszczu w lecie bronić mogło; kominy nie wznosiły się nad dach, a po szerniałej ku brzegom słomie znać było, iż dym ustawicznie nieszczęśliwych mieszkańców zaślepiał i dusił. Dziecka wynędzniałe, w pół nagie tuliły się około domu, ze wszech stron wklęsłego w ziemię błotnistą. Grobla że świeżo przerwana była, domyślałem się po naprawie albo raczej zarzuceniu ziemi, wstrzymanej gdzieniegdzie cienkimi palami drzewa nadpróchniałego. Młyn był o jednym kole, i ledwo się obracało dla złego umiarkowania spadku wody; most, na kilku kijach wsparty, trząsł się pod powozem, a skorom w wieś samą wjechał, lubo czasy były dość suche, wpadłem w kałużę głęboką, z której ledwo mnie konie wydzwignąć mogły.

Zajechałem przed karczmę, której nie możnaby było rozeznac od innych lepianek, gdyby wrót wielkich nie miała sień albo raczej stajnia: tem się tylko od podwórza różniła, iż była niby przykryta dachem. Nie bez przyczyny dodają to niby: słoma albowiem po większej części z krokwiów była zdarta, tak dalece, iż gwiazdy z sieni wygodnie można było liczyć. Wyszedł naprzeciw mnie z kagankiem w skorupie gospodarz, Żyd, ledwo nagość gałganami okrywający. Do izby wnieść nie można było dla błota, musiałem więc czekać na dworze, póki deszczki kawałka w pół zgnilej nie wyszukał; po tej dopiero przeszedłem do

miejsca, gdzie miałem nocować. Jakie zaś było to miejsce, niech nikt nie rozumie, iż rzecz powiększam, odwołuję się albowiem na doświadczenie każdego, który w naszym kraju podróże odprawiał. Drzwi naprzód były tak niskie, iż, lubom się ledwo na pół zgiął, wszedłem z guzem na czole. Podłogi żadnej nie było, a gęsi, koło drzwi siedzące, spoczywały w maleńkiej, wilgocią sporządzonej kałuży; kojce pełne kaczek, otaczały piec gliniany, za którym świeżo urodzone cielę miało swoją stajenkę. Okienek w izbie było dwa: jedno wpół gontami przezroczytymi zabite, drugie bez trzech szyb, ale słomą zatkane. Stało w kącie łóżko, barłogiem przytrząśnione, od którego z pierwszego wejrzenia z wstrętem oczy zwrócił. Dziecka wpół nagie siedziały na kojcach, a jedno kołysało niedawno urodzonego; tego płacz ustawiczny, świerszczów wrzask, gęsi i kaczek gęganie, cielęcia ryk, dzieci gospodarza krzyczenia i zwady i jeszcze oprócz tego rozmarzonych gorzałką kilku chłopów hałasy do tego mnie przywiodły, iż, lubo noc, ile w jesieni, prawie była mroźna, wolałem się poddać w niebezpieczeństwo kataru lub przeziębienia, śpiąc w odkrytej kolasce, niżeli się dusić w smrodliwej i pełnej dymu żydowskiej izbie.

Kazałem zawołać gospodarza i spytałem, czyja to była wieś tak mizerna i nieporządna.— „Zwyczajnie, sierocińska“, odpowiedział. Pytałem się, gdzie dwór.— „Był— rzekł— ale po śmierci nieboszczyka pana zgorzał, i odtąd nowego nie postawiono; folwark, kilku słupami podparty, wywrócił się był przeszłego roku; natychmiast pan opiekun kazał chłopą jednego z chałupy wypędzić i tam podstarościego osadził“. — Dowiedziałem się dalej, iż pięć jeszcze wsi do tej majątności należało, a wszystkie w podobnym stanie. Pan opiekun raz w rok przyjeżdżał: rachunków wysłuchawszy podstarościego, z pieniędzmi wracał, a że dobra jego własne o granicę z sierocińskimi były, było

co najlepsze do jego folwarku pozapędzano; z lasów sto- doły i gumna bardzo porządne sobie wystawił, nawet drze- wa owocowe z ogrodu do siebie przeniósł; że zaś na przy- szły rok wyjść miały dzieci z opieki, za prace, koszta i zabiegi znaczne do ich substancyi¹⁾ miał pretensye. — Żyd, lubo mizerny i ubogi, dość mi się zdawał oświecony. Wypytywałem się go więc o wszystkim, i, ile miarkować można było, zdawało mi się, iż ów miły pan opiekun miał wolą przyłączyć sierocińską majątność do swoich. Jakoż już do tego uczynił był niektóre kroki: zostało się po śmier- ci rodziców córek dwie i syn; z tych jedną Panu Bogu w zakonie poślubił, drugą pomimo jej wolą za swego sy- na wydał, a brata trzymając w kancelaryi, coraz mu za kartami²⁾ pieniędzy użyczał, intraty³⁾ albowiem, jak twier- dził, ledwo wystarczały na reparacyę dóbr.

Przybycie kasztelanica; jego pojazd i służący; rozmo- wa o jego przypadkach: bitwa, uwagi stąd pana Podsto- lego; chustka na szyi. Jużeśmy mieli do stołu siadać, gdy dano znać, iż goście jadą. Wpadł na dziedziniec z wiel- kim pędem i trzaskaniem powtórzonem huzar, za nim ró- wnie pędząca, przewyższająca wysokość sztachelów dworu mojego kolasa; i, gdy zza powozu posuwistym lotem wy- skoczył młody chłopiec, tak go bystrość skoku uniosła, iż, nie mogąc się utrzymać na nogach, padł na ganek i ledwo mnie nie wyrzucił. Huzar natychmiast spuścił stopień nakształt drabinki, z której gdy zszedł imć pan kasztelanic, zaczął komplement, przepraszając za eturderyą⁴⁾ żokejsa swego. Zaprowadziłem gościa natychmiast do izby stołowej, i zasiadł wraz z nami miejsce, dla siebie przy- gotowane.

Pierwszy dyskurs pana kasztelanica stosowany był do jego podróży, i, zastanawiając się nad złemi drogami,

1) substancya = majątek; 2) karta = rewers; 3) intrata = dochód;
4) eturderya = roztrzepanie; nierozwaga.

a chwając francuskie, proste, brukowane, osadzone krzewami, ubite, pełne zawsze przejeżdżających, na tem skończył, iż nato są sporządzone, iżby każdy w domu siedział. „Jeżeli ten był zamiar przodków naszych—rzekł pan Podstoli—chwalisz ich waćpan, mości panie kasztelanicu!“ — „Ganię ich, chociaż szacuję, bo z nich pochodzę“, odpowiedział kasztelanic. — „Więc nie szacowałbyś ich waćpan—rzekł pan Podstoli—żebyś od nich nie pochodził? Możeby nagana mniej była sprawiedliwa, ale względ na poprzedników szacowny, bo rzadki“.

Opowiedział zatem przypadki podróży swojej, a między innymi ten ledwo nie największy, iż, choć sam się powoził, wiski, roboty najprzedniejszego rzemieślnika w Londynie, tak w lesie o korzeń zawadził, iż tylko co się nie wyrzucił. — „Byłbyś waćpan spadł z wysoka, — rzekł pan Podstoli — a takie spadki bardzo niebezpieczne; żeby zabezpieczyć takowym przypadkom, bo, jak ja miarkuję, iż angielskie drzewa korzeni nie mają albo bardzo cienkie, nie możnaby to więc trochę zniżyć tych kolasek?“ — „Wisków?“ przerwał pan kasztelanic. — „Tak jest, „wisków“:—rzekł pan Podstoli—z przeproszeniem waćpana, mnie się zdaje, iż one są trochę nadto wysokie“. — „Ale lekko noszą“, rzekł kasztelanic. — „Czyli nie dlatego, że latają? — rzekł pan Podstoli — bo to prawda, że bardzo się wzbijają w górę; pomiarkował ja to, kiedyś waćpan przyjechał: wyżej siedziałeś, niż ganek jegomości, a waćpana chłopiec...“ — „Żokejs?“ przerwał kasztelanic. — „Tak jest, żokejs: — rzekł pan Podstoli — ten tedy waćpana żokejs, wiesz to waćpan, iżby się był bardzo potłukł, gdyby był padł na kamienie; ale musiał się on podobno w Anglii uczyć, jako spadać należy: bo, kiedy oni tak wysokie powozy robią, to muszą razem dawać sposoby, a zatem uczyć, jako do nich wchodzić, jako na nich siedzieć i jako przeszkadzać, żeby się nie wyrzucił, a gdy się wywracają, jak się za-

chować, żeby się nie potłuc; a szkoda byłaby tego żokiesa waćpana, bo to młodą dziecię i ładnie ubrane, ale podobno trochę kuso, a u nas czasem chłodno. Może gorąco we Francyi albo Anglii, bo ja tam nie byłem: ale tu pewnieby nasze żokiesy przeziębły, gdybyśmy im nie dali kożuszków na zimę, a przynajmniej sukienek trochę dłuższych; co nie wątpię, że i waćpan temu Angielczykowi albo Francuzowi uczynisz, jak zima przyjdzie“.— „On z mojej wsi“, rzekł pan kasztelan. — „Pojętny chłopiec, — rzekł pan Podstoli — kiedy tak dobrze z powozu, jak Francuz i Angielczyk, skakać umie; prawda, że się potknął, ale się to trafia i tym, co na sznurze tańczują“.

W dalszym ciągu dyskursu zaczął opowiadać pan kasztelanic przypadki podróży swojej w cudzych krajach tak wielkie, iż wielokrotnie w największem niebezpieczeństwie życia zostawał, osobliwie, gdy dla nasycenia ciekawości swojej, aby widział potykające się wojska, wmieszał się wśród bijących. — „Zapewne, — rzekł pan Podstoli — iż niebezpieczno mieszać się w bitwę, zwłaszcza, gdy żadna potrzeba do tego nie wiedzie. Można i zdaleka ciekawość nasycić; gdyby albowiem jaka kula, nie ostrzeżona, iż waćpan tylko tam byłś dla zabawy, niegrzecznie zawadziła o waćpana, nie mielibyśmy byli sposobności słyszeć o tak wielkiej batalii ¹⁾, jak nam się teraz zdarza. Trafia się niekiedy, iż bijący się opowiadają bitwy swoje, ale te zawsze podległe wątpliwości: jeżeli albowiem byli w liczbie pobitych, zmniejszają klęskę; jeżeli zwyciężyli, unoszą się w pochwałach. Cóżkolwiek bądź, jeśli się waćpanu przytrafi jeszcze być w podobnych okolicznościach, raz usłuchać mojej rady, a patrzeć się na bijących zdaleka, ale tak zdaleka, aby armatnia kula waćpana nie doszła. Najlepiej byłoby stanąć wówczas na górze wysokiej, a gdyby jej nie

1) batalia=bitwa.

było, wniść na dzwonnice; ale, jeżeliby tej brakło, naówczas dać pokój tym, co się biją, a powieść zostawić gazetom! Kiedyto jeszcze dwóch za łby pójdą, może trzeci między nich się wmieszać, żeby ich pogodził: ale się i to nie udaje, bo czasem i guza złapie i bijących się nie rozwadzi. Wracając się teraz do batalii, ja tak sądzę, iż można i zdaleka jej się przypatrzeć albo, i nie widziawszy, wiedzieć, co na niej zaszło“.

Nie pomogły zbawienne rady opowiadaczowi: z batalii przyszło do szturm, nakoniec rzecz wytoczyła się na morze, a gdy coraz się imćpan kasztelanic, zwłaszcza starem winem, które przy końcu obiadu postawiono, zasilał, uważając, że się już miał ku czwartemu kieliszkowi, rzekł pan Podstoli: „To, wino stare, mocne, boję się, iżby inflamacyi¹⁾ nie powiększyło“. Gdy upewnił pan kasztelanic, iż go gardło nie boli: „Przepraszam za moją troskliwość,— rzekł—ale, widząc pod chustką ręcznikiem obwiązaną szyję, rozumiałem, iż byłeś chory“.—„Tak teraz noszą we Francyi“, rzekł pan kasztelanic. — „Nie mam ja na to co powiedzieć,—odpowiedział pan Podstoli—jednakże, jeżeli się godzi co mówić przeciw modzie, mnieby się zdało, iż, chociaż ma ona skądinąd wielkie swoje zaszczyty, inaczejbyś albowiem waćpan nie chciał z siebie czynić dziwowiska,— z tem wszystkim nie jest wygodna, zwłaszcza w lecie. Podczas zimy i ja, kiedy jadę na koniu albo sankami, zawijam kark pofrancusku, alebym się w lecie udusił“.— Odjechał pan kasztelanic, a gdyśmy ku wieczorowi przechadzali się po ogrodzie, dziękowałem panu Podstolemu za jego z nim rozmowę, w której przy żarcie była nauka.

§ 88. Do potomności przeszedł Krasicki nadewszystko, jako najznakomitszy bajkopisarz polski, jak autor „Bajek i przypowieści“ (1779) i „Bajek nowych“ (1802). Ich

¹⁾ inflamacya=zapalenie.

treść jest zapożyczona (z bajek indyjskich, greckich, rzymskich, francuskich, niemieckich), ale opracowanie oryginalne.

„Bajki wam niosę, posłuchajcie, dzieci!“ mówi autor: lecz w istocie niósł je nie dzieciom, tylko ludziom dorosłym, pragnąc ich, jak zawsze, uczyć. Podzielał on pogląd Kochanowskiego, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie, a ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić“: znał Krasicki doskonale biedny świat, więc wiedział, że ludzie, chociaż się tak przechwalają swoim rozumem i tak piękne głoszą hasła miłości bliźniego i wogóle cnoty, czynami jednak zadają kłam swoim poglądom; wiedział, że wśród ludzi więcej jest głupoty, zarozumiałstwa i pychy, niż rozumu, więcej chciwości, niż umiarkowania, więcej pozorów, niż istotnej wartości; że na świecie najczęściej panuje siła przed prawem, a spryt przed cnotą; że jeden wyzyskuje drugiego, zwłaszcza głupszego i słabszego od siebie. Dlaczego się wszystko tak dziwnie plecie, tego nie chciał Krasicki rozumem dochodzić, ani też płakał nad światem i nie złorzeczył mu, że się tak plecie: przeciwnie, wszystko to wprawiało go raczej w dobry humor, i z uśmiechem stwierdzał, że takito już świat. Otóż wesołem stwierdzeniem tej smutnej rzeczywistości są właśnie jego bajki. A stąd pochodzą dwie ich cechy znamienne: popierwsze, uwytadnia się w nich ujemna strona życia ludzkiego i natury ludzkiej, innemi słowy, bajki mają charakter satyryczny, co zaznaczył sam autor w dowcipnym „Wstępie do bajek“; i, podrugie, płynie z nich nie tyle nauka moralna, ile praktyczne przepisy mądrości życiowej: poprzestawania na swoim, umiarkowania, wstrzemięźliwości, a nadewszystko zdrowego rozsądku i ostrożności. Trzecią znamieną cechą bajek stanowi ich charakter nie narodowy, ale ogólnoludzki, wiekuisty, to znaczy, że zarówno zawarte w nich opowiadanie, jak płynąca z niego przestroga, stosuje się

do wszystkich narodów i do wszystkich czasów; np. bajka „Przyjaciele“ stosuje się wprawdzie doskonale do Polski XVIII w., która „wśród serdecznych przyjaciół“ zginęła, ale zawiera w sobie, niestety, i prawdę ogólną, tę mianowicie, że ludzie są samolubni, że dla nieszczęścia mają współczucie—czasem w sercach, częściej w słowach, ale rzadko albo nigdy w czynach. Lecz jest jedna bajka, która, choć także ma charakter ogólnoludzki (boć każdy człowiek płacze w niewoli), przemawia jednak nadewszystko do serca polskiego: to smutne „Ptaszki w klatce“, przesłiczna bajka liryczna, napisana wyraźnie z powodu pierwszego rozbioru Polski, kiedyto Krasicki przestał być obywatelem Rzeczypospolitej.

Ogólnoludzki charakter bajek Krasickiego zapewnia im trwałą, niepożytą wartość treści. Lecz niepożytą wartość posiada i forma. Ta jest inna w „Bajkach i przypowieściach“, a inna w „Bajkach nowych“. Pierwsze, pisane wierszem jednostajnym, trzynastozgłoskowym, są krótkie: przeważają sześcio- i czterowierszowe; wśród drugich, pisanych po większej części wierszem różnym, mieszanym (od czternastu do dwu zgłosek) przeważają dłuższe, po dziesięć, dwanaście, osiemnaście wierszy, a niektóre liczą ich nawet po kilkadziesiąt. Wartością jedne drugim nie ustępują, jedne i drugie są znakomite: ale, kiedy piękność dłuższych („Bajek nowych“) polega głównie na wdzięcznej swobodzie i ujmującej lekkości opowiadania, krótsze („Bajki i przypowieści“) wręcz zdumiewają swą nadzwyczajną, niesłychaną u nas przed Krasickim treściwością i zwięzłością, bez najmniejszej ujmy dla iście klasycznej jasności i prostoty oraz przejrzystości sensu moralnego, który się narzuca umysłowi czytelnika nawet wtedy, kiedy go autor od siebie nie wypowiada; pod tym względem króciutkie bajki Krasickiego to skończone arcydzieła: są bajki pięk-

DEWOTKA.

Dewotce służebnica w czemsiś przewiniła
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: „I odpuść nam winy,
„Jako i my odpuszczamy“, biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!

JAGNIĘ I WILCY.

Zawždy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.
Dwuch wilków jedno w lesie nadybali jagnię;
Już go mieli rozerwać. Rzekło: „Jakiem prawem?“
— „Smacznyś, słaby i w lesiel“ Zjedli niezabawem.

PRZYJACIELE.

„Uciekam się—rzekł Damon—Aryście, do ciebie:
„Ratuj mnie, przyjacielu, w ostatniej potrzebie!
„Kocham piękną Irenę! Rodzice i ona
„Jeszcze na moje prośby nie jest nakłoniona!“
„Aryst na to: „Wiesz dobrze, wybrany wśród wielu,
„Jak tobie z duszy sprzyjam, miły przyjacielu:
„Pójdę do nich za tobą“. Jakoż się nie lenił:
Poszedł, poznał Irenę i... sam się ożenił.

PAN I PIES.

Pies czekał na złodzieja, całą noc się trudził;
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał;
Ten dom skradł: psa obili za to, że nie czekał.

CHŁOP I CIELE.

Nie sztuka zabić, — dobrze zabić sztuka:
Z bajki nauka.

Szedł chłop na jarmark, ciągnąc ciele na powrozie,
W lesie, w wąwozie.

W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,
Wśród ciemności postrzegł wilka—po oczach,
co błyszczą

Więc do pałki! Jak jął machać, nie myślawszy wiele,
Zamiast wilka, który uciekł, zabił swoje ciele.

Trafia się to i nie w lesie, panowie doktorzy!
Leki—pałka, wilk—choroba, a cielęta—chorzy.

PRZYJACIELE.

Zajaczek jeden młody,
Korzystając z swobody,

Paś się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.

A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.

I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.

Raz, gdy wyszedł w świtanie i bujał po łące,
Słyszy przerażające

Głosy trąb, psów szczekania, wrzask wielki po lesie.
Staął — słucha — dziwuje się...

A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.

Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce.
Strwożon wielce,

Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:

„Weź mnie na grzbiet i unieś!” Koń na to: „Nie
mogę,

„Ale od innych pewną będziesz miał załogę“.

Jakoż wół się nadarzył: „Ratuj, przyjacielu!”

Wół na to: „Takich, jak ja, zapewne nie wielu

Znajdziesz; ale poczekaj i ukryj się w trawie:

„Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię;

„A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże“.

„Kozieł: „Żal mi cię nieboże,

„Ale ci grzbietu nie dam: twardy, niedogodził

„Oto wełniasta owca niedaleko chodzi:

„Będzie ci miękko siedzieć“... Owca rzecze:

„Ja nie przeczę,

„Ale, choć cię uniosę pomiędzy manowce,

„Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;

„Udaj się do cielęcia, które się tu pasie“.

— „Jak ją ciebie mam wziąć na się,

„Kiedy starsi nie wzięli“,—cielę na to rzekło

i uciekło,

Gdy więc wszystkie ratunku sposoby upadły,

Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

§ 89. Doskonałością wiersza, wytwornością stylu, bogactwem języka¹⁾ i wogóle sztuką przewyższył nie tylko Krasickiego, ale i wszystkich współczesnych sobie poetów, szambelan królewski, **Stanisław Trembecki**, z ziemi płockiej (ur. około r. 1735), um. 1812). Postać to niezmiernie ciekawa, ale strasznie licha: rozum duży, talent ogromny, serce nikczemne. On sam takie sobie wystawił świadectwo: „Byłem jeden z najchwalszych burdów, jeden z najognistszych pijaków, jed²⁾ z najzapamiętalszych miłośników, jeden z najpiękniejszych graczy“. Skądinąd wiadomo, że (tym razem) nie skłamał: we Francyi np., gdzie przez dłuższy czas wycierał kąty różnych salonów, podobno i królewskich, zasłynął burdami i pojedynkami, których miał coś trzydzieści, a wszystkie o kobiety. Dopiero w późniejszym wieku, kiedy życie hulaszczę zjadło ojcowiznę i zdrowie, ustatkował się i wziął na wstrzemięźliwość: nie pijał już wina, nie jadał mięsa (sąd król nazywał go żar-

tobliwie Pitagorasem) i dożył sędziwej starości. Ale zatrutego serca nic już wskrzesić nie zdołało. Lubiąc życie wystawne, brnął w długi, a nie mając z czego ich płacić, łaśli się, jak pies, królowi, którego zamęczał żebraniną to o pieniądze, to o zyskowne posady: zachciewało mu się piastować godność to posła na sejm, to rektora uniwersytetu wileńskiego, miał nawet oskomę na infułę biskupią i kłął się przed królem, „iż nietylko szanuje wszystkie prawdy, które Kościół św. do wierzenia podaje, ale też o żadnej z nich nigdy w życiu nie wątpił“. Kłamstwo bezczelne! Toć on żartował sobie z Objawienia, mówiąc ironicznie, że „niektórzy za grunt wiary po świecie roznieśli, co się kiedyś przyśniło Józefowi cieśli“. Nie syn cieśli był mu Bogiem, tylko Wolter, któremu, jak pisał, „wszystko wolno“: „on jest wyższy ponad prawo“ (!!). Kościół, jego zdaniem, to instytucja, stworzona przez zgraję podłych oszustów i samolubnych wyzyskiwaczy: „Mgła nas niewiedomości zaćmiła obrzydła: pasterze ją mnożyli dla pożytku z bydła; tak zwykł czynić w zwierzęcej rządcy szkole: chcąc mieć ucznia posłusznym, oczy mu wykole“; i dopiero „wiek osiemnasty ze wszech religii wygładza, co się z danym od Boga rozumem nie zgadza“. Sam bez Boga w sercu, drwił sobie Trembecki z gorącej wiary innych, np. z uniesień religijnych konfederatów barskich: „Młódek bez doświadczenia i lękliwych starek uwodźciel, wśród stolicy uwija się Marek; przed niedołączną tłuszcą prorokiem się mieni, oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni; uchodzi mu bez kary łudzić tak bezwstydnie; z tych przyczyn, wyznam szczerze, Warszawa mi bzydnie.

Przechwalał się Trembecki, że „serca zawsze polskiego nic mi nie odmieni“. I znów — kłamał bezczelnie, albo też nie zdawał sobie już sprawy, że przestał czuć popolsku. Czy to małpując Woltera, czy też podlizując się królowi, wynosił pod niebiosa „Minerwę, którą świat pod

imieniem wielbi Katarzyny“: „Wyznaje cała ziemia, że w monarchiń rzędzie nad nią większej nie było i nigdy nie będzie! Wtedy najfortunnieszą uczulem godzinę, kiedy tę ujrzał Panią, przepłynawszy Dźwinę; noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy; niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy!“ Wielbił także Potemkina i Rępnina. Był sługą konfederacyi targowickiej, jako cenzor sztuk teatralnych i książek, sprowadzanych z granicy. Po trzecim rozbiornie powlókł się za St. Augustem do Piotrogradu i łagasował mu do śmierci; a po zgonie króla zamieszkał w Tulczynie, n pokrewnego sobie podłą duszą Szczęsnego Połockiego, wielbił jego cnoty i wołał: „Niechaj tu za dni naszych nie nadchodzi pora, gdy ma zniknąć ozdoba ziornków i podpora! Opatrzność, która ludziorn wielkich ludzi skąpi, czern równem szkodę tyłą nieprędko zastąpi“. Z upadkiem Polski pogodził się lekkim sercem, był nawet dumny, że jest poddanym rosyjskim, i wynosił pod niebiosa Aleksandra I: „Wielki monarcha, losy dany nam szczęsnymi, skinieniem zdolny ruszać część największą ziemi, nie dość, że doskonali marsowe rzemiosło, które imię Rosyi między gwiazdy wzniosło: któryż dziś lud i których silna królów ręka „naszych“ nie pragnie sprzyjań, gniewów się nie lęka!“

Lecz, jeśli kłamał Trembecki: kiedy mówił, że potrzebą jego serca jest wierzyć w Boga i kochać Polskę, to nie minął się tak dalece z prawdą, kiedy pisał do króla, że potrzebą jego umysłu jest ciągle się kształcić: „Byłem jeden z najobszerniejszych czytelników“; „w przeciągu kilku miesięcy tyle podobno przeczytałem, ile się żadnemu z żyjących w równej porze nie zdarzyło“. Tak było rzeczywiście. Pochłaniał Trembecki najrozmaitsze książki, w nabywaniu coraz nowych wiadomości znajdując rozkosz prawdziwą; zaciekawiały go medycyna i higiena, fizyka i botanika, geografia i archeologia, filozofia i historia, obyczaje

i języki: „wszystko—pisał—w moje wchodzi cele, nad tem wszystkim zosobna piszę i jedno drugiemu zawadza“. Ale w tem sęk właśnie: jedno drugiemu zawadzało! Pragnął Trembecki osiąść wszystkie nauki, nie posiadał gruntownie ani jednej: byłto typowy dyletant. Nie wziął do serca własnej rady, jaką raz dał jakiemuś niefortunnemu kaznodziei: „Szewcze, patrzaj kopyta, niech krawiec nie mierza mieszać się w należące czyny do kanclerza! Jeżeli się duchowni zechcą flintą bawić, nawzajem my pójdziemy msze za nich odprawić; a inni, korzystając z naszego przykładu wyjdą także z obrębów i nie będzie ładu“. Otóż Trembecki, pragnąc umieć wszystko, nie patrzył kopyta: zaniedbywał swój talent poetycki,—tem więcej, że o sławę poetycką nie dbał zupełnie: często nie przyznawał się nawet do ojcostwa swoich utworów i mydlił czytelnikom oczy rozmaitymi pseudonimami. Jedyny swój większy utwór (poemat opisowy p. t. „Sofiówka“) napisał już w starości; poza tem zaś rozpraszał swój talent na rzeczy drobne.

A szkoda, wielka szkoda, bo talent był naprawdę ogromny, ukształcony nietylko na poezji francuskiej, jak talent Krasickiego, ale i na starożytnej, której duchem przejął się Trembecki tak mocno, jak nikt ze współczesnych, oraz na poezji polskiej XVI w., zwłaszcza na Kochanowskim. Główną zaletą poezji Trembeckiego jest wspaniała, prawdziwie klasyczna forma: doskonały wiersz, nietylko gładki, ale i dźwięczny; styl, nietylko wytworny, wypieszczony, ale i niezmiernie obrazowy, ujmujący to żywością i lekkością, to nieznaną Krasickiemu siłą męską i śmiałością, a czasami tchnący powagą, godną Jana z Czarnolasu. Są wprawdzie w stylu Trembeckiego wyrażenia, które dziś rażą, mianowicie wyszukane omówienia, trące stylem barokowym XVII w. (§ 51), np. na „powietrzu mieszczone śpiże“, zam „dzwony“; „znak skończenia naszego“ zam. „krzyż“; „Lechowy świat“, zam. „Polska“: ale, po-

pierwsze, używa ich Trembecki tam tylko; gdzie chce być uroczystym, a podrugie, są omówienia udatne i bardzo śmiałe, np. „wyzywać kły wieków“, zam. „urągać czasowi“. Prócz piękności wiersza i stylu — mistrzostwo w posługiwaniu się nieprzebranymi skarbami języka ojczystego, „samowolna, ale szczęśliwa nad mową władza“ (jak się wyraził Mickiewicz). Rozumiał doskonale Trembecki, że źródłem ożywczem dla języka literackiego jest żywy język ludowy; więc badał go pilnie, ułożył nawet w gwarze mazurskiej pieśń, którą zaśpiewali królowi Krakowiaczy w dwudziestą czwartą rocznicę jego koronacy: „...„Poto przybyli ci Krakowianie, by Was zocyli, królu i paniel... Nikt Was nie gani, kuzdy Was sławi, zeście kochani, zeście łaskawi. Pieknie pod Wami bydło się pasie, w polu z Jonkami płasają Kasie... Chcecie nam, wiemy, zycia przydłużyć, Wam też będziemy tem życiem służyć... Cy we cce chwile cy przy napitku, zycie lat tyle, ile dziur w sitku“. Otóż wyrazami gminnymi często się posługiwał Trembecki w swojej poezyi, zwłaszcza w bajkach, np. chyc, dyrdać, poszkapić, koś (konik), tattać się i in. Rozkochany w języku staropolskim, powoływał do życia zapomniane wyrazy, np. duższy, miąższy, sędzioł (szron), czarny korzeń (rżysko), żywięta (zwierzęta). Tworzył udatnie nowe wyrazy, to też niektóre pozyskały sobie prawo obywatelstwa, np. żyjątko. Wogóle język Trembeckiego jest niezmiernie bogaty, bogatszy, żywszy i dobitniejszy, niż niezbyt obrazowy język Krasickiego (§ 81).

Piękną formą poezyi Trembeckiego zachwycał się Mickiewicz: naśladował w pierwszych swych utworach jego styl, napisał doskonale objaśnienia do „Sofiówki“, na wzór jego bajek pisał swoje, a w „Panu Tadeuszu“ wiersze: „Wy, klasyczne Tyburu spadające wody i straszne Pauzylipu skaliste wydroże“, są niemal żywcem wzięte z „Sofiówki“. Swój zaś sąd o Trembeckim, jako o mistrzu

formy, zamknął Mickiewicz w słowach: „Był prawdziwym Grekiem z czasów Peryklesa albo Łacinnikiem z epoki Augusta; Słowianie z jego dzieł mogą mieć dokładne wyobrażenie o stylu starożytnych“.

Z utworów Trembeckiego na szczególne wyróżnienie zasługują bajki, listy poetyckie i wiersze polityczne.

Bajek (1776) napisał Trembecki zaledwie kilka, ale zato są one najpiękniejszymi bajkami w poezji polskiej. Nibyto tłumaczy Trembecki Lafontaine'a („Zdrojowicza“, jak go żartobliwie nazywał), w rzeczywistości jednak są jego bajki utworami oryginalnymi, a to nie tyle przez rozmaite własne dodatki autora, ile przez nawskroś oryginalny styl. Krasickiemu idzie głównie o sens moralny: Trembeckiemu — o samą bajkę, t. j. o piękne i żywe opowiadanie; stąd Krasicki usiłuje być jaknajzwięźlejszym, pomija więc wszystko, co się nie przyczynia do wydawnienia morału: Trembecki z lubością kreśli wszystkie szczegóły, potrzebne czyto do uwypuklenia charakteru zwierzęcia lub osoby, czy też do pełnego rozwinięcia pomysłu. (Aby to zrozumieć, wystarczy porównać bajkę Krasickiego „Jagnię i Wilcy“, § 88, z bajką Trembeckiego „Wilk i baranek“). Obydwaj poeci dopięli swoich celów: ale, kiedy bajki Krasickiego są arcydziełami zwięzłości, bajki Trembeckiego są arcydziełami żywego opowiadania, a nade wszystko wyrazistej charakterystyki, np. bajka „Myszka, kot i kogut“, w której się przepysznie odzwierciadlają, pod postacią młodej myszki, właściwe wiekowi dziecięcemu naiwność i niedoświadczenie. A styl bajek Trembeckiego jest takim arcydziełem obrazowości i zarazem prostoty, jakiego próżno szukać w całej poezji polskiej przed Trembeckim. Bajek piękniejszych nie pisał sam Mickiewicz.

MYSZKA, KOT i KOGUT.

Coby to była za szkoda!

O kasek nie zginęła jedna myszka młoda,

Szczera, prosta, niewinna! Przypadek ją zbawił.

To, co ona swej matce, ja wam będę powiedział.

„Rzuciwszy naszych pieczarów głębiny,

„Dopałam jednej zielonej równiny,

„Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi;

„Patrząc, aliści dwoje żywiąt siedzi:

„Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnem:

„Łagodny i uniżony;

„Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:

„W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszczony,

„Ogon zadarty do góry, lśnięciami błyskotał pióry,

„Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,

„Jakby go kto powykrawał.

„Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał

„Albo na powietrze dźwigał.

„Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,

„Ażem mu srodze naklena,

„Bo mnie z strachu drżączka wziena,

„Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;

„Uciekłam tedy do jamy.

„Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,

„Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.

„Minka jego nie nadęta. I, choć ma bystre ślipięta,

„Dziwnie mi się z skromnego wejźrzenia podobał.

„Jak nasze, taką samą robotą ma uszka.

„Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał.

„Mój duszka!

„Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi

„Tej przyjacielskiej usługi,

„Kiedy nagłego narobił kłopotu,

„Wrzasnąwszy na mnie z fukiem: kto to tu, kto to tu?“

— „Stój—rzecz matka—córko moja luba!

„Aż mrowie przechodzi po mnie:

„Wiesz-li, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?

„Kot bestya, narodu naszego zagubał
„Ten drugi byłto kogut; groźba jego pusta,
„I przyjdą może te czasy,
„Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
„A zaś kogut nas może schrustał
„Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
„I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:
„Nie sądz nikogo po minie,
Bo się w sądzeniu poszkapisz“.—

KOT i WILK.

Onego czasu, gdy Zefir ciepławy
Sędzioły zmiatał i odmładzał trawy,
Gdy poczynąło karmy brakować w stodole,
Poszły bydłeta żywić się na pole.
Pewny wilk także wtedy spacerem chodził,
Który się całą zimę rozmyślaniem bawił,
Wielki post wiernie odprawił,
Przez co się wielce wygłodził.
Po zejściu więc skorupy bieżąc koło błonia,
Ujrzał na czarny korzeń puszczonego konia.
Co za radość! Lecz chudziak, bojąc się nie sprostać:
„Szczęśliwy—rzecze—ktoby ciebie schrupał!
„Ej! czemuś ty nie baran? byłbym cię już łupał,
„A tak muszę frantować ¹⁾, ażeby cię dostać!
„Frantujmyż!“ Bierze zatem ułożoną minę,
Stąpa z partesów ²⁾, nakształ karmnego prałata,
Powiada się być uczniem Hipokrata,
Ziółek szukanie kładzie za drogi przyczynę,
Których zna moc i własności,
I chce oddać usługę Jego Końskiej Mości,
Gdyż paść się tak, nie będąc wiązanym na linie,

1) szachrowość; *) poważnie.

Znaczy słabość w medycynie,
Lekarstwo tedy „gratis“¹⁾ oświadcza mu z duszy.
Pan ogierowicz (nie w ciemę go bito!):

„Mam—rzecze—uczciwszy uszy,
„Sprośny wrzód, który mi się zakradł pod kopyto“.
„Nie troszcz się, moje dziecię!—jeśpan medyk mówi—
„Z skutecznych leków wzrosła moja sława;
„Każemy się wnet ustąpić wrzodowi,
„I cyrulictwo bowiem jest moja zabawa“.

Tymczasem z tyłu zachodzi
Rzkomo²⁾ nogę oglądać, a do brzucha godzi.
Zwąkał koś i nie chce tego czekać losu:

Podnosząc nogę ochotnie,
Z całej siły jak go grzotnie,
Z paszczy narobił bigosu.
„Au!—zawył wilk—au! jakżem głupszy jest od osła!
„Chciałem się bawić zielnikiem,
„Będąc z natury — rzeźnikiem...
„Niechby każdy pilnował swojego rzemiosła!“

WILK i BARANEK.

Racya mocniejszego zawdy lepsza bywa.

Zaraz wam tego dowiodę!
Gdzie bieży krynica żywa,
Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.
Wilk, tam naczco nadszedłszy, szukając napaści,
Rzekł do baraniego syna:—„I kćóżto zaśmielił waści,
„Że się tak ważysz mącić mój napitek?
„Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina“.—
Baranek odpowiada, drząc z bojaźni wszytek:
„Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie
„Łaskawie!

1) darmo; 2) rzekomo, nibyto.

„Obacz, że, niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,

„Nie mogę mącić pańskiego napoju“.

— „Cóż! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

„Poczekaj, języku smoczy!

„I tak rok-eś mię zelżył paskudnemi słowy!“ —

„Cysiam ¹⁾ jeszcze . . . i na tom poprzysiądz gotowy,

„Że mnie przeszłego roku nie było na świecie“.

— „Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,

„Dość, że tego jestem pewny,

„Że wy mi honor szarpiecie:

„Psy, pasterze i z waszą archandyją ²⁾ całą

„Szczekacie na mnie, dzie tylko możecie:

„Muszę tedy wziąć zemstę okazałą“.

Po tej skończonej perorze

Łapes, jak swego, i zębami porze.

W listach poetyckich Trembecki, przemawiając do swoich znajomych, to udziela im różnych rad, płynących z jego poglądów na różne sprawy (zwłaszcza polityczne), to oświadcza im swoje przywiązanie i uwielbienie. A więc np. w liście do Krasickiego zachęca go, aby przemówił za przymierzem Polski z Rosyą, bo czas już, aby się te dwa narody pogodziły i połączyły: „Pomnieć się godzi, iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi, jedna krew, jeden język, taż natura twarda, taż śmiałość niewzruszona i śmierci pogarda... Niech w gruzie starych ruin niepaamięć zawali kłęski, któreśmy wzajem i wzięli i dali! My! odtąd przyjaźń tego utrzymując brata, łatwo reszty potędze oprzemy się świata!“ W liście do biskupa kujawskiego, Rybińskiego, daje mu piękną przestrożę: „Pomnij, że, niż kapłanem, wprzód byłeś Polakiem!“, i zaklina go, aby się rządził zasadami szlachetnej tolerancji religijnej.

¹⁾ cysiać=ssać; ²⁾ archandya, rchandrya=gawiedź, zgraja.

W pochwałach i komplementach jest Trembecki mistrzem: „Mam ja serce z żelaza, lecz ty masz z magnesu“,—pisze do jakiejś uroczej Irydy. Ale czasem przebiega w pochwałach miarę i wpada w niesmaczną przesadę. Ma słuszność, kiedy mówi do Krasickiego: „A cnej pisania sztuki z dowcipem i gustem tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem“; ale na ironię raczej zakrawa pochwała: „Z ciebie miał Kościół polski podporę niezmierną, z ciebie senat ozdobę i król radę wierną“ (!!). Lecz i te kadzidła błedną wobec tych, jakimi okurza Trembecki króla—w wierszu „Na dzień siódmy Września, w rocznicę elekcyi króla Stanisława Augusta“. „Prawdo, jedyna prawdo, kieruj moje pióro!“ — woła poeta, ale kłamie, bo nie miłość prawdy, tylko niskie pochlebstwo podyktowało mu taką np. pochwałę: „Skłonności jego pierwsze i wiek nader młody wydały w nim do berła zdatności dowody; czuł swe losy wspaniałe i, zaraz z pieluszek, wyższe zabawki kochał świeży genijuszek“, i t. p. Ale szczytem wszystkiego są słowa: „Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie“ (!!). Poza tem wiersz ten świadczy o rozumie Trembeckiego, zawiera w sobie mianowicie świetną charakterystykę wiekowej anarchii i nieszczęść narodu, których główne źródło słusznie upatruje autor w słabości władzy królewskiej („Kto prawej najwyższości winną łamie wiarę, ciężką prędzej lub później uczuć musi karę“).

Lecz najwymowniejszym świadectwem i rozumu i talentu Trembeckiego są wiersze polityczne, pisane podczas sejmu czteroletniego, a popierające politykę królewską, mądrze ostrzegające przed przymierzem z Prusakami i wogóle pełne trzeźwości politycznej. Siłą i szlachetnością wysłowienia oraz powagą tonu, jakiejby się sam Kochanowski nie powstydział, odznacza się zwłaszcza wspaniały wiersz „Do moich współziomków“, pełny głębokiego zrozumienia niezwyklej ważności chwili dziejowej i ogromnej

odpowiedzialności zgromadzonych dla ratowania ojczyzny
posłów.

DO MOICH WSPÓLZIOMKÓW.

(w skróceniu).

Mądry Polak po szkodzie—już były te szkody!

Dziś na nas obrócony wzrok mają narody:

Lub nas rządnych, przezornych, czynnych świat po-
chwali,

Lub nad chcącymi ginąć nikt się nie uzali!

Nigdy dobrańszych posłów nie miała Warszawa;

Ich cel—ojczyzny dobro, ich nadgroda—sława!

Ale, jeśli na sporach czas wycieńczą marnie,

Jeśli wzgląd osobisty serca ich zagarnie,

Jeśli granic obrony silnej nie wyznaczą,

Jeśli jeszcze i tacy na swe zyski baczą,

Jeśli ta góra wielka śmieszna myszkę zlegnie ¹⁾:

Już mnie o szczęściu Polski nadzieja odbiegnie.

Kto pragnie pospolite opatrzyć pożytki,

Nieprzyzwoite smutnym niech wytępi zbyt!

Gną się stoły pod srebrem, w galonach lokaje,

Tłoczą nam sok Bachusa Hotentotów kraje, ...

A bracia niebronieni w srogiej jęczą doli,

Wolność nasza na obcej gruntuje się woli.

Ojczyzna uszczerbiona! O sławo! po tobie

W najgrubszejby nam chodzić przystało żalobiel

Niech wzgardza obywatel te kosztowne szaty,

Te zgraje służebników, ten pozór bogaty! ...

Nieludzko nas obdarli opiekuni srodzy:

Nie udajmy bogaczy, kiedyśmy ubodzy!

¹⁾ zlegnąć = wydać na świat; było już w starożytności przysłowie: „Rodzą się góry, rodzi się śmieszna mysz“; popolsku z wielkiej chmury mały deszcz

Jedni frantostwem, drudzy przez użycie wiosła,
Inni dostatki ciągną z handlu i rzemiosła:
My, na szrodku żelaznej wychowani ziemi,
Umiemy kuć orężę, zręcznie władać niemi.
Można z żelazem w ręku zniżyć krytych złotem,
Więcej krwią w roku nabyć, niż ci w sto lat—potem.

Póty u młodych orląt dziób jest niedojrzały,
Póty ich baczny ojciec nie puszcza ze skały;
Ale, gdy jego dziatwie z kończącą się wiosną
Dłuższe pióra stężeją i szpony odrosną,
Sam ich uczy lot śmiały czynić nad obłoki,
Niebezpieczeństwem gardzić, rzucać się na smoki.
Póki nas oszpecały gnuśność, zdania gminne,
Obrzydliwe pijaństwo, przesady dziecinne,
Wpóśród mocarstw ogromnych zamknięci, jak w matni,
Do dania im odporu nie byliśmy zdadni.
August raczył powszechniej światło rozprowadzić
I myśleć nas nauczył i potrzeźwu radzić;
I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież.
Tworzy nam w sercach siłę, do męstwa zachęca,
Do obrony ojczyzny nadgradami znęca.
Jak poważa w rycerskie wstępujących ślady,
Pamiętne na Kraszewskim znaleźmy przykłady:
Ni go zasługa inna, ni go przymiot zdobił,
Za ranek dla ojczyzny król go możliwym zrobił¹⁾.

Kiedy się już pomyślne zbliżają nadzieje,
Obraz nam dają wojny marsowe turnieje²⁾:
Jeśli na tych igrzyskach publiczne przyklaski
I królewskie zyskali przodkujący łaski,

¹⁾ generał Kraszewski, regimentarz wielkopolski, stoczył bitwę z Prusakami, wkraczającymi w granice polskie dla dokonania pierwszego rozbioru; ²⁾ ćwiczenia wojskowe uczniów Szkoły Rycerskiej (§ 75).

Cóż dopiero za chwałę każdy czynny zyska,
Gdy będziemy ołtarze bronić i ogniska!

Ku broni kierowany, żeby duch nie stygnął,
August naszego posąg bohatera dźwignął.
Między starożytnymi Achiwów¹⁾ zaszczyty
Stał obraz Aleksandra, przez Lizypa ryty;
Gdy w jego rozważaniu Cezar się zatopił,
Szlachetnie zawistnemi lice łzami skropił,
Bogdaj podobna zawiść w nas była widziana!
Idźmy ten uczyć posąg walecznego Jana,
A przed nim na dobyte przysiążmy pałasze
Za niepodległość kraju łożyć gardła naszel...

Dziwnie jakoś brzmią te słowa w ustach Trembeckiego: on, dworak i rozpustnik, budzi w narodzie ducha rycerskiego! on, wielbiciel Katarzyny II i przyjaciel Targowiczanina Potockiego, nawołuje do walki w obronie ojczyzny! Wszystko to komedia, ale odegrana świetnie, łudząca pozorami szczerego uczucia miłości ojczyzny.

Osiadłszy na stare lata w Tulczynie u Szczęsnego Potockiego, Trembecki, pragnąc się przypochlebić magnatowi, utworzył na wzór „Ogrodów“ poety francuskiego, Delila, poemat opisowy p. t. „Sofiówka, w sposobie topograficznym opisana wierszem przez Jana Nepomucena Czyżewicza“ (1806). Wykończył go już po śmierci magnata, więc rękopism ofiarował jego synowi, Jarosławowi, który piastował godność marszałka dworu rosyjskiego. Treść poematu stanowi opis Zofiówki, t. j. wspaniałego parku, który Szczęsny Potocki założył w malowniczej dolinie pod Humaniem dla swej żony, Greczynki Zofii, słynącej nadzwyczajną urodą. Po apostrofie do Ukrainy i krótkim zarysie historii tej żyznej krainy, którą dopiero Katarzyna

¹⁾ Achiwi=Grecy. <http://rcin.org.pl>

II zrobiła tem, „czem być powinna“, Trembecki, spaliwszy jeszcze kadzidło na cześć Potockiego, przystępuje do rzeczy. Opowiada, że sam Kupidyn kazał Potockiemu zamienić „niezgrabne jary“ w „rozkoszne sady“, poczem opisuje wszystkie dziwy i cuda Zofiówki, a więc gaiki, groty, skały, strumyki, kaskady, kanały podziemne, wysepki, gmachy i pomniki, raz wraz przerywając opis to podaniem starożytnym o Peleusie i Tetydzie, to pochwałą czystej wody źródlanej, a naganą wina, to panagirykiem dla cesarza Aleksandra I, to wykładem nauki myśliciela greckiego, Epikura, o życiu, to wreszcie obrzydliwemi pochlebstwami dla Potockiego. Kończy się poemat dworskim komplementem dla Zofii. Niepospolita wartość „Sofiówki“ polega jedynie na wytwornym stylu i doskonałym wierszu.

UKRAINA.

Miła oku, a licznym rozżywiona płodem,
Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślejsze czabany¹⁾ twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utuczyły zioła, —
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła²⁾.
Nasiona, twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi
Krwia przemokły, stłuszczone ciała podartemi.
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Zębce słońców i perskie wykazuje szczęty³⁾.

¹⁾ czaban = wół rosty; ²⁾ Mickiewicz objaśnia: „W głębszych stepach ukraińskich znajduje się gatunek baranów wielkich, którym gospodarze dla ulżenia ciężaru ogony na kołach uwiązywać zwykli“; ³⁾ szczęty = szczątki; ma tu autor na myśli wojny Persów ze Scytami.

W tych gonitwach, od obcych we śródku poznany¹⁾,
Szesnaście²⁾ potem razy kraj odmienił pany;
W nim najsroźsze z Azyją potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopy.
Przeszły więc niwy w stepy, a trawy bez kosy
Pokrewne Pitonowi³⁾ mnożyła połosy⁴⁾.
W leciech niższych⁵⁾ otwartej acz nie było wojny,
Utrpiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siczowe⁶⁾ nachody, to Tauryckiej Ordy
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy...

Katarzyna, przez czyny nieśmiertelna swoje,
Gdy zniosła Zaporoża i Krymu rozboje,
Odtąd dopiero każdy swojej pewien właści⁷⁾,
Pod zbrojnym żyje prawem, wolny od napaści;
Wygnała barbarzyństwo, rzeczy postać inna,
I obfita ziemica jest, czem być powinna.

KASKADY.

Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprzęta brzękiem i wejźrzenie bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła;
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą od siebie większa Kamionka wypada⁸⁾.

1) t. j. zdobyty od obcych, którzy się aż do środka przedarli;
2) t. j. kilkanaście; 3) Piton = straszliwy wąż, zabity przez Apollona;
4) połos = wąż ogromny; 5) t. j. w czasach późniejszych; 6) siczowy = ko-
zacki; 7) właści = własność; 8) Mickiewicz objaśnia: „Rzeczka Kamionka
rozszerzonym korytem spada w kształcie kaskady, jest więc przy ujściu
większą od siebie, od swego zwyczajnego koryta“;

Rozścielać się, nurkować czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa¹⁾ dopełnia rozkazy
I, mimo praw swej równi²⁾, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.

ZAKOŃCZENIE.

Kto gajów Tuskulańskich³⁾ smakował ochłody,
Kto uwieńczył Tyburu⁴⁾ spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu⁵⁾ przebywał wydroże,
Jeszcze i w Sofijówce zadziwiać się może
I wyzna, jeśli szczerłość usty jego włada:
„Czem tamte w częściach słyną, ta razem posiada!“
Ważąc pracy niezmierność i zdobienia liczne,
Rzekną później: „Było to dzieło monarchiczne!“

Lecz to miejsce, Sofijo, więcej zdobisz sama,
Podobniejsza niebiankom, niż córkom Adama:
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty.
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czić cię będzie, drugie pół zazdrościć!

§ 90. Pochlebstwa, jakimi okadzali króla i możnych panów Naruszewicz i Trembecki, nie były, niestety, odosobnione: właśnie na czasy St. Augusta przypada bujny rozrost panegirycznej poezji dworskiej, na co, prócz zakorzenionej w Polsce, odziedziczonej po wieku XVII i czasach saskich, tradycyi panegiryków, wpłynął niemało przykład dworskiej poezji francuskiej; ale najsilniejszą pobudką

1) t. j. woda; 2) równia—równowaga; 3) Tusculum (dziś Frascati)—miasteczko pod Rzymem; 4) Tybur—dziś Tivoli; 5) Pauzylip — góra niedaleko Neapolu.

do schlebiana możliwym tego świata była już to próżność już „chudość“ literatów: próżni spodziewali się, w zamian za pochwały, zaszczytu lub urzędu, orderu albo tytułu dworskiego, „chudzi“ zaś — jeżeli nie zawsze zyskowej posady, to przynajmniej... kawałka chleba. A że zarówno próżność, jak i „chudość“ literatów w Polsce była (i jest dotychczas) zjawiskiem pospolitem, że nadto literaci wieku oświeconego wogóle nie byli Katonami i nie trzymali zbyt wysoko sztandaru godności własnej, więc jedną ręką pisali satyry, piorunując, pomiędzy innymi, na panegiryzm, a drugą bazgrali potworne wierszydła panegiryczne. Wyjątki były rzadkie, a do nich należał starościc **Tomasz Węgierski** (1755—1787) z Podlasia. Ptak to małego lotu, talentem, a nadewszystko sztuką, od Trembeckiego nierównie niższy; nie odznaczał się i charakterem kryształowym, ale przynajmniej posiadał to, czego Trembecki nie miał ani na lekarstwo: jakąś godność własną; nie płaszczył się, nie plamił swojej lutni pochlebstwem, owszem wstawił się nieprawdomównym i złośliwym językiem, za co też gorzko odpokutował.

„Przeżyłem lat trzydzieści bez żadnego systematu, bez planu, rzucony na wolę namiętności,... biada człowiekowi, który nie umie systematycznie pojmować szczęścia i odpowiednie zachować prowadzenie się: kto się zdaje na łaskę bałwanów, w końcu musi utonąć“. W tych słowach, napisanych na krótko przed śmiercią, scharakteryzował Węgierski swoje własne życie. Jakoż był człowiek wykolejony: pragnął szczęścia, a nie umiał go szukać—z winy nie tylko własnej, ale i złego wychowania. Psuty i pieszczony przez matkę, „przywykł—jak mówi—od dzieciństwa iść za popędem fantazyi i kaprysu“, a skrzywionej duszy nie naprostowały „Nowe Ateny“ ks. Chmielowskiego (§ 71) i inne głupstwa, jakimi go raczyła warszawska szkoła jezuicka. Jeżeli wpojono w niego wiarę religijną, to zatra-

cił ją bardzo rychło — pod wpływem wolnomyślniej literatury francuskiej, zwłaszcza pism Woltera, którego był jednym z najzapamiętalszych w Polsce wielbicieli; zatracił również podstawy moralne i „zdał się na łaskę bałwanów“, które go rzuciły w wir hulaszczego życia Warszawy. I rujnował Węgierski zdrowie, a talent marnował na pisanie rozwiązłych i plugawych wierszydeł (nie gorszy w tem jednak wcale od innych, np. od biskupa Naruszewicza, o Trembeckim już nie mówiąc). Mocno zarozumiały, ambitny i zazdrośny, gryzł się i gniewał, że, kiedy inni, gorsi od niego, wypływają na wierzch pochlebstwem, on, że nie pochlebia, musi skrobać piórem na stanowisku marnego kancelisty. A podrażniona miłość własna zrodziła w jego duszy zgryźliwość oraz niechęć ku ludziom i pobudziła go do pisania uszczypliwych wierszyków, które mu naturalnie nie przyjaciół, tylko wrogów przysparzały; to zaś umacniało go jeszcze w żalu do świata wogóle, a w szczególności do własnej „barbarzyńskiej“ (jak się wyraził) ojczyzny, że nie poznała się na jego cnotach, w których istnienie wierzył głęboko; to też marzył o tem, aby opuścić ojczyznę i osiedlić się za granicą: „Najpierwej, twe, Paryżu, szedłbym widzieć dziwy i, z źródeła różnych zabaw czerpając po trosze, chwilebym na nauki dzielił i rozkosze, póki by krew gorąca i potrzebne siły takiego mi sposobu życia pozwoliły; ale, jakbym się tylko zbliżał do starości, gdzie mniej trzeba uciechy, a więcej wolności, tamby najpierwsze osiąść było me staranie, kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszkanie; tam, wespół z pracowaymi obcując Szwajcary, paliłbym tym dwom mężom niezgasłe ofiary i od brzegów Genewy ¹⁾ rzekłbym sobie z cicha: „Darmo Polak do dawnej szczęśliwości wzdycha“.

Ale marzenie to nie tak się prędko ziściło: „Trzeba

¹⁾ t. j. jeziora genewskiego.

zostać w ojczyźnie, w liczbie nieszczęśliwych, codzień się lękać zemsty ukrytej złośliwych“. Jakoż na zemstę niedługo czekał Węgierski. Zdarzyło się, że pewien możny pan, faworyt królewski, urządził „zajazd“ na dom jego ojca, starosty korytnickiego. Węgierski, oburzony do żywego, napisał, wydrukował i puścił w obieg po stolicy gwałtowny memoriał w tej sprawie, w którym z bardzo zrozumiałą furją rzucił się na owego złoczyńcę i wogóle na magnatów polskich, np. na Radziwiłła Panie Kochanku, tego „szaleńca możnego i bogatego“, który „już trzydziestu ludzi zabił, człeka z psami i niedźwiedziami rozjadłymi zamyka, każe babom kukać i potem strzela do nich“. Nie oszczędził i całego „rządu“ polskiego wogóle, mówiąc, że „prawa nasze dla słabszych są tylko robione, a mocniejszym pokrywką są i zachęceniem do popełnienia niegodziwości“. Że miał słuszność, o tem przekonał się—na sobie: faworytowi królewskiemu zbrodnia uszła na sucho, ale autora memoriału wpakowano do więzienia. Całe to zajście jeszcze bardziej zniechęciło Węgierskiego do ojczyzny, to też po pewnym czasie wyjechał zagranicę, naprzód na krótko, potem już na zawsze. Nacieszył się „dziwami“ swego ukochanego Paryża, popłynął do Ameryki, zwiedził Anglię, a czasu w tych podróżach nie tracił: kochał się, pisywał pofrancusku listy miłosne, hulał, grał, myśląc jednak czasem o powrocie do ojczyzny. Ale nie wrócił: „krew gorąca i potrzebne siły“ wyczerpały się i umarł Węgierski na obcej ziemi w trzydziestym drugim roku życia, „nie budząc — jak to sobie wywróżył — w nikim łyżu żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nie oddawszy najmniejszej usługi ojczyźnie, ludzkości, krewnym“.

Do poezyi rwał się Węgierski niemal od ławy szkolnej, aby „uwiecznić się zawczasu w kościele pamięci“. Pomimo to jego spuścizna poetycka jest bardzo szczupła.

Utwór większy napisał tylko jeden, — „poema heroi-komiczne“ p. t. „Organy“, grzech młodości, popełniony w osiemnastym roku życia (wydany dopiero w r. 1784). Jestto satyra na księży (coś w rodzaju „Monachomachii“ Krasickiego, § 84), będąca naśladowaniem poematów komicznych Boala i Woltera; sam autor nazwie ją później „nędzotą“, — i bardzo słusznie. Poza tem uprawiał same tylko drobne rodzaje poezyi (pisane w latach 1771—1783), jakoto: listy poetyckie i wiersze satyryczne, bajki i powiastki, uszczypliwie epigramaty, wierszyki liryczne i t. d. W jednym wierszyku wypowiedział Węgierski swoją „Myśl o poezyi“:

Jeśli do ciężkiej przykuty roboty
Mam bawić innych wśród mojej tęsknoty;
Jeśli wiersz tylko z pracą wymuszony
Wiecznej pamięci ma być poświęcony;
Jeśli, smutnego słuchając prawidła,
Mam bujnej myśli hamować wędziła:
Zbyt obarczone chętnie kruszę pióra,
Dla mnie świat polem, granicą — natura!

Myśl słuszna i trafna, jako obrona swobody twórczości poetyckiej, jako protest przeciwko krępującym ją „prawidłom“ i wogóle przeciwko naśladownictwu. Szkoda jednak, że się autor niekoniecznie do tej myśli stosował, zwłaszcza w początkach swej twórczości: zrazu naśladował trochę Naruszewicza i Trembeckiego, a później — głównie Woltera. Z biegiem czasu wyzwał się wprawdzie z pod naśladownictwa, ale zbyt „bujnej myśli“ nie znać w jego utworach bynajmniej; wiersz rzeczywiście nie jest „z pracą wymuszony“, owszem zręczny i lekki, ale daleko mu do wiersza Krasickiego; język poprawny, ale obrazowością nawet się mierzyć z językiem Trembeckiego nie może. Jużto wogóle artystą Węgierski nie był. Ujmują zato jego

drobne wiersze — i to stanowi największą ich zaletę — rzadką otwartością i szczerością, z jaką autor opiewa swoje myśli i uczucia, życzenia i marzenia, słowem całą swoją (niezbyt bogatą i niekoniecznie wzniosłą) duszę.

Poczytując Woltera za alfę i omegę mądrości, śmiało wypowiada Węgierski w swych wierszach (mianowicie w listach poetyckich) przejęte od niego poglądy na świat i ludzi, że np. „wszyscy równi na świecie, — odmienna powłoka nie potrafi omamić przezornego oka”; za jego też przykładem unosi się nad potęgą „Rozumu bez przesądów”, drwiąc sobie natomiast z Objawienia, wyszydzając dogmaty religijne i wogóle naukę Kościoła, np. naukę o niebie, do którego, jak mówi, chciałby się jednak dostać, aby „wiedzieć Pana Boga, jak poważnie na tronie z dyjamentów siada, jak zręcznie bez ministrów tą machiną włada”. „Ale, gdy pilnie sobie zważam z drugiej strony, żem wcale do śpiewania nieprzyzwyczajony, i choćbym był największem nabożeństwem zdjęty, nie w taktbym pewnie śpiewał: Święty, święty, święty!... A potem, jeśli prawdę mam powiedzieć; nie mógłbym tam długo siedzieć, gdzieby mi w wieczór, w południe i rano codzień to samo śpiewano. Koncertem takim stęskniony, powiedziałbym aniołom: „Skrzydlate stworzenia! czemu się wasz hymn nudny nigdy nie odmienia? czemu innymi Pana nie wielbicie tony? On wam tak ładne główki i skrzydła porobił i w rozmaite pokształcił odmiany, a żaden się przez wdzięczność na to nie sposobił, żeby był nowym hymnem powitany!” W jakimże celu pisał Węgierski podobnego rodzaju wiersze? Czy może dlatego, że chciał rozmyślnie obrażać uczucia religijne wierzących, w których oczach one musiały uchodzić za bluźnierstwo, że chciał gorszyć, wiarę odbierać? Nie, nie dlatego, ale dlatego poprostu, że takie wiersze były w „wieku oświeconym” bardzo modne (a jak sam mówi, „to mi ładne, co modne”); chciał może nadto pochwalić się przed

czytelnikiem (i przed samym sobą) swoją niewiarą, swoim „rozumem bez przesądów“, — podobny do żaka, który z dumą oznajmia kolegom, że od wczoraj nie mówi pacierza, albo który, „nie zdjawszy czapki przed kościołem, ogląda się dumnie na przechodniów, aby uszczęśliwić ich widokiem swego mądrego oblicza, na którym się maluje „rozum bez przesądów“.

Bo Węgierski, jako człowiek wielce zarozumiały, lubił się bardzo zajmować swoją osobą i wtajemniczał łaśkawie czytelnika we wszystko, co jej dolegało. Raz wprowadzie mówi: „milczeć zwykłem, choć mię coś zaboli“, ale często przerywa milczenie i „narzeka tonem płaczącym“, że nie poznali się na nim ani ludzie, ani Fortuna, bo ludzie go nie lubią, a „niełaskawe losy, dawszy gust pański, usunęły trzosa“ (!); nie tai się również ze swemi życzeniami: pragnąłby oto być „panem dobrej wioski“, ożenić się z panną, któraby miała „piękne lica, lata młode, zdrowie, nadobną urodę, dobrą duszę, serce czułe i — z dukatami szkatułę“. Jużto wogóle poziom życzeń Węgierskiego nie jest zbyt wysoki, a w każdym razie dużo niższy od poziomu jego „rozumu bez przesądów“.

Lecz nietylko swą mądrością, ale i swoją cnotą lubi się chwalić Węgierski: „Czasy złe wprowadzie w tym wieku nastaly, że, żyjąc cnotą, trudno być szczęśliwym: nie będę jednak nigdy tak zuchwały, bym, pragnąc szczęścia, stał się niepocziwym“.

Bardzo mi dobrą bajkę mój los przypomina,
Z której początek bierze cała moja wina.
Raz król zwierząt, by swojej chimerze dogodził,
Tym chodem laził na drzewo, jak po ziemi chodził.
Ale, gdy się daremnie przez cały czas biedzi,
Spójrzy w górę, a ślimak na wierzchołku siedzi.

Na widok tak niktzemny złość go mocna bierze:
„Jak—pyta—wleźć tam mogło to tak podłe zwierzę?”
„Dziwię się—rzekł mu ślimak—żeś tego nie wiedział;
„Kto się czołgać nie umie, nie będzie tu siedział“.
I mnie też to nienawiść sprawiło i biędę,
Że się nie czołgam, ale moim krokiem idę.
Lecz chociażbym do zgonu miał być nieborakiem,
Wolę być lwem w nieszczęściu, niż w szczęściu śli-
makiem.

Że prawdziwy lew nawet w smutku wydaje ryk, pozostawiając „ton płaczący“ innym, mniej szlachetnym stworzeniom, na tem się jakoś nie spostrzegł Węgierski. Ale przyznać trzeba, że, jak w narzekaniu, tak i w samochwalstwie jest on zawsze bardzo szczerzy.

Pod jednym zresztą względem pochwały, jakich nie szczędzi sobie ten „lew“, są zupełnie słuszne: on nie czołgał się nigdy i miał prawo mówić: „Dusza moja nie może znieść fircyków dumnych, nie cierpię pedagogów, ale czczę rozumnych i, lubo na mnie czarna zawiść się oburza, nie zrobię karła wielkim, ani Marsem tchórza“. Rzeczywiście. Czasem chwalił Węgierski ludzi, ale nie karłów i nie tchórzów, tylko tych, co naprawdę na pochwałę zasługiwali, np. Andrzeja Zamojskiego albo Trembeckiego (nie jako człowieka, naturalnie, tylko jako poetę). Bez porównania jednak częściej ganił, przymawiał, dopiekał, drwił, ośmieszał, nie oszczędzając nikogo, „bez braku na wszystkie targając się stany“. Obiegały te paszkwile całą Warszawę i jednały ich autorowi niemały rozgłos, ale też ściągały na jego głowę pioruny gniewu i oburzenia. Żył np. na bożym świecie niejaki Bielawski, który pisywał tak liche komedye, że się z nich głośno śmiano; Węgierski ułożył mu za życia nagrobek: „Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę, bo, jak się obudzi, komedya napisze“. Raz senator jakiś

odprawił wjazd uroczysty do Warszawy: Węgierski puścił wnet w obieg wiersz, w którym sarkastycznie ten wjazd opisał, drwiąc sobie niemiłosiernie z pana senatora: „Niespracowany senator, choć w drodze, dźwiga na sobie swej godności znaki: wstęgi na piersiach, ledwo nie na nodze, opończa nawet wydaje, kto taki, u której gwiazda świeci się na boku; z tejże go poznać w nocy, choć w szlafroku... Uwielbiaj i ty, Muzo, w skromnej mowie, wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie!“ W takito sposób ośmieszał Węgierski różnych dostojników; nie zawsze wprawdzie nazywał ich po imieniu, ale podchwytывał ich śmieszności czy grzechy tak zręcznie, że każdy wiedział, o kogo tu chodzi. Kiedy czytano np. wiersze: „Gdybym ja był hetmanem, to, jeżdżąc po świecie, nie chciałbym na koncertach grać na klarynecie; nie dąłbym się mym brzuchem, gdybym miał łeb pusty“, — to domyślono się z łatwością, że hetmanem muzycznym jest Ogiński, hetmanem zaś brzuchatym a głupim—Tyszkiewicz. Albo np. rozumiano, że wiersze: „Będąc zdrajcą narodu, nie byłbym zuchwały żądać, by mnie za zdradę stany nadgradzały“—godzą w Ponińskiego. Królowi nawet nie darował Węgierski: „Gdybym był kiedy królem, nie byłbym tak słaby; nie rządziłby mną Moskał, faworyt ni baby;... wiernej mojej ojczyzny nie darłbym, nie łupił, bym z niej który Belweder lub Łazienki kupił; nie dawałbym orderu, tylko za zasługi, byłbym więcej oszczędny, nie znałbym, co długi“. Ośmieszał i obiady czwartkowe, rozżalony, że go na nie nie proszono: „A uczone obiady? Znasz może to imię, gdzie połowa nie gada, a połowa drzémie, w których król wszystkie musi zastąpić ekspensą: dowcipu, wiadomości i wina i mięsa!“

Lecz nietylko na jednostki, ale i na całe społeczeństwo był Węgierski biczem bożym, chłoszcząc w swoich wierszach satyrycznych ciemność, brak uznania dla rzetelnej zasługi i cnoty, bezmyślność i czczość życia rozbawionej

i rozpustnej Warszawy, przedajność i niesprawiedliwość sądów, chciwość „tłustych prałatów“, pychę znieprawionych i powodujących się jedynie prywatą magnatów itd. Do najlepszych utworów satyrycznych Węgierskiego należy wiersz „Do wierszopisów“, w którym ostro skarcił swoich kolegów po piórze za pisanie wstrętnych wierszydeł panegirycznych (przyczem, naturalnie, nie omieszkał pochwalić samego siebie).

Moi wielce mościwi bracia i panowie!
(Boć to i u was państwo czasem w pustej głowie)...
Posłuchajcie! Wszak słuchać nigdy nie zawadzi,
Jeśli kto co dobrego z przyjaciół poradzi.
Niegodny-m współczeladnik jest waszego cechu;
Pisałem, nie uszedłem pochwały i śmiechu:
Piszę przecie i pisać jeszcze długo będę,
Nim, w rząd dobrych policzon, na Parnasie siędę.

Są, którzy już za życia ozdobni laurami,
Jako z dziećmi swojemi, postępują z nami,
A bystrym lotem swoim wzniósłszy się wysoko,
Ledwie na liche prace raczą rzucić oko:
Nie będę pochlebniemi (bo mi już obrzydły)
Błagał nieukróconą ich dumę kadzidły,
I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze,
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszczę.
Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy,
Słowem, wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy!
Czyńcie, jak ja: bazgrajcie, drukujcie, co chcecie!
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie!

Gdziekolwiek się obrócę, w które pójde strony,
Wszędzie modnymi rymy jestem zarzucony.
Ten człeka bez sumienia pocziwym być głosi;
Ten przedawcę ojczyzny w niebiosa wynosi;
Ten, że kto za pieniądze urzędu nabędzie,

Wielki i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny,
Wiersze znowu, byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byleby kto, sprzykrzywszy w domu,
Ślubował przy ołtarzu, kaci wiedzą komu.
Jęczą prasy i biedni drukarze się poca,
Głupie się mózgownice ledwie nie przewrócą;
Obiecują ojczyźnie poprawę złej doli:
Dlaczego? że się żeni jakiś pan podstoli.
Oto nieszczęścia wszystkie z ojczyzny wystraszy
Żeniący się z sędzianką jakiś pan podczaszył...

A niech tylko — mówi dalej Węgierski — dziecko na świat przyjdzie, znowuż „hałas na Parnasie“:

Jeżeli syn, to będzie Aleksander pewnie;
Że się nie chciał urodzić prędzej, płaczą rzewnie:
Byłby niechybnie przez swe męstwo i swe dzieła
Obronił to, co obca przemoc Polsce wzięła;
Lecz i tak nieomylnie powzięli nadzieje,
Że nam z jego pomocą szczęście zajaśnieje.
Jeśli córka, to będzie Lukrecyja czysta:
I z jej to ułożenia już rzecz oczywista.

Każdy to przepowiada, a żadnemu przecie
Nie zdarzyło się zgadnąć dotychczas poecie;
Co dzień, to w rymach waszych nadzieja nas krzepi,
Że ma być kraj szczęśliwy, że nam ma być lepiej;
Codzień się ludzie rodzą i codzień się żenią,
Losy nasze bynajmniej w lepsze się nie mieniają!
Dajcie pokój, gdy się wam nigdy nic nie iści,
Nie mając zwłaszcza żadnej z tych prorocत्व korzyści!

Zarówno paskwile, jak wiersze satyryczne Węgierskiego odznaczają się nie tyle dowcipem, ile złośliwością, sarkazmem i szyderstwem: pod tym względem miał on

niewątpliwy talent satyryczny. Ale co jest źródłem tej złośliwości? czy może święte oburzenie patryotyczne, które tak pięknie przemówiło w „Świecie zepsutym“ Krasickiego? (§ 86) czy ból na widok nieszczęść Polski? Nie. Wprawdzie i jemu ściśnie się czasem serce na myśl, że „niegdyś u świata zazdrości celem był Polak, z wolności hardy“, lecz teraz „przystał być wolnym obywatelem i stał się celem pogardy“: ale głównem źródłem złośliwości i wogóle satyryczności Węgierskiego jest osobisty jego żal do ludzi i „barbarzyńskiej“ ojczyzny, płynący z podrażnionej miłości własnej, a nadewszystko wygórowane mniemanie o własnej wartości, o czem aż nadto wyraźnie świadczy jego ulubiony (a pożyczony od Woltera) zwrot: gdybym był królem, hetmauem i t. d., postępowałbym inaczej, jak wy (bo jestem od was wszystkich lepszy, mędrszy, szlachetniejszy). Otóż ten pierwiastek osobisty stanowi najwybitniejszą cechę wierszy satyrycznych Węgierskiego i odróżnia je (bardzo dla nich niekorzystnie) od patryotycznych satyr Naruszewicza i Krasickiego. A paszkwile jego nie mogą się nawet równać z paszkwilami innego współczesnego mu pisarza, płynącemi nie z osobistego żalu do ludzi i nie z chęci popisania się dowcipem, ale właśnie ze świętego oburzenia patryotycznego; pisarzem tym jest Zabłocki, jedna z najsympatyczniejszych postaci w literaturze staropolskiej.

§ 91. Otworzony przez króla w r. 1765 teatr publiczny w Warszawie (§ 76) musiał ożywczo wpłynąć na twórczość dramatyczną, która dawniej, przed St. Augustem, właśnie wskutek braku stałego teatru, rozwijała się niezmiernie słabo. Ze wszystkich zaś rodzajów poezyi dramatycznej najbujniej rozwinęła się komedia, mianowicie komedia satyryczna, która, jak w całej Europie, tak i u nas służyła w XVIII w. za ulubioną broń do walki z ciemnością i niemoralnością. Oprócz Bohomolca (§ 78) uprawiali

komedycę satyryczną i Krasicki i Trembecki (który z właściwym sobie talentem przetłumaczył jedną z komedyi Woltera) i ksiązę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Zdaniem Czartoryskiego, komedya posiada niemałą doniosłość wychowawczą, bo, „pobudzając nas do smiechu, zakłada sobie poprawić w nas defekta, które wystawia;... może obyczaję w nas polepszyć, zwabić do cnoty, od niecnoty odrazić,... uczynić kogo lepszym obywatelem, członkiem lepszym w cywilnych i prywatnych względach; czego napominania przyjacielskie, duchowne nauki, czytanie ksiąg moralnych dokonać nie mogły, często dokazały widowiska“. Przywiązując do komedyi satyrycznych tak doniosłe znaczenie kształczące i umoralniające, pragnął ksiązę generał, aby literatura polska posiadała ich jak najwięcej; zachęcał więc do ich pisania literatów, doradzając im, aby tłumaczyli czyli raczej przerabiali sztuki francuskie, ale tak, aby „osoby wszelkie miały podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze“. Otóż komedya polska XVIII w. rozwijała się właśnie pod tym hasłem: tłumaczono albo przerabiano Komedye francuskie.

Największe zasługi na tem polu położył chudy literat warszawski, Franciszek Zabłocki (1754—1821) z Wołynia, najznakomitszy komedyopisarz polski XVIII w. Czystością charakteru i gorącą miłością ojczyzny zapisał się wdzięcznie w pamięci potomnych. Po ukończeniu szkół pijarskich wstąpił do zakonu jezuitów; ale po trzech latach rozmyślił się, nowicyatu nie skończył, zamienił habit na żupan i osiadł w Warszawie, gdzie pracował, jako protokulista Komisji Edukacyjnej, dorabiając na kawalek chleba piórem, jako literat, u którego, „oprócz smyka, niema w worku ni fenika“. Bieda nieraz świeciła mu w oczy, ale on wolał mrzeć głód i sam sobie ubranie łatać, niż prosić ludzi o pomoc, bo za hardy był na to; szczylił się względami i Czartoryskiego, w którego domu czę-

stym bywał gościem, i króla, który go na obiady czwartkowe zapraszał, ale im się nie naprzykrzał i nie pochlebiał, jak Naruszewicz albo Trembicki; a jeżeli ich chwalił, to dlatego, że księcia generała serdecznie kochał i szanował, jako zacnego obywatela i patriotę, a królowi był wdzięczny i za zachętę do pisania i nadewszystko za krzewienie oświaty w kraju. Z losu swego był zupełnie zadowolony (inaczej, jak Węgierski): „Nie mam ja w swojej chatce obicia, drogich kryształów, marmuru, złota: ale mam zało spokojność życia, którą mi jedna przyjaźń i cnota“. Mimo różnych kłopotów i tarapatów pieniężnych, nie tracił dobrego humoru (podobny w tem do Syrokomli), lubił i pożartować i pohulać i potaćzyć (choć „hasał, jak sroka spętana“), a czasem, kiedy do kieszeni „zawinęła flota“, lubił się nawet wystroić szykownie. Ale przyrodzona wesołość nie przeszkadzała mu (jak Syrokomli) płakać nad niedolą ludzką: „Podejźmy pod ten pałac, gdzie tłum karet stoi: co za piękna muzyka! co za ognie żywe! jakże piękny lamp orszak wzniosłą bramę stroi! tu pan musi prowadzić życie dość szczęśliwe. Idźmy dalej! Dla Boga, co za widok smutny! pod murem bez ratunku ubogi umiera! ach! jak tu przełożonych niedozór okrutny: dlatego, że nic nie miał, nie mógł mieć felczera!“. A jak ubogiego brata, tak i ubogą ojczyznę całym sercem kochał Zabłocki: wymownym w tym względzie świadectwem jest ten smutek głęboki, jaki mu szarpał duszę po utracie niepodległości i który go skłonił do odbycia studyów teologicznych i wyświęcenia się na księdza; żył jeszcze lat dwadzieścia pięć, ale smutek był mu już nieodstępnym towarzyszem.

Gorący patriotyzm Zabłockiego z całą siłą przemówił w jego satyrach i paszkwilach politycznych, pisanych podczas sejmu czteroletniego. Jak wszyscy patrioci, tak i Zabłocki z radością i otuchą powitał sejm czteroletni: lecz, kiedy się przekonał, że wśród jego uczestników nie

brak wprawdzie ludzi mądrych i szlachetnych, ale są także głupcy, nikczemnicy i zdrajcy, wybuchnął przeciwko nim oburzeniem, a pragnąc, aby ich znienawidzili wszyscy, aby ludzie nie dawali im posłuchu, rozrzucił na nich po mieście paszkwile bezimienne własnego pióra: „Jestem teraz w robocie pisania żywotów wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów. Jeśli mi w chęci mojej Bóg pobłogosławi, to dzieło, spodziewam się, ciekawych zabawi. Przechacna powszechności! Życz mi w tem wytrwania, do czego miłość mojej ojczyzny mnie skłania: ja zaś wtenczas skuteczną pochlubię się pracą, gdy się z wstydu choć jeden obwiesi ładacół... Przechacna Powszechności! Nie sądz mnie zoilem ¹⁾... Wiem, że paszkwil nie zdobi uczciwego pióra: ale, kiedy ich całe życie jest paszkwilem, na które się prawdziwie otrząsa natura, kiedy widocznie idę na ojczyznę zgubę,—ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubię!“ I miał zupełną słuszność Zabłocki, miał się prawo chlubić swymi paszkwilami, bo one (inaczej, jak paszkwile Węgierskiego) płynęły z gorącej miłości ojczyzny, ze świętego gniewu na jej zdrajców; i dlatego właśnie są te paszkwile tak strasznie zjadliwe, dlatego wszystko nazywają po imieniu: podłość podłością, zdradę zdradą, głupotę głupotą. Z największą furją napadał Zabłocki na hetmana Branickiego, przyszłego targowiczana, nazywając go także po imieniu, t. j. hulaką, hydrą, potworem, łajdakiem; a kiedy rozwścieczony hetman kazał szukać śmiałka, obiecując sutą nagrodę za jego znalezienie, odpowiedział mu Zabłocki tak:

Zdrajco własnej ojczyzny, nie godziens tej ziemi,
Którą tak świętokradzko depcesz z pocziwymil
Ty, krwie czystej Polaka niesyty rarogu!
Przysięgam mej ojczyźnie i mych ojców Bogu,

¹⁾ zoil=niesprawiedliwy, stronnicy, zazdrośny krytyk.

Że twą głowę mieć muszę, a to nie za złoto,
Ale męstwem, odwagą i Polaków cnotą!
Straszydło! Jak śmiesz rękę cnotliwego cenić,
Rękę, która cię chciała w Polaka odmienić?
Nie lękam ja się zdrady: Polak mnie nie zdradzi:
Co tylko było zdrajców, to z twojej czeladzi!
Lecz, żeby ci mniej zadać w dociekaniu pracy,
Wiedz, jako są szlachetni i mężni Polacy:
Powiem ci sam, kto jestem, lecz nie wprzódy, aże
Sprawiedliwy miecz w serce zbójcze twoje wrażeń!

Potężne cięgi dostali również i ci wsztecznicy, którzy pragnęli, aby wszystko w Polsce pozostało postaremu i w książkach swoich dowodzili np., że wolna elekcyja jest błogosławieństwem dla Polski, że więc zaprowadzenie tronu dziedzicznego byłoby dla niej zgubne; takim był pomiędzy innymi hetman Seweryn Rzewuski (także przyszły targowiczanie), któremu też dał Zabłocki rzetelną odprawę w sarkastycznym wierszu, p. t. „Ioannes Sarcasmus“¹⁾: „O, wy, stróże wolności! o ojce ojczyzny! Miałeś słuszność, hetmanie! ona cię przywiodła, jak wielbić bezkrólewia, fortun⁸ waszych źródła; gdyby nie bezkrólewia, te dla was jarmarki, na których za tron starostw robicie frymarki, jeszczebyś i ty, co się dziś nazywasz panem, musiał dobrze napocić nad dziadowskim łanem; jeszczebyś umiał cenic zaszczyt chleba drogi: na chleb to tak wierzgarz, chleb to ci dał rogi!“ Jeszcze mocniej dostało się innemu przeciwnikowi reform, Wojciechowi Turskiemu, głupiemu krzykaczowi, któremu rewolucya francuska zabiła w twardej łeb ćwieka, że zbawieniem dla Polski jest anarchia polityczna i społeczna; słusznie odsyła go Załocki do... czubków: „Tam za to, żeś zły i że w gębie nie masz smaku, dadzą ci pięćset różek, dobranych bez braku! a że i głup-

¹⁾ Jan Sarkazm.

stwo ze złą połączyłeś wolą, osądzą cię za kratą i głowę ogolą⁴!

W całej satyrze staropolskiej niema nic, coby serdeczną siłą oburzenia i jadowitą złośliwością szyderstwa paszkwilom Zabłockiego dorównać mogło; dopiero Mickiewicz w wierszach, dodanych do trzeciej części „Dziadów“, prześcignął Zabłockiego żrącą i pającą goryczą swej mowy.

§ 92. Ale stanowisko swoje w historyi literatury polskiej zawdzięcza Zabłocki nadewszystko swoim komedynom. Nie od nich jednak zaczął. Zrazu pisywał ody, bajki, satyry obyczajowe, sielanki, pieśni miłosne; rwał się i do epiki bohaterskiej, ale „nigdy temu nie sprostął“, a zamiast Alcyda¹⁾, lutnia grała, jak na złość, miłostki Kupidą; zresztą „poco wspominać lata, dawnością zatarte? patrzny raczej w czem teraz prosto, w czem co krzywo“; i oto „nie wiem, skąd mi się pisać komedye wzięło“. A napisał ich mnóstwo, coś z górą sześćdziesiąt, prozą i wierszem; są tu i opery komiczne i farsy czyli krotchwile (dramaty śmieszno-płaczliwo-sowizdrzalskie) i sztuki fantastyczne i wreszcie właściwe komedye, nadewszystko satyryczne: wszystkie zasilały znakomicie repertuar teatru warszawskiego, i to ich pierwsza zasługa.

Lecz nietylko w historyi teatru polskiego, ale i w historyi naszej poezyi dramatycznej położył Zabłocki ogromne zasługi. Nad zasługę nazwano go ojcem komedyi polskiej, to bowiem imię zaszczytne powinno przypaść w udziale Bohomolcowi, jako autorowi pierwszych komedyi, na to miano zasługujących (§ 78); ale prawdą jest za to, że nikt u nas przed Fredrą lepszych komedyi nie pisał i że nikt w XVIII w. nie przyczynił się w takim stopniu, jak Zabłocki, do wywalczenia dla komedyi polskiej wybitnego, i to nietylko czasowego, ale już niewzruszonego stanowiska;

¹⁾ Alcyd=Herkules.

jego dopiero sztuki stanowią mocny fundament, na którym następcy już nieprzerwanie mogli budować i rzeczywiście zbudowali (zwłaszcza dzięki Fredrze) gmach narodowej komedyi polskiej.

Tej ogromnej zasługi Zabłockiego nie zmniejsza bynajmniej ta okoliczność, że jego komedye są bądź przekładami, bądź przeróbkami komedyi francuskich: Moliera i jego dobrych zarówno, jak złych uczniów, i że, co za tem idzie, nietylko pomysły główne, ale i drugorzędne, nietylko sam przebieg akcji, ale wogóle wszystkie sposoby jej wdrożenia, rozwinięcia i rozwiązania (słowem cała tak zwana technika dramatyczna) są własnością nie Zabłockiego, tylko komedyopisarzów francuskich. A więc np. t. zw. jedności dramatycznych (§ 77) przestrzega Zabłocki pilnie; nie usuwa pomysłów, zabawnych wprawdzie, ale zbyt naiwnych, czasem wręcz nieprawdopodobnych; tu należą np. nieporozumienia (t. zw. „*qui pro quo*“), oparte na przebieraniu się jednej osoby za drugą, na udawaniu, że się nie widzi czegoś, co się ma pod nosem, lub że się czegoś nie słyszy, coby nawet pień usłyszał, i t. p. Do tych pomysłów nieprawdopodobnych należy i ten jeszcze, w owoczesnej komedyi francuskiej pospolity i ulubiony, że największy wpływ na przebieg akcji wywiera dwoje (albo i więcej) sprytnych i przebiegłych służących, którzy nietylko pomagają swoim państwu do spełnienia ich życzeń i zamiarów (ułatwiając np. dwojgu młodym spotkanie się poza oczami rodziców), ale nadto każą im tak tańczyć, jak oni zagrają, tną im prawdę w oczy i wycinają bury; a państwo słuchają tego wszystkiego cierpliwie, często ze stulonemi uszami, bo wiedzą, że bez pomocy służących nawet kichnąć nie potrafią, a wierzą im tak, że się im zwierzają z najgłębszych tajemnic, osobistych lub rodzinnych. Otóż wszystko to razem wzięte — francuskie, nie polskie.

Ale i cóż z tego, kiedy na wszystkim umiał Zabłocki wycisnąć piętno własnej oryginalności i — polskości! Słusznie mówi Brodziński, że, „choćby treść była wzięta z obcego języka, choćby charakter i układ mniej na uwagę zasługiwały, dla języka samego będzie Zabłocki zawsze jednym z najszacowniejszych naszych pisarzy“. Rzeczywiście. Nie mówiąc już o płynnym wierszu i o rzadkiej dawniej, a później uświęconej przez Słowackiego śmiałości rymów (np. we łbie—kiełbie; to mi — Bartłomiej, kto? ja?—moja; biedą—„credo“¹⁾); ze sto—„del resto“²⁾); język Zabłockiego jest mistrzowski, nie tak wprawdzie wykwintny, jak Trembeckiego, ale ogromnie jędrny i dosadny, a nadewszystko szczeropolski, rojący się od rodzimych, energicznych zwrotów, np.: „dziedzicem jestem tylko w niebie“³⁾; „utopić kogo w łyżce wody“; „wyciąć kominka“ albo „nogi zadrzeć“, albo jeszcze „na kwaśne pójść do Abrahama“⁴⁾; „załęgły mu się w głowie ślepowrony“⁵⁾; „smalić cholewki do panny Reginki“; „zaraz uderzę, jak w dym, do mej Kasi“; „dziewczyna, jak malina“ i t. d. Chętnie również posługuje się Zabłocki przysłowiami, bo „tak w prostackim, jak w grzecznym są przysłowia świecie“, np.: „potrzebny, jak bies w Częstochowie“; „tłucze się, jak Marek po piekle“; „rządzi się w domu, jak szara gęś po niebie“; „komu się zmiele, komu skrupi“; „gdzie dyabeł nie może, tam nasadzi babę“; „wspominała babka lata, kiedy była panną“; „nie będziesz bił kobiety, siądzie ci na głowie i t. d.

Nie dosyć na tem. Zarówno w tłumaczeniu, jak w przerabianiu komedyi francuskich Zabłocki nie zapomina nigdy, że pisze dla teatru polskiego i dla publiczności polskiej: jak niegdyś Górnicki spolszczył dworzanina wło-

1) wierzę; 2) wyraz włoski; zresztą; 3) goły jestem, jak święty turcecki; 4) unnać; 5) głupi, jak stołowe nogi.

skiego i przeniósł go z Urbino pod Kraków (§ 32), tak i Zabłocki, posłuszny zasadzie Czartoryskiego, że osoby komedyi powinny „mieć podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze“, spolszczał komedye francuskie tak zgrabnie i umiejętnie, że trzeba było dopiero mozolnych badań, aby wykazać, że ta lub owa komedya jest przekładem lub przeróbką z francuskiego. Oto np. w komedyi „Fircyk w zalotach“ (1781) rzecz dzieje się we wsi polskiej, dokąd z Warszawy przyjeżdża do znajomego swego, Arysta, młody starościc, Fircyk, t. j. modny kawaler warszawski (ze swym służącym Świstakiem), aby się ubiegać o rękę ciepłej wdówki, pani podstoliny. Otóż utwór ten jest nieco rozszerzonym tłumaczeniem komedyi francuskiej¹⁾, w której z Paryża przybywa do Lizymona markiz Damon (ze służącym Arlekinem) i stara się o rękę pani Araminty. Przekład jest tak doskonale dostrojony do stosunków polskich, że wygląda na sztukę oryginalną, z życia polskiego wziętą; a dokonał tego Zabłocki nie tylko przez zamianę imion własnych na polskie (Paryża na Warszawę, Damona na Fircyka i t. d.), ale nadewszystko przez zamianę życia francuskiego (ludzi i stosunków) na polskie, a to bądź pomijając różne szczegóły, bądź też dodając od siebie szczegóły nowe, oryginałowi francuskiemu nie znane. W komedyi francuskiej np. Damon pyta Lizymona: „Lizymonie, nie masz ty czasem jakiej wdówki do najęcia, jakiej staruszki zamożnej, dzierżawczyni bogatej? Muszę na gwałt pieniędzy skądś wytrząsnąć: oto mól, co mnie gryzie; no poszukajmy; pomóż mi, bo ja nie widzę nic takiego ani w Fauxbourg, ani w Marais; a ty?“ „I ja nic“, odpowiada Lizymon. A na to Damon: „Ach, zakuta głowo! żeby też w tym wieku przeklętym nie można było

¹⁾ „Le petit maitre amoreaux“ Romagnési'ego, sfrancuzialego Włocha, naśladowcy Mollera.

znaleźć pieniędzy! To pyszne! Ale czekaj-no, czekaj, przypomnam sobie jakąś niebogę, ona mnie ubóstwiać będzie! Pożycz mi tylko sto luidorów: ona ci odda". A oto jak wygląda ta rozmowa w przeróbce Zabłockiego:

F i r c y k.

Czy nie wiesz czasem jakiej wdówki do najęcia?
Mniejsza o to, czy stara, czy młoda, garbata?
Prosta, chroma, czy ślepa, byleby bogata!

A r y s t.

Jednoby się znalazło. Wybierz sobie którą:
Mam tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt z górą,
Wszak ci takiej potrzeba?

F i r c y k.

Ma-ż funduszu wiele?

A r y s t.

Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele;
Fundusz dobry i pewny, jeszcze Firlejowski¹⁾:
Baby mówią pacierze, pleban trzyma wioski.

F i r c y k.

Idźże waść do stu katów, nie praw mi ambai²⁾!
Ja chcę baby bogatej, on mi ślepa rai! —
Ciężkie to teraz czasy, — serce człeka boli! —
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby, — goli!
Źle w Polsce, zewsząd bieda: minery³⁾ olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony rakuskie⁴⁾,
Zboże tanie, cło drogie; ociec znów mój —sknera,

1) t. j. zapisany jeszcze w wieku XVI przez prymasa Henryka Firleja, który hojną ręką wsierał ubogich; 2) ambaje=głupstwa; 3) kopalnie; 4) austriackie (po pierwszym rozbiorze).

Stary, jak kruk, nie daje nic i nie umiera . . .
Przecie się niezła człeku upiekłaby grzanka:
Mógłbym jeszcze z rok szumieć i grać rolę panka;
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą,
„Notandum“¹⁾ z babą starą, z babą dobrze słabą.
Ale cóż! bab do dyabła,—ładuj niemi bryki!—
Są i bogate: cóż stąd? zdrowe, gdyby byki!
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć, do licha!
Niejeden szczep zielony w starym pniu usycha.
Ale co też ja darmo trudzę sobie głowę?
Przypomniałem: znam jedną, cud piękności wdowę.
Nieźleby się koło niej zawinąć nareszcie!
Pożycz mi, przyjacielu, dukatów ze dwieście!

W komedyi „Zabobonnik“ (1781), będącej także prze-robionem tłumaczeniem komedyi francuskiej²⁾, a ośmieszającej zabobony, Zabłocki nie tylko przerabia Chryzanta na Anzelma, Walentyna na Frantowicza, a Frontyna na Filutowicza, ale, co ważniejsza, dodaje do charakterystyki zabobonnika różne szczegóły, jakich w oryginale francuskim niema, czysto rodzime, polskie: „U niego nic z przypadku, lecz każde zdarzenie albo dyabeł nasyła, albo przeznaczenie; psy, kruki, wrony, sowy, puhacze i sroki — wszystko są posły z piekła lub z nieba proroki, i, co nas drugich światło rozumu przekona, jego wycie psów, sowa, nietoperz lub wrona“. Tym sposobem stworzył Zabłocki postać zabobonnika polskiego. I takich przykładów można przytoczyć mnóstwo.

Otóż, pomimo zależności Zabłockiego od wzorów francuskich, jego komedye, dzięki właśnie takim przerób- i uzupełnieniom, są wiernym obrazem satyrycznym społec-

¹⁾ = notabene (t. j. uważ sobie dobrze); ²⁾ „La superstitieux“ Romagnésiego.

czeństwa polskiego XVIII w. Bronią satyry Zabłockiego jest daleko częściej wesoly śmiech, niż złośliwa ironia, a jej przedmiot—to samo, co pism Krasickiego: z jednej strony rozluźnienie obyczajów, a z drugiej—ciemnota (sarmatyzm). Chłocze więc Zabłocki wolnomyślność religijną, mówiąc, że w nadprzyrodzone rzeczy Bóg „każe tylko wierzyć, nie zaś się nad ich określeniem szerzyć śmiertelnym ludziom“; ponieważ gniazdem wolnomyślności religijnej i niemoralności była Warszawa, więc raz po raz sprawia jej Zabłocki ciężki: ośmiesza np. rozbawionych fircyków warszawskich, którzy myślą jedynie o sobie, a zapominają o kraju („Arwan tam dyabłu swój kraj, skoro ja się bawię!“); narzeka, że „w tej Warszawie przekłętą sama w młodzi rozpusta, same wiercipięty“, że „marnem słowem jest honor i cnota“, że „dyabła schwycisz za rogi, gdyś mniemał anioła“, krótko mówiąc, Warszawa to istny „Babilon“: „Wszystko idzie na nice, wszystko na łeb z góry;... w młodych chłopcach rozpusty dalekie zapędy, w panienkach mała skromność, małe na wstyd względy; małżeństwa kojarzone łakomstwem, niewiary wzajemnej pełne;... przyjaciele niewierni; stołów parazyti, wielbiciele fortuny póty, póki świeci; słudzy nienawidzący swych panów, panowie nieużyti, niewdzięczni, nierzetelni w słowie; z dzieci często hultaje, zbrodnie, pałogłowce, często też i z rodziców srodzy prześladowce, w niższych podłość bez miary, w wyższych fum bez granic: ci na tych patrzą zyzem, ci tych mają za nic“.

Ale więcej jeszcze, niż niemoralność postępowej Warszawy, raził Zabłockiego sarmatyzm zacofanej prowincyi, zwłaszcza zaułków i zaścianków, zamieszkanych przez drobną szlachtę, której ciemnota i nieobyczajność, zawadyactwo i warcholstwo, samowola i lekceważenie prawa przybierały tak wielkie rozmiary, że myślano nawet o jej usunięciu od życia publicznego, zanim się nie podniesie wśród niej

oświata i nie polepszy stan ekonomiczny. Przeciwno tejto szlachcie zaściankowej wymierzył Zabłocki najznakomitszą i zarazem najoryginalniejszą ze swych komedyi,— „Sarmatyzm“ (1784); wprawdzie i jej pomysł (kłótnia dwu rodzin, zakończona szczęśliwie małżeństwem dwojga młodych) wziął autor ze źródła francuskiego, ale opracował go już poswojemu, osadzając w zapożyczonych ramach obraz, wzięty bezpośrednio z własnych postrzeżeń, bezpośrednio z życia polskiego; to też ani jedna jego komedia nie jest tak narodową, jak ta.

Rzecz dzieje się „we wsi Piekieleku, w powiecie burdeckim“ (!). W zaścianku tym, gdzie „z rozumem człowieka szukać na nasienie“, mieszkają pomiędzy innymi: Marek Guronos, „dumny i kłótniwy szlachcic, domator“, (który, zapewne przez cześć dla nieortograficznej tradycyi, pisze nazwisko swoje przez „u“, chociaż wywodzi je od Góry i Nosowa) i Jan Chrzyciel Żugota, „w podobnym Guronosa charakterze“. Ci dwaj „odwieczni Sarmaci“ kłócą się z sobą już od dawien dawna. I jak się nie mają kłócić, kiedy pani Żugocina ośmiela się Panią Ryksę Guronosową „podsiadać“¹⁾ w kościele! Guronos nie może puścić płazem tak straszliwej zniewagi, — tem więcej, że się boi, jak ognia, swojej połowicy: bo Ryksa to „lucyperbaba“, trzymająca krótko swego „Marusia“, którego „capem starym“ nazywa, a dotego niewiasta trunkowa, zakrapiająca się obficie żytniówką i miodem. O zgodzie z Żugotami Ryksa nawet myśleć nie chce i grozi małżonkowi, nie mniej ani więcej, tylko kulą w łeb, jeśli się o pojednaniu pomyśleć ośmieli; a ta groźba to nie przelewki, bo z rusznicy strzela pani Guronosowa celnie i chętnie (raz chciała nawet trupem położyć... satyrę, będąc pewna, że to jakaś złośliwa białołowal). Ale jest jeszcze inny po-

¹⁾ zasiadać na wyższym miejscu od kogo.

wód kłótni pomiędzy Guronosem a Żugotą, taki sam, mniej więcej, jak pomiędzy Cześnikiem a Rejentem w „Zemście“ Fredry. Oto przed laty Żugota, sąsiadujący o płot z Guronosem, przywłaszczył sobie prawem kaduka kawałek jego gruntu; sprawa toczyła się i w ziemstwie i w grodzie, ale jej rozstrzygnąć nie umiano, więc kłótnia trwa wciąż. Napróżno Skarbimir, „szlachcic rozsądny, dawniej trybunalczyk“, usiłuje, w imieniu pana podkomorzego, cieszącego się wielkim szacunkiem całego zaścianka (jak w „Panu Tadeuszu“), pojednać zwaśnione strony: Guronos postanawia urządzić na Żugotę zajazd, do czego podjudza go jeszcze jego krewny Burzywuj (bardzo podobny do Papkina z „Zemsty“), stary wyga, wyjadacz i pijaczyna, „burda zajazdowy“, „twarz pełna brózd, winogronów, szyzek“, pozornie zuch, a w istocie tchórzem podszyty, mający „nóg lepszy charakter, jak duszy“, więcej ufający w „inkluzy“¹⁾ swojej szabli, niżeli w jej ostrze. Onto zwozi do domu Guronosa całe fury potrzebnej do urządzenia zajazdu „brudnej hołoty“ szlacheckiej, która, jak szara gęś po niebie, rządzi się w ubogim, krytym wół gontami, wół słomą, domu Guronosa, a zwłaszcza w jego ubogiej kuchni, w której psy z głodu zdychają; krzyczą ci rycerze, „jak krupne baby zza straganów“, zarzynają, jak swoje, „to woły, barany, cielęta, to drób biedny“ (jak w „Panu Tadeuszu“); „kuchnia zawsze w trzasku i rozgardyaszu, jak gdyby na odpuście, jakby na kiermaszu“, „klamki, zawiasy, kłódki, zamki, skoble, haki, wszystko poutrącane“; jeden kwiczy pod ławą, drugi w kącie wyje trzeci, gdy swych przeciwnych przez sen na harc wzywa, czwarty, marząc, że najazd, zza pieca się zrywa, pokąd usłużniejszy traf jakiejś krawędzi lub proggu, gdy się ten tłok ku sobie rozpędzi, wszystkiej wraz nie obali, wszyst

¹⁾ amulety.

kiej nie uraczy, kogo krwią, kogo sińcem, tłuszczy najdamaczej“. Wreszcie wybuchła walka, w której zresztą ci hołysze nie biorą jakoś udziału: „biją się natomiast chłopci Żugoty z chłopami Guronosa ze swoimi wójtami na czele; ci krzyczą, że posiadłości ich pana sięgają po rów, tamci, że—po miedzę. Nagle na polu walki ukazuje się Skarbimir z rejentem Widymusem, i udaje im się nakoniec, choć jeszcze nie bez trudu, pogodzić Guronosa z Żugotą, do czego przyczynia się nadto miłość wzajemna Radomira, syna Guronosa, i Anieli Żugocianki. Ojcowie podają sobie ręce i zezwalają na małżeństwo dzieci, a i Ryksa (podchmielona, jak zawsze) nie odmawia swego błogosławieństwa, bo „tak się podobało znać niebu, od nieba wszystko poczynać, z niebem wszystko kończyć trzeba“,—podobnie jak Rejent w „Zemście“ błogosławi Wacławowi i Klarze, mówiąc: „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba“. A jak Papkin zwraca się do Cześnika: „Teraz wzywam waszmość pana, każ nam przynieść roztruchana“, tak Burzywój woła do Guronosa: „Gospodarzu, dajcież tam czy miodu, czy wina“, i wszystko się kończy wesoło i szczęśliwie przy okrzykach: „Kochajmy się!“

Oto główny wątek „Sarmatyzmu“ — z pominięciem licznych epizodów, których jest w komedyi za wiele, co się też niekorzystnie odbija na jej budowie. Wogóle, jako dzieło sztuki, jest „Sarmatyzm“ utworem, dalekim od doskonałości, ale, jako satyra, jest utworem znakomitym. A tę wysoką wartość nadaje mu głównie wyborna, dosadna charakterystyka szlachty zaściankowej, o której, przez usta Skarbimira, autor taki sąd wydaje: „Jakby horda tatarska te wieśniaki! Co słowo, do korda! Obywatele tacy nie gorsi-ż od dziczy: Besarabów, Nogajów, Zaporozże, Siczy? Głupstwo samo i upór! Panie! nie karz-że mię, ale to dyabłów raczej, nie ludzi jest plemię! Serca tak pojątrzone, tak miałkie rozumy, tak mało szlachetności, a tak wiele

dumy!“ Najpełniejszym zaś wcieleniem tego dzikiego sarmatyzmu jest w komedyi Guronos, postać typowa, bo skupiająca w sobie wszystkie ujemne stróny owoczesnej szlachty zaściankowej: straszną ciemnotę i bezdenną pychę rodową, warcholstwo i pieniactwo, kłótniwość i upór, fałszywe pojęcie o równości szlacheckiej i płynące stąd nieposzanowanie władzy obok przesadnej uniżoności towarzyskiej względem jej przedstawicieli, lekceważenie prawa i wreszcie (na co Zabłocki szczególnie kładzie nacisk) nie-ludzkłość, okrucieństwo nawet, względem chłopów, których ciemna szlachta poczytywała nie za ludzi, tylko za bydło robocze, za potomków Chama, stworzonych przez Boga jadyńie na to, aby pracowali na szlachcica. Za najłżejsze przewinienie bez najmniejszej litości karze Guronos swoich chłopów: „A, chamy! a, siermięgi! na koła, na pale!... Po trzysta kijów w dymie!... Niechaj znają chamy, że, mogąc na śmierć, w dymie ich tylko wieszamy!“ Kiedy Burzywój oberwał od chłopów kijem po grzbiecie i kiedy się skarży na tę zniewagę, Guronos pociesza go, że chłop, jako nie-człowiek, nie może szlachcica znieważać: „Lecz psów wycie w czym szkodzi jasności księżycy? toż jest niemal i chłop, gdy pobije szlachcica!“... Wogóle „Sarmatyzm“ Zabłockiego to w całej literaturze XVIII w. najostrzejsza satyra na sarmatyzm.

Ale, na szczęście, nie wszyscy w tej komedyi są tacy, jak Guronos i Ryksa, Żugota i Burzywój. Obok starych są i młodzi, inni od starych, lepsi i rozsądniejsi: nietylko wychowana w klasztorze Aniela, która, że to się trochę po świecie przetała (trzy miesiące bawiła w Lublinie), chętnie czytuje książki, bo rozumie, że, „jak duchy dźwigają ciało z paraliża, tak czytanie i z ludźmi rozsądnymi liga zdrętwiąłe, ciężkie dusze w wyższą sferę dźwiga“, — ale i Radomir, który z bólem serca patrzy na dzikość starszych, bo wychowywał się w Warszawie, gdzie nabrał

rozumu i poloru, a nie zatracił uczciwości. Otóż, chłoszcząc biczem satyry pokolenie stare, Zabłocki przeciwstawia mu pokolenie młode, które korzystało już z dobrodziejstw rzetelnej oświaty, po którym się też autor spodziewał bardzo wiele: kiedy, przy końcu komedyi, Ryksa wznosi toast: „Kochajmy się!“, Skarbimir mówi: „To, to narodową Polaków starych było cnotą; ona przewodniczyła ich męstwu, ich radom; czas późny stał ją, nowym dawszy miejsce wadom; lecz je przemilczam, abym serc tkliwych nie ranił; chcę się raczej spodziewać (niebo! ziść nadzieję!), że nam zamierzchłe światło aliż rozjaśnieje“. I właśnie przez takie zakończenie (przypominające znowu „Zemstę“ Fredry: „Zgoda, zgoda! tak jest, zgoda! a Bóg wtedy rękę poda!“) „Sarmatyzm“ jest nietylko satyrą na Polskę starą, ale i pobudką patryotyczną, aby młodzież, krocząc drogą postępu, ale zarazem kochając to, co w przeszłości na ukochanie zasługuje, budowała z Bogiem w sercu, Polskę młodą.

Akt pierwszy, scena pierwsza (Guronos, Skarbimir).

Guronos.

Jakem Guronos, szlachcic, jak z dziadów podczaszy,
Wkrótce dam znać Żugocie, że mnie nie zje w kaszy.
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego domowi?
Mnie dyabli wezmą, albo tego, kto tak mówi!

Skarbimir.

Ależ...

Guronos.

Niech każdy odda, co przystoi komu!
Ja pytam: ta impreza¹⁾ skąd Żugotów domu?
Kościół, mówią, dla wszystkich: nie zawsze, nie wszędzie!

¹⁾ impreza=zamysł (zuchwały),

Czemuż prosty kanona ¹⁾ klerus ²⁾ nie podsiędzie?
Wszystko ma swoje szczeble: jest dalej, jest bliżej.
Niechże, kto wart, wespnie się, kto nie wart, niech zniży!
Przecież żona Żugoty (o co z nami zwada)
Zawsze mi moję jejmość w kościele podsiada!

S k a r b i m i r .

Czyż...

G u r o n o s .

Trzeba, abyśmy się lepiej zrozumieli.
Co stanowi lustr ³⁾ domu? Dawność paranteli ⁴⁾!
Co znowu jej dowodzi? Metryki, herbarze,
Mauzolea ⁵⁾, kroniki, statut, inwentarze ⁶⁾!
Daj sobie pracę, czytaj! Wszędzie ciągną słowa
Domowi Guronosów dank ⁷⁾ winny przyznawa.
Nie setnem, nie tysiącnym dowiodę to licem!

S k a r b i m i r .

Któż wątpi? Jesteś waćpan, jak trzeba, szlachcicem,
Masz świetne antenaty ⁸⁾, jasne ich wywody:
Lecz w czym to do sąsiedzkiej ma zawadzać zgody?
Czemuż nie zważyć przyczyn?

G u r o n o s .

Otóżto sąsiedzie,
W tem kozera: kto z nas krwie świetniejszej dowiedzie,
Ten pierwszy!

S k a r b i m i r .

Dom waćpana w zacie ludzie plenny,
Staroświecki...

¹⁾ kanon — kanonik; ²⁾ kler („clerus“) = duchowieństwo; prosty klerus = kleryk; ³⁾ blask, świetność; ⁴⁾ parantela = powinowactwo, pochodzenie; ⁵⁾ mauzoleum = grobowiec; ⁶⁾ inwentarz = spis; ⁷⁾ hold, pierwszeństwo; ⁸⁾ antenat = przodek.

Guronos.

Dodajmy: dom wielki, wojenny,
A co najrzadsza, równie z kądzieli, jak z miecza!

Skarbimir.

Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza!

Guronos.

Jeżeli sławne w Rzymie imię Fabijuszów,
I naszych nam niemało Tatarzyn wziął uszów:
Nie pomnę, w którym roku, lecz rzecz oczywista,
Że w tej kłęsce poległo Guronosów trzysta!

Skarbimir.

Słyszałem tyle razy od waćpana...

Guronos.

To mi

Dom! Szczęściem został jeszcze Guronos Bartłomiej,
Gdyż był „lactans“¹⁾ w kolebce. Dorósłszy lat pory—
Po naszym Sędziwojów wonczas dom był wtóry
I już schodził²⁾—otóż w nim wziął „sociam vitae“³⁾
Dobrosławę-Gertrudę-Jadwigę-Brygitę,
Ostatnią z Sędziwojów, herbu „Koziegłowy“:
Alużyja, jak wiemy z kroniki domowej,
Twardych rogów do Marsa, a koziej osady
Do dziedzicznej domowi Sędziwojów swady.

Skarbimir.

I to słyszałem.

Guronos.

Otóż z tego Bartłomieja
I Brygity gasnąca dwóch domów nadzieja

1) ssący mleko; 2) schodzić=wygasać; 3) za towarzyszkę życia.

Wskresiła się na Mieszku, jedynym ich synie,
Który Mieszek, pojawiwszy Gryszkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Jana, Matyjasza,
Protazego, Łukasza i Matatyjasza,
Z których jeden był tylko „sterilis“¹⁾: Protazy.

S k a r b i m i r.

I tom miał honor słyszeć mało tysiąc razy,
Pocóż?...

G u r o n o s.

Aby się tamta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce zpod ogona
I że pani Żugota...

S k a r b i m i r.

Może mniej roztropna...

G u r o n o s.

Z tych Andrzej pierworodny wziął Różę z Konopna...

S k a r b i m i r.

Zacny mój podczaszycu! Wiem, w jakiej jest cenie
I w jakiej być powinno domów pochodzenie;
Wiem, że i wasze z wieków brały wzrost olbrzymi:
Lecz, gdy, zdrobniawszy, ledwie dziś są dojrzanymi,
Gdy nas małych i wielkich nędza równie ściska,
Co z tego przodkowania? Rzecz do pośmiewiska!

G u r o n o s.

Mój dom, ale nie nasz! Proszę do kościołów
Na popis monumentów, grabsztynów²⁾, mauzoleów³⁾!
Proszę do przywilejów!

1) bezdzietny; 2) grabsztyn=kamień grobowy; 3) mauzoleum=mauzoleum.

Skarbimir.

Jabym zaś radniejszy¹⁾

Wziąć na różnicę rozum, nad wszystko dawniejszy,
By przez te śmiechu godne domów waszych wojny
Nie cierpiał cały powiat nasz, dotąd spokojny,
Ile kiedy²⁾, nieszczęściem, drobiazg naszej braci,
Nawykły służyć dumie, co swe zyski płaci,
Nie omieszka, jak nieraz, z małej dość iskiejki
Wzniecić pożar ogólny, rokosze, rozterki.
Przystałoby to na dom waćpana tak stary,
Sławny jasyrem wziętych uszu przez Tatary,
Ażebyś, je wetując w pokoleniu setném,
Równą klęskę gotował swojskim i szlachetnym?

Guronos.

Krwie niczyjej nie chciałbym.

Skarbimir.

Przecież...

Guronos.

Przecież, przecież

Próżno swe waszeć jeśpan³⁾ terefery pleciesz!
Jeden jest dla Żugoty śródek: mieć się skromniej!
A nie, to ten kord-cenzor „mores“⁴⁾ mu przypomni.

Skarbomir.

Więc rada przyjacielska?...

Guronos.

Przyjaciół i rada —

Ten kord, co—nie, jak waćpan—bije, choć nie gada!

¹⁾ jabym zaś wolał; ²⁾ ile, że, ponieważ; ³⁾ acan; ⁴⁾ „mores“=oby-
czaje, moralność; przypomnieć komu „mores“=nauczyć kogo rozumu.

S k a r b i m i r.

A prawo na najazdy?

G u r o n o s.

Oj, gdyby to nie te
Bałamutnie¹⁾, te prawa! „Bassamteremtete“²⁾!
Do tysięcy kop dyabłów, albo jeszcze gorzej!

S k a r b i m i r.

Miałem honor już mówić: jeśpan podkomorzy
Tyle się tem zasmuca, wstydzi, gniewa wręście...

G u r o n o s.

Czy dla nas podkomorzy to, co burmistrz w mieście?
Czy mnie na ratusz wsadzi? Szlachcic na zagrodzie...

S k a r b i m i r.

Wiem to, że dawniej równym bywał wojewodzie;
Ależ pan podkomorzy nie „imperative“³⁾,
Lecz jak braterskie radzi, jak serce życzliwe,
Naszym się opiekują szczególniej powiatem,
„Ex quo“⁴⁾ jest przodkującym, starszym z braci bratem,
Pisał do mnie dwa razy (znać w nadzieję łaski
Waszeć jeśpana dla mnie), bym wszedł w te niesnaski,
Bym starał się ich zjednać, dając znać w przypisie,
Że już o tem stolica i wie i gorszy się.
Wiadomo waszećpanu, jednakże u Dworu
Takie burdy...

G u r o n o s.

Burdaż to interes honoru?

To mnie będzie lada kto szarpał, krzywdził, a ja
Mam płakać, uniżać się zwyczajem mazgaja?

¹⁾ bałamutnia=bałamuctwo; ²⁾ przekleństwo węgierskie; ³⁾ rozkazująco; ⁴⁾ odkąd.

Skarbimir.

Toż to jest rzecz honoru, aby z fraszki lada
Brat brata zbrojno, sąsiad nachodził sąsiada?
Ażeby chlubne męstwa miał czynić popisy
Przez szczyby, drugim dane, lub przyjęte krysy?

Guronos.

Otóż to polityzmy, to grzeczności nasze,
Modne rozumowania, sensa! Na pałasze,
Dobrodzieju! to rozum był w dawnym Sarmacie!
Teraz tylko piszecie, pięknie rozprawiacie,
A gdy przyjdzie krzyżową w razie machnąć sztuką,
Stary, popraw! A! żaki z rozumem, z nauką!

Akt pierwszy, scena trzecia. (Guronos, Skarbimir).

Guronos.

. Być nie może,
Bym i najmnieszty jaki krok zrobił do zgody.
„Ante omnia“ ¹⁾, widzisz waćpan te ogrody?
Ten się nazywa Nosów, ten zaś drugi Góra;
Pytam: skąd się ta wzięła ich nomenklatura ²⁾?
Nie widocznaż, żeśmy się od nich mianowali?
Że tak jest, mam dowody „in originali“ ³⁾.
Przecież się w nie Żugota wkradł „iure caduco“ ⁴⁾!
Patrz waćpan: te dwa łany z tą niziny sztuką
W mojem były imieniu, dziś je ma Żugota:
Oto mi i ten kawał wziął z tę stronę płota!
Ale ja dzisiaj jeszcze, zegnawszy gromadę,
Na przywłaszczoną przezeń dziedzinę najadę;
Dopiero, jak się dwa lwy, schwyłtamy za barki,
Kto lepiej utnie kordem, kto utnie z janczarki ⁵⁾!

¹⁾ przedewszystkiem; ²⁾ nazwanie; ³⁾ w oryginale; ⁴⁾ prawem kaduka; ⁵⁾ janczarka=strzelba janczarska.

Skarbimir.

Nie przystałożby zgodą?

Guronos.

Tak, tak, zgodą! właśnie

Skarbimir.

Wreszcie prawem...

Guronos.

A niech mnie jasny piorun trzaśnie!
Wolałbym mieć nareszcie z dyabłem do czynienia,
Jak z ludźmi (Panie odpuść!) prawnego sumienia ¹⁾:
Niechaj będzie interes mój, nie wiem, jak czysty
Wartogłowy, cygany, bezbożne jurysty,
Z gruntu mi go przerobią, wywrócą na nice!
Niechże się jeszcze wdadzą intrygi kobiéce,—
Dobrodzieju! wodzi mnie strona, skrycie wsparta,
Od szatana do dyabła, od dyabła do czarta.
Dziad zacnie, wiek się ciągną intrygi pieniacze,
Nim je w drugim czwartego stopnia wnuk opłacze.
A mnie to naco? Arwan prawo wszystkim katóm ²⁾!
Ten pałasz—to mój proces, sąd i „ultimatum“ ³⁾!

Skarbimir.

Piękneż skutki: niesława, wieża, basaronki ⁴⁾!

Guronos.

Niechaj winny dla mojej będzie respekt żonki!
Niech mi moje oddadzą łąki, lasy, pola:
Wtenczas pójdzie do prawa, czyja będzie woła!
Ale póki nie...

¹⁾ t. j. z prawnikami; ²⁾ Niech prawa wszyscy kaci porwą! ³⁾ ostatnie słowo (ostatnia instancja); ⁴⁾ basaronek, basarunek=wynagrodzenie za krzywdę (indemnizacja).

S k a r b i m i r.

Dzikię zda się być żądanie!

G u r o n o s.

Chyba waćpan dzik jesteś, mój wielce mospanie!
Alboż i to daruję? Ongi moje konie
Z fornalki połapawszy na wspólnym wygonie,
Nie jak szlachcic, ale jak roztrucharz ¹⁾, konował ²⁾,
Jednemu grzywę ostrzygł, dwóch poanglizował ³⁾,
Lecz suszyć więcej nie chcę głowy. Na te baję,
Powtarzańe już nieraz, flegmy już nie staje,
I cały się zapalam. Bądź zdrów. (Odchodzi).

Akt piąty, scena dziesiąta. (Guronos, Burzywój, Skarbimir, Rejent; wchodzi Żugota).

S k a r b i m i r.

Gościa pożądanego!

Ż u g o t a.

(kłania się nisko). Najniższy, najniższy!

S k a r b i m i r.

Nie wspominając przyczyn waszmościów niechęci...
Wszystko się trafić może...

Ż u g o t a.

Ludzieśmy, nie święci!

S k a r b i m i r.

Tkliwość, niezrozumienie, podszepty, złość, plotki,
Zdarza się, że nam trują pokój życia słodki.

¹⁾ handlarz, kupczący końmi; (niem. Rosstäüscher); ²⁾ partacz, leczący konie; ³⁾ podciął ogony.

Przyjaźń, obaczenie się, na własne wzgląd szkody,
Czas nakoniec — stęsknionych przywodzą do zgody.

G u r o n o s.

Jak mądrze, pięknie mówi!

B u r z y w ó j (cicho).

Lecz niezrozumianie

I coś górnio!

Ż u g o t a.

(do rejenta) Marmuru, cedru godne zdanie!

S k a r b i m i r.

Jemość pan podkomorzy z wiadomego względu
Braterstwa, uprzejmości, z pierwszeństwa urzędu,
„Ex quo nobilitatis pruiniceps dux“¹⁾ tej ziemi,
Zasmucony wieściami coraz zwiększonymi...

Ż u g o t a.

Znamy my duszę tego pana popularną²⁾!
Ale też nie na płonną rolę rzuca ziarno,

S k a r b i m i r.

Owóż pan podkomorzy, przyjmując najsmutniej
Tę wieść zdawna trwających we wsi naszej kłótni,
Ile że ona, biorąc polot coraz sporszy,
Lekko myślących bawi, a rozsądnych gorszy,
Co się nie tak w pamięci ludzkiej łatwo zatrze,
Bo już nią i Warszawę bawią na teatrze...

¹⁾ odkąd jest wodzem naczelnym szlachty; ²⁾ popularny=życzliwy dla wszystkich.

Burzywój.

Co? gdzie? jak?

Guronos.

Czy podobna?

Żugota.

To wcale nic potem!

Jakżeżto?

Skarbimir:

Komedję napisano, o tem!

Burzywój.

Wujaszku, gdybym wiedział, kto to pisze o tem..

Guronos.

Studenty, mój siostrzeńcze, pacholęta, żaki!

Burzywój.

Lecz w Warszawie, gdzie tyle...

Guronos.

W Warszawie, jak wszędzie,
Czy myślisz, że rozumny głupich bawić będzie?

Burzywój.

Lecz gdzież uczciwość cudzą zabawiać się sławą...

Guronos.

Otóż tak jest! Idźże się bij z całą Warszawą!

Skarbimir.

Najlepiej poprawmy się!

Burzywoj.

Żeby ta szkarada...

Rejent.

Skoro się odmienimy, wstyd na nas nie pada!

Skarbimir.

Owóż pan podkomorzy jeśpana rejenta
I mnie ..

Żugota.

Znamy waćpanów wielkie sentymenta
Obywatelstwa,..

Skarbimir.

Prosił, aby „reverenter“¹⁾

Do ich woli...

Guronos.

Mamy się zawsze „referenter“²⁾...

Skarbimir.

Podawszy zgodne pierwej do tego projektu...

Guronos.

Takie dystyngwowane...

Żugota.

„Excelsa subiecta“³⁾!

Skarbimir.

Gdy wzajemnym dogodzą chęciom waszećpanów...

¹⁾ stosownie; ²⁾ z uszanowaniem (dla pana podkomorzego); ³⁾ tak górne (dostojne) osoby!

Ż u g o t a.

„Iudica nos, Domine, ¹⁾!

G u r o n o s.

Pisz wyroki, stanów!

S k a r b i m i r.

Mości panie rejencie, nim się sąd nasz zbierze,
Aby myśl wyrozumieć ichmościów w tej mierze,
Proszę przeczytać projekt, co w sobie zawiera!

R e j e n t.

„Feria...“ ²⁾.

S k a r b i m i r.

Opuść waćpan!

R e j e n t.

„Anno“ ³⁾...

S k a r b o m i r.

Et cetera

S k a r b i m i r.

Między ichmość panami: Chrzcicielem Żugotą
A...

G u r o n o s.

„Potestor“ ⁴⁾ Rzecz cała rozbija się o to:
Ja pierwszy mam być!

S k a r b i m i r.

Zaraz.

¹⁾ sądź nasz, Panie! ²⁾ dnia; ³⁾ roku; ⁴⁾ protestuję!

Ż u g o t a.

Skąd te przywileje?

Skąd to prawo?

G u r o n o s (juńacko).

Pokażę!

Ż u g o t a.

Mości Dobrodzieje!...

S k a r b i m i r.

Wszystkim się tu dogadza, lecz sens nieskończony!

R e j e n t.

Między panem Żugotą Janem z jednej strony,
A znów na odwrót, między jegomością panem
Markiem Guronos z jednej, a Żugotą Janem
Z drugiej strony, czyniącym, stroną i powodem...

S k a r b i m i r.

Już więc każdy z waćpanów i wierzchem i spodem.

B u r z y w ó j.

Trudno mówić, zwrot piękny, szczęśliwego pióra!
Z jakich form te subiekta wylewa natura?
Bo to chytrze i mądrze, dowcipnie i składnie, —
Jak kot: rzuć go łbem z góry, on na nogi spadnie.
Pan Widymus niepróżno w szkołach zjadał kaszę.

G u r o n o s.

Za cóż te „vices“ ¹⁾ mają mieć imiona nasze?

¹⁾ kolej, następstwo

Ż u g o t a.

Tak jest, jak być powinno!

G u r o n o s.

Mylisz się, mój panie!

Ż u g o t a.

Skądże to waszećpana domu przodkowanie?

G u r o n o s.

Skąd? Skąd nie waćpana: z naszych zasług źródła!

Ż u g o t a.

A mojażto krew ma być, mówisz waszmość, podła?
Czy nie ma swych pamiątek?

G u r o n o s.

Od dwu, a najwięcej

Lat trzech set...

Ż u g o t a.

Wasz ma pewnie parę set tysięcy?
Szkoda, że tej dawności archiwa przepadły
Wtenczas, kiedy Popiela króla myszy zjadły.

B u r z y w ó j.

Wujaszku, nie znoś!

G u r o n o s (junacko).

Co jak?

Ż u g o t a.

To! tak!

G u r o n o s.

Słuchajże, ty!

Ż u g o t a.

Ty sam ty! ty!

B u r z y w ó j (przyskakując).

Rozumiesz?

Ż u g o t a (odskakując).

Burdy! szarapety ¹⁾!

Nauczę was!

R e j e n t.

Panowie!

G u r o n o s.

Kto to burda?

B u r z y w ó j.

Ktoto

Szarapeta? Komu to śmiesz mówić, gołoto?

S k a r b i m i r.

Panowie! po tak pięknych krokach do przyjaźni...

G u r o n o s.

Niechaj mię nie rozjątrza!

Ż u g o t a.

Niechaj mnie nie drażni!

B u r z y w ó j.

Niechaj mnie nie przezywa!

S k a r b i m i r.

Jeśpan podkomorzy...

¹⁾ szarapeta—obdartus, gołota,

G u r o n o s.

On mi też serce wiąże.

Ż u g o t a.

On mój rankor¹⁾ morzy.

G u r o n o s (do Skarbimira).

Przez te szczególne względy...

Ż u g o t a.

Jeśli to uczynię,
Nie z innego, lecz z tego powodu jedynie.

B u r z y w ó j.

Anibym ja darował, lecz, że oba z wujem
I osobę kochamy i urząd szanujem,
Króćimy nasze przeto i zemstę i męstwo.

S k a r b i m i r.

Tak, krócić namiętności—największe zwycięstwo!
A gdy to szczególniejszy bierze powód z względu
Kochania dla osoby, a czci dla urzędu,
Niechże dla dopełnienia tak wielkiej dlań łaski
Padnę odtąd ofiarą domów ich niesnaski!
Niech się nierozzerwanej zwiąże węzeł zgody!
Nadto i inne jeszcze wdajmy w to powody:
Waszmość pan piękną córkę, jegomość ma syna, —
Niechże przyjaźni dzieło miłość ich poczyna.

§ 93. Odrębne stanowisko wśród poetów stanisławowskich zajmuje „śpiewak Justyny“ **Franciszek Karpiński** (1741—1825) z Pokucia: kiedy prawie wszyscy współcześni mu poeci, pragnąc uczyć swój naród i poczytując poezję

¹⁾ rankor=uraza.

za bardzo skuteczny środek po temu, są dydaktykami i satyrykami, on jest lirykiem i już od współczesnych otrzymał miano poety serca; inni piszą nie o sobie, tylko o społeczeństwie, o jego przeszłości lub teraźniejszości, o jego wadach i potrzebach: on pisze głównie o samym sobie, czy to w poezyi, czy w „Pamiętnikach“. Popularność miał ogromną, że aż mu się w głowie przewróciło: święcie uwierzył, że jest niezwykłym człowiekiem, chociaż w istocie był człowiekiem bardzo przeciętnym, a przez rozrzewnianą w swojej naiwności zarozumiałość bardzo zabawnym. Miał on zresztą pewne słuszne powody do dumy: oto wznosił się znacznie ponad otoczenie, z którego wyszedł. Rodzice jego byli to ludzie ciemni, jak ogół ubogiej, szaraczkowej szlachty; matka czytać nie umiała, ojciec umiał, ale czytał tylko na książce do nabożeństwa i kalendarzu; syn tymczasem miał już mądrość książkową, bo ukończył nie tylko szkoły, ale i akademię jezuicką we Lwowie, jeździł nawet do Wiednia, umiał po łacinie i po francusku (czytywał z upodobaniem Russa); a że później, po ukończeniu nauk, nie z jednego pieca chleb jadał, że był i palestrantem i dzierżawcą i gospodarzem i sekretarzem księcia Czartoryskiego, jako marszałka trybunału litewskiego, i nauczycielem na dworach możnych panów, więc mu i na mądrości życiowej nie zbywało.

W jakim otoczeniu Karpiński wznosił się, o tem szczegółowo i zajmująco opowiada w „Pamiętnikach“. „Ojciec nasz słyszał, jak ś. Józef z obrazu swego, który był w izbie, wymówił to słowo: „Cnota“; widział w Wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę na niebie, w złotym robioniu; widział upiora, pokazywał nam wielu włączających się, opętanych od dyabła; powiadał wiele historyi o zaczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyabłem, o czarownicach i babach, na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lu-

natykach, którzy, kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki, wólczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów, na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę, najchętniej w dom przyjmował*. Otóż Karpiński śmiał się później z tych wszystkich zabobonów. Lecz żywa wiara religijna, wszczepiona mu w serce przez rodziców, pozostała mu do śmierci, tem więcej, że poczytywał ją nietylko za potrzebę serca, ale i za obowiązek polityczny: „Kochając ojczyznę swoją, kochać nam trzeba razem i religią, bo już to tysiącnym doświadczone przykładem, że tam, gdzie te dwie warowne twierdze, miłości ojczyzny i wiary, stoją, nieprzyjaciel z tej strony napaść nie może“. Więc surowo gromił wyznawców „czarnego deistwa“ (t. j. deizmu, § 76), że odmawiają Bogu sprawowania rządów nad światem i ludźmi, sam wierząc głęboko, że bez woli Boga „na ziemię nie padnie mizerny wróbel, i na głowach włosy. On porachował“. Ale z drugiej strony gromił i fanatyzm religijny: „Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej, zasłonił oczy, pozatykał uszy;... gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany; dojdiesz go czarnym zostawionym śladem; lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany, pije łzy cudze, tuczy się swym jadem“. Wogóle Karpiński, umiając się ustrzedz od skrajności nauki wieku oświeconego, stał się pod jej wpływem człowiekiem wcale rozsądnym.

Z tem wszystkiem miał o swym rozumie zbyt pochlebne mniemanie, co widać choćby z tego protekcyjonalnego, niemal lekceważącego tonu, z jakim się odzywa w „Pamiętnikach“ o takim np. Piramowiczu (§ 75), do którego się rozumem nawet nie umywał. A już wprost za-

bawna jest jego zarozumiałość, kiedy przypisuje sobie wielki rozum polityczny, kiedy bez zająknięcia obwieszcza światu, że przymierze polsko-pruskie stanęło dzięki.. jakimś jego listom, które napisał był w przeddzień wielkiego sejmku i rozesłał znajomym mężom stanu!! W rzeczywistości znał się na polityce, jak wilk na gwiazdach, albo krowa na kompasie, skoro np. był przekonany, iż Marya Teresa „do rozbioru Polski z drugimi dwoma mocarstwami przystąpiła“ dlatego jedynie, że chciała uskromić swawolę magnatów polskich!..

Miłym, a nawet ślicznym rysem charakteru Karpińskiego jest jego pietyzm synowski dla ojca, co na tem większe uznanie zasługuje, że go ojciec nie pieścił, owszem chował w staropolskiej grozie. „Kiedy zmłoczek w stodole naszej nożyk swój prosty na progu położył, a jam go ukradkiem schwytał, postrzeżony potem od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany, skądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł, udałem się; zwolani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk; kiedy się zmłoczek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przy tem w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył,—kazał naprzód ojciec mój, abym padł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił; rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę, a surowy ojciec temuż same-mu zmłockowi kazał mi dziesięć różeg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował; wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi dziesięć różeg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał*... „Po skończonym dwuletnim kursie filozofii przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego, uszanowanie: nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego

tyłem; a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja, z kimś rozmawiałem, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem ¹⁾, przystąpiwszy do mnie, ciężki, mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem, przechodził. Kryminałem byłoby spytać się, zaco to; w milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczone, czekałem końca; wtem ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak ²⁾, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof; doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale, kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz“—wtem ukląkł w pośrodku izby i, podniósłszy ręce do góry, — „Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba! pobłogostaw to dziecko moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie!“ Padłem mu do nóg, rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on, klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wzdargę takową zmasać może!“

Pełną czci i miłości pamięć o tym „groźnym ojcu“ przechował Karpiński na zawsze w „Pamiętnikach“; kilkakrotnie wyraża mu swą wdzięczność, że go nauczył chodzić drogą prawdy i cnoty, i dodaje, że on z tej drogi nie zboczył. Prawda, że zbrodni nie popełnił, ale też i cnotliwością tak dalece nie jaśniał. Ojczyznę kochał poswojemu, płakał nad jej nieszczęściami, ale nie mając nic a nic

¹⁾ nagle; ²⁾ prostak.

hartu duszy, załamywał ręce i doradzał szukać „litości cudzej“ — w sercu cesarzowej Katarzyny, bo ta, „mogąc wszystko, nie zechce źle zrobić; ona jak matka w żalu, różgę spali, jeśli jej przyszło dziecię swoje pobić; najslodsze mi ją przemianami wzrusza to litość serca, to wspaniała dusza! Tam się udajcie!... Ona wam góry pozniża wyniosłe, honoru pokaże wam pole i sławy szlaki odkryje zarosłe! Tak ratując was wspaniałością rzadką, stanie się nową matką waszej matką!“ Po upadku Polski oburzał się na tych rodaków, którzy w Grodnie, na balu, wyprawionym przez Repnina, „najweselej ten dzień w tańcach, jakgdyby za najlepszych czasów, przepędzili“: ale sam napisał na cześć Repnina pieśń pochwalną...

Wogóle, jak o rozumie, tak i o sercu swoim miał Karpiński wyobrażenie nadto pochlebne. „Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone, na nędzę ludzką, osobliwie biednych, tkliwy; i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wziętem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi“. Rzeczywiście łzy przychodziły mu na zawołanie, co się jednak tłumaczy nie tyle dobrocią i szlachetnością (jak mniemał), ile wielką wrażliwością jego natury: a nadto łzy sprawiały mu przyjemność, bo go utwierdzały w mniemaniu, że ma serce bardzo czułe, więc nawet szukał sposobności, aby je wylewać, jak się do tego sam przyznał w pieśni „Tęskność do kraju“: „Kiedy mną tęskność rządziła, szedłem nad brzegi Dunaju¹⁾; odludność mię tam pędziła i chęć wzdychania do kraju. Cichości sestro tęsknoty! Ja nie wiem, czem ty mię bawisz, to wiem, że serce mi krwawisz: ja przecię lubię twe grotty!...“ Krótko mówiąc, miał Karpiński serce nie czułe, tylko czułościowe, to znaczy, że się lubił pieścić ze swe-

¹⁾ t. j. do Wiednia; <http://rcin.org.pl>

mi uczuciami i myślami: sentymentalizm, przez który przypomina Russa, to znamienne cecha jego charakteru. Do uczuć prawdziwie głębokich i bezinteresownych był niezdolny, nawet względem kobiety. W młodości pokochał pierwszą swoją miłością ubogą panienkę, Maryannę Bröselównę; uczucie było szczere, ale wcale nie głębokie. „I ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęcie, ... a ja ubogi, wzięwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła; w początkach łzami mi tylko odpowiedziała, a potem rzecze: „Ja się dla ciebie prąść nauczę i grzędę kopać będę“; jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, kórzy mi zyskowniejsze chcieli obmyślić małżeństwo“ (!). Jużto na wszelkiego rodzaju zyski „czułe“ serce Karpińskiego było naprawdę niezmiernie czułe; było bowiem trochę samolub, wyrachowany, łakomy na rozgłos, a więcej jeszcze na grosz, a stąd, chociaż nibyto o godność osobistą wielce dbały, jednak polecający się przy każdej sposobności pamięci króla i magnatów, w przeświadczeniu, że nikt więcej od niego na nagrodę nie zasłużył: a że ta go jakoś mijala, więc wpadał w zły humor, roztkliwiał się nad swoim ubóstwem (którego nigdy nie zaznał), dąsał się i złościł, miał żal do świata i ludzi, możeby się mścił nawet, gdyby tylko mógł,— podobny do zloszczącego się i tupiącego nóżkami dziecka, kiedy mu, zamiast dać ciastko, którego się napierało, pokazano figę. Bo też, przy całej swej mądrości i cnotliwości, któremi się tak chełpił, był całe życie dzieciakiem,—i dlatego zasługuje na pobłażanie.

W historii literatury polskiej zajmuje Karpiński stanowisko wybitne, jako utalentowany liryk i jako jeden ze zwiastunów nowych prądów poezji. Onto, jeżeli nie pierwszy, to jeden z pierwszych zaprotestował (w rozprawie

„O wymowie w prozie albo wierszu“, 1782), przeciwko posługiwaniu się mitologią w poezyi i szydził z poetów, którzy się nią posługiwali: „Zaszły śluby małżeństwa jakiego,— już zaraz wszystkich bogów i bogiń poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił: już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają, i Merkury coś bredzi nie do rzeczy; umarł kto, idą Plutony, Prozerpiny, Parki; wojskowy kto,—już on Marsa albo Bellony synem... POCO tych Muz, tych Apollinów w naszych wzywamy poezyach, o których próżności aż nadto przeświadczeni jesteśmy? A tym jeszcze sposobem odbiegamy od jednej z pomiędzy własności tak poezyi, jako i pisma każdego—ażeby powszechnie rozumiane były“. Nie dosyć na tem. Rozumiał Karpiński, że są wprawdzie wymagania, które każdego wogóle piszącego, a więc i poetę, obowiązywać powinny (np. wymaganie jasności); ale, żeby się poeta miał w twórczości swojej krępować jakimiś narzuconemi sobie, a niewzruszonymi prawidłami, przeciwko temu protestował, bardzo słusznie rozumując, że są przecie poeci, którzy owych prawideł nie znają, jednak piszą pięknie i „pójdą do nieśmiertelności“;—a dlaczego? dlatego, że mają „czułe serce“, t. j. natchnienie, wrodzony talent, który się może i powinien kształcić i uszlachetniać, ale którego żadne reguły stworzyć ani zastąpić nie mogą: Innemi słowy, wypowiedział Karpiński hasło swobody twórczości, a co za tem idzie, i jej oryginalności, mądrze mówiąc, że „ślepe naśladowanie autorów znakiem jest niedowierzania siłom naszym, a podobno zagrodą wzrostu wymowy“ (t. j. poezyi i wogóle literatury), „która, jak woda, ażeby zdrowa była, z wolnością płynąć lubi; naśladowanie zaś, trzymając uczenia przy wzorze jego, gnuśnić mu na miejscu każe, wtenczas kiedy honor i pożytek narodowi zapewne nie kopie, ale same zrobić mogą oryginały“. I właśnie przez to hasło swobody i oryginalności twórczej jest Karpiński zwia-

stunem nowych prądów poezji, jest poprzednikiem naszych poetów XIX wieku, którzy honor i pożytek swemu narodowi zrobili nie kopiami wzorów starożytnych i francuskich, ale oryginałami.

A jak w teorii, tak i twórczości poetyckiej przyświecało Karpińskiemu to samo hasło: wprawdzie nie wszystkie jego utwory są od naśladownictwa wolne, ale nie brak i takich, w których Karpiński (jak mówi Mickiewicz) „nie za patruje się na żaden wzór, nie przybiera żadnego systemu, śpiewa, jak ptaszek, wydaje, co ma w duszy, wylewa swoje uczucia“; i te właśnie utwory są najlepsze ze wszystkich. Prawda, że głębi myśli, ognia serca, górnego polotu niema w nich ani na lekarstwo; sam poeta wiedział o tem dobrze („A mnie mój ciężar trzyma na nizinie, próżno się w górę podnoszę“) i wydawał też swoje poezye pod skromnym tytułem „Zabawki“ (1780): posiadają zato przymiot, tak rzadki w rozumnej, ale chłodnej poezji wieku oświeconego,—szczerłość i serdeczność, żywość i ciepło uczucia, słowem prawdziwy liryzm, płynący nie z głowy, ale z serca, a dotego prostotę formy, często i melodyjność wiersza.

§ 94. „Czułe serce“ Karpińskiego przemówiło wymownie w pieśniach miłosnych, tych zwłaszcza, które powstały pod wpływem pierwszej jego miłości — ku „Justynie“ (t. j. Maryannie Brösselównie). Najwcześniejszą, a zarazem najpiękniejszą ze wszystkich (i jedną z najpiękniejszych w całej miłosnej liryce staropolskiej) jest pieśń „Do Justyny“, tęskność na wiosnę, przypominająca w pomysle swoim pieśń „Bohymnii“ Szymona Zimorowicza (§ 55), a wyrażająca z prawdziwym wdziękiem tęsknotę miłosną młodego, zakochanego serca, które się zrywa do nowego życia na wiosnę, kiedy i natura cała nowem życiem żyć poczyną.

Już tyle razy słońce wracało
I blaskiem swoim dzień szczyti:
A memu światłu cóżto się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?
Już się i zboże do góry wzbilo
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło:
Mojej ptaszyny nie widać...
Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa,
Kłóć powietrze ptaszkiwie leśni:
A mój mi ptaszek nie śpiewa..
Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała:
A mój mi kwiatek nie schodzi...
O wiosno, pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił;
Wróc mi urodzaj kochany!

Nic równie wdzięcznego nie napisze Karpiński już nigdy. Ulegając panującej wówczas, a wprowadzonej przez Russa modzie roztkliwienia się nad rzekomem szczęściem prostych ludzi na łonie natury, opiewał najczęściej miłość swoją nie w pieśniach, bezpośrednio z serca płynących, tylko w sentymentalnych sielankach pasterskich. Występują w nich pasterze i pasterki (Korydon, Filon, Medon; Palmira, Laura, Lindora i t. p.) o sercach straszliwie czułych: rozstając się z sobą, ronią łzy obfite, boleść zalega im serca, a tęskność — głowy, niekiedy nawet mdleją z żałości. Imiona swoich ukochanych pasterek wycinają pasterze na korze drzewnej, a czasem i na kijach. Aby się przypodobać pasterkom, łapią dla nich motyle, a pasterki cho-

wają je parami w klatkach, karmią je ze swych „białych“ dłoni, a nie dokuczają im nigdy, bo serca mają tak czułe, że widok zabitej muchy przyprawia je o ból bezmierny. Pasterze i pasterki kochają piękną naturę: wzruszają ich zwłaszcza łączki zielone, strumyczki szemrzące i „pieszczony głos ptaszęcy“; nawzajem i natura jest dla nich bardzo czuła: kiedy raz Palmira wyznała miłość Korydonowi, natura o mało nie zwaryowała ze szczęścia: natychmiast odmłodziła łąka, rozkwitły róże i zakwiliły ptaszęta; a kiedy innym razem inna Palmira „ubłociła przy źródle swoją śliczną nogę“, „nazajutrz kwiatem brzeg cały usłany tam, gdzie białemi klękała kolany“. Pasterze, oprócz pasterek, a pasterki, oprócz pasterzy, kochają jeszcze okropnie swoje owieczki i baranki, które pasą, gładzą, pieszczą i nazywają „duszami swoich dusz“. Oto mniej więcej, jak wygląda ten świat „pasterski“, z życiem prawdziwych pasterzy i pasterek mało mający wspólnego, będący raczej maskaradą, aniżeli wiernym obrazem rzeczywistości. Sielanki Karpińskiego to najznamienniejszy w poezji stanisławowskiej objaw modnego w całej Europie prądu: sentymentalizmu i fałszywej ludowości (§ 77). Zachwycali się nimi współcześni, a i potomni długo jeszcze je śpiewali, zwłaszcza „Laure“ i „Filona“.

- L. Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
 I coś tam klaszcze za borem:
 Pewnie mię czeka mój Filon miły
 Pod umówionym jaworem.
 Nie będę sobie warkocz trefiła,
 Tylko włos związę splełany,
 Bobym się bardziej jeszcze spóźniła,
 A mój tam tęskni kochany.
 Wezmę z koszykiem maliny moje
 I tę pleciankę różową:

Maliny będziem jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę,
Prowadź mię teraz, miłości śmiała!
Gdybyś mi skrzydła przypięła,
Żebym najprędzej bór przeleciała.
Potem Filona ścisnęła!
Oto już jawor... Niemasz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona:
On z przywiązania żartuje mego, —
Kocham zmiennika Filona!...
Filonie! Wtenczas, kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała
Oczach i mowie pieszczonej.,.
Ale któż zgadnie, przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki;
Możem ja próżno strwożona?
Lepiej mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę:
Jutro paść będzie trzodę przy borze,—
Znajdzie, jakże go pocieszę!...
Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwiąm cię rąk moich skropiła,
Bom twe najmocniej węzły spajała
I z robotąm się kwapiła.
Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczey
I razem naucz Filona,
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
Prawdziwa miłość wzgardzona!
Tłukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała:
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała!

Kiedy w chróscinie Filon schroniony
Wybiegł do Laury splakanej,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

- F. O popędliwa! o ja niebaczny!
Lauro!... Poczekaj!... dwa słowa!
Może występki mój nie tak znaczny,
Może zbyt kara surowa:
Jam tu przed dobrą stanął godziną.
Długo na ciebie klaskałem;
Gdyś nadchodziła, między chrósciną
Naumyślnie się schowałem,
Chcąc tajemnice twoje wybadać,
Co o mnie będziesz mówiła,
A stąd szczęśliwość moją układać:
Ale czekałem zbyt siła.
Oto masz ten kij: po nim znamiona
Niebieskie gładko rzezane;
W górze zobaczysz nasze imiona,
Obłądnym węzłem związane.
Cóżem zawinił, byś mię gubiła
Przez twój postępek tak srogi?
Czyliż dlatego, żeś ty zbłądziła,
Ma ginąć Filon ubogi?..
- L. Dajmy już pokój troskom i zrzędzie:
Ja cię niewinnym znajduję;
Teraz mój Filon droższy mi będzie,
Bo mię już więcej kosztuje.
- F. Teraz mi Laura za wszystko stanie,
Wszystkim pasterkom przodkuje,
I do gniewu ją wzrusza kochanie
I dla miłości daruje.
- L. Jedną się Dorys wyłączyć miała,
Jej pierwsze miejsce zaznaczę;

- Na to wspomnienie drzę zawsze cała,
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!
- F. Dla twego, Lauro, przypodobania
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania,
W żadną nie wnijdę rozmowę.
- L. Czemże nagrodzę za te ofiary?
Nie mam, prócz serca wiernego:
Jedne ci zawsze przynoszą dary,
Przyjmij, jako co nowego!
- F. Któżby dla ciebie nie zerwał węzły
Przyjaźni, co mię nęciły?
W twej pięknej twarzy wszystkie uwięzły
Nadzieje moje i siły.
- L. Ja mam mieć z płaczu po twarzy smugi,
Ale, jak mi się nadarzy
Spleść i ułożyć warkocz mój długi,
Mówią, że mi to do twarzy...
- F. O światło moje wpośród tej nocy.
Zagrodo mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojej mocy;
A ja czuję ją, o moja!
- L. Czyż w każdym roku taka z kochania,
Jak w osiemnastym, mozoła?
Jeśli w tem niemasz pofolgowania,
Jak człek miłości wydoła?...
Filonie! widzisz wschodzące zorze?
Jużto drugi raz kur pieje!
Trochę przydługo bawię na dworze...
Już matka wstała,... truchleje...
Miesiącu! już ja idę do domu!
Jeśliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryjomu,
Nie świeć, niech na nich drze idą!

Bez porównania większą wartość od wszystkich sielank, razem wziętych, posiada elegia „Powrót z Warszawy na wieś” (1784), wyraz tego rozgoryczenia, w jakim po czteroletniej nieobecności wrócił Karpiński w swoje strony rodzinne: oto był sekretarzem Czartoryskiego, uczył młodego księcia Sanguszkę, bywał na obiadach czwartkowych, wzruszał serca swemi sielankami, — więc za to wszystko spodziewał się sutej nagrody, a tu tymczasem do „domu ubogiego” z pustemi rękami! Na domiar nieszczęścia лихо przyniosło mu na kark siostrę z kilkorgiem dzieci, która była pewna, że brat Krezusem powróci! I jakże mu nie biadać? jak nie złorzeczyć ludziom, że wielkiego człowieka skrzywdzili? Więc płacze wielki człowiek i zawodzi i, zapominając o swej wielkości, odgraża się, jak dzieciak: kiedy tak, to nie będę grzeczny! nie warto być cnotliwym, nie warto w pocie czoła pracować, kiedy cnota i praca są „niepopłatne”! Bo tę właśnie myśl nie trudno wyczytać między wierszami elegii, chociaż się autor zastrzega, że cnotcie i prawdzie człowiek powinien służyć bezinteresownie. I oto wyszło sztydło z worka,—załapał się biedny Karpiński strasznie: chciał się przedstawić za nieszczęśliwą ofiarę cnoty, a pokazał się takim, jakim naprawdę był: małym człowieczkiem! I właśnie na tej mimowolnej szczerości, z jaką się Karpiński scharateryzował na prawdzie uczucia polega wdzięk jego elegii; w żadnym innym utworze nie ukazała się w takim blasku — jego śmieszna drażliwość naiwność dziecięca.

Otóż mój dom ubogi! Też lepiące ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany
I niska strzecha moja! Wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywał
Spokojny, siadł przy stole wiejskiego warzywa:
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,

Z domu napój i wierną przy boku drużynę!
Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany,
I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nieznany,
Gdzieby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano,
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!

Com zyskał, że, rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem, nie opatrzony, płynąć przeciw wody?
I, widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli“!
Com zyskał, na wysokie pańskie pnać się progi,
Gdzie, po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem?

Kiedy mię ojciec stary zęgnął przy swym zgonie
„Idź—mówił—synu, na świat, w jakiej będziesz stronie,
„Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie tracił
„Zostawiam cię ubogim, prawda cię z bogaci“.
Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany:
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głośić winy,
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto, święta Cnoto, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba,
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec;
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ojciec.

Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym, wieczny niewolnik, nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze.

Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze!
Nadziejo, czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?
Żebyś słynał majątkiem? drugimi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny,
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu!
Spokojny będąc na tem, co stan mierny niesie,
Siadłbym sobie na dole—niech kto inny pnie się!

W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy.
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytęcznym na mnie nakładem ściągnałem.
Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa.
Po wieku mego wiosnie niewróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów¹⁾ albo Kochanowskich
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich²⁾,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy,
I, co mi będzie lepiej w ubóstwie usługne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne!
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebyś się mógł nad losem biedniejszych litować
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować!

¹⁾Symonides=Szymonowicz (§ 52); ²⁾ Myszkowski—biskup i podkanclerzy w XVI w., mecenas, przyjaciel Jana Kochanowskiego.

Maryo! siostró moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Gzego, stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem,
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was, jak popadła, tak statecznie gniecie:
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świeciel
Oplakana rodzinó! Wy myślicie, ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiej“?
Byłem i byłym pewnie panom na coś zdatny:
To wiem: a tego nie wiem, za com niepopłatny!
Stało się! Nię mam swojej, kopmy cudzą grzędę!
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę!

Z pieśni religijnych Karpińskiego trzy do dziś dnia przetrwały (i zapewne całe wieki jeszcze przetrwają) w ustach i sercach polskich,—pieśń poranna: „Kiedy ranne wstają zorze“, wieczorna: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, i kolęda: „Bóg się rodzi, moc truchleje“. Wszystkie są wyrazem żywej wiary poety w Boga i w Jego opatrzne rządy nad światem. Ta sama wiara dzwięczy i w niektórych pieśniach patryotycznych. Są one jednym z objawów wzrastającej w literaturze stanisławowskiej uczuciowości, już prawdziwej, nie fałszywej, mianowicie tego bólu patryotycznego, który wzbierał w sercach polskich pod wpływem nieszczęść, bijących w ojczyznę. Tu należy np. pieśń „O nieszczęściach ojczyzny i rzezi humańskiej“, pełna wiary, że się Bóg nad Polską zmiłuje.

Pieszczone dzieci gdy rozgniewały
Ojca, i gdzież się spodzieją?
Stojąc pod drzwiami, płaczą dzień cały:
Kołatać we drzwi nie śmieją!

A lud zuchwały, przechodząc blisko,
Słowem zelżywem je szpeci,
Czyniąc z nich sobie urągowisko,
Że Ojciec wygnał swe dzieci.

Ale Ty, Boże, który z daleka
Patrzysz na serce wygnanych,
Ulitowany nędzą człowieka,
Pocieszysz znowu stroskanych!

Już do Twych uszu przyjsć miały głosy
Krwie, co lud przelał zażarty,
I wiara Twoja poniosła ciosy
I Kościół z ozdób odarty.

Wspomnij przynajmniej na Twe ołtarze,
Przy których my stać przyrzekli!

Nie karz! Wszak zdawna nikt tych nie karze,
Co do Ołtarza uciekli.

Złóż nas Twą bronią, której zamachem
Rozsądzasz między wojskami,

A nieprzyjaciel pierzchnie ze strachem,
Widząc, żeś jeszcze Ty z nami.

Po pierwszym rozbiore napisał Karpiński „Pieśń dziada sokalskiego w kordonie cesarskim“, „która to pieśń — jak pisze w „Pamiętnikach“ — w samej rzeczy dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jedną nutę z jego żalonych pieśni skomponowaną, do śpiewania oddałem, zaco on biedny potem od Niemców ucierpiał“.

Śladem bieda przyszła śladem
Za zbytkami, za nieładem

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała.

Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała.

Wolności niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko;
W klatkę cię mocno zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto.
Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu,
Jak ojciec, dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół, częstował.
Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psietami zbierają.
Głowę, kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trąca nogą!..
Pochlebcy go otaczają.
Palcem biednego stykają:
„Ot—mówią—~~mość~~ polizuje,
„Dawnej wolności żałuje“.

Pieśń ta będąca wyrazem nie ryle bólu patriotycznego, ile goryczy, i z tego jeszcze względu zasługuje na uwagę, że jest napisana na nutę ludową. (Dwie inne jeszcze pieśni ludowe utworzył Karpiński: „Mazurek“ i „Pieśń mazurską“, obydwie bardzo udatne).

Widok smutnej terażniejszości, z natury rzeczy, rodził w sercach polskich bolesną tęsknotę do czasów dawnych, kiedyto Polska należała do najpotężniejszych państw na świecie. Otóż i to uczucie odzywa się w pieśniach Karpińskiego, np. w „Dumie“: „Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały, kiedy się do nas korony świata ubijały, kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się i od północy Moskwicin twardy berło niesie“? Z tego zwrotu do przeszłości (który się z czasem, w wieku XIX, stanie bardzo znamiennej cechą naszej poezji) wypłynęła pieśń, nazwana przez Mickiewicza „jedną z najpiękniejszych ballad polskich, najprostszą, najnaturalniej-

szą": „Duma Lukierdy“. Nie jestto jednak ballada, tylko
rzewna i smętna dumka, włożona w usta nieszczęsnej Lu-
kierdy, córki jednego z książąt „syrbskich“ (słowiańskich),
a żony księcia wielkopolskiego, Przemysława Pogrobowca.
Jak opowiada Długosz, Przemysław dręczył swą żonę i mę-
czył, póki wreszcie jego słudzy, chcąc mu się przypodobać,
nie zamordowali księżny; i dodaje Długosz, że jeszcze za
jego czasów lud śpiewał pieśń o tem, jak Lukierda, „prze-
czuwając, że ją mąż zgładzić myśli ze świata, błagała go
ze łzami i zaklinała, żeby niewieście i małżonce swojej
nie odbierał życia, ale pomny na Boga i na uczciwość
tak książęcą, jako i małżeńską, pozwolił jej wrócić do oj-
czystego domu choć w jednej koszuli“. Otóż Karpiński,
uderzony tem podaniem, a obdarzony żywą wyobraźnią,
która mu pozwalała patrzeć nietytylko we własne, ale
i w cudze serce, wyśpiewał „Dumę Lukierdy“.

Powiejcie wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutka matka w dzień uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyśle mi braty-obronce
I łuków syrbskich tysiące.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mnie Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić;
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,

Że mię mej młodości zbawił;

Onby się może poprawił!

Powiejcie, wiatry, od wschodu

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwsza wiejska dziewico,

Której miłość tajemnicą,

Nie zna jeszcze serca pana,

I ty, co kochasz, kochana!

Ja, króla możnego żona,

Kochając go, pogardzona, —

Gdy mi dojmie rozpacz sroga,

Bluźniąc, klnę siebie i Boga.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną

Czego błyszczysz; złoto marne?

Wszystko w oczach moich czarne:

Ten lud przede mną schylony,

I tę Przemysława trony.

Obejrzyj się, mężu twardy!

Jeden uśmiech, a mniej wzgardy,

Wróci szczęściu postać własną,

Da wszystkiemu barwę jasną!

Powiejcie wiatry, od wschodu!

Z wami do mojego rodu

Poślę skargę, obciążoną

Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany!...

Pójdę do matki kochanej,

Pójdę choć w jednej koszuli,

Ona mnie w smutku utuli.

Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwszy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi
I tu mię nazad sprowadzi,
Żebym mój zgon nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą,
W serce, które go kochało!

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Konstytucję 3 Maja uczcił Karpiński w dwóch pieśniach („Rzucajmy kwiat po drodze“: i „Boże! Twój ludzie przyszli“), pełnych wesela i radości, nadziei i dumy patriotycznej oraz wdzięczności ku Bogu. Ale nadzieja zawiodła: przyszła konfederacja targowicka, za nią drugi, a niebawem i trzeci rozbiór Polski. Wówczas po trzecim rozbiórze, napisał Karpiński elegię p. t. „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta“ (1796); utwór to najpiękniejszy ze wszystkich jego utworów patriotycznych, chwytający za serce szczerością i rzewnością uczucia, ale wręcz przygnębiający swoją beznadziejnością i rozpaczliwą rezygnacją, aż nadto wyraźnie świadczący, że hartu duszy nie było w tym człowieku ani żdźbła. A do tego brzmi w tej elegii jeden fałszywy ton: wolno było Karpińskiemu skła-

dać na grobie ojczyzny „wesołość, nadzieję i tę lutnią biedną“, ale nie miał prawa składać na nim szabli — dla tego poprostu, że jej nigdy w swem życiu nie nosił.

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzie
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie!
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?

Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Któregoby wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
Po tobie poszła na handel korona,
Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja, nakończuś upadła,
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę...
Jakże ten wielki trup od żalu wzrusza!
W tem ciele była milionów dusza...

Patrzcie! Matczyne jakieś leży dziecko,
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą ślachtetne wychodziło życie!
On nie uciekał, bo z przodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy,
Zdaje się gniewać: za co, nieszczęśliwy?

A tam poczciwość, Kościół, wstyd zgwałcony
Pożarem całe spłonęły osady,
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy.
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
Gdzie pojrząysz,—rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Po tych rozbojach jedni, zniechęceni,
Pod nieznajome rozbiegli się nieba;
Drudzy, ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach, dzisiaj żebrzą chleba;
Insi, rozdani na Moskwę i Niemce,
Na roli ojców płaczą, cudzoziemcel...

Wy, co domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!
W tylu przygodach wasz oręż zwycięzki
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzionel...

Oto krwią piękna ziemia utłuszczona
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
Panującego języka naucza...

Tak jest jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał, a Polskę wymazał!...

Wiśło! Nie Polak z ciebie wodę pijel
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swoim imieniem się kryje,
Które tak możne wślawiły pradziady...
Już białym orłom i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!...

Zygmuncie! Przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję

I tę lutnię biedną...

Oto mój sprzęt cały!

Łzy mi tylko jedne

Zostały...

Z pism prozaicznych Karpińskiego największą wartość posiadają „Pamiętniki“, pisane już pod koniec życia

(wydane dopiero w r. 1844). Znaczenie ich w historii literatury polskiej polega na tem, że są nietylko opowieścią o życiu autora, ale i obrazem jego duszy: autor opowiada nietylko o tem, co się za jego czasów w Polsce działo i co sam robił, ale i o tem, co czuł i co myślał. Otóż, jeśli Mickiewicz słusznie nazwał pamiętniki Paska romanssem historycznym (§ 70), to „Pamiętniki“ Karpińskiego można od biedy nazwać romanssem psychologicznym, pierwszym w Polsce. Oto np. ustęp, w którym autor opisuje walkę, jaka się raz w jego duszy toczyła: „Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów¹⁾, wktótce po skończeniu teologii do palestry udałem się. Umiejąc niezłe język łaciński, w którym expedyce²⁾ sądowe wychodziły, jeszcze roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam nie dbał o zazdrość, kiedy mimo niej gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic, potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery, do niej potrzebne pokazał, spostrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje, byleby podstępny i mogący sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem, wziętem pieniądze i zrobiłem jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojczy mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż cię już nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś! Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego: „Franciszek niech idzie prawdą na świeciel“ Takażto prawda, pomyślałem sobie, zgubiłem podstępem niewinnego przeciwnika, któremu pozew napisałem? Cóż mi on będzie winien, że nietylko je-

1) jurysta=prawnik; 2) akta.

go, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo, jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły aż do przyścia kadencji sądowej, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził; inaczej sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkodził; szlachta się, jakem żądał, pogodzili, a ja, bojąc się tej ślizkiej drogi, zwłaszcza kiedy i inszymi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę“.

§ 95. Drugim utalentowanym lirykiem XVIII w. jest **Franciszek Kniaźnin** z Białej Rusi (1750—1808), wychowaniec jezuitów, dworzanin i sekretarz księcia generała ziem podolskich, nauczyciel jego dzieci i poeta nadworny, wierny sługa i przyjaciel całego domu Czartoryskich. Poglądami na poezję i rodzajem twórczości podobny jest do Karpińskiego: i on za najistotniejszy warunek poezyi kładł „czułość“, którą nazywał to „darem niebios“, to „sprężyną serca i ducha“: i jemu już ciążyły krępujące twórczość prawidła poetyki francuskiej: „nie wiem, jeśli geniusz poety potrzebuje prawideł jakich nad jedno żywe uczucie wzbogaconej imaginacyi, którą smak i natura kieruje“ (choć, będąc mniej od Karpińskiego śmiałym, często się jeszcze posługiwał mitologią); i on wreszcie, jak Karpiński, chętnie pisywał sentymentalne sielanki pasterskie i śpiewał pieśni miłosne, patryotyczne i religijne.

Miał Kniaźnin poczucie piękna, wykształcone na poezyi francuskiej i włoskiej, ale głównie na starożytnej (jeden to już z ostatnich poetów naszych, uprawiających, oprócz poezyi polskiej, łacińską); o piękność formy, zwłaszcza o muzykalność wiersza, był wielce dbały (dbalszy od Karpińskiego) i cierpliwie przysiadł nad wygła-

dzaniem i poprawianiem swoich utworów; posiadał niewątpliwie i talent poetycki, ale mniejszy od Karpińskiego: jego poezye są gładkie i bardzo miłe, ale pozbawione już nietylko siły (której nie posiadał i Karpiński), ale zwykle nawet żywości uczucia, często mdłe, a dotego nużące swoją jednostajnością; a stąd wystarcza poznać kilka utworów Książnina, aby wyrobić sobie pojęcie o wszystkich. Ale zato jest poezya Książnina (inaczej, jak Karpińskiego) zwierciadłem czystej i jasnej, pięknej i szlachetnej duszy, i to właśnie stanowi jej największy wdzięk. Bo też, jako człowiek, przerasta on o całe niebo „śpiewaka Justyny“: i on wprawdzie nie odznaczał się ani umysłem bystrym, ani rozumem głębokim, ale też nie miał o sobie wysokiego wyobrażenia, nie przechwalał się i nie chełpił, przeciwnie: był skromny i cichy, nieśmiały i potulny, jak dziecko; hartu duszy nie miał, ale serce miał złote, naprawdę bardzo tkliwe i czułe, miękkie, jak воск; o sobie nie myślał, chciwości grosza ani wygórowanej miłości własnej nie znał, kochał gorąco Boga, kochał ojczyznę, i kiedy upadło powstanie Kościuszki, chwycił go taki ból, że dostał—pomieszania zmysłów...

Poezya Książnina jest ściśle związana z jego pobytem na dworze Czartoryskich, zwłaszcza z pobytem w Puławach, które obok dworu królewskiego w Warszawie, były, w ostatniej ćwierci XVIII w., drugim ogniskiem polskiego życia literackiego; bawili tutaj i Zabłocki i Karpiński i Niemcewicz i niejedyn uczone, a wszyscy znajdowali nietylko gościnność, ale i podniętę oraz pomoc do pracy. Otóż twórczość Książnina jest jakby odbiciem życia w Puławach.

Znaczna część jego Poezyi (1787—8) ma charakter okolicznościowy: każdy wypadek w Puławach, np. puszczanie w powietrze balonu z biednym kotem w łódce, (który spadł i skonał); każda uroczystość familijna: imie-

niny, urodziny, wesele, — wszystko to dostarczało mu pomysłu i treści czyto do pieśni i ód, czy nawet do większych utworów. Jest więc Książnin poetą dworskim; ale nie jest poetą-dworakiem (jak Trembecki, (§ 88): on nie pochlebiał, nie kadził, o nic dla siebie nie prosił, a jeżeli chwalił, to szczerze, bo do księcia generała i całej jego rodziny był serdecznie przywiązany. A do księżniczki Maryi Czartoryskiej (przyszłej księżny Wirtemberskiej) żywił nawet coś więcej, niż przywiązanie: pokochał ją, jak wieść niesie, głęboko, a że o małżeństwie z nią z pewnością ani nawet pomyślał, stąd cichy smutek znamionuje jego pieśni miłosne, np. pieśń „Dwie lipy“, w której miał może na myśli siebie i swoją ukochałą:

Oto dwie lipy zielone
Ze dwóch się brzegów witają,
Jedna ku drugiej skłonione,
Gałęzmi siebie tykają.
Doczegóż rozdział im sprawił
Okrutny odmęt tej rzeki?
Skłonność im tylko zostawił,
Lecz się nie złączą na wieki!
Tak mówił Koryl zbłąkany,
O wiernej myśląc Izmenie,
I z najskrytszej w sercu rany
Głębokie wydał westchnienie.

Ale nie w pieśniach miłosnych najpiękniej przemówiła dusza Książnina, tylko w utworach patryotycznych. A źródłem ich natchnienia, obok jego własnego serca, jest poczęści znowu dom Czartoryskich, — patryotyzm księcia generała i księżny Izabelli (z Flemingów) i wogóle ten duch obywatelski, który ożywił całe Puławy i, w miarę nowych nieszczęść ojczyzny, potęgował się i szlachetniał. Z polecenia księżny Izabelli pisywał Książnin dla teatru

dworskiego w Puławach obrazki dramatyczne; otóż jeden z nich, „Matka Spartanka“, po kilkakroć grany w teatrze puławskim przez samą księżną i jej rodzinę, jest, ze względu na dążność swoją, pobudką patryotyczną: Książnin chciał pokazać jak w Sparcie „oboja płeć tchnęła szlachećnej duchem wolności jak każdy wiek dążył do męstwa i chwały swego narodu“; aby i serca polskie tym samym duchem natchnąć i zagrzać do czynu.

Spartanka Teona wyprawia syna na bój z Tebanami i sama zbroi go w szyszak, miecz i tarczę, mówiąc: „Otóż i tarcza: z tą powrócić lub na tej! Staw się, jak ten lew, jak się ociec stawiał, tobie ją w świętem dziedzictwie zostawił! Jużes uzbroyon: Idź i to pokaż, czego twa krew warta, czego ja pragnę i co każe Sparta!“ Pędzi Likanor na bój, a niebawem przybiega z pola bitwy helota i zwiastuje Teonie wieść radosną, że zwycięstwo przechyla się już na stronę Sparty i że Likanor uwija się w boju, „jak błyskawica; gdzie zręczna jego zamachnie prawica, pękają tarcze i włócznie i miecze, temu kark utnie, tego pchnie, tam siecze, śmierć rozrzucając pomiędzy Tebany“. Teona nie posiada się z radości i dumy, kiedy nagle wbiega Likanor pomieszany i smutny: oto Tebańczycy biorą górę, jego zaś wysłano, aby posiłki sprowadził. A na to Teona: „Ciebie wysłali? toś jeno wart tego, żebyś był wieścią nieszczęścia naszego? Nogi masz tylko, nie serce? O wstydziel! Sparto! ku tejże tyś przyszła ohydzie, że się na synach ojcowie zdradzili?... Jakto! wy chcecie, by się za was bili?“ Dotknięty boleśnie wyrzutami matki, wybiega Likanor, wraca na pole bitwy i, „jak siły natężył, moc nieprzyjaciół stłumił i zwyciężył“. Teraz dopiero Teona uznaje go za syna, siostra—za brata, a narzeczona—za narzeczonego. Po mieście rozlegają się pieśni radosne i modlitwy dziękczynne.

Jako utwór dramatyczny, niewielką posiada wartość

„Matka Spartanka“, ale piękna jest swoim duchem rycerskim i patriotycznym, bijącym z każdego niemal wiersza; wszyscy tam myślą o ratowaniu zagrożonej ojczyzny, do boju rwą się nawet dzieci z bratem Likanora, Klitonem, na czele, który woła: „Czemużem ja to później się urodził? Czemużto lata moje sił do serca nie dały? Niech mi podadzą zbroję, i ja chcę szukać chwały!“, a jedna z matek na wieść, że jej syn poległ, nie z rozpaczą, ale z dumą i radością woła: „Moim on był synem!“ Budziła więc sztuka Książnina miłość ojczyzny i ducha rycerskiego, to też słusznie cieszyła się rozgłosem.

Lecz opiewał Książnin uczucia nietylko Matki-Spartanki, ale i Matki-Polki: jak Teoną, kiedy wyprawia syna na bój, dwa sprzeczne miotają uczucia, „rozkosz i trwoga“, — rozkosz na myśl, że się syn nieśmiertelną chwałą okryje, a trwoga, że go może hańba czeka, — tak i Matka obywatelka, siedząc nad kołyską ukochanego dziecka, pieści się nadzieją, że cały kraj będzie podziwiał czyny bohaterkie jej syna, ale tuż potem drży na myśl, że syn wyróżnie może na zdrajcę ojczyzny. Jedna to z najwdzięczniejszych pieśni Książnina. A i swoje własne uczucia patriotyczne śpiewał poeta czyto w poważnej, najpiękniejszej ze wszystkich, odzie „Do Ojczyzny“, w której, jak w pieśniach Karpińskiego, dźwięczy tęskny żal za świetną przeszłością Polski i bolesny niepokój o jej przyszłość; czy w udatnej odzie „Do wąsów“, nibyto żartobliwej, a w istocie poważnej, bo odzwierciadlającej smutek poety na widok zarzucania obyczaju staropolskiego; czy też w pieśniach liryczno-opisowych, np. w pieśni „Poranek“, gdzie widok pięknego poranku, świtającego „po srogiej burzy“, rodzi w sercu poety nieśmiałą nadzieję, że i dla udręczonej Polski poranek zaświta: „Obyś tak mojej błysnął ojczyźnie!.. Ty, co po zimie prowadzisz wiosnę, którego ranek ten świeci, rozkwieć nam znowu myśli radosne,

natchnij nadzieją Twe dzieci!“ O wiele głośniej sły­chać nadzieję w pieśni, napisanej z powodu otwarcia sejmu czteroletniego, a będącej pobudką patryotyczną „Do zgody“: „Błyśnij, o zgodo żądana, i okaż chlubę twej sprawy, unoś się, sławą trzymana, ponad murami Warszawy! Całości wspólnej i szczęścia powodem, Złącz naród z królem i króla z narodem! Sercami włada­j i głosy wśród wybrano­go tych koła, którym zleciwszy swe losy, Ojczyzna dzisiaj tak woła: „Synowie! Odtąd z wdzięcznością wspominać albo was będę na wieki przeklinać!“ I później jeszcze, nawet po drugim rozbi­orze, nadzieja nie opuszczała serca Książ­nina: kiedy wybuchło powstanie Kościuszki, wierzył jeszcze, że „ziemia znów będzie zielona, po klęskach i srogim trudzie odżyją ludzie!... Bóg szalę trzyma, Bóg żywy, Bóg sprawiedliwy!“

MATKA-OBYWATELKA.

Śpij, moje złoto — śpiewała,
Kołysząc matka swe dziecko —
Śpij, moja nadziejo cała,
Moje ty życie!

Usnęło: słabe niebożę
Dosyć się, dosyć spłakało;
Po płaczu lepiej też może
Będzie mi spało!

Dziecię! O, wieleżto biedy
Matczyna znieść musi głowa,
Nim się pociecha jej kiedy
Z ciebie wychowa!

Wieleż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie uznam podporę
Mojej starości;

Gdy więc i sercem i głową
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową
Dla twego domu;
Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi spiewać,
Żeś moim synem!
Któż wie, co jeszcze być może?
Ach! sztylet serce przenika...
Poczwara jakaś (o Boże!)
Staje mi dzika:
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyc,
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?
Wstydu on mego przyczyna,
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę?
Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,
Może krew braci rozleje?...
Ach! serca mego niegodzien!
Cała truchleje!...
Tażby nagroda i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?...
— Rzekła i oczy swe łzami
Gorzko zalała. —

DO OJCZYZNY.

Kędyż te słupy, te granice twarde,
Które nasz Chrobry oznaczał żelazem,
Tenże to naród cary wiązał harde,
Gromiąc i orły i księżyce razem?

Myż to, Polacy, owych mężów plemię,
Co nam krwią swoją kupili tę ziemię?
O wielkie dusze, których tu nie zliczę!
Jeśli z swej na nas pogładacie chwały,
Zacni Tarnowscy, mężni Chodkiewiczel!
Nacóż przykłady nam wasze zostały!
Takeśmy podli, że was bierze twoga,
Błagać za nami zwróconego BOGA!

Cokolwiek świętej po was jeszcze sławy
Nam się zostało (o bezczelna zbrodni!),
Gładzim do szczętu sromotnemi sprawy,
Wspomnienia nawet waszego nie godni.
Zdradzając braci i wolność i chwałę,
Cóż poczną serca, hańbą odrętwiałe?

OJCZYZNO! Nacóż nam przeszyte mieczem
Piersi otwierasz? My nie twoje dzieci!
Straciwszy czułość, tam kajdany wleczem,
Gdzie pędzi przemoc lub mamona świeci:
Oto na sam brzęk i krótki blask złota
Troskliwym uchem czatuje niecnota.

Skądkolwiek chytra zabłyśnie intryga,
Leci tam nędza i co urwać pragnie;
Chęłpi się zdrada, ze ją gwałt podźwiga,
Klaszcze mu podłość i kark jarzmu nagnie,
Jakże się z twojej wydzwigniesz ruiny,
MATKO, takimi otoczona syny?

DO WĄSÓW.

Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne!
Powstaje na was ród zniewieściały,
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnej Polek dalekie chwały.

Gdy pałasz cudze mierzył granice,
A wzrok marsowy sercami władał,

Ujmując wtenczas oczy kobiéce,
Bożek miłości na wążach siadał.

Gdy szli na popis rycerze nasi,
A męstwem tchnęła twarz okazała,
Maryna, patrząc, szepnęła Basi:
„Za ten wąż czarny życiebym dała!“

Gdy nasz Czarnecki słyzył żelazem
I dla ojczyzny krew swą poświęcał,
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem węża pokręcał.

JANA trzeciego gdy Wiedeń słał,
Głos był powszechny między Niemkami:
„Oto król polski, co nas wybawił!
„Jakże mu pięknie z tymi wężami!“

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany:
Rycerską twarzą Nice się brzydzi,
A dla niej Dorant, wódkami zlany,
I z węża razem i z męstwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrzęsa:
Ja zaś, z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę węża!

§ 96. Jeden jeszcze pierwiastek natchnień poetyckich Książnina pozostaje w ścisłym związku z jego długoletnim pobytem na dworze Czartoryskich, mianowicie pierwiastek ludowy. Począwszy od komedyi Bohomolca „Pan Dobry“ (§ 78), ludowość ukazuje się raz po raz w naszej poezyi XVIII w., pod wpływem nie tylko literackiej mody sielankowej, ale i wzrastającego wciąż zainteresowania się dołą ludu wiejskiego. Otóż i Czartoryscy, zarówno August, wojewoda ruski, jak i syn jego, Adam Kazimierz, generał ziem podolskich, wyróżniali się swoją dbałością o dobrobyt włościan, a i księżna Izabella otaczała ich opieką, nie tylko nawiedzając osobiście chaty wiejskie w Puławach

i niosąc im pomoc materyalną, ale i każąc uczyć dzieci włościańskie. (Z czasem sama napisze, ona pierwsza, popularną historję ojczystą dla ludu, p. t. „Pielgrzym w Dobromilu“, 1818). Nie dziw, że się i Książnin zainteresował życiem ludu, które przemawiać musiało zarówno do jego dobrego, czułego serca, jak i do wyobraźni. Rozumie się, że i on uległ modzie sielankowej — tem więcej, że uległa jej księżna Izabella, która się lubiła bawić w marzenia o szczęściu ludzi prostych na łonie natury i urządziła maskarady sielankowe, polegające na przebieraniu się za pasterzy i pasterki, na budowie chat w parkach i ogrodach i t. p. Nie brak więc wśród utworów Książnina pieśni i sielanek sentymentalnych „w rodzaju pasterskim“, nie brak różnych Filonów i Elwir, czujących się i wzdychających, jak w sielankach Karpińskiego. Ale wśród tej fałszywej ludowości co raz, to się trafi jakiś szczegół, wzięty z rzeczywistego życia: to wyrażenie ludowe, to rys obyczajowy, to piosenka, przypominająca rytmem lub treścią piosenkę ludową, np. „Kukaweczka kuka nad zieloną gruszką, a moje serduszko tobie, Basiu, puka“; albo jeszcze: „Ot ja Kozak Zacharenko, z banduroju wesolenko, nihda w żytiu nie zapłaczu: huczu, hryczu, hram i skaczu“. Nie dosyć na tem. Jest jeden cały utwór, i to większy, który z fałszywą ludowością nie ma nic wspólnego: jest on naprawdę odzwierciedleniem życia ludu prostego, mianowicie Cyganów: utworem tym to udratyzowana trzyaktowa sielanka p. t. „Cyganie“ (1787), najlepsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek Książnin napisał: a jej pomysł zawdzięcza poeta, jak sam świadczy, nie komu innemu, tylko księżnie Czartoryskiej: jej to „twórczy wynalazek pierwsze tu podał rysy i ukazał interes sztuki, szczęśliwemi zaś myślami uczucia i tkliwości dodała rozprzestrzenieć się mogącej imaginacyi“.

Rzecz dzieje się „w taborze cygańskim pod szatrami¹⁾, w lesie, niedaleko wsi pani Mieszkowej“. A treść sztuki podał sam Książnim w słowach następujących: „Jawnuta cyganka, i wróżyć dobrze i leczyć umiejąca, w czasie zaboru“ (1773) „przeszedłszy z Pokucia w głąb Polski, gdy we wsi jednej wstępuje do chaty, nikogo tam nie znajdując, tylko dwoje niemowląt opuszczonych, zabrała je z sobą i zaszła z niemi na Podole; powziąwszy do nich przywiązanie, za własne ich tam wychowuje dzieci; dziewczynie dała imię Chicha, a chłopcu Dżęga. Po rozmaitej tam i owdzie (jako Cyganom nie nowina) wędrownie, trafiło się, że w kilkanaście potem lat z niemi do tej samej wsi, skąd wzięte były, przy taborze cygańskim przeniosła się. W przeciągu niejaki pobycia tu swojego poznaje ich rodziców, Szymona i Jewę, w starości, biednych i bez żadnego wsparcia, tudzież postrzega i miłość Chichy ze Stachem, wójta synem; tknięta pobudką litości, odkrywa tajemnicę: wraca te dzieci rodzicom strapionym i własnemu ich powołaniu; a tak całe razem uszczęśliwia rodzeństwo“.

Nie na tej treści jednak (przypominającej w jednym szczególe, w zniknięciu małych dzieci podczas zawieruchy politycznej, „Wiesława“ Brodzińskiego), nie na bajce sielanki Książnina polega jej niepospolita wartość i znaczenie w historii poezji polskiej, ale na wdzięcznej prostocie formy i na prawdzie w odtworzeniu życia: bo zarówno ogólna charakterystyka Cyganów, ponad wszystko ceniących wolność, prowadzących żywot koczowniczy i żyjących z kradzieży, jak różne szczegóły z ich obyczajowości, są prawdziwe. Oto np. trzy pierwsze sceny pierwszego aktu.

1) szatry = namioty.

Scena pierwsza.

Cyganie i cyganki (w taborze przy ognisku).

W s z y s c y .

Ach! za nami zawsze nędza!
Od wsi do wsi nas popędza!
Ej, chłodno i głodno! Choć i głodno i chłodno,
Ale żyjem swobodno!

M o r y g a .

Czy wójt jaki, czy starosta,
Drze nas jeden; drugi chłosta.
Ej, chłodno i głodno i t. d.

D ż ę g a .

Ni ja Żydem, ni ja Lachem,
Las mnie domem, niebo dachem,
Ej, chłodno i głodno i t. d.

J a w n u t a .

Drew przyrzucicie do ogniska:
I mnie zimno boki ściska.
Ej, chłodno i głodno i t. d.

C h i c h a ,

Cóż my mamy? ot te szatry,
Które grodzą cztery wiatry!
Ej, chłodno i głodno i t. d.

W s z y s c y .

Byle na dziś było chleba,
Czegóż więcej nam potrzeba?
Ej, chłodno i głodno i t. d.

D ż ę g a.

Swobodno żyjem i nie znamy pana:
To prawda; ale coza stan Cygana?
Żeby kradł tylko i zato batogiem
Macał go szlachcic, a baba ożogiem?
Matko! ty widzisz, co było i będzie:
Czy też był kiedy Cygan na urządzie,
Sędzią, naprzykład, albo ekonomem,
Któryby sobie cudzym rządził domem?
Możebym i ja był do tego zdolny!

J a w n u t a.

Alboż niedosyć, żeś wolny?
Jeszcze to na nas kara bardzo mała
Za pierwszych ojców. Coza myśl zuchwała!
Niechaj nas Pan Bóg od podobnej strzeże!
Oni-ć to mieli tę budować wieżę,
Wysoką wieżę, po której z tronu
Chciał iść do nieba król Babilonu.
Ale Bóg takiej nie dopuścił dumie:
(O płochy ludzki roznmie!)
Kiedy już gwiazdy zdziwione postrzegły,
Że, bliżąc ku nim kamienie i cegły,
Lud wyniesiony po gzymsach się wieszał,
Bóg na nich błysnął i języki zmieszał:
Rozsypało się w gruzy owe dzieło;
Cóż tam lecących na łeb poginęło!
Kto się naonczas z karkiem nie pożegnał,
Postrach tę resztę po świecie rozegnał.
Otóż stąd ród nasz, otóż to Cyganie!

M o r y g a.

Jawnuto mądra! O; jakżeś wysoka
I w tem, co kędyś tam widzisz, głęboka!

Miej od nas uszanowanie!
Ty, jak orlica: my, jak nocne sowy...
Skąd ci nauka i moc tej wymowy?

J a w n u t a.

O dzieci moje! mało ja znam jeszcze;
Ta, co umiała grad ścigać i deszcze,
Swej mi światłości trochę użyczyła;
Nad nią nie było na całe Pokucie!
Dziś tylko grób jej nad skałą przy Prucie.

Hababo moja, staruszko miła!

O, gdybyś dłużej nam żyła,
Możebym wstrzymać i te mogła gońce,
Którymi jeżdżą i księżyc i słońce!

(tu sły cha ć sze le st).

C h i c h a.

Owóz i nasi. Dobry znak! coś niosą, —
Trudno też głodnym żyć rosą.

Scena druga.

Ciż sami i gromada innych: Rudio, Rypało,
Guns etc.

R u d i o.

Bywaj nam zdrowa, o szczęśliwa nocy!
Jam ukradł cielę przy twojej pomocy!

W s z y s c y.

A to jak?

R u d i o.

Ot, jak? Byłaby i krowa,
By trochę moja nie podrzyła głowa.
Już był ten powróż namówił jej rogi,
Już była ze mną gotowa do drogi.

Czy mi czart nadał te wrota?
Skrzypnęły: nuż kundel szczekać!
Aż baba z kijem: „A tuś niecnota!“
Cóż czynić miałem? Uciekać!
Więc cielę na grzbiet i dalej w nogi!
Tymczasem krówka została,
Krówka dojna, krówka biała!
Żal mi jej było, niebogi!
Jak za cielęciem i za mną ryczała.
Ano zjeść dyabła sobace i babiel
Jeszcze ja ją tutaj zwabię.

M o r y g a.

Nim krowa nasze powiększy wesele
Tymczasem dobre i cielę.
A tobie, bracie Rypało,
Co się tej nocy dostało?

R y p a ł o.

Kopa tych guzów, panie miłościwy!
Dziś miesiąc dla mnie świecił nieszczęśliwy.
Ja-ć to się byłem do lamusa wdrapał:
I pies nie poczuł i stróż sobie chrapał.
Tam się przy krokwiach trzymając drabiny,
Jużem na plecach miał poćć słoniny.
Spojrzę, aż wiszą na żerdzi dwa kąpie¹⁾;
Sięgając po nie, na kraj deski stąpię,
Ta się zważyła: buch razem z drabiny
Z deską do licha i z poćciem słoniny!
Zleciałem na łeb; a żebym nie skłamał,
Podobnom tego coś karku nadłamał.

1 z C y g a n ó w.

Ach, prawda! trochę skrećiło waszeci.

¹⁾ kąp=szynka. <http://rcin.org.pl>

D ż ę g a.

Odkręci mu się, jak drugi raz zleci.

R y p a ł o.

Gdy tak leżałem bez duszy,
Aż dyabeł kogoś tam wzruszy:
Nuż mnie okładać, nuż cucić!
Wskrzesił. Nie wiedząc, gdzie się obrócić,
Ledwie do ciasnej trafiłem dziury,
Gdzie może tylko przebiegały szczury:
Batog mię wcisnął. Tym ja dalej gnany
I ze wsi całej psami oszczekany,
Anim co widział, ni słyszał,
Aż poza chróstem oddyszał,
Jak zając szczwany.

D ż ę g a.

I tak Rypało wyszedł na hamana ¹⁾.
Ho, ho! brak tobie rąk i nóg Cygana.

2 C y g a n k a.

Alboż to każdy tak dobrze, jak Dżęga,
Drapie nogami, a rękami sięga?

J a w n u t a.

Trafi się czasem, choć kto dobrze łowi,
Upuścić wróbla samemu kotowi.

M o r y g a.

By nie te guzy, coś kopę ich dostał,
Tenby cię zaraz basałyk ²⁾ wychłostał.
A wy?

¹⁾ haman=potwór; ²⁾ bicz z kulą ołowianą na końcu.

3 Cygan.

Ot rondel i dwie patelnie.

4 Cygan.

A u mnie młot i kowadło.

5 Cygan.

Jam jedną zrabował kielnię¹⁾.

Ot chleb i sery i sadło.

Dżęga.

Toż my to dzisiaj użyjem!

6 Cygan.

A ja Lejbinej szynkarce

Ukradłem miodu trzy garnce.

Dżęga.

To się i napijem!

Moryga.

No, jakożkolwiek! Oddać to szafarce!

A ty, Gnus, cóżto? nie żyjesz?

Czego się za drugich kryjesz?

Ta łapa, co się po kudłach skrobie,

Żle, jako widzę, posłużyła tobie.

Gnus.

Daruj! Zdeptałem całą noc marnie:

Wszystkie zamknięte były śpiżarnie,

Wszystkie lamusy, wszystkie obory, —

Kłódki wszędzie i zapory.

Ot, jenom od psów uciekał

To sporym krokiem, to kłusem,

¹⁾ kielnia=skrzynka na wozie.

Ażem i świtu doczekał,
Panie! zmiłuj się nad Gnusem!

Moryga.

Bracia, do pletni! a ty do tańca!...
Zagrać na drumli smagańca!
Ty zaś, Rypało z nahajem¹⁾,
Weźno kij swoim zwyczajem!

(Gdy Gnus smagańca tańczy, tymczasem między Stachem z za kulisy a Chichą i Dżęgą intryga zachodzi; słowa ich wychodzą w przerwach muzyki przy lekkim graniu na drumli).

Scena trzecia.

(Ciż sami i Stach za kulisą). (Muzyka).

Rypało.

Kij ten wodził już niedźwiedzie.

Moryga.

Teraz ciebie, Gnusa, wiedzie,

Cyganie z pletniami.

Niech ta prosta Uczy chłosta! (dwa razy).

Gnus.

Och, daleko jeszcze do sta...

Stach (z za kulisy)

Jak zorza, świeci moja piękna Chicha!

Dżęga (do Chichy).

Siostró! Stach na cię mruga i wzdycha.

¹⁾ nahaj=bizun.

(M u z y k a) R y p a ł o.

Nuże, tańcuje, nie ustawaj!

M o r y g a.

A drugiemu tył podawaj!

C y g a n i e z p l e t n i a m i.

Niech ta prosta Uczy chłosta! (d w a r a z y)

G n u s.

Och! daleko jeszcze do sta...

S t a c h (z z a k u l i s y).

Jakby ją tutaj na stronę sprowadzić?

C h i c h a (d o D ż ę g i).

Bracie mój miły, chciej temu zaradzić!

(M u z y k a) R y p a ł o.

Nuże! Teraz na kij siadać!

M o r y g a.

A naucz się dobrze kraść!

C y g a n i e z p l e t n i a m i.

Niech ta prosta Uczy chłosta! (d w a r a z y).

G n u s.

A dalekoż jeszcze do sta?

D ż ę g a (d o C h i c h y).

Coby tu począć?... No, ja w to poradzę:

Oto na jarmark wszystkich wyprowadzę.

(M u z y k a) R y p a ł o.

Nuże! teraz przez kij skakać!

Moryga.

Wara stękać! wara płakać!

Cyganie z pletniami.

Niech ta prosta Uczy chłosta! (dwa razy).

G n u s.

Wytańczyłem już i do sta!

Stach (z za kulisy).

Jawnuta, widzę, patrzy na nią z boku,
Strzeże swej córki, jak żrenicy w oku...

Otóż ten opis „smagańca“ — kary za niezręczność w kradzieży—jest zgodny z rzeczywistością; tak np. śpiew Rypały; „Nuże tańcuj, nie ustawaj, a drugiemu tył podawaj!“—jest przekładem piosnki cygańskiej, śpiewanej przy smagańcu przez starego Cygana: „Ne kheł mangi mauszły wawreski, dujo me tut murawa buleski“. A i w dalszych scenach są szczegóły, wzięte wprost z życia, np. w scenie, w której chłopci przychodzą do Jawnuty, by im wróżyła, i dziwią się jej mądrości: „Ach, jakże ona zgadła, ale jak, ale jak!“ Wszystko to Książnin na własne oczy widział i, jak widział, tak opisał.

Lecz nie koniec na tem. Szukał Książnin treści do poezji nietylko w życiu ludu, ale i w podaniach ludowych, on pierwszy wśród poetów XVIII wieku: oto, gdy raz jego przyjaciel, uczony lekarz i botanik, Paweł Czempiński, wybierał się w góry karpackie, Książnin napisał do niego żartobliwy list poetycki p. t. „Babia góra“, w którym go przestrzega, żeby się miał w górach na baczości, bo się tam przecie straszne rzeczy dzieją, i opisuje te straszne rzeczy—według podań ludowych o czarownicach i o Twardowskim, innemi słowy opisuje świat fantastyczny — tak, jak go później, w wieku XIX, opisywać będą t. zw. ro-

mantycy w swoich balladach, np. Mickiewicz w balladzie „To lubię“.

Wogóle jest Książnin, obok Karpińskiego poprzednikiem i zwiastunem nowych prądów poezji, a to nietylko, jak Karpiński, przez uczuciowość swojej liryki (zwłaszcza patryotycznej), ale i przez pierwiastek ludowy, ukazujący się w jego poezji bez porównania silniej i obficie, niż u autora „Pieśni dziada sokalskiego“. I na tem właśnie polega stanowisko Książnina w historyi poezji naszej.

**Babia góra. Do Pawła Czempińskiego, gdy objeżdżał góry
krakowskie.**

Trwoga warszawskie gubi dziewczęta,
Ta pierś wzdychaniem obrywa,
Płacz tej nabrzmiałe skrwawił oczęta,
Ta ne twą pamięć omdléwa,
Ta już umarła!.. Nie tak się bały,
Gdyś w obce kraje wędrował:
Choć innym niosłeś krok twój niestały,
Serceś im przecie zachował.
Lecz teraz grożą krępackie ¹⁾ kmochy ²⁾:
Niechże cię niebo uchowa!
Ach! nacóż tobie, zuchwalcze płochy,
Podróż do tego Krakowa?
Kędyż tam jesteś? Na Babiej górze!
Słońce zza chmury zapada,
Krwawią się nieba na nocną burzę,
Wicher się z Tatrów zakrada.
Ale ty, widzę, drwisz z naszej wiary
I gardzisz radą przyjaźni:
Nie wierząc w dyabły, upiory, czary,
Śmiejesz się z ojców bojaźni.

1) Krępak=Karpaty; 2) kmocha=kuma (wiedźma).

Dokąd lat młodych niesiesz powaby?
Nazbyt swej ufasz nauce:
Jeszcze ty nie znasz, co to te baby!
Uległ niejeden ich sztuce!
Już dziesięć wieków, jak Polska stoi:
Wiedmy dotychczas tam były!
Szczęśliwy, kto się bał ich i boi:
Śmiałego zawsze zgubiły.
Niejeden pielgrzym czynił przysięgę,
Jako ich straszne wyroki.
Widziano z ludzi, przez ich potęgę,
Żmije, ropuchy i sroki;
Lub, jeśli który młodzik się ważył
Krok tam posunąć zuchwały,
Przymus go dzikiej pastwie obnażył,
A one kwiat krwi wyssały.
Przebóg! co słyszę? Powietrze świszczy,
Wzjeżone włosy powstają,
Wrzawa strasydeł huczy i piszczy,
Miotły, latarnie spadają.
Ucichło; ale nad ów zgiełk srogi
Sroższe to jeszcze milczenie;
Księżyc zza dębów, pełniąc swe rogi,
Blade przeciera promienie,
Nie tak kropidła pocisk mistyczny
Złe duchy w ciele zatrudzi,
Ani tak szarpnie drut elektryczny
Za jednym tknięciem sto ludzi,
Jak one razem, ujrzawszy ciebie,
Mocą ciśnione nieznaną,
Sądziły swoją przepaść w Erebie,
Że tam, skąd wyszły, zostaną¹⁾.

¹⁾ t. j. zostaną same—myślały, że nikt nigdy nie ośmieli się zajrzeć do ich siedliska, skrytego, jak przepaść Erebu (piekła).

Aż siadłszy jedna z nich na łopacie;
„O głupie siostry! — zawoła —
„Szpiega wy swoich tu ofiar macie,
Zrywa znajome nam zioła.
„Twardowski jeno mógł one zrywać
„Przeszłymi dawno czasami;
„Wolność mu było tu niegdyś bywać,
„Ale on sprawę miał z nami.
„Ano jak w nasze wszedł tajemnice
„Ten obcy śmiałek i młody?
„Doznasz, co mogę, czarnoksiężnice,
„Doznasz twej na złe urody!“
Rzekła i zgrzytnie; tu zapął dziki
Sprosne im twarze rozżega,
Chwytają smolnie ¹⁾, widła, motyki
I już, już lecą na szpiega.
Strach owej wyspy przede mną staje,
Gdzie był Ulisses zawinął,
Kwiczeć musiały tam ludzi zgraje;
Roztropny, przecie nie zginął ²⁾.
Straszy mię bardziej Chirona ³⁾ postać:
Czary zapewne to były;
Że człeku przyszło półbykiem zostać,
Tessalskie zioła sprawiły.
Umknij się żywo czarnej godzinie!
Truchleją twe przyjaciółki:
Nie tak Centaury ni Cyrcy świnię,
Jako im straszne wilkołki.
Wracając nam się tu, do stolicy,
W nadgodę mojej pamięci,

¹⁾ smolnia=smolna głównia(²⁾ czarownica Cyrce zamieniła towarzysza Ulissesa (Odyseusza) w świnię; on, dzięki roztropności swej, ocalał; ³⁾ Chiron— jeden z Centaurów, sławny lekarz i mędrzec mityczny, wychowawca Achillesa.

Urwij po drodze garść czemierzycy¹⁾.

Bo mi się we łbie coś kręci.

§ 97. Jeszcze silniej i obficie, niż w „Cyganach“ Książnina, ukazuje się pierwiastek ludowy w sztuce p. t. „Krakowiacy i Górale“; wystawiona na scenie warszawskiej w roku 1794, „pozyskała wszystkich serca, zapaliła wszystkich umysły“, jak o tem świadczy jej autor, którego imię zapisało się złotemi zgłoskami w historii sceny, a zatem i kultury, polskiej. Jest nim Wielkopoleńszczyzna Wojciech Bogusławski (1757—1829), utalentowany aktor i gorący patriota. Bedąc w ciągu lat kilkunastu (z przerwami) głównym kierownikiem teatru warszawskiego, pracował w pocie czoła, nie zrażając się żadnemi przeszkodami, nad rozwojem sceny narodowej, której za St. Augusta nie pozwolił upaść, a którą później, już za Księstwa Warszawskiego, doprowadził do prawdziwej świetności; założył nadto w Warszawie (1811) pierwszą polską szkołę dramatyczną. A i scena lwowska późniejszą swoją świetność (około r. 1840) zawdzięcza w znacznej mierze także Bogusławskiemu, który po upadku Polski osiadł był na pewien czas we Lwowie i tutaj krzątał się około teatru narodowego równie gorliwie, jak przedtem w Warszawie. Lecz nietylko Warszawę i Lwów, ale całą niemal Polskę ogarnęła jego działalność: ze swoją trupą dramatyczną jeździł po kraju, dawał przedstawienia w Wilnie, Grodnie, Białymstoku i Dubnie, w Łowiczu, Kaliszu, Poznaniu i Gdańsku, budząc wszędzie i krzewiąc zamiłowanie teatru i, co najważniejsza, miłość żywego słowa polskiego. A repertuar jego był bogaty: obejmował sztuki nietylko polskie i francuskie, ale i włoskie, niemieckie, angielskie; ońto wystawił — po raz pierwszy w Polsce — naprzód we Lwowie (1797), póź-

¹⁾ czemierzyca=ciemierzyca=roślina z rodziny liliowatych (lekarstwo na szaleństwo).

niej w Warszawie, „Hamleta“ Szekspira we własnym przekładzie (dokonanym jednak nie z oryginału, tylko z tłumaczeń francuskich i niemieckich). Oto główne zasługi Bogusławskiego w historii sceny polskiej, za które zupełnie słusznie przypadło mu w udziale imię „ojca teatru polskiego“.

Nierównie skromniejsze stanowisko zajmuje Bogusławski w historii polskiej poezji dramatycznej. „Wolny (jak mówi) od wszelkiej autorskiej sławy“, był literatem nie z zawodu, tylko z „biedy“: pisywał utwory dramatyczne jedynie w celu zasilenia i urozmaicenia repertuaru teatralnego. Jest tych utworów około osiemdziesięciu, ale większą ich część stanowią tłumaczenia i przeróbki; sztuk oryginalnych jest bardzo mało. Jedne i drugie są wymownym dowodem dobrej woli autora, jego ducha obywatelskiego, jego prostej, a zacnej duszy, ale o wybitniejszym talencie dramatycznym (i wogóle poetyckim) nie świadczą bynajmniej. Opera, a raczej komedyjka ze śpiewkami, „Cud czyli Krakowiacy i Górale“, nie stanowi tu wyjątku: jest niewątpliwie najlepszym ze wszystkich utworów Bogusławskiego, nie mniej przeto utworem dość słabym; zasługuje jednak na bardzo zaszczytną wzmiankę w dziejach naszej literatury, a to ze względu zarówno na treść swojską, jak na szlachetną, obywatelską dążność.

Rzecz dzieje się pod Krakowem. W odślonie pierwszej i trzeciej „teatr przedstawia z jednej strony chałupy wiejskie, wpośród nich widać karczmę z wystawą, po drugiej stronie pod laskiem młyn i rzeka, na której stoi mostek; w głębi widać wieś Mogiłę, kościół i grobowiec Wandy“. W odślonie drugiej „teatr przedstawia las“. Osnowa zaś sztuki jest w krótkości taka. Stach, syn zagrodnika Wawrzyńca, kocha Basię, córkę młynarza Bartłomieja; dziewczyna płaci mu wzajemnością, ale cóż z tego, kiedy o małżeństwie dwojga młodych „ani se gadać nie da“ „nie-

wzruszona, jak góra w Tatrach skalistych“, macocha Basi, Dorota, która, sama się w Stachu podkochując, pragnie się pozbyć Basi i w tym celu przyobiecała jej rękę góralowi Bryndusowi; stary młynarz wolałby wprawdzie wydać córkę za Stacha, ale się nie śmie odezwać, bo go młoda żona „tak osiodłała, jak kobyłę starą“, i zgadza się na wszystko. Dziś więc jeszcze mają się odbyć zaręczyny Basi z Brynducem, którego tylko patrzeć. Na szczęście dla Basi i Stacha zjawia się w Mogile, z książkami i maszyną elektryczną na plecach, student wędrowny, Bardos, wypędzony ze szkół (jeśli tylko nie kłamie) za to, że miał więcej rozumu od swoich czcigodnych profesorów. Otóż student odrazu pomiarkował, co się dzieje w sercu Basi i Stacha, i; wzruszony ich niedolą, obiecuje im swoją pomoc. Niebawem przybywają zza Wisły górale z Bryndusem na czele, ale Bartłomiej, podmówiony przez Bardosa i ośmielony jego obecnością, odprawia ich z kwitkiem. Górale nie posiadają się z oburzenia, Bryndus zwłaszcza: „Nie, tego nie daruje, niechaj mie pioruny ubiją, jeżeli się nie pomsce za taką krzywdę!“ Daremnie Bardos usiłuje ich ułagodzić: górale uchodzą, ale nie z próżnymi rękami, — porywają Krakowianom bydło, przeprawiają się z niem na krypach przez Wisłę i co tchu umykają w swoje góry. Pędzą za nimi z pałkami Krakowiacy, ale nie dogoniliby ich nigdy, gdyby nie student, który pomknął zawczasu ze swoją „elektryką“ w las i przez drogę przeciągnął drut elektryczny; uciekający górale przewracają się jeden za drugim, aż tu przypadają Krakowiacy. Do bitki jednak nie doszło: Krakowiacy na wezwanie studenta spuszczaają pałki, a górale, zdumieni i oszołomieni różnymi „cudami“ maszyny elektrycznej, nietylko zwracają Krakowiakom bydło „co do jednej kozy“, ale nadto składają żal z serca, jedną się z nimi, i wszyscy w jaknajlepszej kompanii śpieszą napowrót do Mogiły, aby uczestniczyć w uroczy-

stości zaręczyn Basi ze Stachem: bo i Dorotę umiał mądry student ugłaskać, a raczej napędzić jej takiego strachu, że się raz na zawsze swoich „jamorów“ ku Stachowi odrzeka i zezwala na jego małżeństwo z Basią. Wszystko więc kończy się zobopólną radością i powszechną zgodą. Krakowiacy nie mają słów wdzięczności dla pocziwego studenta, który nawzajem pokochał prostych, ale dobrych wieśniaków, nie chce już wracać do Warszawy, gdzie panuje „przewrotna moda“, i osiedla się we wsi krakowskiej, gdzie „jeszcze szczerą zostaje cnota“.

Swojskość tematu, obfitość rysów obyczajowych z życia ludu polskiego oto główna zaleta „Krakowiaków i Górali“; ona to zapewnia im trwałe stanowisko w historii poezji polskiej XVIII w., wchłaniającej w siebie powoli nowe pierwiastki. „Wezwałem—mówi autor—całej mojej pamięci, całej zdolności do odmalowania zwyczajów, zdań, uczuć, mowy i zabaw ludowych“; i to powiodło mu się wcale nieźle. Trafnie np. uwydatnił żywot i porywczosć, pierwotność i odruchowość uczuć Krakowiaków i górali, ich przywiązanie do wsi rodzinnej i dobytku; odmalował ich zwyczaje i obyczaje, jakoto uroczystości weselne — przybycie pana młodego z družbami i podarkami, błogosławieństwo rodziców, pożegnanie panny młodej przez druchny, tańce, śpiewy i t. d. A wszędzie starał się Bogusławski wiernie odtwarzać rzeczywistość, nie zapominając i o języku: inaczej mówią chłopci, inaczej organista Miechodmucha, inaczej student Bardos. Przy pisaniu zaś utworu przyświecała autorowi dążność nietylko literacka, ale nadewszystko obywatelska: „Przyszła mi myśl wystawienia na scenę tych wesołych i rubasznych Krakowiaków, którzy, śpiewając, uprawiają ziemię, śpiewając, biją się za nią; świeży dowód ich męstwa pod Raclawicami (d. 4 kwietnia r. 1794) zapalił mój umysł“. Kochał Bogusławski lud wiejski i tę miłość swoją pragnął przelać w serca widzów,

którym przez usta Bryndusa taką daje naukę moralną:
„Nie pogárdzaj ubogimi, choć jesteś bogaty, bo nie
cynią nas wielkimi kléjnoty i saty; nie wydzieraj co cu-
dzego, sanuj wszystkie stany, poznaj w cieniu brata swego,
a będziesz kochany“. Tendencya więc „Krakowiaków i Gó-
rali“ jest wybitnie demokratyczna.

Odłona I, sprawa II. Stach, Jonek, Basia. (Stach i Jonek
rozmawiają przed młynem; przez okno na poddaszu mły-
na pokazuje się Basia).

Stach.

Basiu, moja dusecko! złeż tu do nas trocha!

Basia.

Nie mogę, bo młyn wejcie¹⁾ zamknęła macocha.
Ale patrzajcie jeno, jest ona w stodole?
Jezeli jój nie widać, zejđę choć po kole.

Jonek.

Niemaś jój; chwilka temu, posła za ogrody.

Stach.

Zejđź więc, tylko ostrożnie, abyś sobie skody
Nie zrobiła.

Basia.

Nie bój się, nie pierwszy róz ci to! (schodzi
po kole, Stach jej rękę podaje).

Stach.

Ach, Basiu, życie moje! cóżto będzie z nami?

¹⁾ wej, wejcie (patrz, patrz, patrzcie)=ot, oto.

B a s i a.

Abo co?

S t a c h.

Juz dwie krypy płyną z góralami.
Niezaślęgo tu staną.

B a s i a.

A to niech ta staną!

S t a c h.

To cie wej nic nic nie mártwi? to chces być wydaną
Za Bryndosa górala?

B a s i a

Nic z tego nie będzie:

Wsak wies, kiej u nás był tu po kołędzie,
Powiedziałam mu wyraźnie,
Ize já się z nim nie drážnie,
Ale mu scerze mówie, ze, jak dyábła, jego
Nie cierpie i ze pójde za Stacha mojego;
A ze on nie chce wierzyć, ze tak jest uparty,
Niech go biorą carty!
Jak przyjdzie, tak pójdzie z kwitkiem.

S t a c h.

Dobrze to, moja Basiu,, ale gdy z tém wsytkiém
Ociec cię musić będzie albo tez macocha?

B a s i a.

Ociec tego nie zrobi, bo mnie mocno kocha,
A matuli zaś powiem: matulu, słuchájta,
Kiej wám tak góral miły, to se go kochájta,
Já zaś wej za górala nie chce pójsć i kwita;

A jak mnie gwałtem weźmie, pozná, zem kobiéta:
Tak go gryźć, tak cartowsko żyć-em z nim gotowa,
Ze mu za jeden tydzień, jak kadź, spuchnie głowa...
Juz se wej nie gryź głowy, juz já w to poradze,
Ze tego natrętnego górala odsadze;
A jak będzie uparty, zaśpiewam mu wreście
Tę piosneckę, coto ją jakás panna w mieście
Swemu kawalerowi przed ślubem śpiewała,
Kiej go matka za niego gwałtem wyganiała.

(spiewa)

Mospanie kawalerze,
Nie zeń się, prose, zemną,
Bo já ci powiadám scerze,
Ze ci nie będę wzajemną...
Nie zdá się barán kozie,
I kacka nie zna kruka,
Wabia się ptáki w łozie,
Kuzde swojego suká.
Gdzie się w niewoli zyje,
Niemas tam wzajemności;
Pies na powrozie wyje,
Kuzdy pragnie wolności.

Odsłona I, sprawa X. (Słychać naprzód muzykę góralską; wkrótce przepływają dwie krypy z góralami i z góralkami, niosącymi różne rzeczy, jakoto: ser owczy, ryby suszone, kwiczoły i szpaki, bryndzę).

Chór góralów.

My, mieszkańcy Tatrów górnych,
Idziem do wás, Krakowiaków,
Niesiem w darze worek spáków
I sto sèrów przewybornych.

Jest i bryndza i lepienie,
Są kwicoły, jemioluchy;
Niechájze to nasycenie
Będzie dla wasój dziewuchy.
Przyjmijcie nás do gościny
I otwórzcie wase chaty,
A my pošlem nase swaty,
By dziś skończyć zaręciny.

Odłona I, sprawa XI. (Ciż sami, Bartłomiej, Dorota, Stach, Basia, Jonek, Miechodmuchi pijany; Krakowiacy i Krakowianki,—wszyscy wychodzą na przywitanie góralów. Basia i Stach są smutni, Dorota ma minę tryumfującą. Bardos trzyma kawał pieczeni przy ustach).

Bartłomiej.

Witamy gości do nás.

Miechodmuchi.

Witamy, witamy!

Za wasze zdrowie duszkiem szklanki wychylamy.

Bryndus.

Dziękujemy.

Morgał.

Dziękujemy.

Miechodmuchi.

O jakże się cieszymy,

Że przecie dzisiaj tańczować będziemy,

Dziś pierwsze zaręciny, a niedługim czasem

Bryndus łączy się z Basią, a Basia z Bryndaszem.

Obym wam prędko zagrał! obymi też kubany ¹⁾
Doształ, aby was, abym! obym!

Bartłomiej.

Skońc-ze, mój kochany
Panie Miechodmuch! Dosyć! niech raczej panowie
Spocną sobie z podróży.

Miechodmuch.

Zgoda! Ja za zdrowie
Ichmościów tylko jeszcze choć jedną szklanicę!

Bryndus.

A ja za pozwoleniem panačka mojego
I godnej mej matuli, niech oblubienicę [swego...
Przywitam. (całuje ją w rękę) Prawda? tęskniłaś bez

Morgal.

Jamanta.

Basia

Nie!

Bryndus.

Jakto nie?

Bartłomiej.

Ma dosyć zabawek.

Bardos.

Czasem też pasie krówki lub szuka turkawek.
Oj, już też nie dla ciebie przysmaczek, nieboże,
Którego ty tu szukasz!

¹⁾ pieniądze.

M o r g a l.

Oto mi wej spácek! Jednak casem moze
Wspomniała panienecka na swego Bryndusa?

B a s i a.

Raz tylko.

M o r g a l.

Bo nowego pewnie umizgusa
Dostała panna?

B a s i a.

Moze.

D o r o t a (ciągnie ją za suknię).

Cyt-ze!

S t a c h.

Mów wyraźnie!

D o r o t a.

Milc ze, bo jeśli z głupiem słówkiem się wysłiznies
To cię tak pálnę w papę, ze się as obliźnies.

M o r g a l.

To się panna Barbara pewnie tylko drąźni.
Zwyczajnie się panienki przed ludźmi sromają,
Nigdy nie mówią tego, co w serdusku mają.

B r y n d u s.

Já tez tak myślę. Bo tez, Bogu wejcie dzięki,
Tak dobrze, jak i drugi, wártem Baški ręki.
Wsak já przecie nie wypádl sroce z pod ogona!
Ráz mi Baška przez ojca była przeznaczona

Tego się trzymám! dla niéj, choć z niemałą stratą,
Odrzuciłem niedawno dziewczynę bogatą;
A wszyscy mnie z nią chcieli poswatać górále,
Miałać też i dobytek, miała i korále
I spore stado owiec i płócien niemało.
Aleć mi się to wsytko lichém w oczach zdało,
Jakem wpomniął na Basię!...
Przypatrzo się, jak zewsąd wyglądam przyjemnie.

(śpiewa)

Kazda mi mówi dziewczyna
Zem chłopák hozy i rosły,
Wysmukły jestem, jak trzcina,
Chodzę, jak zuraw wyniosły.

Wąs cárny, wargi zwiesiste,
Ustecka, kieby malowál,
Ciálecko biále i cyste,
Bom sie na mlečku wychowál.

Kiedy siekierką harcuje,
Wsycy odemnie zmykają,
Dziewki mnie okiem zmierzają,
Kiej im zwęgierska tańcuje.

Będzies się mogła pochlubić,
Ześ se chłopácka dobrała,
Po ślubie mnie będzies lubić,
Byleś mnie lepiej poznała!

S t a c h.

Nie wytrzymám i grzmotnę w kark samochwála!

J o n e k.

Cicho! będzie cas na to.

B a s i a.

Nie wiele dobrego

Mówią sąsiedzi o tym, co się sam wychwala.

M o r g a l.

Panienko, niemas u nás zádneho góralá,
Coby nie przyznál prawdy panu Bryndusowi.
On pierwszy rej prowadzi pomiędzy chłopáki,
Onto najzręcniej pstrągi i lepienie łowi,
On, jak kot, łapie w sidła kwicoły i spáki,
Biega wej, kieby jeleń, mil pietnaście na dzień,
Do Warszawy tez często chodzi z obrusami.
Co on się tam nasalál! oj, jemu z nás zádzien
Nie sprostá. Má tez olój w głowie!

Ś w i s t o s.

On wej z nami

Dwa razy w rok na odpust chodzi do Krakowa
On kompaniją wodzi, jako pierwsá głowa;
A gdy do Karmelitów przychodziem na Piaski
On nás zawse tak suto częstuje z swój flaski,
Ze, jak po nabożeństwie z kościoła wyjdziewa,
Co do krzyny wsięką rzepę w Krakowie wyjewa.

M o r g a l.

Łatwoć mu mieć przyjációł, bo też má i grose,
A więc já, jako pierwszy druzba, panny prose,
Aby, nie zwłóćąc dłużej chwalebneho dzieła,
Dó serca i do chaty swojej nás przyjęła.
Wprzódy jednak, jak káze zwycáj, bądźcie grzecni
Przypatrzeć się, jak wasi sąsiedzi zarzecni
Śpiewają i tańcują według swojej mody,
Kięj we swaty przychodzą do obcej gospody.
Nuz, chłopáki, do skoków! siądźcie gospodarze!
Já przyśpiewywać będę; zagrajcie, dudarze!

(Mazur góralski).

Darmo Baśka od nas stroni,
Bo już góral za nią goni;
Góral má nogi bocianie,
Kogo zechce, to dostanie.
Ráz się Dosia Bartka bąta
I na górę uciekała,
Ależ też zato z wierzchołka
Wywróciła w dół koziołka.
Łapał góral jemioluchy,
Skraść mu je chciały dziewczuchy,
A ze siedła poruszyły,
Same się siátką nakryły.

Bartłomiej.

Prosiewa teraz z nami wspołem na śniadanie,
Potem z sobą o rzeczy pomówiewa.

Dorota.

Panie

Bryndus, weźcie za rękę swoją narzeczoną,
Wsak ona już niedługo będzie wasą żoną.

(do Basi).

Dajże mu rękę, ani słowa piśnij!

§ 98. Na ostatnie lata niepodległości Polski, zwłaszcza na epokę sejmu czterolętniego, przypada świetny rozkwit literatury politycznej, na którą się składają zarówno duże książki i traktaty, jak małe broszury i świstki ulotne, oraz mowy sejmowe. Przez mądrość swoją i miłość ojczyzny jest ta literatura wspaniałą ozdobą naszego piśmiennictwa wieku oświeconego, jest nadto niezbitym dowodem, a jednocześnie potężnym czynnikiem odrodzenia mądrości

politycznej w społeczeństwie. Że „liberum veto“ jest klęską dla Polski i zbrodnią wobec ojczyzny,—tę prawdę rozumiano już dzięki Konarskiemu (§ 74); teraz chodziło o to, aby rozumiano, że klęską jest i tron obieralny i skarb pusty i brak potężnej armii i upośledzenie mieszczan i chłopów: przekonać o tem społeczeństwo, zachęcić je do podjęcia reformy i wskazać mu do niej drogę,—oto jakie zadanie miała nasza literatura polityczna i publicystyka. I spełniła je uczciwie: dowodem tego—Konsytycyja 3 maja, która jest owocem mądrości i patryotyzmu nietylko mężów stanu, ale—w znacznej części—i pisarzów, którzy piśmami swemi rozbudzili w sercach miłość ojczyzny, a w umysły wpoili przekonanie o konieczności reformy. Na czele tych pisarzów stoją Staszyc i Kołłątaj.

Ksiądz **Stanisław Staszyc**, mieszczanin wielkopolski, urodzony w Pile (1755—1826), to jedna z najpiękniejszych postaci, jakie wydała Polska przez wszystkie wieki swojego istnienia, jedno z najszlachetniejszych i najgorętszych serc, jakie kiedykolwiek na ziemi polskiej biły, jeden z najlepszych i najzasłużeńszych jej synów, godny stanąć obok Modrzewskiego, Skargi, i Konarskiego; Modrzewskiemu nie ustępował szlachetnem sercem, Skardze — płomiennym patryotyzmem, Konarskiemu — mądrością, a zwłaszcza siłą woli. Rozległością zaś i wszechstronnością wiedzy oraz jej namiętną, gorączkową żądzą nie dorównał Staszycowi nikt w dawnej i nikt we współczesnej mu Polsce, a w Polsce późniejszej—bardzo niewielu. W młodym wieku, za radą świątłego ojca, wyjechał zagranicę, kształcił się w uniwersytetach niemieckich i francuskich, zwiedził Niemcy, Szwajcaryę, Francję, Anglię, Hollandyę, później, już w wieku dojrzałym,—Włochy, a ziemię rodzinną poznał i zjeździł tak dokładnie i z taką miłością, jak nikt za jego czasów. Ulubionym przedmiotem jego studyów były nauki przyrodnicze: fizyka, historia naturalna i umiłowana nade-

wszystko geologia. Ale to mu nie wystarczało; z niemniejszym zapalem oddawał się filozofii, naukom politycznym i społecznym, historii rodzaju ludzkiego w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, a więc historii umysłowości i cywilizacyi, religii i obyczajów, państw i społeczeństw. Słowem, Staszyc to jeden z największych erudyków nie tylko polskich, ale i europejskich; mało kto na świecie całym wziął tak gorąco do serca zasadę starożytną: „Jestem człowiekiem, i obchodzi mnie wszystko co ludzkie“. Posiadając tak rozległą, tak olbrzymią wiedzę, nie wszystko, oczywiście, czego się nauczył, mógł Staszyc gruntownie przemyśleć, tem więcej, że byłą natura niesłychanie żywa i wrażliwa, gorączkowa i zapalna: kiedy go olśniła jakaś myśl, własna czy obca (np. Russa, którego był gorącym wielbicielem), brał ją na wiarę, nie spostrzegając się często, że ona jest w niezgodzie z jego własną, dawniej nabytą, myślą: a stąd w pismach jego, obok myśli naprawdę głębokich (a zawsze szlachetnych), trafiają się rażące sprzeczności.

Jak ogół uczonych i myślicieli wieku oświeconego, tak i Staszyc wierzył, że nauka i oświata, rozwijając się i rozpowszechniając, dadzą wreszcie ludzkości zupełne szczęście na tej ziemi, bo za główne źródło nieszczęścia poczytywał ciemnotę; wogóle miał mocną, a nawet ślepą, niemal bałwochwalczą, wiarę w postęp, którego też był najgorliwszym, najgorętszym rzecznikiem, i odzywał się z pewnem politowaniem o tych ludziach, „którzy, jak bobry, śladem swoich ojców zawsze jedno budują i zawsze jedno myślą“, albo też nie umiejąc myśleć, lękają się, gdy drudzy myślą“. On tymczasem wołał rzeczy nowe od starych, a myśleć nie obawiał się nigdy: było, co się nazywa, człowiek wolnomyślny. Lecz ta wolnomyślność była źródłem jednej z jego tragedyi duchowych.

Był dzieckiem, kiedy matka przeznaczyła go na księdza: „Matka—pisze w swej autobiografii—była pełna ludzkości, nadzwyczajnie do swych dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesady: tej jej miłości, jako ku najmłodszemu z dzieci, i tych jej religijnych uprzedzeń stało się skutkiem od dzieciństwa przeznaczenie mnie do do stanu duchownego: w dzieciństwie zdrowie moje było słabe, — miłość ku mnie matki i przesąd skłoniły ją, że uczyniła ślub Bogu, iż od dziedzinstwa w poświęconej Musukience wychowany będę; dopełniła swe śluby; w takiej odzieży od dzieciństwa byłem wychowany, a przez wzajemną miłość ku tej najlepszej z matek, rosnąc, wchodziłem w jej czucia, w wszystkie nieustannie wskazywane mi życzenia bym zachował stan duchowny, w którym mnie Bogu poświęciła“. Otóż Staszyc obiecał matce, że spełni jej życzenia, że zostanie księdzem, — tem więcej, że w latach młodości poczytywał religię katolicką za „jedyną prawdziwą“ (jak to sam wyraźnie zaświadcza w swoim dzienniku podróży zagranicznej); o Wolterze mówił z ironią i goryczą, że, „pełen chwały i hańby, jak żył, tak i umarł, wedle teraźniejszej i filozoficznej mody, bez pokuty i świętych Sakramentów“. Więc, po powrocie z zagranicy, przyjął święcenie kapłańskie: widocznie, że albo jeszcze wierzył, albo choć się już chwiał w wierze, ale sądził, że czasem dawną żywą wiarę odzyska. Tymczasem stało się inaczej: im dalej w czas, tem się bardziej od religii objawionej oddalał; szanował ją wprawdzie, rozumiał, że często człowiek, utraciwszy wiarę, traci i moralność, że „z wolnego myślenia pochodzi wolne, czyli raczej rozwiozłe życie“; zalecał—nawet praktyki religijne i radził wydać prawo, nakazujące lekarzom, „aby się żadnej choroby nie podejmowali, dopokąd chory spowiedzi nie odprawi“: ale sam już nie wierzył i corazto się więcej umacniał w poglądzie, głoszonym przez pisarzy francuskich, że Kościół to krze-

wiciel ciemnoty, przesądów, zabobonów i fanatyzmu; teologii nie cierpiał, teologów nazywał ironicznie „bogomędracami“, księży — „zabobondawcami“, a fanatyków — „wściekłobożcami“. I na tem właśnie polega pierwsza tragedia jego życia: był księdzem, a nie wierzył... Miał trzy drogi do wyboru: albo rzucić sutannę (jak to za jego czasów nie jeden duchowny zrobił), albo pozostać księdzem i spełniać obowiązki kapłańskie, udając, że się wierzy, albo wreszcie pozostać księdzem, ale obowiązków kapłańskich nie pełnić. Sutanny nie rzucił, bo nie chciał być powodem zgorszenia; udawać nie chciał — i nie umiał: więc pozostał księdzem, ale ani obowiązków kościelnych, ani wogóle obowiązków kapłańskich (z wyjątkiem kazań, które podobno wygłaszał niekiedy dla ludu wiejskiego) nie pełnił: za czysty, za szlachetny był na to, aby, nie wierząc, udawać, że wierzy, aby oszukiwać Pana Boga, ludzi i samego siebie. I w tej swojej wolnomyślności wytrwał do końca życia: przed śmiercią nawet wypowiadać się nie chciał, mówiąc, że „nie potrzebuje gadać że sługą, kiedy lada chwila rozmówi się z Panem“.

Mylili się jednak i krzywdzili Staszycy ci, co go pomawiali o bezbożność: on nie wierzył w dogmaty religii katolickiej, ale bezbożnikiem nie był nigdy; w Boga wierzył całym sercem, — wierzył nietylko w Jego istnienie, jak deści, ale i w Jego Opatrzność: „Stwórca świata założył drogi, któremi wszystko biegnąć musi do zamierzenia Jego“; za jedyną zaś drogę, wiodącą ludzi do zamierzeń bożych, poczytywał świętą naukę Jezusa Chrystusa, — naukę miłości człowieka: „Jaki zamiar Stwórcy w człowieku na tym świecie? co najpewniej gruntuje szczęście stałe człowieka? Tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi. Tylko ten postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi i udoskonałi los współczesnych lub całych

plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego przeznaczenia, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło“. A nie były te słowa pustym dźwiękiem! Dla siebie skąpy, hojną dłonią wspierał Staszyc bliźnich, był prawdziwym ojcem dla chorych i ubogich, szczególną opieką i troskliwością otaczając lud wiejski: dosyć powiedzieć, że, dorobiwszy się znacznego majątku, nabył zozległe dobra (hrubieszowskie) i podzielił je między włościan—z prawem własności.

Miłość zaś bliźniego połączyła się w jego sercu i czynach we wspólną całość z miłością ojczyzny; Staszyc to jeden z najgorętszych patriotów, jakich miała Polska. Wygłosił kiedyś zasadę, że głównym celem wychowania narodowego „być powinna użyteczność obywatela“, że „dzieci, które najpierwszy raz otwiera swoje oczy, nic innego widzieć nie powinno nad ojczyznę, dla której samej tylko zamknąć je niekiedy obowiązek będzie miało“. Tej własnej zasadzie służył wiernie: „najwyższą miłość“ kraju wyssał, jak sam mówi, z piersi matki, nosił ją w sercu przez całe swoje życie i oczy zamknął dla ojczyzny. Kochał ją całym żarem swego namiętnego serca, a kochał w niej nie tylko bratnie plemię polskie, ale i ziemię polską; on pierwszy w literaturze naszej wypowiedział z taką siłą uczucia przywiązanie do ziemi, do natury polskiej, która mu się miłą, piękniejszą od obcej być zdawała: „Nie umiałbym wytłumaczyć mego uczucia powodu i wiem, że nie każdy mi uwierzy, przecież ja opowiem, co rzeczywiście moja dusza czuła, chociażby to moich zmysłów omamieniem było. Polskiego oddech powietrza zdawał mi się wolniejszym, i wiatr stamtąd niósł w sobie coś miłego; niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zielńsze... Rzecz większą uważałem: ptastwo, z południa na północ przenosząc się, dopokąd nad innymi krajami leci, bojaźliwe i posępne bywa, ani z wesołością śpiewać, ani

nawet żalości świerkocić nie śmie, boi się piórkiem szelstu uczynić: skoro na polskiej stawa granicy, natychmiast krzyczy wesoło; śmieiej całemi robiąc skrzydłami, głośny po powietrzu turkot sprawuje i tam dopiero swoje miłosne świerki zaczyna“. Dźwignąć i uszczęśliwić tę ziemię ukochaną, złożyć jej w ofierze wszystkie nieprzebrane skarby swojej przebogatej natury—i serce kochające i wiedzę rozległą i wolę żelazną,—oto główne przykazanie i główna treść całego życia Staszycyca, a zarazem — jego druga tragedia: chciał służyć matce - ojczyźnie ten jej najlepszy syn, a ona wzgardziła jego służbą, bo matką była tylko dla szlachty, dla mieszczan zaś i chłopów — macochą. A Staszyc urodził się mieszczaninem: „Przy wstępie moim na świat znalazłem... przed sobą zapory nieprzystępne w każdym stanie: w duchownym, wojskowym i cywilnym;... zrodzony z tak zacnych i cnotliwych rodziców,... przecież wszędzie wstydić się musiałem swego urodzenia, wszędzie je znalazłem okryte wzdardą, odrzucone od czci, od urzędów, od ziemi“. Później dopiero, już w Polsce porobiorowej, nie będzie się potrzebował wstydić swego urodzenia, — pole służby politycznej stanie mu otworem: to też z młodzieńczym zapałem rzuci się do niej i na każdym niemal polu pracy narodowej — i nauki i wychowania publicznego i rolnictwa i przemysłu — położy nieśmiertelne zasługi, stwierdzając prawdę własnej świętej zasady, wypowiedzianej po upadku Polski: „Paść może i naród wielki, zniszczyć może, tylko nikkzemny!“ Ale tymczasem, w Polsce jeszcze niepodległej, nie mógł się, mimo serdecznej chęci, zaprzędz do służby publicznej. Pracował zato dla ojczyzny—piórem: na widok bijących w nią niebezpieczeństw, które mu serce krwawiły, oraz pod wpływem jednego z najznacniejszych i najmędrszych patriotów polskich XVIII w, Andrzeja Zamojskiego, w którego domu był nauczycielem, jał Staszyc rozmyślać nad sposobami

uratowania Polski od upadku. Owocem tych rozmyślań są dwa znakomite dzieła, które wywarły nieopisane wrażenie, jedno, ogłoszone na lat trzy przed rozpoczęciem wielkiego sejmu, a drugie, już podczas jego obrad: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“ (1785) i „Przestrogi dla Polski“ (1790). Tymto właśnie pismom zawdzięcza Staszyc swoje nieśmiertelne stanowisko w historii literatury polskiej.

Nie odznaczają się one ani porządnym układem treści, ani piękną formą: przeciwnie, pisane są bezładnie, co więcej, jedna myśl przeczy czasem drugiej, styl jest często zaniedbany i niejasny, czasem pozbawiony prostoty i sztucznie uroczystry (deklamacyjny), język zaś często niepoprawny i dziwaczny. Wszystko to prawda: ale i to prawda, że w całej literaturze niepodległej Polski niewiele jest pism, tak mądrych i szlachetnych, i niema ani jednego, w którymby uczucie patryotyczne przemówiło z większą siłą i ogniem.

Myślą przewodnią pism Staszycyca jest zupełnie to samo, co wypowie później Mickiewicz w tych mądrych i ślicznych srowach „Ody do młodości“: „Razem, młodzi przyjaciele! W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!“ To jest: nikomu nie wolno uganiać się za swoim osobistym szczęściem, o ile ono jest sprzeczne ze szczęściem całego społeczeństwa; albo inaczej; każdy człowiek powinien poczytywać za szczęście dla siebie tylko to, co jest szczęściem dla całego społeczeństwa, a za nieszczęście to wszystko, co jest dla społeczeństwa nieszczęściem: Bo „Społeczność—mówi Staszyc—jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele“, a nietylko członkami, ale i własnością, a stąd „zostać obywatelem jest wyzuc się, czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu“ i uwierzyć, że na tem właśnie polega największe i jedyne prawdziwe szczęście jednostki, do którego dążyć może i powinna. Aby jednak społeczeństwo stanowiło na-

prawdę „jedną moralną istotność“, do tego potrzebny jest odpowiedni rząd, — państwo. Na państwo zapatruje się Staszyc podobnie, jak Modrzewski (§ 30): jak jednostka, tak i państwo jest własnością, jest sługą społeczeństwa, a ta służba polega na tem, że państwo powinno zapewnić społeczeństwu warunki, potrzebne do osiągnięcia powszechnego szczęścia: oto jedyne zadanie i cały sens państwa! I jakież to warunki? Pierwszym jest, oczywiście, urobić duszę każdego obywatela tak, aby właśnie uwierzył, że jego szczęściem jest „użyteczność dla towarzystwa“, że „nikt go szczęściem jest „użyteczność dla towarzystwa“, że „nikt do niewoli, ale każdy rodzi się do posłuszeństwa“. Urobić zaś duszę człowieka można tylko w młodości („A ze słabością łamać uczmy się za młodu!“, mówi Mickiewicz), a to za pomocą wychowania; otóż wychowanie w duchu obywatelskim, narodowym, to pierwszy warunek szczęścia społeczeństwa, a zatem pierwsze zadanie państwa: „Każda edukacja krajowa tylko się pod strażą rządu utrzymuje“. To zadanie państwo polskie już spełniło, tworząc ministerjum oświaty, t. j. „Komisję Edukacyjną (§ 75), której się też Staszyc nachwalić nie może: „Niech tylko czuły naród pracę, cnotę i prawdziwą, bo niepłatną, ojczyzny miłość zasiadających w tej Komisji obywatelów bierze za przykład i z wdzięcznością uwielbia! Tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej tak oddychać nie-szczęśliwej Rzeczypospolitej pozwoli,—tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojej szczęśliwości stworzycielów, z uszanowaniem czcić i wspominać będzie“. Żąda jednak Staszyc, aby się nietylko wychowanie publiczne, ale i prywatne, odbywało pod ścisłym dozorem Komisji.

Natomiast nie spełniła Polska dwu innych warunków, niezbędnych do szczęścia społeczeństwa; a są nimi, po pierwsze, potęga, a po drugie, sprawiedliwość państwa.

Polska musi być państwem potężnem, bo inaczej do reszty rozszarpią ją sąsiedzi, aby zaś być potężnem państwem, musi mieć dobry i silny rząd. Za najlepszą postać rządu poczytywał Staszyc ustrój republikański; państw monarchicznych nie cierpiał z całej duszy, poczytując panujących za nieprzyjaciół wolności i wrogów rodzaju ludzkiego: ale, z drugiej strony, rozumiał, że, ponieważ Polska jest „obtoczona despotycznymi krajami“, więc i ona musi być także państwem monarchicznym; inaczej, jeżeli się nie przystosuje do współczesnych „związków politycznych“, zginie, jak Bóg w niebie, bo „rzecz niepodobna w pośrodku ognia nie być parzonym“. I oto swoje ideały republikańskie składa Staszyc na ołtarzu zdrowego rozsądku i miłości ojczyzny: „Większego złego chroniąc się, obieraj mniejsze!“; „pierwej naród, potem swobody! pierwej życie, potem wygoda!“ Słowem, Polska powinna zostać królestwem, ale król powinien być nie obieralny, tylko dziedziczny: „Ustanowienie następstwa tronu utwierdzi na długo Rzeczypospolitej trwałość“. Szkoda jednak, że temu dziedzicznemu królowi Staszyc nie przyznaje, właściwie mówiąc, żadnej władzy, bo odbiera mu nawet władzę mianowania urzędników i senatorów, którzy, jego zdaniem, powinni być obieralni. Całą zaś władzę prawodawczą i wykonawczą oddaje Staszyc sejmowi, ale nie zbierającemu się raz na dwa lata, tylko „sejmowi nieustannemu, t. j. zawsze do zwołania gotowemu“, na którym „głosów większość prawa stanowić powinna“.

Lecz ani tron dziedziczny, ani silny rząd nie ocalał Polski, póki nie będzie miała stałej i potężnej armii, liczącej sto, a choćby i dwieście tysięcy żołnierza; ale, aby módz utrzymać tak wielką armię, trzeba pieniędzy, a tymczasem skarb polski pustkami świeci; trzeba więc powiększyć dochody państwowe, a ponieważ ich głównem źródłem są podatki, więc „żaden stan, żaden obywatel od

podatku wyjętym być nie powinien"; to znaczy, że podatki powinni płacić nietylko chłopci i mieszczenie, ale i szlachta: Staszyc jest pierwszym, który się tak śmiało i jasno domaga powszechnego opodatkowania, przed nim bowiem mówiono o tem zaledwie półgębkiem. Ale nie dosyć na tem. Żeby można było, rozumuje Staszyc, wystawić tak ogromną armię i powiększyć dochody państwowe, potrzebna jest, oczywiście, jaknajliczniejsza ludność i, co na jedno wychodzi, jak największy jej dobrobyt, to tylko bowiem państwo „ma ludność wielką, składa podatek wielki, które ma urodzaje wielkie“. A kiedy ziemia będzie miała „urodzaje wielkie“? Tylko wtedy, „gdy się koło niej praca powiększy“. A kiedy się praca powiększy? Odpowiada Staszyc: „Ci ludzie tylko więcej pracować będą, gdy wszyscy zdolni do nabycia własności zostaną“. I oto rząda Staszyc uwłaszczenia włościan i wogóle równouprawnienia wszystkich warstw społecznych, wskrzeszając tym sposobem wielką myśl Modrzewskiego. Równouprawnienie — oto środek do urzeczywistnienia przez państwo drugiego warunku, niezbędnego do szczęścia społeczeństwa: sprawiedliwości, która jest z potęgą państwa nierozłączna. I słusznie nazywano Staszycą patryarchą demokracji polskiej, bo nikt przed nim tak jasno i gruntownie nie dowiódł, że szlachta jest nie narodem, ale tylko jedną jego częścią, tylko jednym stanem; że naród, jako całość, (jako „jedną moralną istotą“) tworzą dopiero wszystkie jego warstwy, jako części, tak ściśle z sobą spojone, iż nieszczęście jednej jest nieszczęściem każdej innej i zarazem nieszczęściem całości, a szczęście jednej jest szczęściem każdej innej i zarazem szczęściem całości. „Wniosek oczywisty: że, cokolwiek inne stany uczynią, dla stanu rolniczego, to uczynią dla kraju; kiedykolwiek wieśniaka dostatkami powiększą, zawsze oni wraz z krajem staną się majątniejszymi, bogatszymi i swobodniejszymi; gdziekolwiek

rolnik zhańbiony, tego kraju szlachcic w pogardzie; gdzie rolnik niewolnikiem, tego kraju szlachcic musi być każdym sługą“. Więc „ratuj się, szlachto! nie potrzeba, abyś traciła swoje swobody i wolność, ale potrzeba, abyś swoje prawa upowszechniła, abyś powiększyła liczbę obywateli swobodnych i wolnych!“ „Bez odmiany poddaństwa rolnika doczesne są wszystkie inne w Rzeczypospolitej odmiany“; „jakiegokolwiek poczynicie w Rzeczypospolitej ułożenia, jakiegokolwiek porobicie w jej rządzie poprawy, jeżeli tej fundamentalnej ustawy nierządu feodalnego nie wzrusicie, będąto tylko odmiany powierzchowne; przedłużą, ale nie odwrócą od narodu tej nieszczęśliwej epoki, tego powszechnego zburzenia, którem nas ogarnie wewnętrzny albo zewnętrzny despotyzm“. Trzeba więc znieść poddaństwo chłopu, a więc pańszczyznę i sądy patrymonialne, dać mu grunt na własność z prawem dziedzictwa, pozwolić mu się przesiedlać z miejsca na miejsce,—jednym słowem zrobić go wolnym obywatelem kraju: a wówczas chłop będzie miał za co pokochać ojczyznę, będzie jej wiernym synem! I to jest największe, najmędrsze, najszlachetniejsze słowo Staszycy i całej literatury polskiej XVIII wieku!

Zupełnego równouprawnienia chłopów nie domaga się Staszyc (podobnie jak Modrzewski); ani jednym słowem nie wspomina o tem, że i chłopci powinni mieć swoich posłów w sejmie i piastować urzędy; niewątpliwie, pragnął tego z całej duszy, ale wiedział doskonale, że takie żądanie byłoby jeszcze przedwczesne—i dla chłopów, którzy po całych wiekach niewoli i ciemnoty nie byli jeszcze zdolni do życia politycznego, i dla szlachty, któraby z pewnością ryknęła na to z oburzenia.

Śmiałej poczyna sobie Staszyc z mieszczanami: trzeba nietylko przywrócić im prawo nabywania ziemi, ale nadto dopuścić ich do piastowania godności (duchownych, cywilnych i wojskowych) i do wysyłania swoich posłów na sejm, którzyby zasiadali w jednej Izbie z posłami szla-

chleckimi, —a wówczas dopiero „miasta i szlachta będą jednym narodem“.

Te są główne myśli Staszycy. Na szczęście, głos jego nie był głosem wołającego na puszczy (jak w XVI wieku głos Modrzewskiego): nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego pisma utorowały drogę uchwałom sejmu czteroletniego, które są nie zupełnem, niestety, ale częściovem arzczywistnieniem jego mądrych i szlachetnych projektów reformy. Ale bo też umiał Staszyc przemawiać nietylko do rozumu, lecz i do wyobraźni, do serca, do sumienia; słowem umiał wstrząsnąć całą duszą polską — tak potężnie, jak nikt w całej literaturze niepodległej Polski, nie wyłączając samego Skargi! Aby oddziałać na wyobraźnię czytelnika, Staszyc kładzie mu przed oczy obrazy, których treścią jest to okropna nędza chłopca polskiego, to dokonana pod obcą przemocą elekcyą Stanisława Augusta, to przekłętą pamięć sejm roku 1773 pod laską zdrajcy Ponińskiego, krótko mówiąc—wszystkie nieszczęścia i grzechy Polski; opisuje też chętnie (za przykładem Russa) swoje wizye, które miał niyto we śnie albo i na jawie, a których treścią są znowu nieszczęścia ojczyzny, zwłaszcza upośledzenie włościan. Aby przemówić do serca, to prosi Staszyc i błaga, to upomina i zaklina, to grozi i gromi, to zawstydzia i straszy; i śmiało powiedzieć można, że, jak Skarga w wieku XVI, tak on w XVIII był tyranem dusz ludzkich. Poprawnością języka, pięknnością stylu i wogóle sztuką, Staszyc się nawet równać ze Skargą nie może, ale przewyższa go, jeśli nie potęgą, to namiętnością i gwałtownością uczucia. Miłość ojczyzny wyraził Skarga w swoich „Kazaniach sejmowych“ piękniej, majestatyczniej, Starowski w swoim „Lamencie“ (§ 56) — rzewniej, ale ani jeden, ani drugi nie wyraził jej z taką wręcz żywiołową gwałtownością uczucia, z takim ogromem strasznego bólu patryotycznego, upokorzenia i wstydu na widok jej upad-

ku i świętego oburzenia na jej zdrajców. Z większą słą przemówiła miłość uieszczeniowej ojczyzny—dopiero w poezyi Mickiewicza. A jak Skardze w wieku XVI, tak Staszycowi w XVIII nikt nie dorównał odwagą cywilną; nikt nie ośmielił się z taką, już nie bezprzykładną śmiałością, ale z szaloną furią napaść na tych, o których Skąga mówił, że „mają złodziejskie serca“,—na magnatów; akt oskarżenia przeciwko możnowładcom jest, zapewne, zbyt namiętny, bo czyni ich odpowiedzialnymi za wszystkie nieszczęścia Polski (jak gdyby i szlachta nie była za nie odpowiedzialna): ale w swojej odwadze i namiętności jest wprost niezrównany, nie mówiąc już o tem, że zawiera w sobie dużo, bardzo dużo prawdy! A obok tego ustępu godzien stanąć inny, także wspaniały, pisany krwią i łzami,—obraz niedoli chłopskiej, ten najwymowniejszy, najpiękniejszy, najgorętszy wyraz uczucia polskiego XVIII wieku, wznoszący się do godności prawdziwej poezyi serca. I, jeżeli kto w XVIII w. zasługuje na to, aby nosić miano poety serca, to nie Karpiński, nie Książnin, tylko jeden jedyny Staszyc.

Obraz niedoli chłopskiej. Jakiż to wspaniały widok. W zgromadzeniu z samego wyboru obywatelów złożonem, które o uszczęśliwieniu milionów ludzi radzi, widzieć króla na tronie, po którego prawicy leży księga prawa! Taka wielkość, pierwszy raz widziana, przeraziła mię: przed takim tronem głęboko uszanowaniem przejęty, stanąłem zdaleka w gminie ludu różnego. Jak spracowanego długą drogą podróżnika z gór biegnących strumieni mruczenie albo bliższych drzew liścia szelest miłym snem usypia, tak mnie, rażonego wspaniałością tronu, wolne tłumy ludzi ruszanie się i ciche po tem całym mnóstwie gwary w zamyślenie schwytiły... Usłyszałem z tyłu głos, który mi przerwał dalsze myśli: człowiek w odzieży ubogiej, jego twarz ukazywała z nieszczęśliwością niewinność; nie był on dzie-

łem sztucznej edukacji, nie miał nauk, ale był człowiekiem natury: miał czułość. Ten z nieśmiałością zapytał mi się, ktoby w tem zgromadzeniu był królem. W tej ciekawości zaspokojony, prosił dalej, coby ta kopa ksiąg przy królu znaczyła. „Sąto księgi — odpowiedziałem — którym wszyscy naszą wolność i szczęśliwość winniśmy!... sąto prawa, które dają nam wszystkim życie, majątek i sławę“. Na te słowa rzuciły się lzy z oczu człowieka owego. Przeraziło mię to. Pytałem się ciekawie tego zmartwienia przyczyny. Westchnął i w te odezwał się słowa: „Ach! nie wszystkim te prawa zapewniają majątek i życie! W tej wielkiej kopie ksiąg tylko kilka tysięcy obywatelów znajduje sprawiedliwość, miliony tegoż kraju mieszkańców żadnego w nich nie mają ratunku! Z miliona tych nie-szczęśliwych i ja jestem. Zachowałem przykazania boskie, żyłem według świętej religii mojej prawideł, nie wyrzucił mi sumienie, abym kiedykolwiek skrzywdził bliźniego... Chociaż czułem okrutny los poddaństwa mojego, przecież, sądząc go być Opatrzności zrządzeniem, w dzień pracowałem wiernie panu, pracowałem i po nocach dla wyżywienia żony i dzieci... Pociągano mię nad powinność do robocizny, wypędzano do najcięższej pracy, w drogi najgorsze, gdzie siebie i cały mój dorobek zniszczyłem. Nie mogłem cię uskarżyć nikomu, gdyż mi nikt sprawiedliwości uczynić nie mógł, tylko pan. Miałem trzech synów; z tych średni, widząc, iż ledwie jeden nadzieję mieć może objęcia roli po mojej śmierci, a drudzy bez ziemi i bez chleba żyć będą, musieli, i krajowi i sobie nieużyteczni,—nic mi nie odpowiedziawszy, odszedł; jakom się potem dowiedział, uczył się rzemiosła. Po oddaleniu się jego z domu, pan, surową karą mi grożąc, jeżeli mu syna nie przystawię, owszem zaraz do więzienia osadziwszy, nie wypuścił mię, dopokąd mu kilkaset złotych za własnego syna nie zapłaciłem. Wkrótce potem sądząc mię być

bogatym i spodziewając się więcej u mnie pieniędzy, kazał mię znowu wziąć do kłody i trzymał dopóty, dopokąd mu syna nie powrócę. Gdy wołałem o sprawiedliwość, przypominając, że go już drogo opłaciłem, pan nazwał ten żal mój zuchwałością; zaraz kazał mi wszystko z domu pozabierać, a okrutnie mię skatowawszy, w kajdany zakutego wrzucono do chlewa. Wydobyłem się z tego lochu, uciekając z nieszczęśliwym życiem: czuję aż nadto, iż dla mnie w kraju niemasz sprawiedliwości... Tylko ten, który mnie krzywdzi, tylko mój tyran być może moim sędzią! W tych prawach mego stanu człowiek nie znajduje więcej od bydła obrony! Król nawet nie może być ojcem nas wszystkich!“

Tu przerwałem mu, nie mogąc dalej wstrzymać mej czułości. Złorzekłem barbarzyństwo kraju, a nie mogąc bliźniemu poradzić, tem tkliwiej czułem nieszczęście jego. W tym jednym przykładzie zdawało mi się widzieć nieskończone krzywdy miliona rolników. Stały mi łzy w oczach... Nagle spostrzegłem przed bramą mnóstwo ludzi, z których każdy trzymał w ręku papiery... W jednym ręku taki był napis: „Cztery miliony pięćkroć sto tysięcy najużyteczniejszych mieszkańców, których chociaż stan różniac od ludzi zdaje się, przecież nam religia odkrywa jednak i z innymi ludźmi początek, ucząc, że wszyscy od jednego Ojca pochodzimy, że każdy inny człowiek jest naszym bliźnim,—więc na miłość bliźniego zaklinamy, prosząc nie o co innego, tylko, aby równą z każdym innym człowiekiem sprawiedliwość mieliśmy; aby ten, kto nas krzywdzić może, nie był w własnej sprawie i stroną i sędzią“.

U drugich widziałem ten wyraz: „Milion kilkadziesiąt tysięcy kobiet, które w krótkim czasie wdówinasób kraj zaludnią, jeżeli, podług praw boskich, nie pańska wola, ale własna ich wola ślub małżeństwa ważnym uczyni, je-

żeli jednej wsi granice nie będą dla nich człowieczeństwa granicą“.

U innych czytałem: „Milion czterekroć sto tysięcy ludzi młodych, jeszcze dwudziestu lat nie mających, przyrzeka w lat kilka liczne Rzeczypospolitej wojsko, obiecuje powiększyć krajowe bogactwa, oszczędzić te miliony, które cudzoziemskim fabrykantom bez powrotu kraj wypłaca, jeżeli, zamiast uporczywej i namiętnością omamionej dziedzica woli, prawo wróci im wolność naturalną pracowania koło swej żywności wszelkimi, pozwołonymi w kraju, sposobami i uczenia się, według każdego chęci i zdatności, różnych fabryk i rzemiosł; jeżeli nie jedna wieś, ale cały kraj będzie ich krajem“.

Wpółśród tego tłumu słyhać było tu i owdzie przeźraźliwy rozpaczający płacz i jęk, wołanie do nieba o pomstę uczynionej im krzywdy i przekleństwo okrutnej niesprawiedliwości. Przybiegłem do jednego z nich i zapytałem się, co cierpiał. „Krzywdę od samego prawa“, rzekł z zapamiętałością, rzucając mi kartę. Podniosłem ją. To zawierała w sobie: „Jestem syn poczciwego ojca i dobrego obywatela. Rodzice dali mi wychowanie, stosownie do tego majątku, który, przy ciężkiej a sprawiedliwej pracy, całe życie dla mnie zbierali i który, jako syn, dziedziczyć miałem. Przebrzydłe łakomstwo odkryło po śmierci ojca mego, że nie był szlachcicem. Nagle ja utraciłem wszystko, zostałem się bez sposobu do życia; ciężką pracą ojca mego, tę najsprawiedliwszą własność moją, obcy człowiek bezsumienny zagrabił“. Oddałem mu czempredzej kartę. Nie mogąc znieść tego niesprawiedliwości obrazu, uciekłem, abym zgubił z oczu te nieszczęsne gwałtu ofiary.

Gdym już nikogo nie widział, rzekłem sam do siebie: „Jakież to praw straszdyń! Niewola, gwałt, bezżeństwo, publiczne cudzego majątku odzierstwo, prawem upoważnione: Takie barbarzyństwo w ośmnastym wieku! Rzcz-

pospolita z takimi prawami... czyliż długo utrzymywać się sądzi?"

Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne wół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe; oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznymi piersiami bezustannie robią; posępne, zadurzane i głupie; mało czują i mało myślą, — to ich największą szczęśliwością; ledwie w nich dostrzedz można duszę rozumną. Ich zwierzchna postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka. Chłop — ostatniej wzdargy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko, napojem — woda i pałaca wnętrzości wódka; tych pomieszczeniem są lochy czyli trochę nad ziemię wyniesione szałasze; słońce tam nie ma przystępu, są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła, aby mniej cierpieli, i w dzień, i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu; obok niego śpi mała, a naga dziatwa na tem samym legowisku, na którym krowa z cielęciem stoi i świnia z prosiętami leży... Dobrzy Polacy! Oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który nas żywi! oto stan rolnika w Polsce!...

Tu, kiedy sobie pomyślę, że Polakiem, wstyd mię dalej mówić; kiedy sobie przypomnę, że człowiekiem, porywa mię rozpacz i zgroza!... W pośrodku chrześcijan takie okrucieństwo!... Tyrani, bluźniercy! Nie lękaciez się, iż spełni się nakoniec miara nieprawości waszych?... Jeżeli Bóg jest sprawiedliwy, nie może być w oczach Jego zbro-

dni, większej nad zbrodnię waszą! Macież wy miłość Ojczyzny? Nie obywatelami, ale nieprzyjaciołami Polski jesteście! Więcej szkodzicie temu krajowi, niżeli szkodzili Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy! Tych okrucieństwo padało na niektórych i skończyło się w lat kilka: wasze okrucieństwo trapi nie tylko żyjących, ale nadto kładzie przeszkodę wieczną do podobieństwa, aby Polska mogła z sławą powstać... Upamiętajcie się! Nie bierzcie na złe cierpliwości nieba! Czas poprawy! Czas ludzkości! Oddajcie człowieka Bogu! Oddajcie człowiekowi prawo: „Niechaj rośnie i mnoży się!“ Widzę straszne nieszczęście nad głowy waszemi. A gdy kocham Polskę, a gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj uratować, myślę ustawicznie!..

Przezacne Duchowieństwo! Ty jesteś tłumaczem tych praw, które Bóg każdemu człowiekowi oddał, które mają człowieka zbliżyć do człowieka, nie czynić go uciemnionym ludzkości albo nieprzyjacielem plemienia ludzkiego. KOCHAJ TWOJEGO BLIŻNIEGO, JAKO SIEBIE SAMEGO, A BOGA NAD WSZYSTKO: oto duch tej najświętszej nauki, którą sam Bóg przyniósł z nieba i złożył w ręku waszych. On przy niej dał się męczyć i umarł. Macie przykład! Jeżeliście wiernymi uczniami Jego, w ogłaszaniu tej prawdy nic was fałszywymi czynić nie powinno, ani bogactwa, ani godności, ani śmierć sama! Mówcież więc do Polaków, że ten nie jest chrześcijaninem, ten nie żyje podług nauki Zbawiciela swojego, kto z jakiegokolwiek przychyny zaprzecza drugiemu człowiekowi sprawiedliwość, małżeństwo, wolność przyrodzoną i własność! Jeżeli nauczacie inaczej, nie uczniami CHRYSYUSA, ale zdrajcami rodzaju ludzkiego jesteście! Jeżeli pod najświętszym imieniem JEZUSA, łakomcy, oszczercy, dumni, usprawiedliwicie niewolę,—oto słuchajcie i zadrżycie: Spadnie nie-

winna krew ZBAWICIELA Człowieka na głowy wasze i potępi was!..

Kończę do was, najużyteczniejsi w kraju Nauczyciele Edukacyi publicznej, którym Rzeczpospolita powierzyła to, co ma najdroższego: niewinny szczep takiego obywatelstwa, które ma dokończyć dzieła zbawienia Polski!.. Te prawdy... wpajajcie w miękkie serca jeszcze cnotliwej młodzieży, tejto jedynej nadziei kochanej Ojczyzny naszej! Niechaj dzieci znają obowiązki człowieka! Dajcie im poznać, że obojętną uczyniło Europę na rozbiór naszego kraju—przez nieprzyjaciół naszych opisanie szlachty, jako tyranów ludzi! Dajcie im czytać tę ohydę Polaków w piśmiech Fryderyka II! I przydawajcie zaraz, że nie usprawiedliwi się szlachta polska w Europie, nie nabierze swego szacunku i świetności, tylko, gdy odda sprawiedliwość rolnikowi a złączy się z miastami! Róbcie z młodzieży szlacheckiej i z miejskiej jeden naród! Niszczcie między nimi niechęć! Zakrzewiajcie wzajemną miłość! Dajcie im równie uczuć, że, gdy się wspólnie trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną! Powtarzajcie im często to wielkie cnotliwego Rzymianina zdanie: Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższem!

Magnaci. Powiem, kto mojej Ojczyźnie szkodził: z samych panów zguba Polski!.. Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? kto niewinną szlachtę, najpoczciwiej, i najszczerze jswojej Ojczyźnie życzącą? oszukuje, przekupuje i rozpija? Panowie! Kto od wieku robił nieczynną władzę prawodawczą, rwał sejmy? Panowie! Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? Panowie! Kto koronę przedawał? Panowie! Kto kupował? Panowie! Kto wojska obce do kraju wprowadził? Panowie!... Tak jest! Panowie przyprowadzili kochaną Oj-

czynnę do tego stopnia upadku, słabości i wzgardy, z której ją dzisiaj z taką trudnością dla przeszkody tychże panów sama szlachta dźwiga!...

Wtenczas, kiedy cudzoziemiec rozciągał nad wszystkimi Polakami i nad nimi samymi niewolę; kiedy rzucał na naród wieczną ohydę; kiedy szarpał na sztuki Ojczyznę: oni jeszcze w swojej zaciętości ku sobie niespokoją się, nie łączą się z sobą, owszem wewnątrznie cieszą się z gwałtu, który ich przeciwników do reszty niszczy. Żaden z panów nie ruszył się z ofiarą swojego majątku i życia na obronę ginącej Rzeczypospolitej. Jedni, którzy, dopokąd z Ojczyzny zyskiwać można było, zebrali znaczne dostatki, używali ich spokojnie w zaciszu, równie jakby w najszcześniejszym czasie Polski. Okazują najlepiej, czem są paucowie, te przy rozbiórce kraju od nich wyrzeczone słowa: „Niech się dzieje z krajem, co chce: ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem!“ Inni zaś widzą, że przy rozboju Ojczyzny łatwo bogacić się z jej łupów, sami nadarzają się cudzoziemcom za narzędzie do prędszego uskutecznienia gwałtów; ukazują im sposoby do pozorniejszych formalności; za pensye, za własne Rzeczypospolitej dobra, bez zapewnienia jakiegoż dalszego losu Ojczyźnie i tej niewinnej szlachcie, którą zdradzili, tylko po zabezpieczeniu swoich osobistych losów i swoich osobistych nadgród, niewolę milionów ludzi podpisali najpierwsi. Szlachcic zaś, który dotąd był łudzony, dopokąd był potrzebny, gdy szedł pod jarzmo, opuszczony przez panów, którzy tyle lat usilnie nad nim pracowali, aby mu odebrać rozum i duszę, zapomniał w ostatniej potrzebie Ojczyzny, że miał szablę w pochwie.

Ale nad rozbiór kraju gorsze złe panowie wyrządzili Polakom: zatracili narodowy charakter. Szlachcic z nieustraszonego stał się na wszystko lęklwym, z wyniosłego podłym, z urodzonego do wolności już dojrzałym do naj-

cięższej niewoli: świadkiem tego zabory; stracił to hasło, którego naruszenie w wszystkich jedno czucie budzić powinno; bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy; czyli to gwałt prawu, czyli posłuszeństwo prawu, równy w jego umyśle skutek sprawiają; sława narodu, miłość Ojczyzny nie zapala go do ofiar, nie ma stałości ducha, na wszystko się zastrasza, już nie czuje, iż miłsza śmierć, niż niewola podła. Tak jest: zatracili panowie właściwy naszemu narodowi umysł!

Charakter narodu okazuje się najlepiej w publicznym gwałcie, w niebezpieczeństwie Ojczyzny i w karaniu jawnych zbrodni krajowych. Sławny naród polski w podobnych razach: nie brakuje ich w dziejach jego!...

Po owym niesłychanym gwałcie, kiedy z pośród stolicy, podczas sejmu, wzięto czterech najcnotliwszych senatorów, nazajutrz sejmujący o zwyczajnej godzinie zeszli się na sesję. Nikt nawet głosu nie zabrał o tak niesłychanym wszystkich praw zdeptaniu! Owszem, prócz jednego męża cnoty i stałości, Andrzeja Zamojskiego, natenczas kanclerza, wszyscy razem ministrowie, senatorowie i wszyscy posłowie, jak gdyby w niczem naruszoną nie była udzielnosc narodu, tenże sejm kończyli.

Ale już wre krew we mnie! Cóżto za rok polski (1773), którego dni nie różnią się od nocy! Zbrodniami i nieczułością Polaków napełnione godziny jego! Czyliż mogła ziemia polska wydać tak czarną poczwarę? I nie byłoż żadnego Polaka, któryby z tego straszdyła wcześniej był oswobodził Ojczyznę?... Ten nie kocha kraju, kto, czytając to, nie zapali się publiczną zemstą!...

Człowiek prawdziwie miedzianego czoła (Poniński), w tem życiu jeszcze, a już piekielnej duszy poczwara, oświadcza przed znikczemniałą publicznością, że już jest sejm pod konfederacją, gdy się jeszcze sejm nie zaczął, że jest obrany marszałkiem od narodu, gdy jeszcze narodu

nie było, że już wykonał przysięgę przed posłami, gdy jeszcze ani posła być nie mogło.

Pierwszego dnia sejmu, gdy już zgromadzili się obywatele do Izby poselskiej, wchodzi tam Poniński. W zgromadzeniu blisko tysiąca osób stawa na pośrodku Izby. Bierze kij prosty w rękę, podnosi go w górę i woła: „Jestem waszym marszałkiem! rozchodźcie się, a jutro o godzinie ósmej przyjdziecie!” Prawda, że na to zuchwalstwo zbłądło wielu Polaków: ale nie miał żaden tyle duszy, aby w miejscu zuchwalstwo ukarał; owszem, jeden tylko Rejtan nie dopuścił gwałcielowi prawa wstępu do miejsca prawa. Wyszedł z Izby zdrajca Polaków. Polacy zamiast ściślejszego związania się z sobą, zamiast wykrzyknienia z jednomyślnością marszałka, zamiast tem prędszego, skuteczniejszego radzenia, jakby od takiego nieprzyjaciela Ojczyznę uwolnić, — wszyscy Polacy z wielką spokojnością wyszli.

Dnia drugiego, gdy się znowu obywatele zgromadzili, Poniński stawa we drzwiach tylko i, prostym kijem o próg uderzywszy, nakazuje narodowi, aby się zaraz rozszedł, a jutro o tejże godzinie zgromadził. Natychmiast ruszają się wszyscy posłowie, jak gdyby bez Ponińskiego ani rozumu, ani woli nie mieli! Wychodzą z Izby. Jeden poczciwy Rejtan krzyczy, woła, zaklina ich na miłość Ojczyzny, na miłość ich własną, na honor narodu, aby sobie samym nie czynili tej krzywdy, aby nie gubili Ojczyzny, aby tem usilniej, tem nieodstępniej radzili, im oczywiście odkrywa się kraju niebezpieczeństwo. Ale już natenczas nie czuł szlachcic: już w nim przez długą panów nieprawość tak znikczemniony był umysł, iż, kto się poważył, mógł bezpiecznie deptać po karku jego.

Stąpił Poniński dalej: zdrajca kraju, czyni się publicznym łupieżcą i tyranem jego. Wieleż to zbrodni zawiera w sobie dzień 2 Kwietnia 1773! Zastanawiam się nad dzie-

jami wszystkich krajów: nie znajduję w żadnym takiego dnia, w którymby tyle razem złoćyństwa jeden człowiek połączył i w którymby jakikolwiek lud do tego stopnia swoją nikczemność okazał. Najpierw obtacza swój dom... wartą. Potem zagrabia pod swoją moc skarb publiczny. Dalej każe sobie przysięgać Komisyi wojsk Rzeczypospolitej. Z huzarami pruskimi najeżdża domy partykularnych i wymusza konfederacyi podpis. Z tąż obcego żołnierstwa czeredą wpada do grodu; podaje akt konfederacyi, przez siebie tajemnie z nieprzyjaciołami Ojczyzny ułożony, do ksiąg publicznych; wzbraniającym się przyjąć go urzędnikom przytomnem żołdactwem pograża. Aby żadnego przeciwko temuż aktowi zażalenia odbierać w grodzie nie wazono się, surowo zakazuje. Nareszcie twardy człowiek temu udziałnemu narodowi, tak dla niego powolnemu, tak cierpliwemu, wyrządza ostatnią zniewagę; rozkazuje jednemu z swoich rozesańców, aby poszedł do Izby poselskiej i zapowiedział narodowi imieniem jego, że mu przykazuje zaraz się rozejść.

Jaka boleść tu ściska serce moje, gdy sobie przypominam, że urodziłem się Polakiem! Szlachta ulękała się więcej groźby śmierci, niżeli sromotnej hańby! Ohyda rodu naszego! Większa część posłów, za odebraniem takiego rozkazu, rusza natychmiast z miejsc nie na ściganie i ukaranie zuchwalcy, ale posłuszna, z spokojnością garnie się ku drzwiom. Jeden Rejtan... Tak jest, jeden tylko poczciwy Rejtan znowu woła, zaklina i krzyczy na wszystkich, aby pamiętali, aby nie opuszczali nieszczęśliwej Polski. A gdy głuchy był na głos męstwa już zepsuty Polak, cnotliwy Rejtan rzuca się w progę pod nogi nieczułych braci. Tam, jęcząc, krzyczy: ZDEPCZCIE MNIE, KALECZCIE MNIE, KIEDY OJCZYZNĘ GNĘBICIE!... Ani ten widok cnoty nie wrócił dzielności duszom Polaków... Największe złoćyńce, największe tyrany wzruszyły się na świętość

cnoty: Poniński, dla którego już u ludzi nic świętego nie było, który z wolności, z prawa, z narodu, z religii, z przysięgi i z BOGA pośmiewisko sobie czynił,—zamiast zastanowienia się w swoim ślepym zapędzie na taki widok cnoty w człowieku, wpada owszem w największą wściekłość, składa sam, z swojej osoby, sąd: wydziera Polsce ostatniego cnotliwego Polaka, poczciwego Rejtana, konfiskuje dobra, ogłasza praw obrońcę nieprzyjacielem Ojczyzny; niecnota, rzuca infamią na cnotę. Cóżto? Ani tu jeszcze nie znalazł się w całej Polsce choć jeden przynajmniej taki obywatel, który, jeżeli nie Ojczyzny, to przynajmniej cnoty mszcząc się, nie utopił miecza w tak marnem sercu? Nie?...

Czyliż ten naród ma charakter, w którym jeden człowiek potrafił wypełnić tyle zbrodni bezkarnie, więcej powiem, w którym taki publiczny zoczyńca nietylko nie zginął, ale bawił się w kraju, żył lat 15 poważany, zasiadał w senacie?!.. I gdzież tu jeszcze charakter Polaków?!.. Trzeba koniecznie z powstawaniem naszym podnieść upadły charakter narodu! Ten zniszczyli w szlachcie panowie, bo nigdy panowie ani do swojej Ojczyzny, ani do szlachty przywiązani nie byli...

Panowie!... Wasza duma, wasze łakomstwo, wasze niezgody i wspólne zawiści do tej niedoli przyprowadziły Ojczyznę! Przez zniewagę praw, przez zgwałconą w wszystkich sądach sprawiedliwość zniszczyliście w szlachcie wyniosłość ducha, męstwo, odwagę, stałość w przedsięwzięciu i miłość wolności, zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość! Czas upamiętania waszego! Czas, abyście wrócili prawu dzielność!.. Starajcie się, nie mogąc już nadać duszy tym, którzy się z wami postarzel, abyście tej duszy nie kazili w młodzieży!... W młodzieży nadzieja Polski: strzeżmy się, aby nie

kazić tej drogiej nadziei!... Nie utrzymujcie bardziej waszej rodziny, niżeli Rzeczypospolitej!...

Ja z tych powodów uczyniłem do was tę przemowę, aby, przekonywszy was, jak wieleście Polszcze szkodzili, nakłoniłem, żebyście to jej nadgrodzić starali się!... Pamiętajcie, abyście nie skrzywdzili tego sławnego sejmu!...

§ 99. Charakterem i wartością moralną od Staszycyca o całe niebo niższy, rozumem politycznym prześcignął go ksiądz **Hugo Kołłątaj** (1750—1812), urodzony w sandomierskiem (pochodzący z dawnej szlachty smoleńskiej), najznakomitszy ze wszystkich pisarzy politycznych niepodległej Polski i jeden z najznakomitszych polskich mężów stanu, właściwy twórca Konstytucyi 3 maja. I on, jak Staszyc, posiadał rozległą wiedzę, mianowicie w zakresie nauk historycznych, społecznych i politycznych, ale przewyższał go nie tylko zdolnościami, ale nadewszystko logicznością i trzeźwością umysłu oraz znajomością spraw państwa. I on był gorliwym zwolennikiem postępu, i on wierzył w potęgę wiedzy, ale, nie mając w swoim charakterze ani żdźbła marzycielskości, a i gorącością serca bynajmniej nie grzesząc, nigdy się w myślach swoich zbyt daleko nie zapędzał, nie cierpiał marzycieli, którzy, jak mówił ironicznie, „romansami zapalają sobie głowy“, nie dał się nikomu (nawet Russowi) na plewy złapać, ceniąc tylko takie myśli, które się urzeczywistnić dadzą, a pomysły, choćby najpiękniejsze i najszlachetniejsze, ale nie praktyczne, t. j. właśnie owe „romanse“, odrzucał bez żadnego wysiłku umysłu i bez żadnej ofiary serca. Krótko mówiąc, było umysł niezwykle praktyczny (i przez to wręcz wyjątkowy w Polsce), ostrożny, wyrachowany i — chłodny. Kołłątaj to nie marzyciel, ale trzeźwy myśliciel, nie tyle teoretyk, ile przedewszystkiem mąż czynu. Do czynu zaś parla go poczęści miłość ojczyzny, ale więcej chciwość mienia i zaszczytów, a najwięcej ~~namiętna~~ szalona ambicya odegra-

nia wybitnej roli politycznej; i słusznie powiedziano o nim, że, gdyby był pewny, iż z pomocą dyabła wdrapie się wysoko, toby mu bez wahania duszę swoją zapisał. Do celu dążył cierpliwie, wytrwale, ze śmiałością, posuniętą aż do zuchwałości, nie przebierając w środkach; jeżeli został księdzem, to nie dla służby bożej, ale jedynie dla kariery publicznej. I dopiął celu: historia jego życia to część historii całej Polski XVIII stulecia!

W młodym jeszcze wieku, wkrótce po powrocie z zagranicy (gdzie się po ukończeniu akademii krakowskiej lat kilka kształcił), rozpoczął swoją działalność,—zrazu na polu oświaty: był jednym z najczynniejszych i najzasłużeńszych pracowników Komisji Edukacyjnej, z której ramienia wyjechał do Krakowa dla dokonania reformy akademii i świetnie się z tego zadania wywiązał: w podupadły, zwyrodniały, pogrążony w mrokach średniowieczyny uniwersytet wlał nowe życie, podniósł go do godności instytucji naukowej, któryto charakter ze szczętem zatracił był uniwersytet w wieku XVII.

Ale ten czyn znakomity nie zaspokoił ambicyi Kołłątaja: marzył o działalności politycznej. Jakoż, mianowany referendarzem litewskim, mógł ją rozpocząć. Poznali się na jego nadzwyczajnych zdolnościach i referendarz koronny, Stanisław Małachowski, przyszły marszałek wielkiego sejmku, i Ignacy Potocki i inni, więc dopuścili go do swych obrad nad wielką reformą polityczną i społeczną, której miał dokonać nadchodzący sejm: z doradcy stał się wkrótce Kołłątaj nie tylko kierownikiem i przywódcą tych narad, ale i twórcą programu naprawy Rzeczypospolitej, który wyluszczył i uzasadnił w swoim znakomitem piśmie: „Do Stanisława Małachowskiego anonima listów kilka“; pismo to, narówni z dziełami Staszyca, wywarło ogromny wpływ na umysły i przygotowało je do podjęcia wielkiej reformy. A kiedy się zaczął sejm wielki, Kołłątaj, chociaż z począt-

ku bezpośredniego udziału w jego obradach nie brał, wpływał na nie pośrednio, był bowiem duszą stronnictwa patriotycznego i w dalszym ciągu oddziaływał na opinię publiczną, a to za pomocą pism i broszur politycznych, nie tylko własnych, ale i cudzych, wychodzących z t. zw. „Kuznicy Kołłątajowskiej“, t. j. pisanych pod jego kierunkiem i natchnieniem przez jego stronników politycznych. Onto jest autorem owego wspaniałego memoriału, który mieszczanie złożyli królowi; za jegoto głównie sprawą otrzymali mieszczanie prawa w pamiętnym dniu 18 kwietnia r. 1790; onto kierował czynnościami Deputacyi, wysadzonej z łona wielkiego sejmku do ułożenia formy rządu. I dlatego on jest właściwym twórcą naszej wiekopomnej Konstytucyi. Wreszcie, po ogłoszeniu Konstytucyi, spełniły się jego marzenia; został podkanclerzym koronnym, ministrem, i odtąd już bezpośrednio wpływał na obrady sejmowe. A i w późniejszych wypadkach odegrał rolę wybitną: podczas powstania Kościuszki był nie tylko ministrem skarbu, ale i duszą rządu powstańczego (wraz z Ign. Potockim i Wawrzeckim). Ale też na tem skończyła się jego karyera. Uwięziony przez rząd austriacki, lat kilka męczył się w więzieniu, a później, wypuszczony na wolność, już nigdy nie odegrał wybitniejszej roli politycznej: pragnął wprawdzie całą duszą swoją wypłynąć na wierzch w Księstwie Warszawskim, ale mu ludzie nie dali. A dlaczego? Dlatego, że się poznano nakoniec na jego charakterze, że nie chciano mu zapomnieć wygórowanej ambicji, mściwości, nieprzebierania w środkach, bezwzględności w postępowaniu z ludźmi, których wyzyskiwał, wyciskał, jak cytrynę, a potem, gdy mu już byli niepotrzebni, odrzucał, szkalował i deptał. A ta bezczynność przymusowa w ostatnich latach życia była mu męką straszliwą: szarpał się i szamotał, jak ptak w klatce, usiłował pogodzić się

z losem,—daremnie: ambicya, zazdrość na widok dawnych towarzyszków, pracujących dla dobra ogólnego, pamięć dawnego stanowiska, energia i namiętna żądza czynu, miłość ojczyzny, a nadewszystko świadomość olbrzymich zdolności, idących na marne: słowem, cała jego dusza nie mogła i nie umiała się zdobyć na rezygnacyę. A do tego sprawdziło się na nim przysłowie: „Poniósł wilk owce, ponieśli i wilka“: mściwi i zazdrośni ludzie szarpali jego sławę, odsądzali go od czci i wiary, oskarżali go Bóg nie wie o co, że np., uciekając z Warszawy w dzień szturm Pragi, ukradł i wiózł z sobą grosz publiczny i jakieś kosztowności. Co do grosza publicznego — to fałsz niegodziwy; co do kosztowności—to rzecz niedowiedziona. Niestety, inne oskarżenia były części słuszne: jako członek rządu powstańczego, intrygował Kołłątaj przeciwko Kościuszce, a odpowiedzialność za krwawe czyny, których widownią była podczas powstania Warszawa dnia 9 maja i 28 czerwca, na niego po części spada,—o tyle, że mając w ręku władzę, nie zapobiegł im, opętany myślą terroru rewolucyi francuskiej. I jeszcze jeden grzech, dawniejszy. Oto, wyjeżdżając z Warszawy zagranicę po zawiązaniu konfederacyi targowickiej, złożył Kołłątaj na ręce jednego ze swych zaufanych piśmienną obietnicę, że przystąpi do konfederacyi, jeżeli targowiczanie nie pozbawią go podkanclerstwa i zwrócą mu skonfiskowany majątek. Uczynił wprawdzie ten krok w nadziei, że jako członek rządu targowickiego, będzie mógł bronić Konstytucyi 3 maja i nie pozwolić na jej upadek; jestto niewątpliwie okoliczność łagodząca; ale aż strach, aż zgroza pomyśleć: twórca Konstytucyi chciał być targowiczanie, a jeżeli nie był, to jedynie dlatego, że targowiczanie nim wzgardzili! Człowiek, tak wielki rozumem i wolą, a tak mały sercem! Litość bierze porównywać go z czystym, jak ła, Staszycem! Tej plamy, tego

nieszczęsnego akcesu do Targowicy, nie zmyje z niego nigdy nikt ani nic.

Ale też nigdy nikt ani nic nie odbierze mu tych wielkich zasług, jakie dla ojczyzny położył, jako reformator uniwersytetu krakowskiego i twórcą Konstytucyi 3 maja, i nikt ani nic nie strąci go z tego stanowiska, jakie wywalczył sobie w historyi literatury polskiej i polskiej myśl politycznej. Pisma Kołłątaja to nietylko zakończenie, ale zarazem korona literatury politycznej niepodległej Polski,—tej bogatej, mądrej i szlachetnej literatury, która, stworzona w wieku XV przez Ostroroga (§ 10), posiada takich przedstawicieli, jak w wieku XVI Modrzewski (§ 30), Górnicki (§ 33) i Skarga, w XVII—Starowolski (§ 56) i Łukasz Opaliński (§ 58), w XVIII — Leszczyński (§ 73), Kołłątaj (§ 74) i Staszyc. Tych wszystkich przewyższa Kołłątaj nietylko trzeźwością i rozumem politycznym, ale i tem jeszcze, że on jeden jedyny zdobył się na zupełny program naprawy Rzeczypospolitej, że on jeden jedyny objął nietylko całość, ale i szczegóły reformy. Nie dosyć na tem: jest Kołłątaj nietylko znakomitym mężem stanu, ale równie znakomitym pisarzem, jednym z najznakomitszych prozaików staropolskich wogóle, a najznakomitszym w XVIII wieku, a to zarówno przez jasność i przejrzystość wykładu (choć i on, jak niemal wszyscy pisarze XVIII w., wpada niekiedy w rozwlekłość), jak przez wytworność stylu i wogóle piękno formy.

Na czele pism politycznych Kołłątaja stoją owe „Listy anonima“, t. j. listy, pisane niby tylko do Małachowskiego (począwszy od 1 Sierpnia r. 1788, a więc jeszcze przed rozpoczęciem sejmu, aż do 19 Grudnia, kiedy to obrady sejmowe były już w pełnym biegu), ale przeznaczone dla wszystkich, bo ogłoszone (bezimiennie, jak pisma Staszycy) drukiem (1788). Tutajto właśnie Kołłątaj, rozumiejąc, że „stojemy nad przepaścią, od której zwrócić się

należy bez żadnego ociągania się“, bo „teraz jest chwila albo nigdy zrobić dobrze ojczyźnie“,—w niezrównany sposób uzasadnił potrzebę reformy i szczegółowo wyjaśnił, na czem ona polegać powinna i jak jej dokonać można i trzeba. Ogólny charakter reformy najlepiej on sam określił, nazywając ją „łagodną rewolucją“: jako człowiek mądry, praktyczny, a nadto znający, jak mało kto, swój przywiązany do tradycyi i wogóle niechętny nowościom naród, nie zrywał bezwzględnie i raptownie z przeszłością, owszem poczytywał ją mądrze za podstawę, na której dopiero coś nowego zbudować można: „Chcąc wystawić nową zupełnie budowę, nie należy bynajmniej pogardzać dawnym materiałem, który nie przeto jest zły, że się stara popsowała machina“. I miał nadzieję Kołłątaj, że tą drogą, jedyną uczciwą i najlepiej do celu wiodącą, odrodzi się i ocaleje państwo polskie, że naród polski „łagodną rewolucją“ potrafi stanąć na pierwszym powagi stopniu i, udoskonalwszy formę wolnego rządu bez przymusu, bez postrachu, takowe napisze prawa, któreby były przykładem dla obcych narodów i zatarły hańbę, którą do dziś dnia okryci jesteśmy“.

A jakaż to hańba? Nie jedna, ale dwie! Pierwszą jest brak rządu; bo i czemuż jest Polska? „Nie jest monarchią, bo ta się z domem Jagiellońskim skończyła; król nie może nic bez narodu. Nie jest Rzeczpospolitą, bo ta reprezentuje się tylko co dwa lata przez sześć niedziel. Czemże jest, proszę? Oto lichą, niedołączną machiną, której ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić¹⁾ zdoła“. „Ojczyzna nasza niczem dotąd nie jest, tylko austeryą²⁾, wygodną lub niewygodną, podług zdarzeń i ślepego trafu“. „Coto za wolność, coto za rząd, któremu tylko co dwa roki na sześć

¹⁾ t. j. zatrzymać (zapomocą „liberum veto“); ²⁾ austerya = karcza, oberża.

niedziel głowę przyprawiają, który, jeśli chce być czynnym, musi się buntować przeciw własnej konstytucyi, bo każda konfederacya nic innego nie jest, jak rokosz przeciwko prawom“. A druga hańba Polski polega na tem, że niektóre jej prawa „najdują się w sporze z prawami natury, a że jaśniej powiem—z prawami boskimi“; tem zaś podeptaniem praw natury i praw boskich jest upośledzenie mieszczaństwa i ludu wiejskiego.

Domaga się zatem dla Polski Kołłątaj, podobnie jak Staszyc, potęgi i sprawiedliwości. Wogóle pomysły jego są w zasadzie te same, co Staszycyca, bo też obydwaj należeli całą duszą do stronnictwa patriotycznego.

I on więc pragnie, aby się Polska raz przecie ośmieliła „być narodem“ (t. j. aby stanowiła, jak mówił Staszyc, „jedną moralną istotność“); i on żąda, aby w tym właśnie duchu wychowywała młodzież Komisya Edukacyjna, i pozycjuje za jedno z najgłówniejszych jej zadań „wytworzenie jedności przekonań politycznych“; i on się domaga tronu dziedzicznego, sejmu nieustannego, czyli gotowego, zuiesienia „liberum veto“, powszechnego opodatkowania wszystkich, posiadających jakąś własność, i t. d.

Ale są i różnice, i to w sposobie wygłaszania i uzasadniania pomysłów, jak w samych pomysłach. Staszyc nie dba o dobry rozkład treści swoich pism: Kołłątaj troszczy się pilnie o porządek i wogóle o jasność. Staszyc, ten poeta serca, nadewszystko do serca trafia, porywa, wstrząsa, słowem wzrusza: Kołłątaj, człowiek chłodnego serca, ale zato wyjątkowo jasnej i otwartej głowy, przemawia nadewszystko do rozumu, zniewala sobie czytelnika głównie mądrymi dowodami i logicznem rozumowaniem, słowem przekonywa. Staszyc, jako myśliciel, zastanawia się chętnie nad sprawami ogólnemi; zanim np. powie o wychowaniu, będzie się rozwodził szczegółowo nad naturą ludzką wogóle; zanim doradzi, aby Polska zaprowadziła

dziedzictwo tronu, będzie się długo rozpisywał o królach wogóle: Kollątaj tymczasem, jako człowiek praktyczny, nie lubi się bawić w filozofię, chowając ją dla siebie, więc nie zaczyna każdej sprawy od Adama i Ewy, ale przystępuje odrazu do właściwego przedmiotu.

A i w samych pomysłach jest Kollątaj od Staszycza praktyczniejszy. Staszycz np. pozbawia króla władzy: Kollątaj (po pewnem wahaniu) przyznaje mu władzę, może nie wielką, ale istotną (np. prawo mianowania senatorów i „dozoru nad wszystkimi urzędami wykonawczymi“), słusznie mówiąc; „Cóż król będzie znaczył, gdy mu nic bez narodu czynić nie wolno?“ Staszycz w zapale swoim radby wystawić 100,000 wojska, a choćby i więcej: trzeźwy Kollątaj—tylko 60,000, bo wie, że więcej Polska nie wytrzyma: „Lubo nasz kraj dziś jeszcze obszernością swoją przewyższa królestwo francuskie, nie zapominajmy się jednak, że bardzo nierychło przy najlepszym rządzie potrafilibyśmy zrównać ludnością, przemysłem, obfitością, a zatem bogactwem, daleko mniejszym od Francyi narodom“. Albo jeszcze. Staszycz oddaje sejmowi władzę nie tylko prawodawczą, ale i wykonawczą, a jako zapalony demokrat, dopuszcza do przedstawicielstwa w sejmie całą szlachtę i mieszczan: Kollątaj tymczasem, bardzo mądrze, powierza sejmowi tylko prawodawstwo, składając władzę wykonawczą w ręce komisji (t. j. ministeryów), a przy całym swoim demokratyzmie usuwa od przedstawicielstwa w sejmie ubogą i ciemną szlachtę zaściankową; i słusznie: ładnieby wyglądał w sejmie taki np. Guronos albo Żugota (§ 92)! „Cóż, proszę—mówi Kollątaj — w rządowej machinie taki szlachcic? Stan jego poniżony zajmować powinien całą troskliwość o liche wyżywienie, a dowcip obracać się musi do polepszenia bytu i ułatwienia najbliższej uciskających go potrzeb. Co za krzywda stanie się tak ubogiemu szlachcicowi? Zostawiony przy zupełnej wolności, może używać

sily i rozumu na wydobycie siebie z pod niedostatku i ubóstwa, może, stopniami idąc, przyjść do większego majątku, pomnożyć swoją własność gruntową przynajmniej do 7¹/₂ włók, a wtenczas, gdy już o swoim chlebie wyżywić się potrafi i przystojną dzieciom edukacją dać zdoła, wnijdzie do liczby tych, którzy będą składać władzę rządową“. Domagając się tymczasowego usunięcia zaściankowej szlachty od udziału w prawodawstwie, godził Kołłątaj i w magnatów, (których, podobnie jak Staszyc, nie cierpiał), bo wiedział, że się ich potęgą opiera w znacznej części na tej właśnie ciemnej i dzikiej szlachcie, która tak tańczyła, jak oni im grali. Co do mieszczan, zgadza się Kołłątaj ze Staszycem, że trzeba im zarówno przywrócić prawo nabywania ziemi, jak dać prawa publiczne, ale (inaczej, jak Staszyc) doradza, aby posłowie mieszczańscy nie zasiadali w sejmie wraz z posłami szlacheckimi, ale tworzyli osobną Izbę. (Ten projekt jest niekoniecznie praktyczny, bo dwie Izby, różniące się stanem, ustawicznie by się kłóciły).

Do najpiękniejszych miejsc „Listów anonima“ należą te, w których Kołłątaj wymownie przekonywa szlachtę, że w imię miłości Boga, ojczyzny i człowieka, sprawiedliwości i własnego interesu, powinna znieść poddaństwo chłopu, dając mu prawo własności dziedzicznej i wogóle osobistą wolność (zupełnie tak samo, jak Staszyc). Wspaniale mówi Kołłątaj: „Wszyscy, ile nas tylko ziemia polska nosi, bez żadnego wyjątku ubogiego i bogatego, jesteśmy poddani Rzeczypospolitej; ona ma najwyższą nad nami władzę.. Przez jakież uprzedzenie najlichszego żebraka od tej najwyższej wyjąć możemy władzy? przez jakąż zuchwałość możemy sobie przywłaszczać nad ubogim rolnikiem udzielne i niepodległe panowanie?.. Prawdo! najlitościwszy nieba darze! jeżeli kiedykolwiek przemieszkiwanie twoje między ludźmi gruntowało szczęście narodów, zstąp dzisiaj do

serc wolnych Polaków, oświeć ich rozum i natchnij wspaniałem do wolności przywiązaniem! Niech ta ziemia, którą Opatrzna ręka wolności ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swoim najlichszego niewolnika! Niech najbogatszy i okryty wielkością obywatel odda hołd powszechny Opatrzności, szanując ludzkość w najuboższym rolniku! Niech się aby raz na tem pozna, że cała jego okazałość i zbytki są darem nędznej wieśniaka ręki, że cała jego wspaniałość ubogiego ludu świetnieje potem!... Oddajmy to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czemeśmy prawo boskie i ludzkie zgwałcili, to jest oddajmy mu wolność i jego osoby i jego rąk!... Rolnik, stawszy się w tej ziemi człowiekiem wolnym, nazwałby ją dopiero ojczyzną, a błogosławiąc Najwyższą Opatrzność, rzekłby dzieciom: „Pracujmy, pomnażajmy żywności! Oto państwo nasi przy-
„pomnieli sobie, żeśmy ludzie, oto nas nietylko obarczyli
„nowymi uciskami i podatkami, ale nadto wrócili nam wol-
„ność i sprawiedliwość! A kiedy własność osoby i dorob-
„ków naszych jest nam zabezpieczona, praca nasza, zasi-
„lona ochotą i radością, powinna się im sownie wywdzię-
„czać; pomnażajmy im bogactw i dostatków, nadstawmy
„życia własnego na obronę granic i całości tego państwa,
„w którym, swobodnie dziedzicom służąc, naszej osoby
„i naszej własności pewni jesteśmy!“

Kiedy d. 10 lutego r. 1790 wyznaczono na wielkim sejmie Deputacyę do ułożenia projektu reformy Polski, Kołłątaj wszystkie swoje pomysły, uzasadnione w „Listach anonima“ streścił, zgromadził w jedną kształtną i systematyczną całość i nadał im postać gotowych projektów do praw: tak powstało jego znakomite dzieło p. t. „Prawo polityczne narodu polskiego“ (1790), które jest właśnie najzupełniejszym i najlepszym projektem naprawy Rzeczypospolitej, na jaki się Polska przez całe wieki zdobyła, jest najistotniejszą treścią i najwspanialszym owocem pol-

skiego rozumu politycznego XVIII wieku, bo jest podstawą Konstytucyi 3 maja. A poprzedził Kołłątaj to swoje dzieło wspaniałą przemową „Do Prześwietnej Deputacyi“, w której raz jeszcze zaklął naród do podjęcia reformy, nade wszystko do nadania praw mieszczanom i chłopom; ta przemowa to najpiękniejsze ze wszystkich pism Kołłątaja, to zarazem największe arcydzieło wymowy politycznej sejmku czteroletniego i całej prozy polskiej wieku XVIII.

Jako właściwy twórca Konstytucyi 3 maja, nie dziw, że się do niej Kołłątaj, jak ojciec do dziecka, przywiązał; więc, kiedy ją najjaśniejsza konfederacya targowicka zamordowała, kiedy nastąpił drugi rozbiór Polski, kiedy się z różnych stron posypały oskarżenia przeciwko sejmowi czteroletniemu, wystąpił Kołłątaj z obroną swego dziecka ukochanego—w dziele, napisanem wraz z Ignacym Potockim i Franciszkiem Dmochowskim (§ 77), p. t. „O ustanowieniu i upadku Konstytucyi polskiej 3 maja (1793). Jestto historia sejmku czteroletniego i zarazem jego obrona, poczęści stronnicza, bo zwalająca niemal całą odpowiedzialność na króla, na którego pioruny ciska Kołłątaj, że przystąpił do Targowicy (a sam to co?), i przemilczająca błędy stronnictwa patryotycznego,—niemniej przeto wspaniała przez to, że daje Polsce świadectwo przed Bogiem i ludźmi, iż, wszystko, co dla swego zbawienia uczynić mogła, uczyniła, że odwołuje się do sprawiedliwości bożej i do „sądu czulszej i sprawiedliwszej potomności“: „Zguba narodu, dopełniona w tym momencie, kiedy on nabył prawa do najlepszych nadziei i kiedy najrozsądniejsze przedsięwziął środki do zbliżenia szczęścia powszechnego, — zwracać zapewne na siebie będzie przyszłych wieków uwagę. Potępiona dotąd niesłusznie Polska, jako siedlisko barbarzyństwa i depczącej prawa ludzkie feudalności, pokazała w ustawach sejmku konstytucyjnego, iż w prawdziwym oświeceniu, rozsądnem prawodawstwie, uczuciu i sza-

nowaniu praw ludzkich najświetlejszym w Europie narodom wyrównywa... Musiałeś upaść, nieszczęśliwy narodzie!... Zachowuj wdzięcznie pamięć czynów sejmu konstytucyjnego, który zgon twój przez szlachetne usiłowania rozumu, cnoty i prawdziwej miłości ojczyzny uzacnił!... Ale nie rozpaczaj jeszcze zupełnie o losie twoim!... Uważaj Konstytucją 3 maja, jak ostatnią wolą konającej ojczyzny! zachowuj uczucia braterstwa względem ludu miejskiego, sprawiedliwość najściślejszą względem ludu wiejskiego! Tym sposobem najgodniej się zemścisz, przygotujesz zmianę losu przyszłych pokoleń i uskuteczysz głęboką przestrogę filozofa genewskiego (Russa), tak upominającego naród polski: „Polacy! jeżeli przeszkodzić nie zdołacie, aby was nie pożarli sąsiedzi, starajcie się, aby was strawić nie mogli!“

Wielkie te słowa (stanowiące zakończenie dzieła) to naprawdę jakby ostatnia wola konającej Polski, to jakby testament naszej Matki-ojczyzny, to zarazem nasze święte przykazanie narodowe: nie mogliśmy ocalić niepodległości państwa, możemy i powinniśmy zachować naszą narodowość!

Do Prześwietnej Deputacyi dla ułożenia projektu Konstytucyi rządu polskiego, od sejmu wyznaczonej (w skróceniu). Uiszczyły się życzenia całego narodu: już jest wyznaczona Deputacya do napisania Konstytucyi rządu naszego, która będzie sławną epoką kończącego się XVIII wieku, jeżeli nam przywróci rząd dobry, jeżeli człowieka wróci człowiekowi, jeżeli prawa własności osobistej, ruchomej i gruntowej każdemu upewni, jeżeli człowieka wyjmie od ludzi, a podda prawu, jeżeli prawo wydobędzie z prawdziwych jego źródeł, to jest sprawiedliwości naturalnej, jeżeli nakoniec cały naród ubeśpieczy od przemocy wewnętrznej i obcej. Tegoto wyciąga po was

cała powszechność, zacni mężowie! Podjęliście się dla narodu najistotniejszej usługi, dzieła, które wam ma zjednać w odległej potomności błogosławieństwo ludzi, co tę wolną ziemię posiadać będą...

Tak szlachetna posługa dla swej ojczyzny powinna podnieść dusze wasze nad wszystkie przeszkody: powinna je złączyć z Prawdą, z temto przedwiecznym bóstwem, z którego litościwych rąk cała natura nieodmienne dla siebie zyskała prawa. Wy macie być tłumaczami świętych jego ustaw, wy macie przepisać sobie za prawidło działań waszych prawdę, a z tą, jak z zapaloną pochodnią, szukać praw człowieka, praw społeczności, praw narodu waszego! Nie obawiajcie się żadnych w dziele przedsięwziętem trudności! Prawda, gdy ją szczerze narodowi pokazywać będziecie, jestto ten święty ogień, który natychmiast i do rozumu i do serca ludzkiego przenika. Niemasz mocy, któraby się jej oprzeć na zawsze zdołała, pierzcha przed nią obłuda i przesąd, a tyle tylko nad nieszczęśliwym dokazuje ludem, ile przed nim prawdę ukryć zdoła. Nasiona wyroków tego świętego bóstwa znajdują się w sercu każdego człowieka, i, aby miały wzrost przyzoity, nie trzeba na to gwałtownego przymusu, nie trzeba miecza i przelewu krwi ludzkiej; dość jest, aby człowiek wrócił się do siebie samego, ażeby rozważył swoje potrzeby, a natychmiast pozna i prawa, sobie należyte, i te, które drugim winien, i te, na których zależy sprawiedliwość, i te, które są owocem dobroczynności. Nie lękam się przeto o człowieka i jego społeczność, ale zastanawiam się nad wami samymi, mężowie wybrani! Staje mi albowiem przed oczyma los tych, którzy kiedykolwiek chcieli być prawodawcami ludu...

Prawodawca prawdy nie potrzebował nigdy uzbrajać się przeciwko człowiekowi, dla którego uszczęśliwienia pisał prawa, przeciwnym wcale idąc sposobem: nie lud, któ-

rego pragnął uszczęśliwienia, lecz siebie na prześladowanie i na tysiączne wystawiał pociski. Wyższy nad siebie samego, pogardzający srogością i obłudą tyрана, potrafił uszczęśliwić ludzi i ich potomność; lecz tak świętego i prawie boskiego dzieła inaczej skutecznie nie zdołał, tylko ofiarą siebie samego. Tą drogą szedł w Europie Sokrates, nauczyciel obyczajów ludzkich, tą CHRYSSTUS w Azyi, Bohater prawdy, Prawodawca i Zbawiciel całego świata! Uległ człowiek pod obłudą i zemstą zabobonu greckiego, ale filozofia jego stała się nauką wszystkich oświeconych narodów. Umarł na krzyżu Zbawiciel ludzi, lecz Ewangelia Jego stała się nauką wszystkich narodów, regułą obyczajów, wzorem praw; ale krzyż Jego zdobi dotąd korony i ołtarze. Takie są nagrody prawodawców prawdy! temi drogami przechodzi ona do serc ludzkich! Nie masz gwałtu, nie masz siły, nie masz przebiegłości w rozumie, któraby się jej na zawsze oprzeć zdołała...

Mężowie wybrani! Oto jest wzór dla was, oto jest droga, którą do nieśmiertelności imiona wasze odniesione być mają! Macież w sobie tyle męstwa? czujecież w sobie tyle odwagi, abyście być mogli godnymi podać prawdę narodowi polskiemu? Nie oglądajcie się na współczesnych! Nie tento zepsuty wiek ma błogosławić imiona wasze: wy owszem macie wydać walkę uprzedzeniu i obłudzie, wy macie przywrócić sprawiedliwość,... a zatem wy winniście zupełnie przygotować się przeciw potwarzy, nienawiści i zemście, które interes prywatny, zepsucie serc ludzkich, znarowiona zuchwałość przeciw wam wywierać zechce. Nie lękajcie się bynajmniej, że prawa wasze wzgardzone lub odrzucone zostaną! Prawda mieć będzie swoich zwolenników: rozejdą się oni po całym narodzie, zaniosą ją pod strzechę uciśnionego i wzgardzonego człowieka; czas dokáže reszty! Do was należy nie odstępować Prawdy ani myśleć o tem, jakimi drogami to święte bóstwo panować

zacznie nad całą narodu powszechnością. Ufam przeto, że w przepisie praw waszych nie będzie miała miejsca ani chytra obluda, ani podła bojaźń, ani tembardziej niesprawiedliwość, na prywatne korzyści względna. Człowiek i jego bezpieczeństwo, obywatel i jego szczęśliwość, ojczyzna i jej całość—będą jedynem prawidłem robót waszych.

Alé roztropność, najszlachetniejszy rozumu ludzkiego przymiot,..: zastanawiać was podobno będzie nad tem, iż jeszcze nie przyszła pora, ażeby w całej zupełności odkryć można prawdę narodowi polskiemu. Lecz taż sama roztropność nigdy tak rozpacznych myśli przypuszczać nie dozwala: jej wysługa w prawodawstwie potrzebna jest tylko do wynalezienia sposobu, jak ma być prawda ludziom podana, nie zaś do tego, aby ją przed nimi do czasu taić lub przez wzgląd na uprzedzenia łamać prawa sprawiedliwości i ludzkości. Niemasz czasu ani względu na czas, w którymby się godziło prawa człowieka gwałcić lub zgwałconych nie powrócić! Nie może się ten naród nazwać swobodnym, gdzie człowiek jest nieszczęśliwym; nie może być ten kraj wolnym, gdzie człowiek jest niewolnikiem! Żadne więc prawodawstwo nie powinno przemilczać praw człowieka, żadna społeczność nie może robić ofiary z ludzi dla ludzi! Takowa roztropność alboby się nazywała niesprawiedliwością, albo bojaźnią! Mówić olbowiem, że lud nieoświecony nie może mieć w całości praw sobie wróconych, jest mówić przeciwko regułom roztropności i słuszności!.. Ktokolwiek na nieoświeconego człowieka jarzmo niewoli wkładać usiłuje, niech się wróci do serca swego, niech pomyśli, że, gdyby przypadek jego samego w liczbie pospólstwa umieścił, pozwoliłżeby na odjęcie praw sobie przyrodzonych? na odjęcie bezpieczeństwa swej osoby i swego majątku? Alboż możemy mówić, że stan szlachecki, któremu nietylko wolność, ale nawet i równość w rządzie prawa polskie zabezpieczyły, jest powszechnie

oświecony?... Takowa więc roztropność, która praw ludzkich człowiekowi wrócić nie chce dlatego, iż nie jest oświeconym, byłaby równie srogą i niesprawiedliwą, jak owa, któraby wydzierała ubogiemu szlachcicowi swobodę obywatelską dla tych samych przyczyn.

Nie sama, prawda, Polska tej dopuszcza się niesprawiedliwości:... wyspy francuskie, osady holenderskie i angielskie obchodzą się w sroższy nierównie sposób z Murzynami, tymito nieszczęśliwymi dwóch części św ata obywatelami, w których łzach skropione produkta służą wykwinnym Europejczykom za przysmak i wygodę. Lecz możnaż niesprawiedliwością innych krajów i zadawnionem uprzedzeniem usprawiedliwiać gwałt prawu zadany?...

Cóżto jest poddany czyjejkolwiek włości? jak go uważać należy w porządku przyrodzenia, względem którego równymi wszystkim mieć chciała Opatrzność? Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy,—człowiek jest i w niczem od nas się nie różni!...

Nędza ludzka rośnie w stosunku do ich niewoli; Rzeczpospolita nie cierpi panowania szczególnego ludzi, w monarchii jest tylko jeden panujący, lecz w arystokracji feudalnej każdy prawie chłop ma osobnego despotę. Jakiegoż u nas pragniemy rządu? chcemyż prawdziwej Rzeczpospolitej czy możnowładztwa? chcemyż Polszcze wrócić wolność, czy tylko niektórym familiom, nad resztą niewolników panującym? Uczynimy, co chcemy: sama natura pomści się na nas tak widocznej niesprawiedliwości! Pospólstwo będzie naówczas, jak jest dotąd, rzeczą dziedziców, lecz szlachta będzie niezawodnie pospólstwem, a te same sofizmata, których naprzeciw własnemu sercu używamy dzisiaj dla przytłumienia głosu prawdy, służyć będą chciwym sąsiadom do uczynienia nas niewolnikami. Rzekną oni:

„Polacy są narodem barbarzyńskim, nie umieją się mię-

„dzy sobą zgodzić, nie umieją być prawu posłuszni, nie „umieją dla siebie ustanowić pewnej konstytucyi rządu, „pragną wolności, a nie znają się na niej, są despotami „nad spóółstwem, a nie chcą nad sobą żadnego znoić „panowania; pijaństwo, przekupstwo, podłość, zemsta, lek- „komyślność rządzi ich obradami. A zatem nie warci są „tej wolności, którą posiadają“... Tak przykre zarzuty znajdują się w dziełach Fryderyka II, króla pruskiego, w Berlinie wydanych w roku 1788. Zdanie tak wielkiego króla świadkiem jest, jaką o nas mają opinią obce mocarstwa, i tej opinii nic poprawić nie może, tylko oddana sprawiedliwość ludziom przez dobrą konstytucyą rządu...

Płci piękna i wy, matki wolnych Polaków!... Nędzą uciśnionego ludu stawia się przed waszemi oczyma! Ratuście ją, nakłońcie do litości i sprawiedliwości serca prawodawców! niech jak najrychlej zmażą tę wstydliwą hańbę w prawach naszych! niech przyczynią jak najprędzej obywatelów, a tem samem i obrońców, tej nieszczęśliwej ojczyźnie! niech przed oddanie sprawiedliwości uciśnionemu ludowi przebłagają groźne nad nami niebo!

Lecz nie lepiejże naprzód oświecić spóółstwo, aby go przysposobić roztropnie do przyjęcia świętego wolności daru? Nie lepiej, odpowiadam: owszem byłoby najsroźszy prawodawca, któryby oczekiwał oświecenia ludu dla przywrócenia mu wolności. Niemasz nic straszniejszego w naturze ludzkiej, jak oświecony niewolnik: czuje on wtenczas cały ciężar niesprawiedliwości, który go uciska, a nie myśląc o niczem więcej, jako o przywróceniu sobie praw przyrodzonych, obraca do tego cały rozum, aby się mógł zemścić na tym, który dziedzictwo jego dotąd niesprawiedliwie posiadał, zapala swe serce, aby się zdobyć mogło na najsroźsze sposoby zemsty. Niechaj nikogo nie zadziwia okrucieństwo ludu, o którym albo się nam czytać, albo słyszeć zdarzyło, bo plód, którego ojcem jest ucisk,

a matką niewola, musi przechodzić jadem i srogością wszystko to, cokolwiek na umyśle wystawić sobie możemy drapieżnego i zabijającego. Śpieszmy się wrócić ludziom, co im natura ubeścipeczyła; oświeceni, sami sobie odbierają, a nieoświeceni, będą narzędziem obłudnika i despoty do wydarcia swobód naszych; im mniej zaradzić temu w dzisiejszej rewolucyi zechcemy, tem pewniejszymi być możemy, że albo my, albo nasze potomstwo stanie się ofiarą rozpaczny zemsty ludu. Niech każdy rozważy postać narodu polskiego za Mieczysława II, za Jana Kazimierza, za dni naszych! Srogość miecza przytłumi tylko wkorzoną w pospólstwo niechęć, lecz jej nigdy ugasić nie zdoła! Im skromniejszy, im w głębszem milczeniu westchnienia swoje podnosi ku niebu niewolnik, tem okrutniejsze gnieździ w swem sercu uczucia, aby przy zdarzonej porze wywarł całą swą srogość na nieprawego swej wolności uzurpatora...

Nie łudźmy się wzrastającą siłą wojska naszego! Któż na tem zyskał, że rolników do szczętu wytępił? co warta nasza ziemia bez pracowitej ich ręki? co znaczyć będą nasze bogactwa—przy wytępionej ludności? Gdyby ojcowie nasi poddali się byli wyrokowi prawdy, gdyby traktat hadziacki (1658) i prawa ludzi w całości zachowane zostały Ukraina po obie strony Dniepru byłaby dotąd własnością Rzeczypospolitej, a religia dyzunicka byłaby narzędziem przysposobienia innych słowiańskich narodów pod słodkie wolności panowanie.

Ale nie na tem dosyć: roztropność woła na nas, abyśmy, ubeścipeczywszy ludzi, upewnili prawa wszystkich właścicieli ziemi. Dziwujemy się nędzy miast naszych, nie mamy żadnego, któreby kwitnym stanem równać się mogło z obcemi. Czemuż? Bo właściciel ziemi miejskiej nie ma znaczenia w rządzie naszym, tak jak rolnik w prawach człowieka!... Ktoby mi to dał, ażeby każdy nieuprzedzonym

umysłem chciał rozebrać tak wielkie pożytki z przyłączenia do rządu krajowego rzeczzonego stanu (t. j. mieszczan)! Jakażby radość nie opanowała natychmiast serca tych obywatelów! jaka wdzięczność nie łączyłaby ich najściślej z nami!... jak wiele gorliwości, jak wiele dałoby się widzieć heroizmów!... Zgoła nowy lud dałby nową Rzeczpospolitą się, a my przez sprawiedliwe prawodawstwa wyroki zasłużylibyśmy na powszechne całej Europy uwielbienie, rzucilibyśmy postrach na nieprawych wolności naszej ciemnych, zachęciłibyśmy z odległych krajów przyjaciół wolności, którzy, nie wiedząc, gdzie się przed uciskiem schronić, idą za morze do ziemi Franklina i Waszyngtona. Każdy starałby się Polskę mieć swoją ojczyzną!...

Polacy! Ośmielcie się aby raz być narodem, a narodem prawdziwie wolnym! Rząd dzisiejszy jest przyczyną, iż nas postronni do obcej przyrównali hordy, która gwałtownym napływem dawnych podbiła sobie mieszkańców. Czemże się, w samej rzeczy różniemy od Saracenów, Grecyą i brzegi Afryki posiadających? Naród Mahometa nie jestto naród tych krajów, nad którymi panuje; bo tam tylko mała liczba Turków podzieliła między siebie dawną Grecyą, i ta jedynie między nimi a nami zachodzi różnica, że u nich jeden despota Muzułmanowi, co i Grekowi, rozkazuje, u nas zaś sto tysięcy szlacheckich familii składa naród arystokratyczno-feudalny, resztę milionów ludzi za obcych mając niewolników. Jeżeli zaś chcemy, abyśmy byli jednym narodem, potrzeba koniecznie, żebyśmy byli wszyscy zupełnie wolnymi, pod panowaniem praw dobrych, dla całego ludu jednych...

Mężowie wybrani i wy, prawodawcy wolnego narodu! Zastanówcie się ze drżeniem i bojaźnią nad stanem nieszczęśliwej ziemi, której mieszkańcy od niespamiętanych czasów ponoszą ucisk i nędzę! Czy ich nie znają ani koń-

ca, ani odpoczynku; niepewność losu odstręcza ich od dbałości na własne zarobki, od przywiązania do swego potomstwa, na które spoglądają, jako na ofiarę niesprawiedliwości i przemocy; pijaństwo jest dla nich zasłoną, z niebawem prawie użyzoną, aby nie widzieli przestraszającej nędy, w której ich niesprawiedliwość rządu pograżyła. Nie zwrócićż ku nim nigdy oczów? nie będzież nigdy sprawiedliwość przemieszkować w tym nieszczęśliwym narodzie nie zechcemyż ani sobie ani ludzkości dobrze uczynić? Myślcie, jak chcecie, ulegajcie uprzedzeniom, oglądajcie się na wasze u sprawiedliwych znaczenie: ja śmiało powiem, iż dłużej jest rzeczą niepodobną, abyśmy się spuszczać mogli na protunkową¹⁾ reformę. Znamy aż nadto skutki tych niedołącznych odmian, które tyle razy kraj zburzyć i zniszczyć, ale go nigdy uszczęśliwić nie potrafiły. Piąty raz za dzisiejszego panowania bierzemy się do poprawy rządu²⁾; piąty raz nas samych ludzi będziemy, jeżeli się nie weźmiemy do gruntu, jeżeli nie będziemy odważnymi poddać się panowaniu Prawdy! Oto jest pora najszlachetniejsza użycia w narodzie waszego kredytu! oto jest sposobność doświadczenia dzielności rozumu i woli waszej! teraz jest czas, jeżeli chcecie prawdziwego dobra ojczyzny waszej lub jeżeli go do skutku przywieść zdołacie! Bojaźń i podłe oglądanie się, aby przyszłość uskuteczniła to, co wy dziś czujecie, zda się tylko na przyprawienie całej narodu powszechności o nowy upadek; rozpacz zastąpi jej miejsce, rozpacz najokrutniejsza w swych skutkach, a czego prawa władza porządnie i sprawiedliwie ułożyć nie zechce, to zaślepiona zemsta bez porządku, bez względu na cały polityczny układ do skutku przywieść

1) protunkowy = tymczasowy; 2) w r. 1776 usiłowano znieść „liberum veto“; w r. 1775 powstała Rada Nieustająca; w r. 1780 odrzucono statut Andrzeja Zamojskiego; w r. 1789 zniesiono Radę Nieustającą.

może, Ślepy Samson, obalając gmach cały, siebie, prawda, na zgubę wystawił, ale gruzy, na głowę jego padające, całą przywałyły powszechność!

§ 100. Na literaturę polityczną sejmu czteroletniego składają się nie tylko pisma prozaiczne, ale i utwory polityczne (a przynajmniej wierszowane), i nigdy jeszcze w Polsce poezya nie była tak silną i skuteczną bronią do oddziaływania na opinię publiczną, jak podczas sejmu czteroletniego. Jedni poeci budzili w społeczeństwie ducha patriotycznego i zachęcali sejmujące stany do godnego wywiązania się ze swych obowiązków; inni ośmieszali albo piętnowali opieszałość, wsteczność, prywatę; inni wreszcie targali się na mądrość i cnotę, załatwiając z tym albo owym swoje osobiste rachunki. Krążyło więc po Warszawie całe mnóstwo utworów wierszowanych (najczęściej bezimiennych), jakoto ód i odez w patriotycznych (np. wiersz Trembeckiego „Do moich współziomków“, § 89) oraz ciętych epigramatów i uszczypliwych wierszyków, satyr i paszkwilów. Nie wszystkie, naturalnie, paszkwile wypłynęły z miłości ojczyzny i ze świętego oburzenia na jej synów wyrodnych: Zabłocki (§ 91) był wyjątkiem; najczęściej dyktowała je niechęć i złość osobista albo też chęć popisania się złośliwym językiem i tanim dowcipem; i słusznie oburzał się na takich „poetów“ Trembecki w doskonałej „Satyrze przeciw paszkwilom“: „Co was dziś do pisania złych wierszy zapala, godni wieszczkowie Jasnej Góry i Sokala¹⁾? Złość czy zemsta? Bo mogę powiedzieć zawczasu, że was rządca mądrego nie zagrzał Parnasu²⁾, ni Muzy słodkiej Safo, ni Horacyjusza, ale raczej Belzebub albo podła dusza. Czem³⁾ szabli nie weźmiecie w rękę zamiast

1) t. j. warci miana „poetów“ częstochowskich albo dziadów sokalskich, kłęczących liche rymy na odpustach i jarmarkach; 2) t. j. Apollon; 3) czemu.

pióra, kiedy wam odmówiła darów swych natura?... Albo powiększcie [talent, dotąd jeszcze słaby, a nie skrzeczcie tak głośno, Helikonu żaby!... Uczcie się wprzód poznawać własności człowieka, niżli się wasza nad nim rozciągnie opieka, i raczcie go malować częściej z prawej strony, nie sięgając w nim nigdy wad przez wszystkie tony: sąto znaki wściekłości i mózgu choroby czernić węglem złej sławy najpierwsze osoby!“ Krążyło też po Warszawie podczas sejmu mnóstwo zagadek wierszowanych, np.: „Biskup przystojny, mówca zabawny, kursor ¹⁾ wyborny, gracz w wista sławny, intrygant zręczny, podszyty cnotą, króla i naród odda za złoto“. Zagadka powiedziała prawdę: zaprzęda niebawem ojczyznę biskup inflancki, Józef Kossakowski, przyszły targowiczanie. Takie zagadki układano na wszystkich uczestników wielkiego sejmu: na króla, biskupów, ministrów, wojewodów, kasztelanów, posłów. Nie zawsze jednak ganiły te wierszyki, czasem chwaliły, np.: „Dobrze myśli, mało mówi, podobien jest strumykowi, w kilku słowech wiele znaczy, nie się każdy tak tłumaczy“. W zupełności zasłużył sobie na tę pochwałę poseł inflancki, jeden z najrozumniejszych mówców sejmu czteroletniego i jeden z najwybitniejszych przedstawicieli jego poezji politycznej, wierny towarzysz, przyjaciel i powiernik Kościuszki, **Julian Niemcewicz** (1757—1841), urodzony w Skokach na Litwie (o milę od Brześcia).

Rozkwit jego działalności literackiej przypada dopiero na czasy porozbiorowe, kiedyto ukażą się, pomiędzy innymi, jego słynne „Śpiewy historyczne“ (1818); ale i w literaturze niepodległej Polski chlubnie się zaznaczył Niemcewicz, jako autor komedyi „Powrót posła“ i innych utworów patryotycznych. Bo gorący patryotyzm to najznamienniejsza i zarazem najpiękniejsza jego cecha, i jako czło-

¹⁾ biegun, biegacz.

wieka i jako pisarza. „Nie każdy naród — jak się pięknie wyraził Stefan Witwicki (§ 48)—i nie w każdej bytu swego epoce może podobnych mężów pokazać, mężów, w których tak się skupia i wciela całe jego życie, i stają się jakby uosobionym narodem; jednym z takich ojców, przez których Opatrzność błogosławi narodowi, takim wcielonym narodem, Człowiekiem - Polską był Niemcewicz“. Był zaś Niemcewicz Człowiekiem-Polską nietylko dlatego, że przez lat kilkadziesiąt brał czynny udział we wszystkich wypadkach, stanowiących najistotniejszą treść naszej historii, począwszy od sejmu czteroletniego aż do tułactwa na obczyźnie po roku 1831, ale nadewszystko dlatego, że całe jego życie—od kolebki niemal aż do deski grobowej — to jeden wspaniały poemat miłości, poświęcenia i cierpienia dla Polski. Ukochał ją, będąc małym dzieckiem, bo miał rozumnych i zacnych rodziców, którzy wpoili w jego serce zarówno miłość tradycyi narodowej, jak ból nad bijącemi w ojczyznę nieszczęściami i głębokie poczucie świętości obowiązku służenia jej ze wszystkich sił swoich. Kilkoletni pobyt w Szkole Rycerskiej rozwinął jeszcze i utrwalił w jego duszy te uczucia, a dalszą szkołą patryotyzmu była mu przyjaźń z rodziną Czartoryskich; jako adjutant księcia generała ziem podolskich, odbywał z nim liczne podróże po kraju i całym sercem pokochał ziemię rodzinną, jej bogactwa, jej piękności, jej przeszłość. A nie wyziębiły tej miłości długie podróże zagraniczne—po Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech—przeciwnie wzmocniły ją jeszcze: widok potęgi politycznej obcych krajów i ich wysokiej cywilizacyi (zwłaszcza Anglii) nappełnił serce Niemcewicza bólem na myśl o słabości i ubóstwie własnej ojczyzny, ten zaś ból był mu podniętą do pracy patryotycznej. Na jej widownię wystąpił po raz pierwszy podczas sejmu czteroletniego, jako poseł inflancki; należał całą duszą do stronnictwa patryotycznego i wierzył mocno w możność

uratowania Polski, wierzył, że, „jeśli dziś rzeczy polskich nie podniesiemy, nie okoliczności, ale nas samych będzie to winą, na nas spadną łyzy i cierpienia pozostałych po domach braci, na nas narzekania następnych wieków, a dręczone sumnienia jędze wyrzucać nam będą przez resztę dni naszych i dzisiejszą opieślność i przyszłe nieszczęścia“. Na sesjach sejmowych zabierał głos kilkakrotnie: przemawiał za uprawnieniem mieszczaństwa i ludu, za dziedzicznością tronu, w obronie Komisji Edukacyjnej i w innych jeszcze sprawach, a mówił zawsze doskonale przygotowany, z planem i ładem, jasno i rozumnie, bez czczych frazesów, zato z głębokim przekonaniem i z sercem. A nie tylko słowem, ale i piórem popierał pracę sejmową: pomiędzy innemi, założył i wydawał wraz z Tadeuszem Mostowskim (kasztelanem raciańskim) i Józefem Weyssehoffem (połtem inflanckim) „Gazetę narodową i obcą“, — pierwsze polskie czasopismo polityczne. Po przystąpieniu króla do Targowicy wyjechał Niemcewicz wraz z innymi patriotami zagranicę, ale, kiedy wybuchło powstanie Kościuszki, powrócił, był adjutantem i sekretarzem Naczelnika, walczył pod Szczekocinami, a w nieszczęsnej bitwie maciejowickiej, ranny, dostał się do niewoli. Zawieszony wraz z Kościuszką i innymi bohaterami do Petersburga, przez dwa lata męczył się w lochach twierdzy petropawłowskiej, po śmierci Katarzyny wypuszczony na wolność przez cesarza Pawła, wyjechał do Ameryki, nie chcąc opuszczać chorego i zbolalego Kościuszki. Ale po latach powrócił do kraju, osiadł w Warszawie i z młodzieńczym zapałem będzie pracował dla ojczyzny; a kiedy wybuchnie powstanie r. 1830, podejmie się, ósmy już krzyżyk dźwigając na barkach, poselstwa do Anglii, póki nakoniec nie osiedli się na wychodźstwie w Paryżu i nie dokona swego męczeńskiego a niepokalanego żywota, — żywota, który prawdziwie był „arką przymierza, między dawnemi i młod-

szemi laty“, — między Polską niepodległą, za którą walczył, a porozbiorową, w której przez lata całe „stał na straży narodowego pamiątek Kościoła“ ten rycerz bez trwogi i zmayı.

„Wcześniej — pisze Niemcewicz — obudził się we mnie smak do poezji: w szesnastym roku napisałem poemat „Wojna kobiet“... Od tego czasu zacząłem bazgrać wiersze, i nałóg ten nie opuścił mię przez lat z górą sześćdziesiąt,... dyabełek poezji kusił mię zawsze“. Pisywał więc drobne wierszyki, ody, listy poetyckie, tłumaczył poezye Woltera i powieści francuskie, póki wreszcie nie natrafił na drogę, odpowiednią zarówno swemu pogładowi na poezję, jako na środek do nauczania, jak swemu talentowi satyrycznemu. Z drogi tej nie zboczył już do śmierci: jego poezya ma charakter dydaktyczno-satyryczny, uczy mianowicie miłości ojczyzny, a piętnuje lub ośmiesza wszystko, co się tylko z miłością ojczyzny nie zgadza. Duch obywatelski, tendencya patryotyczna, to najznamienniejsza cecha wszystkich wogóle pism Niemcewicza. Nie był on nigdy — mówi Mickiewicz — „poetą-sztukmistrzem, nigdy nie pisał dla zabawy swych czytelników, nigdy nie składał ofiar sztuce; sztuka nie była jego bożyszczem; był on przedewszystkiem i jedynie Polakiem; dzieła swoje brał za narzędzia do walczenia z nieprzyjaciółmi Polski:... jeżeli wszystko, co się pisze z natchnienia chwilowych okoliczności, co jest przeznaczone do wywarcia wpływu na prędcę, godzi się nazwać pamfletem, można powiedzieć, że Niemcewicz nie pisał nic innego, tylko pamflety, że był największym ze wszystkich znanych panfleclistów, zawsze przywiązany do tej samej sprawy, zawsze jednako miłującym ojczyznę, a zawziętym na jej nieprzyjaciół, nigdy nie przestawał on stawać w jej obronie i nigdy nie darował jej wrogom politycznym, moralnym i literackim“. Otóż głównem źródłem natchnienia dla poezji Niemcewi-

wicza w XVIII wieku sejm czteroletni: pragnąc urabiać opinię publiczną, naprędce pisał pamflety, czyto pod postacią bajek, zawierających w sobie alluzye do współczesnych wypadków, czy też dum, np. o Żółkiewskim, któremi budził miłość sławnej przeszłości (a które później wejdą w skład „Śpiewów historycznych“).

Lecz najznakomitszym pamfletem historycznym Niemcewicza z czasów sejmu czteroletniego jest „Powrót posła“ (1790), najoryginalniejsza komedia polska XVIII wieku i zarazem pierwsza polska komedia polityczna. Przez długi czas budziła ona nieopisany entuzjazm w Warszawie (po raz pierwszy wystawiono ją w styczniu roku 1791), wcale nie dlatego, żeby za doskonałą uchodzić mogła, ale dlatego, że była sztuką w całym znaczeniu tego wyrazu aktualną (na czasie), bo poruszała sprawę najżywotniejszą i najświętszą ze wszystkich podówczas w Polsce żywotnych i świętych, sprawę ratowania ojczyzny, toczącą się na sejmie, którego obrady przeniósł Niemcewicz (w ogólnym zarysie) z zamku królewskiego na scenę.

Pozorną osiã, około której obraca się akcja komedyi, jest nie sprawa publiczna, tylko prywatna, mianowicie miłość dwojga młodych, miłość z przeszkodami. Rzecz dzieje się na wsi, w domu państwa podkomorstwa, na jesieni roku 1790, podczas limity (przerwy) sejmowej, kiedy to, w oczekiwaniu nowych wyborów uzupełniających, dawniej obrani posłowie rozjechali się do domów. Otóż państwo podkomorstwo z biciem serca wyczekują „powrotu posła“, którym jest ich własny syn, Walery; z biciem serca wyczekuje go i panna Teresa, córka pana starosty Gadulskiego z pierwszego małżeństwa, która, wychowując się po śmierci matki u państwa podkomorstwa, dzieckiem jeszcze pokochała ich syna, a teraz niepokoi się, czy czasem Walery, bawiąc tak długo w Warszawie, nie zapomniał o niej, czy ją po dawnemu kocha. Obawy okazują się płonne, — wraca Walery, ten sam, co zawsze. Lecz te-

raz dopiero zaczynają się piętrzyć „przeszkody zawzięte“. O serce, a raczej o posag Teresy, ubiega się głupi fircyk warszawski, Szarmancki; wprawdzie Teresa nie cierpi go z całej duszy, ale wie, że nie ona rozporządza swą ręką, tylko jej surowy ojciec; ojciec zaś przyobiecał był wprawdzie kiedyś państwu podkomorstwu, że wyda Teresę za Walerego, ale teraz nie chce o tem słyszeć, raz, że Walery należy do stronnictwa patryotycznego, którego on nienawidzi, a drugi raz, że Walery, jako człowiek niezamożny, będzie się z pewnością upominał o posag, którego on nie ma najmniejszej ochoty dawać: bo chociaż ma pełną kieszeń, ale w kieszeni węża. Nie dosyć na tem. I macocha Teresy, pani starościna, „żona modna“, trzymająca męża pod pantoflem, kobieta w gruncie rzeczy niezła, ale ciężko głupia, nie chce zezwolić na małżeństwo Teresy z Walerym: przecie Walery to „sensat“ (jak nazywano ironicznie ludzi poważnych, uczonych), który może wprawdzie „mowy pisać, prawo zacytować“, ale nie umie czule wdychać; więc Teresa odda rękę Szarmanckiemu, bo ten umie „się atandrysować i jęczeć“. Starosta, zapewniony przez żonę, że Szarmancki nie będzie żądał posagu, „zawczasu już ściska kochanego zięcia“ i chce „wesele dziś jeszcze odprawić“. Ale cóż, kiedy kochany zięć ani myśli iść do ołtarza, póki nie będzie „wiedział na piśmie, nie słowy, jak wielki będzie posag i czyli gotowy“. Wówczas oburzony starosta zezwala na małżeństwo Teresy z Walerym, bo ten naprawdę ani grosza posagu nie chce; a i pani starościna, „voyant de plus près“¹⁾ tak czule kochanie*, nie odmawia swego błogosławieństwa.

Nie ta osnowa, oczywiście, stanowi o znaczeniu i wartości „Powrotu posła“, bo też nie o nią Niemcewiczowi chodziło, ale zupełnie o co innego. „Ma to do siebie umysł czytelnika, — czytamy w przedmowie — iż łatwiej

¹⁾ widząc zblizka.

daleko i uwagę swą zwraca i korzyści odbiera z rzeczy, które pod postacią rozrywki uczą go i bawią, niż z takich, które, surowym i nauczycielskim przepowiedziane tonem, umysł jego bez odpoczynku wysiłają i dręczą“. Otóż osnowa (i wogóle forma), komedyi była dla Niemcewicza jedynie środkiem do nauki, bo „sztuki teatralne—jak mówi—mają za cel poprawę obyczajów“, a „w kraju wolnym, gdzie każdy obywatel składa część powszechnego rządu, nie tylko prywatnego życia obyczaje, ale zdrożne względem całości krajowej opinie prostować należy“. Zdrożne zaś względem całości krajowej opinie rozlegały się często podczas sejmu czteroletniego: wygłaszało je stronnictwo starszylacheckie, wsteczne, bądź słowem — na obradach sejmowych, bądź piórem—w książkach i broszurach, sprzeciwiając się, wbrew stronnictwu patriotycznemu, wszelkim gruntownym reformom, zezwalając co najwyżej na niektóre drobne powierzchowne zmiany. Tę właśnie walkę dwu stronnictw, która stanowi całą niemal treść działalności wielkiego sejmu, zobrazował Niemcewicz w swojej komedii, wystawiając w pięknym świetle patriotów, a ośmieszając wsteczników, aby, jak mówi, „wyszydzić ostatek zakorzenionych przesądów“.

Przedstawicielami stronnictwa patriotycznego są w komedii podkomorzy i Walery. Obydwaj są szlachetni i rozumni, hołdują zasadzie, że „dom zawsze ustępować powinien krajowi“, cieszą się całym sercem z działalności wielkiego sejmu, rozumieją potrzebę reform nie tylko politycznych (np. zniesienia tronu obieralnego), ale i społecznych: pan podkomorzy w radosny dzień zaręczyn swego syna ze starościanką obdarza wszystkich swoich chłopów wolnością (podobnie jak pan Tadeusz w poemacie Mickiewicza, kiedy się zaręczył z Zosią). Krótko mówiąc, podkomorzy i Walery to uosobienia wszelkich rozumów i wszystkich cnót, zarówno rodzinnych, jak patriotycznych. Szkoda

tylko, że, jak pan Podstoli Krasickiego, sąto doskonałości papierowe, bo ani w postać ojca, ani w postać syna nie umiał Niemcewicz tchnąć życia.

Bez porównania lepiej udała mu się postać przedstawiciela stronnictwa starszlacheckiego,—pana starosty, który się nie darmo nazywa Gadulski: „Jak zaczął to o sejmie, to o wojnach bajać, ze wszystkimi się sprzeczać, wszystkich kłócić, łajac, gęba się nie zamknęła przez całą wieczność; powywracał butelki, szklanki i talerze; naostatek, chociaż mu nikt nie odpowiadał, on jednak, zaperzony, jak gadał, tak gadał; i dopiero, jak postrzegł, że już wszyscy spali, że świece gasły, przecież, mrużąc, wyszedł z sali i na schodach dokończył ostatka swej mowy“. Otóż w tych mowach pana starosty odzwierciedla się przepysznie jego charakter, zwłaszcza jego ciasny, zakuty łeb starszlachecki, w którym się pomieścić nie może, aby Rzeczpospolita potrzebowała jakiegokolwiek reformy: przecie wszystko, co stare, to mądre, a wszystko, co nowe, to głupie! „Bóg wie, co porobiły sejmujące stany, dlaczego ten rząd, poco te wszystkie odmiany? Alboż źle było dotąd? a nasi przodkowie nie mieliżto rozumu i oleju w głowie? Byliśmy potężnymi pod ich ustawami: jakto Polak szczęśliwie żył pod Augustami! co to za dwory, jakie trybunały huczne, co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne! Człek jadł, pił, nic nie robił, i suto w kieszeni! Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni: zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy „liberum veto“, tejto wolności żrzenicy! (płacze) Przedtem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady, jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę: powiedział „Nie pozwalam!“ i uciekł na Pragę! Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek miał promocyę i dostał czasem kilka wiosek; dzisiaj co kto dostanie? nowomodne głowy chcą

robić jakieś straże, jakiś sejm gotowy¹⁾, — czyste do despotyzmu otwierają pole“... „Czyliż się to z rozumem może zgodzić zdrowym, żeby poseł w urzędzie był dwa lata trwale? Sejm powinien być tylko o ś. Michale, nie więcej, jak sześć niedziel: tak przedtem bywało!“... „Jakże też można mieć tak dzikie zdania i przed sukcesją naród chcieć jarzmem uciskać? W tym przypadku pytam się: co kto może zyskać? Król dziś umrze, nazajutrz syn po nim nastaje, wszystko się w spokojności, jak wprzód zostaje, wszystko cicho, i nikt się nikomu nie skłoni; w elekcji każdy swego kandydata broni, wszyscy na koń wsiadają i, podług zwyczaju, zaraz panowie partye formują; ten mówi do mnie z miną rubasznie-przyjemną: „Kochany panie Piotrze! proszę, bądź Waść ze mną²⁾! Między nami, tę wioskę weź niły w dzierżawę!“; drugi, żebym był za nim, puszcza mi zastawę, ten daje sumę,—i tak człek się zapomże! Prawda, z tego wszystkiego przyjść do czubów może, i tak było po śmierci Augusta wtórego: ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego, palili sobie wioski: no, i cóż to szkodzi? obce wojsko, jak wkroczy, to wszystko pogodzi (!!!); potem amnestya, panom buławy, urzędy, szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy,—niebyłóż to tak dobrze?“ Kiedy pan podkomorzy nadaje włościom swoich

¹⁾ Sejm sześciotygodniowy zamierzano zamienić na sejm gotowy, który możnaby było zwołać każdego czasu w razie potrzeby—z posłów, obranych na przeciąg czasu nie sześciotygodniowy, ale dwuletni; w czasie niesejmowym miała pomagać królowi do wykonania uchwał sejmowych straż, złożona z dwunastu członków, a wybierana przez sejm na dwa lata. ²⁾ Jak pisze nam Niemcewicz w „Pamiętnikach czasów moich“, Branicki na sejmie r. 1775 obstawał „w rubasznej mowie“ za utrzymaniem dawnej kawalerji, złożonej z samej majątnej szlachty: „Nie wielebym ufał—wykrzykiwał—tej z chłopstwa złożonej piechocie, lecz wszystkiego dokażę, kiedy, obróciwszy się do szlachty, do chorągwi poważnych, zawołam: „Panie Piotrze, panie Pawle! hejże, bracia, za mną!“

wolnością, pan starosta, oczywiście, nie posiada się z oburzenia: „Potrzebne to rzeczy? do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie? to tylko Waćpan robisz dla drugich zgorzeleni!”

Oto są „zdrożne względem całości krajowej opinie“, które niemiłosiernie ośmiesza Niemcewicz, wkładając je w usta pana starosty; aby zaś już do reszty dobić w opinii publicznej stronnictwo starszylacheckie, zrobił z pana starosty nie tylko skończonego głupca i wsteczника, ale nadto pijaka i niedołęgę, skąpca i chciwca, słowem odsądził go od czci i wiary. To też, jak „Sarmatyzm“ Zabłockiego (§ 90) jest, dzięki postaci Guronosa, najostrzejszą w literaturze XVIII wieku satyrą na sarmatyzm w życiu domowem, tak „Powrót posła“ Niemcewicza jest, dzięki postaci pana starosty, najostrzejszą satyrą na sarmatyzm w życiu publicznem, jest jakby ostatniem słowem w tej walce przeciwko wsteczniństwu i nierozumowi politycznemu, którą jeszcze w wieku XVI rozpoczął Górnicki w swojej „Rozmowa Polaka z Włochem“ (§ 33).

Ale i o „prywatnego życia obyczajach“ nie zapomniał Niemcewicz, piętnując ich rozluźnienie pod wpływem cudzoziemczyzny: Szarmancki mianowicie to doskonały przedstawiciel napoty cudzoziemczalej i na sprawy ojczyzny zupełnie obojętnej „złotej młodzieży“ warszawskiej; to typ „fircyka“, „lwa salonowego“, którego główną specjalnością jest próżniactwo i rozpusta, zabawa i polowanie—nie tylko na zwierzęta, ale głównie na posażne panny. W osobie zaś pani starościny (także na poły sfrancuzialej) ośmieszył Niemcewicz „żony modne“ z ich zdumiewającą zdolnością do omdlewania i spazmów na każde zawołanie, z ich przewróconemi głowami i sercami! Ze wszystkich postaci „Powrotu posła“ te dwie, chociaż potrosze skarykaturowane, posiadają najwięcej prawdziwego komizmu, i one to głównie nadają komedyi wartość artystyczną. A jak postać

starosty ma swoje przeciwieństwo w postaci podkomorzego, tak przeciwieństwem Szarmanckiego i starościny są Walery i podkomorzyna: pragnął Niemcewicz uwydatnić przeciwieństwo dwu światów polskich, zarówno w zakresie życia publicznego, jak obyczajowego, i zamiar swój spełnił znakomicie.

Akt drugi, scena siódma.

Szarmancki i Starościna.

Starościna.

„Quel ton“¹⁾ Pocóż tak krzyczał²⁾ sposobem nieznośnym?

Szarmancki.

Nie wiem, skąd mu się wzięło być ze mną zazdrośnym.

Starościna.

„C'est assez drôle“³⁾, prawdziwie: to on kochać umie?

Szarmancki.

A, skąd znowu? On tego wcale nie rozumie!
Jego rzecz mowy pisać, prawo zacytować;
Lecz tej tkliwej czułości nie umie pojmować,
Tych rzutów serc do siebie, tego rozrzewnienia...

Starościna.

Tych łez słodkich, tych nocy bezsennie trawienia...

Szarmancki.

Bezsennie? On noc całą chrapie, jak zabity!

Starościna.

Ach! bo mu serca ogień nie pali ukryty
Ni okrutne „suwniry“⁴⁾. (płacze).

¹⁾ jaki ton! ²⁾ Walery; ³⁾ to dosyć zabawne; ⁴⁾ wspomnienia („souvenir“).

S z a r m a n c k i.

Te łzy, te rozpaczę
Porzuć, proszę, bo ja się prawdziwie rozplaczę!

S t a r o ś c i n a.

„Comme vous êtes bon, honnête“¹⁾ jak masz duszę tkliwą!
Ty jeden cieszyć możesz serca nieszczęśliwe.

S z a r m a n c k i.

Wszystkiego mi się zwierzyć możesz poufale;
Zdawna widzę, że smutek, ciężkie jakieś żale
Struły życie Waćpani: ustawnieś stroskana.

S t a r o ś c i n a.

Twarz Waćpana otwarta, dyskrecya tak znana
Ufność we mnie wzbudzają: wszystko mu odkryję;
Widzisz, w jakich „supirach“²⁾ i tęsknocie żyję.
„Une perte cruelle“³⁾, o Boże! W kwiecie mej młodości
Kochałam szambelana, cud doskonałości!
„Quelle figure et quels talents“⁴⁾ jak cudnie walcował!
Jakie fraki, halsztuki! ach, jak się fryzował!
Ja, co zawsze nad względy miłość mą przekładam,
Mimo rodziców, chciałam z nim uciec od „madam“,
Złączyć się z mym „idolem“⁵⁾, kiedy Parki srogie
Przecięły nożyczkami dni jego tak drogie. (placze).

S z a r m a n c k i.

O żale! o rozpaczę! o dniu nader smutny!

S t a r o ś c i n a.

Nie wiesz jeszcze przez jaki przypadek okrutny! (wyjmuje
z kieszeni pulares atlasowy i z niego papier).

1) jakżeś pan dobry, pocziwy! 2) supir („sourir“)=westchnienie;

3) okrutna strata; 4) coza figura i coza talenty! 5) idol („idole“)=bóstwo.

Oto wierszopis jeden, znany z swej czułości,
Podał go rymy swymi do nieśmiertelności!
Ja nie mam siły sama mówić o tej zgubie.

S z a r m a n c k i.

Przeczytam, bo ja bardzo smutne wiersze lubię. (czyta).

Elegia na śmierć Szambelana.

„Płaczcie, małe Amorki! płaczcie, Alcyjony¹⁾!
„Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony;
„A z nim zniknęły wdzięki, młodość i rozkosze.
„Uciszcie się, Zefiry! Zgon jego ja głoszę“.

S t a r o ś c i n a.

Jak to czule pisano! O gorzkie wspomnienie!

S z a r m a n c k i.

„Febus, dnia tego mgliste rzucając promienie,
„Ojciec wiecznej światłości, czynów naszych świadek,
„Zapłakany przeglądał nieszczęsny przypadek“.

S t a r o ś c i n a.

Ach! czemuś go nie spostrzegł, mieszkający w niebie,
O ty nielitościwy, o okrutny Febiel?

S z a r m a n c k i.

„Gdy szambelan do butów srebrne przypiął kolce
„I przed ganek zajechać kazał karyjolce,
„Wskoczył na powóz świetny i wprędce podane
„Chwycił, jak od niechcienia, lejce, srebrem tkane,

¹⁾ zimorodki; według podania greckiego, Alcyona, gdy utonął w morzu jej mąż, Ceyx, rzuciła się w morze; Zeus zamienił czułą parę w zimorodki.

- „I bicz angielski, giętki, długi, trzaskający;
„Tak, podobny do bogów, w powozie stojący,
„Przelatywał ulice wśród przepysznych gmachów,
„Sięgając prawie głową latarni i dachów.
„Leciał. Bystre bieguny, nieścignione okiem,
„Okrywały go gęstym kurzawy obłokiem.
„Zbiegały się do okna panny i mężatki
„Widzieć ten cel swych życzeń, widzieć ten cud rzadki.
„Szczęśliwa, którą spostrzegł i uchylił głowy!
„Już był biegu swojego dopełniał połowy,
„Kiedy o ostry kamień koło rozpędzone
„Uderza, pęka,—powóz, schylony na stronę,
„Wyrzuca szambelana: pada i umiera!
„Naprawdę zboczzonego stangret z krwi ociera:
„Już nie żył. Taka była srogich bogów wola!
„Amorki, duszę jego w elizejskie pola
„Przeniósłszy, postawiły między Adoniszem,
„Dydoną, Eurydyką i pięknym Parysem.
„Równie świeży, jak róża, żył tyle, co ona.
„O strąto równie ciężka, jak nienadgrodzona!
„Nigdy więcej na świecie drugi nie powstanie
„Równie piękny młodzieniec, jak ty, szambelanie!
„W cóż się teraz obróćą piękne twoje sprzączki,
„Konie, fraki, łańcuszki i złote obrączki,
„Ach! w cóż się twoja czuła kochanka obróci?
„Smutek, żałość i rozpacz życia jej ukróci.
„Fatalna karyjólko! Ja będę przeklinał,
„Dzień nieszczęsny, gdzie Dangieliś robić cię zaczynał.
„Płaczcie, małe Amorki! płaczcie, Alcyjony!
„Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony“.

Ach, co za czule wiersze! żal mi serce ściska,
I, chociaż ten przypadek nie tyka mię zbliżka,
Smutny będę przez tydzień.

Starościna.

Ja zaś całe życie

W „plentach“¹⁾ i gorzkich żalach trawić będę skrycie.
„O vous ombre chérie“!²⁾ (płacze).

Szarmanki.

Czemuż nieba zagniewane

Złączyć nie pozwoliły serca tak dobrane?

Starościna.

Tą śmiercią omylona w najtkliwszym wyborze,
„Le reste de mes jours“³⁾ chciałam przepędzić w klasztorze
I zostać bernardynką! Rodziców rozkazy
Nowe sercu mojemu przyczyniły razy,
Łącząc mię „malgré moi“⁴⁾ z dziwacznym człowiekiem,
Co się nie zgadza ze mną ni gustem, ni wiekiem,
Który nawet wyrazów moich nie rozumie?
Co się „attandrysować“⁵⁾ ni jęczeć nie umie;
I, kiedy ja w najtkliwszem jestem rozkwileniu,
On przychodzi mi gadać o życie, jęczmieniu,
O fryjorze⁶⁾ do Gdańska.

Szarmanki.

A, to rzecz nieznośna!

I cierpi na to dusza prawdziwie miłośna!
Delikatnej czułości Waćpaniś jest wzorem.
Ach! czemuż starościanka nie idzie jej torem!

Starościna.

Jakże panna Teresa Waćpana znajduje?

1) plenta („plainte“)=skarga; 2) o ty cieniu drogi; 3) resztę moich dni; 4) wbrew mej woli; 5) rozczulać („attendir“); 6) fryjor = wiosenne spławianie zboża.

S z a r m a n c k i.

Kocha mię, ale tego nie dość pokazuje;
Podkomorzyc ją także pono bałamuci.

S t a r o ś c i n a.

Bądź Waćpan pewien, że się konkurencyja skróci;
„En vain“¹⁾ podkomorzyna krząta się i swata:
Córki naszej nie damy nigdy za sensata²⁾.

S z a r m a n c k i.

Zamiast romansów, w których czułość i zabawa,
Onby jej kazał czytać „volumina“³⁾ prawa.

S t a r o ś c i n a.

Zanudziłby ją na śmierć; tego nie ścierpiemy, —
I ja i mąż mój nawet Waćpana życzymy.

S z a r m a n c k i.

(klękając z zmyślonym zapalem).

„Wszehmocne nieba, coście dały jedną duszę,
„Bym nieszczęsnej czułości ponosił katusze,
„Dajcie drugą, bym znieść mógł rozkosz niepojętą!“

S t a r o ś c i n a.

Ach! wszak to słowa, z „Nowej Heloisy“⁴⁾ wzięte!
Jak szczęśliwieś przytoczył! Takiego kochanka
„En vérité“⁵⁾ nie warta zimna starościanka.
„Mais bientôt“⁶⁾ ma tu nadejść mąż mój uprzykrzony.
Chcę z nim pomówić. Waćpan bądź już zapewniony,
Że koniec położymy jego czulej męce,
Że Teresa już jego.

1) daremnie; 2) sensat=człowiek uczony, nadto poważny; 3) tomy;

4) romans Russa; 5) zaprawdę; 6) lecz wkrótce.

Szarmancki.

W Waćpani ja ręce
Składam me losy, czucia i ogień ukryty. (odchodzi).

Akt pierwszy, scena ósma.

Starościna sama.

„O ciel“¹⁾ Co to będzie za mąż wyśmienity!
„Je suis fière de mon choix“²⁾ i wielbię niebiosy.
Zaraz mu starościanka musi dać swe włosy:
W czułych „tandresach“³⁾ słodkie te serca daniny.
Więcej są warte, niż te głupie zaręczyny.

(po chwili zamyślenia).

„Ils sont passés pour moi“⁴⁾ te chwile miłośne,
Zostały się cyprysy i ciernie nieznośne.
Dni moje pełne smutku i pełne żałoby.
Z tobą ja, Jungu⁵⁾! mieszkać będę między groby.
(zdobywa „Nocy“ Junga i czyta, przerywa czytanie
i woła):

O Jungu! twoja córka, twa córka kochana
Nigdy nie była warta mego szambelana!

Akt pierwszy, scena dziewiąta.

Starościna i Starosta.

Starosta.

Cóż się Waćpani dzieje? Myślałem, że gore,
Albo że które w domu zemdlało lub chore.
Skądże te krzyki?

1) o nieba! 2) jestem dumna ze swego wyboru; 3) tandressa („tendressa“)=czułość; 4)-przeszły dla mnie; 5) Edward Young — poeta angielski XVIII w., autor poematu „Noce“, w którym oplakał śmierć żony i dzieci.

Starościna.

„Mon coeur“! ¹⁾ źle się trochę czuję.
Głowa mię boli, jakiś „frisson“ ²⁾ mię przejmuje.

Starosta.

Jaki u licha fryson? Ciało pewnie zdrowe,
Lecz te dyabelskie książki bałamucają głowę;
Te was przenoszą w jakieś dziwaczne krainy
I każą płakać, wzdychać, choć niema przyczyny.
Nie w takim matki nasze bałamuctwie żyły:
Przędły, piekły pierniki lub w krosienkach szyły;
Były przytem wesołe, szczęśliwe i zdrowe:
Nie durzyły im głowy dymy romansowe.

Starościna (płacze).

Chcieć Waćpanu dogodzić jest rzecz, widzę, próżna;
Kiedy się nie podobam, to się rozwieść można.

Starosta (na boku).

Tam do kata, gdyby iść chciała do rozvodu,
Utraciłbym połowę rocznego dochodu;
To nie żart, żonę taką trzeba menażować ³⁾.

(do starościny, śmiejąc się i biorąc ją za rękę).

Nie, robaczku! ja tylko chciałem tak żartować,
To się ciebie nie tyczy, bądź uspokojoną!
Ach! drugiej takiej żony nie znalazłbym pono.
Nie rozdzielim się nigdy! Lecz czemuż, tak biedna,
Nie chcesz się czem rozerwać? siedzisz sama jedna?

Starościna.

Lubię sobie przez okno patrzeć na naturę.
Szarmancki robił ze mną maleńką lekturę;

¹⁾ moje serce! ²⁾ dreszcz; ³⁾ oszczędzać, szanować.

„Tout à fait garçon brave“¹⁾ i pełen tandresy,
„Vraiment“²⁾ bardziej nad innych wart panny Teresy:
Nie refiuzuj³⁾ mu dłużej!

Starosta.

Trudno trochę człeku
Wybrać między młodzieżą zepsutego wieku.
Mamy dwóch konkurentów (każdego ktoś swata):
Potrzeba wziąć za zięcia trzpiota lub sensata.
Przyznam się, wolę tego, co już jest swym panem:
Nie będę się przynajmniej zatrudniał ich stanem;
Lecz sensat bez majątku, bez dóbr i pieniędzy,
Morałami swoimi nie opędzi nędzy,
Nowy przyczyni zachód, wydatek i troski;
Trzeba zaraz dać posag lub wypuścić wioski;
Ja zaś, niech się jak kto chce śmieje i urąga,
Ja za życia mojego nie dam i szeląga.
Niechaj się sam jegomość fortuny dorabia!

Starościna.

„Votre argent“⁴⁾ Szarmauckiego zapewne nie zwabia:
„Au dessus des trésors“⁵⁾, nad drogie kamienie
Woli „regard“⁶⁾ Teresy albo jej westchnienie:

Starosta.

I jakże? to o posag przykrzyć się nie będzie?

Starościna.

„Jamais“!⁷⁾ On sobie w małej kabance⁸⁾ osiedzie,
Na zielonym ryważu⁹⁾ jasnego strumyka,
Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika.

1) chłopiec, co się nazywa, dzielny; 2) prawdziwie; 3) refiuzować („refuser“)=odmawiać; 4) twoje pieniądze; 5) więcej nad skarby; 6) spojzenie; 7) nigdy; 8) kabanka („cabane“)=chatka; 9) ryważ („rivage“)=brzeg.

„A qui bon les richesses“? ¹⁾ W cichej solitudzie ²⁾
Życ będą, nie zważając, co powiedzą ludzie.

„Des fruits, du lait“ ³⁾ — to ich będzie pożywienie,
Łzy radosnym napojem, pokarmem westchnienie.

Starosta.

Jeżeli tylko takie mieć będą zabawy,
Jeśli się będą tuczyć takimi potrawy,
To pewnie w krótkim czasie oboje wychudną,
I gościom u ichmościów będzie bardzo nudno.
Lecz powiedz szczerze: to on posagu nie żąda?

Starościna.

„Parole d'honneur“ ⁴⁾, wcale się na to nie ogląda:
Nie myśli o posagu, gdy kto kocha szczerze.

Starosta

To dobrze, niechże sobie córkę moją bierze!
Ja nic mu dać nie mogę: choć te wszystkie swaty
Rozumieją, że jestem okrutnie bogaty,
Ja atoli nic nie mam: nie takie to czasy!
Grunta pojałowiały, spustoszały lasy,
I w polu tego roku zupełnie chybiło:
Po nizinach wymokło, na wzgórkach spaliło;
Siana i źdźbła nie będzie, to samo z jarzyną;
Cieszyłem się przynajmniej cokolwiek oźminą,
Alić się dowiaduję z listów ekonoma,
Że i te nieumłotne,—sama tylko słoma...
Na przyszły rok nie myśleć nawet o fryjorze.

Starościna.

„Mon coeur“! ty jesteś pono w niedobrym humorze...
Mam cię prosić o łaskę. (głaszcze go pod brodę).

¹⁾ nacóż bogactwa? ²⁾ solituda („solitude“)=samotność, ustronie;
³⁾ owoce, mleko; ⁴⁾ słowo honoru.

Starosta.

Powiedz tylko śmieie,
Powiedz, me życie, mój ty kochany aniele!

Starościna.

Oto przeciw kabanki, coś mi dał w boskiecie¹⁾,
Gdzie sobie przesiadują na wiosnę i w lecie,
Jest karczma z młynem, a w niej szynkuje Żyd brzydki.

Starosta.

Cóż, że nie piękny, ale mam z niego użytki:
Z karczmy tej dwa tysiące płaci mi arendy.

Starościna.

„Eh! vous me sacrifierez“²⁾ tak maleńkie względy;
Znieś karczmę: prospektowi czyni mi zawadę,
A gdzie młyn, pozwól, niech ja zrobię tam kaskadę.
Ach! co za delicyje wśród tych wód mruzenia,
Wśród kwiatów słodkie będę przywozić wspomnienia.
A berzerek³⁾, zdaleka smutnie grając sobie,
Będzie wdzięków dodawał przy wieczornej dobie.

Starosta.

Jak też Waćpani możesz takich rzeczy prosić?
Mam znów Żyda wypędzać, młyn i karczmę znosić.
Żeby zasadzać kwiaty i robić kaskady?!

Starościna.

„Toujours je vois en vous“⁴⁾ twardej duszy ślady:
Nie znasz się na tej tkliwej czułości — o Boże! —
Co się to bardziej czuje, jak powiedzieć może.
Wszak posag mój wystarczy pono na kaskadę...
„Si vous êtes si cruel“⁵⁾, to ja precz odjadę.

1) boskiet („bosquet“)=gaik; 2) ech! ty mi poświęcisz; 3) pastuszek („berger“); 4) podawnemu widzę w tobie; 5) jeżeliś tak okrutny.

Starosta.

Pozwól Waćpani, niechaj pomówię wprzód z Żydem,
Może się to ułoży...

Starościna.

To dla mnie jest wstydem,
Że tego na Waćpanu wyprosić nie mogę.
(rzuca się na krzesło i omdlewa)
„Je suis mal, je me meurs“¹⁾.

Starosta (krzyczy).

Ratujcie niebogę!
(przybiega Agatka i lokaj, dają jej wachać wódkę i ratują)
Trzeba prędko zapobiedz tej nagłej chorobie.
(krzyczy do ucha)
Jutro Żyda wypędzę i kaskadę zrobię!
Niechaj się uspokoi me drogie serduszek!...
Nie przychodzi do siebie: nieście ją na łóżko!
(wynoszą starościnę z krzesłem).

§ 101. Przy końcu Komedyi „Powrót posła“ wypowiedział Niemcewicz przez usta podkomorzego swoje własne serdeczne marzenie: „Bodajbyśmy, wraz dzieląc pomyślne godziny między słodkim staraniem krewnym i domowi a tem, co się należy własnemu krajowi, cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli i na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli!“ Marzenie to zdawało się ziszczać: w kilka miesięcy po pierwszym przedstawieniu komedyi stanęła Konstytucya 3 maja; Polacy, jak pisze Niemcewicz, „portargali pęta, zmazali hańbę, stali się narodem; Europa czyn ich z zadziwieniem i poklaskiem przyjęła, naród zaprzysiągł być rządny i niepodległym albo zginąć; nie było przykłady powszechniejszej zgody i jedności, nie można

¹⁾ źle mi, umieram.

było ani dość gorących do Boga ślać modłów, ani dosyć żywej podawać się radości“. Dla uczczenia pierwszej rocznicy Konstytucyi napisał Niemcewicz dramat historyczny „Kazimierz Wielki“ (1792). Utwór to bardzo słaby, pisany na gwałt, ale niemale na widzach wywarł wrażenie przez to samo głównie, co i „Powrót posła“, t. j. przez swoją aktualność. Autor bowiem, dopatrując się pomiędzy czasami Kazimierza Wielkiego a St. Augusta, pomiędzy Statutem Wiślickim a Konstytucją 3 maja, podobieństwa, wziął je za „materyą dramy“; nie chodziło mu bynajmniej o odtworzenie ducha epoki Kazimierza Wielkiego ani o Statut Wiślicki, ale o przystosowanie treści dramatu do chwili współczesnej, o apoteozę Konstytucyi 3 maja. A publiczność doskonale tę intencję zrozumiała, i raz po raz rozlegały się w sali teatralnej grzmiące oklaski. Ogromne wrażenie musiały np. wywrzeć kończące dramat słowa Kazimierza W.: „Niechże ten dzień będzie hasłem powszechnej narodu radości! niech Polacy w najpóźniejszych wiekach obchodzą go, jak pamiątkę szczęśliwej ustawy sejmu wiślickiego!“ — (t. j. 3 maja) — „niech pamiętają, że tą ustawą położyli koniec wstydomi, klęskom i długim cierpieniom i że tej winni są szczęście, spokojność i niepodległość swoją“. Szczególniej jednak wspaniała była chwila, kiedy Kazimierz W. przemówił ze sceny w te słowa: „Ustawy wiślickie zbawienne są; poznał je naród i nadwyrężyć ich nie dopuści, a jeśliby zdrajca jaki znalazł się, któryby z obcą mocą chciał zadawać bliźny ojczyźnie, która go urodziła i karmiła, wtenczas ja, choć stary, choć z siwą już głową, stanę na czele pocziwych Polaków i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę niepodległą, świetną i poważaną!“ Nagle powstał St. August, wychylił się z łoży i zawołał: „Stanę i wystawię się!“ A sala zatrzęsa się od grzmotu oklasków.

Na nieszczęście, nie stanął i nie wystawił się St. Au-

gust w obronie Konstytucyi: przyłączył się do Targowicy. To najhaniebniejsza hańba w dziejach dawnej Polski, ten „bólów ból“ odbił się w sercu Niemcewicza echem straszliwego oburzenia, którego wyrazem są jego dwa złośliwe paszkwile na targowiczán. Pierwszy—„Forma prawdziwego wolnego rządu przez konfederacyą targowicką ułożona“ (1792)—jest parodyą (nie odbiegającą zresztą tak dalece od rzeczywistości) niktzemnych odezw targowiczán, wywracających, nibyto w imię dobra ojczyzny i wolności i narodu, wielkie dzieło „spisku warszawskiego“, t. j. „głupiej i szalonej Konstytucyi 3 maja“ (!!). Oto np. artykuł o miastach i mieszczanach: „Nieszczęśliwe skutki okazują się już z nadanych praw stanowi miejskiemu przez spisek warszawski; miasta te zaczynają się murować, obcy do nich przybywać, a nawet w niektórych miejscach nieznanne dotąd fabryki i rękodzieła zaprowadzać; mieszczanie wraz z szlachtą za panie bracie chcą kraju swego bronić i ofiarę składać. Przeto, tak fatalnemu zgorszeniu kładąc wieczną zaporę, wszystkie przywileje miastom przez spisek warszawski nadane, kasujemy“. Artykuł o chłopach: „Żaden chłop człowiekiem nie ma być nazwany, ale panowie będą ich używać, jak koni i wołów“. Artykuł o sejmie: „...Idąc przykładem ojców naszych, wolno będzie zerwać sejm przy obraniu marszałka; ...wszystko „unanimitate“¹⁾ ma być traktowane i „liberum veto“, jako źrzenica wolności, troskliwie piastowane; prawdziwa bowiem wolność zależy na tem, aby jeden mógł tamować wolę wszystkich“.

Ale złośliwszym jeszcze jest paszkwil drugi: „Fragment Biblie Targowickiej. Księgi Szczęsnowe“ (1792); jestto trawestacya kilku początkowych rozdziałów Starego Testamentu („Ksiąg Rodzaju“), — i na tem właśnie polega piekielna złośliwość pomysłu Niemcewicza: jak Bóg przez

¹⁾ jednomyślnością.

sześć dni stwarzał świat, tak „naród i wszystko, co w nim dziś jest, przez sześć dni tworzy Szczęśny“ (Potocki). Oto np. dzień drugi stworzenia: „I rzekł Szczęśny: Niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną, niech szlachcic posłuszny będzie panom, a miasta niech się znowu pograżą w ubóstwie i ciemności; to, co wybrani od współziomków swych ludzie postanowili, niech będzie zbrodnią i spiskiem, a to, co ja rozkażę, niech będzie prawem! Rzekł też Szczęśny: Niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie przestaną mówić, czytać, pisać i myśleć! I nazwał to Szczęśny wolnością“.

Rozdział III. Szczęśny opowiada ród i początek swój i całe plemię swe od początku aż do końca. I rzekł Szczęśny: Żebyście wiedzieli, kto ja jestem i ci, którzy ze mną przedsięwzięli to osobliwe odrodzenie Polski, powiem wam, że ja naród mój wiodę od tych pysznych aniołów, którzy nawet Boga, Twórcę swego, uznawać nad sobą nie chcieli i zbuntowali się przeciw Niemu. Większa część tych aniołów wraz do piekłów wtrącona była, kilku z nich zostało na ziemi i rozeszli się po różnych krainach, i od nich pochodzą wszyscy burzyciele i wichrzyciele ziemi tej. I w Polsce został się z nich jeden, i od niego pochodzi Sieciech, wojewoda krakowski, który za Bolesława Krzywoustego zdradził swe ziomki i uciekł z placu bitwy, a król przysłał mu kądziel; i prządzł lat osiemdziesiąt... i pogardzon był i umarł. Z Sieciecha w dalszych pokoleniach zjawił się Szamotulski, wojewoda poznański; ten, zdradziwszy ojczyznę swą, przeszedł do Krzyżaków i był potem rozsiekan i umarł. A z biodrów Sieciecha wyszedł później Gliński, który podniósł bunt przeciw Zygmuntowi I i chciał się ogłosić wielkim księciem litewskim i przeszedł do Moskwy i żył lat pięćdziesiąt i wylupiono mu oczy i umarł. A potomkowie Glińskiego spłodzili Radziejowskiego, który Szwedów sprowadził na Polskę i wiele złego broił i żył

lat sześćdziesiąt... I życie jego było pełne zgryzot, a wszyscy stronili od niego, i był pogardzan i umarł. I weszła dusza Radziejowskiego w Chmielnickiego, Doroszeńki i Niczaję i rozmnożyła się, a z nich, dla bliskości miejsca, w Ponińskiego, we mnie, Szczęsnego, i w Branickiego i Rzewuskiego i Kossakowskiego. I pojąłem żonę, ...i wydała liczne plemię, które wami rządzić będzie“.

Inny charakter ma wiersz Niemcewicza „Na hersztów Targowickich“ (1792): i tutaj jest oburzenie, szczere, silne, nie wybucha już jednak krwawem szyderstwem, jak w paszkwilach, ale przemawia z powagą i smutkiem; a oprócz oburzenia względem zdrajców, jest tu jakiś żal do ojczyzny, że ich nie pokarała, ale nadewszystko jest ból głęboki na myśl, że targowiczanie unicestwili całą pracę wielkiego sejmu; broni się poeta przed zwątpieniem, jak może, chciałby uwierzyć, że to niepodobna przecie, aby Bóg „miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzie“: ale ta wiara w miłosierdzie jest jakoś słaba,—zwątpienie przemaga. Te same uczucia wypowiedział Niemcewicz w najpiękniejszym swoim utworze patryotycznym XVIII w., — w napisanej już po drugim rozbiórce elegii „Wiosna“ (1793); tylko, że ból patryotyczny przemawia tu rzewniej, smutek—ciszej, ze spokojem bolesnym, ale nie rozpaczliwym, jak to widać z pięknego zakończenia, godnego wielkiej duszy Niemcewicza.

NA HERSZTÓW TARGOWICKICH.

(W skróceniu),

Jakże? kiedy, z pogardą i wstydu i prawa
Spisek zdrajców na własną Ojczyznę powstawa,...
Gdy szerzy dziką zemstę i mordy bezkarne,
Naród w milczeniu patrzy na mordy tak czarne?...
I nie znajdzie się ręka Bruta lub Scewoli;
Coby nas uwolniła z tak ciężkiej niewoli?

Więc, gdy Polak, zbyt dobry, sztyletem się brzydzi,
Niechaj, czyny ich głosząc, światu ich ohydzi,
Niechaj powie, że zgubili Ojczyznę kochaną!...

Głosicie wolność, równość: ja prześladowanie
I nie wolność, lecz kilku widzę panowanie...
Porzuć, Szczęsny, szyderstwo! Połączać z uciskiem
Sejm prawy, zbiór cnotliwych śmiesz nazywać spiskiem?
Ty, coś, zgwałcenia wszystkich praw jawnym dowodem,
Samotrzcę w Targowicy nazwał się narodem,
Ty śmiesz bunty zadawać? Jakże? Lud zebrany,
Co haniebne nad sobą potargał kajdany;
Co, jedynie zajęty miłością ojczyzny,
Zniósł błędy, wskrzesił prawdę, uleczył swe blizny, —
Ten sejm winien u ciebie? Ach! nie tak osądzi
Publiczność i potomność, co nigdy nie błądzi...
Ta powie kiedyś: „Był sejm, z cnotliwych złożony,
„Co przywiódł do świetności kraj długo zhańbiony,...
„Który rozsądną równość między ludźmi wrócił
„I źródło nieszczęść Polski: pychę możnych, skrócił.
„Lecz byli zdrajcy, co kraj zburzyli szczęśliwy:
„Był Szczęsny, był Rzewuski, Branecki zdradliwy
„I Kossakowskich chytre i zwodnicze plemię;
„Ci zgubili na zawsze tę nieszczęsną ziemię!...”

Lecz, jeśli panujecie i mieczem i trwożą,
Wiedźcie: tryjumfy wasze długie być nie mogą;
Wkrótce zapalczywości i gniewu zasłona
Spadnie — i wstanie w oczach Ojczyzna zgubiona...
Natenczas wlec się będą dni wasze w tęsknotach,
Nie znając, co sny słodkie; w okropnych ciemnotach
Poległych ziomeków cienie stać będą przed wami
I zadaniami przez was przerażać ranami.
Wpośród przekleństw rodaków do grobu zstąpicie,
Lecz straconego szczęścia Polsce nie wrócicie!

.

Lecz trudno, by Bóg, który rządzi przeznaczeniem,
Bóg, co nas dźwignął swoim potężnym ramieniem,
Miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzie,—
Może pora szczęśliwa dla Polaków przyjdzie!
Trudno, by ten dzień wielki, gdzie świętym obchodem,
Boże! król w Twem obliczu łączył się z narodem,
By ten dzień, Panie, w którym przybytek Twój święty
Lud, Tobą i Ojczyzną jedynie zajęty,
Napełniał, gdzie przez szczere i radosne pienia
Składał Ci, Boże, za Twe dary dziękczynienia;
Gdzie strzedz wolnych swych ustaw zaprzysiągł przez
śluby, —
By dzień ten dniem się stać miał krzywoprzysięstw,
zguby!

Jeśli zaś w gniewieś wyrzekł, Boże władogromy,
Że szczęście nasze przejdzie, jako sen znikomy,...
Wtenczas któż znieść potrafi tylu klęsek brzemię?
Cnotliwy rzuci z smutkiem tę zgnębiającą ziemię,
A widząc szczęścia Polski zgubione nadzieje,
Nad zhańbioną ojczyzną rzewne łzy wyleje,
Pójdzie, gdzie niepodległym być się jeszcze godzi
I gdzie nad ludźmi pycha kilku nie przewodzi.

WIOSNA.

(W skróceniu).

Tchnąca przyjemną wonią, z majowym porankiem
Przyszła wiosna, kwiecistym ozdobiona wiankiem;
Przyszła wesółą, a gdy lube jej spojrzenie
Wzbudza rozkosz i całe cieszy przyrodzenie,
Gdy ziemia, przyodziana ozdobnymi szaty,
Pyszni się nowem liściem ¹⁾ i świeżymi kwiaty:

¹⁾ liście—rzeczownik zbiorowy rodzaju nijakiego.

Szczęśliwy, kto, nie znając ni smutku, ni męki,
Wesołem okiem patrzy na te lube wdzięki!
Lecz ten, co stracił wszystko, co nie ma Ojczyzny,
Co czasem niezatarte w sercu nosi blizny,
Dla tego, co nadziei stracił promyk słaby,
Czarną krepą okryte te wdzięczne powaby!

O Ojczyzno! Dla Ciebie już słońce pogodne
Nie wznijdzie, bo już obcy i ziomki odrodne,
Słodkich nadziei pierwsze zgasiwszy promienie,
Zepchnęli Cię bezbożnie w straszne grobów cienie...

Ojczyzno! Gdyby jeszcze można Cię ratować,
Któżby, kiedy Ty giniesz, chciał życie zachować?
Czemuż nieba nie raczą bohatera wskazać,
Coby śmiał kraj uwolnić i wstyd jego zmazać?...

Gdy zgon Twój oplakujesz, przykryta żałobą,
Któreż cnotliwe serce nie westchnie nad Tobą?
Któż wam hołdu nie odda, wy, dusze wspaniałe¹⁾,
Co, w kluby rządu wzięwszy bezprawia zuchwałę,
Zmieniając hańbę kraju w pomyślniejsze bycie,
Poświęćali Ojczyźnie majątki i życie?
Nie zginą prawa wasze z powszechnym upadkiem:
Będą cnoty i światel waszych wiecznym świadkiem;
I będzie miał czem Polak potwarców rumienić:
Dowiodł, że chciał być rządym i umiał się cenić.

Może niejednen dzisiaj z tych ludzi cnotliwych
Stał się ofiarą gwałtu i przewodzeń mściwych?
Może rycerz, którego nieskażone dłonie
Miecz wzniosły raz ostatni w Ojczyzny obronie,
Dziś, w srogiej żyjąc nędzy, okryty bliznami,
Jęczy nad swem kalectwem i Polski stratami?
Jęczy, ale w uciskach ulga mu zostaje,
Ulga, której występny nigdy nie doznaje:

¹⁾ patryoci sejmu czteroletniego

Na nieskażone serce wspomniawszy i cnoty,
Pozna, że lżejsza nędza, niżeli zgryzoty,
I, gdy śmierć przyjdzie, zamknie powieki spokojnie.

Ale ci, co Ojczyznę najechali zbrojnie,
Co, zgubiwszy swe ziomki wyniosłością hardą,
Kryją się w gmachach obcych przed świata pogardą,—
Mimo świetne bogactwa i majątek drogi,
Gorzkie będzie ich życie i śmierć pełna trwogi!...¹⁾

Jak ciężko Polskę obcem imieniem nazywać!
Jak ciężko słodkie związki natury rozrywać!
Brat bratu stał się cudzym; co mówię, o zbrodniel
Gdy zawiść wśród mocarzów rzuci swe pochodnie,
Kiedy ludem zabranym wojny zaczną toczyć,
Ziomek we krwi współziomka oręż będzie broczyć.
Ach! niech mię wprzód mogiła i cyprys żałobny
Przykryją, niżbym patrzył na widok podobny!

O lutni moja! Był czas, gdzie twoimi tony
Nuciłaś dawny blask, mej ojczyźnie wrócony:
Dziś, dotknięta ostatni raz od drżącej ręki,
Już nie jej głosisz sławę, ale smutne jęki,
I kryć się przed okrutnym musisz przeciwnikiem,
I dźwięk twój wkrótce obcym stanie się językiem!
Chyba starzec w ustroniu, ciesząc swą siwiznę,
Wnukom wspominać będzie dawną ich Ojczyznę...

Ale może wojownik ziemię krwią zrumienił,
Wywracać grody, postać narodów odmienił:
Stanie się strasznym zdradą i siłą oręża,
Świat zburzy, lecz nie zegnje cnotliwego męża!

§ 102. Jak upadek Konstytucyi 3 maja i drugi rozbiór Polski, tak upadek powstania Kościuszki i ostateczna utrata niepodległości odbiły się w poezyi współczesnej echem smutku i bólu; „Żale Sarmaty“ Karpińskiego nie

¹⁾ targowiczanie. <http://rcin.org.pl>

są jego jedynym wyrazem; mniej może poetycznie, ale silniej przemówił ból patryotyczny w elegii, a raczej w obszernym, (liczącym pięćset sześćdziesiąt wierszy) poemacie elegijnym p. t. „Bard polski“. Poemat ten, napisany na wiosnę roku 1795 (a więc już po traktacie podziałowym pomiędzy Austryą a Rosyą, ale przed traktatem pomiędzy Rosyą a Prusami), przez pół wieku niemal spoczywał w rękopisie; drukiem ogłosił go dopiero na krótko przed śmiercią Niemcewicz (1840) w jednym z czasopism polskich w Paryżu. W swej pięknej przemowie nie wymienia Niemcewicz nazwiska autora poematu, mówiąc tylko tak: „Jest to dzieło Polaka w pierwszym naówczas kwiecie młodości; Opatrzność obdarzyła go wyniosłą duszą i rzewnem sercem; całe jego późniejsze życie było ciągłą poezją czynów i cierpień“. Miał słuszność Niemcewicz: całe późniejsze życie autora „Barda polskiego“ było naprawdę ciągłą poezją czynów i cierpień, jest nim bowiem syn księcia generała ziem podolskich, Adam Jerzy Czartoryski (1770—1861), uczestnik powstania kościuszkowskiego, późniejszy przyjaciel cesarza Aleksandra I i rosyjski minister spraw zagranicznych, reformator szkół polskich na Litwie i na Rusi, prezes rządu tymczasowego w czasie powstania r. 1830, a wreszcie emigrant, zmarły na ziemi francuskiej. W latach młodości uprawiał Czartoryski poezję, chociaż wybitniejszego talentu poetyckiego nie posiadał; to też Niemcewicz, oddając do druku „Barda polskiego“ dokonał w nim różnych zmian (oczywiście, za zgodą autora): nie tylko poprawił język, styl i wiersz, ale nadto podzielił utwór na części, wykreślił kilkadziesiąt wierszy, które za najslabsze uznawał, natomiast dodał sto kilkadziesiąt wierszy własnych. Na tych wszystkich zmianach i dodatkach niemało zyskał poemat pod względem artystycznym; ale i bez nich, tak nawet, jak wyszedł zpod ręki i z serca Czartoryskiego, jest „Bard polski“, mimo niezbyt wykwi-

nej formy, utworem niemalej wartości, zarówno przez treść swoją, jak przez bijące w niej uczucie gorące i szlachetne.

Jak w „Boskiej komedyi“ Danta autor z Wirgiliuszem odbywa wędrówkę po piekle, tak w poemacie Czartoryskiego autor w towarzystwie barda, który go nauczył kochać pieśń i ojczyznę, wędruje po ziemi polskiej, wylewając łzy nad jej nieszczęściem:

. O Ziemio kochana!
Jakież okropny widok, jakaż sroga zmiana!
O Ziemio! jam Cię widział, kiedyś zakwinęła,
Gdy Twoja ludzi wszystkich powabność ujęła:
Ojczyste siadła ¹⁾ rzucił mieszkaniec daleki
Ród pracowny i mienie oddać Ci na wieki ²⁾.
Kędyż Twoje wesole, te zdobne osady?
Stadami pyszne łąki, owocami sady?
Kędyż są kłosem bujnym pozłocone żniwa?
Których to obfitości głos narodów wzywa?
Gdzie spojrzę, spustoszenie okropne i srogie
Zżarło, co tylko ludziom na ziemi jest drogie...
Nigdzie pożycia śladu, wzrok nigdzie nie spocznie;
Z gruzów, napół skopconych, wymkniety ubocznie
Dym tylko błękit niebios kłębami przerywa;
Tam, owdzie smutna stoi w nagim polu śliwa.
Pusto; zabite okna: gdzie zostaje chata,
Przez które rolnik witał roboczego brata.
Las, zewsząd osępiały, wyziera zdaleka,
Dokąd drżący mieszkaniec z swem życiem ucieka.

Na widok spustoszonej ziemi przypomina sobie autor wszystko, co się na niej świeżo działo, a więc powstanie Kościuszki, tego „męża świętego“, który, „ziomków chwa-

¹⁾ siedliska; ²⁾ za sejmu czteroletniego zaczęło napływać do Polski mnóstwo osadników niemieckich.

łą i szczęściem zajęty,—umysł się jego boski z człowiectwa wyzuje — snu i pokarmu nie zna, za wszystkich pracuje“; i wzywa autor barda, aby „zabrzmiał o pięknym zawodzie“, a aby wyśpiewał i Raclawice, „sławne kosami“, gdzie „prawych kmieci szczątek leci na działa, na ostrza sterczące i pierwsze wolne wykrzykną zwycięstwo“, i „krwawe“ Szczekociny i „Krupczyc trupem zasłane zagony“; „ach! odwróć od tej strony twoje smutne oczy: Maciejowic nieszczęsny tam widok zaskoczy; doły, pagórki, zgrzęzłej każda zmiana roli inną-ć ofiarę wspomni śmierci lub niedoli“. Wszystkie te wspomnienia potęgują jeszcze smutek autora. Nagle spotykają wędrownicy dziewczynę biedną, nieszczęśliwą, która się skarży boleśnie na swoją niedolę:

- „O żale, których powódź świat cały zaléwa,
„Przybądźcie wszystkie! mocy macie mało:
„Serce bez życia teraz was wzywa, —
„Już waszej całej srogości doznał!
„Czemu się owa za nieszczęsną mniema,
„Że ni schronienia, ni ojczyzny niema?
„A tamta czemu, osuta w żalobie,
„Usiadła we łzach na rodziców grobie?
„Ty jęczysz, z dni twoich poranka
„Straciłaś serce, straciłaś kochanka:
„A jaż się teraz czem nazwę, co jedna
„Wszystko to razem utraciłam, biedna?
„Żale, zgryzoty! już się was nie boję:
„Niczem się już nie zmartwię, niczem nie ukoję.
„O, na Twoje stworzenia, miłosierny Boże,
„Cóż tu Ciebie uczynić tak okrótnym może?
„Jam Ciebie tak gorąco, tak szczerze prosiła:
„Czyż Tobie co ta ziemia w świecie przewiniła?
„Jedno dla niej skinienie czyż Tobie wadziło?
„Jednem jedynie wdzięk jej, szczęścieby odżyło!

- „Patrzałam, jak dom płonął i miłe zagrody,
„Kędy się mój szczęśliwie przesuwiał wiek młody.
„Nie was ja płaczę, złotej mierności dostatki,
„Lecz wasza strata sroższej jest przyczyną:
 „Straty i ojca i kochanej matki.
 „Żal ich i nędza w swe płachty zawiną,
„I próżno się siliły te nieszczęsne dłonie
„Wstrzymać głód nieużyty, ulżyć w ciężkim zgonie.
„Nieraz pierwsze po zmerzchu chłodne wiatru wienie
„Przynosi ich żalosne nade mną jęczenie!..
 „I mój młodzieniec, zawsze mną zajęty,
„Chociaż srogą odemnie wiecznością przecięty,
„Lekkiem mżeniem powieki byle się zlepiły,
 „Wnet mię odwiedza i wszędy znachodzi.
 „Całą mą istność ogarnię cień miły,
 „Tęskność moję niby słodzi.
„Lecz czasem ran tysiącem rażą go morderce:
„Każdą ja czuję, każda moje krwawi serce.
 „O pomoc do mnie, zdaje mi się, woła;
 „Lecę... wstrzymują... dobiegam... upada...
 „Swego się kwiatu trzyma listek mały,
 „Mech się czepia wkoło skały:
 „Lube me związki wszystkie rozerwane,
 „I samotna na wielkiej ziemi pozostanę“.
Tak mówiąc, listki i mech, co skubała,
Sklada znowu, żalując, że ich, rozłączała...

W dalszej wędrówce autor i bard spotykają młodzieńca, który rozpacza na myśl, że, wzrósłszy w wolności, resztę życia przepędzi pod obcym panowaniem; „zaco z braćmi na polu chwały nie zginąłem? zszedłbym do grobu z cnotą i nadzieją społecną, że się mój naród szczęścia raz jeszcze doczeka!“ Lecz silniejszą jeszcze jest rozpacz star-

ca, którego spotykają pod samą Warszawą wędrowcy, a który opowiada im wszystko, co widział i co przeżył podczas szturm i zdobycia Pragi przez wojska rosyjskie: oto w ten dzień okropny stracił nietylko syna i córkę, ale i — wiarę w Opatrzność boską. Autor przerażony tem wstrząsającym opowiadaniem, modli się, aby nadzieja nigdy serc polskich nie opuszczała, poczem wraz z bardem składa swoją lutnię w mogiłę, „jakby na ojczyzny grobie; tu zostań! chyba odżyć dozwolą jej losy, — wtedy razem świetniejsze odżyją twe głosy“. Kończy się poemat sześciowierszowym „Pożegnaniem“.

Żegnam Ciebie, Ziemię ulubioną!
Mus nas okrutny spędza z Twego łona.
Drżącemi uszy dotknijmy powłoki
Poległych braci! O święte wy cienie!
Bądź nas gdziekolwiek powiodą wyroki,
Niech wasze nami kieruje westchnienie!

Pożegnanie to z ziemią rodzinną, jak zresztą cały poemat, jest wyrazem własnych uczuć Czartoryskiego, który pieśń tę wyśpiewał w Grodnie, po drodze do Petersburga, dokąd jechał (wraz z bratem Konstantym) jako zakładnik.

W historii literatury polskiej zajmuje „Bard polski“ stanowisko wybitne, nietylko przez to, że jest w poezji XVIII wieku jedyną większą pieśnią bólu patryotycznego, ale i przez to, że w zarodku zawiera już w sobie te uczucia i myśli, które rozwinię i spotęguje nasza wielka poezja patryotyczna XIX wieku: miłość ziemi rodzinnej i jej wielkiej przeszłości, ból nad jej nieszczęściami, płynący z tego bólu żal do Boga, a nawet zwątpienie o Jego Opa-

trżności i sprawiedliwości, oraz pogład (fałszywy), że Polska jest niewinna i zupełnie nieodpowiedzialna za te klęski, jakie na nią spadły. Z tego to względu „Bard polski“ Czartoryskiego jest łącznikiem pomiędzy poezją dawną a nową, jest jakby słupem granicznym pomiędzy literaturą niepodległej Polski a Polski porozbiorowej.

ZAKOŃCZENIE.

§ 103. „A jeśli komu droga otwarta do nieba,—tym, co służą ojczyźnie“. Jeżeli prawdę powiedział Kochanowski, jeżeli zasługi, położone dla ojczyzny, otwierają drogę do nieba, to ogromna większość pisarzy naszych, których dzieła tworzą literaturę niepodległej Polski, dawno się już cieszy „rajskim przebytem“ — w tej samej krainie, w której polskie serce Kochanowskiego widziało Piastów i Jagiellonów, w krainie, gdzie

ani ciemne mgły dochodzą,
Ani śnieg, ani zimne grady szkodzą;
Wieczna pogoda, dzień na wszystkie strony
Trwa nieskończony;

bo oni wiernie służyli ojczyźnie—piórem, „omoczonem we łzie orła białopiórego“, bo Matce swojej za to, że ich „urodziła i wychowała, nadała, wyniosła“, złożyli w hołdzie czci i wdzięczności piękną, mądrą, szlachetną, chrześcijańską i patryotyczną literaturę—taką, na jaką, prócz nas, nie zdobył się ani jeden „cny naród słowiański“, nie wyjmując naszych nauczycieli, Czechów, których dogoniliśmy i przegoniliśmy już w drugiej połowie XVI stulecia.

Nie dogoniliśmy zato naszych nauczycieli zachodnio-europejskich.

W wieku XVI wprawdzie dotrzyimaliśmy im jako tako kroku, ale później cofaliśmy się przez całe półtora wieku i dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia zaczęliśmy ich gonić na nowo, tylko że oni czekać na nas nie chcieli. Wogóle literatura staropolska nie wzniosła się, nawet w wieku złotym, na te wyżyny, na jakie się wzbily wielkie literatury zachodnio-europejskie: włoska w wiekach XIV, XV i XVI, francuska — w XVII i XVIII, angielska — w XVI i XVII, niemiecka — w XVIII. Prawda, że (nie mówiąc już o Koperniku, którego zazdroszczą nam wszystkie narody, a którego Niemcy chcą nam nawet ukraść) są w literaturze niepodległej Polski wielkie, znakomite nazwiska: Kochanowski, jako autor „Trenów“, to najznakomitszy li ryk XVI w. nietylko w Polsce, ale w całej Europie; arcydzieła, równego „Kazaniom“ Skargi, nie posiada wymowa kaznodziejska całej nowoczesnej Europy chrześcijańskiej; a tacy pisarze, jak Długosz, Modrzewski, Szymonowicz, Krasicki, Staszyc, Kołłątaj, nie przynieśli by wstydu żadnej literaturze, owszem każdej, cboćby najbogatszej w talenty, rozumy i serca, byłiby zaszczytem i ozdobą.

Tak, to wszystko prawda. Ale połóżmy rękę na sercu i odpowiedzmy bezstronnie: czy wydała niepodległa Polska takich pisarzów, jeśli już nawet nie tak genialnych, jak Dante, Szekspir, Milton, Molier, Goethe i Szyler, to przynajmniej tak znakomitych, jak Ariosto i Tasso, jak Kornel i Rasyu, a choćby takich, jak Erazm z Roterdamu, Wolter, Russo (żeby już innych nie wyliczać)? Nie! Wielkość literatury naszej przypada dopiero na czasy porobiorowe; wielkość da jej dopiero Mickiewicz: literatura zaś niepodległej Polski jest bogata, piękna, rozumna, moralnie czysta, ale wielką, pomimo Kochanowskiego i Skargi, Modrzewskiego i Staszycy, nazwać jej nie można, nie

dlatego, że wzrosła pod cudzą opieką, ale że i nadal bez cudzej opieki obejść się nie mogła, — rozwijając się nie w niewolniczej wprawdzie, ale w ścisłej zależności od literatur obcych: zarówno rzymskiej i greckiej, jak czeskiej, włoskiej i francuskiej. Nie była więc literatura staropolska samodzielna w formie, a często i w treści; swój wiek złoty zawdzięcza głównie Włochom; w wieku XVII zaczęła gardzić obcą pomocą i... zatracala stopniowo piękno i mądrość, póki w czasach saskich nie zatraciła ich niemal doszczętnie; a jeżeli za Stanisława Augusta dzwignęła się z upadku i wzniosła wysoko, to znów — przy obcej pomocy, francuskiej.

A jednak, pomimo zależności od wzorów obcych, jest literatura staropolska literaturą narodową: odbiły się w niej, jak w zwierciadle, duch i charakter narodu (głównie szlachty) w swoim rozwoju historycznym, i wogóle odbiło się w niej życie polskie, zarówno w swoich pierwiastkach i czynach dodatnich, jak ujemnych, zarówno w dobrej, jak w złej doli.

Ale nie dosyć na tem. Literatura w niepodległej Polsce była nietylko zwierciadłem życia, ale i jego mądrą i uczciwą mistrzynią: usiłowała je podnieść na swoje wyżyny—na wyżyny ideału chrześcijańskiego wogóle, a patriotycznego w szczególności, nie psuła i nie gorszyła narodu, ale pragnęła go poprawić i uszlachetnić, wpajając w serca miłość Boga i ojczyzny. Trafiały się naturalnie wyjątki: Orzechowski, Fredro, pisarze polityczni z obozu starszszlacheckiego na sejmie czteroletnim byli złymi nauczycielami narodu; byli i tacy, którzy obcym bogom stawiali ołtarze, były nawet całe epoki, w których, jeżeli ze szczętem nie zanikał, to w każdym razie wypaczał się albo karłał duch rzetelnego chrześcijaństwa i rozumnego patriotyzmu, schodząc na bagniste niziny fanatyzmu religijnego i szowinizmu narodowego. Ale ogromna większość pisa-

rzów staropolskich, — poczynając od Kadłubka, który głosił, że „szlachcicem jest ten tylko, kogo uszlachciła własna cnota“, i że miłość ojczyzny powinna być „mocna, jak śmierć“, aż do Niemcewicza, który uczył, że „dom zawsze ustępować powinien krajowi“—nie sprzeniewierzyła się w pismach swoich ani świętej nauce Jezusa Chrystusa, ani „świętej miłości kochanej ojczyzny“. Otóż ten duch chrześcijańsko - patryotyczny, ta wierna służba obywatelska,—to najwybitniejsza cecha literatury niepodległej Polski (zarówno prozy, jak poezji, która nie tylko „sobie śpiewała a Muzom“, ale nadewszystko ojczyźnie), to zarazem jej największa piękność, jej najwspanialsza ozdoba —jej wyższość nad literaturą cudzoziemską.

A niechaj narodowie wždy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają!

„Ponieważ wszystkie wszystkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszystko trzeba przekładać i wszystkie prace dla niej mężnie i śmieie podejmować“.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże!

„Jako najmilejszej Matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg Matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca Matkę swoją! A która jest pierwsza i zasłużeńsza Matka, jako ojczyzna?“

Żadne-ć-by jarmarki
Takiego specyału, choćbyś wszystkie fraszki
Zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki,

Nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę
Podjętą na swem ciele synom przyniósł bliźnę.

Niemasz zasług: te, co zowiemy zasługi,
Są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi,
Ojczyzna nic nam nie jest winna: ona pani,
My jej studzy, jej więźnie, jej obowiązani.

Okręt nie zatonie,
Majtki, zgodne z żeglarzem, gdy staną w obronie,
A choć bezpiecznie okręt opuścić i płynąć,
Pocziwiej być w okręcie, ocalić lub zginać.

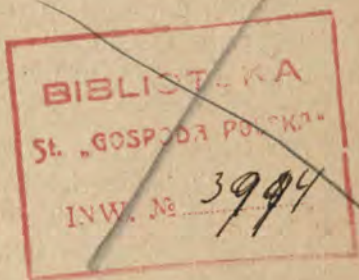
„Społeczność jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele; zostać obywatelem jest wyzuć się czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu“.

Oto jakie hasła przyświecały najznakomitszym pisarzom staropolskim, oto jakie prawdy pragnęli oni wpajać w serca czytelników. A nie są to wcale oderwane frazesy, któreby się przypadkowo do ich pism zaplątały; to najgłębsza treść ich duszy, najistotniejsza cecha ich twórczości.

Na nieszczęście naród nie posłuchał swoich mądrych i zacnych nauczycieli: słowo ich było mu „za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiąże“. „Chwalili, a żywota swego nie poprawiali“. Pomiedzy literaturą a życiem panował rozbrat zupełny, — ale to już nie literatury wina! Ona uczciwie pełniła służbę obywatelską, „jako mogła, ku pożytku dobra spółnego pomagała“ i nakoniec doczekała się tego, że nie była już tylko „za śpiewanie i muzykę“: za Stanisława Augusta“ nie było już rozbratu pomiedzy życiem a literaturą, rzucono się do ratowania tonącego okrętu—za późno...

Ale literatura i wtedy nie załamała rąk: „Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitą“; „Rozpacz—podział nikczemnych“. I, jeżeli straszliwe proroctwo Skargi spełniło się tylko w połowie, jeżeli wolności nasze „utonęły i w śmiech się obróciły“, ale nie zginął język i nie zginął naród, — to zasługa nietylko Komisji Edukacyjnej, ale i literatury, która była tak potężnym czynnikiem naszego odrodzenia duchowego.

A kiedy zatonął okręt, wzbiła się literatura na takie wyżyny, jakich nigdy za czasów niepodległości nie dosięgła, odegrała w życiu narodu tak wielką rolę, jak nigdzie indziej na świecie, i stwierdziła w całym blasku i świetności prawdę słów Brodzińskiego: *„Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem, bezpieczną w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu niepodległą“*.



i 10960

20 u

akce. 415/63²

I
10960